

WINSTON GRAHAM

# POLDARK

Warleggan

WINSTON GRAHAM

POLDARK  
Warleggan

---

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1792-1973

---

Przełożył Tomasz Wyzytiski

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2016

## *Spis treści*

Okładka Strona tytułowa Strona redakcyjna KSIĘGA PIERWSZA Rozdział pierwszy Rozdział drugi Rozdział trzeci Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty Rozdział siódmy KSIĘGA DRUGA Rozdział pierwszy Rozdział drugi Rozdział trzeci Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty Rozdział siódmy Rozdział ósmy Rozdział dziewiąty Rozdział dziesiąty Rozdział jedenasty Rozdział dwunasty Rozdział trzynasty KSIĘGA TRZECIA Rozdział pierwszy Rozdział drugi Rozdział trzeci Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty Rozdział siódmy Rozdział ósmy Rozdział dziewiąty Rozdział dziesiąty KSIĘGA CZWARTA Rozdział pierwszy Rozdział drugi Rozdział trzeci Rozdział czwarty Rozdział piąty Rozdział szósty Rozdział siódmy Przypisy końcowe

Tytuł oryginału:

*WARLEGGAN*

*Redakcja:*

Beata Kołodziejska

*Adaptacja okładki:*

Magdalena Zawadzka /Aureusart

*Cover image of Jack Farthing:*

Photography Ellis Parrinder © Mammoth Screen Limited 2016.

All rights reserved.

All other images © Shutterstock

*Korekta:*

Igor Mazur

*Redaktor prowadzący:*

Anna Brzezińska

Copyright © Winston Graham 1953. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Wyżyński, 2016

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-461-2

Wydawnictwo  
**CZARNA  
OWCA**  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

**Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla Petera Lathama

*KSIĘGA PIERWSZA*

## *Rozdział pierwszy*

W latach dziewięćdziesiątych osiemnastego wieku w trójkącie między Truro, St Ann's i St Michael na wybrzeżu Kornwalii nie istniało intensywne życie towarzyskie. Znajdowało się tam sześć dworów należących do miejscowych ziemian, lecz okoliczności nie skłaniały ich do utrzymywania ze sobą kontaktów.

Ruth Treneglos, z domu Teague, usilnie się starała uczynić swój dwór Mongoose House – najstarszy i położony najdalej na wschód – nowym ośrodkiem życia towarzyskiego, lecz w ostatnich czasach plany Ruth pokrzyżowało macierzyństwo. Jej rubaszny i nieokrzesany małżonek John interesował się tylko polowaniami, a teść był zbyt głuchy i zaabsorbowany studiami nad starożytnością, by przejmować się gośćmi w salonie. W Werry House, największej rezydencji w okolicy, cieszącej się najgorszą opinią, mieszkali sir Hugh Bodrugan, znany z lubieżności i mało wytwornych manier, oraz lady Constance Bodrugan, jego macocha – tak młoda, że mogłaby być jego córką – która hodowała psy, karmiła psy i przez większość dnia mówiła tylko o psach.

W przeciwniejszej, zachodniej części trójkąta znajdował się Place House, wzniesiony na początku wieku, niepasujący do otoczenia pałacyk w stylu palladiańskim, gdzie mieszkał baronet John Trevaunance, bezdzietny wdowiec. W pobliżu stał dwór Killewarren należący do Raya Penvenena, bogatszego od utytułowanego sąsiada i jeszcze bardziej ostrożnego.

Można by się spodziewać, że mieszkańcy obu dworów znajdujących się w środkowej części trójkąta – jedna posiadłość była położona na wybrzeżu, a druga nieopodal – wykazą więcej przedsiębiorczości, nie tylko ze względu na położenie swoich domów, lecz również dlatego, że były to młode małżeństwa, które mogłyby być zainteresowane życiem towarzyskim. Niestety, żadne z nich nie miało pieniędzy.

Na wzgórzu między Sawle a St Ann's, osłonięty drzewami, stał piękny, dostojny elżbietański dwór w Trenwith, w którym mieszkali Francis Poldark, jego żona Elizabeth i prawie ośmioletni syn, a także daleka krewna Francisa, ciotka Agatha, tak stara, że nikt nie znał dokładnie jej wieku. Pięć kilometrów na wschód znajdował się szósty, najmniejszy dwór, Nampara, wzniesiony w epoce georgiańskiej. Odznaczał się prostą architekturą, a jego budowy nigdy nie dokończono, lecz miał swoistą indywidualność i urok, co było również cechą charakterystyczną właścicieli. Mieszkał tam Ross Poldark z żoną Demelzą i synem Jeremym, który niedawno skończył rok.

Spśród sześciu dworów w pierwszych dwóch królowały dzieci i psy, kolejne dwa dysponowały funduszami, by przyjmować gości, lecz nie chciały tego robić, a dwa ostatnie nie mogły sobie na to pozwolić. Kiedy zatem w maju tysiąc



siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku mieszkańcy pięciu dworów otrzymali od właściciela szóste zaproszenie na przyjęcie, które miało się odbyć wieczorem dwudziestego czwartego maja, wywołało to zdziwienie i komentarze. Sir John Trevaunance pisał, że w tej chwili gości u niego siostra, a ponadto brat Unwin, poseł do Izby Gmin z Bodmin, co jest dobrą okazją do wydania balu.

Wyglądało to na tak niewiarygodny powód zerwania z wieloletnią tradycją, że wszyscy zastanawiali się nad prawdziwymi motywami sir Johna. Demelza Poldark bez trudu wskazała jeden z nich.

Gdy przyniesiono list, Ross przebywał w nowej kopalni Wheal Grace, gdzie spędzał teraz prawie cały czas, a Demelza niecierpliwie czekała na jego powrót.

Nakrywając do stołu przed lekkim posiłkiem – kolacja miała być dopiero o ósmej – zastanawiała się, jak się zakończy to ryzykowne, niedawno rozpoczęte i prawdopodobnie ostatnie przedsięwzięcie. Wheal Leisure, kopalnia położona na klifie, zbudowana przez Rossa wraz z sześcioma wspólnikami w tysiąc siedemset osiemdziesiątym siódmym roku, w dalszym ciągu przynosiła zyski, lecz w ostatnim roku Ross sprzedał połowę udziałów i zainwestował pieniądze w bardziej ryzykowne przedsięwzięcie górnicze.

Jak dotąd było ono fiaskiem. Na powierzchni zamontowano nową, doskonałą maszynę parową zaprojektowaną przez dwóch młodych inżynierów z Redruth. Wszystkie obietnice konstruktorów się potwierdziły, lecz na poziomie trzydziestu sążni, gdzie w dawnych czasach prowadzono prace wydobywcze, natrafiono tylko na wyeksploatowane wyrobiska, a na nowych poziomach czterdziestu i pięćdziesięciu sążni znajdowano rudę bardzo niskiej jakości, jeśli w ogóle się pojawiała. Maszyna parowa wypompowująca wodę z kopalni pracowała niezwykle wydajnie, ale zużywała węgiel. W obecnej sytuacji z każdą chwilą zbliżał się dzień, gdy w dolinie zapadnie cisza i maszyna pokryje się rdzą.

Demelza zerknęła przez okno i zobaczyła Rossa idącego przez ogród w towarzystwie Francis Poldarka, brata stryjecznego i wspólnika. Rozmawiali z ożywieniem, lecz widziała, że nie dokonano żadnego niespodziewanego odkrycia. Często obserwowała twarz Rossa w chwili jego powrotu do domu.

Wzięła na ręce Jeremy'ego, który próbował chodzić i w każdej chwili mógł ściągnąć obrus ze stołu, i podeszła do frontowych drzwi, by powitać męża i kuzyna. Wiatr wydmął jej zakardową spódnicę w zielone paski.

Kiedy znaleźli się dostatecznie blisko, Francis powiedział:

– Demelzo, w ogóle się nie zmieniasz, ciągle wyglądasz na siedemnaście lat. Nie zamierzałem dziś odwiedzać kopalni, ale, do licha, świeże powietrze dobrze mi zrobiło. Myślę, że herbata z tobą byłaby świetnym uzupełnieniem kuracji.

– Po raz pierwszy wyszedłeś z domu po chorobie? – spytała. – Mam nadzieję, że nie byłeś na dole.

– Po raz drugi. Nie, nie byłem na dole. Ross znowu sam szukał dobrych

miejsc, z takim skutkiem jak zwykle. Zdaje się, że Jeremy ma nowy ząbek. Kiedy ostatnio go widziałem, były chyba tylko trzy.

– Siedem! – sprostował Ross. – Wkraczasz na niebezpieczny grunt!

Roześmiali się i weszli do domu. Przez pierwsze kilka minut podwieczorku Jeremy skupiał na sobie powszechną uwagę, lecz niedługo potem pani Gimlett go zabrała i dorośli mieli chwilę spokoju. Demelza, nieco zdyszana, z kosmykiem włosów niesforne opadającym na jedno oko, nalała sobie drugą filiżankę herbaty.

– Naprawdę czujesz się lepiej, Francisie? Febra minęła?

– To tylko influenza – odparł Francis. – Wszyscy ją złapaliśmy, ale ja czułem się najgorzej. Choake puścił mi krew i zaordynował korę peruwiańską, ale i tak wyzdrowiałem.

Ross wyciągnął przed siebie długie nogi.

– Dlaczego nie leczysz się u Dwighta Enysa? Jest inteligentny, nowoczesny i zna najnowsze teorie medyczne.

Francis prychnął.

– Zawsze opiekował się nami Tom Choake. Moim zdaniem wszyscy medycy są tacy sami. Tak czy inaczej, nasz przyjaciel Enys ma trochę kłopotów z powodu starego Johna Ellery’ego.

– Zdaje się, że bolały go zęby. Enys wyrwał trzy i usunął korzenie, jak to ma w zwyczaju. Choake zadowala się usuwaniem koron. Ale tym razem coś poszło nie tak i Ellery bez przerwy skręca się z bólu.

– Mam wrażenie, że Dwight wydawał się trochę zmartwiony, gdy wczoraj do nas przyjechał – zauważyła Demelza.

– Za bardzo bierze sobie do serca porażki – stwierdził Ross. – To wielka wada w tej profesji.

– To wielka wada w każdej profesji – powiedziała Demelza, usilnie starając się na niego nie patrzeć.

Francis uniósł ironicznie brew. Zapadło krótkie milczenie. Aby je wypełnić, Demelza wzięła kopertę z gzymsu kominka.

– Dostaliśmy zaproszenie, Ross! Pomyśl tylko, w tych trudnych czasach. Czy ty też dostałeś zaproszenie, Francisie? Przypuszczam, że to będzie duży bal. Zastanawiam się, czy powinniśmy się wystroić. Co sądzi o tym Elizabeth?

– Od Trevaunance’ów? – spytał Francis, gdy tymczasem Ross czytał zaproszenie. – Tak, dostaliśmy dziś list. Staruszek robi się z wiekiem ekstrawagancki. Znając sir Johna, w tym szaleństwie jest metoda. Na pewno ma jakiś powód.

– Ach, przyszło mi do głowy to samo – powiedziała Demelza.

– Jaki powód? – spytał Ross, unosząc wzrok znad listu.

Francis zerknął na Demelzę, ale ona czekała, co on powie. Roześmiał się.

– Twoja żona i ja jesteśmy bezlitośni. Bratanica Raya Penvenena, Caroline,

to dziedziczka znacznej fortuny. Unwin Trevaunance poluje na nią od dwóch lat. Może zamierza ogłosić, że ją wreszcie dopadł.

– Nie wiedziałem, że wróciła.

– Zdaje się, że przyjechała z Oxfordshire w zeszłym tygodniu.

– Gdyby zamierzano ogłosić zaręczyny, czy przyjęcia nie powinien urządzić Penvenen? – spytała Demelza. – Myślałam, że takie są zasady. Ross, obiecałeś kupić mi książkę na temat etykiety, ale nie dotrzymałeś słowa.

– Zachowujesz się lepiej bez etykiety. Lubię, jak moja żona zachowuje się naturalnie, a nie sztywno, przestrzegając oficjalnych reguł.

– Ray Penvenen nigdy nie wydałby balu nawet z okazji własnych zaręczyn, więc nie powinno to nas zniechęcać do spekulacji.

– Oczywiście się wybierasz? – spytała Demelza.

– Kiedy zegnałem się dziś po południu z Elizabeth, miała taki wyraz twarzy, jakby zamierzała się wybrać.

– Mam nadzieję, że szybko się zaręczą – powiedział Ross. – Jeśli Caroline Penvenen zostanie dłużej w naszej okolicy, prawdopodobnie zawróci w głowie Dwightowi. Będę zadowolony, gdy wreszcie zaręczy się z Unwinem.

– Słyszałem, że Caroline zaprzyjaźniła się z Dwightem podczas ostatniego pobytu w Kornwalii, ale myślę, że Enys jest na tyle rozsądny, by się w to nie wplątywać.

– Moim zdaniem żaden mężczyzna nie jest dostatecznie rozsądny, jeśli kobieta nie jest dostatecznie rozsądna – zauważyła Demelza.

Ross zerknął na nią dobrodusznie.

– Bystra uwaga. Mówisz na podstawie własnych doświadczeń?

Spojrzała mu w oczy.

– Tak, Ross, na podstawie własnych doświadczeń. Pomyśl tylko, jak głupio zachowywałby się sir Hugh Bodrugan, gdybym mu pozwoliła.

Ross zdał sobie sprawę z ukrytego znaczenia swoich słów dopiero wtedy, gdy je wypowiedział. Mogły się odnosić do jego własnego małżeństwa. Był zadowolony, że Demelza przyjęła je we właściwy sposób. Nie przyszło mu do głowy, że dwa lata wcześniej nie miałby żadnych wątpliwości w tej kwestii.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Francis i Ross wracali z kopalni na podwieczorek, przed dworem w Trenwith zsiadał z konia George Warleggan.

Z pozoru nie wydawał się wnukiem kowala, pierwszym członkiem rodziny, który otrzymał wykształcenie godne dżentelmena – chyba że chodziło o strój. Żaden miejscowy ziemianin nie ubrałby się tak elegancko na popołudniową wizytę, nawet jeśli chciał zrobić wrażenie na pani domu, co zresztą było zamiarem George'a.

Pani Tabb wpuściła go do domu i nieco zaaferowana poszła szukać pani Poldark, a w tym czasie George chodził po sieni, uderzając w but szpicrutą

i oglądając portrety przodków. Panował tu inny rodzaj ubóstwa niż w położonej w odległości pięciu kilometrów Namparze. Francis i Elizabeth mieli równie mało pieniędzy jak ich kuzyni, ale wielka rezydencja z epoki elżbietańskiej nie może popaść w ruinę w ciągu kilku lat. George podziwiał wspaniałe okno zrobione z setek małych szybek oprawionych w ołów, gdy nagle usłyszał kroki. Odwrócił się i ujrzał Elizabeth schodzącą po schodach.

Zwolniła na jego widok i w kilku ostatnich krokach można było zauważyć wahanie.

– Ach, to ty, George... Pani Tabb powiedziała... nie mogłam uwierzyć...

– Że naprawdę postanowiłem przyjechać. – Warleggan skłonił się uprzejmie nad dłonią Elizabeth. – Przejeżdżałem w okolicy i postanowiłem przywieźć chrześniakowi prezent na urodziny. Pomyślałem, że może dostanę zgodę, by mu go ofiarować.

Ciągle niepewna, Elizabeth przyjęła wręczony podarunek.

– Przecież urodziny Geoffreya Charlesa przypadają dopiero za kilka miesięcy...

– Zeszłoroczne urodziny. To spóźniony prezent.

– Czy Francis...

– Wie, że tu jestem? Nie. A jeśli nawet? Ta dziecinna waśń z pewnością trwa już za długo. Doprawdy, Elizabeth, ponowne spotkanie z tobą to dla mnie wielka radość. Ogromna radość...

Uśmiechnęła się. Nie zarumieniła się jak kilka lat wcześniej, lecz jego podziw sprawił jej przyjemność. Często nie wiedziała, kiedy George jest naprawdę szczerzy, tym razem jednak była pewna, że tak właśnie jest. Pomyślała, że przytył od ostatniego spotkania: w jego tęgiej sylwetce można było dostrzec zapowiedź mężczyzny w średnim wieku, którym miał się stać. Niezależnie od tego, jak się odnosił do Rossa – zachowanie George'a wobec kuzyna zdecydowanie jej się nie podobało – zawsze bardzo dobrze traktował Francisa, a w stosunku do niej był czarujący.

W salonie zimowym rozpakowała przyniesioną przez niego niewielką paczuszkę. Okazało się, że jest w niej złoty zegarek. Próbowła zwrócić prezent, uważając, że jest zbyt drogi, lecz George nie chciał o tym słyszeć.

– Schowaj go na jakiś czas do szuflady, jeśli uważasz, że Geoffrey Charles jest jeszcze za młody. Ta waśń go nie dotyczy. Kiedy dostatecznie dorośnie, by nosić zegarek, może znowu staniemy się przyjaciółmi.

– Nie ja do niej dążyłam – odpowiedziała. – Prowadzimy teraz bardzo spokojne życie, ale cieszę się, że ciągle mam oddanych przyjaciół. Znasz Francisa tak samo jak ja. Bywa bardzo emocjonalny i gdyby tu teraz wszedł, nasza przyjaźń mogłaby ucierpieć bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

– Innymi słowy, próbowałby mnie wyrzucić – rzekł spokojnie George. –

Cóż, niewątpliwie uważasz, że jestem zanadto drobiazgowy we wszystkich sprawach, ale zostawiłem służącego na wzgórzu w pobliżu kościoła w Sawle. Jeśli zobaczy nadjeżdżającego Francisa, ostrzeże mnie z dostatecznym wyprzedzeniem, więc nie musisz się obawiać awantury. – Zgarbił się. – Nie zdecydowałbym się na to, gdybym myślał, że mogłabyś mnie uznać za tchórza.

Elizabeth usiadła w fotelu przy oknie i popatrzyła na ogród. George obserwował ją tak uważnie, jakby zamierzał prowadzić z nią negocjacje handlowe.

– Przede wszystkim chciałabym ci podziękować za dobroć okazaną moim rodzicom – powiedziała. – Moja matka jest ciągle bardzo chora, a zaproszenie do twojego domu...

– Specjalnie prosiłem, by ci nie mówili.

– Wiem, ojciec o tym wspominał. Ale mimo wszystko napisał o zaproszeniu, a także o dobroci, jaką im okazałeś.

– To bez znaczenia. Zawsze podziwiałem twoją matkę, uważam, że dzielnie znosi chorobę oczu. Zastanawiam się, dlaczego nie sprzedadzą domu i nie zamieszkają u ciebie.

– Czasem sama o tym myślę. Ale Francis uważa, że nie byłoby to dobre rozwiązanie... – Umilkła, w obawie, że powie za dużo.

George usiadł i przygryzł srebrną końcówkę szpicruty.

– Elizabeth, nie spodziewam się, że będziesz nielojalna wobec Francisa w swoich poglądach na temat mojej osoby i naszej kłótni, ale czy nie uważasz, że wreszcie należy o tym zapomnieć? Jakie korzyści to nam przynosi? Francis działa wbrew własnym interesom. Dobrze wiesz, podobnie jak ja, że gdybym źle wam życzył, mógłbym doprowadzić go do bankructwa choćby jutro. Nie jest miło mówić takie rzeczy, ale czy w to wątpisz?

– Nie wątpię – odparła Elizabeth, oblewając się rumieńcem.

Uniosła haczyk w oknie i uchyliła je na kilka centymetrów, by wpuścić świeże powietrze. Jej profil na tle brązowej zasłony przypominał kameę.

– Twierdzisz, że nie chcesz, abym była nielojalna, a później zmuszasz mnie, abym stanęła po jednej ze stron...

– Nie, bynajmniej. Proszę, żebyś stała się mediatorką.

– Myślisz, że moja mediacja odniesie jakiś skutek? George, znasz Francisa równie dobrze jak ja. Uważa, że stałeś za oskarżeniem Rossa, że...

– Och, Ross...

Wypowiedziawszy to imię, zrozumiał, że popełnił błąd, lecz mimo to mówił dalej, starając się, by w jego głosie nie było niechęci.

– Wiem, że bardzo lubisz Rossa, Elizabeth. Chciałbym, żebyś darzyła mnie takim samym afektem jak jego. Ale muszę ci coś wyjaśnić. Ross i ja nie możemy się dogadać już od czasów szkolnych. To coś fundamentalnego. Nie lubimy się. Ale z mojej strony to wszystko. W przypadku Rossa jest w tym coś chorobliwego.

Rozpoczyna kolejne przedsięwzięcia, które kończą się fiaskiem, a później obwinia mnie o swoje niepowodzenia!

Elizabeth wstała.

– Wolalabym, żebyś tak nie mówił. Nie powinnam tego słuchać.

Zamierzała wyjść z salonu, ale George nie odstąpił na bok, toteż zatrzymała się przed nim, nie mogąc się wydostać z wykuszu.

– Znasz stanowisko Rossa? Dlaczego nie miałabyś wysłuchać mojego? Pozwól mi powiedzieć, w jakiej sytuacji się znalazł i co zrobił, by się wyplątać.

Elizabeth milczała. George ciągnął, zdając sobie sprawę, że pokonał pierwszą przeszkodę.

– Ross jest porywczy, hardy, nierozważny. Nie możesz mnie za to winić. To wady ludzi zamożnych, pochodzących z bogatych od pokoleń rodzin. Ale nikt nie powinien się zachowywać tak, jak on się zachował. Cztery lata temu rozpoczął nierozsądne przedsięwzięcie: założył w Kornwalii odlewnię miedzi. Wini mnie za fiasko, lecz interes był od początku skazany na niepowodzenie. Kiedy w końcu Ross znalazł się w tarapatkach finansowych, był zbyt dumny, by prosić o pomoc przyjaciół, więc podpisał weksel na tysiąc funtów na lichwiarski procent. W tej chwili weksel jest w rękach mojego stryja, właśnie dlatego o tym wiem. Od tamtej pory Ross płaci horrendalne odsetki. Co więcej, w zeszłym roku sprzedał połowę swoich udziałów w zyskowej kopalni i namówił Francisa, by zawiązał z nim spółkę i otworzył Wheal Grace, kopalnię, którą przed dwudziestu laty wyeksploatował jego ojciec! Kompletna mrzonka! Kiedy w końcu doprowadzi siebie i was do nędzy, niewątpliwie oskarży mnie, że ukradłem jego miedź!

Elizabeth w końcu się uwolniła i przeszła przez salon. Warleggan przesadzał, ale prawda mogła leżeć gdzieś pośrodku, między jego interpretacją a argumentami Francisa. Nigdy nie potrafiła zdefiniować swoich uczuć względem Rossa i spojrzenie na wszystko z drugiej strony sprawiło jej perwersyjną przyjemność.

George nie poszedł za nią.

– Wiesz, że jesteś jedną z najpiękniejszych kobiet w Anglii, prawda? – spytał po chwili.

Zegar na kominku wybijał piątą. Gdy umilkł, Elizabeth powiedziała:

– Nawet jeśli to tylko połowa prawdy, miło, że tak mówisz, ale nie powinnam tego słuchać pod nieobecność Francisa. To wręcz zuchwałość z twojej strony. Wiem, że...

– Jeśli prawda jest zuchwałością, postąpiłem zuchwale. – George przesunął dłonią po haftowanej kamizelce. Nie czuł się do końca swobodnie, lecz się nie wycofywał. – Bywam często w towarzystwie i zapewniam cię, że nie jest to zwykłe pochlebstwo ani przesada. Obróć się i spójrz na siebie w lustrze. Może jesteś zbyt przyzwyczajona do widoku swojej twarzy, by zdawać sobie z tego sprawę. Mężczyźni to zauważają, nie tylko ja. I byłoby więcej takich osób, kobiet

i mężczyzn, gdybyś częściej pojawiała się w towarzystwie. Nawet teraz słyszę głosy: „Pamiętacie Elizabeth Poldark z domu Chynoweth? Była naprawdę piękna. Zastanawiam się, co się z nią dzieje”.

– Czy sądzisz...

– Gdyby Francis mi pozwolił, mógłbym mu pomóc – ciągnął George.  
– Niech się bawi w kopalnię, jeśli ma ochotę, ale to powinna być działalność uboczna. W czasie jednej ze swoich wizyt wspomniałem o synekurach. W każdej chwili mógłbym mu załatwić dwie. To żaden wstyd. Spytaj pastora, jak uzyskał prebendę, albo majora, dlaczego otrzymał stanowisko dowódcy batalionu. Jeden z przyjaciół poparł go w odpowiednim momencie. Takie... takie życie w ogóle ci nie przystoi. Nie tylko nie zasługujesz na ubóstwo: jest ono niepotrzebne!

Elizabeth milczała. Cokolwiek sądziła o komplementach George'a, dotknął bolesnego miejsca. Miała dwadzieścia osiem lat i nie będzie piękna w nieskończoność. Mogła policzyć na palcach jednej ręki swoje wizyty w towarzystwie po ukończeniu dwudziestego piątego roku życia.

– Och, George, jesteś bardzo miły. Nie myśl, że o tym nie wiem. Tym bardziej że nie masz nic do zyskania. Ja...

– Wręcz przeciwnie – odparł George. – Mam mnóstwo do zyskania.

– Sama nie wiem, co powiedzieć. Obsypujesz łaskami moich rodziców, mojego syna i obsypałbyś również Francisca, gdyby na to pozwolił. Chciałabym, żeby ta waśń się zakończyła, naprawdę. Czy nie oszukujesz samego siebie, sugerując, że to trywialna sprawa? Nic nie jest takie proste, jak się wydaje. Chciałabym, by tak było. Byłabym szczęśliwa, gdyby udało się odbudować naszą przyjaźń.

Warleggan podszedł do kominka.

– I postarasz się ją odbudować?

– Jeśli ty też coś zrobisz.

– Co?

– Przekonasz Rossa, że nie jesteś jego wrogiem.

– Ross mnie nie interesuje.

– Tak, ale Francis jest teraz współnikiem Rossa. Nie możesz przyjaźnić się z jednym, a gniewać na drugiego.

George wpatrywał się w szpicrutę. Może nie chciał, by Elizabeth widziała wyraz jego oczu.

– Przypisujesz mi nadnaturalne zdolności. Co miałbym zrobić?

– Jeśli ty zrobisz, co możesz, ja również zrobię, co mogę.

– Mam nadzieję, że mogę trzymać cię za słowo.

– Możesz.

Pochylił się nad jej dłonią i tym razem ją pocałował. Staroświecka ceremonialność tego gestu przekazywała to, co chciał przekazać.

– Proszę, nie zawracaj sobie głowy odprowadzaniem mnie. Mój koń czeka przy drzwiach.

Opuścił salon, zamknął za sobą drzwi i przeszedł przez wielką pustą sień. Niedomknięte okno stukotało na wietrze. Kiedy dotarł do drzwi frontowych, z pobliskiego saloniku wyszła ciotka Agatha i ruszyła niepewnie w jego stronę. Nie chciał, by go zauważyła, ale chociaż była głucha jak pień, ciągle miała dość dobry wzrok.

– Ależ to przecież George Warleggan, do licha! Tylko nie mamroc, chłopcze! W dzisiejszych czasach wszyscy mamroczą. Mogę przysiąc, że nie odwiedzałeś nas od stuleci. Stajesz się za wielkim panem jak na nasze skromne progi, prawda?

George się uśmiechnął i skłonił nad pomarszczoną ręką staruszki.

– Pozdrawiam cię, stara wiedźmo! Robaki nie mogą się już doczekać, aż znajdziesz się w ziemi. Nie wypada gnić za życia.

– Stajesz się dla nas za wielki – powtórzyła Agatha, ściskając gałkę laski pomarszczonymi dłońmi. – Popatrz na tę boazerię. Pamiętam cię jako chłopca, George, niewiele większego od Geoffreya Charlesa. Kiedy przyszedłeś tu pierwszy raz, byłeś bardzo onieśmielony. Nie to co teraz.

George uśmiechnął się i skinął głową.

– Powinno istnieć prawo nakazujące podawać truciznę starym babom, pani. Poduszka przyciśnięta do twarzy też szybko załatwiłaby sprawę. Gdybyś była ostatnim członkiem rodu Poldarków, chętnie zrobiłbym to osobiście. Nie martw się, twoi prapraprawnukowie sami kopią sobie groby. To nie potrwa długo.

W oku ciotki Agathy pojawiła się łza i spłynęła ukośnie jedną z bruzd na policzku. Na jej twarzy nie było śladu emocji, po prostu zdarzało się to od czasu do czasu.

– Zawsze przyjaźniłeś się z Francisem, a nie z Rossem. Dobrze pamiętam. Co mówisz? Kiedy przyszedłeś tu po raz pierwszy, byłeś bardzo zdenerwowany, wyglądałeś jak nieopierzony kurczak, tak określił to Charles. Cóż, byłeś chłopcem, który przyjechał prosto ze szkoły. Czasy się zmieniły. Pamiętam lata, gdy nie można było pojechać do Truro w ładnym stroju, by człowieka nie napadli grasanci lub zagłodzeni górnicy. Widziałeś się z Francisem?

– Widziałem się z Elizabeth – odpowiedział George i znów się skłonił. – Przypominasz mi o dawnych czasach, starucho. Szybko zdechnij i odejdz w zapomnienie.

– Do widzenia – odparła ciotka Agatha. – Przyjedź znowu i zostań na kolacji. Odwiedza nas teraz bardzo mało gości...



## *Rozdział drugi*

Francis dotarł do domu tuż przed szóstą. Zastał Elizabeth siedzącą pod oknem i haftującą obicie na stołek. Przy niewielkim ogniu płonącym na kominku kuliła się ciotka Agatha.

– Ach, jak tu gorąco! – Podszedł do okna i je otworzył. – Doprawdy, lepiej byś się czuła w łóżku, staruszko. Po co męczyć stare kości? – Nie wypowiedział tych słów niemiłym tonem.

Ciotka Agatha podniosła na niego wzrok.

– Minąłeś się z naszym gościem, Francisie. Dosłownie o włos. W dzisiejszych czasach rzadko miewamy gości. Powinnaś była zaprosić go na kolację, Elizabeth.

Francis spojrział na żonę, która oblała się rumieńcem, wściekła, że ciotka uprzedziła ją w czymś, co chciała powiedzieć mężowi sama.

– Przyjechał George Warleggan.

– George? – Francis wypowiedział to imię w taki sposób, że wystarczyło to za cały komentarz. – Rozmawiałeś z nim?

– Tak. Nie zabawił długo.

– Spodziewam się. Czego chciał?

Elizabeth uniosła szare oczy, które w takich chwilach wyglądały na wyjątkowo szczerze i niewinne.

– Chyba niczego konkretnego. Powiedział, że nie warto dalej się gniewać.

– Gniewać...

– Zachowywał się bardzo serdecznie – dodała ciotka Agatha. – Do diaska, majątek sprawia, że poprawiają mu się maniery. Zupełnie jak za dawnych czasów, gdy mężczyźni klękali przed damami.

– Powinien wiedzieć, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego – rzekł Francis.

Elizabeth w dalszym ciągu haftowała.

– Powiedział, że wasza przyjaźń datuje się od czasów dzieciństwa, że chciałby się pogodzić. Stwierdził, że nie ma zamiaru wtrącać się do spraw twoich lub Rossa, że chce nam tylko pomóc, byśmy mogli w pełni cieszyć się życiem.

– Mówisz, jakbyś powtarzała dobrze wyuczoną lekcję.

Elizabeth dotknęła niepewnie koszyka z robótką, szukając nici innego koloru.

– Właśnie to powiedział. Możesz to potraktować, jak chcesz, Francisie.

– Pamiętam, że po raz pierwszy przyprowadzono go tutaj w roku, w którym wybuchła afera naszyjnikowa, a może rok później? – odezwała się ciotka Agatha.

– Krępy, zwinny chłopaczek, a w jakim stroju go przysłali! Aksamit i jedwab, widać było, że matka nie ma za grosz gustu, a on rozglądał się jak cielę, które

odłączyło się od stada.

– Zawsze potrafił gadać gładko i nieszczerze – rzekł Francis. – Jest diabelnie przekonujący. Wiem to z doświadczenia. Czy uważa, że będziemy w pełni cieszyć się życiem dzięki jego cennej przyjaźni? Chyba nie przekonał cię pochlebstwami?

– Stać mnie na własne zdanie – odparła Elizabeth. – Ale pamiętam, że gdyby nie jego prolongata spłaty hipoteki, bylibyśmy bankrutami.

Francis w zamyśleniu przygryzł kciuk.

– Przyznaję, że nie pojmuję tej wyrozumiałości. To nie w jego stylu. Teraz, gdy jestem współnikiem Rossa... Właśnie dlatego udziały w Wheal Grace są zapisane na Geoffreya Charlesa. Ale George nie żąda spłaty długu.

– Tylko chce odnowić przyjaźń – zauważyła Elizabeth.

Francis podszedł do otwartego okna, by poczuć na twarzy chłodny wiatr.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że zawdzięczam immunitet tobie.

– Mnie? To niemądre, doprawdy, Francisie...

– Niemądre? Bynajmniej. George od lat robi do ciebie słodkie oczy. Nigdy nie podejrzewałem go o posiadanie ludzkich uczuć, które zapewne kolidowałyby z jego interesami, ale z braku lepszego wyjaśnienia...

Elizabeth wstała.

– Mam nadzieję, że znajdziesz lepsze wyjaśnienie. Muszę poczytać Geoffroyowi Charlesowi.

Francis chwycił ją za ramię, kiedy go mijała. W ciągu ostatnich dwóch lat ich stosunki się poprawiły, lecz nigdy nie stały się serdeczne.

– Możemy się ze sobą nie zgadzać, ale sądzę, że dzisiejsza wizyta ma dość oczywisty powód. Niezależnie od tego, co naszym zdaniem George czuje do mnie albo do ciebie, nie ma wątpliwości, co myśli o Rossie. Jeśli odnowi z nami przyjaźń i zdoła skłócić nas z Rossem, z pewnością osiągnie swój cel. Chcesz, żeby mu się udało?

Elizabeth milczała przez chwilę.

– Nie – odpowiedziała w końcu.

– Ani ja. – Puścił jej ramię i powoli wyszedł z salonu.

– Powinniście byli zaprosić go na kolację – powiedziała ciotka Agatha. – Dobrze nam się wiedzie, ale nie jest już tak jak za życia Charlesa. Bardzo mi brakuje twojego ojca, chłopcze. Był ostatnim człowiekiem, który potrafił przyjmować gości jak prawdziwy dżentelmen.

W drodze do domu, przy krzyżu w Bargus, gdzie stała szubienica, George spotkał Dwighta Enysa wracającego od strony Goon Prince. Dwight pozdrowił go i chciał jechać dalej, ale George się zatrzymał i ich konie stanęły naprzeciwko siebie.

– Cóż, doktorze Enys, odbywa pan długie wyprawy, by leczyć pacjentów. Ale chyba nigdy do Truro?

- Rzadko do Truro.
- Kiedy jest pan w Truro, nie odwiedza pan Warlegganów.

Dwight ostentacyjnie uspokajał konia, zastanawiając się nad odpowiedzią. Postanowił mówić szczerze.

– Pańska rodzina okazała mi serdeczność, panie Warleggan, i ja również mam wobec pańskiej rodziny serdeczne uczucia, ale moimi najlepszymi przyjaciółmi są Poldarkowie z Nampary. Mieszkam tuż obok ich posiadłości, leczę górników z ich kopalni, jem posiłki w ich dworze i cieszę się ich zaufaniem. W tej sytuacji nie powinienem chyba szukać przyjaźni wśród ludzi należących do innego świata.

George nie obrócił głowy, lecz spojrzął na podniszczony aksamitny surdut Dwighta z połączanymi guzikami.

– Czy te dwa światy są tak odległe, że osoba postronna nie może złożyć wizyty w tym drugim?

– Niestety, tak – odparł Dwight.

Twarz George’a pociemniała.

– Mężczyźni bywają większymi plotkarzami od kobiet. Dobrze się panu wiedzie?

– Nie narzekam, dziękuję.

– Odwiedziłem w zeszłym tygodniu Penvenenów i rozumiem, że jest pan teraz ich stałym lekarzem.

– Pan Penvenen jest w bardzo dobrej formie. Rzadko go widuję.

– Podobno wróciła jego bratanica.

– Istotnie.

– Rozumiem, że dokonał pan zręcznej operacji gardła panny Penvenen i uratował jej życie?

– Rzeczywiście, mężczyźni bywają większymi plotkarzami od kobiet.

George nie lubił, gdy obracano przeciwko niemu jego własne słowa. Czuł coraz większą antypatię do młodego Enysa, który zachowywał się hardo i prawie nie próbował ukrywać swoich sympatii. George nie zadawał się z ludźmi, których nie interesowały jego opinie.

– Jeśli o mnie chodzi, nie mam zaufania do lekarzy i aptekarzy – rzekł.

– Moim zdaniem zabijają tyle samo ludzi, ile zdołają wyleczyć. Moja rodzina szczęśliwie nie jest jeszcze tak zniewieściała jak wiele starych rodów.

Pojechał dalej wraz ze służącym, który podązał nieco z tyłu. Dwight spoglądał za Warlegganem, a następnie potrząsnął wodzami i ruszył swoją drogą. Wiedział, że obraził wpływowego człowieka. Jako lekarz nie powinien tego robić, lecz już dawno wybrał sobie przyjaciół. Interesowało go coś innego. „Podobno wróciła jego bratanica”, powiedział George. Jeśli Caroline Penvenen naprawdę przebywa w Killewarren, oznaczało to koniec spokoju ducha Dwighta.

Dotarł do Sawle. Prowadził konia śliską ścieżką do składów ryb w dolnej części wioski, gdy wtem usłyszał z tyłu grzechot i zauważył, że dziewiętnastoletnia Rosina Hoblyn upadła na kamieniach. Niosła wiadro wody. Zarzucił wodze na słupki ogrodzenia i poszedł pomóc jej wstać. Jak dotychczas nie udało mu się wyleczyć dziewczyny. Kiedy nieśmiało pytał, dlaczego Rosina kuleje, jej rodzina szybko zmieniała temat, jakby się go obawiała. Teraz szczupła, ładna buzia Rosiny była skrzywiona z bólu. Dwight pomógł dziewczynie stanąć na nogi.

– To kolano, doktorze. Za chwilę będzie lepiej. Czasem tak się robi, w ogóle nie mogę nim poruszać. Dziękuję.

Z chaty wybiegła jej młodsza siostra Parthesia, wzięła wiadro, dygnęła przed doktorem i wyciągnęła rękę, by poprowadzić Rosinę.

– Nie, jeszcze chwilę postoję – powiedziała dziewczyna i zwróciła się do Dwighta: – Jeśli zaczekam, sztywność minie.

Po kilku minutach wprowadzili ją do domu. Dwight był rad, że ojciec Rosiny, Jacka Hoblyn, jest nieobecny, ponieważ mężczyzna miał trudne usposobienie.

Dwight z poważną miną zignorował protesty Rosiny i pani Hoblyn, że to nic wielkiego i że jeśli Rosina usiądzie na stole i zwiesi nogę, zaraz poczuje się lepiej. Pochylił się, by obejrzeć kolano, obawiając się, że ujrzy objawy skrofulów. Nie zauważył ich. Kolano było opuchnięte i nieco zaczerwienione, lecz skóra nie była błyszcząca ani gorąca.

– Mówisz, że kłopoty zaczęły się osiem lat temu?

– Tak, doktorze, mniej więcej.

– Boli cię cały czas?

– Nie, tylko kiedy noga zeszywnieje.

– Masz te same problemy z biodrem?

– Nie, nic mi nie dolega.

– Wyciekł ci kiedyś z kolana jakiś płyn?

– Nie, doktorze. To tak, jakby ktoś obracał mi w nodze klucz – odpowiedziała dziewczyna, obciążając spódnicę.

– Widział to jakiś inny lekarz?

Miał wrażenie, że obie wymieniają spojrzenia za jego plecami, po czym Rosina odparła:

– Tak, doktorze, kiedy po raz pierwszy poczułam ból, w osiemdziesiątym czwartym. Oglądał je pan Nye, ale teraz już nie żyje.

– Co powiedział?

– Nic – wtrąciła śpiesznie pani Hoblyn. – Nie miał pojęcia, co to takiego.

Atmosfera panująca w domu była zniechęcająca. Dwight kazał dziewczynie przykładać zimne kompresy i powiedział, że obejrzy kolano w przyszłym tygodniu, jak ból minie. Gdy wyszedł, zapadał już zmrok, a czekała go jeszcze najbardziej

nieprzyjemna wizyta.

U stóp wzgórza, nad kamienistą plażą, rozciągała się równinna, trójkątna łąka porośnięta zieloną trawą i chwastami. Po jednej stronie znajdowały się składy ryb otoczone przez skupisko chat i szop. Aby do nich dotrzeć, należało przejść przez wąski, łukowaty mostek. Dwight zatrzymał się na chwilę i popatrzył na morze. Wiatr przybierał na sile, odległe klify były ledwo widoczne w narastającym półmroku. W dalszym ciągu dostrzegał ponure ujście zatoki Sawle. W jednej z łodzi stary mężczyzna naprawiał sieć. Za szynkiem mewy walczyły o rybie głowy. W oknie migotała świeca.

Dwight wyobrażał sobie, że mimo szumu fal słyszy szepty wieśniaków: „Słyszeliście o Johnie Jamesie Ellerym, prawda? Bolał go ząb, to wszystko. Poszedł do chirurga koło Mongoose, który wyrwał mu trzy zęby. Od tamtej pory John James skręca się z bólu i może umrzeć! Gdybym zachorował, trzymałbym się z dala od takiego lekarza!”.

Odwrócił się, by odejść, i w tym momencie zza szynku wyszedł mężczyzna, który wyraźnie nie chciał się z nim spotkać. Był to Charlie Kempthorne, którego Dwight wyleczył z suchot i który smażył cholewki do Rosiny Hoblyn, choć był przeszło czterdziestoletnim wdowcem z dwójką dzieci, a ona miała zaledwie dziewiętnaście lat.

– Późno pan do nas przyjeżdża, doktorze, co? O tej porze trzeba siedzieć przy kominku. Oczywiście, jeśli ktoś jest takim szczęściarzem, że ma kominek.

– Właśnie zamierzałem to samo powiedzieć tobie.

Kempthorne uśmiechnął się i zakasłał.

– Najlepiej robić interesy w nocy. Jak celnicy nie widzą.

– Gdybym był celnikiem, byłbym najbardziej zajęty w nocy.

– Ach, ale oni siedzą wtedy przy ogniu jak wszyscy rozsądni ludzie. – Kiedy Charlie przechodził obok, na jego obliczu pojawił się cień niepokoju.

Phoebe Ellery otworzyła drzwi Dwightowi i zaprowadziła go na górę. Do pokoju Johna Jamesa Ellery’ego wchodziło się po drewnianej drabinie z pomieszczenia, gdzie składowano worki kartofli, sieci, wiosła i korkowe pływaki. Nie sposób było się tu wyprostować. Tego wieczoru napalono w piecyku, by ogrzać pomieszczenie przed nadchodzącą nocą. Przez zbitą szybę do środka wdierał się wiatr, targając płótnem workowym i niosąc krople deszczu. Po izbie krążył nieustannie wielki czarno-biały kot i rzucał groźne fioletowe cienie. Chory miał twarz owiniętą kawałkiem starego płótna i mamrotał: „Boże, zlituj się nade mną! Boże, zlituj się nade mną!”.

Phoebe stała w drzwiach, patrząc na lekarza bezlitosnym, pełnym wyrzutu wzrokiem.

– Za jakiś czas poczuje się lepiej – powiedziała. – Ból trwa godzinę, a potem na dłuższą chwilę ustępuje.

Dwight niewiele mógł zrobić, ale został pół godziny, podał Jamesowi laudanum i słuchał szumu fal. Zanim wyszedł, zauważył, że ból u chorego powoli mija.

Noc była burzliwa, a Dwight długo nie mógł zasnąć, dręcząc się niepowodzeniami i myśląc o gorzkich zawodach związanych z profesją lekarza.

## Rozdział trzeci

Wieczorem dwudziestego czwartego maja Ross i Demelza byli jednymi z ostatnich gości, którzy przybyli do Trevaunance'ów. Musieli pożyczyć konia od Francisa. Ciągłe miał w stajni trzy rumaki. Kiedy weszli po schodach na piętro, w wielkim salonie rozmawiało i śmiało się już około dwudziestu ludzi. Przebranie się zajęło Demelzie godzinę, a tymczasem Ross dla zabicia czasu przeczytał ostatnie wydanie „Sherborne Mercury”, które uprzejmie zostawiono w sypialni.

Francja wypowiedziała wojnę Austrii. Zaledwie trzy tygodnie wcześniej rewolucyjny kocioł wreszcie wykypiał. Gazeta podawała, że Robespierre sprzeciwiał się temu posunięciu i zrezygnował z funkcji oskarżyciela publicznego, ale pozostali jakobini marzyli o wojnie i wielka armia francuska zaatakowała Belgię. W każdej chwili należało oczekiwać starcia z wojskami austriackimi. A stanowisko Anglii? Pitt mógł przewidywać piętnaście lat pokoju, jak to zrobił w marcu. Proroctwa nic nie kosztują, ale kiedy towarzyszy im dalsze ograniczenie liczebności maleńkiej armii i marynarki wojennej, staje się jasne, że bezpieczeństwo kraju jest zagrożone.

Ross tak się zamyślił, że nie usłyszał pierwszych słów Demelzy, i uniósł wzrok dopiero, gdy je powtórzyła.

Wstając, zauważył, że czar i uroda żony nic nie straciły mimo trzech lat trosk i zaciskania pasa. Niekiedy skrywały się pod maską codziennej pracy i rutyny życia, lecz ich pojawienie się było tym bardziej uderzające. Wówczas natychmiast zauważał w Demelzie cechy, które czyniły ją atrakcyjną dla wielu mężczyzn.

– Ciągłe masz tremę przed pojawieniem się w towarzystwie jak za dawnych czasów? – spytał, otworzywszy przed nią drzwi. – Nigdy nie wiem, czy w takiej chwili jesteś zdenerwowana, czy nie.

– Przez pierwsze dziesięć minut trzęsą mi się kolana – odrzekła. – Na szczęście akurat one są dobrze zasłonięte.

Roześmiał się.

– Wiem, co pomaga na tę przypadłość.

– Co?

– Porto.

– Tak, bardzo często. Ale inne rzeczy też pomagają.

– Na przykład?

Lekko wzruszyła nagimi ramionami, a na jej twarzy pojawiło się powątpiewanie.

– Świadomość, że są ludzie, którzy mi ufają.

– Również ja?

– Przede wszystkim ty.

Pochylił się i pocałował ją w szyję nad obojczykiem.

– Wierz mi, że mam do ciebie zaufanie.

– Dziękuję, Ross.

Znowu ją pocałował, ona zaś uniosła dłoń i wygładziła mu włosy koło ucha.

– Ciągłe coś do mnie czujesz?

Spojrzał na nią ze zdumieniem, uważnie wpatrując się w jej oczy.

– Wielki Boże, powinnaś to wiedzieć!

– Tak, Ross, ale uczucia bywają różne. Pytam o te prawdziwe.

– Chcesz mnie wciągnąć w filozoficzną dysputę, gdy na dole czeka tłum twoich adoratorów, żeby z tobą flirtować?

– Nie są moimi adoratorami. I nie sądzę, że byłaby to filozoficzna dysputa, jak powiedziałeś. – Oparła dłoń o drzwi.

– Demelzo... – odezwał się Ross.

– Tak?

– Jeśli są różne uczucia, nie sądzę, że można je od siebie oddzielić, bo są ze sobą na zawsze związane. Powinnaś wiedzieć, że cię kocham. O jakie inne deklaracje prosisz?

Uśmiech Demelzy był lekko ironiczny, lecz pojawiło się w nim ciepło.

– Chciałam tylko to usłyszeć.

– Więc usłyszałaś. Czy to takie ważne?

– Tak, bardzo ważne.

– Zapamiętam, by w przyszłości powtarzać te słowa w środy i soboty.

– Niedziela to lepszy dzień. Takie słowa będą dobrze brzmiały w niedzielę.

Zeszli na dół w radosnych nastrojach i spotkali wszystkich swoich sąsiadów: młodszych Treneglosów, Bodruganów, doktora Choake'a z żoną oraz oczywiście Penvenenów.

I George'a Warleggana.

Trevaunance'owie popełnili ogromny błąd, zapraszając Warleggana i Rossa na to samo przyjęcie, ale skoro tak się stało, należało się z tym pogodzić. Ich zeszłoroczna bójka, wyolbrzymiana w plotkach, nabrała z czasem morderczych rozmiarów. Obecność na balu dwóch śmiertelnych wrogów dodawała pikanterii spotkaniu ludzi, których nie obchodził ostateczny rezultat współzawodnictwa.

Jednak George nie prowokował Rossa i przez pewien czas unikał wszelkiego kontaktu z Poldarkami. Człowiek zrzucony ze schodów może nienawidzić przeciwnika, lecz z pewnością czuje respekt dla jego siły fizycznej.

Podczas obiadu Ross zajmował miejsce w pobliżu szczytu stołu. Po jego prawej stronie siedziała lady Constance Bodrugan, po lewej Elizabeth, a naprzeciwko – Caroline Penvenen.

Tak wiele słyszał o Caroline, że byłoby dziwne, gdyby pasowała do jego wyobrażeń. Uznał, że nie jest tak piękna jak Elizabeth ani tak czarująca jak



Demelza, ale natychmiast przykuwała uwagę. Była pełna życia, miała czyste spojrzenie i odznaczała się inteligencją. Szmaragdy noszone na mlecznobiałej szyi doskonale do niej pasowały: zmieniały wygląd w zależności od oświetlenia, czasem były chłodne i niezgłębione, a kiedy indziej migotliwe i błyszczące. Ross doskonale rozumiał uczucia Unwina Trevaunance'a, gdyż zawsze zakładał, że nie interesuje się on tylko majątkiem Caroline. Zastanawiał się, jak wyglądają ich relacje, ponieważ tego wieczoru wydawały się napięte. Caroline odnosiła się do Unwina z chłodną grzecznością, lecz można było sobie wyobrazić, że po ślubie wszystko się zmieni. Duża głowa i wysunięta do przodu dolna warga Unwina świadczyły o silnym charakterze.

Ledwo zajęli miejsca przy stole, sir John powiedział:

– Znasz pannę Penvenen, Ross? Caroline, to kapitan Poldark.

Ross popatrzył w inteligentne szarozielone oczy, a Caroline skłoniła głowę na znak powitania.

– Spotykamy się po raz pierwszy na gruncie towarzyskim, ale widziałam już wcześniej kapitana Poldarka. W nieco szczególnych okolicznościach.

– Kiedy? – spytał Ross.

– Och, na pewno mnie pan nie zauważył. W czasie rozprawy sądowej w Bodmin, gdy oskarżono pana o splądrowanie dwóch statków. Byłam wśród publiczności.

– Doskonale pamiętam – odparł Ross. – Słowo „publiczność” sugeruje rozrywkę. Moim zdaniem nie była ona zbyt dobra.

– Znam gorsze rozrywki. Widzi pan, w teatrze zawsze wiadomo, że cnota w końcu zatriumfuje, ale w prawdziwym życiu człowiek czuje lęk, że zwycięży niesprawiedliwość. Ostateczny rezultat jest niepewny.

– Chyba uczestniczyła pani w niewłaściwym procesie, panno Penvenen. W mojej sprawie trudno dostrzec cnotę, a uniewinnienie było co najwyżej triumfem głupoty przysięgłych. Powinna pani współczuć sędziemu.

Oczy Caroline rozbliły.

– Och, bardzo mu współczułam, zapewniam pana. Zauważyłam, jaki był zasmucony, kiedy okazało się, że nie może pana ukarać.

W pierwszej części obiadu Ross rozmawiał z Elizabeth. Sprawiało to obojgu przyjemność, co zwróciło uwagę Demelzy siedzącej na końcu stołu między sir Hugh Bodruganem, który zawsze starał się dotrzymywać jej towarzystwa, a kapitanem McNeilem z regimentu Scots Greys. McNeil przebywał kilka lat wcześniej w tej okolicy wraz z kompanią dragonów, by tłumić zamieszki górników i walczyć z przemytnikami.

Chociaż inne osoby mogły mieć różne odczucia na temat układu miejsc przy stole, Malcolm McNeil się nie skarżył. Żałował tylko, że sir Hugh Bodrugan jest taki zaborczy. Kapitan kilkakrotnie próbował zwrócić uwagę pani Poldark, jednak

kudłaty baronet nieustannie go uprzedzał. Pierwsza dobra okazja nadarzyła się w chwili, gdy sir Hugh musiał ukroić kawałek pieczeni dla pani Frensham, siostry sir Johna. McNeil natychmiast spytał Demelzę, czy również mógłby zrobić dla niej to samo.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała Demelza. – Jestem bardzo zaskoczona, że pana spotykam, kapitanie. Myślałam, że wrócił pan do Szkocji.

– Och, przez pewien czas przebywałem w Szkocji – odparł McNeil, kierując w jej stronę twarz z wielkimi wąsami i patrząc na nią z podziwem. – I za granicą. A poza tym w Londynie i Windsorze. Ale mam sentyment do Kornwalii i części jej mieszkańców, więc kiedy była okazja znowu tu przyjechać...

– Z dragonami?

– Tym razem bez dragonów.

– Bez ani jednego?

– Jestem sam, pani Poldark. Przykro mi, że muszę panią rozczarować. Nabawiłem się febry, a później spotkałem w Londynie sir Johna, który zaproponował, bym spędził w Kornwalii urlop zdrowotny.

Demelza zerknęła z sympatią na McNeila.

– Nie wygląda pan na chorego, kapitanie.

– I w tej chwili nie jestem chory, pani. Proszę pozwolić dolać sobie wina. Pije pani maderę?

– Nie jestem pewna. Słabo znam gatunki win.

– To chyba madera. Podziwianie pięknych kornwalijskich wybrzeży dostarczyło mi wielu przyjemności i przyspieszyło powrót do zdrowia...

– Nie tropi pan przemytników?

– Nie, nie, pani Poldark, nie tym razem. Czyżby ciągle byli tu jacyś przemytnicy? Myślałem, że zlikwidowałem ich co do jednego podczas swojej ostatniej wizyty.

– I tak się stało. Wszyscy byliśmy przygnębieni po pana wyjeździe.

Szkot popatrzył na Demelzę z błyskiem w oku.

– Tę uwagę można interpretować na różne sposoby.

Demelza spojrzała nad stołem i zobaczyła Rossa uśmiechającego się do Elizabeth.

– Nie przypuszczałam, że może mnie pan uważać za przemytniczkę, kapitanie.

Śmiech McNeila, w jego mniemaniu powściągliwy, sprawił, że pozostali goście siedzący przy stole na moment umilkli.

– Jeśli ta zabawna anegdotka nadaje się do powtórzenia, myślę, że wszyscy powinniśmy ją usłyszeć – rzekła z uśmiechem pani Frensham.

– Och, nie był to wcale żart, pani – odparła Demelza. – Kapitan McNeil zapewniał mnie, że tym razem nie przyjechał do Kornwalii łapać przemytników,

a ja odpowiedziałam, że nie wiem, co jeszcze można łapać w tych stronach.

– Do kata, przedni żart! – zahuczał sir Hugh Bodrugan.

– Kapitan McNeil powraca do zdrowia – odezwała się pani Frensham. – Zapewnia mnie, że przybył do nas w całkiem niewinnym celu. Inaczej powinniśmy go zamknąć w pokoju i trzymać pod strażą.

– Uważam, że powinna to pani natychmiast zrobić – rzekła Demelza, a sir Hugh i kapitan znów się roześmiali.

Po drugiej stronie stołu sir John Trevaunance wygłosił pogardliwą uwagę na temat młodego Dwighta Enysa w dość oczywistym celu. Tego ranka zmarł Ellery i sir John uważał, że należałoby przeprowadzić śledztwo w sprawie tego skandalicznego wydarzenia. Ellery, zdrowy, krzepki mężczyzna w wieku sześćdziesięciu lat... Enys tak głęboko grzebał mu w szczęce, że rana nigdy się nie zagoiła. Doktor Choake, stary przyjaciel sir Johna, popierał jego stanowisko. Ignorancja i partactwo. Ale okazało się, że sir John popełnił błąd, bo Caroline szybko stanęła w obronie doktora Enysa i znalazła sprzymierzeńca w osobie Rossa Poldarka. W ten sposób baronet, ku swojej irytacji, podzielanej przez Unwina, został wzięty w dwa ognie. Z początku Caroline wydała się Rossowi zuchwałą dziewczyną, ale teraz stali się sojusznikami. Pod koniec dyskusji Ross zauważył, że Caroline spojrzała na niego z aprobatą.

– Jest śliczna, prawda? – odezwała się półgłosem Elizabeth do Rossa.

– Tak, uderzająco piękna. Uroda to źródło smaku.

– Jak sądzisz, czy to prawda, że jeśli nie podziwiamy czegoś oczami, nie możemy naprawdę pożądać tego w głębi serca?

– Och, niewątpliwie. Czy znasz jakiś przykład, który mógłby obalić to twierdzenie? Tak właśnie było ze mną. Powinnaś o tym wiedzieć.

– Znam cię bardzo słabo, Ross. Ile razy się spotkaliśmy w ciągu pięciu lat? Kilkanaście?

Ross milczał.

– Nie myślałem o ostatnich pięciu latach. Ale może masz rację. Jestem skłonny się zgodzić, że ja również słabo cię znam. I bardzo się zmieniłaś z charakteru.

– Doprawdy? Powiedz mi, w czym się najbardziej pogorszyłam.

– Prosisz o zapewnienie, że w niczym, prawda? Mogę ci go udzielić. Stałaś się inną Elizabeth, to wszystko. Nie ma żadnej zmiany na gorsze, ale czasem mnie zaskakujesz. Teraz rozumiem, jaka byłaś młoda, gdy obiecałaś za mnie wyjść.

Elizabeth wyciągnęła rękę w stronę kieliszka i objęła palcami jego nóżkę.

– Byłam już na tyle dojrzała, że powinnam wiedzieć, czego chcę.

Zaskoczył go sposób, w jaki to powiedziała. W jej głosie zabrzmiał cień pogardy dla samej siebie. Nagle przestali prowadzić uprzejmą konwersację na pograniczu flirtu.

Popatrzył na nią, próbując zrozumieć znaczenie jej słów, po czym powiedział ostrożnie, by mogła się łatwo wycofać:

– Cóż, możemy się zgodzić, że byłaś młoda... A potem myślałaś, że nie żyję.

Elizabeth zerknęła nad stołem na Francisa rozmawiającego z Ruth Treneglos. Może ona również była zaskoczona własnymi emocjami? A może doszła do wniosku, że zbyt często się wycofywała? Idealnie chłodnym, młodzieńczym głosem powiedziała:

– Nigdy naprawdę nie wierzyłam w twoją śmierć. Myślałam, że bardziej kocham Francisa.

– Myślałaś, że go kochasz...

Skinęła głową.

– A później odkryłam swój błąd.

– Kiedy?

– Bardzo szybko.

Racjonalny umysł Rossa w dalszym ciągu odmawiał przyjęcia do wiadomości znaczenia tej niespodziewanej rozmowy, ale czuł szybkie bicie serca, jakby zrozumienie docierało do niego inną drogą. Dwudziestu kilku ludzi siedzących przy stole, żona rozmawiająca z oficerem kawalerii z sumiastymi wąsami, po drugiej stronie sir Hugh próbujący zwrócić uwagę Demelzy, George Warleggan, najczęściej milczący i spięty, odrywający czasem wzrok od jedzenia i rozmówców, by zerknąć na włosy, usta lub ręce Elizabeth. Niewiarygodne, że Elizabeth wybrała ten moment na takie zwierzenie, po dziewięciu latach. Niewiarygodne, że może to być prawda...

– Te przekłete kundły, które włóczą się po okolicy, krzyżują się z rasowymi psami, co bardzo utrudnia hodowlę – odezwała się z pasją lady Bodrugan. – Masz szczęście, John, że zajmujesz się tylko bydłem. Jakiej rasy jest pani piesek, panienko?

– To mops – odpowiedziała Caroline. – Ma piękną, czarną, kręconą sierść i maleńki złotobrazowy pyszczek. Unwin darzy go wyjątkowym szacunkiem i sympatią, prawda, mój drogi?

– Szacunkiem, tak – odparł Unwin. – Ma diabelnie ostre zęby.

– Czy to jakiś miły żart z twojej strony? – zwrócił się Ross do Elizabeth.

Elizabeth uśmiechnęła się olśniewająco, choć z lekkim smutkiem.

– Owszem, żart. Ale skierowany przeciwko mnie, Ross. Nie wiedziałeś? Dziwne, że nigdy się nie domyśliłeś.

– Domyśliłeś...

– Cóż, jeśli się nie domyśliłeś, postąpiłbyś bardziej galanteryjnie, gdybyś zrewanżował się czymś za to bezwstydne wyznanie. Czy to takie dziwne, że kobieta, która zmieniła zdanie, może znów je zmienić? Cóż, owszem, może dziwne, bo zawsze było to dla mnie zdumiewające i upokarzające...

Ross milczał przez dłuższą chwilę, po czym odrzekł:

– Kiedy odwiedziłem cię podczas Wielkanocy, po twoim ślubie, powiedziałaś mi jasno, że kochasz Francisca i że nie myślisz o nikim innym.

– Co miałam wtedy powiedzieć? Minęło zaledwie kilka miesięcy i byłam już w ciąży.

Przed Rossem postawiono nowy talerz z kolejną potrawą. Jakikolwiek był cel przyjęcia, sir John nie żałował trunków i przy stole rozmawiano głośniejszym niż poprzednio. Mimo to Ross musiał się zmagać ze sobą, by nie wstać i wyjść. To, że Elizabeth wybrała tę chwilę... Chyba że obecność innych ludzi dodała jej odwagi, aby powiedzieć mu wprost coś, o czym od dawna chciała go poinformować. Kilka minut wcześniej nie dostrzegał żadnego sensu w jej słowach, lecz teraz wydawały mu się rozsądne. Z każdą upływającą sekundą coraz lepiej rozumiał ostatnie dziewięć lat.

– A Francis? – spytał. – Wie?

– I tak już za dużo powiedziałam, Ross. Mój język... Nagły impuls, najlepiej o tym zapomnijmy. A nawet jeśli nie zapomnimy, to nie zwracajmy na to uwagi. O czym rozmawialiśmy poprzednio?

Trzy miejsca dalej siedział Francis, którego nieco łobuzerska twarz zbyt wcześnie straciła młodzieńcze rysy. Zerknął na Rossa, uniósł brew i mrugnął, jakby czytał w jego myślach.

Francis wiedział. Ross właśnie to zrozumiał. Francis wiedział od tak długiego czasu, że gniew i rozgoryczenie należały już do przeszłości. Zazdrość Francisca się wyczerpała, może miłość również, toteż widok Rossa rozmawiającego z Elizabeth nie sprawiał mu przykrości. Jego młodzieńcza kłótniowość i zagadkowe zachowanie się wyjaśniły. Wszystko minęło, stało się częścią epoki, którą najlepiej zapomnieć w nowej epoce tolerancji i dobrej woli.

Ross pomyślał, że może właśnie dlatego Elizabeth zdecydowała się wszystko powiedzieć. Jej uczucia wygasły i uważała, że podobnie jest w przypadku Rossa, postanowiła się wytłumaczyć, przeprosiła za przeszłość, ofiarowała coś, co mu się należało, gdyż wyznanie nie niesło dla nich żadnego niebezpieczeństwa.

Elizabeth odwróciła się, by odpowiedzieć na pytanie mężczyzny siedzącego po drugiej stronie stołu, i Ross zobaczył jej twarz dopiero po chwili. Nawet wtedy nie spojrzała mu w oczy, ale natychmiast zorientował się po jej minie – jeśli nie wiedział tego przez cały czas – że dla niej sprawa ta nie jest bynajmniej zakończona i że Elizabeth uważa, iż nie jest zakończona również dla niego.

Kiedy damy wyszły, panowie spędzili pół godziny nad kieliszkami porto, a później wszyscy znowu się spotkali, by wypić herbatę i kawę.

Ross ponownie nawiązał rozmowę z Caroline Penvenen. Mijał niewielki salonik, gdy usłyszał gniewne słowa i poznał głos Unwina Trevaunance'a. Przeszedł kilka kroków, kiedy rozległo się trzaśnięcie drzwiami i ktoś dogonił go

pośpiesznie przy wejściu do głównego salonu. Odsunął się, by przepuścić Caroline. Uśmiechnęła się do niego, nieco zdyszana. Jej oczy ciągle błyszczały od emocji.

– Czy mogłabym zająć panu jeszcze chwilę? – spytała Rossa, który właśnie zamierzał odejść.

– Jak długo pani sobie życzy.

Stała obok niego, obserwując zmrużonymi oczyma uczestników przyjęcia. Widział, jaka jest wysoka i pełna wdzięku.

– Cieszę się, że jest pan lojalny wobec swoich przyjaciół, kapitanie Poldark.

– Lojalny? Mam nadzieję. Czy ma pani na myśli...

– Mam na myśli doktora Enysa. Muszę panu powiedzieć, że gdy go poznałam, zachował się wobec pana bardzo lojalnie.

– Kiedy go pani poznała?

– W czasie procesu, oczywiście. Bronił pana z wielką pasją.

W normalnych okolicznościach ludzie niechętnie rozmawiali z Rossem na temat rozprawy sądowej. Nie był człowiekiem, który zachęcał do poufałości. Ale Caroline się nie wahała. Albo niczego nie rozumiała i była kompletnie niewrażliwa, albo miała własną teorię na temat uczciwości i nie uznawała istnienia tematów tabu. Ponieważ mówiła przyjaznym tonem, Ross przyjął, że chodzi o drugą możliwość.

– Czy powinienem przypuszczać, że skłoniła go pani do wystąpienia w mojej obronie?

– O tak, oczywiście. Jeśli chce się poznać prawdziwe uczucia mężczyzny, zawsze najlepiej go sprowokować.

– Czy teraz również stosuje pani podobną taktykę, panno Penvenen?

Uśmiechnęła się uroczo.

– Byłaby to zarozumiałość z mojej strony, gdybym wyobrażała sobie, że to możliwe.

– Spędzi pani lato u stryja?

– To zależy. W październiku skończę dwadzieścia jeden lat i stanę się panią samej siebie. Bardzo długo na to czekam.

– Może wcześniej wyjdzie pani za mąż?

– Miałabym zamienić jednego opiekuna na innego?

– Pod warunkiem że traktuje pani męża jako opiekuna.

– Nigdy nie miałam męża, więc trudno mi coś powiedzieć na ten temat. Chociaż widziałam tyle par małżeńskich, że nie powinnam tego uważać za niepochlebny opis.

– Wydaje się niepochlebny dla pani stryja.

Caroline się roześmiała.

– Dlaczego? Opiekuje się mną, przecież na tym polega rola opiekuna. W oknach nie było żelaznych krat: jedynie niewidzialne kraty konwenansów

i dobrego wychowania. Ale wydaje mi się, że teraz przez pewien czas będę miała ochotę korzystać z wolności.

Nagle minął ich Unwin. Miał gniewny wyraz twarzy. Caroline rozmawiała z Rossem na oczach narzeczonego. Ross zdał sobie sprawę, że jest wykorzystywany, lecz wspinałomyślnie to przyjął. Jednocześnie przyszło mu do głowy, iż trudno liczyć na szybkie małżeństwo tej pary.

W końcu Unwin zniknął i nie pokazał się więcej. Grano w karty do północy, sprzeczka narzeczonych sprawiła, że Ray Penvenen miał kwaśną minę, co zepsuło gościom nastrój na resztę wieczoru.

Kiedy przyjęcie zbliżało się do końca, George Warleggan na pewien czas znalazł się sam na sam z Francisem i natychmiast skorzystał z okazji, by z nim porozmawiać.

– Dobry wieczór. Cieszę się, że cię widzę po tak długiej przerwie.

Francis popatrzył na Warleggana.

– Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć tego samego, George.

– Jeśli to prawda, mnie również jest przykro. Nie musi tak być.

– Mamy różne poglądy na tę kwestię. Dokonałem wyboru dawno temu.

Wolę mieć czyste ręce.

Twarz George'a pociemniała.

– Próżna złośliwość... Nie spodziewam się rozsądku po twoim kuzynie, ale...

– Jeśli uważasz to za rozsądek, nie spodziewaj się go również po mnie.

Jeżeli George miał nadzieję na ponowne nawiązanie normalnych stosunków z Francisem, teraz ją stracił. Odwrócił się i zobaczył przed sobą Rossa.

Przez chwilę panowało milczenie. Kilku gości obserwujących Warleggana i Poldarka liczyło na to, że zaraz dojdzie do bójkii. Zbliżyli się, by usłyszeć słowa, po których się zacznie.

Ross popatrzył na bankiera.

– Dobry wieczór, George.

Przez groźne oblicze Warleggana przebiegł nerwowy skurcz.

– Ach, Ross! Cóż za spotkanie!

– Musimy kiedyś zjeść razem kolację.

– Nie mogę się doczekać tej chwili... Mam nadzieję, że twoja kopalnia przynosi zyski?

– Będzie je przynosić.

– Chciałbym być takim optymistą jak ty.

– Musisz mi zazdrościć nawet kopalni? – spytał Ross.

George oblał się rumieńcem i otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz Ross odszedł. Ale krótka wymiana zdań wpłynęła na sytuację utrzymującą się od kilku lat. Teraz Warleggan wreszcie ustawił Rossa tam, gdzie chciał. Musiał tylko znieść

w milczeniu zniewagi, by zatriumfować.

Ross i Demelza wrócili do domu. Przez pewien czas w drodze towarzyszyli im Francis i Elizabeth. Na niebie wschodził księżyc w ostatniej kwadrze, zalewając okolicę srebrzystym światłem, które wydobywało z mroku krople rosy na polach i pajęczyny na żywopłotach. Czworo jeźdźców prawie ze sobą nie rozmawiało. Elizabeth była podekscytowana tym, co powiedziała, i nerwowo zastanawiała się, co z tego wyniknie, bo nigdy nie potrafiła przewidzieć, co zrobi Ross. Francis był senny. Natomiast Ross, pogrążony w myślach o przeszłości i zastanawiający się, co przyniesie przyszłość, czuł dziwny dystans do całej sytuacji, choć stale zerkał na jadącą przed nim na koniu Elizabeth, przyczynę owego zamieszania.

Demelza, obdarzona zwierzęcym instynktem, natychmiast zauważyła, że w życiu Rossa pojawiło się coś nowego. Czowała, że ma to związek z Elizabeth, lecz nie wiedziała, jakie nowe owoce mogła wydać dawna miłość. „Mam nadzieję, że będę mógł pani służyć”, powiedział kapitan McNeil, spoglądając z podziwem na Demelzę. Malcolm McNeil był dla Demelzy pierwszym mężczyzną, który w jakiś sposób wytrzymywał porównanie z Rossem. „Wkrótce ja też wydam bal, moja droga” – rzekł sir Hugh Bodrugan, dotykając ramienia Demelzy.

Tuż przed pożegnaniem Francis spytał:

- Czy to prawda, że przemytnicy odbyli jeszcze jeden udany rejs?
- Owszem – odparł Ross. – Tak przynajmniej słyszałem.
- Vercoe i jego celnicy będą niezadowoleni.
- Niewątpliwie.
- Słyszałem plotki. Nie pamiętam już gdzie, ale krążą plotki, że ty również zajmujesz się przemytem.

Zapadła cisza. Demelza mocniej ściągnęła wodze konia, który z niezadowoleniem potrząsnął łbem.

- Gdzie to słyszałeś? – spytał Ross.
- Czy to ważne? Było to jakiś czas temu i, zdaje się, chodziło o ładunek z marca.

– Zawsze krążą o nas jakieś głupie plotki, Francisie.

Kolejna chwila milczenia.

- Cóż, cieszę się, że to nieprawda.
- Cieszysz się? Nie wiedziałem, że darzysz specjalną sympatią celników.
- Nie darzę, Ross. Ale darzę sympatią ciebie. I nie podoba mi się, że w okolicy jest donosiciel, szpieg, kapuś. Wszyscy wiedzą o jego istnieniu, ale nikt nie wie, kto to taki. Gdyby go zdemaskowano, szybko źle by skończył. Skoro jednak dalej donosi, niebezpieczeństwo jest podwójne. Oczywiście, gdybym był Trencromem, z dużymi pieniędzmi zainwestowanymi w szmugiel, kontaktami i sporym kutrem, który trzeba utrzymać, chyba działałbym dalej, pokładając ufność w Bogu. Nie miałbym wyboru. Natomiast ubogi ziemianin pragnący zarobić



dodatkowe pieniądze albo górnik lub kowal zajmujący się przemytem na boku powinien w tej chwili trzymać się od tego z dala. Takie jest moje zdanie.

Była to długa przemowa jak na Francisa. Kiedy skończył ją wygłaszać, dotarli do rozwidlenia dróg. Czworo jeźdźców się zatrzymało.

– Moim zdaniem najlepiej by było, gdybyś zaprzeczył tym plotkom, jeśli je znowu usłyszysz.

– Zrobię to. O tak, zrobię. Cóż, życzę wam obojgu dobrej nocy.

– Jeśli chodzi o przemyt, można w nim uczestniczyć na wiele sposobów, na przykład udzielając różnego rodzaju pomocy. Nie zawsze chodzi o dobijanie łodzią do brzegu lub odbieranie ładunku.

– Wszystko może być niebezpieczne, jeśli w okolicy jest szpieg.

– Gdybym był ubogim ziemianinem pragnącym zarobić kilka groszy, mógłbym się z tobą zgodzić. Ale w pewnych okolicznościach ryzyko może być usprawiedliwione ze względu na zyski.

– Chyba wolę więcej nie wiedzieć. Chciałem przekazać ci przyjacielskie ostrzeżenie, a nie wyciągać od ciebie tajemnice.

– Zdaje się, że już znasz moją tajemnicę. Powinieneś poznać również szczegóły. Jakiś czas temu złożył mi wizytę Trencrom. Wpadł w kłopoty, ponieważ szpieg uniemożliwił mu wyładunek towarów w zwykłych miejscach. Spytał, czy może wykorzystać zatokę Nampara. W owym czasie Warlegganowie za wszelką cenę próbowali zdobyć przyczółek w mojej drugiej kopalni, Wheal Leisure. Zgodziłem się na propozycję Trencroma, który korzysta z mojej zatoki i posiadłości, ale tylko dwa razy do roku. Płaci dwieście funtów za każdy transport.

Francis gwizdnął.

– Ładna sumka. Każdy mógłby się skusić. Gdyby nie niebezpieczeństwo, sam chętnie bym się zgodził.

– Gdyby nie niebezpieczeństwo, nigdy bym tyle nie dostał.

– Tak... Tak, rozumiem. Ale te pieniądze... Chodzi o to, by Wheal Grace działała dłużej, niż planowaliśmy? Skoro tak...

– Mam długi – rzekł krótko Ross. – Jeden z nich jest bardzo wysoko oprocentowany. Pieniądze od Trencroma pozwalają mi przeżyć. Bez nich nigdy nie otworzylibyśmy kopalni.

– Powinieneś być mi powiedzieć.

– Co?

– Że masz długi. Pieniądze zainwestowane w Wheal Grace można było lepiej wykorzystać.

– Jeśli Wheal Grace zbankrutuje, będzie to znaczyło, że powinienem być zainwestować w jakieś inne przedsięwzięcie. Nigdy nie spłaciłbym tymi pieniędzmi swoich długów.

Francis popatrzył na twarz brata stryjecznego, oświetloną przez wschodzący

księżyc. Chciał wyjaśnić ten aspekt ich stosunków, lecz kryło się w nim zbyt wiele pułapek. To, że znów stali się przyjaciółmi i współnikami, znaczyło dla niego zbyt wiele, by zadawać teraz niemądre, niebezpieczne pytania.

Gdy zostali sami, Demelza powiedziała:

– Ciekawe, od kogo się dowiedział.

– O przemyście? To musiało się rozejść. Kiedy wie o tym dwudziestu lub trzydziestu ludzi... – I dodał, jakby czytając w jej myślach: – Och, wiem, co zawsze mówiłaś. Ale to uzasadnione ryzyko. Wszystko jest w porządku, dopóki celnicy nie znają daty wyładunku. Nie mogą czatować na brzegu każdej nocy.

– Wolalabym chodzić boso.

– Nie ma takiego niebezpieczeństwa.

– Są gorsze niebezpieczeństwa.

– Nie podzielam tego poglądu.

– Nie żartuj, Ross. Nie ma z czego żartować. W ostatnich latach miałeś za dużo kłopotów z prawem.

Zjeżdżali w dolinę. Po drugiej stronie sapała nowa maszyna parowa Wheal Grace, wypompowując wodę z głębi ziemi.

– Podobał ci się bal? – spytał Ross, chcąc zmienić temat. – Spełnił twoje oczekiwania?

– Tak, było bardzo przyjemnie. Chociaż na początku się rozstaliśmy, a na końcu byliśmy prawie jak obcy ludzie. Chyba można to tak określić.

– Taka jest dziś moda w towarzystwie. Ale zauważyłem, że kapitan McNeil bardzo ci nadskakiwał.

– Tak, rzeczywiście. Jest bardzo grzeczny, kulturalny. W przyszłym tygodniu zamierza nas odwiedzić.

– Hm, to normalne. Wystarczy, że kiwniesz palcem, a wszyscy zaraz przybiegają.

– Masz wyjątkowo kąśliwy język i skłonność do przesady, Ross. Czasami się zastanawiam, dlaczego ci nie odpadnie. A Caroline Penvenen?

– Caroline?

– Tak, kilka razy z nią rozmawiałeś. Co o niej sądzisz? Postawiła cię do kąta i nie pozwoliła otworzyć ust, prawda?

Ross zastanawiał się przez chwilę.

– Nie postawiła mnie do żadnego kąta, w którym nie chciałbym się znaleźć – odpowiedział. – Ale jestem pewien, że nie byłaby dobrą żoną dla Dwighta. Wycierałaby sobie nim buty.

## *Rozdział czwarty*

Śmierć Ellery'ego miała wielkie znaczenie dla Dwighta. Chirurg i lekarz mógł pracować w ubogiej, prymitywnej społeczności tylko wtedy, gdy cieszył się zaufaniem pacjentów. Bez tego podstawowego warunku miał szczęście, jeśli ktokolwiek się do niego zgłaszał. W ciągu dwóch tygodni ponad połowa pacjentów Dwighta przestała do niego przychodzić lub nie chciała słuchać jego rad, gdy ich odwiedzał.

Nigdy nie jeździł często do St Ann's, lecz miał tam kilku wiernych pacjentów. Jedną z pacjentek, pani Vercoe, żona szefa celników, płaciła mu nawet honoraria: w zimie wyleczył jej najmłodsze dziecko. Dzień po przyjęciu, na które go nie zaproszono, Dwight złożył im wizytę i zauważył, że Vercoe żegna się przy drzwiach swojej pobielanej chaty z wysokim jasnowłosym mężczyzną z pięknymi wąsami kawalerzysty. Nieznajomy, choć było oczywiste, że to dżentelmen, nie przyjechał konno. Poszedł pieszo przez pola w stronę ścieżki na klifie.

W chacie powitała Dwighta Clara Vercoe. Powiedziała, że Hubert nie czuje się zbyt dobrze – wymiotował po ostatniej dawce lekarstwa i przestała mu je podawać. Hubert, blady i wycieńczony, stanął w świetle słońca wpadającym przez drzwi i Dwight obejrzał go fachowym okiem, udając, że podziwia jego książkę z bajkami. Niedawno zaczęto takie wydawać: drukowano je tanio w Plymouth na arkuszach sztywnego papieru, w cienkich tekturowych okładkach z drewnianymi grzbietami. W środku znajdowały się kolorowanki. Pierwszy rysunek w książce Huberta przedstawiał anioła. Chłopiec pokolorował jego skrzydła na czerwono.

Dwight zastanawiał się, czy to, co powiedziała pani Vercoe, jest kolejnym echem sprawy Ellery'ego i kobieta sądzi, że jego lekarstwo wywołało dolegliwości żołądkowe. Powiedział, że je zmieni, i nalał trochę tynktury do kubka, by sprawdzić smak.

Kiedy się tym zajmował, do domu wrócił po lunetę Jim Vercoe. Dwight spojrzął tam, gdzie mężczyzna ją wycelował, w stronę żagla na horyzoncie.

Celnika nie można było nie podziwiać – z determinacją wykonywał swoje obowiązki mimo oferowanych mu łapówek, pojawiających się gróźb i powszechnego ostracyzmu. Nieprzyjemności, jakie go spotykały, pozostawiły ślady na jego brodatej twarzy. Dwight bardziej by go podziwiał, gdyby nie to, że Vercoe wydawał się czerpać ponurą satysfakcję z niechęci, jaką budził wśród okolicznych mieszkańców.

- Niebo jest dziś bardzo czyste – zauważył, gdy celnik opuścił lunetę.
- Jak kryształ, doktorze. Przed zmrokiem spadnie trochę deszczu.
- Przez cały tydzień czekamy na kuter służby celnej – powiedziała pani Vercoe i skinęła głową. – Jim nie może się o niego doprosić.

– Niedługo rozejdzie się to po wiosce – rzucił z irytacją Vercoe. – Kobiety lubią głądzić o rzeczach, które nie powinny ich obchodzić.

– Ach, doktor Enys nic nie powie, prawda, doktorze?

– Tak samo, jak nic bym nie powiedział, gdybym zobaczył człowieka dźwigającego baryłkę brandy.

Vercoe przez chwilę spoglądał z niechęcią na Dwighta. Lekarz, człowiek o wysokiej pozycji społecznej, nie powinien zachowywać tak daleko idącej neutralności.

– Trudno dobrze wykonywać obowiązki, gdy wszyscy ziemianie są przeciwko nam, doktorze. Na wybrzeżu brakuje miejsc, gdzie statek służby celnej mógłby bezpiecznie zakotwiczyć przy złej pogodzie. Wtedy po prostu nie da się tu pływać. W razie sztormu nawet Padstow nie jest bezpieczne. I nie można obserwować morza z Mount's Bay!

– Myślałem, że obie strony mają kłopoty z tego powodu. Wysoka fala, która utrudnia pływanie kutrowi straży przybrzeżnej, uniemożliwia przemytnikom wyładunek towarów.

– Ach, to nie takie proste. Przemytnicy są gotowi na większe ryzyko, a poza tym znają tu każdy kamień i każdy prąd. Przede wszystkim potrzebuję więcej ludzi na brzegu. Trudno obstawić taki szmat plaży. A najgorsza ze wszystkiego jest świadomość, że nawet jeśli schwytałyśmy przemytników, miejscowi sędziowie ich uniewinnią i wypuszczą na wolność.

– Wiem, że to trudne, ale moim zdaniem nie wszyscy ziemianie są przeciwko wam. A nawet nie wszyscy okoliczni mieszkańcy. Rozumiem, że macie informatorów, ludzi na wagę, cóż, złota.

Na twarzy celnika pojawił się ciemny, gniewny rumieniec.

– Mamy kłopoty, więc stosujemy takie metody. Skoro nie pomagają nam uczciwi ludzie, musimy korzystać z pomocy szczurów.

Kilka minut później Dwight dotarł do głównej drogi wioski i zsiadł z konia obok niewielkiej apteki, gdzie przygotowywano dla niego lekarstwa. Pochylony wszedł do środka i czekał wśród kolorowych buteleczek, wiązek barwionej słomy do wyplatania kapeluszy i wielkich pojemników z herbatą, aż wreszcie pojawił się Irby, aptekarz, który z trudem wygramolił się z lochu, gdzie przygotowywał specyfiki. Irby był niskim, grubym człowieczkiem o perkatym nosie, w stalowych okularach. Ich soczewki były nie większe od ukrytych za nimi chytrych oczek.

Na początku Dwight miłym tonem poprosił aptekarza, by obejrzał sporządzone przez siebie lekarstwo, sprawdził smak tynktury i zwrócił uwagę na osad na dnie buteleczki. Irby był wylewny, gotowy spełnić wszelkie życzenia gościa, lecz zdumiony: naturalnie, że musi pojawić się osad, składniki przepisane przez Dwighta nie chcą się mieszać i powstaje osad. Dwight grzecznie go poprawił. W przypadku czystych składników jest to niemożliwe i tak dalej, i tak dalej. W tym

momencie również w rozmowie, w dalszym ciągu grzecznej, pojawił się swego rodzaju osad. Dwight oznajmił, że chciałby obejrzeć składniki, z których sporządzono lekarstwo. Irby zerknął zza okularów i powiedział, że praktykuje w St Ann's od dwudziestu lat i jak dotąd żaden lekarz nie kwestionował jego kompetencji zawodowych. Dwight odparł, że nie wątpi w jego kompetencje zawodowe, gdyż problem sprowadza się jedynie do tego, czy składniki nie są zanieczyszczone. Irby stwierdził, że nigdy nie kupuje tanich specyfików i że nie życzy sobie, by go o to oskarżano. Dwight oświadczył, że z przykrością musi nalegać. Jako lekarz ma ustawowe prawo sprawdzać lekarstwa w zakładach prowadzonych przez aptekarzy i zamierza skorzystać z tego prawa. Zszedł po schodach do lochu wraz z Irby i rozejrzał się w słabym świetle, oglądając sól Glauberską, proszek Dovera, gumigutę, *Nux vomica*, kamforowaną nalewkę z opium i środki na robaki.

Hałaśliwe oznaki irytacji Irby'ego wywabiły jego żonę z jeszcze głębszego lochu znajdującego się za pierwszym, lecz Dwight w dalszym ciągu uważnie oglądał preparaty. Odkrył to, co podejrzewał: tanie substytuty, które oznaczono jako droższe lekarstwa. W dwóch przypadkach do proszków dosypano czegoś, co wyglądało jak mączka kostna albo kreda. Wrzucił wszystkie specyfiki do drewnianego wiadra. Zapelnivszy je, wyszedł z apteki z wiadrem w ręce. Aptekarz dreptał za nim, gniewnie domagając się odszkodowania i sprawiedliwości. Po drodze Dwight zauważył wysoką dziewczynę stojącą w drzwiach sklepu, ale było tak ciemno, że nie zwrócił na nią większej uwagi. Zaniósł wiadro na tyły zabudowań, znalazł najbliższe otwarte szambo, po czym wrzucił do niego lekarstwa. Kiedy wrócił, zorientował się, że owa dziewczyna to Caroline Penvenen.

Po pięciu minutach opuścił aptekę, strzepując biały pył z bryczesów i butów. Irby odprowadził go do drzwi, głośno wzywając Boga, lecz nagle zniknął – wciągnęła go do środka żona, kobieta obdarzona silnym charakterem i rozumem, która nie chciała, by sąsiedzi dowiedzieli się więcej, niż było konieczne.

Dwight zerknął na wspianego kasztanka trzymanego przez masztalerza, lecz się nie zatrzymał. Kiedy dotarł do swojego rumaka, Caroline wyszła ze sklepu.

Zdjął kapelusz, a jego twarz owiał wiatr.

– Ciągłe żyję, doktorze Enys! – rzekła Caroline. – Jakie to zabawne! Miał pan taką minę, jakby na niebie zagrzmiała ostatnia trąba. Prawie myślałam, że to wizja sądu ostatecznego.

Dwight spodziewał się tego spotkania i lekko się go obawiał. Teraz, gdy do niego doszło, przeżył szok. Wróciły wszystkie dawne uczucia. Pełen gniewu, poznał je natychmiast. Prześliczne włosy Caroline rozwiewane przez wiatr były kolejnym afrontem, podobnie jak jej wydatne kobiece usta i roześmiane oczy.

– Zdarzają się chwile, kiedy nie możemy czekać na ostatnią trąbę, musimy oceniać wszystko tu i teraz – powiedział.

Caroline zajęła miejsce w siodle, a zwierzę nerwowo ruszyło po kocich łbach.

– Kto zostanie teraz skarcony? Mogę panu towarzyszyć dla rozrywki?

– Może mi pani towarzyszyć, ale nie mam do zaoferowania żadnych rozrywek. Wracam do domu.

Pokręciła głową.

– Nie docenia się pan, doktorze Enys. Pańskie towarzystwo to dla mnie zawsze rozrywka.

Młody lekarz złożył ukłon.

– Dziękuję, ale mamy różny pogląd na tę sprawę. Do widzenia.

Odjechał, prawie kipiąc z wściekłości. Uważała go za głupca i niewątpliwie miała rację. Jego życie było pełne absurdów, a jej obecność tylko je podkreślała. Chwilę po opuszczeniu St Ann's usłyszał na drodze stukot kopyt. Zrównała się z nim Caroline. Pozostawiła masztalerza z tyłu.

– Spotykamy się po piętnastu miesiącach i nie potrafi pan powiedzieć jednego grzecznego słowa?! – rzuciła gniewnie.

Pomyślał, że to już przesada.

– Jestem staroświecki w kwestiach etykiety, panno Penvenen. Uważam, że grzeczność powinna być okazywana przez obie strony.

– Powinnam wiedzieć, że nie mogę się jej po panu spodziewać.

– Może pani.

– Prawda jest taka, że nie lubi pan, gdy ktoś się z pana wyśmiewa.

– Rzeczywiście.

Milczeli przez pewien czas. Caroline kilkakrotnie obróciła w dłoniach szpicrutę i zerknęła na Dwighta.

– Przepraszam.

Spojrzał na nią zaskoczony, a Caroline natychmiast się roześmiała.

– Cóż, doktorze Enys, nie spodziewał się pan, że to powiem, i trochę pana przestraszyłam. Widzi pan, jak niebezpiecznie jest wydawać pochopne sądy. Myślałam, że pańskie wykształcenie medyczne zabrania zbyt wczesnego stawiania diagnoz.

– Istotnie, symptomy mogły wprowadzić w błąd.

– A teraz, gdy wszystko pan rozumie, czy nie jest pan mi winien przeprosin?

– Tak... Przepraszam.

Pochyliła głowę.

– Sądzi pan, że jeśli okażę stosowną powagę i obiecuję, że nigdy więcej się nie roześmieję, możemy pojechać razem do Trenwith?

– Mieszka pani ze stryjem?

– Tak.

– Podobno Unwin Trevaunance jest w Kornwalii.

– To prawda.

Masztalesz nie pojechał przodem, lecz podążał z tyłu, poza zasięgiem słuchu.

– A jak skorbut w Sawle? – spytała Caroline.

– Nie tak źle jak w zeszłym roku. Zbiory ziemniaków okazały się lepsze i czasami się zastanawiam, czy ziemniaki nie pomagają w powstrzymaniu skorbutu. Ogólnie rzecz biorąc... – Urwał i popatrzył na jej twarz, ale nawet jeśli Caroline z niego szydziła, nie dawała tego po sobie poznać. – Może nie powinienem już nazywać pani panną Penvenen – powiedział po chwili.

– Dlaczego? Och... nie, jeszcze nie jestem mężatką.

– Ślub nastąpi wkrótce?

Zmarszczyła nos.

– Nie wkrótce. A przynajmniej nie z Unwinem. Zerwał ze mną.

– Co takiego?

– Cóż, właściwie nie jestem pewna, kto z kim zerwał. Stryj twierdzi, że to ja. Wpadł w szal, gdy się o tym dowiedział. Mówił, że Unwin tańczył, jak mu zagrałam. Ale, doprawdy, doktorze Enys, nie ma przecież nic złego w tym, jeśli mężczyzna od czasu do czasu zatańczy, prawda? Dlaczego miałabym się sprzedawać Unwinowi, by zostać lady Trevaunance po śmierci sir Johna? Nie nadaję się na żonę posła do Izby Gmin. Nie mam ochoty przeznaczać wszystkich swoich pieniędzy na karierę Unwina. Wolę je wydawać na siebie!

Dwight miał nadzieję, że na jego twarzy nie widać targających nim uczuć.

– Co skłoniło panią do tej nagłej decyzji?

– Och... – W oczach Caroline pojawił się błysk. – Chyba moja pierwsza rozmowa z Rossem Poldarkiem.

– Ross Poldark jest żonaty.

– Tak... i tak się składa, że wczoraj wieczorem bez przerwy wpatrywał się w śliczną jasnowłosą kuzynkę o szarych oczach. To żona jego brata stryjecznego, prawda? Wydaje się, że coś ich łączy.

– Źle to pani zrozumiała. Tak czy inaczej...

– Tak czy inaczej, nie zwracał na mnie uwagi, chciał pan powiedzieć. Całkiem słusznie. Chyba nie miałabym nic przeciwko temu, by kapitan Poldark został moim mężem, ale ktoś mnie uprzedził. Nie... Mam na myśli to, że jeśli ktoś widzi okręt liniowy, trudno mu się zadowolić trzeciorzędnym kutrem. Rozumie mnie pan, drogi doktorze Enys?

– Rozumiem – odparł Dwight, zastanawiając się, jaką kategorię w królewskiej marynarce wojennej przypisano jemu.

– A zatem domyśla się pan, że to bardzo smutna historia – ciągnęła Caroline.

– Młoda kobieta prawie dochodzi do ołtarza i wszystko się kończy. Dziwi się pan, że w każdej chwili może zachorować i opaść z sił?

– Rozumiem, że będzie pani miała teraz więcej czasu – powiedział Dwight.

Zapadło długie milczenie. Wreszcie Caroline spytała poważnie:

– Czuje pan do mnie niechęć, prawda?

Oblał się rumieńcem.

– Rzeczywiście tak pani sądzi?

– Czy kiedykolwiek dał mi pan powód, bym mogła sądzić inaczej?

Minęli już Trenwith i miejsce, gdzie Caroline powinna skręcić do Killewarren. Dwight rzekł nagle:

– Jeśli to, co do pani czuję, jest niechęcią... W ciągu ostatnich piętnastu miesięcy codziennie stawała pani między mną a moją pracą... Jeśli to niechęć... Jeśli nie potrafię zapomnieć pani głosu, sposobu, w jaki pochyła pani szyję, lśnienia pani włosów... Jeśli to niechęć... Jeśli chcę usłyszeć, że wyszła pani za mąż, i czuję trwogę na myśl, że wyszła pani za mąż... Jeśli nie znoszę pani protekcyjnego tonu, który tworzy pozory, że nie jest pani poza moim zasięgiem... – Urwał, nie mogąc skończyć. – Może potrafi pani zidentyfikować dla mnie te objawy?

Jechali w milczeniu, aż wreszcie Caroline ściągnęła wodze.

– Muszę wracać. I tak spóźnię się na obiad. Proszę mi powiedzieć, czy kiedykolwiek jeździ pan konno dla przyjemności?

– Rzadko.

– W czwartek wybiorę się na poranną przejażdżkę. Czy chciałby pan spotkać się ze mną tuż po siódmej przy bramie Killewarren?

Przynajmniej w tej chwili się nie śmiała. Dwight prawie nie mógł uwierzyć, że w dziesięć minut po spotkaniu z Caroline zapomniał o wszystkich swoich postanowieniach, choć ona do niczego go nie zachęcała. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie jest dla niego, bez względu na to, czy plany małżeńskie będą dotyczyły Unwina, czy kogoś innego. Jej stryjowie zadbają, by poślubiła arystokratę lub bogacza. Lekarz bez grosza przy duszy nie mógł nawet marzyć o takiej pannie.

Doganiał ich masztalerz.

– Jeśli pan woli, mogę zachorować. Jak długo rozwija się szkorbut?

– To nieprzyjemna choroba – odparł Dwight, zdejmując kapelusz. – Tak źle wpływa na cerę, że stanowczo ją pani odradzam.

Minął tydzień, nim Malcolm McNeil złożył wizytę w Namparze. Wybrał pogodne letnie popołudnie i celowo nie zapowiedział swoich odwiedzin. Przyszedł pieszo, gdyż chciał odzyskać kondycję przed powrotem do służby. Kiedy schodził w dolinę, zauważył zmiany, które zaszły w ciągu ostatnich trzech lat. Na stoku przeciwległego wzgórza powstała nowa kopalnia, znajdowało się tam skupisko szop, kuźnia, rowy odpływowe, hałdy płonnej skały, słychać było sapanie maszyny parowej wypompowującej wodę spod ziemi. Prace górnicze doprowadziły do zaniedbania upraw i hodowli. Wiele pól leżało odłogiem, niewiele widać było krów



i świń. W kołysce w pobliżu drzwi frontowych spało ciemnowłose dziecko. Służący, który wpuścił McNeila, wprowadził go do salonu. Pokój wydał się oficerowi mniejszy i uboższy niż podczas ostatniej wizyty. Zjawił się mały kociak, który zaczął ocierać się o jego nogi. McNeil wziął go na kolana i dał mu palec do gryzienia.

Demelza pojawiła się po około pięciu minutach. Kiedy weszła, wydawała się nieco zarumieniona.

– Z pewnością przybywam nie w porę, pani – rzekł oficer. – Przechodziłem w pobliżu i postanowiłem złożyć pani wizytę. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu...

– O nie, bynajmniej. Ale Rossa niestety nie ma w domu. Jest w kopalni. Poślę po niego Gimletta.

McNeil gwałtownie zaprotestował, a Demelza pozwoliła się przekonać, wiedząc, że Ross prawdopodobnie jest zajęty pracą – najpewniej przebywa głęboko pod ziemią – i nie chciałby, by mu przeszkadzano. Kapitan usiadł, podkreślił węża i pozwolił kotu zeskoczyć na podniszczony dywan.

Jako Szkot i człowiek, który wiele podróżował, w czasie ostatniej wizyty nie był zachwycony miejscowymi kobietami. Lecz na wieczornym przyjęciu pojawiły się trzy urodziwe damy, a pani Poldark miała w sobie coś szczególnego, co zaciekało oficera. Uważał, że potrafi rozpoznać potencjał ukryty w kobietach; w pięknych oczach pani Poldark często pojawiały się tajemnicze błyski. Lśniły niczym szablą w świetle księżyca.

– Słyszała pani najnowsze wieści o wojnie? – spytał.

– Wieści o wojnie? Nie wiedziałam, że jesteśmy w stanie wojny.

Uśmiechnął się.

– Bo nie jesteśmy, pani. Mam na myśli wojnę Francuzów z Austriakami. Niedawno pojawiły się nowe informacje.

– Dobre czy złe?

– Och, dobre. Bez wątplenia. Podobno Francuzi wpadli jak dzika horda do Belgii, najwyraźniej licząc, że wszyscy uciekną na widok ich nieogolonych mord, ale kiedy spotkali Austriaków, wystarczyła jedna zdyscyplinowana szarża, po czym cała francuska armia zrobiła odwrót i dała drapakę z pola bitwy. A oficerowie i generałowie próbujący zatrzymać żołnierzy zostali zadźgani bagnietami!

– Co to znaczy? Że Francja została pokonana? Ma inne armie?

– Żadnej w polu... Tak to właśnie jest z tymi rewolucjonistami. Zdziwiający, jak ludzie boją się tych bandytów. Zapominają, że kraj staje się słaby, gdy rozluźnia się dyscyplina. Mam nadzieję, że będzie to nauczka dla krzykaczy z Paryża. – Urwał, wysunął do przodu wysoki but i podkreślił węża. – Chociaż jeśli chodzi o mnie...

Demelza czekała.

– Co jeśli chodzi o pana, kapitanie McNeil?

– Cóż, przyznaję, że nie miałbym nic przeciwko temu, by któregoś dnia skrzyżować z nimi szpadę. Nie życzę Anglii wojny, rozumie pani, ale od czasu do czasu odrobina walki przywraca żołnierzowi szacunek do samego siebie.

– Nie uważam za prawdopodobne, by mógł pan stracić szacunek do samego siebie.

– Nie, pani. Ale w okresie pokoju wojsko bywa wysyłane, żeby wykonywać nieprzyjemne, raczej brudne misje, które... – Umilkł, cofnął nogę i spojrzał na Demelzę. Popatrzyła na niego, nie zmieniając wyrazu twarzy. Przełknęła ślinę i dodał: – Przepraszam. Wydawało mi się, że słyszę płacz dziecka.

Wstała, szybko podeszła do okna i wyjrzała.

– Nie, widzę Jeremy’ego. Ciągłe śpi.

– Może to pani córeczka? Teraz ma już na pewno...

– Julia umarła, kapitanie. Przeszło dwa lata temu.

– Och... – Wstał. – Proszę mi wybaczyć, pani. Bardzo przepraszam...

Demelza wróciła.

– Nie ma czego wybaczać. Nie mógł pan wiedzieć. – Stała przez chwilę przy stole dość blisko oficera. – Proszę usiąść.

– Musiał to być ciężki cios. Na pewno w pani życiu pozostało puste miejsce.

– Trudno to wytłumaczyć, to coś więcej niż puste miejsce. Dokonała się w nas przemiana. Od tamtego czasu nic nie jest takie samo. Ci, którzy wyzdrowieli, stali się innymi ludźmi próbującymi prowadzić to samo życie.

McNeil stał i patrzył na Demelzę. Przeklinał się za to, że poruszył niewłaściwy temat. Jednak wyczuwał w jej słowach domieszkę czegoś innego niż smutek. Nie wydawała się niezadowolona z życia, lecz nie wszystko układało się w nim dobrze. Warto by zbadać tę okoliczność.

Ross nie znajdował się, jak nierozsądnie przypuszczała Demelza, głęboko pod ziemią. Konferował z Francisem i Henshawem w cechowni na terenie kopalni. Dwaj młodzi inżynierowie, Bull i Trevithick, którzy skonstruowali maszynę parową, przyjechali naprawić drobną usterkę i Ross wykorzystał okazję, by zapytać ich o możliwości urządzenia. Wydawało mu się oczywiste, oni zaś to potwierdzili, że maszyna może pracować znacznie wydajniej niż obecnie. Zaproponował, by pogłębić główny szyb o dwadzieścia sążni i rozpocząć pracę na dwóch nowych poziomach. Oznaczało to zatrudnienie nowych ludzi, ale, jak argumentował, wzrost kosztów oznacza znaczne zwiększenie szans na zysk. Maszyna parowa była najbardziej kosztowną częścią wyposażenia kopalni. Dopóki pracuje, powinna maksymalnie wykorzystać swoje możliwości.

Francis, urodzony hazardzista, z całego serca poparł plan Rossa. Henshawe był bardziej ostrożny, lecz w końcu bracia stryjeczni postawili na swoim jako główni udziałowcy. Wkład finansowy Henshawe’a był niewielki, a ponadto

z natury nie lubił przeszkadzać innym w realizacji własnych projektów. Nie wspomniał, choć mógłby to zrobić, że jego doskonała znajomość kopalni położonych w tym hrabstwie nie wskazuje, by na większych głębokościach znajdowały się bogate złoża miedzi, co często zdarzało się dalej na zachód. Nic nie jest tak nieprzewidywalne jak kopalnie – między innymi dlatego mówiono o nich zawsze w rodzaju żeńskim – i nie chciał brać na siebie odpowiedzialności, kwestionując instynkt Rossa.

Po spotkaniu Ross wrócił samotnie do domu, zadowolony, że rozpoczną nowe roboty, lecz poza tym nie miał innych powodów do zadowolenia.

Wyznanie Elizabeth w czasie przyjęcia miało na niego niespodziewany wpływ. Od czasu do czasu kierowały nim silne, niekiedy dzikie pobudki, lecz w istocie miał jasny, krytyczny umysł i spoglądał na swoje postęпки z wielkim dystansem. Czasem, choć niezbyt często, krytycznie oceniał innych. Teraz oceniał Elizabeth. Nie była dla niego mniej atrakcyjna – wręcz przeciwnie – ale czuł, że mniej ją lubi. Jeden jej błąd zaburzył życie ich obojga, pozbawiając je naturalnego toku. Później, wybrawszy niewłaściwego mężczyznę, Elizabeth dała mu to jasno do zrozumienia. Francis sunął w dół po równi pochyłej, odarty z jej miłości, lecz ciągle jej pragnący, obserwowany i obwiniany przez Rossa, który uważał, że kuzyn ma wszystko, czego pragnie. Życie Rossa, Francis i Elizabeth było naznaczone tragedią kobiety, która nie może się zdecydować.

Byłoby lepiej, gdyby w ogóle nie wiedział. Świadomość nie służyła żadnemu celowi i tylko niszczyła resztki spokoju ducha. W paradoksalny sposób rezultatem tego wszystkiego był przyływ nowych uczuć do Demelzy. Nie potrafił tego wyjaśnić, chyba tylko tym, że Demelza nie umiała postępować tak jak Elizabeth.

Kiedy dotarł do frontowych drzwi dworu w Namparze, usłyszał męski głos i z zaskoczeniem spostrzegł plecy Malcolma McNeila, który właśnie szykował się do odejścia.

Demelza uśmiechnęła się nad ramieniem gościa.

– Och, Ross, myślałam, że jesteś pod ziemią, w przeciwnym razie posłałabym po ciebie. Kapitan McNeil zabawia mnie opowieściami o wojnie w Ameryce. Dziwne, że nigdy o niej nie wspominasz.

– Kapitan Poldark jest skromniejszy ode mnie, nie mam co do tego wątpliwości – rzekł McNeil. – Ostatnie nowiny sugerują, że na razie armia nie będzie go potrzebować.

– Och, słyszał je pan? – spytał z lekkim rozczarowaniem Ross. – Przed chwilą przekazał mi je kuzyn. Naturalnie mogą być wyolbrzymione.

– Jak rozumiem, droga do Paryża stoi otworem. Im szybciej stolica padnie, tym lepiej.

– Niewątpliwie ma pan rację. Przyznaję, że w dalszym ciągu mam cię sympatii dla republikanów, pod warunkiem że zachowują się jak rozsądni ludzie,

a nie jak małpy. Gdybym był paryżaninem, nie chciałbym otworzyć bram miasta cesarzowi Austrii.

– Ale, ale, słyszał pan coś o człowieku, który zabił żonę, gdy tu ostatnio byłem, a potem uciekł z pańskiej zatoczki? – spytał McNeil.

– Marku Danielu? Nie. Przypuszczam, że utonął. Łódź, którą mi ukradł, nie nadawała się do rejsów na otwartym morzu.

– Doprawdy? – McNeil spojrział z niedowierzaniem na Rossa. – Cóż, niedługo wyjeżdżam, za kilka dni wracam do Salisbury i chyba długo się tu nie pojawię. Kornwalia to fascynujące miejsce.

Ostatnia uwaga wydawała się skierowana do Demelzy, która odrzekła:

– Mam nadzieję, że tym razem złożysz pan pozytywny raport o naszym zachowaniu?

– Jakże mogłoby być inaczej, pani?

Ross patrzył na barczystego Szkota idącego szybkim krokiem w górę doliny.

– Bez munduru wygląda mniej imponująco. Mam nadzieję, że nie przyszedł do Nampary, bo podejrzewa nas o szmugiel.

– O nie, sam się zaprosił, gdy spotkaliśmy się w zeszłym tygodniu. Tym razem przyjechał tu tylko dla zdrowia. W ogóle nie interesuje się przemytem.

– Tak ci powiedział?

– Tak... owszem.

– Hm... – mruknął Ross.

Demelza poczuła zaniepokojenie i irytację.

– Nie widzę żadnego powodu, by go podejrzewać!

– Tylko taki, że poprzednio się tym zajmował, a Kornwalia to dość odległe miejsce na rekonwalescencję.

– Jestem pewna, że się mylisz.

– Mam nadzieję, że uważałaś na to, co mówisz?

– Naturalnie! Wiesz, że boję się wykrycia bardziej niż ty.

– Chyba jutro pojedę porozmawiać z Trencromem – rzekł w zamyśleniu Ross.

– Dlaczego? Obiecałeś, że do września nie będzie żadnego przybijania do brzegu w naszej zatoczce.

– Nie, nie będzie. Chcę odszukać Marka Daniela.

– Chyba nie byłby bezpieczny, gdyby wrócił.

– Nie. W czasie zeszłorocznych świąt Bożego Narodzenia był w Cherbourgu. Wiesz, dlaczego otworzyliśmy Wheal Grace. Częściowo ze względu na stare plany, a częściowo z powodu tego, co powiedział Mark, który przed ucieczką ukrywał się w starych chodnikach. Spędziliśmy długie miesiące, próbując odnaleźć to, co znalazł. Dlaczego nie miałyby nam pomóc? Za kilka miesięcy będzie za późno.

– Wolalabym, żeby to Mark przyjechał do nas, Ross. Do tej pory jeszcze nie pływałeś z przemytnikami.

– Najważniejsze to ustalić, czy można go znaleźć.

– Nie, Ross, to nie najważniejsze.

– W porządku. Nie pojedę, jeśli da się tego uniknąć.

Trencrom mieszkał w bezpretensjonalnym sześciopokojowym domu ukrytym za stromym grzbieciem wzgórza około ośmiuset metrów od wioski St Ann's. Chociaż wiadano, że jest bardzo bogaty, dom i ubiór właściciela nie świadczyły o zamożności, toteż snuto wiele domysłów, gdzie trzyma pieniądze i co z nimi robi. Kiedy Ross odwiedził Trencroma następnego wieczoru, ten ciepło go powitał i nic w jego zachowaniu nie wskazywało, że jest skąpcem. Ross szybko przeszedł do sedna sprawy, wyjaśniając, że chciałby go o coś spytać.

– Mark Daniel... – Z wielkiej piersi Trencroma wydobył się cienki pisk.

– Zaraz, zaraz, czy to nie człowiek, który skręcił kark własnej żonie? Zadawała się z doktorem Enysem. Dobrze pamiętam. Straszliwa afera. Myślę, że powrót do Anglii ciągle byłby dla niego niebezpieczny. Pytał pan któregoś z moich ludzi?

– Nie. Najpierw przyszedłem do pana.

Trencrom podziękował za zaufanie.

– Mogę dostarczyć mu list, ale Daniel nie umie czytać, prawda? Poproszę Nanfana lub Payntera, by się czegoś dowiedzieli. Nanfan jest najlepszy, bo to jego krewny. Zrobię to, kapitanie Poldark. W tej chwili noce są zanadto jasne. Pełnia księżycyca to niebezpieczna rzecz, prawda? – Z gardła Trencroma dobiegł paroksyzm piskliwego, suchotniczego kaszlu, jakby ktoś usiadł na kanapie z zardzewiałymi sprężynami. – Mamy kłopoty. Vercoe i ten wojskowy w dworze Trevaunance'ów. Ucieszyłbym się, gdyby się stąd wyniósł. Nie kręci się tu bez powodu. Niech pan popatrzy na Francję. Chaos. Nie chciałbym być na miejscu Marka Daniela, który tam teraz mieszka.

Ross wstał, zbierając się do odejścia.

– Postaram się porozmawiać z Nanfanem. Zawsze pływa do Francji?

– Nie. Proszę zostawić przygotowania mnie. Och, kapitanie Poldark, mam do pana prośbę. Przysługa za przysługę. Zamierzałem pana odwiedzić, ale to daleka droga i niebezpiecznie jeździć w lecie po zmroku. Nie jestem już pierwszej młodości.

– Tak?

– Pańska zatoka ma jedną wadę. Często o tym myślałem. Musimy rozładować kuter w ciągu jednej nocy. Zawsze pan nalegał, by od razu zabierać towar, prawda? Nie obwiniam pana. Ale to niewygodne. Gdybyśmy mogli przechować na miejscu trochę ładunku, przez dwa, trzy dni... Robiliśmy to w Sawle i gdzie indziej. W ciągu trzech nocy dziesięciu ludzi robi to, co w jedną noc musi robić trzydziestu. Szpieg miałby mniejsze szanse. Moglibyśmy

wyładować towary na brzeg i ukryć. To najważniejsze. – Trencrom starał się wstać z fotela. – Rozumie pan, co mam na myśli?

– Sugeruje pan, że miałbym ukrywać towary we własnym domu?

– Nie powiedziałem, że w domu. Niekoniecznie. Chociaż nawet tam, gdyby wykopać porządną skrytkę...

– Przykro mi. Założyłbym sobie pętlę na szyję. W tej chwili zawsze mogę się bronić, że przemyt odbywa się bez mojej wiedzy. Ale jeśli pańskie towary zostaną znalezione w mojej piwnicy...

Trencrom splatał i rozplatał tłuste dłonie.

– Prosi mnie pan o przysługę. Ja też proszę o przysługę. Obie są różne, ale zobowiązanie, korzyści...

Ross znał Trencroma od wielu lat i nie po raz pierwszy okazywało się, że nie jest on tak dobroduszny, na jakiego wygląda.

– Jeśli pan woli, mogę pojechać do Falmouth i popłynąć stamtąd do Cherbourga.

– Mam podstawy do przypuszczeń, że Mark Daniel opuścił Cherbourg.

– Gdzie zatem jest?

Trencrom się rozkaszał. Sprawiał wrażenie, że się udusi. Fioletowy na twarzy, odpowiedział bez tchu:

– Nie mam pojęcia, kapitanie Poldark, ale moi ludzie mają większą szansę go odnaleźć. Jak rozumiem, pańska kopalnia nie przynosi jeszcze zysków?

Ross popatrzył na niego ponuro.

– Chce pan, bym potwierdził, że ugnę się przed szantażem?

– Och, proszę... Jesteśmy przyjaciółmi. Pracujemy razem, prawda? Nie mam zamiaru pana szantażować, ale w tej chwili nie możemy się bez siebie obejść. Zasugerowałem to rozwiązanie i myślałem, że się pan nie sprzeciwi. Byłbym skłonny płacić niewielką dodatkową kwotę za to udogodnienie. Naturalnie skromną, moje zyski są bardzo małe, po prostu symboliczną kwotą na znak dobrej woli. Powiedzmy dwadzieścia gwinei...

– Za każdy ładunek?

– Hm... Tak, za każdy.

Ross w zamyśleniu uderzył rękawicami w dłoń. Wysiłki, by nie zbankrutować, zniekształciły jego postrzeganie spraw finansowych, ale nie do tego stopnia. Znów zamierzał odmówić, lecz Trencrom powiedział:

– Proszę nie podejmować decyzji natychmiast, kapitanie. Zaczekajmy z tym. Niech pan przemyśli moją propozycję i da mi znać. Tymczasem zajmę się poszukiwaniem pańskiego przyjaciela Daniela.

– Dziękuję. Czy posunął się pan do przodu w kwestii wytropienia źródła przecieków?

– Nie bardzo. W tym roku udało się nam jak dotychczas uniknąć poważnych

kłopotów, ale nie jestem zadowolony. Kiedy zaczęły się przecieki, myślałem, że to ktoś spoza naszego kręgu. Jak pan wie, trudno sprowadzać towary, korzystając z pomocy czterdziestu lub więcej ludzi, i zachować wszystko w tajemnicy. Cała wioska wie, cała okolica wie. Ale, jak pan pamięta, we wrześniu zeszłego roku wylądowaliśmy towary w zatoce Strand. Bardzo nietypowe miejsce. Zwykle silna fala. Poinformowałem ludzi, dokąd mają jechać, zaledwie sześć godzin przed rozładunkiem. Przewieźliśmy na brzeg tuzin baryłek, gdy rzucili się na nas Vercoe i jego pomocnicy. Czekali w zasadzce. Aresztowano sześciu naszych najlepszych ludzi. Reszta uciekła tylko dzięki temu, że celników było niewiele. To się nie może powtórzyć. Nie wolno do tego dopuścić, kapitanie Poldark. One and All znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

– Niestety, tylko Vercoe wie, kto jest szpiegiem – odparł ponuro Ross. – A Vercoe tego nie zdradzi.

Trencrom znów zaczął dyszeć.

– Nawet Vercoe może nie wiedzieć. Czasami się zastanawiam... Może otrzymuje anonimowe wiadomości. Szpieg uczestniczy w niebezpiecznej grze. Ludzie są wściekli.

W chwili gdy Trencrom to mówił, szpieg znajdował się w chacie Hoblynów w Sawle.

## *Rozdział piąty*

Dwight spędził pracowity tydzień. Jeździł konno z Caroline, a poza tym otrzymał wiele nagłych wezwań do chorych. Wracając od ostatniego pacjenta, przypadku febry połączonej z biegunką, pod wpływem nagłego impulsu postanowił odwiedzić chatę Hoblynów w Sawle.

Był późny wieczór i wszyscy członkowie rodziny znajdowali się w domu. Towarzyszył im Charlie Kempthorne, który siedział w kącie z Rosiną i zalecał się do niej pod okiem ojca dziewczyny. Jacka nie czuł szczególnej antypatii do Kempthorne'a, choć kręcił nosem na jego wiek i nie podobała mu się żadna forma zalotów do córki. Nie mógł jednak narzekać, że odbywają się na jego oczach, bo wcześniej nie pozwolił Charliemu pójść z Rosiną na spacer.

Dwight przeprosił za niespodziewaną wizytę i wyjaśnił, że przyjechał do Rosiny. Dziewczyna szybko oznajmiła, że kolano mniej boli, ale Dwight zignorował jej słowa i poprosił, by przeszła z panią Hoblyn do drugiego pokoju. W ten sposób dwaj mężczyźni zostali sami, bo Parthesia już spała.

Charlie nie był zadowolony, że mu przerwano. Miał wrażenie, że zdołał już zjednać sobie Rosinę, a teraz sytuacja wróciła do punktu wyjścia. Lecz może uda się jakoś wykorzystać okazję. Po chwili podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie i powiedział:

– Myślę, że Rosina przekonuje się do twojego zdania, Jacka. Niedługo pozostanie tylko wybrać datę.

– To nie moje zdanie – odparł Jacka. – Na razie nie mam zdania.

– Ale nie mówisz nie – rzekł Charlie. – Rosina sama to zauważy. Zawsze była grzeczną, posłuszną dziewczyną...

– Niechby spróbowała nie być – mruknął Jacka.

– I widać, że będzie miała szczęście, jeśli mimo kulawej nogi wyjdzie za dobrego, spokojnego mężczyznę, który jest może starszy, ale tym lepiej. I który ma trochę grosza. I codziennie zbiera coraz więcej. Powinieneś o tym pamiętać, Hoblyn.

– Pamiętam o tym, o czym chcę pamiętać.

– Ma wyjść za jakiegoś parobka? Po co? Ich chaty są gorsze od chlewów, a ja mogę dać jej dom, gdzie będzie piła jak dama z fajansowych kubków. Powiem ci jeszcze jedno. Można wydzierzawić pole od doktora Choake'a. Róg dochodzi do drogi za moim podwórkiem. W przyszłym roku chyba je wezmę. Właśnie dlatego potrzebuję...

– Nie mam pojęcia, skąd bierzesz pieniądze na to wszystko – przerwał Jacka. Charlie przez chwilę bacznie mu się przyglądał.

– Ach, tak to już jest. Pieniądze cały czas rodzą pieniądze. Wystarczy zacząć



od małej sumy i właściwie się nią posługiwać, a rośnie nawet wtedy, gdy człowiek śpi. Ale pamiętaj, że trzeba do tego szczęśliwej ręki. Ja mam szczęśliwą rękę. Szycie żagli różni się od roboty w kopalni. Zyski są większe. Dzięki Bogu wyleczyłem się z gruźlicy. Gdybym dalej robił na dole, ciągle byłbym chory i nie miałbym grosza przy duszy!

Jacka zmarszczył czarne brwi.

– Zastanawiam się, czego ten doktor chce, że przyjeżdża o tej porze. Nie powinien nas odwiedzać, kiedy go nie prosimy.

– Płacisz mu za każdą wizytę?

– Nie, rozliczam się z nim za całość, nie bierze dużo.

Kemphorne splunął na wyszorowaną piaskiem podłogę.

– Gdyby to był mój dom, bardzo by mi się to nie podobało. Co to jest, że przyjeżdża o każdej porze dnia i maca kolano dziewczyny. Tak się zaczynają złe rzeczy.

Jacka popatrzył na Charliego.

– Myślałem, że jesteś jego przyjacielem. Podobno wyleczył cię z kaszlu.

– Prawda. Nie mam nic przeciwko niemu. Mówię tylko, co mi się wydaje. Po prawdzie to tylko młodzik, a wiesz, co się stało z żoną Daniela.

Przez chwilę panowało milczenie. Brwi Hoblyna przypominały bliznę. Spojrzał bez sympatii na Charliego, po czym przeszedł do sąsiedniej izby.

Zobaczył, że Rosina siedzi na końcu łóżka, a Dwight bandażuje jej kolano. Pani Hoblyn zerknęła nerwowo na męża.

Dwight był w dobrym nastroju, ponieważ wreszcie odkrył przyczynę ich niepokoju związanego z kolanem Rosiny.

– Ach, Hoblyn, cieszę się, że przyszedłeś. Pani Hoblyn mówiła mi o Nye.

– Tak? – spytał Jacka.

– Nye powiedział, że najlepiej amputować nogę. Oczywiście nie należy tego robić. Śmieszny pomysł. Chcę, żebyś przez tydzień chodziła z bandażem na nodze, aż przyjadę znowu – zwrócił się do dziewczyny. Skończył pracę i wstał.

– Tak, doktorze – powiedziała Rosina.

– Moim zdaniem nie powinien pan przychodzić – rzekł Jacka niezbyt pewnym tonem. – Rosina da sobie radę sama. Za długo kuleje, żeby dało się to wyleczyć. Co innego, jak zachoruje.

– Rosina daje sobie radę, ale nie jest to szczęśliwe ani zdrowe życie – odparł Dwight. – Nie mogę obiecać, że coś się poprawi, ale zamierzam spróbować.

– Czasem macanie po nogach wywołuje więcej szkody niż pożytku.

Dwight się zaczerwienił.

– Nie bój się. Nie umrze od tego.

– Uważam, że jak coś jest dobre, lepiej zostawić to w spokoju.

– Ale nie masz prawa odbierać córce szansy na wyleczenie.

Dwight nadepnął Hoblynowi na odcisk.

– Kto nie ma prawa?! – krzyknął Jacka. – Mam prawo robić ze swoimi dziećmi, co chcę! Niech pan o tym nie zapomina!

– Jacka, proszę! – jęknęła pani Hoblyn.

– Stul pysk, babo!

– Nie stulę pyska! – odpowiedziała Polly Hoblyn, przynajmniej raz sprzeciwiając się mężowi. – Doktor Enys robi wszystko, co może, bardzo się stara, i nikt jeszcze tyle nie zrobił dla Rosiny! Powinieneś się wstydzić, że tak się do niego odzywasz!

Dwight zauważył Charliego stojącego przy drzwiach i wyraz jego twarzy powiedział mu, że cała ta awantura sprawia przyjemność niskiemu żaglomistrzowi. Z jakiegoś powodu nie chciał, by wyleczono Rosinę. Czy dlatego, że miałyby mniejsze szanse jako konkurent?

Lekarz w samą porę zastąpił drogę Hoblynowi, który zrobił krok w stronę żony. Wydawało się, że może dojść do przepychanki, lecz Jacka skapitulował. Gniew, jak zwykle, szybko go opuszczał i nagle skierował się przeciwko człowiekowi, który go wywołał.

– Wynoś się stąd! – ryknął na Charliego. – Możesz tu siedzieć, jak się ożenisz z moją córką, ale nie wcześniej!

Opuszczając dom Hoblynów, Dwight zdawał sobie sprawę, że podczas następnej wizyty będzie zaledwie tolerowany i że musi wkrótce wykazać się jakimiś rezultatami lub przyznać do porażki.

Następny wtorek był pierwszym upalnym dniem spóźnionego lata. Chłodne, ponure dni nagle stały się pogodniejsze. Nawet o siódmej rano, kiedy Dwight miał się spotkać z Caroline, powietrze było łagodne i ciepłe.

Zawsze kazała mu czekać, lecz tym razem nie tak długo jak zwykle. W porannym słońcu oddalili się kłusem od bramy Killewarren, a Caroline zaproponowała, by skręcili na południe, między drzewa, które długo puszczały pąki, lecz teraz pokryły się olśniewającą zielenią. Wydawało się, że zna drogę.

Gdy przejechali około sześciu kilometrów, skręciła w ścieżkę prowadzącą do polany niebieskiej od kwitnących dzwonek.

– Zsiądźmy, Dwight, dobrze? – powiedziała. – Chcę porozmawiać, a nie jest to łatwe w siodle.

Natychmiast zszedł na ziemię i chciał jej pomóc, ale zeskoczyła zwinnie jak chłopiec i roześmiała się.

– Usiądźmy na trawie. Dobrze jest czasami nic nie robić. Tak przynajmniej sądzę. Być może ty zawsze czujesz, że powinieneś kogoś leczyć.

– Nie zawsze. Nie teraz.

Usiedli na zielonym pagórku pokrytym króliczymi norami, a Caroline zerwała dzwonek i potrząsnęła kwiatami.

– Wracam do Oxfordshire, Dwight.

Coś ścisnęło go za gardło.

– Kiedy?

– W piątek, dyliżansem. W poniedziałek znajdę się w domu stryja Williama.

– Dlaczego postanowiłaś wyjechać?

– Och, wcale nie postanowiłam. Stryj Ray jest na mnie wściekły, bo źle traktuję Unwina, i uznał, że trzeba mnie wygnać z Killewarren.

Dwight popatrzył na Caroline. Jej szeroko rozstawione oczy, zmrużone w promieniach słońca, miały zamyślony wyraz. Jasne światło wydobywało z nich dodatkowe kolory, szarość, brązowe cętki i ciemną zieleń.

– Nie wiem, co powiedzieć. Myślałem... Miałem nadzieję, że zostaniesz.

– Ja też miałam nadzieję, że zostanę.

W górze gwizdał kos.

– Kiedy spodziewasz się wrócić do Kornwalii?

– Na zaproszenie stryja Raya? Och, to bardzo wątpliwe. Już nie aprobeje ani mnie, ani tego, co robię. I podejrzewam, że ktoś mu powiedział o moich porannych przejażdżkach z jego lekarzem.

– W takim razie to zrozumiałe, że chce cię odesłać.

– Dlaczego? – spytała prowokująco.

– Skoro pokazujesz się publicznie z doktorem Enysem nawet bez masztalerza, pan Penvenen ma święty obowiązek zadbać, byś nie popełniała takich gaf.

Caroline wyrzuciła dzwonki.

– Zatem zgadzasz się ze stryjem Rayem... Uważasz, że powinnam być trzymana w bezpiecznym miejscu, aż szczęśliwie wyjdę za mąż.

– Gdybym był twoim stryjem...

– Ale nie jesteś moim stryjem.

Dwight wstał.

– Czego ode mnie oczekujesz?

Oparła się na łokciach.

– Sprzeciwu.

– Chciałbym móc się sprzeciwić. Wiesz, że ja... ja... Nie muszę tego mówić, wyrażać tego w jaśniejszy sposób...

– Usiądź, Dwight – powiedziała po chwili. – Trudno rozmawiać, jeśli ty stoisz, a ja siedzę.

Zatrzymał się i znowu usiadł w pewnej odległości od niej, obejmując dłońmi kolana. Zmarszczył brwi, wyraźnie nieswój, i celowo na nią nie patrzył.

– Powiedz mi, bo czegoś nie rozumiem – odezwała się. – Jest w tobie dwóch mężczyzn. Jeden jest silny, pewny siebie, ujawnia się, gdy leczysz pacjentów, a drugi jest znacznie młodszy, nerwowy i wrażliwy. To właśnie on jeździ ze mną

konno. Jak sądzisz, któremu z nich zależy na Caroline Penvenen? Który z nich jest smutny z powodu jej wyjazdu i będzie o niej myślał w czasie jej nieobecności?

Po łące przebiegł królik i szybko schował się do nory.

– Zawsze zadajesz mi pytania – odparł Dwight. – Odpowiem na twoje, jeśli ty odpowiesz na moje. Jak bardzo ci zależy na odpowiedzi?

– Prosisz o bardzo wiele.

– Nie więcej niż to, o co ty mnie prosisz.

– O tak, chyba tak.

Dwight patrzył na palce Caroline gładzące fałdy sukni.

– A zatem bardzo dobrze. Odpowiem jako pierwszy. Nie ma we mnie dwóch mężczyzn. Jest jeden, który nieustannie o tobie myśli, dlatego twój obraz nigdy nie znika. Ale... nie dziwię się, że się skarżysz. Nigdy nie miałem dużo pieniędzy, a wszystkie pochłonęły studia. Nie miałem czasu na wizyty na salonach i prowadzenie uprzejmych konwersacji. Wychowano mnie w taki sposób, że nie umiem prawić komplementów pięknym kobietom. Nieczęsto spotykałem kobiety, chyba że jako pacjentki. Dobrze znam ich dolegliwości. Teraz, kiedy mam do czynienia z ludźmi, zachowuję się różnie. Jeśli przyjdiesz do mnie z bólem gardła albo kolana, traktuję cię jak pacjentkę i czuję się pewnie. Wiem, co robić, i robię to. Wtedy myślisz, że jestem silny, zdecydowany. Ale jeśli spotykam cię w salonie, nie jesteś pacjentką, tylko kobietą, kimś, kogo nastrojów i zwyczajów nigdy nie nauczyłem się rozumieć. Nie umiem być szarmancki, bo nigdy nie miałem czasu się tego nauczyć. Nie wiem, jak ci pochlebiać, a jeśli się ze mnie śmiejesz – co często się zdarza – z każdą sekundą staję się coraz bardziej milczący. Kiedy ćwiczysz na mnie swój dowcip, czuję się durniem i prostakiem. Wszystko ma swoje wyjaśnienie. To, co do ciebie czuję, nie waha się między siłą a słabością, tylko między nadzieją a rozpaczą!

Caroline oderwała wzrok od Dwighta i spoglądała na przeciwległy kraniec polany. Patrząc na krzywiznę jej szyi, czuł przyjemność i ból. Wy tłumaczył sobie, że zyskał trochę pewności siebie.

– A ty? – spytał w końcu.

Uśmiechnęła się lekko i wzruszyła ramionami.

– Chcesz, bym teraz odpowiedziała na twoje pytanie?

– Tak.

– Może to nasze ostatnie spotkanie, więc to zrobię. Biedny Dwight, czy tak często się z ciebie śmiałam? Czy okazywałam taką idealną pewność siebie i równowagę? Pochlebiasz mi, doprawdy. Jak elegancko się zachowuję! Jak wspaniałych manier mnie nauczono!

– Nie krytykowałem cię.

– Jestem pewna, że nigdy byś się nie ośmielił. Ale pozwól mi wytłumaczyć. Mówisz, że poświęciłeś cały swój czas na studia medyczne, więc nie miałeś kiedy

nauczyć się zasad etykiety. Bardzo mi ciebie żal. Naprawdę, mój drogi. A wiesz, czego ja się uczyłam przez cały czas? Oczywiście odgrywania roli bogatej panny. – Oparła się na łokciu i popatrzyła na Dwighta. Na ramiona opadały jej kasztanowe włosy związane wstążką. – Bogata panna musi doskonale znać zasady etykiety. Musi się nauczyć rysować, malować i grać na instrumentach muzycznych, nawet jeśli nie ma za grosz słuchu i wydaje tylko okropne dźwięki. Musi znać francuski i może trochę łaciny, musi wiedzieć, jak się zachowywać, jak ubierać, jak trzymać się w siodle i jak przyjmować komplementy adoratorów. Nie uczy się tylko jednego: czym jest udane małżeństwo, do którego jest przygotowywana. Jak widzisz, drogi doktorze, nie byłoby wcale dziwne, gdyby taka młoda dama również wydawała się dwiema różnymi osobami. Uzasadnienie jest jeszcze lepsze niż w twoim przypadku. Mówisz, że nie wiesz, jak prawić kobietom komplementy, i że nie potrafisz być szarmancki. Niemniej w głębi serca musisz znać kobiety bardzo dobrze. Moja sytuacja jest inna. Zupełnie nie znam mężczyzn. Wszyscy spodziewają się, że natychmiast się zakocham, gdy ktoś muśnie mnie dłonią albo powie miły komplement. Ale dopóki nie wyjdę za mąż – jeśli moi kochani stryjowie postawią na swoim – nie będę wiedziała, jacy naprawdę są mężczyźni. – Umilkła i wyprostowała się. – Słyszałam, co się dzieje, gdy ludzie śpią w jednym łóżku. Nie wydaje się to zbyt kulturalne. Można zaryzykować trudną figurę gawota i nie przewrócić się. Sądzę jednak, że przed wyborem człowieka, z którym będzie się spało do końca swoich dni w jednym łóżku, trzeba być nieco ostrożniejszym.

Zapadło długie milczenie. Wyznanie Caroline poruszyło Dwighta w nowy sposób. Nagle dostrzegł inną Caroline – nie manifestowała absolutnej pewności siebie, nie krzywiła się pogardliwie, gdy starał się sprawić jej przyjemność. Była tak samo niepewna jak on i ukrywała swoją niepewność pod maską śmiechu i szyderstwa. Nie był nią już zauroczony. Zakochał się po uszy.

– A Unwin?

– Unwin to modelowy kandydat na męża. Ma wszelkie możliwe rekomendacje. I nie brak mu pewności siebie, Dwight. Wydaje się uważać, że powinnam być zaszczycona perspektywą małżeństwa z posłem do Izby Gmin. Czasem widziałam, jak na mnie patrzy, i wiem, że jest zainteresowany przede wszystkim moimi pieniędzmi, a nie mną.

– A ja?

Caroline dziwnie się uśmiechnęła.

– Niełatwo mówić o tym prosto w oczy, prawda? Kiedy po raz pierwszy spotkaliśmy się w Bodmin i doszło do kłótni, pomyślałam sobie: To mężczyzna, który... To samo, gdy przyszedłeś zbadać mi gardło. Nie chodzi o to, że mi się podobałeś, ale czułam... – Wyprostowała się. – Nie, nie mogę ci powiedzieć. Jedźmy.

– Powiedz.

– Nie wiem, co do ciebie czuję. Taka jest prawda. A teraz ruszajmy.

Wstała i zrobiła krok w stronę konia, lecz Dwight zerwał się z miejsca i zastąpił jej drogę.

– Musisz mi powiedzieć, Caroline.

Chciała go minąć, ale chwycił ją za nadgarstek i zatrzymał.

– Cóż, powinieneś sam wiedzieć – rzekła. – Zastanawiałam się, co bym czuła, gdybyś mnie pocałował, czy byłoby to przyjemne, czy wstrętne. Czy podsyciłoby moje zainteresowanie tobą, czy je zabiło. Nie znałam odpowiedzi, nie znam jej i nigdy nie poznam. Teraz to bez znaczenia, bo wyjeżdżam. Och, byli inni mężczyźni, którzy mi się podobali, i pojawi się ich jeszcze więcej! Ale nie poślubię pierwszego lepszego. W październiku...

Nic więcej nie powiedziała. Dwight dotknął dłońmi jej łokci, przycisnął do siebie i pocałował ją najpierw w policzek, a potem w usta. Po chwili Caroline mocno chwyciła jego ramiona, ale nie przyciągnęła go do siebie, tylko lekko odepchnęła jak kobieta obdarzona krytycznym umysłem i zdająca sobie sprawę, że spotkało ją to, o co sama prosiła. Stali tak długo w bezruchu, że w pobliżu pojawiła się zięba i zaczęła dziobać żdźbła trawy, dopóki nie spłoszył jej ruch jednego z koni.

W końcu obudziło ich stado kraczących gawronów, które usiadły na drzewach. Kiedy odsunęli się od siebie, zapadło napięte milczenie. Dwight nie mógł złapać tchu i miał wrażenie, że Caroline podobnie.

– Teraz na pewno mnie nienawidzisz – rzekł.

– Niewątpliwie cię nienawidzę.

– I z radością odjedziesz, wyleczona z ciekawości.

– Najlepiej... najlepiej pomóż mi wsiąść na konia, jeśli mamy wrócić – powiedziała.

Pochylił się, by mogła stanąć na jego splecionych dłoniach, ale gdy tylko dotknął jej sukienki, wyprostował się i znów chwycił ją w ramiona. Oparli się o konia, który zarżał, spłoszony. Znaleźli się obok drzewa i Caroline przywarła do pnia plecami. Dwight znów ją pocałował, tym razem bez pośpiechu.

Słońce wzeszło już dość wysoko; byli spóźnieni. Teraz już naprawdę pomógł Caroline zająć miejsce w siodle, a później wsiadł na swojego konia. Poczuli na twarzach lekki poranny wietrzyk.

Konie były gotowe do drogi, lecz żaden z jeźdźców się nie poruszył.

– Kiedy wrócisz? – spytał Dwight.

– Kiedy postanowię.

– Napiszesz?

– Jeśli chcesz.

Bezradnie skinął dłonią. Czy chciała, żeby ją o tym zapewnił?

– Jeśli wrócisz... – zaczął.

– Wszystko zacznie się od początku? Ale w październiku jedno się zmieni.

– Co?

– Skończę dwadzieścia jeden lat. Po dwudziestym szóstym października stryj Ray nie może mnie powstrzymać przed powrotem do Kornwalii.

Powoli opuścili polanę. Po uczuciach, które tam wybuchły, pozostało tylko kilka złamanych dzwonków i ślady kopyt.

## Rozdział szósty

Ładna pogoda się nie utrzymała i czerwiec zakończył się ulewami, po czym nastąpił jeszcze bardziej ulewny lipiec i sierpień. Strugi wody bezlitośnie pokrywały zboże na polach, aż leżało pokotem, poczerniało od wilgoci. Wiały silne wiatry, a na niebie świeciło blade słońce, stale przesłaniane przez burzowe chmury. Na brukowanych ulicach Paryża rozgrywały się dantejskie sceny. Zryw, który zniszczył despotyczną władzę monarchy, nagle się załamał i zwrócił przeciwko sobie. Francja, rozpaczliwie zagrożona od wschodu, bliska klęski, niszczyła strukturę cywilizowanego społeczeństwa. W ostatniej fazie zbiorowego samobójstwa kraju dochodziło do przerażających zbrodni. Po wieści o wymordowaniu trzystu księży pojawiły się relacje o dzieciach bawiących się na ulicach ludzkimi głowami i czterodniowej rzezi w przepelnionych więzieniach. Mężczyźni szeptali, że księżniczkę de Lamballe rozdarto na strzępy, a jej głowę nadziano na pikę. Wyroki wydawał motłoch, a winnych natychmiast rąbano na kawałki wśród stosów trupów. Puste więzienia natychmiast się zapełniały.

Trencrom, kontynuujący przemysł mimo pogody i polityki, doniósł, że Mark Daniel nie przebywa już w Cherbourgu, tylko przeniósł się do odleglejszej części wybrzeża. Mieli nadzieję nawiązać z nim kontakt podczas następnej wyprawy. W Wheal Grace przewaga wydatków nad wpływami sprawiłaby w przygnębienie nawet najbardziej zagorzałego optymistę, a każdy deszczowy dzień powiększał koszty zakupu węgla do maszyny parowej.

W sierpniu Caroline Penvenen napisała do Dwighta Enysa:

*Drogi Dwighcie!*

*Nie jestem księżniczką więzioną w wieży strzeżonej przez smoka, ale napisanie do Ciebie listu i wysłanie go w taki sposób, by nie padł na niego ciężki wzrok stryja Williama, nie jest łatwą sztuką. Ukradłam mu sprzed nosa Twój ostatni list, toteż, proszę, kieruj swoją korespondencję bezpośrednio na ręce pani Nancy Aintree w gospodzie Pod Czarnym Psem w Abingdon, skąd mogę ją odbierać w dogodnej chwili. Żaden miesiąc jeszcze nigdy tak mi się nie dłużył. Pierwsze piętnaście dni wydawało się trzydziestoma. Nie mogę się pozbyć młodzieńczych nawyków. Jak się miewa Twój przyjaciel Ross Poldark? Czy jego nowa kopalnia przynosi zyski i czy Warlegganowie mają na nią chrapkę? Jak się czują Twoi pacjenci, a zwłaszcza ta ładna dziewczyna z chorym kolanem? Czy jej ojciec ciągle traktuje Cię podejrzliwie? Wcale mnie to nie dziwi. Czy możesz mi zalecić jakąś miłą, arystokratyczną chorobę, której mogłabym się nabawić przed dwudziestym szóstym października?*



*W Oksfordzie jest wielu nieszczęsnych uciekinierów z Francji: arystokratów w upudrowanych perukach i dziurawych pończochach. Opisują ulice spływające krwią i zastanawiam się, czy koloryzują, by wzbudzić współczucie słuchaczy. Stryj William ich przyjmuje, lecz po ich wyjściu prychnął: „Gdyby spadło jeszcze kilka głów, byłoby nam łatwiej!”. Rozumiesz teraz, skąd się bierze moja wrażliwość. Rodzina Penvenenów nie ma sobie równych pod tym względem.*

*Drogi Dwighcie, zastanawiam się, czy naprawdę za mną tęsknisz, czy jestem jak powracająca febra wywołująca szaleńczą gorączkę, po której ustąpieniu pozostaje osłabienie i zamęt w głowie? Wiem, że powinnam zostawić Cię w spokoju, naprawdę, ale nie jestem na tyle silna, by podjąć takie postanowienie. Pannie nie wypada pisać takich rzeczy, ale przyznaję, że moje pierwsze doświadczenie związane z Twoją osobą było możliwe do zniesienia, toteż przypuszczam, że drugie wyglądałoby podobnie. Aż do października zajmę się flirtami, częściowo po to, by stryj William chętnie pozbył się mnie przed urodzinami, a częściowo po to, by mieć nieco lepszy materiał do porównań.*

*Uważam, że prawdopodobnie nie spotka się to z Twoją aprobatą, jednak wiem, że tak naprawdę nie chciałbyś mnie pozbawić skromnych doświadczeń, które pomogą mi stać się kobietą potrafiącą dokonywać świadomych wyborów.*

*Twoja serdeczna przyjaciółka*

*Caroline Penvenen*

Na początku września w Wheal Grace natrafiono na niewielką żyłę, która dawała lepsze zyski od już eksploatowanych. Odkrycie to mogło jedynie odwlec konieczność zamknięcia kopalni, a nie mu zapobiec. Ross i Francis w dalszym ciągu spędzali dwa dni w tygodniu w dawnych wyrobiskach. Jedną z największych przeszkód był brak powietrza, bo zasypano większość starych szybów wentylacyjnych. W innych miejscach chodniki się zawaliły i należało zdecydować, czy zaprzestać poszukiwań w tym kierunku, czy kazać górnikom drążyć tunele lub przebijając się za pomocą materiałów wybuchowych.

Piętnastego września Ross i Francis umówili się z Zackym Martinem i Jope'em Ishbelem, by przeprowadzić ostatnie poszukiwania. Spędzili rano, wysadzając skały i próbując odwodnić stare wyrobisko, które znajdowało się poza

zasięgiem maszyny parowej. W południe Zacky wyszedł na powierzchnię, a po godzinie dołączyli do niego dwaj kuzyni. Zmienili mokre ubrania i poszli do Nampary na obiad. Czekał tam na Rossa list. Listy zwykle przynosił dostawca gazet, lecz ten dostarczył wędrowny sukiennik, który odwiedził Demelzę w nadziei, że skusi ją do nabycia jego towarów. List napisał bankier i przyjaciel Rossa, Harris Pascoe:

*Drogi Kapitanie Poldark!*

*Od kilku miesięcy nie miałem przyjemności Pana widzieć i byłbym rad, gdyby zechciał nas Pan odwiedzić w dogodnej dla siebie chwili i podpisać aktualny bilans swojego rachunku w naszym banku.*

*Ten list dotyczy jednak innej sprawy. Chodzi o Pana prywatne zobowiązania finansowe, o których mam pewną wiedzę. Kiedy w 1789 roku doszło do bankructwa Carnmore Copper Company i musiał Pan pilnie spłacić kilka zobowiązań, pożyczył Pan, jak mi wiadomo, tysiąc funtów od notariusza Pearce'a. Zabezpieczeniem tej pożyczki, udzielonej na niezwykle wysoki procent, była druga hipoteka Pańskiego dworu i posiadłości – tak przynajmniej sądziłem do tej pory na podstawie Pańskich słów.*

*Jak Pan wie, rzadko opuszczam dom, ale docierają do mnie różne wiadomości i niedawno usłyszałem, że zabezpieczeniem tej pożyczki w istocie nie była druga hipoteka, lecz weksel sola, czyli skrypt dłużny. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał mnie Pan poinformować, czy to prawda, ponieważ skrypt ten – jeśli go Pan podpisał – nie znajduje się już ponoć w posiadaniu pana Pearce'a, lecz znalazł się w rękach pana Cary'ego Warleggana.*

*Pana stosunki z Warlegganami są Pańską prywatną sprawą i nie chciałbym się do nich mieszać, ale jeśli to prawda, nie byłbym zdziwiony, gdyby lada chwila otrzymał Pan wezwanie do natychmiastowej spłaty weksla. Nie wiem, jak prosperuje Pańskie przedsięwzięcie górnicze ani czy zdoła Pan zgromadzić znaczną kwotę pieniędzy, by sprostać konieczności nagłej spłaty długu, jednak jako Pański przyjaciel uważam za swój obowiązek poinformować Pana o tym, czego się dowiedziałem.*

*Proszę, niech Pan nas odwiedzi, gdy następnym razem będzie w Truro. Chętnie zjemy z Panem obiad lub kolację.*

*Pozostaję etc.*

*Harris Pascoe*

W czasie obiadu Ross mówił niewiele. Demelza wyczuła, że złe wiadomości – niezależnie od ich charakteru – mają coś wspólnego z Warlegganami. Zawsze, myśląc o nich, robił charakterystyczną minę. Jednak duma nie pozwoliła jej pytać w obecności Francisa. Dopiero pod koniec posiłku Ross odezwał się do brata stryjecznego:

– Nie mogę zejść z tobą do kopalni dziś po południu. Ten list wzywa mnie do Truro.

– Przecież wczoraj tam byłeś – zaprotestował kuzyn. – To nie może poczekać do jutra?

– Nie. Przykro mi. Nie.

– Wrócisz dziś wieczorem? – spytała Demelza.

Spojrzał jej w oczy nad głową Francisa.

– Spróbuję. Ale późno. Nie czekaj na mnie.

Patrzyła, jak wychodzi z salonu, by się przebrać. Rozmawiała przez pewien czas z Francisem, lecz kiedy Ross zszedł na dół, wyślizgnęła się z pokoju i stanęła obok niego przy drzwiach frontowych. Czekali, aż Gimlett przyprowadzi klacz.

Ross położył dłoń na ramieniu Demelzy.

– Nie chcę teraz tłumaczyć. Dostałem list od Harrisa Pascoe’a i okazało się, że przeoczyłem kilka rzeczy. Muszę z nim porozmawiać, to wszystko.

Spojrzała na męża.

– Niedobrze, Ross?

– Nie najlepiej. Wieczorem będę wiedział więcej.

– Spodziewasz się dziś kłopotów?

– Nie ze strony Harrisa Pascoe’a. To mało prawdopodobne.

– Nie w czasie rozmowy z nim, ale możesz przypadkiem spotkać kogoś innego.

Uśmiechnął się ponuro.

– Jest zimno jak na listopad. Wejź do domu i porozmawiaj z Francisem. Zauważyłaś, jak polubił Namparę po otwarciu kopalni? Czuje się u nas jak u siebie w domu.

– Zauważyłam.

– Wejź do środka, nalej mu kieliszek porto i sama się napij.

– Boję się pić przed kolacją, bo będę oszołomiona przez cały dzień. Ten list...

Demelza nie dokończyła, ponieważ pojawił się Gimlett prowadzący Czarnulkę. Ross pocałował żonę w policzek, wskoczył na siodło i pojechał w górę doliny. Demelza miała wrażenie, że chmury wiszą tak nisko, że otoczyły go, nim zniknął z pola widzenia.

Wróciła do salonu. Francis odszedł od stołu i siedział teraz przy kominku, który rozpałała godzinę wcześniej.

– Nie, nie wstawaj – powiedziała. – Ross kazał nam dokończyć porto, ale nie chcę pić, nie tak wcześnie. Nie mogłabym pracować przez resztę dnia. – Postawiła na stole obok Francisa karafkę i kieliszek, po czym zajęła miejsce naprzeciwko kuzyna i wysunęła czerwone pantofle w stronę ognia. – Za chwilę muszę iść zobaczyć, czy Jeremy nie kaprysi. Nie lubi, jak karmi go pani Gimlett. Nie miałeś dziś rano szczęścia, Francisie?

– Chyba wybraliśmy najbardziej jałowe miejsce w Księstwie Kornwalii.

– A najniższe poziomy?

– Czysta wiara bez przesłanek rozumowych. Może wiara zwycięży, bo rozum z pewnością poniósł klęskę... Dziwne, że Ross musiał znowu pojechać do Truro. Czy to może mieć coś wspólnego z Warlegganami?

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Nie wiem, ale sama się nad tym zastanawiałam. Kiedy zaczynają się kłopoty, zawsze przychodzi myśl, że kryją się za nimi Warlegganowie.

– Albo Francis – dodał. – Niegdyś sam byłem źródłem kłopotów wraz z George'em.

– Och, nieważne – powiedziała szybko. – Zresztą ten czas minął.

– Minął, ale ja o nim nie zapominałem. Przynajmniej nie zapominałem jednej rzeczy.

– Chyba pójde zobaczyć, co z Jeremym.

– Nie. – Zawahał się, pocierając dłonią oparcie fotela. – Nie, od dawna chciałem ci o tym powiedzieć. Kiedyś to się musi stać... Przed kilku laty...

– Lepiej nie poruszać tego tematu, Francisie.

– Przed kilku laty, w sierpniu osiemdziesiątego dziewiątego roku, gdy odlewnia miedzi walczyła o przetrwanie, pewnego wieczoru odwiedził mnie George. Było to w dniu ucieczki Verity. Byłem zgorzkniały, winiłem cię za jej małżeństwo, za wszystko. Porywczo, pod wpływem gniewu podałem George'owi informacje, które pozwoliły mu wyrzucić presję na udziałowców odlewni i utrudnić jej finansowanie. Nigdy nie potrafiłem sobie tego wybaczyć ani przejść nad tym do porządku...

Demelza wstała.

– Dlaczego koniecznie chcesz mi o tym powiedzieć właśnie teraz?

– Od dawna się do tego zbieram. Nie mogę akceptować twojej przyjaźni, siedzieć jak zbląkany pies przy twoim kominku, kiedy ta sprawa nie została

całkowicie wyjaśniona. Im większą wartość ma nasza przyjaźń, tym trudniej tak to zostawić. Podejrzewam, że Ross się domyśla, ale nie pozwala mi o tym mówić, zmienia temat, a ja w końcu tchórzę i daję spokój. I tak to trwa.

Gdzieś z tyłu zaszczekał Garrick. Nie podobało mu się, że został zamknięty. Demelza milczała. Francis wstał, przez chwilę dotykał jej dłoni i odwrócił się w stronę okna.

– To było dla nas okropne – powiedziała wstrząśnięta Demelza. – Nie mogłeś się zemścić na Rossie w inny sposób?

– Działalem pod wpływem gniewu, a potem było już za późno. Ale nie próbuję się tłumaczyć. Też o tym wiedziałaś?

– Tak, częściowo. Ale usłyszeć o tym wprost...

Francis wyglądał, jakby ogarnęły go mdłości.

– Nie można odbudować przyjaźni, ignorując to, co ją zniszczyło. Musiałem ci to powiedzieć. Pójdę już.

– Nie, zaczekaj. Ross ma rację, prawda?

– Nie w tej sprawie.

– Tak, w tej sprawie. Jeśli teraz zerwiemy ze sobą kontakty, jeszcze bardziej zranimy się nawzajem. A odlewnia nie mogła odnieść sukcesu, Francisie, oboje o tym wiemy. Nawet Warlegganowie nie zdołali jej przekształcić w opłacalne przedsięwzięcie, gdy ją przejęli. Sir John Trevaunance sprzedaje maszyny.

– Czy można usprawiedliwić morderstwo tym, że ofiara była śmiertelnie chora?

– Nie, nie usprawiedliwić. Ale nie potępiać. Czy Elizabeth wie?

– Wie, co zrobiłem? Nie. W ogóle jej to nie dotyczy. Choć nie rozumiem, dlaczego tak nie znoszę George'a Warleggana.

– Nie skończyłeś porto – powiedziała po długim milczeniu.

– Nie... Za to skończyłem z naszą przyjaźnią, którą bardzo cenię, choć może w to nie wierzysz.

– Wierzę, Francisie, ale nie uważam, że skończyłeś z naszą przyjaźnią. Jeden zły uczynek nie niszczy wielu dobrych. Trzeba to wyważyć.

– Tamtej nocy nie miało to dla mnie znaczenia.

– I dlatego zawsze żałowałaś. Chcesz, bym popełniła ten sam błąd?

– Tak.

– Nie zrobię tego.

– Nawet, by sprawić mi przyjemność? – spytał Francis.

– Nawet, by sprawić ci przyjemność.

– Nic dziwnego, że Ross cię kocha – rzekł Francis. – Ja też mógłbym cię kochać.

Zerknęła na niego szybko, trzeźwo, po czym pochyliła się i włożyła jeszcze jedno polano do ognia.

- Myślisz, że ciągle mnie kocha?
- Ross? Naturalnie. Uważasz, że nie?
- Sądzę, że bardziej kocha Elizabeth.

Kiedy Demelza wstała, żadne z nich przez chwilę się nie odzywało.

- Skoro to dzień zwierzeń, mogę ci coś powiedzieć o tobie, Demelzo?
- Oczywiście.
- Masz jedną wadę. Niezbyt dobrze myślisz o sobie.
- Och, bardzo dobrze myślę o sobie, Francisie. Byłbyś zaskoczony.
- Bardzo by mnie to zaskoczyło. Przybyłaś do nas jako córka prostego

górnika, wyszłaś za członka starego, zubożałego rodu i przyjęłaś jego standardy za własne. Nie doceniasz swojej wartości, żywotności, nawet tego, jak ważna jesteś dla Rossa. Krew charakteryzuje się dwiema cechami, Demelzo. Pierwsza to rodowód, a druga to świeżość. Ross postąpił mądrze, gdy cię wybrał. Jeśli jest tak rozsądny, jak przypuszczam, kiedyś to zrozumie. Jeśli ty jesteś tak rozsądna, jak powinnaś być, sprawisz, że to zrozumie.

Demelza spoglądała ciepłym wzrokiem na Francisa.

- Jesteś bardzo miły.
- Miły... Widzisz. Właśnie taka jesteś.

– A ty nie? Naprawdę uważam, że jesteś miły. Ale, Francisie, to nie jest takie proste, jak sądzisz. Muszę się porównywać z twoją żoną, która jest śliczna i dobrze wychowana. To nie wszystko. Była pierwszą miłością Rossa. Jak można konkurować z ideałem?

– Nie wierzę, że Ross jest taki niemądry. Moim zdaniem... – Urwał. – Wierzę, że większy szacunek dla ciebie, twoja większa osobista niezależność... Może jestem nielojalny wobec Rossa, ale to prawda. Patrz na jego uczucie do Elizabeth jak na coś nierealnego, zrównoważ to swoją gorącą krwią i rozsądkiem. Jak Elizabeth mogłaby się z tym równać?

- Przecież Elizabeth również ma gorącą krew.

Francis nie odpowiadał przez dłuższą chwilę.

– Nie chcę krytykować Elizabeth, ale niezależnie od tego, co ma, a czego nie ma, brakuje jej do doskonałości. Podobnie jak wszystkim ludziom. Słabo cię znam, ale widzę, jaki wpływ wywierasz na mężczyzn, więc sądzę, że jesteś zdolna utrzymać Rossa przy sobie, jak długo zechcesz.

Uśmiechnęła się do niego lekko.

- Nie mogę mówić, że jesteś miły, więc chcę ci po prostu podziękować.

– Nie mogę ręczyć za Rossa, a jednak jestem prawie pewien... Nie myśl, że zrobił ci łaskę, przyjmując cię do naszej rodziny.

Stała nieruchomo, zamyślona, młoda, krzywiąc usta.

– Przemyślę to wszystko, Francisie. Sądzę, że będę się nad tym zastanawiać przez resztę popołudnia.

– Przemysł też pierwszą sprawę.

– Nie, nie to.

– Tak, to. – Pochylił się i pocałował ją w policzek. – Nikt nie może uniknąć konsekwencji swoich postępów. Bardzo długo próbowałem.

Kiedy Francis wracał do kopalni, znów zaczęło padać. Już dawno nie czuł takiego spokoju ducha – wreszcie zrzucił ciężar z serca. Mówił pod wpływem impulsu, lecz od wielu miesięcy chciał zdradzić Demelzie swój sekret, pogodzić się nie tylko z nią, ale także ze swoim sumieniem. To, że przyjęła jego słowa w naturalny, szczery sposób, sprawiło, że poczuł ogromną ulgę. Demelza i Ross niczego mu nie wybacжали, lecz mógł dalej się z nimi przyjaźnić, całkowicie szczerze.

Wstąpił do cechowni i wziął kilka swoich rzeczy. Sam nie wiedział, po co poszedł w stronę Wheal Grace. Nie miał zamiaru schodzić na dół, jego koń czekał w stajni w Namparze. Pomieszczenie było puste. Kiedy się w nim znalazł, przyszło mu do głowy, że zupełnie nie ma ochoty wracać do domu.

Dwór w Trenwith wywoływał w nim przygnębienie, Elizabeth również. Wiedział, że dobry nastrój szybko go opuści; w tej chwili chciał go za wszelką cenę zatrzymać. Włożył stare drelichowe spodnie i wełniany kaftan.

Deszcz sprawił, że na otwartym powietrzu było niewiele ludzi. W maszynowni jeden z braci Curnow obsługiwał wielką maszynę, która nieustannie wypompowywała wodę z głębin ziemi. Francis wszedł do pomieszczenia, a Curnow pozdrowił go, unosząc rękę do daszka czapki, po czym przeszedł pod ogromnym tłokiem.

– Schodzi pan sam na dół, sir? Jest tu gdzieś Ned Bottrell i mógłby z panem iść.

– Nie, poradzę sobie. Nie będę wysadzać skał, zbiorę tylko próbki.

Po minucie schodził po drabinie głównym szybem. Pierwotnie znajdowała się tam żyła rudy, którą wyeksploatowano na początku istnienia kopalni, toteż szyb nie był pionowy, lecz zapadał się w głąb ziemi pod ostrym kątem zgodnie z przebiegiem złoża. Na trzeciej platformie, na dwieście czterdziestym szczeblu, Francis wszedł do chodnika na poziomie trzydziestu sążni. Cała ta część kopalni była teraz pusta. Reszta górników pracowała na niższym poziomie.

Ruszył do miejsca, gdzie rankiem wysadzano skały. Przechodził przez wąskie szczeliny, wlokąc za sobą oskard; gramolił się po stosach odłamków skał w ogromnych komorach wielkości katedry, mijał szerokie jamy i doły. Później wspinał się do miejsca, gdzie dawni górnicy wyeksploatowali jedną z żył, aż wreszcie dotarł do podziemnej sztolni – obok wciąż znajdowały się resztki zbutwiałego kołowrotu – i zszedł nią jak kominem do starych wyrobisk, gdzie byli dziś rano.

Zauważył, że od chwili ich odejścia woda opadła o trzydzieści centymetrów.

Był to skutek wysadzania skał, lecz najwyraźniej woda w dalszym ciągu nie znalazła ujścia do poziomu odpływowego kopalni.

Powietrze było w tym miejscu gorące i ciężkie; konopna świeca przymocowana do kasku Francisa, jego jedyne źródło światła, zaczęła kopcić. Przez pół godziny usuwał skały z ujścia tunelu, lecz nie wpływała do niego świeża woda, która również była ciepła. Po pewnym czasie wcisnął się do szczeliny znajdującej się około półtora metra nad jej powierzchnią. Z dołu wydawała się wąska, lecz po kilku krokach zmieniła się w chodnik, w którym mógł stanąć wyprostowany.

Zaciekawiony, przeszedł nim mniej więcej trzydzieści metrów, od czasu do czasu skrobiąc pokryte szlamem ściany, aż dotarł do miejsca, gdzie dawni górnicy znów znaleźli żyłę i pozostawili jej część, by wspierała strop tunelu. Później kopali w dół, tworząc coś w rodzaju pochylni. Miejsce to poprzednio również wypełniała woda, o czym świadczyły wilgotne skały i to, że bez przerwy się ślizgał. W końcu okrążył skraj pochylni i wszedł do innego tunelu po przeciwnej stronie.

Chodnik wił się około stu metrów, a później powietrze zaczęło się psuć i Francis zawrócił. W tym momencie coś błysnęło na ścianie w świetle świecy. Pochylił się i potarł to miejsce palcem. Zobaczył malachitową zielen rudy miedzi.

Dawni górnicy nie zauważyli tego miejsca albo zrezygnowali z jego eksploatacji. Mogli mieć rozsądne powody. Istniały inne podobne miejsca. Nie należało być niczego pewnym, dopóki nie wykuło się kilku kawałków rudy, nie zważyło w dłoniach, nie obejrzało w lepszym świetle, by sprawdzić jakość.

Potrzebował oskarda, który zostawił na dnie sztolni przy wejściu do starych wyrobisk. Wystarczyłby kwadrans pracy... Gdyby okazało się, że złożę wygląda obiecująco, zabrałby na powierzchnię kilka próbek.

Byłoby to szczęście, gdyby po tylu miesiącach... Ross wyjechał i Francis zszedł sam do kopalni! Niemądrze spekulować, roić sobie różne rzeczy. Przeżyli już wiele rozczarowań.

Dotarł do skraju pochylni i zatrzymał się, by odetchnąć świeższym powietrzem i otrzeć twarz z potu. Bardzo gorąco. Jeśli to prawda, odkrycie nie tylko da mu nowe prawo do przyjaźni z Rossem, lecz również przywróci szacunek do samego siebie.

Ruszył ostrożnie wokół skraju pochylni i nagle poślizgnął się na zabłoconej skale. Przekreślił się gwałtownie, próbując się ratować, lecz zjechał w dół. Uderzał w ziemię głową i barkami, próbował się czegoś uchwycić, zaprzeć się nogami. Później ku swojemu przerażeniu wpadł do wody i znalazł się pod powierzchnią. Kasłał, parskał, usta wypełnił mu cuchnący płyn, zakrztusił się, zaczął się dusić, ale po chwili wynurzył się w całkowitej ciemności, pływając na stojąco, i próbował znaleźć występ skały, który mógłby uratować mu życie.

Francis nigdy nie umiał dobrze pływać, w najlepszym wypadku potrafił



pokonać dziesięć metrów. Utrzymał się na powierzchni dzięki kaftanowi, który rozpostarł się niczym namiot, po chwili jednak zaczął nasiąkać wodą i wciągać go w głąb. Machał rozpaczliwie rękami, aż wreszcie natrafił na ścianę i przywarł do niej.

Wpadł do wody, lecz zachował jasność umysłu. Przyszło mu do głowy, że może znajdzie miejsce na tyle pochyłe, by się wyczołgać. Nic z tego. Próbował stanąć na jakimś występie ściany, ale natychmiast się ześlizgiwał; czepiał się skał paznokciami, uderzał w nie kolanami i twarzą. Ześlizgnął się pochylnią do podziemnej sztolni. Lot trwał krótko, jednak nie miał pojęcia, jak głęboko znajduje się lustro wody.

Wypluł cuchnącą ciecz. Ciężkie buty ciągnęły go w dół. Tonął w mroku, gdzieś w głębi ziemi, daleko od wygodnego domu i ludzkich głosów. Zdołał uchwycić się czegoś palcami... Powoli, z nieskończonym wysiłkiem, podciągnął się kilkanaście centymetrów.

Trzymając się ściany, był w stanie myśleć. W sztolni ciągle mogła się znajdować drabina na tyle mocna, by dało się po niej wspiąć. Dlatego kiedy odpocznie, musi zebrać odwagę, by opłynąć sztolnię. Była większa niż ta, którą poprzednio schodził, lecz wciąż jeszcze mała. Górnicy mówili o takich sztolniach, że mieści się w nich drabina i wiadro.

To, co mogło stać się jego triumfem, nagle zmieniło się w klęskę. Dwa lata temu w Bodmin przystawił do głowy lufę pistoletu i nacisnął spust. Broń nie wypaliła, bo proch zwilgotniał. Wtedy chciał umrzeć. Śmierć w tej chwili byłaby szczytem ironii.

Próbował zdjąć buty. Bolały go palce, więc zmienił rękę, którą trzymał się skały. Jeden but spadł z nogi. Stał się lżejszy, lżejszy; teraz stary wełniany kaftan. Przestał kasłać, przynajmniej płuca ma czyste. Krzyczeć? Równie dobrze możesz krzyczeć we własnej trumnie, gdy zakrystian sadi kwiatki na cmentarzu.

Niespodzianka, Ross. Weź do ręki ten kawałek skały. Ciężki, prawda? A tak wygląda po skruszeniu młotem. Postanowiłem pogrzebać na dole podczas twojej nieobecności. Przynajmniej coś w końcu uzasadnia twoją wiarę we mnie. Henshawe nie uwierzy własnym oczom...

Drugi but zdjęty. Uwolnij się z kaftana. Jak tu gorąco... Szczur w wiadrze. Kiedyś obserwował szczura w wiadrze, lecz musiał odejść, nim zwierzę zdechło. Uparte istoty czepiające się życia. Bardziej uparte od niego.

Nadszedł dobry moment na opłynięcie sztolni. Dlaczego zawsze czuł się niepewnie w wodzie? W końcu zmusił się, by puścić skałę.

Popłynął dokoła, niezdarnie poruszając nogami, lecz utrzymując się na powierzchni. Całkiem spory szyb, prawdopodobnie o średnicy ponad dwóch metrów, może nie wydobywczy, lecz transportowy, wykorzystywany do wyciągania urobku na powierzchnię.

Ani śladu drabiny i żadnej pewności, że znów znajdzie szczelinę, gdzie poprzednio wsunął palce. Ogarnęła go panika. Wydobył z siebie straszliwy krzyk, który odbił się echem w ciasnej przestrzeni. Hałas dodawał otuchy, podobnie jak światło.

Nie znalazł szczeliny, tylko gwóźdź. Była tu kiedyś drabina, lecz zbutwiała i rozpadła się ze starości. Spróbuj znaleźć jakieś wgłębienie w skale, gdzie mógłbyś wsunąć stopę. Żadnej niszy na dole... W górze też nie ma się czego chwycić. Zardzewiały piętnastocentymetrowy gwóźdź wydawał się lepszy od szczeliny. Może się go trzymać przez długi czas. Rzeczywiście, wygląda na to, że spędzi tu dużo czasu.

Spróbował zapanować nad strachem, zapomnieć o samotności i mroku, zastanowić się. Zszedł pod ziemię około czwartej. Kopalnia pracowała na trzy zmiany, następna szychta rozpoczynała się o dziesiątej. Jeśli teraz była piąta, może upłynąć pięć godzin, nim ktoś zauważy w cechowni ubranie i zacznie się zastanawiać, gdzie jest jego właściciel. Ross pojechał do Truro, wróci późno. Demelza – dlaczego miałaby się o niego niepokoić? Jego koń został w stajni w Namparze. Demelza lada chwila może zauważyć zwierzę albo później powie jej o nim Gimlett... Ale upłyną godziny, nim coś zrobią.

Trenwith. Elizabeth się zaniepokoi? Dopiero o siódmej.

Tak czy inaczej, wiele godzin. Nawet jeśli zostanie wszczęty alarm, poszukiwania zajmą dużo czasu. Francis przypomniał sobie kręte, ciemne chodniki prowadzące do głównego szybu – przebył tę drogę, od światła dnia i powietrza oddzielała go ogromna masa skał. Powietrze w sztolni było nieświeże i duszące. Czekały go godziny cierpliwego oczekiwania, godziny wysiłku. Jeśli palce odmówią mu posłuszeństwa, utonie długo przed przybyciem pomocy.

Największym wrogiem jest strach. Drugim zdrajcą ciemność. Jasność opuściła świat. Nic nie lśni – ani gładka woda, ani metal, ani kamień. Francis w dalszym ciągu nie wiedział, ile metrów pod krawędzią sztolni się znajduje, ale przyszła mu do głowy ponura myśl, że gdyby rankiem nie wysadzali skał i woda nie spłynęłaby niżej, ta sztolnia mogłaby być zalana. Wtedy wystarczyłoby wdrapać się na górę po śliskiej pochylni.

Po raz dwudziesty zmienił rękę i nagle gwóźdź się poruszył. Strach ścisnął mu gardło i zaczął krzyczeć, z całych sił, raz po raz. Ratunku! Ratunku! Ratunku! Jestem uwięziony w głębi ziemi! Nie dwa metry pod ziemią, ale siedemdziesiąt; ślepy, lecz nie głuchy, drżący w ciepłej wodzie, a tymczasem ostatnia nadzieja ratunku zaczyna szwankować – gwóźdź, zardzewiały gwóźdź...

Próbował się przekonać, że powinien się puścić i znów popłynąć w mroku wokół sztolni. Poprzednio mógł przeoczyć lepsze miejsce, którego da się uchwycić. Ale w tej chwili nie miał już odwagi próbować, bo mógłby nigdy nie odnaleźć tego gwoździa.

Mijał czas. Usiłował liczyć. Godzina to sześćdziesiąt minut. Przypuszczał, że minęły trzy godziny. Musi już być po ósmej. Ktoś wkrótce się pojawi. Oczywiście najpierw pójdą do miejsca, gdzie rankiem wysadzał skały. Kapanie wody... Francis po raz kolejny wyobraził sobie, że to kroki ludzi, którzy przyszedli go uratować. Aby zachować rozum, policzył do dwustu, krzyknął i znów zaczął liczyć. Kręciło mu się w głowie. Bolały go ramiona. Często miał skurcze, a nogi były jak z ołowiu, spuchnięte i martwe. Czasem zapominał kolejności liczb i rozmawiał z ludźmi, którzy podpływali do niego w wodzie. Ze swoim artretycznym, łatwo wpadającym w irytację, purpurowym na twarzy ojcem. „Francisie, Francisie, gdzie jesteś, chłopcze?”. Ciotka Agatha, nie taka jak teraz, ale młodsza i poważna, bujająca go na kolanie. Biegł po piaszczystej plaży Hendrawna, ścigany przez Rossa. Ich stopy lśniły w słońcu.

Znów usiłował liczyć, po czym nagle usłyszał trzask pękającego drewna. Uniósł oczy i zobaczył Rossa klęczącego na krawędzi szybu i wyciągającego rękę, by mu pomóc. „Na Boga, dlaczego nie nauczyłeś się pływać?” – spytał kwaśno Ross, a Francis rozpaczliwie wyciągnął rękę, by chwycić dłoń kuzyna. Ich palce prawie się zetknęły, a później wir brudnej wody zamknął się nad ustami i nosem Francisca. Szamotał się, by znowu wydostać się na powierzchnię. Puścił gwóźdź i o mało nie stracił życia, marząc o ratunku. Obudziła go tylko śmierć, tylko śmierć i automatyczne reakcje organizmu. Tak będzie za każdym razem, aż do końca.

Spróbuj się uspokoić. Jutro o tej porze... Za kilka tygodni będziesz się śmiał z tej przygody. Albo umrzesz... Jutro o tej porze będziesz leżał w wygodnym łóżku, wracając do zdrowia. Albo jako spuchnięty trup w wielkiej sieni dworu w Trenwith, przykryty całunem, czekający na pogrzeb.

Tracił oddech. To było najgorsze. Gdyby teraz krzyknął, musiałby dyszeć przez pół minuty, by dojść do siebie. Było już dobrze po dziesiątej. Ktoś wkrótce musi się pojawić. Nie może zniknąć bez śladu, ktoś musi to zauważyć! Curnow wiedział, że Francis schodzi na dół. Zaniepokoją się. Zaczną się zastanawiać. Przecież mają rozum! Henshawe często przychodzi do kopalni między piątą a szóstą. Zwykle sprawdza z Rossem i Francisem, jak idzie robota. Nie dzisiaj. Naturalnie, że nie dzisiaj.

Francis wydał z siebie piskliwy krzyk, prawie wrzask. Umilkł, chwytając ustami powietrze. Gwóźdź nagle się poruszył w zbolących rękach. Wypadnie przy najmniejszym ruchu.

– Ratunku! Ratunku! – zawołał. – Ratunku! Ratunku! – Powtórzył te słowa kilkanaście razy, potem znowu. Trwało to bardzo długo, aż wreszcie zaczął tracić głos. Wydechy były równie chrapliwe jak wdechy. Po policzkach Francisca spływały łzy.

Mam teraz powód do życia! O Boże, nie chcę umierać...

Mniej więcej w tym samym czasie Elizabeth zamknęła książkę, z której

uczyła Geoffrey'a Charlesa czytać.

– Pora na kolację, kochany. Papa wkrótce wróci do domu, a wiesz, że lubi, gdy przed siódmą leżysz w łóżku.

– Jeszcze trochę, mamo.

– Nie, i tak nauczyliśmy się dziś dłużej niż zwykle.

– Mogę pobawić się na dworze do powrotu taty?

– Nie, kochanie. Możesz się bawić do kolacji. Nie odchodź daleko. Musisz słyszeć, jak cię zawołam... I włóż czapkę!

Geoffrey Charles wypadł galopem z salonu, a Elizabeth zerknęła na zegar. Było prawie wpół do siódmej.

## Rozdział siódmy

Ross wrócił tuż przed ósmą. Zastał Demelzę na górze. Po raz piąty naprawiała zasłony w północnych oknach sypialni. Nie słyszała jego przyjazdu.

– Ach, to ty, Ross! Wróciłeś wcześniej, niż się spodziewałam! Jadłeś kolację?

– Tak. Co robisz?

– Zszywam rozdarcie zrobione dziś rano przez Jeremy’ego. Chwyta zasłony, by utrzymać równowagę.

– Wkrótce całe będą pozszywane.

– Nie jest jeszcze tak źle. Co było w liście, który dostałeś?

Usiadł na krześle i zaczął ściągać buty. Demelza podeszła, a on pozwolił jej sobie pomóc. Był to zwyczaj z dawnych czasów, który z jakichś powodów postanowiła zachować. Kiedy ściągała mu buty, opowiedział jej o treści listu.

– Czy to prawda z tym wekslem? – spytała.

Skinął głową.

– Prawda. Pożyczając pieniądze, interesowałem się głównie tym, by je zdobyć, a formalności wydawały mi się obojętne. Poszedłem do Pearce’a i to on pierwszy wspomniał o drugiej hipotece. Następnego dnia przygotował pieniądze, podpisałem dokument... Uznawałem to za rodzaj zabezpieczenia hipotecznego, choć w rzeczywistości był to skrypt dłużny, weksel sola. Chyba nawet o tym wiedziałem, ale wtedy nie przywiązywałem do tego wagi. Nie byłoby to ważne, gdyby Pearce zatrzymał go w swoim posiadaniu jak przyjaciel i uczciwy człowiek. Pojechałem z nim porozmawiać. Czy uważasz, że jestem brutalny, Demelzo?

– Potraktowałeś go brutalnie?

– Nie tknąłem go, ale zachowywałem się brutalnie. Walilem pięścią w stół i zламаłem pokrywkę jego tabakierki. Trząśnięcie było jak galareta, kupa łoj. Najgorsze już się stało. Weksel zmienił właściciela, jak napisał Pascoe, i teraz ma go Cary Warleggan. Musimy stawić czoło sytuacji.

– Nie próbowałeś z nim rozmawiać?

– Odwiedziłem jego dom, ale wyjechał. Chyba naprawdę, bo okiennice były zamknięte.

– I co teraz, Ross?

– Do listopada Warlegganowie nie będą w stanie nic zrobić. Później mogą mi dać miesiąc na wykupienie weksla. W grudniu muszę zdobyć tysiąc czterysta funtów lub ogłosić bankructwo.

Demelza postawiła buty Rossa obok fotela, lecz w dalszym ciągu klęczała, opierając łokcie na jego kolanach. Nie patrzyła na niego, tylko w przestrzeń.

– Możemy pożyczyć pieniądze od kogoś innego?

– Nie wiem.  
– Co zrobisz?  
– Zostało siedem tygodni do wezwania do zapłaty, muszę za to podziękować Pascoe'owi. I następne cztery tygodnie, nim będę zobowiązany przekazać gotówkę.  
Demelzie nie podobał się wyraz twarzy Rossa. Podniosła się z kolan.  
– Jesteś pewien, że Cary zażąda spłaty?  
– Nie zrobiłabyś tego, gdybyś nienawidziła mnie tak samo jak on?  
– Widziałam go kiedykolwiek?  
– Na przyjęciu. Ma pięćdziesiąt kilka lat, małe oczka i niepokojące spojrzenie. George, chociaż go nie znoszę, wyznaje pewne zasady, tak przynajmniej sędzę. Cary nie ma żadnych skrupułów. To lichwiarz, padlinożerca. George został przyjęty przez większość towarzystwa. Wkrótce zostanie przyjęty przez wszystkich. Narzucą mu swoje zasady. Ojciec, Nicholas, to oczywiście dość szacowny człowiek. Najbardziej zniechęconym członkiem rodziny jest właśnie Cary.

Demelza zadrżała.

– Bardzo chciałabym móc zarobić pieniądze, Ross. Chciałabym ci jakoś pomóc. W tej chwili tylko zszywam zasłony, opiekuję się dzieckiem, zajmuję gospodarstwem, gotuję posiłki i...

– To praca wypełniająca cały czas.

– Ale nie ma z tego żadnych pieniędzy! Nawet jednej sztuki złota. Tysiąc czterysta funtów! Ukradłabym je, gdybym mogła. Zostałabym rozbójnikiem albo włamała się do banku! Harris Pascoe nawet nie zauważyłby, że mu ich brakuje. Dlaczego ci nie pożyczysz?

Ross obrzucił Demelzę baczny spojrzeniem i ironicznie się uśmiechnął.

– To coś zupełnie nowego. Jak dotąd zawsze nalegałaś, bym przestrzegał prawa...

Urwał, bo rozległo się pukanie do drzwi. Był to Gimlett. Oznajmił, że na dole czeka Tabb, który chciałby wiedzieć, czy pan Francis ciągle tu jest.

– Tutaj? Oczywiście, że nie. – Ross popatrzył na Demelzę. – O której wyszedł?

– Jakąś godzinę po tobie. Poszedł w stronę kopalni. Przynajmniej...

– Jest tu ciągle jego koń – powiedział Gimlett. – Nakarmiłem go, ale nie wspominałem o tym pani, bo myślałem, że pani wie.

Ross przepchnął się obok służącego i zszedł na dół. Tabb stał w salonie. Wyjaśnił, że pani Poldark się niepokoi, więc przysłała go, by sprawdził, czy panu Francisowi nic się nie stało. Teraz, gdy szybko zapada zmrok, pan Poldark zwykle wraca do domu przed siódmą. Ross poszedł do stajni. Rzeczywiście, stał tam koń Francis'a – na dźwięk kroków wyczekująco uniósł łeb.

Demelza podążyła za mężem.

– Czy coś mówił, kiedy wychodził? – spytał Ross. – Może poszedł do Mongoose. Jedź do Mongoose, dobrze? – zwrócił się do Tabba. – Ja tymczasem pójde do kopalni i dowiem się, jak długo tam był i w którym kierunku się udał.

Zza chmur wyjrzał księżyc w nowiu. Ustała mżawka. Demelza poszła z Rossem, podbiegając od czasu do czasu, by nie zostawać z tyłu, choć stawiała długie kroki. Maszynownia była oświetlona, w dwóch szopach również paliły się światła.

Ross wszedł do cechowni, gdzie płonęła latarnia. Na kołku wisiało codzienne ubranie Francisa.

Demelza czekała na zewnątrz. Była zamyślona.

– Sądzę, że ciągle może być w kopalni.

– W kopalni? Ależ Ross...

Patrzyli na siebie przez chwilę. Żadne się nie odezwało.

Szychta zwykle trwała osiem godzin, lecz maszyniści pracowali po dwanaście. Zmienili się o ósmej i szefem był teraz starszy z braci Curnow. Powiedział, że jego brat o niczym nie wspominał, gdy wychodził. W tym samym momencie do maszynowni wszedł nadsztygar Henshawe i Ross wyjaśnił mu, co się stało.

– Cóż, mógł się zasiedzieć na dole, zapomnieć, która godzina, panie kapitanie, ale nie sądzę. Proszę chwilę poczekać, to przyprawdę kilku ludzi, którzy z nami zejdą.

Demelza stała w maszynowni. Powolne, regularne sapanie wielkiej maszyny parowej przypominało oddech zwierzęcia, ogromnego wieloryba wyrzuconego na brzeg i konającego na wilgotnym piasku. Ogarnęło ją dziwne fatalistyczne przeczucie. Nie mogła wiedzieć, a jednak wiedziała.

Pojawili się inni mężczyźni i patrzyli, jak Ross, Henshawe, Jack Carter i młody Joe Nanfan wchodzi do windy i zjeżdżają w dół. Kiedy zniknęli, wszyscy zbili się w grupkę. Demelza zdawała sobie sprawę, że czuliby się lepiej, gdyby jej nie było. Córka górnika, która została żoną ziemianina, szczególnie ich deprimowała.

Zmusiła się jednak, by do nich podejść, i spytała, czy któryś widział po południu Francisa. Poprosiła, by ktoś poszedł do Daniela Curnowa sprawdzić, co wie.

Później nastąpiło długie oczekiwanie. Gimlett wymknął się z domu i teraz stał obok Demelzy.

– Wiatr jest zimny, pani, może przyniosę płaszcz?

– Nie... dziękuję. – Nie czuła chłodu nocy, lecz wewnętrzny chłód, i żaden płaszcz nie mógłby jej ogrzać.

Tabb wrócił galopem. Francisa nie było w Mongoose.

– Lepiej powiedz pani Poldark – rzekła Demelza.

– Dobrze, pani.

– Nie, zaczekaj. Zaczekaj jeszcze chwilę.

Spoglądając do tyłu, Demelza widziała światło w oknie sypialni w Namparze, gdzie zostawiła płonąca świecę. Za domem i po prawej stronie rozciągał się ocean, którego czarne serce przebijał sztylet księżycy. „Nikt nie może uniknąć konsekwencji swoich postępów – powiedział tego popołudnia Francis. – Bardzo długo próbowałem”.

Jeden z górników wrócił z chaty Dana Curnowa. Około czwartej Curnow widział, jak Francis schodzi do kopalni, lecz nie zauważył, by wychodził. Nie przyszło mu do głowy wspomnieć o tym bratu. Peter Curnow splunął z niesmakiem.

Parę minut później po drabinie szybko wyszedł jeden z górników. Był to Ellery, pracujący na poziomie sześćdziesięciu sążni. Wezwano kilku ludzi z szychty, którzy pomagali w poszukiwaniach. Nie odnaleziono Francisa, ale w pobliżu miejsca, gdzie rankiem wysadzano skały, z wody wystawał trzonek jego oskarda.

Demelza spojrzała na Tabba.

– Chyba powinienś przyprować swoją panią.

Do chodnika, do którego wcześniej wszedł Francis, jako pierwszy zajrzał Ross. Niósł w ręce latarnię i podobnie jak Francis zdziwił się, że tunel wydaje się długi. Skinął na Henshawę, by podążył za nim.

Krzyczeli do zmęczenia. Ich głosy odbijały się echem od skalnych ścian albo pochłaniała je ciemność. Dotarli do pochylni i próbowali przejść na drugą stronę, ale Ross poślizgnął się na wilgotnej skale i Henshawe musiał złapać go za rękę.

– Dziękuję. To miejsce jest... – Ross odzyskał równowagę, ukucnął i poświecił latarnią w głąb szybu. W dole lśniła woda, na której unosił się górniczy kask. Obok pływało coś jeszcze. – Ma pan linę?

– Tak...

– Niech mnie pan obwiąże w pasie.

Zszedł na dół i odnalazł zwłoki unoszące się na wodzie. Francis nie żył od godziny. W jednej ręce trzymał zardzewiały gwóźdź. Zaciskał na nim palce tak mocno, że ledwo je rozgięto.



*KSIĘGA DRUGA*

## *Rozdział pierwszy*

Późnym popołudniem w połowie listopada tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku głównym gościńcem biegnącym z Truro na daleki zachód szybko jechała prywatna karetka. Siąpiła mżawka, jak prawie codziennie w ciągu tego straszliwego roku, a w lasach rosnących wzdłuż drogi panował mrok i snuły się mgły. Gościńiec był zaniedbany, z mnóstwem dziur i głębokich kolein wypełnionych błotem, ale woźnica, który jechał tędy po raz pierwszy, nieustannie poganiał batem konie, bo wkrótce miał zapaść zmrok, a nie podobały mu się okoliczne lasy. Jego pani powiedziała, że są już blisko domu, ale kobiety często błędnie oceniają odległość, a na tym dzikim pustkowiu byłoby łatwym łupem dla opryszka mogącego przypadkiem czaić się w pobliżu.

Kiedy wyjechali z gęstego zagajnika, gdzie droga biegła niemal tunelem wśród drzew, woźnica poczuł przypływ trwogi na widok mężczyzny stojącego obok konia na poboczu gościńca. Jadąc dziś rano przez te dzikie, bagniste pustkowie, przeklinał się, że przyjął pracę u tej upartej, zwariowanej dziewczyny. Oto właśnie rezultat. Stanął na koźle i zaciął konie batem, ale gdy skoczyły do przodu, karetka wpadła w głęboką dziurę i tak gwałtownie się przechyliła, że woźnica o mało nie spadł na ziemię. Powóz znów nabrał prędkości i minęli mężczyznę, który nie okazał prawie żadnego zainteresowania, tylko uniósł głowę.

Znajdowali się kilkadziesiąt metrów za nim, kiedy głośnie pukanie zmusiło woźnicę do otwarcia okienka w przedniej ścianie karety. Pani kazała mu się zatrzymać.

– Wszystko w porządku. Nic się nie stało. Konie...

– Zatrzymaj się, powtarzam. Chcę porozmawiać z tym dżentelmenem.

Woźnica z ponurą miną ściągnął cugle. Tylne koła ugrzęzły głęboko w błocie, a samotny jeździec, zajęty koniem, ponownie uniósł głowę. Był zbyt daleko, aby słyszeć rozmowę, lecz po chwili woźnica zeskoczył na ziemię i podszedł do niego błotnistą drogą.

– Kapitan Poldark?

– Tak?

– Panna Penvenen chciałaby zamienić z panem kilka słów.

W karecie znajdowały się dwie kobiety: dama i pokojówka. Ross zdjął kapelusz, a Caroline wyciągnęła dłoń w zielonej rękawicze.

– Późno stoi pan na gościńcu. Mój woźnica uznał pana za rozbójnika.

– Gdybym nim był, wybrałbym bardziej uczęszczany trakt. Tu można by czekać sześć albo siedem dni i nie spotkać ani jednego powozu.

– Och, jestem bardzo biedna, kapitanie – odparła Caroline. – Ale mówiąc poważnie, pomyślałam, że może pan mieć kłopoty.

– Dziękuję, to drobnostka. Moja klacz zgubiła podkowę.

– Ależ to wcale nie drobnostka. Co pan teraz zrobi? Wróci do domu na piechotę? To bardzo daleka i męcząca droga.

– Mogę podkuć konia w Chasewater. Wraca pani do Kornwalii, panno Penvenen?

– Jak pan widzi. Zbyt wcześnie na Boże Narodzenie i za późno na obchody spisku prochowego. Dlaczego nie pojedzie pan z nami do Killewarren i nie pożyczycy jednego z koni stryja? Każemy podkuć pańską klacz i rano ją odeślemy.

Ross się zawahał. Był zmęczony, mokry i przygnębiony, więc propozycja wydawała się kusząca. Ale miał się trochę na baczności przed tą pewną siebie młodą kobietą.

– Dziękuję. Może mógłbym podjechać do gościńca do Chasewater?

– Wkrótce skręcamy. Baker, przywiąż porządnie do karety klacz kapitana Poldarka. Proszę, jedź powoli, nie musisz się już obawiać opryszków, skoro jesteśmy pod opieką jednego z nich.

Był to tylko żart, ale Eleanor, pokojówka, zastanawiała się, czy jej pani nie mówi poważnie. Spoglądała z otwartymi ustami na wysokiego mężczyznę siedzącego w niewygodnej pozycji naprzeciwko, w zabłoconych butach, z oczyma zasłoniętymi ciężkimi powiekami i blizną na policzku.

Caroline, może również nieco zaskoczona roślnością Poldarka w ciasnej przestrzeni, poczuła się mniej swobodnie, niż chciała, i zmieniła temat.

– Było mi bardzo przykro, gdy dowiedziałam się o śmierci pańskiego kuzyna. Stryj Ray nie pisze do mnie zbyt często, ale poinformował mnie o tym. Tragiczne wydarzenie. Wydaje mi się, że od naszego spotkania u Trevaunance'ów minął zaledwie dzień.

– Rzeczywiście, czas pędzi. Bardzo nam brakuje Francisa.

– Mam nadzieję, że nie zmusiło to pana do wstrzymania robót w kopalni. Byliście współnikami.

– Ciągłe kopiemy. Udało nam się uniknąć przerwy w pracy.

– Kopalnia przynosi zyski?

Ross spojrzał Caroline w oczy. Miały szczery wyraz.

– Nie przynosi.

– Chyba powinien pan dodać: na razie. Stryj William mówi, że jeśli wojna się rozprzestrzeni, wzrosną ceny metali. Czy wdowa po Francisie zamierza mieszkać samotnie w tym wielkim dworze?

– Myślę, że w końcu sprowadzą się tam jej rodzice. Ale nie jest sama. Ma syna, ciotkę i dwoje służących.

– A doktor Enys?

Cóż, przynajmniej nie owija w bawełnę.

– Pracowity jak zawsze.

– Pracowity?  
– Nie miałem na myśli niczego uwłaczającego.  
– Naturalnie powinnam była się domyślić – odparła Caroline. – Podczas ostatniego spotkania zawarliśmy sojusz w jego obronie.  
– Myślę, że nie będzie już potrzebował sojuszników. W tamtym czasie wszyscy oskarżali go, że zabił starego Ellery’ego, a teraz go podziwiają, bo wyleczył wiejską dziewczynę, która utykała.

Caroline szybko uniosła głowę.

– Rosinę Hoblyn?  
– Och, zna ją pani?  
– Ze słyszenia. Dwight wspominał o niej. Wyleczył ją?!  
– Tak. Chodzi prosto jak pani czy ja, a wieśniacy uważają Dwighta za cudotwórcę.  
– Jakież to zajmujące! Jak mu się udało to osiągnąć?  
– Potrafi to wytłumaczyć, ale nikt się tym nie interesuje. W zeszłą sobotę przed jego domem czekało czternastu ludzi.

Caroline uśmiechnęła się i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Latarnia na dachu, którą zapalono po wejściu Rossa, kołysała się w takt karety, a wyraz twarzy Caroline zdawał się zmieniać wśród cieni.

Kiedy skręcili z głównej drogi, Ross spytał:

– O której godzinie stryj pani oczekuje?  
– Nie oczekuje mnie.  
– Och... Rozumiem, to nagła decyzja...  
– Wcale nie nagła, kapitanie. Starannie przemyślana. Kareta, wynajęty woźnica, spakowany bagaż. Stryj Ray mnie nie zaprosił, ale prawdopodobnie nie zdąży otrzymać listu z ostrzeżeniem od stryja Williama przed moim przyjazdem, bo jedziemy szybciej niż dyliżans pocztowy. – Roześmiała się na widok miny Rossa. – Tak się zachowują ludzie, którzy uzyskali niezależność. Pamięta pan, rozmawialiśmy o tym na przyjęciu u Trevaunance’a.

A zatem Caroline zamierza zdobyć Dwighta, pomyślał Ross. Ciekawe, czy jej się uda. Dlaczego wsiadłem do karety i skorzystałem z jej uprzejmości? Niech diabli porwą kobiety! I natychmiast, mimo woli, przypomniał sobie inną kobietę, Elizabeth, kruchą w czarnym żałobnym welonie, ciągle poza zasięgiem, lecz niebezpiecznie bliską. Jego pierwsza miłość, odwzajemniona – tak powiedziała – teraz całkowicie zależna od niego we wszystkich sprawach. Muszą widywać się częściej. Syn Elizabeth, Geoffrey Charles, jest właścicielem połowy udziałów w kopalni, a matka zarządza jego majątkiem. Ross jest jej jedynym bliskim krewnym płci męskiej, głową rodu Poldarków i wraz z Elizabeth wykonawcą testamentu stryjecznego brata.

Śmierć Francisa spowodowała dziwną pustkę w życiu okolicy. Ciążyły na

nim różnego rodzaju obowiązki, które teraz musiał przejąć Ross. Wielebny Odgers, wikary Sawle i wioski Gambler, nieustannie zwracał się do Rossa w różnych sprawach; uważał nawet, że Ross powinien siedzieć w kościele w ławce Poldarków i co tydzień dokarmiać rodzinę Odgersów. Należało również znaleźć nowego sędziego. Poldarkowie sprawowali tę funkcję od czasów Wilhelma Orańskiego i Marii Stuart. Czy można mianować sędzią człowieka, który wcześniej manifestował pogardę dla wymiaru sprawiedliwości? Wszystko to rodziło wiele trudności.

W karecie zapadła cisza. Tego dnia Ross czuł, że znalazł się na dnie – prześladował go pech, był bardzo przygnębiony. Poprzedniego dnia otrzymał oficjalny list od Cary’ego Warleggana żądającego spłaty weksla w ciągu miesiąca i dziś Ross podjął ostatnią próbę zdobycia pieniędzy. Uzyskanie kredytu nie było w tej chwili łatwe, lecz nie na tym polegała główna trudność. Największą przeszkodę stanowiła Wheal Grace. Wszyscy zainteresowani górnictwem wiedzieli, że kopalnia jest na skraju bankructwa. Można pożyczyć tysiąc funtów ziemianinowi w potrzebie i zdecydować się na ryzyko ze względu na wysokie odsetki, ale nikt nie pożyczy pieniędzy człowiekowi, którego kopalnia ma wkrótce splajtować. Każdy pomyśli, że jego kapitał przepadnie. Nie ulegało wątpliwości, że właśnie dlatego Nathaniel Pearce pozbył się weksla, zadowolony, że ma kłopot z głowy – szanse jego spłaty były niewielkie.

Ross nie miałby do niego większych pretensji, gdyby weksel nie przeszedł w ręce Warlegganów. Lecz oczywiście i tak nie kupiłby go nikt oprócz Warlegganów. Nie zależało im na pieniądzach, chcieli zniszczyć wystawcę.

Mniej więcej tydzień po śmierci Francisa, w chodniku, w którym tego dnia pracował, znaleziono niewielką ilość dobrej rudy – do podobnego odkrycia doszło we wrześniu. Mark Daniel umyślnie postanowił zniknąć w zamieszaniu panującym we Francji i nikt nie potrafił go odnaleźć. W niektórych regionach Anglii ciągle leżało na polach poczerniałe zboże. Francuzi, cudownie ocaleni dzięki lenistwu swoich wrogów, odzyskali animusz, sformowali nowe armie i przed tygodniem zdobyli Brukselę. Wszyscy obawiali się głodu i wojny.

W końcu kareta skręciła do bramy Killewarren. Woźnica ostrożnie podązał okolonym krzewami podjazdem w stronę latarni nad frontowymi drzwiami. Musiał zadzwonić trzy razy, nim otworzyła je służąca, która na ich widok wykrzyknęła:

– Ależ to panna Caroline, wielki Boże, dziś rano sprzątaliśmy pani pokój! Prosimy, prosimy! Czy pan oczekuje na pani przybycie?

Ross wszedł za Caroline do przedsionka. Dom, zamieszkiwany przez mężczyznę tak pełnego ciepła, wydawał się bardzo zwyczajny, lekko pretensjonalny, lecz nic więcej. Trzy świece w kulistych osłonach ze szkła oświetlały lśniące dębowe kredensy i marmurowe popiersia u stóp wąskich schodów.

– Jeśli pani pozwoli, nie będę dziś po południu przeszkadzał pani stryjowi. Wiem, że jest pani zmęczona po podróży, a on ucieszy się, że znowu panią widzi.

Caroline uśmiechnęła się do Rossa i rozwiązała tasiemki kapelusza.

– Nie ucieszy się tak bardzo, jak pan przypuszcza – odrzekła cicho. – Dlatego miło byłoby, gdyby zechciał pan poczekać w domu, aż osiodłają panu nowego konia. Proszę się nie obawiać, że stryj zatrzyma pana zbyt długo. Co najwyżej poczęstuje pana kieliszkiem wina. Kiedy tu jestem, staje się trochę bardziej gościnny, ale nie było mnie kilka miesięcy i spodziewam się, że wrócił do starych przyzwyczajeń.

Demelza posłała po Dwighta około siódmej, a ponieważ był wolny, natychmiast przyszedł i zbadał Jeremy'ego.

– To nic groźnego, po prostu zapalenie gardła i trochę podwyższona temperatura. Łatwo się przegrzewa.

– Zbyt łatwo – odparła Demelza, która zwykle tolerowała kaprysy Jeremy'ego. – W takich chwilach zawsze myślę o Julii i dostaję dreszczy. Julia nigdy się tak nie zachowywała, przynajmniej przed ostatnią chorobą...

– Dzieci bywają różne, jedne reagują tak, a inne inaczej. Ale chcę, żebyś mnie zawsze wzywała, na wszelki wypadek. Rossa nie ma?

– Pojechał do Truro w interesach, a potem miał wpaść do Redruth, by się zobaczyć z Trevithickiem. Coś jest nie tak z maszyną, chociaż uważam, że za bardzo się tym przejmuje. – Pochyliła się szybko, by złapać Jeremy'ego, który biegł chwiejnie w jej stronę. Spojrzała z ukosa na młodego lekarza, chcąc zobaczyć jego reakcję. Na czoło opadł jej kosmyk włosów. – Myślisz, że go rozpieszczam, Dwight?

Enys się uśmiechnął.

– Tak. Ale to naturalne i słuszne. Za trzy lub cztery lata wszystko się zmieni...

– Nie chcę go wychowywać tak jak Elizabeth Geoffreya Charlesa.

– Nie martw się z tego powodu. Popatrz na niego, jest dwa razy większy niż kilka miesięcy temu... – Dwight nagle urwał. – Czy to Ross?

– Tak myślę. Jest bardzo spóźniony. – Demelza podeszła do okna i wyjrzała.

– Tak, ale na innym koniu. Mam nadzieję, że nic się nie stało.

W tej chwili nie mogła odejść od Jeremy'ego, a kiedy wreszcie położyła go do łóżeczka i zeszła na dół, Ross siedział już w salonie i nalegał, by Dwight został na kolacji. Młody lekarz początkowo się wymawiał, lecz Ross nie zwracał na to uwagi. W końcu lekarz z uśmiechem skapitulował i pani Gimlett przyniosła trzecie nakrycie.

– Potrzebujemy towarzystwa, Dwight – powiedział Ross. – W ostatnich dniach jesteśmy w kiepskich nastrojach, a ty masz obowiązek nie tylko dbać o nasze zdrowie fizyczne, ale też mieć na względzie dobro moralne. Jeśli ktoś

połamał sobie dziś wieczorem kości, szybko cię tu wytropią, więc miej spokojne sumienie.

– Mam spokojne sumienie. Ale przykro mi z powodu twoich kłopotów.

– Powiem ci więcej później. Przez cały dzień próbowałem zdobyć pieniądze i mogę rozmawiać na ten temat tylko z pełnym żołądkiem.

– Mam nadzieję, że nie sprzedałeś Czarnulki – powiedziała Demelza. – Zepsułoby mi to całą kolację.

– Nie... Zgubiła podkowę w pobliżu Stickler's Wood. Zaproponowano mi podwiezienie prywatną karetą do Killewarren, więc wróciłem do domu na wynajętym koniu.

Nagle zapadła cisza. Demelza uniosła brwi.

– Killewarren? Spotkałeś karete Penvenena?

– Ray Penvenen nie ma własnej karety – rzekł Dwight.

– Spotkałem Caroline Penvenen – powiedział Ross. – Przyjechała z Londynu... a może z Oksfordu? Stryj się jej nie spodziewa. Wiedziałeś, że ma przyjechać, Dwight?

– Tak...

– Chyba chciała zrobić stryjowi niespodziankę – stwierdziła Demelza, by wypełnić chwilę ciszy. – Kiedy ostatnio była w naszych stronach: w maju czy w czerwcu? Posiadanie dwóch domów musi być dziwne. – Żaden z mężczyzn się nie odezwał, a ona pochyliła się do przodu i zgasła jedną ze świec. – Odeślą jutro Czarnulkę, Ross?

– Nie musimy o tym rozmawiać, jeśli nie chcesz, Dwight, ale jesteśmy starymi przyjaciółmi i czasami dobrze jest wyrzucić to, co leży na sercu. Caroline pytała, jak się miewasz, i ma nadzieję wkrótce cię zobaczyć.

– Jak ją powitał stryj?

– Niezbyt miło. Miałem wrażenie, że była rada z mojej obecności. Trudno jej się oprzeć, gdy stara się być miła, jak zapewne wiesz, i gdy odjeżdżałem, stryj wydawał się udobruchany.

Dwight obracał w szczupłych dłoniach koronkową serwetkę.

– Jesteście moimi starymi, najlepszymi przyjaciółmi. Jeśli z rozmowy o mnie i Caroline wyniknie coś dobrego, chętnie o tym porozmawiam. Ale nie widzę żadnego... Może jestem wam winien jakieś wyjaśnienie i w tym przypadku...

– Nie jesteś nam niczego winien – odparł Ross. – Ale przykro mi, że sytuacja nie została wyjaśniona. Wiesz, jak to czasem bywa...

– Mówisz o tym, co się stało poprzednim razem. Teraz niebezpieczeństwa są inne, prawda? Cóż, przyznaję, że jestem zakochany w Caroline i że korespondujemy ze sobą. Ona znowu tu przyjechała i wkrótce się spotkamy, na dobre czy na złe. Nie mam pieniędzy, a Caroline ma ich mnóstwo, więc ten związek... Bardzo jej nie lubisz?

Pytanie było skierowane do Demelzy i bardzo ją zdziwiło.

– Nie, Dwight. Nie znam jej, zamieniłam z nią tylko kilka słów. Trudno nie lubić kogoś, kogo się nie zna. Nie jestem najlepszym sędzią.

– Ani ja – dodał Ross. – Ale myślę, że dziś zmieniłem o niej zdanie, i nie umiem wyjaśnić dlaczego. Z pewnością nie dlatego, że zapronowała mi podwiezienie...

– Jest w niej jakaś twardość – mówił powoli Dwight. – Byłbym głupcem, gdybym temu zaprzeczał. To trochę jak... krucha lśniąca zbroja, pancerz ochronny. Pod spodem kryje się tyle... Tak czy inaczej, tego wszystkiego nie da się zmierzyć. To czary, alchemia, zbyt subtelna, by ją zdefiniować.

– Tak – odparł Ross, który nagle pomyślał o Elizabeth.

Demelza spojrzała na męża i jakby za sprawą telepatii wyczuła, o kim myśli.

– To nie jest dobry związek, nie ma wątpliwości, ale nie potrafię się uwolnić – powiedział Dwight. – Może Caroline okaże się mądrzejsza. W takiej kompromitującej sytuacji może się znaleźć tylko słaby mężczyzna; silny w jakiś sposób rozwiązałby dylemat.

– Im jestem starszy, tym mniej wierzę w rozróżnienia między słabymi a silnymi mężczyznami – rzekł Ross, mocno marszcząc brwi. – Zdarzenia robią z nami, co chcą, a chwilowa wolność, jaką mamy, tylko podtrzymuje złudzenia. Popatrz na Francisa. Czy można sobie wyobrazić smutniejszy, bardziej bezsensowny, bardziej niezasłużony koniec, który całkowicie nie pasuje do godności człowieka? Utopić się jak pies w studni, za nic, choć pomoc przybyła zaledwie godzinę później, wyjść z tego pokoju, iść do kopalni, a potem poślizgnąć się w błocie i zginąć, za nic. – Ross gwałtownie odsunął fotel. – Zawsze najbardziej nienawidziłem w życiu właśnie tego: bezsensowności, bezużyteczności, nagłych zwrotów, które robią z nas głupców, sprawiają, że wszystkie nasze wysiłki i plany idą na marne... Byłeś ze mną podczas większości najgorszych chwil, Dwight – w momencie śmierci Julii i kiedy indziej. Jeśli widzisz różnicę między siłą a słabością, przyznaję, że jesteś inteligentniejszy ode mnie.

Dwight milczał.

– O tak, to prawda, Ross – powiedziała po chwili Demelza. – Ale czy cała prawda? Myślę, że nasze wysiłki dały nam coś dobrego. Chociaż ogólnie nie sprzyjało nam szczęście, czasami jednak coś osiągnęliśmy i wszystko jeszcze może się zmienić. Wheal Grace upada, ale Wheal Leisure przynosi zyski, a po śmierci Julii urodził się Jeremy. Uniewinniono cię przed sądem. Poza tym jest wiele innych rzeczy. – Przez chwilę wpatrywała się w płomień świecy dziwnie nieobecny wzrokiem, po czym zamrugała i wróciła do realnego świata. – Nawet jeśli w ostatecznym rozrachunku mieliśmy pecha, Dwight może odnaleźć szczęście z Caroline. Potrzeba tylko trochę cierpliwości.

Mówiła rzeczowym tonem, lecz Dwight pomyślał, że jej słowa są pełne



dziwnego fatalizmu, jakby wiedziała, że jej życie źle się ułożyło i że nie można niczego naprawić. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, co znaczyła dla niej śmierć Francisa, dla niej i Rossa, wpływając na ich małżeństwo.

## *Rozdział drugi*

Listopad nie jest dobrym miesiącem na sekretne schadzki na wolnym powietrzu, ale Caroline zbyt często polowała w okolicy, by się tym przejmować. Wysłała Dwightowi bilecik z prośbą, by spotkał się z nią w pobliżu starej kopalni na skraju lasu niedaleko Bargas. Kiedy tam dotarł, serce zabiło mu szybciej na widok konia uwiązane do drzewa. Zeskoczył z siodła, przywiązał wodze do uschniętej gałęzi i szybko ruszył w stronę zrujnowanego kamiennego budynku. Caroline pochylała się nad starym szybem, a gdy wchodził do budynku, wrzuciła do szybu kamień i słuchała odgłosu upadku.

Wyprostowała się od niechcenia.

– Nic dziwnego, że w Kornwalii jest tyle nieślubnych dzieci. Bardzo łatwo się ich pozbyć. Przypuszczam, że właśnie dlatego nikt nie zasypuje tych starych szybów.

W pomieszczeniu panował półmrok i Dwight nie widział wyrazu twarzy Caroline, ale podchodząc do niej, postanowił nie dać się zbić z tropu i pokonać ją w jej własnej grze.

– Trafiają tam nie tylko dzieci, ale również kobiety, które odbierają mężczyznom sen, uniemożliwiają pracę, wysyłają dwuznaczne listy, flirtują i są bez serca. Czy ktoś wie, że tu jesteś?

Stała na skraju szybu, jakby chciała sprowokować młodego lekarza.

– Nikt, Dwight, ale nie drzę ze strachu. Czy moje listy były dwuznaczne? Odbierały ci sen? Nie sprawiały ci również przyjemności? Bądź szczery. Wyznaj całą prawdę.

Położył dłoń na jej łokciu, odsunął od szybu i obrócił w swoją stronę. Spoglądali na siebie. Nie znali się dobrze, lecz byli przyjaciółmi. Caroline lekko uniosła brew i uśmiechnęła się. Dwight pochylił się i ją pocałował. Później stali przez chwilę, trzymając się w ramionach. Przez zniszczone drzwi wpadł promień słońca, słychać było tylko odgłosy poruszających się na zewnątrz koni. Postacie dwojga młodych ludzi nie wyrażały namiętności.

– Twoje listy sprawiały mi w równej mierze przyjemność i ból, niewątpliwie zgodnie z twoją intencją. Lubisz dręczyć ludzi, którzy cię kochają?

Popatrzyła na Dwighta uważnie, badawczo, przypominając sobie jego wygląd.

– Nie... Może lubię się dręczyć? Nie wiem. Trudno mi powiedzieć. Wiem tylko, że wróciłam, że moi stryjowie są wściekli, że jestem panią samej siebie, że umówiłam się tu z tobą i że przyszedłeś. W tej chwili wszystko jest dla mnie nieskomplikowane, jasne. Nie spodziewaj się po mnie zbyt wiele, Dwight. Nie wywieraj na mnie presji.

– Kocham cię – powiedział. – To też jest nieskomplikowane. Jeśli to dla ciebie po prostu próbowanie życia, które trzeba poznać, a później zapomnieć...

– Nie, to nie tak, wiesz, że to nie tak. To tylko połowa albo jedna trzecia moich listów, celowo pominąłeś miłe akcenty. Tak czy inaczej, nie jestem przyzwyczajona do pisania listów miłosnych, podobnie jak nie jestem przyzwyczajona do roli przedmiotu westchnień. To...

– Mam nadzieję, że twoje eksperymenty w Oksfordzie były satysfakcjonujące.

– Tak, tak. Rozkoszne. Czarujące. Do tego stopnia, że pośpiesznie wróciłam do Kornwalii, gdy tylko prawnicy zgodzili się odblokować moje pieniądze.

Rozmawiali dalej, zdając sobie sprawę z chwilowego odosobnienia, lecz wiedząc, że sekretne spotkania nie mogą długo pozostać tajemnicą. Dwight, przekonany o tym, o czym chciał być przekonany, chętnie stawiałby czoło problemom podczas pierwszego spotkania, jednak wyczuwał, że Caroline w dalszym ciągu usiłuje zrozumieć swoje emocje. Do tego czasu mogli tylko żyć dniem dzisiejszym.

Ponieważ pogoda się poprawiła, wyszli ze zrujnowanego budynku. Caroline usiadła na kamiennym murku, a Dwight stanął obok niej.

– Znowu spotkałam twojego znajomego, kapitana Poldarka – powiedziała. – Na pewno ci o tym wspominał. Im lepiej go znam, tym bardziej go lubię. Muszę to przyznać, jeśli chcesz, żebym była szczerą.

– Nie jestem o niego zazdrosny. Szkoda tylko, że ma kłopoty.

– Kłopoty? Czy chodzi o wdowę po bracie stryjecznym, czy o coś innego?

– Kłopoty finansowe – wyjaśnił Dwight i się zawahał. Nie chciał zdradzać sekretów przyjaciela, ale pragnął odwieść Caroline od niebezpiecznego tematu relacji Rossa i Elizabeth, co sprawiło, że powiedział więcej, niż zamierzał.

– Wyglądał na przygnębionego, gdy się spotkaliśmy. A zatem jadłeś kolację z jego żoną, kiedy wrócił? Może to przyczyna mojej zazdrości. Powiedz mi, dlaczego jest tak atrakcyjna dla mężczyzn? Jest dość ładna, przyznaję, ale równie ładne kobiety budzą mniejsze zainteresowanie. Znasz jej sekret?

– To nie kwestia sekretu. Trzeba po prostu znać Demelzę.

– Czy to kobieta, której pożądamy wszyscy z wyjątkiem własnego męża? To się bardzo często zdarza. Znakomita rekomendacja życia małżeńskiego! Nie uważasz, że byłabym bardzo niemądra, gdybym wyszła za mąż, Dwight?

– Nie, nie sądzę, że byłabyś niemądra, pod warunkiem że poślubiłabyś właściwego mężczyznę.

– Ach, właściwego mężczyznę, oczywiście. – Wyjęła dwa kamyki z rozpadającego się muru i zważyła je w dłoni jak argumenty. – Ale powiedz mi, czym się zajmowałaś. Słyszałam, że dokonałaś cudu w przypadku małej rybaczki i może teraz tańczyć kotyliona. Czy to prawda?

Zerknął na Caroline, pamiętając jej wcześniejsze szyderstwa, ale miała dość poważną minę. Po chwili spojrzała mu w oczy i się roześmiała.

– Nie, nie, mówię poważnie. Opowiedz mi. Dlaczego nie miałoby mnie to interesować?

– Cóż, bardzo to wyolbrzymiono i podejrzewam, że pytasz tylko przez grzeczność.

– W takim razie ciągle jeszcze mnie nie rozumiesz, Dwight. Kiedy ostatnio tu przebywałam, musiałam cię bronić przed rzekomą klęską. Czemu nie miałabym usłyszeć o twoich triumfach?

Wciąż się ościagał, może z powodu czegoś, co pisała w listach.

– Jak mówię, zanadto to wyolbrzymiono. Dziewczyna kulała od ośmiu lat z powodu choroby kolana. Przynajmniej wszyscy myśleli, że to choroba. Po kilku nieudanych próbach stosowania kompresów i podobnych środków postanowiłem zbadać strukturę kolana, na początku kości. Później posłużyłem się dość niekonwencjonalnymi metodami.

– Jakie niekonwencjonalne metody?

– W zeszłym miesiącu morze wyrzuciło na plażę Hendrawna martwego marynarza, a górnicy pochowali go na wydmie. Zszedłem nocą nad morze, odciąłem część nogi i mogłem zbadać ścięgna jak u żywego człowieka.

– Naprawdę to zrobiłeś? – spytała, obserwując Dwighta, zainteresowana nowymi informacjami na temat jego zawodu.

– Tak. Któregoś dnia...

– Nie było to nieprzyjemne?

– Cóż, nie robiłem tego dla przyjemności.

– Możesz uważać, że to nie pasuje do kobiety, ale chyba byłabym zainteresowana obserwowaniem takiej pracy – powiedziała.

– Byłabyś zainteresowana?!

– Tak. Widzę, że cię to szokuje. Mów dalej.

– Wcale mnie nie szokuje. Któregoś dnia na początku miesiąca mogłem nastawić dziewczynie kolano. Było to po prostu zwichnięcie. Po latach doszło do atrofii mięśni i pojawił się stan zapalny. W tej chwili chodzi z zabandażowaną nogą, ale moim zdaniem z czasem będzie mogła zdjąć bandaże, gdy mięśnie się wzmocnią.

Caroline dotknęła dłoni Dwighta.

– Więc teraz jesteś cudotwórcą i co rano ludzie czekają w kolejce pod twoim domem. Brawo! Powiem o tym stryjowi. Będzie zirytowany.

– Mnie też to irytuje, ale potrafię to wykorzystać – powiedział.

– Niewątpliwie twoja dziewczynka patrzy na ciebie z bezbrzeżnym podziwem?

– Niewątpliwie – odparł krótko.

– I powinna. Niewielu lekarzy o twoich zdolnościach wykorzystuje tyle energii, by pomagać ubogim. Jak wygląda twoje życie, Dwight? Opowiedz mi.

Zerknął na nią. Jak zawsze zadawała pytania szczerze, świadoma, że porusza delikatne tematy. Ale z pewnością miała prawo wiedzieć, zwłaszcza ona.

– Zarabiam kilka funtów miesięcznie, a poza tym uzyskuję czterdzieści funtów rocznie z dwóch kopalni i honorariów pacjentów, których na nie stać. Otrzymuję dary w naturze od ludzi, którzy nie mają pieniędzy. Nie mam długów. To wszystko, o co się troszczę, to znaczy, o co się troszczyłem.

– Hoblynowie ci zapłacą?

– W pewien sposób. Nie wszyscy ziemianie, których leczę, są tak zdrowi jak twój stryj. Wzywa mnie regularnie stary Treneglos, który nigdy nie zniósłby przy sobie lekarza...

– Właśnie o to mi chodzi – odezwała się Caroline. – Nie myślałeś o osiedleniu się w mieście, zwłaszcza modnym mieście, takim jak Bath albo Oksford, gdzie mógłbyś pracować wśród ludzi ze swojej sfery? Ładnie pomagać ubogim, ale przede wszystkim należy pomyśleć o sobie. Sądzę, że wszędzie zostałbyś dobrze przyjęty, nie tylko wśród rybaków. Choć może nie zdajesz sobie z tego sprawy, twoje zachowanie wobec pacjentów robi duże wrażenie, a kapitan Poldark mówi, że poza Londynem rzadko spotyka się ludzi o twoich kwalifikacjach...

Dwight zauważył, że gdy znaleźli się w świetle dnia, zerknęła na jego ubranie. Jej spojrzenie tłumaczyło wiele z tego, co pominęła milczeniem.

– Kiedy wróciłem do Kornwalii, zamierzałem prowadzić praktykę w mieście – odpowiedział. – Zaprosił mnie tu kapitan Poldark. Niemniej pomaganie ubogim zawsze było jednym z moich celów i w dalszym ciągu jest. W mieście, nawet w Bath i Oksfordzie, ubodzy bardziej potrzebują pomocy niż ludzie zamożni. Nie chcę być pupilkiem arystokracji.

Ześlizgnęła się z murku, podeszła do swojego konia i udawała, że poprawia siodło. Jej rude włosy rozwiewał wiatr, aż wreszcie opadły na ramiona. Dwight był zły na siebie, że mówił pompacyjnie, że zirytował Caroline. Ale powiedział prawdę! Czy Caroline ukrywałaby przed nim własne uczucia?!

Podszedł do niej.

– Caroline, możesz myśleć...

Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Co mogę myśleć, Dwight? Że jesteś najszlachetniejszym z ludzi? Czy ma to jakieś znaczenie? Słońce zaszło i jest mi zimno. To w tej chwili najważniejsze. Jedźmy.

Nim zdążył jej pomóc, wskoczyła na siodło, a koń energicznie ruszył naprzód po miękkiej trawie. Zatrzymała zwierzę, gdy tymczasem Dwight wsiadł na swojego rumaka i podjechał do niej.

– To, co myślisz, Caroline, zawsze jest ważne, ale ponieważ to wszystko znaczy dla mnie tak wiele, nie mogę wobec ciebie udawać, by coś na tym zyskać.

– Ścigajmy się. Do młyna Jonasa, dobrze? Znasz drogę?

Zawróciła i ruszyła w stronę wyboistej polany koło zrujnowanej kopalni. Galop po kamienistym gruncie groził upadkiem, jednak popędziła w takim tempie, że Dwight, na gorszym rumaku, nie miał szans jej dogonić.

Caroline dobrze знаła okolicę, lecz Dwight znał ją jeszcze lepiej. Cwałował drogą biegnącą obok polany, aż Caroline znalazła się bezpiecznie po drugiej stronie i przeskoczyła przez kamienny murek. Później spiął konia ostrogami i pognął dalej. Po chwili mieszkańcy przysiółka złożonego z czterech chat ze zdumieniem ujrzeli doktora Enysa, który pędził, wzbijając tumany kurzu, w rozwianym czarnym surducie, jakby chodziło o życie, mimo że normalnie jeździł spokojnym kłusem. Spoglądały za nim grupki wiejskich dzieci.

Pojechał drogą prowadzącą do rozstajów w Bargus, a później równie nieroztropnie jak Caroline ruszył przez gęste krzaki po drugiej stronie. Następnie zeskoczył z konia i zszedł wraz z nim po śliskim stoku. Zobaczył młyn Jonasa i w tej samej chwili znów ujrział Caroline. Zajął miejsce w siodle. Aby dotrzeć do młyna przed nią, musiał przeskoczyć strumień napędzający koło wodne. Był dość wąski, ale koń Dwighta nie miał wprawy w skokach. Caroline zauważyła Enysa, on zaś pojechał w stronę strumienia i skoczył. Koń wylądował przednimi nogami na brzegu, a tylnymi w wodzie i omal się nie przewrócił. Dwight zsunął się do płytkiej wody i wciągnął zwierzę na pochyły brzeg. Kiedy Caroline dotarła na miejsce, Enys siedział w siodle i czekał na nią. Tymczasem młynarz i jego żona wyglądali ze zdumieniem z okien, a mały chłopiec prowadzący parę wołów aż przystanął.

Caroline zatrzymała konia obok Dwighta. Jej oczy lśniły.

– To było bardzo sprytne, doktorze Enys. Takie umiejętności będą na pewno nieprzydatne w mieście.

– Mam inne – odpowiedział, bardziej zdyszany niż ona. – Mam inne, które okażą się przydatne.

– Ale nie znosisz myśli o Bath.

– A ty nie znosisz myśli o małżeństwie.

– Nie widzę związku.

– Jestem przyzwyczajony do łączenia odległych faktów.

– U człowieka o takich talentach wszystko jest możliwe.

– Nic nie jest możliwe bez ciebie.

Spoważniała nieco i spojrzała mu w oczy. Twarz miała zaróżowioną po galopie. Nie wydawała się już niezadowolona. Z młyna wyszedł John Jonas i wtarł ręce o fartuch.

– Wszystko w porządku, panie? Czy koń młodej damy poniósł?

– Nie – odpowiedział Dwight. – Jeszcze nikt jej nie poniósł.



### *Rozdział trzeci*

Kiedy przybył Ross, Elizabeth siedziała w salonie zimowym. Było jej do twarzy w żałobie. Ross nie przewyciężył jeszcze poczucia, że nie ma nic do załatwienia w Trenwith, jeśli nie wita go tam kuzyn. Po śmierci Francisa między Rossem a Elizabeth pojawiło się skrępowanie związane z jej wyznaniem sprzed miesiąca, mur, który zastąpił inny mur, gdyż bez niego...

Dobrze znosiła żałobę, bo mimo kruchej budowy zawsze dzielnie stawiała czoło kłopotom. Niezależnie od tego, czy kochała Francisa w normalnym znaczeniu tego słowa, czy też nie, był jej mężem, ojcem Geoffreya Charlesa, łączyły ją z nim wieloletnie uczucia i przyzwyczajenia.

– Przywiozłem ostatnie bilanse Wheal Grace – powiedział Ross. – Wczoraj wieczorem przepisałem je z księgi rachunkowej. Nie jest to ciekawa lektura, ale myślę, że powinnaś je mieć.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo jesteś udziałowcem kopalni, oczywiście. W praktyce, bo Geoffrey Charles jest za mały, by zajmować się interesami. – Położył papiery na stole.

– Nie mógłbyś mi tego opowiedzieć? Nie potrzebuję dowodów na piśmie.

– A jednak powinnaś mieć te rachunki w formie pisemnej. Takie są zasady w interesach. Nawet jeśli uważasz to za niepotrzebne, inni mogą uznać, że te dokumenty są potrzebne. – Czekał przez chwilę, lecz nie podeszła do stołu.

– Na przykład kto?

– Pearce, twój ojciec albo... Cóż, powinnaś przejrzeć liczby. Najważniejsze, że od lutego nie będę w stanie kontynuować robót. Chyba lepiej zamknąć kopalnię do końca roku.

Skóra Elizabeth sprawiała wrażenie chłodnej, jakby noszone przez nią ubranie nie należało do niej, a jego czerń stanowiła część świata, który był jej całkiem obcy.

– Ross, znasz moją sytuację finansową, ale ja nie znam twojej. Wiem, że zamknięcie kopalni uderzy cię po kieszeni, ale nie wiem, jak bardzo. Francis kiedyś wspomniał...

– Tak?

– Odniosłam wrażenie, że dla ciebie i dla Francisa Wheal Grace stała się czymś w rodzaju hazardu. Jesteś bardzo zadłużony?

– Delikatnie mówiąc. Utknąłem w tym obiema nogami, ale sam zdecydowałem się podjąć ryzyko. Nie mogę się skarżyć, że coś poszło nie tak. Jednak bardzo żałuję, że straciłem twoje pieniądze.

– To pieniądze Francisa. On także wiedział, jakie ryzyko podejmuje.



– Przykro mi ze względu na Geoffreya Charlesa.

Elizabeth nie miała na to żadnych argumentów, nie mogła oszukiwać nawet samej siebie.

– To właśnie z jego powodu tak boleśnie odczuwam swoją biedę, Ross. Nie mogę znieść myśli, że mój syn odziedziczy majątek, a potem okaże się, że... Kiedy Francis został głową rodu, mieliśmy pieniądze, my i nasze dzieci. Ostatnia inwestycja Francisa była mądra w porównaniu z tym, co robił wcześniej. Przynajmniej przeznaczył pieniądze na kopalnię, a nie przegrał w karty!

Ross już miał spytać, czy Elizabeth zdaje sobie sprawę, jak bardzo się przyczyniła do tej decyzji, lecz nie zdołał wykrztusić słowa.

– Gdyby przenieśli się do ciebie rodzice, moim zdaniem bardzo by to wam pomogło. Jeden z bogatych kupców może zapłacić dobrą cenę za Cusgarne. Koszty utrzymania by się rozłożyły.

– Tak...

– Nie masz takich planów?

Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się boleśnie.

– Mam, Ross. Ale w tej chwili jeszcze za wcześnie o tym mówić. Potrzebuję czasu, żeby wszystko przemyśleć. Od śmierci Francisa... minęło za mało czasu.

Podeszła do stołu i zaczęła przeglądać przyniesione przez niego papiery. Przerzucała je, lecz nie czytała.

– Widziałaś się znowu z George'em? – spytał Ross.

– Musiałam. Jak wiesz, to mój główny wierzyciel. Było to trochę trudne bez ciebie, ale dobrze rozumiał, że nie możesz się z nim spotkać.

– Jak podchodzi do twoich długów?

– Bardzo wyrozumiale. Zawsze tak się zachowywał. – Podniosła wzrok. – Nie mogę mu tego odmówić. Zawsze był wspaniałomyślny również w stosunku do Francisa.

Ross skinął głową. Jego twarz nie wyrażała ani aprobaty, ani sprzeciwu.

– Miał jakieś nowe propozycje?

– Tak. Zaproponował, że na kilka lat zrezygnuje z procentu od długu. Oczywiście nie mogłam tego zaakceptować.

– Dlaczego?

– Cóż... Wyświadczył nam już zbyt wiele przysług. Czuję, że nie mogę się zgodzić na następną.

Ross patrzył na delikatny rumieniec na twarzy Elizabeth.

– Wszystko sprowadza się do przyczyny, prawda? Jeśli odrzucasz jego przysługi ze względu na lojalność wobec mnie, popełniasz błąd. Moja kłótnia z George'em ciebie nie dotyczy. W tej chwili w ogóle nie dotyczy Francisa. George zawsze... podziwiał cię... próbował zdobyć twoją aprobatę. Jeśli dalej tego chce, na twoim miejscu bym mu pozwolił. W głębi duszy możesz go oceniać, jak

zechcesz.

Nie odpowiedziała.

– Ale z drugiej strony – ciągnął Ross – jeśli uważasz, że przyjęcie jego przysług do czegoś cię zobowiązuje, na przykład...

– Na przykład?

Zmarszczył brwi i spojrzał na dokumenty.

– Wiesz lepiej ode mnie. Możesz czuć, że przyjaźń z nim zniechęca do ciebie ludzi, których bardziej lubisz. Powinnaś sama podjąć decyzję. Nie mogę ci nic doradzić.

– Już podjęłam decyzję – odpowiedziała i złożyła nieprzeczytane dokumenty.

Ross schował je i przez jakiś czas rozmawiali bez związku o codziennych sprawach. Jednak chociaż tematy były nieistotne, sposób ich omawiania – nie. Nigdy nie spotykali się tak jak teraz, co tydzień, prywatnie, jak przyjaciele. Każdy kolejny tydzień wiązał ich niewidzialnymi nićmi coraz mocniej.

Ross odjechał, a Elizabeth wróciła powoli do salonu zimowego i patrzyła przez okno na jego oddalającą się sylwetkę na podjeździe. Gdyby lubiła analizować własne zachowanie, musiałaby przyznać, że nie była zupełnie szczerą, kiedy rozmawiali na temat pomocy udzielanej przez George'a – niemniej uznałaby to za wybaczone jako konieczny skutek wdowieństwa. Nie tylko chciała, by obaj mężczyźni dobrze o niej myśleli. Potrzebowała tego. George zaproponował, że jako ojciec chrzestny Geoffreya Charlesa pokryje koszty edukacji chłopca aż do ukończenia studiów w Oksfordzie. Elizabeth nie mogła odmówić i Ross nie powinien tego od niej oczekiwać. Ale nie chciała mu o tym opowiadać ani wspominać o kilku drobniejszych przysługach. Psułoby to jej obraz w oczach Rossa. W tej chwili bardzo jej zależało na jego aprobacie.

Po śmierci Francisa musiała przewartościować swoje uczucia. Wzorce ukształtowane na przestrzeni lat zniknęły w ciągu jednej nocy. Chciała, by okoliczności pozwoliły jej naprawić dawne błędy. Dopiero teraz zaczynała je rozumieć.

Kiedy jeździec i koń zniknęli za zakrętem podjazdu, zadzwoniła na panią Tabb, by przyprowadziła Geoffreya Charlesa z sypialni ciotki Agathy, gdzie się bawił. Tego dnia staruszka leżała w łóżku z powodu reumatyzmu i Elizabeth pomyślała, że ciotka opada z sił. Gdy chłopiec przyszedł, pocałowała go czule i rozpoczęła z nim lekcję historii. Godziny spędzane z synem były najlepszą częścią dnia. Miłość macierzyńska okazała się czymś prostym i całkowicie satysfakcjonującym, w takiej relacji nie istniały podteksty, pozory, konflikty.

Wdowieństwo jak dotąd nie sprawiało jej przykrości, nie czuła się samotna, miała więcej czasu dla siebie i Geoffreya Charlesa. Ale bardzo brakowało jej mężczyzny, który zajmowałby się codziennymi sprawami. Nigdy nie lubiła

podejmować decyzji, a w posiadłości takiej jak Trenwith nie sposób było tego uniknąć. Niektóre decyzje z sukcesem mógł podejmować tylko mężczyzna. Tabb starał się najbardziej, jak potrafił, ale czasami wykorzystywał swój nowy status, więc Elizabeth musiała zwracać na to uwagę.

Geoffrey Charles czytał na głos, ona zaś przeszła przez salon i spojrzała na siebie w lustrze. Poprawiła pasmo włosów, a następnie bacznie przyjrzała się oczom i cerze. W kącikach powiek pojawiło się kilka zmarszczek, których nie było pięć lat wcześniej. Znikały, gdy się uśmiechała. Musi pamiętać, by nie uśmiechać się dużo w domu, bo to pogłębi zmarszczki, i często się uśmiechać w towarzystwie, bo to je ukryje.

Co powiedział George? Jedna z najpiękniejszych kobiet w Anglii? Jak zwykle przesadził. Ale wystarczająco piękna. Świadomość własnej urody to nie pycha. Czowała się bardziej wolna, lecz nie uważała tego za nielojalność wobec Francisa. Zbyt długo tkwiła w klatce, siedziała za kratami w domu. Należało się przekonać, czy nie zapomniała latać.

Demelza nigdy nie pytała, jak przebiegają cotygodniowe wizyty Rossa u Elizabeth, natomiast on rzadko opowiadał o czymś z własnej inicjatywy. Niemniej postanowiła jedno. Cokolwiek przychodzi jej do głowy, nigdy nie pozwoli sobie podejrzewać Rossa ani dać mu do zrozumienia, że go podejrzewa. Chociaż rzadko mówiła na ten temat, miała jasno sprecyzowane poglądy, jak powinna się zachowywać żona w takiej sytuacji.

Dziś po powrocie Rossa podjęła z nim rozmowę o czymś innym.

– Jud przyniósł wiadomość od Trencroma. Przyjedzie do nas dziś wieczorem. Nie przekazał, o co chodzi.

– Zamierzałem ci wspomnieć o tej sprawie. Trencrom chce wykopać skrytkę na terenie naszej posiadłości, by przechowywać w niej towary po wyładunku. Dzięki temu można by je wygodnie sprzedawać. Oczywiście jest skłonny za to zapłacić.

– Nie narazi to nas na większe ryzyko?

– To bez znaczenia. Za miesiąc i tak zbankrutujemy.

Nie odpowiedziała, tylko dalej zamiatała stajnię, w której ją zastał. Wyraz twarzy pozwalał odgadnąć jej uczucia.

– Nie widzę w tym sensu – rzekła w końcu.

– Cóż, jeśli pójdę do więzienia za długi, oznacza to dodatkowe wpływy. A im szybciej spłacę dług, tym szybciej wyjdę na wolność.

– Zakładając, że towary nie zostaną znalezione w naszym majątku. Jeśli cię za to skażą, pozostaniesz dłużej w więzieniu.

– Myślę, że mnie za to nie skażą.

– Gdzie ma być ta skrytka?

– W starej bibliotece. Można ją wykopać pod podłogą w ciągu jednej nocy,

a rano nic nie będzie widać.

Demelza znów umilkła. Ross wiedział, że nie będzie go więcej krytykować, ani otwarcie, ani w duchu, ale nie ułatwiało to znoszenia jej wyrozumiałości.

– Jak się miewa Jud? – spytał niedbale.

– Gdera jak zwykle. John twierdzi, że został metodystą.

– Wcale się nie dziwię. Zawsze miał zamiłowanie do siarki i ognia piekielnego. Demelzo, nie chciałbym, żebyś wykonywała takie prace. Nie przystoi, żebyś sama zamiatała.

– Gimlett był zajęty, a ty wyjechałeś. Lubię pracować, Ross. Pozwala mi to nie myśleć. Ilu ludzi będzie wiedziało o tej dziurze, skrytce?

– Czterech ją wykopie. Sześciu lub ośmiu będzie z niej korzystać.

– Jud Paynter?

– Może.

– Cóż...

– Och, wiem, że po pijanemu robi się gadatliwy. Ale mniej pije od czasu cudownego wyzdrowienia i moim zdaniem go nie doceniamy. Pamiętaj o jego zachowaniu na rozprawie. Trencrom mu ufa, a nie jest to człowiek, który może sobie pozwolić na popełnienie błędu.

– My też.

– Masz rację. – Spoglądał na nią przez chwilę, robiąc sobie wyrzuty z powodu porównań, które czasem mimo woli pojawiały się w jego umyśle. – Demelzo, w tej chwili nie przejmuję się zbyt naszą sytuacją, bo zostało kilka tygodni i ciągle jeszcze mogę zdobyć pieniądze. Jeśli nie, umówiłem się z Trencromem, że co miesiąc będzie ci wypłacał pewną kwotę za nasze usługi. Reszta moich udziałów w Wheal Leisure pokryje część długów, więc nie będziesz miała z nich żadnych dochodów. Lecz wpłaty Trencroma pozwolą ci na dość wygodne życie. Jeśli zdołasz coś z tego zaoszczędzić, przeznacz to na spłatę reszty długów. Wkrótce...

– Nie musisz się o mnie obawiać. Potrafiłam przeżyć, nie mając żadnych źródeł utrzymania, i dalej mogłoby tak być. Zaopiekuję się Jeremym. Nie martw się o nas. Najważniejsze to spłacić długi.

Wziął od niej miotłę, którą oddała mu po krótkim oporze, i zabrał się do zamiatania.

– Mam pewne oczekiwania wobec Trencroma. Jestem dla niego znacznie bardziej użyteczny na wolności niż w więzieniu. Jeśli dojdzie do licytacji tej posiadłości i dworu, nowi nabywcy mogą być mniej skłonni do współpracy.

– Podobno Pascoe obiecał, że posiadłość nie zostanie sprzedana. Tak przynajmniej myślałam.

– To prawda. W istocie majątek już należy do niego na podstawie umowy o pożyczkę pod zastaw hipoteki, ale Trencrom o tym nie wie.

Demelza odgarnęła włosy nadgarstkiem.

– Pobrudzisz najlepsze ubranie. To nierozsądne w tej sytuacji.

– Wolę je nosić, niż zostawić molom.

– Dlaczego nie poprosisz przyjaciół, Ross? – rzekła gwałtownie. – Albo nie pozwolisz mi tego zrobić w twoim imieniu? Sir John Trevaunance okazałby zrozumienie, wiem o tym. A sir Hugh Bodrugan, choć go nie lubisz, czuje do mnie sympatię. Ray Penvenen, stary pan Treneglos. Mogliby się złożyć z Trencromem, by uratować cię od bankructwa. To nie jałmużna, bo wiedzą, że jesteś honorowy i spłacisz wszystko co do grosza. Dlaczego nie pozwolisz mi spróbować? Pozwól mi spróbować!

Zatrzymał się i oparł na kiju od miotły. Przymknął powieki i myślał. Po kilku sekundach uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Niezbyt dobry pomysł, kochanie. Kwota jest zbyt wielka, podobnie jak moja duma. Ponieważ masz tak dobre mniemanie o naszych przyjaciółach, zachowaj je, ale w rzeczywistości ta przyjaźń nie wytrzymałaby tej próby. Wiem, że kilku by pomogło, ale inni nie, więc możemy sobie oszczędzić rozczarowania. Tak czy inaczej, nigdy nie prosiłem o przysługi i teraz też nie zamierzam. Damy sobie radę i wkrótce zaczniemy wszystko od początku. Kiedy nadejdzie ta chwila, zajmę się uprawą roli i całkowicie zrezygnuję z górnictwa. Bardzo się cieszę na myśl, że będę znowu musiał czyścić stajnie!

Zamiast czterech mężczyzn mających wykopać skrytkę przyszło sześciu. Jud stał oparty na kiju i nadzorował pracę. O wpół do dziesiątej nad wydiami pojawił się księżyc w pełni, więc w bibliotece potrzebna była tylko jedna mała latarnia. O dziesiątej w kopalni zmieniły się szychty, a o wpół do jedenastej ostatni górnicy rozeszli się do domów. Później trzech z sześciu mężczyzn wywoziło na taczkach wykopaną ziemię na najbliższą hałdę. Nikt nie zauważył, że w ciągu nocy trochę się powiększyła. Grupę kopaczy stanowili: Ned Bottrell, Paul Daniel, Ted Carkeek, Will Nanfan, Scoble Biała Głowa i Pally Rogers. Około jedenastej wszczęto alarm, ale okazało się, że to tylko Charlie Kempthorne z wiadomością dla Neda Bottrella, że po raz piąty został szczęśliwym ojcem. Był to dobry pretekst do wypicia kieliszka brandy i kilku rubasznych żartów.

Demelza poszła spać o pierwszej, lecz Ross czuwał prawie do świtu, gdy zakończono pracę. Siedmiu zmęczonych mężczyzn – Jud, który przez cały czas nic nie robił, skarżył się, że jest najbardziej zmęczony – podreptało z powrotem w górę doliny w świetle księżyca, który z nastaniem dnia zrobił się mniejszy i bledszy.

## *Rozdział czwarty*

Po zerwaniu z Unwinem Trevaunance'em stosunki Caroline ze stryjem nie układały się dobrze, a po jej powrocie do Killewarren niewiele się zmieniło. Jeśli było pogodnie, codziennie jeździła konno, często z masztalerzem, a niekiedy samotnie. W trakcie posiłków milczała lub okazywała irytację, gdy ją o coś pytano. Rzadko składała wizyty w sąsiedztwie i rzadko przyjmowała nielicznych gości odwiedzających Killewarren. Do stryja szybko dotarły plotki na temat bratanicy, lecz znał Caroline wystarczająco dobrze, by rozumieć, że musi postępować ostrożnie, jeśli chce przeciwdziałać.

Pewnego wieczoru Caroline rozpoczęła dyskusję przy kolacji, mówiąc:

– Powiedz mi, stryju, co wiesz o Rossie Poldarku?

Penvenen zamrugał i ostrożnie przedstawił jej wszystko, co wiedział, jakby podejrzewał, że pytanie ma jakieś głębsze znaczenie. Ojciec Rossa, najbardziej znany libertyn na terenie sześciu parafii; służba wojskowa Rossa w czasie wojny w Ameryce; powrót po śmierci ojca i gorzkie rozczarowanie, że córkę Chynowethów ma poślubić Francis. Po roku lub dwóch głupie małżeństwo z córką górnika z Illuggan; uruchomienie kopalni Wheal Leisure, a później odlewni miedzi w Kornwalii; klęska przedsięwzięcia; śmierć córki; katastrofy statków i rozruchy, które nastąpiły później; proces sądowy i uniewinnienie; jego...

– Tak, stryju, dziękuję, znam dalszy ciąg. – Caroline wypła łyk wina. Jej oczy odbite w szkle wydawały się ciemniejsze. – Mówisz, że jego ojciec służył z libertynizmem. Wyobrażam sobie, że syn również potrzebował się wyszumieć. Przynajmniej tak się wydaje. Nie wspomniałeś o tym.

Penvenen spojrział chłodno na bratanicę.

– Nie staram się chronić reputacji Poldarka ani nie przemilczałem niczego ze względu na takt. Nie wiem, czy krążą o nim jakieś niesmaczne plotki związane z kobietami, choć słyszałem pogłoski dotyczące wielu różnych spraw. Oczywiście to, że wziął do domu zagłodzoną dziewczynę, żebraczkę czy kimkolwiek była... Przebywałem wtedy w Londynie, ale podobno doszło do awantury z jej ojcem i górnikami.

– W końcu się z nią ożenił – zauważyła Caroline.

– Tak, ożenił się z nią.

Caroline zaczekała, aż służący zabierze talerz. Na sąsiednim fotelu leżał w koszyku Horacy. Wzięła go i położyła sobie na kolanach.

– Dużo straciłeś jako wspólnik odlewni Rossa Poldarka?

– Sporo. Wszyscy stracili. To był od początku zły pomysł.

– Rozumiem, że wycofałeś się nieco wcześniej i straciłeś mniej od innych.

W świetle płonących między nimi świec Caroline zauważyła ostre spojrzenie

stryja.

– Kto ci to powiedział?

Roześmiała się.

– Unwin. Wspomniał kiedyś, że ty i sir John zawarliście umowę z Warlegganami i pozostawiliście statek, by poszedł na dno. Tak się wyraził.

– Statek, jak to nazywasz, wpadł już na skały, gdy doszliśmy do porozumienia z Warlegganami. Zrobiliśmy to, by ratować zainwestowany kapitał: sir John wybudował paleniska, a ja walcownię. Nikt nie stracił ani pensa z powodu naszych działań. Unwin nie zna tych spraw z pierwszej ręki.

Caroline podsunęła mopsowi pod nos kawałek mięsa, lecz pies tylko go powąchał i odwrócił pysk.

– Nie masz ochoty na tę okropną wołowinę, najdroższy? Bardzo dobrze, nie będę cię zmuszać. Thomas, przynieś słodkie herbatniki, wiesz, te, które Horacy uwielbia.

– Tak, proszę pani.

– Ale żeby je dostać, piesku, musisz wejść z powrotem do koszyka, bo inaczej pokruszysz mi je na sukienkę. Co ty na to, Horacy? Słyszałam, że Ross Poldark jest bliski bankructwa.

– W istocie. – Stryjowi nie podobały się uwagi Caroline i odpowiedział krótko.

– Ma do zapłacenia weksel, a Warlegganowie go przejęli i żądają zwrotu gotówki.

– Jesteś dobrze poinformowana.

Thomas wrócił z herbatnikami, a Caroline podziękowała mu z uśmiechem. Przez pewien czas poświęcała całą uwagę Horacemu.

– Wcale nie tak dobrze poinformowana, stryju, bo nie mogę spytać Poldarka wprost, i za mało znam Warlegganów, by się do nich zwrócić. Jednak szkoda, by taki poważny człowiek zbankrutował z powodu stosunkowo niewielkiej sumy, nie sądzisz? Jeśli miałby ponieść klęskę, powinien przegrać w wielkim stylu. To bardziej pasuje do jego wyglądu.

– Wyobrażam sobie, że doktor Enys mógłby ci podać dokładniejsze informacje, gdyby cię to interesowało.

W nagłej ciszy słyhać było, jak Horacy obwąchuje herbatnik.

– Chyba jutro rano pojedę do Truro – powiedziała Caroline. – To kiepskie miejsce do robienia sprawunków, ale muszę zamówić nowe buty. W Oksfordzie klamry całkiem wyszły z mody, ja sama wolę sznurowadła. Czy wiesz, że wszyscy szaleją na punkcie piór wpinanych we włosy? Osobiście za nimi nie przepadam, czuję się wtedy jak wielkie ptaszysko.

– Myślę, że chociaż jesteś teraz pełnoletnia, Caroline – rzekł Ray Penvenen – nie powinnaś pozwolić, by rozumiała przyjemność korzystania z wolności

kazała ci zapomnieć o zasadach etykiety, które starałem ci się wpoić wraz ze stryjcem Williamem po śmierci twoich rodziców. Może się wydawać, że mieszkamy w prymitywnej, odosobnionej części kraju, jednak byłoby błędem przyjąć, że te zasady nas nie obowiązują. Na przykład długie wycieczki konne bez masztalera w towarzystwie młodego kawalera mogą wywołać niesmaczne plotki, zarówno w Kornwalii, jak i w Oksfordzie. Niewątpliwie cel był zupełnie niewinny, lecz może to mieć poważne konsekwencje. Stawia mnie w niezręcznej sytuacji, gdyż może się wydawać, że to akceptuję, a ten młody mężczyzna może to uznać za zachętę i czuć ambicje nieprzystające do jego kondycji.

Służący wyszedł cicho i zamknął za sobą drzwi. Po chwili niewyczuwalny podmuch powietrza dotarł do świec, których płomyki zakołysały się jak liście paproci nad stawem.

– Zawsze sądziłam, zawsze wierzyłam, że miarą prawdziwego charakteru i wartości jest zachowanie zgodne z własnymi poglądami, bez przywiązywania wagi do sztucznych konwenansów, które akceptują ludzie aspirujący do wyższej pozycji społecznej – odpowiedziała Caroline.

– W pewnym sensie to prawda. Jednak osoba dobrze wychowana może robić, co chce, tylko wtedy, gdy jej zachowanie wpływa wyłącznie na nią samą. Kiedy oddziałuje na innych, nikt nie ma całkowitej swobody.

– Właśnie to chciałam powiedzieć. Oprócz mnie ta sprawa wpływa tylko na dwie osoby: ciebie i doktora Enysa. Obawiasz się, że możesz być podejrzewany o aprobowanie mojego zachowania, czy tak? Skoro jestem dla ciebie zbyt wielkim ciężarem, może powinnam opuścić ten dom i zamieszkać gdzieś indziej?

– Możliwe – odparł cicho Penvenen. – Przeszkodą jest nasza wzajemna sympatia.

Caroline zmarszczyła brwi. Przez chwilę wydawała się rozgniewana i zatroskana. Później ukryła swoje uczucia, skupiając się na Horacym.

– Zjedz jeszcze jedno ciasteczko, piesku. Kochany stryj Ray się na mnie złości. Obawiam się, że wkrótce obie strony powiedzą coś przykrego. Może dojść do sceny. Padną słowa, których wszyscy będą później żałować. Szkoda, nie sądzisz? Nie uważasz, że lepiej zmienić temat rozmowy?

Horacy warknął gardłowo, próbując jednocześnie polizać pazury i nos. Ray Penvenen, wytrącony z równowagi, popatrzył na swoją ładną bratanicę, częściowo rozbrojony, lecz w dalszym ciągu podejrzliwy. Łączyła ich autentyczna przyjaźń i często wyrzucał sobie, że okazuje jej słabość. Nie wiedział, jak kontynuować rozmowę, nie prowokując sceny, którą przewidziała. Nie przypuszczał, że jego uwagi skłonią ją do rezygnacji z porannych przejażdżek konno, ale zdawał sobie sprawę, że na tym etapie upór z jego strony może ją doprowadzić do spełnienia groźby – oboje żałowałiby tego i obojgu by to zaszkodziło. Takie posunięcie całkowicie pokrzyżowałoby jego plany, sprawiając, że nie miałby żadnego wpływu



na Caroline. Zastanawiał się, czy nie podchodzi do problemu ze złej strony i czy nie powinien raczej porozmawiać z doktorem Enysem.

Kolacja zakończyła się spokojnie. Później, gdy Penvenen znalazł się w swoim gabinecie, wezwał służącego i poprosił o informację, o której panna Caroline zamierza jutro pojechać do Truro. Po powrocie służący oznajmił, że zamówiła karetkę na dziewiątą trzydzieści. Penvenen przez chwilę gryzł czubek gęsiego pióra, po czym napisał krótki list:

*Drogi Doktorze Enys!*

*Jeśli jest Pan wolny, byłbym zobowiązany, gdyby zechciał mnie Pan odwiedzić jutro rano między dziesiątą trzydzieści a jedenastą. Już dawno nie złożył mi Pan wizyty lekarskiej.*

*Pański etc.*

*R.R.E. Penvenen*

Za pięć jedenasta Dwight przejechał konno przez bramę Killewarren, ucieszony, że znowu będzie mógł zobaczyć Caroline bez konieczności aranżowania potajemnych schadzek. Kiedy jednak wszedł do domu, nigdzie jej nie zobaczył. Wprowadzono go w ciszy do dużego, zagraconego salonu na piętrze, na którego ścianach wisiały rogi jeleni i obrazy o tematyce sportowej.

Niegdyś poznał w tym salonie Raya Penvenena i teraz znowu go zobaczył. Stryj Caroline stał odwrócony plecami i spoglądał przez okno na szare niebo. Jak zwykle miał na sobie zbyt obszerny surdut. Na splecionych z tyłu dłoniach wyraźnie widać było kurzajki. Odwrócił się po wystudiowanej pauzie.

– Ach, doktor Enys. Otrzymał pan mój list?

– Tak – odpowiedział Dwight. Wszystko zrozumiał i obwinał się, że nie domyślił się wcześniej. – Mam nadzieję, że nie musiał pan czekać.

– Mam dużo czasu. Moja bratanica jest w Truro i pomyślałem, że to dobra okazja, by z panem porozmawiać.

– O kwestiach medycznych?

– Nie. Przepraszam, że mój list mógł to sugerować.

– Cóż, owszem, sugerował.

Ray Penvenen wziął z biurka okulary, lecz ich nie włożył. Jego pozbawione rzęs powieki były opuszczone.

– Może chciałby pan usiąść?

– Nie, dziękuję.

Gdzieś w pobliżu monotonnie szczeakał Horacy.

– Wyobrażam sobie, że w głębi duszy domyśla się pan, dlaczego po pana posłałem.

– Uważam, że nie powinienem spekulować na ten temat, panie Penvenen.

– Chciałbym, by okazywał pan podobny takt we wszystkich swoich działaniach.

– Przykro mi, że uważa pan, iż go nie okazuję.

– Tak... hm, tak... Istotnie, myślę, że go pan nie okazuje, choć byłbym uszczęśliwiony, gdybym się dowiedział, że jest to wynikiem niezrozumienia i braku orientacji. Mam oczywiście na myśli pańską coraz serdeczniejszą przyjaźń z moją bratanicą.

– Zastanawiam się, dlaczego uważa pan to za niewłaściwe.

Penvenen zerknął chłodno na młodego człowieka.

– Proszę dać spokój, doktorze Enys. Musi się pan orientować w zasadach panujących na świecie. Od przeszło miesiąca, jeśli nie dłużej, adoruje pan Caroline. Powinien pan wiedzieć, że pański podstawowy obowiązek to zwrócić się do mnie i poprosić o zgodę. Skoro pan tego nie zrobił, z pewnością spodziewał się pan, że nie uzyskałby takiej zgody. Czyż nie tak?

Dwight przygryzł wargę, zły na siebie, a także na stojącego przed nim mężczyznę.

– To, co pan mówi, to prawda.

– Ach... A zatem co ma pan na swoje usprawiedliwienie?

– Nic. Moje zachowanie nie było celowe. Uczucia rodzą się samoistnie, w naturalny sposób. W żadnym momencie nie powiedziałem sobie w duchu, że... Ale teraz darzę pana bratanicę uczuciem. Nie będę próbował temu zaprzeczyć.

– Nie zastanawiał się pan, że te niewłaściwe spotkania odbijają się na jej reputacji?

– Nie, nie myślałem o tym. Nie sądzę...

– Nie ma potrzeby, byśmy się kłócili, doktorze Enys. – Penvenen splótł dłonie pod połami surduta i się uśmiechnął. – Caroline to młoda kobieta o silnym charakterze, piękna i wykształcona, ale kapryśna jak nieokielznany żreback. Nigdy nie utemperowano jej natury: byłoby to niewdzięczne zadanie. Ja i mój brat ponosimy winę za to, że nie próbowaliśmy tego zrobić. Staramy się spełniać jej zachcianki. Często zdarza się, że Caroline czuje do ludzi gwałtowną sympatię lub antypatię, szybko się zaprzyjaźnia, a potem równie szybko zrywa kontakt. Podobnie może się stać w pańskim przypadku, prawdopodobnie tak będzie, ale i tak jestem przeciwny tym na poły sekretnym spotkaniom. Jeśli chodzi o poważny związek, młody człowiek pańskiej kondycji... Oprócz kwestii związanych

z majątkiem i pochodzeniem...

– Moim zdaniem nie powinniśmy mieszać do tego pochodzenia.

– A ja uważam, że tak, drogi panie. Jeden z Penvenenów walczył u boku księcia Ruperta w bitwie pod Marston Moor. Mieszkamy w tym hrabstwie od dziewięćdziesięciu lat...

– Jeden z Enysów wystawił i wyposażył okręt, który walczył z Wielką Armadą. Dziewięćdziesiąt lat temu mój przodek był głównym szeryfem Kornwalii.

Ray Penvenen odchrząknął. Nie był przygotowany na taką odpowiedź.

– A majątek? – spytał chłodno.

– Przyznaję, że to przeszkoda.

– Caroline otrzyma znaczny spadek, doktorze Enys. Dziedziczy po mnie i moim bracie, więc kiedyś będzie bardzo bogata. Jest zbyt zamożną osobą, by się wiązać z wiejskim lekarzem bez grosza przy duszy. Cieszę się, że pan to rozumie.

Jak dotychczas Dwight panował nad sobą, lecz słowa Penvenena wyprowadziły go z równowagi. Czuł się tym bardziej znieważony, że tych samych argumentów używał przeciwko sobie.

– Czy to nie Caroline powinna decydować o własnym życiu?

Ray Penvenen uniósł rękę i chwycił aksamitny wyłóg surduta.

– Jest pan w błędzie. Caroline musi uzyskać od nas zgodę na małżeństwo, bo inaczej nie odziedziczy naszych pieniędzy.

– Caroline musi dokonać wyboru również w tej kwestii.

– Jak pan sądzi, jakiego wyboru dokona, gdy stanie przed taką koniecznością? Wychowała się w luksusowych warunkach. Niczego jej nigdy nie odmawiano. Sądzi pan, że poświęci to wszystko dla życia, które może jej pan zaoferować? Uważa pan takie oczekiwanie za uzasadnione?

Dwight spojrział gniewnie w bok. Sekretarzyk był otwarty, leżały na nim papiery. Nad biurkiem wisiała niewielka akwarela przedstawiająca rudowłose dziecko.

– Oczywiście może pan myśleć, że moja bratanica ma własną fortunę. Proszę pozwolić mi...

– Nie wiem, czy jest bogata. W ogóle mnie to nie obchodzi.

– Podejście godne pochwały, lecz niepraktyczne. Prywatny majątek Caroline to około sześciu tysięcy funtów. Na tyle może pan liczyć, jeśli ją pan poślubi, doktorze Enys.

– Jak dotąd grzecznie znoszę pańskie uwagi, panie Penvenen. Jestem to panu winien jako stryjowi i opiekunowi Caroline. Ale są jakieś granice. Mężczyźnie trudno tolerować pewne rzeczy. Bóg mi świadkiem, nigdy nie dałem panu powodu do przypuszczeń, że jestem łowcą posagów, i sądzę, że powinien pan mieć bardziej przychylnie zdanie na mój temat. Jeśli uważa pan, że w pańskiej bratanicy może się zakochać tylko człowiek pragnący zdobyć jej pieniądze, nie docenia pan jej uroku

i obraża ją tak samo jak mnie...

– Nie ma potrzeby...

– Kiedy tu dziś przyjechałem... Sprawa majątku Caroline od dawna wytrącała mnie z równowagi. Od miesiący zmagam się z nierozwiązywalnym problemem. Teraz dał mi pan cień nadziei, że pojawi się rozwiązanie.

Im bardziej bladła twarz Penvenena, tym czerwieniejsze wydawały się obwódki wokół jego oczu.

– Posuwa się pan trochę za daleko, doktorze Enys. Chyba zdaje pan sobie sprawę, że w tej sytuacji będę musiał zrezygnować z pańskich usług...

– Pokazał mi pan drogę wyjścia – ciągnął Dwight, spacerując po pokoju. – Dowiedziałem się, że fortuna Caroline nie jest tak wielka, jak sądziłem. Znaczna, przyznaję, lecz nie tworzy przepaści niemożliwej do przebycia. Lekarz bez grosza przy duszy może poślubić kobietę o takim majątku i zachować niezależność. Posiadając taką kwotę, kobieta może zaspokajać swoje potrzeby, lecz nie będzie kontrolować wszystkich kwestii finansowych. Dziękuję panu za to!

– Opuści pan ten dom i nigdy więcej się tu nie pojawi – rzekł Ray Penvenen.

– Nie będzie się pan kontaktował z moją bratanicą. Zabraniam tego i podejmę odpowiednie kroki, by wyegzekwować ten zakaz. Życzę panu miłego dnia.

Dwight zatrzymał się naprzeciwko niskiego mężczyzny o chłodnej twarzy.

– Caroline jest pełnoletnia, panie Penvenen. Może pan ją kontrolować tylko na terenie swojej posiadłości. Sam pan wskazał rozwiązanie naszych kłopotów.

– Nie mam nic więcej do dodania, doktorze Enys!

– Z całym szacunkiem, muszę panu coś powiedzieć, sir. Przed chwilą spytał mnie pan, czy uważam, że Caroline zrezygnuje ze wszystkiego, co może jej pan zaofiarować, w zamian za to, co mogę zaofiarować ja. Pozostawmy jej decyzję w tej sprawie!

– Widzę, że bardzo się pomyliłem co do pańskiego charakteru, doktorze Enys. Bardzo żałuję, że tu pana zaprosiłem.

– W ciągu ostatnich miesięcy często bardzo żałowałem, że się tu pojawiłem. Ale przynajmniej teraz się rozumiemy.

– Tak, rozumiemy – odparł Ray Penvenen. Dwight wyszedł.

Kiedy zaanonsowano pannę Penvenen, Harris Pascoe nie był zajęty pracą, lecz zaabsorbowany swoją ulubioną rozrywką – żonglowaniem cyframi. Nie był człowiekiem odczuwającym silne namiętności, a kredyt i debet stanowiły dla niego czyste szczyty przyjemności estetycznej. Z ociąganiem zamknął ostatnią księgę i wstał, gdy wprowadzono Caroline.

– Panno Penvenen, nie miałem dotąd przyjemności pani poznać. Oczywiście znam pani ojca.

– Stryja. Tak, przyjechałam do pana, ponieważ wspominał o panu. Naturalnie nie wie, że tu jestem...

Harris Pascoe potarł gęsim piórem miękką linię policzka. Choć największą miłością darzył matematykę, nie był niewrażliwy na wdzięki niewieście. Przyznał przed sobą, że ta młoda kobieta była wyjątkowo urodziwa.

– W czym mógłbym pani pomóc?

Caroline zdjęła długie zielone rękawiczki z mankietami i położyła je na kolanach.

– Przybyłam w szczególnym celu, panie Pascoe. Może pan przynajmniej tak myśleć i nie chciałabym kwestionować tej opinii. Pragnę się dowiedzieć, czy może mi pan ułatwić udzielenie pomocy przyjacielowi, który wpadł w kłopoty. Brzmi to dość tajemniczo, prawda? I trochę podejrzanie. Czy mogłabym wytłumaczyć?

W oczach Caroline płonęły psotne ogniki, lecz Harris Pascoe zachowywał absolutną powagę.

– Gdyby była pani tak łaskawa.

– Mam pieniądze, panie Pascoe, i chciałabym je korzystnie zainwestować. Rozumiem, że kapitan Poldark podpisał weksel, który wkrótce powinien zostać wykupiony. Czy używam prawidłowych określeń? Słyszałam, że obecny posiadacz weksla nie chce go prolongować. Chciałabym wykupić ten weksel. Mógłby pan przeprowadzić taką transakcję w moim imieniu?

Bankier przysunął do siebie tabakierkę i otworzył ją. Przez moment trzymał nad nią kciuk i palec wskazujący. Po chwili zamknął wieczko, nie nabrawszy tabaki.

– Chciałaby pani korzystnie zainwestować pieniądze, panno Penvenen?

Skinęła głową z promiennym uśmiechem.

– Rozumiem, że byłaby to dobra inwestycja. Podobno oprocentowanie jest bardzo wysokie. Oczywiście, gdyby chciał pan nazwać tę transakcję inaczej, nie mam nic przeciwko temu.

– Proszę mi wybaczyć, ale czy może pani swobodnie dysponować swoimi pieniędzmi?

– Od ukończenia dwudziestego pierwszego roku życia.

– Co pani stryj... Ale wspomniała pani, że on nie wie o tej wizycie.

A kapitan Poldark?

Caroline się uśmiechnęła.

– Sądzi pan, że pozwoliłby mi się wtrącać w swoje sprawy?

– Nie... – Pascoe wstał i strzepnął z kamizelki odrobinę tabaki. – Stawia mnie pani w dość trudnym położeniu, panno Penvenen. Kapitan Poldark jest moim klientem, a zarazem przyjacielem. Nie mam zwyczaju rozmawiać o sprawach swoich klientów z osobami trzecimi, ale nie będę przed panią ukrywał tego, co już pani dobrze wie: prolongata weksla ma dla kapitana Poldarka ogromne znaczenie. Ale również... ale również pani stryj jest moim cenionym klientem i nie spełniłbym swoich obowiązków wobec niego, gdybym pani nie ostrzegł przed taką

nierozważną transakcją, zakładając, że w ogóle można ją przeprowadzić. W gruncie rzeczy uważam, że przed zaaranżowaniem tak ryzykownej operacji finansowej powinienem się wcześniej skonsultować z pani stryjem.

Caroline spuściła wzrok i delikatnie rozciągnęła palce rękawiczek.

– Jestem pełnoletnia, panie Pascoe. Gdyby zwrócił się pan do mojego stryja, ujawniłby pan osobie trzeciej treść poufnej rozmowy. Sądziłam, że nigdy tak pan nie postępuje. Jeśli odmówi pan przeprowadzenia tej transakcji, zwrócę się do kogoś innego.

Harris Pascoe zrozumiał, że nie należy lekceważyć kobiety, która go odwiedziła.

– Zdaje sobie pani sprawę z ryzyka?

– Zdaję sobie sprawę, że większość ludzi uważałaby to za zbyt ryzykowne. Każdy ma prawo do własnego zdania.

Pascoe podszedł do okna i popatrzył na ulicę. Z roztargnieniem spojrzął na elegancką prywatną karetkę, woźnicę w zielonej liberii na koźle, gapiących się uliczników, mieszczanina, który zatrzymał się, by popatrzeć. Skoro ta dziewczyna ma mnóstwo pieniędzy, dlaczego ją zniechęcać? I tak pojawi się wiele trudności...

– Pani propozycja wiąże się z problemami, na które nie mam żadnego wpływu, panno Penvenen. Przede wszystkim nie sądzę, żeby obecny posiadacz weksła zechciał go sprzedać.

– Dlaczego? Chce dostać pieniądze, prawda?

– Nie chodzi tylko o pieniądze.

– O tak, Warlegganowie, oczywiście, coś o tym słyszałam. Nie da się jakoś rozwiązać tego problemu?

– Nie, składając propozycję wykupu weksła. Przypuszczam, że w najlepszym razie zażądałiby ogromnej kwoty, której nie zdołałaby pani zapłacić.

– Skąd pan wie, że nie zdołałabym zapłacić, panie Pascoe?

– Tak uważam. Ale proszę mi pozwolić udzielić sobie rady, jak można łatwo rozwiązać ten problem. – Pascoe podszedł do stołu, usiadł, z lekką irytacją wziął pióro i napisał kilka liczb. – Skoro koniecznie chce pani przeprowadzić tę operację, najlepiej pożyczyć kapitanowi Poldarkowi tysiąc czterysta funtów, by spłacił weksel, a następnie wystawił nowy weksel na tę samą kwotę.

Caroline po raz pierwszy wydawała się nieco zdezorientowana.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Jeszcze o tym panu nie wspomniałam. Kapitan Poldark pod żadnym pozorem nie może poznać tożsamości osoby, która wyasygnowała pieniądze.

Pascoe spojrzął chłodno na Caroline.

– Rozumiem. Przykro mi, ale to nieuniknione. Moim zdaniem nie ma innego sposobu. Uważam, że nie istnieje najmniejsza szansa przekonania Cary'ego Warleggana, by rozstał się z wekslem, za jakąkolwiek cenę. Niewątpliwie czytała

pani *Kupca weneckiego*.

Przez chwilę panowała cisza.

– Myślę, że kapitan Poldark nie przyjąłby ode mnie tych pieniędzy – rzekła w końcu Caroline.

– Hm... Tak, to możliwe. Oczywiście to pani przyjaciel, prawda? Ale jest pani kobietą. Rozumiem, o co pani chodzi.

Caroline wstała. Była wyższa od bankiera, a szczupła sylwetka sprawiała, że wydawała się jeszcze wyższa. Starannie złożyła rękawiczki, nie patrząc na Pascoe'a. Lecz coś w rysach jej twarzy sprawiło, że domyślił się, jaki może być wyraz jej oczu.

– Cóż, dziękuję, że zgodził pan się ze mną spotkać. Muszę zwrócić się do kogoś innego. Spodziewam się, że nie wspomni pan nikomu o mojej wizycie?

– Nikomu nie powiem. Niemniej proszę się zanadto nie spieszyć. Mam dla pani propozycję, która pozwoli przezwyciężyć tę trudność.

– Tak?

– Proszę, niech pani zechce usiąść. Muszę się nad tym przez chwilę zastanowić.

Caroline znów zajęła miejsce w fotelu. Obserwowała wąskimi oczami o długich rzęsach, jak Pascoe otwiera tabakierkę. Cierpliwie czekała, aż przedstawi swoją propozycję.

## *Rozdział piąty*

Do Nampary przybył roznosiciel „Sherborne Mercury”. Spędził noc w okolicy, toteż Ross otrzymał list, gdy wychodził z domu do kopalni. Złamał pieczęć i przeczytał to, co napisał Harris Pascoe; nie był pewien, czy skośne promienie grudniowego słońca nie zniekształcają w jakiś sposób znaczenia słów. Przeczytał list dwukrotnie i za każdym razem zrozumiał go tak samo, po czym udał się szybko do stajni i zajął się siodłaniem Czarnulki. Usłyszał go Gimlett, przerwał pracę i wszedł do stajni.

– Mogę panu pomóc?

– Nie... Poradzę sobie. Och, Gimlett, gdzie jest pani?

– Poszła szukać Garricka, który pobiegł za bezpańskim kotem.

– Powiedz jej, że wezwano mnie do Truro w interesach, dobrze? Mam nadzieję, że wrócę na podwieczorek.

– Tak, panie.

Przed jedenastą Ross zsiadł z konia przed bankiem działającym pod firmą Pascoe, Tresize, Annery i Spry. Zarzucił wodze na pacholek, nacisnął klamkę i szybko wszedł do środka. Harris Pascoe nie był zajęty. Nie był też zaskoczony widokiem gościa, choć spodziewał się Rossa kilka godzin później. Popatrzył zamyślonym wzrokiem na twarz Poldarka, gdy wprowadzono kapitana do kantorka.

Ross usiadł, skrzyżował długie nogi i powoli potarł palcem górną wargę.

– Dzień dobry, Harris.

– Dzień dobry. Wcześniej mnie pan dziś odwiedza.

– Najwcześniej, jak mogłem. Ten list... – Ross wyjął papier z kieszeni.

– O tak. Widzę, że go pan otrzymał. Rozumiem, że treść okazała się zaskakująca.

– To zbyt łagodnie powiedziane.

Bankier uśmiechnął się, patrząc na swoje księgi.

– Naturalnie byłem szczęśliwy, mogąc wysłać taką wiadomość.

– Nie bardziej szczęśliwy niż ja, gdy ją otrzymałem. Jak brzmi wyjaśnienie?

– Wyjaśnienie znajduje się w liście.

– Nie jestem nim usatysfakcjonowany. Od sześciu tygodni bezskutecznie próbuję zdobyć pieniądze i jestem nieco zdziwiony, że nagle postanowiły same do mnie przyjść. Kim jest ta anonimowa osoba, która niespodziewanie postanowiła przekazać mi fundusze?

– Nie wolno mi podać jej nazwiska.

– Czy to pan?

Pascoe uniósł wzrok i spojrzał w niespokojne oczy Rossa.



- Nie.
- Czy to jeden z moich przyjaciół? Ktoś, kogo znam?
- Nie mogę powiedzieć.
- Jeśli nie wiem nic więcej, jak mogę przyjąć tę propozycję? Na jakich warunkach otrzymałbym pożyczkę?
- Informacja znajduje się w liście. Nowy weksel na tych samych warunkach jak stary, lecz z niższym oprocentowaniem.
- Komu miałbym je wypłacać?
- Pole na nazwisko odbiorcy pozostanie puste. Weksel będzie u mnie, chyba że przestanie pan płacić odsetki.

Ross wstał i oparł dłonie na gigantycznym biurku.

– To potworne, Harris. Naprawdę. Czy przekonał pan jakiegoś biednego durnia, że pożyczanie mi pieniędzy jest mniej ryzykowne niż w rzeczywistości?

- Nie.
- A zatem to przyjaciel. Do licha, ciągle pana podejrzewam. Nie wierzę...
- Urwał i przesunął dłonią po włosach.

– Byłbym szczęśliwy, gdyby była to moja zasługa. Ale jako bankier nie mogę pożyczyć panu tej kwoty... Gdyby to było możliwe, wypłaciłbym je kilka tygodni temu i oszczędził panu niepokoju.

– Przecież nie mogę przyjąć tych pieniędzy na ślepo! To zbyt wielkie wymaganie.

– Wobec kogo? – spytał uprzejmie Pascoe.

Ross opadł na fotel. Pięć dni wcześniej siedziała na nim Caroline. Wziął szpicrutę i obrócił ją w szczupłych palcach. W ostatnich latach jego finanse kojarzyły mu się z człowiekiem pozbawionym powietrza, duszącym się, lecz co pewien czas ratowanym, gdy jest o krok od śmierci. Jeszcze nigdy nie był tak bliski bankructwa jak w grudniu tego roku. Nawet teraz prawie nie czuł ulgi. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Popatrzył na mężczyznę siedzącego naprzeciwko niego. Pascoe miał zamiar kichnąć, lecz nagle spojrzenie Rossa sprawiło, że nie zrobił tego i tylko pociągnął nosem.

– To nie jeden z Warlegganów? Nie jest to zamiana jednego na drugiego albo przysługa ze strony George'a, by zagrać na nosie Cary'emu?

– To nie Warlegganowie.

– Czy Warlegganowie mogą temu zapobiec? Jakoś zachować weksel?

– Nie. Za pańskim pozwoleniem pojedę do nich jutro i wykupię kwit. Pieniądze będą do pana dyspozycji natychmiast po podpisaniu nowego weksla.

Ross wpatrywał się w dokument, jakby mógł w ten sposób przeniknąć ukrywaną przed nim tajemnicę.

– Czy to Trencrom?

– Nie mogę nic więcej powiedzieć.

– Nawet najmniejszej wskazówki?  
– Obawiam się, że nie.  
– Ale znając tożsamość tej osoby, doradza mi pan przyjęcie propozycji?  
– Znając tożsamość tej osoby, doradzam przyjąć propozycję. Jej odrzucenie byłoby karygodną głupotą.

To wystarczyło. Ross zanurzył pióro w kałamarzu i powoli się podpisał.

– Ma pan kontakt z tym nieśmiałym dżentelmenem?

– Owszem, od czasu do czasu.

– Cóż, niech pan przekaże mu wyrazy uszanowania i powie, że nie odzyskam spokoju, dopóki nie poznam jego nazwiska. Jestem jego dłużnikiem dosłownie i w przenośni, jeszcze nigdy w życiu nie miałem wobec nikogo tak wielkich zobowiązań. Jeśli chodzi o pieniądze, traktuję je jako dług honorowy, a jeśli chodzi o zobowiązania osobiste, mam nadzieję, że będę miał sposobność również je spłacić.

– Przekażę to temu dżentelmenowi – rzekł Pascoe, poprawiając okulary. – Jestem pewien, że będzie zadowolony, że przyjął pan propozycję. Jest jasne, że dobrze panu życzy.

– Ja również dobrze mu życzę – odparł Ross.

Garrick uganiał się za kotem, który schronił się na drzewie, toteż Demelza przywiązała psa w pewnej odległości i próbowała skłonić zwierzę do zejścia. Nie udało się, więc podkasła suknię i sama weszła na drzewo. Kiedy dotarła do najwyższych gałęzi i zachwiała się niebezpiecznie, w górze doliny zobaczyła odjeżdżającego Rossa. Zawołała, ale jej nie usłyszał, następnie wzięła kota i zeszła na dół, pełna niepokoju. Nagłe zmiany planów u Rossa zawsze zapowiadały złe wiadomości.

Opowieść Gimletta o liście potwierdziła obawy Demelzy. Przez cały dzień miała złe przeczucia i próbowała zapomnieć o najgorszych myślach, intensywnie pracując. Po południu robiła masło, ubijając zaoszczędzoną śmietanę w kamiennej misie, gdy tymczasem Jeremy szarpał ją za suknię i bez przerwy psocił. Ale dziś śmietana nie chciała się ściąć i Demelza zaczęła się obawiać, że albo krowa była chora, albo to zły omen. W zeszłym tygodniu odwiedził ją sir Hugh Bodrugan, chciał, by obejrzała krowę, która nie mogła się ocielić, przekonany ponad wszelką wątpliwość, że Demelza jest mistrzynią białej magii. Odmówiła. Dwa szczęśliwe zbiegi okoliczności przysporzyły jej sławy i nie należało znowu kusić losu.

W czasie służby w Namparze Prudie Paynter powtarzała jakąś rymowaną, gdy śmietana nie chciała się ściąć. Demelza próbowała naśladować, ale może Ross zaraził ją swoim sceptycyzmem, bo nic z tego nie wyszło. Ponieważ popołudnie było bardzo chłodne, miała zziębnięte ręce i z trudem utrzymywała równe, powolne tempo ruchów.

Dzień był bezwietrzny, cichy, dochodził tylko ryk przyboju. Szum morza był

często niezauważalny, lecz w takie dni przełamывał mury obronne umysłu i życie toczyło się w jego rytmie. Miało się wrażenie, że w pobliżu dworu przejeżdża armia ciężkich pojazdów, a powietrze drżało od czasu do czasu wokół uszu. W głębi łądy sunęły obłoki delikatnej mgiełki powstającej w miejscu łamania się fal – skraj klifu i wydmy nabierały od nich szarej barwy. W ogrodzie ptaki dziobały twardą ziemię, a na niebie krążyły mewy.

W następnym tygodniu w Werry House urządzano wielkie polowanie, na które sir Hugh zaprosił Demelzę. Zastanawiała się, czy słusznie odmówiła. Wiedziała, co sądzi o tym Ross, lecz w dalszym ciągu czuła, że sir Hugh można przekonać, by im pomógł – za pewną cenę. Już raz skłoniła go do ustępstw i nic złego się nie stało. Z pewnością mogłaby to zrobić ponownie.

W końcu śmietana się ścięła. Po kilku minutach Demelza wyszła na dwór i przyniosła dzban lodowatej wody z pompy, by splukać maślanekę. Później, gdy formowała masło na desce, rozległ się stukot kopyt konia Rossa.

Nie zaniósła deski do spiżarni, lecz szybko przeszła przez dom, o mało nie przewracając Jeremy'ego, który stanął jej na drodze.

Ross wrócił wcześniej, co wydawało się dziwne. Zostawił klacz przy drzwiach. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Demelza prawie zawsze potrafiła rozpoznać, w jakim jest nastroju, lecz tym razem nie wiedziała, co się stało.

– Idzie mroźna zima – powiedział. – Część płycizn przy brzegu już zamarza.

– Tak, to samo pomyślałam – odparła. – Widać wszystkie znaki nadchodzącego mrozu. To niebo... Jeremy, kochanie, skąd wzięłeś marmoladę?!

Chłopiec posuwał się chwiejnie do przodu, niosąc duży słoje, z którego spływał ciemnoczerwony sok. O mało go nie upuścił, lecz zdołał podać go ojcu, nim wyslizgnął mu się z rąk. Później klapnął na podłogę i powiedział:

– Gar!

– Dziękuję – rzekł Ross. – Bardzo przyjacielski gest... – Postawił słoje na stole. – Jeremy jest ruchliwszy od Julii, prawda? Nie przypominam sobie, by w tym wieku...

– Była grubsza i wolała siedzieć w jednym miejscu. Musimy obserwować jego nóżki... Dlaczego pojechałeś do Truro, Ross?

– Miałem coś do załatwienia z Pascoe'em. Nic szczególnie ważnego.

Błysk w oczach Rossa świadczył, że nowiny nie są złe.

– Co się stało? Co zrobiłeś? Powiedz mi, czy sytuacja się poprawiła. Przez cały dzień się martwiłam.

Ross usiadł i ogrzał dłonie przy ogniu. Gimlett wyszedł i przeprowadził Czarnulkę obok okna.

– Pascoe również spodziewa się mroźnej zimy.

– Nie, Ross! – Podeszła do niego. – Nie drocz się ze mną! To zbyt poważna sprawa. Powiedz mi, proszę!

Spojrzał na zaciekawioną twarz Demelzy.

– Ktoś – jakaś anonimowa osoba – bardzo niemądrze postanowił przejąć mój dług, weksel zdobyty przez Warlegganów. Oznacza to, że przynajmniej na razie nie muszę pilnie zdobywać pieniędzy. Naturalnie w przyszłości będę musiał spłacić ten dług. Ale nie w to Boże Narodzenie.

Demelza wpatrywała się w męża.

– Chcesz powiedzieć... że nie będziesz musiał ogłosić bankructwa? Że ciągle jest szansa?

– Ciągle jest szansa. Tylko tyle.

– Och, kochany... – Gwałtownie wyprostowała się w fotelu. Po chwili poczołgał się ku niej Jeremy. Wzięła go na ręce i obsypała jego twarz pełnymi ulgi pocałunkami. – Och, Ross, nie mogę uwierzyć... Tak się martwiłam... To zupełnie niewiarygodne...

– Trafnie to nazwałaś. Niewiarygodne. Przez całą drogę do domu powtarzałem sobie, że sytuacja jest równie koszmarna jak poprzednio, że ciągle jesteśmy ubodzy i że grozi nam nędza, że za jakiś miesiąc trzeba będzie zamknąć kopalnię, że nie mamy praktycznie za co żyć. Ale w tej chwili to nieważne.

– To prawda! Prawda! Och, dzięki Bogu! – Nagle postawiła Jeremy'ego na ziemi, podbiegła i pocałowała męża w policzek. – Tak się cieszę, Ross! Cieszę się to za mało powiedziane! Musi istnieć lepsze słowo! Chciałabym je znać! Co to znaczy „anonimowy”?

Pociągnął ją ku sobie, aż usiadła mu na kolanach.

– Nie znamy jego nazwiska. Nie wiemy, kim jest nasz dobroczyńca.

– Jakiś przyjaciel?

– Jakiś przyjaciel. Któremu jestem winien tysiąc czterysta funtów. Oprocentowanie zmniejszyło się o połowę, więc po roku, na Boże Narodzenie, zapłacę tylko dwieście osiemdziesiąt funtów odsetek.

– Niechaj go Bóg błogosławi, kimkolwiek jest!

– Mogę tylko powiedzieć „amen”.

– W ogóle się nie domyślasz?

– Zastanawiałem się w drodze do domu. Każdy domysł wydaje się równie nieprawdopodobny.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Gdzie byłaś, kiedy odjeżdżałem? – spytał.

– Szukałam bezdomnego kota, za którym uganiał się Garrick. Nie powinien tego robić, bo zwierzę miało kulawą nogę, a ja zabraniam mu polować na koty. Czy to znaczy, że kopalnia może teraz działać trochę dłużej?

– Gdzie jest teraz ten kot?

– W koszyku w kuchni.

– Tak myślę. – Ross pochylił się w stronę torby stojącej obok jego stóp.

Demelza, która trochę się odzwyczaiła od siedzenia mężowi na kolanach, chciała wstać, ale jej nie pozwilił. – Kupiłem ci funt herbaty souchong. Jest lepsza od tej, którą bierzemy od Trencroma. Pomyślałem, że zechcesz spróbować.

– Dziękuję, Ross. To miło z twojej strony... Teraz może przez pewien czas nie będziemy musieli pomagać Trencromowi. Myślisz, że to możliwe? Wtedy bylibyśmy naprawdę wolni, nie mielibyśmy nic do ukrycia, moglibyśmy swobodnie oddychać!

– Kupiłem ci też nową szczotkę do włosów i grzebień. Pomyślałem, że warto mieć jeden w zapasie, nim połamię się ten, który masz teraz.

Wzięła podarunki od Rossa i obróciła je w dłoniach. Grzebień miał rączkę przypominającą warkocz.

– Bardzo fikuśny – rzekła niewyraźnie.

– Mam także dwie pary czesankowych pończoch dla Gimlettów. Nie były drogie: dwa szylingi za parę. Ostatnio im się zdarły. Przywiozłem również czapkę dla Jeremy’ego i parę włóczkowych rękawiczek. Pomyślałem, że może być zazdrosny, jeśli nic nie dostanie. Nie jestem pewien, czy wybrałem dobry rozmiar. Obawiam się, że są za duże.

Demelza wstała. Zapadał zmrok, nad wzgórzem lśniło ostatnie światło zimowego dnia. Panowała cisza i słychać było tylko przytłumiony ryk oceanu za domem. Przycichł nieco, ponieważ trwał odpływ. W dolinie wyczuwało się już pierwszą zapowiedź nadchodzących mrozów.

– Wydaje się, że będą pasować. Sprytnie to wymyśliłeś. A co kupiłeś dla siebie?

– Wahałem się między aksamitną peleryną a szpadą z rękojeścią wysadzaną klejnotami, więc odłożyłem to do następnego razu – odpowiedział Ross. – A to moje ostatnie sprawunki.

On również wstał i wręczył Demelzie parę podwiązek. Były bardzo eleganckie.

– To dla mnie? – spytała.

– Zauważyłem, że tej zimy nie nosisz pończoch, i odgadłem, że nie masz czym ich utrzymać we właściwym miejscu.

Rozpłakała się.

– Och, daj spokój, przestań, nie chciałem cię urazić. Przeszło mi tak tylko przez głowę. Jeśli ich nie chcesz...

– Nie o to chodzi – odpowiedziała. – Dobrze wiesz, że nie o to chodzi... – Zasłoniła twarz dłońmi. – To ulga... Kupiłeś te wszystkie rzeczy...

– Żadna z nich nie kosztowała majątku. – Objął ją ramieniem, ale szybko przestała płakać, bo w sypialni rozległ się krzyk Jeremy’ego. Nieprzyzwyczajony do widoku łez matki, najwyraźniej postanowił ją naśladować. Demelza uklękła przy synu i zaczęła go uspokajać, wycierając oczy chłopcu i sobie. Po chwili

zerknęła na Rossa.

– Przepraszam. To po prostu z ulgi. Widzisz... tak bardzo cię Kocham...

Wzruszony i szczęśliwy Ross patrzył na syna i żonę. Włosy Demelzy lśniły w promieniach wpadających przez okno. Słońce oświetlało jej pochylone plecy i rączki Jeremy'ego ściskające matkę.

– Muszę mu je włożyć – rzekł Ross.

– Masz na myśli czapkę i rękawiczki Jeremy'ego?

– A cóż innego? – odparł Ross, uśmiechając się pośpiesznie.

Jeremy'ego odziano w nowe regalia, co nie odbyło się bez zwyczajowych trudności. Wszystko pasowało dość dobrze, czego można się było spodziewać, bo sklepikarz przymierzył rzeczy na własnym dziecku. Po chwili Jeremy odszedł z zawadiacko przekrzywioną czapką; jedna z rękawiczek nie była zawiązana.

Demelza wiedziała, że Ross miał na myśli coś innego. Trzymała w ręce podwiązki. Ross wziął je, ona zaś usiadła niepewnie w fotelu. Dziś wieczorem miała na sobie stare czarne pończochy. Skóra nad nimi lśniła jak kość słoniowa. Bardzo delikatnie wsunął podwiązki na jej nogi. Minęły miesiące, wręcz lata, odkąd ostatnio zachowywali się w ten sposób – dziwne połączenie pożądania i czułości, którego nic nie jest w stanie zastąpić. Demelza spoglądała na Rossa w narastającej ciemności. Przez chwilę prawie się nie poruszali: on klęczał, a ona siedziała w fotelu odchyłona do tyłu. Czuła na swoich nogach chłód jego rąk. Pamiętaj o tym, pomyślała. W chwilach zazdrości i zaniedbania, pamiętaj.

– Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz, Kochana – rzekł.

– Nie chcę się ciebie pozbyć, Kochany.

W rogu przy drzwiach Jeremy tupnął nogą i zaczął metodycznie ściągać rękawiczki.

## *Rozdział szósty*

Verity, siostra Francisa, zaprosiła wcześniej Rossa i Demelzę na Boże Narodzenie, ale perspektywa szybko zbliżającego się bankructwa zmusiła ich do odmowy. Nagła pomoc finansowa zmieniła sytuację i Ross zgodził się pojechać do Falmouth w Wigilię i spędzić tam noc. Uważał, że nie może opuścić kopalni na dłużej. Verity, zawsze mocno związana z Francisem, głęboko przeżyła jego śmierć i Demelza uważała, że mają obowiązek spędzić z nią święta. Elizabeth zamierzała przyjechać wraz z Geoffreyem Charlesem, więc cała rodzina mogła być razem w miejscu, z którym nie wiązały się żadne wspomnienia.

Elizabeth w ostatniej chwili zmieniła plany, co wszystkich zaskoczyło i sprawiło, że Demelza poczuła ulgę. Matka Elizabeth znowu zachorowała, więc ta zdecydowała, że spędzi święta w Cusgarne, swoim domu rodzinnym na przedmieściach Truro. Powiedziała o tym Rossowi, gdy złożył jej cotygodniową wizytę na cztery dni przed Bożym Narodzeniem.

Przyjechał później niż zwykle i zastał ją przy kolacji, którą jadła samotnie w salonie zimowym. Usiadł przy stole i podjął rozmowę. Zauważył, jak skromne jest jedzenie, i odmówił poczęstunku, nie chcąc umniejszać zapasów. Salon zimowy, najczęściej używane pomieszczenie dworu, był mocno podniszczony. Elizabeth wyglądała na zmęczoną i chorą – jej delikatność miała teraz w sobie coś niezdrowego. Ciotka Agatha czuła się równie źle i wydawało się, że wkrótce może obłożnie zachorować. Wiązałoby się to z koniecznością noszenia jej posiłków i zapewnienia opieki. Tabb pracował w polu po osiemnaście godzin dziennie, a jego żona zajmowała się nielicznymi zwierzętami, które pozostały w majątku. Ross potrafił oszacować ilość pracy, którą musiała wykonywać Elizabeth.

Później poszedł na górę i podążył ciemnymi korytarzami do pokoju ciotki Agathy, która leżała w łóżku przy dwóch zapalonych świecach. Jej maleńkie oczy lśniły w ich świetle, gdy z nim rozmawiała. Zadawała niezliczone pytania, choć nie mogła usłyszeć odpowiedzi; snuła niekończące się opowieści o przeszłości, która była martwa dla wszystkich oprócz niej. Powiedziała Rossowi, że ma dziewięćdziesiąt siedem lat i że zamierza dożyć setki. Niezależnie od tego, czy podawała prawidłowy wiek, z pewnością miała na to szansę. Być może tonęła, jak sądziła Elizabeth, ale pójście na dno mogło jeszcze zająć dużo czasu.

Nadeszło Boże Narodzenie. Pierwszy dzień świąt, przypadający we wtorek, był wietrzny i zimny. W nocy padał śnieg, lecz przed świtem opady ustały. Groźne wieści z zagranicy sprawiły, że Pitt formował pospolite ruszenie – wszędzie tworzono oddziały złożone z rolników, ziemian i sklepikarzy. Francuzi znajdowali się w Antwerpii i spoglądali w stronę Anglii z ujścia rzeki Scheldt, powstrzymywani tylko przez traktat zakazujący żeglugi na rzece.

Ross zjadł wieczerzę świąteczną z Blameyami – Andrew, mąż Verity, przebywał na łądzie. Boże Narodzenie spędzały z nimi dzieci Blameya z pierwszego małżeństwa: James, kadet w marynarce wojennej, hałaśliwy i serdeczny, oraz Esther, pełna rezerwy, całkowite przeciwieństwo brata. Ross spoglądał na szare wody portu w Falmouth, zastanawiał się, czy wybuchnie wojna i czy powinien popłynąć do Francji, by znaleźć Marka Daniela, dopóki jeszcze trwa pokój. Myślał również o tym, kim jest jego dobroczyńca i w jaki sposób spłacić dług honorowy wobec Elizabeth i Geoffreya Charlesa.

Przeszło dwadzieścia kilometrów dalej dobroczyńca Rossa spokojnie jadł w towarzystwie stryja obiad złożony z pieczonej wołowiny i puddingu śliwkowego. Rude włosy Caroline zostały ciasno związane i przez to ujarzmione, podobnie jak w ostatnich tygodniach ujarzmiony został jej charakter. Kiedy wróciła z Truro, Ray Penvenen powiedział jej o rozmowie z Dwigthem. Jak można się było spodziewać, stryj i bratanica się pokłócili, ale ku swojemu zdumieniu Penvenen nagle skapitulował i doszło do pogodzenia. Caroline do niczego się nie zobowiązała – Penvenen nie spodziewał się tego – ale skutek był zgodny z jego oczekiwaniami. Przez jakiś czas prawie nie mógł uwierzyć w swoje zwycięstwo i w dalszym ciągu śledził ruchy bratanicy za pośrednictwem służących, lecz powoli doszedł do wniosku, że w porę udało mu się zapobiec romansowi. Na początku lutego zamierzał pojechać do Londynu i zaproponował, by Caroline mu towarzyszyła. Nie okazała wielkiego entuzjazmu dla tego pomysłu, ale przynajmniej nie zaprotestowała, a Penvenen podjął sekretne postanowienie, że bratanica nie może wrócić do Killewarren. Miał w Londynie siostrę, żonę bogatego kupca, matkę siedmiorga dzieci. Nie zaszkodzi, jeśli przez pewien czas będzie miała ósme.

Dwight Enys jadł obiad samotnie i później niż inni, gdyż starał się jak najlepiej wykorzystywać światło dzienne. Dziewięcioletnia Lottie Kempthorne, najstarsza córka Charliego, zachorowała na ospę i bardzo źle się czuła. W tym roku nie było żadnych poważnych epidemii, z wyjątkiem wielu przypadków odry w czerwcu. Nieprzyjemny początek nowego roku, bo ospa była jedną z najgorszych chorób zakaźnych. Kiedy Dwight przebywał w chacie Kempthorne'a, zauważył, że May, młodsza siostra Lottie, bawi się nową książką dla dzieci. Nosiła tytuł *The History of Primrose Prettyface*, była wydrukowana na dobrym sztywnym papierze i miała tekturowe okładki. Jedząc obiad, usiłował sobie przypomnieć, gdzie widział taką samą książkę, ale szybko skupił myśli na Caroline.

Wśród podarunków, które dziś otrzymał, jeden pochodził od Hoblynów. Był to pięknie utkany szalik. Na starym kawałku poliniowanego papieru z zeszytu wykaligrafowano: „Od Rosiny z wyrazami miłości”. Zastanawiał się, kto to napisał, bo wiedział, że żaden z członków rodziny Hoblynów nie umie pisać. Inne prezenty były darami w naturze: jajka, kawał boczku, dwa bochenki chleba, ciasto, sześć łożowych świec, pleciona mata – symbole wdzięczności ludzi, dla których



każdy z tych podarunków oznaczał prawdziwe poświęcenie.

A co robiła w tym czasie Elizabeth? Mimo wszystko nie spędziła Bożego Narodzenia w Cusgarne.

Elizabeth czuła się zobowiązana spędzić święta z rodzicami, choć stan matki nieco się poprawił.

W południe przyniesiono bilecik od George'a Warleggana, który napisał, że dowiedział się o przyjeździe Elizabeth, i zapraszał wszystkich do nowego wiejskiego dworu Warlegganów w Cardew, gdzie gościł w czasie weekendu kilku przyjaciół. Pani Chynoweth, która nie miała ochoty opuszczać domu, namawiała Elizabeth, by pojechała sama, opisując wspaniałości nowej rezydencji Warlegganów. Elizabeth zmagala się z poczuciem obowiązku i odrzuciła zaproszenie. O drugiej przyjechał George, by ją zabrać. W końcu, ku swojemu zaskoczeniu, w ten wietrzny, ponury dzień znalazła się w karecie George'a, pozostawivszy Geoffreya Charlesa pod opieką rodziców.

Dwór w Cardew zaczęto wznosić zaledwie dziesięć lat temu na zamówienie Nicholasa Warleggana i opowieści o splendorze posiadłości się potwierdziły. Dom miał ogromny portyk w stylu jońskim, luksusowo umeblowane salony z wielkimi kominkami, a poza tym salę do spotkań, zbrojownię, warsztaty, spiżarnie, stajnie, oranżerie i otoczone murami ogrody. Teren przed dworem specjalnie ukształtowano, by z tarasu rozciągał się widok na sztuczne jezioro i znajdujący się za nim ogromny park.

W porównaniu z Cardew Trenwith wyglądało jak wiejska chata, a Cusgarne wydawało się jeszcze bardziej zaniedbane. W przeciwieństwie do Cusgarne w Cardew było ciepło i po pokojach nie hulały przeciągi. George czerpał ogromną przyjemność z pokazywania posiadłości Elizabeth, co nie uszło uwagi pozostałych członków rodziny Warlegganów. W rezydencji przebywało około dwudziestu pięciu gości, starannie wybranych przez Nicholasa Warleggana, gdyż mogli być dla niego użyteczni w interesach lub życiu towarzyskim. Nicholas byłby bardziej zadowolony, gdyby George nie wyjechał w środku dnia, wracając z młodą kobietą i poświęcając jej całą uwagę.

Jeśli byłaby to dobra partia dla George'a, Nicholas miałby zupełnie inny pogląd na tę kwestię. Najwyższy czas, by George się ożenił. Był to właściwy moment w jego życiu. Nicholas wybrał już trzy lub cztery młode, niespełna dwudziestoletnie panny, dobre kandydatki na żonę – z różnych przyczyn, lecz głównie z powodu posiadanego tytułu lub więzów krwi z arystokracją. George dysponował pieniędzmi i ojciec byłby rad, gdyby syn okazał większe zainteresowanie którąś z nich. To wieloletnie, sentymentalne zauroczenie delikatną wdową bez żadnych koneksji nie miało sensu, zwłaszcza że nosiła nazwisko Poldark, choć tylko dzięki małżeństwu.

Tak czy inaczej, nawet zakładając, że mogłoby dojść do małżeństwa

– a Nicholas, znając Elizabeth, uważał to za mało prawdopodobne – i zakładając, że rodzina pogodziłaby się z takim kiepskim ożenkiem, nie wydawało się, by Elizabeth, mająca ośmioletniego syna z pierwszego małżeństwa, mogła się okazać zdolna do poczęcia dziecka, a największym marzeniem Nicholasa było patrzyć, jak po dworze biega kilku krzepkich wnuków. Żałował, że to nie Elizabeth wpadła do szybu w kopalni, tylko jej mąż.

Myśl o Poldarkach sprawiła, że spojrzął na swojego brata Cary'ego, rozmawiającego w rogu sali z młodszym Boscoigne'em. Cary stawał się problemem dla bardziej szacownych członków rodziny. Był głęboko zaangażowany w rodzinne interesy, toteż nie można było ukryć go przed światem jak dziadka Warleggana, choć jego strój i maniery nie zmieniały się tak jak w przypadku Nicholasa i George'a. Nie dawało się go namówić do noszenia peruki i rezygnacji z mycki, a jego stare surduty były poplamione tabaką i inkaustem. Wygląd Cary'ego obniżał status rodziny. Tony Boscoigne musi się z niego śmiać w sekrecie. Obserwuje jego maniery, by później parodiować je przed przyjaciółmi. Nie ma sensu budować pięknej rezydencji i imponować ludziom splendorem, który można kupić za pieniądze, skoro trzeba znosić takich krewnych.

Poza tym Cary stale wywierał zły wpływ na George'a. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z wagi statusu społecznego i handlowego; rozumiał to tylko on, Nicholas. Należy wyrobić sobie nazwisko, zdobyć reputację, a potem można odnieść sukces finansowy. Cary interesował się tylko realizacją swoich celów, zasady w ogóle go nie obchodziły.

Nicholas przypomniał sobie niedawne spotkanie z Harrisem Pascoe'em, który odwiedził ich w sprawie weksla wystawionego przez młodego Poldarka. Tak się złożyło, że wszyscy Warlegganowie przebywali akurat w Cardew. Cary wywołał awanturę – był tak blady, że wydawał się bliski zawału. Harris Pascoe czekał w przyległym gabinecie, a członkowie rodziny wściekle się spierali. Cary miał niemal pianę na ustach. George, choć lepiej panował nad sobą, w gruncie rzeczy był tak samo wściekły. Nicholas musiał użyć całego swojego wpływu, by uspokoić Cary'ego, przekonać ich obu, że to normalna transakcja i tak powinna być traktowana. Nie stracili żadnych pieniędzy, lecz je zarobili, bo Pearce sprzedał weksel z dyskontem. Byłoby poniżej ich godności, gdyby jako ludzie światowi niepokoili się tym, że nie zdołali się zemścić na zubożałym nic nieznaczącym ziemianinie. Już od dawna są zbyt ważni, by się tym zajmować. To nie przystoi.

Nicholas miał wrażenie, że przekonał George'a, ale z Carym nigdy nie można być niczego pewnym. Wydawało się, że przestrzega ustaleń, po czym nagle robił coś dziwnego, co dowodziło, że wcale nie miał zamiaru iść na kompromis.

Ross zastanawiał się nad swoim szczególnym problemem w czasie Bożego Narodzenia i prawie do Nowego Roku. Później pojechał do Harrisa Pascoe'a. Powiedział, że przede wszystkim chciałby sprzedać ostatnie trzydzieści udziałów

w Wheal Leisure. Zarobił na nich sześćset funtów i spodziewa się podobnej kwoty, nie mniejszej. Pascoe prychnął i pokręcił głową nad leżącym przed nim dokumentem.

– Naprawdę musi pan sprzedawać te udziały? Wielka szkoda. Prawie na pewno wybuchnie wojna. Postawienie króla przed sądem rozpali namiętności po obu stronach. Cena miedzi będzie stale wzrastać.

– Nie muszę sprzedawać udziałów, chcę je sprzedać. Może zdoła pan uzyskać za akcje ponad sześćset funtów?

– To dobra cena. Spodziewam się, że wykorzysta pan pieniądze, by finansować drugą kopalnię?

– Nie. Pogodziłem się z myślą o jej zamknięciu. Potrzebuję pieniędzy na specjalny cel. Chciałbym na pewien czas zdeponować je u pana. Ponieważ kiedyś zgodził się pan działać w imieniu anonimowego klienta, nie może pan teraz odmówić.

Pascoe spoglądał na szczupłego gościa, który miewał czasami wilczy wygląd.

– Nie rozumiem, co ma pan na myśli.

– Wdowa po Francisie i jego rodzina żyją w biedzie większej niż my. Elizabeth nie ma nikogo. Dwa lata temu Francis utopił sześćset funtów w Wheal Grace. Czuję się odpowiedzialny za tę sytuację. Chciałbym zwrócić Elizabeth Poldark te sześćset funtów.

– Przyjmie je?

Ross zastanawiał się przez chwilę z ponurą miną.

– Nie, tak przynajmniej uważam. Właśnie dlatego potrzebuję pana pomocy. Chcę, żeby po sprzedaży moich udziałów w Wheal Leisure zaproponował pan Elizabeth kupno akcji Wheal Grace w imieniu anonimowego klienta, którego jest pan pełnomocnikiem. Zaakceptuje tę ofertę i w ten sposób otrzyma pieniądze.

– Ross patrzył na lód topniejący na szybach, po których spływały strumyczki wody. Stary rok był do końca wierny swojej reputacji. – Nie jest to mój pomysł – dodał. – Ukradłem go pańskiemu przyjacielowi, który wykupił mój weksel.

Pascoe zdmuchnął piasek z pergaminu i potrząsnął dokumentem, by mieć pewność, że będzie suchy.

– Chce pan powiedzieć, że zamierza zaoferować sześćset funtów za połowę udziałów kopalni, która wkrótce zostanie zamknięta?

– Jeszcze nie jest zamknięta, oczywiście. Zawsze może się zdarzyć cud.

– I myśli pan, że pańska kuzynka uwierzy, że ktoś nieznajomy jest na tyle głupi, by złożyć taką ofertę?

– A czy ja mogłem wierzyć, że znajdzie się ktoś na tyle głupi, by prolongować mój weksel?

Pascoe zakasłał.

– Nie...

Zapadło milczenie. Pascoe spojrział na zegar.

– Zje pan z nami obiad?

– Dziękuję.

Wstali.

– Jako pana bankier i wierzyciel odradzam panu to posunięcie. Ma w sobie coś z donkiszoterii. Szczerze mówiąc, uważam je za nierozsądne. Nie stać pana na taki gest, naprawdę nie stać. To jedyne pieniądze, jakie pan posiada.

– Nie stać mnie na to – odparł Ross. – Mam żonę i syna, których muszę utrzymywać, ale żyję i mogę się nimi zajmować. Francis nie żyje. Jeśli tak postąpię, będę miał czyste sumienie.

– Czy nie wystarczyłoby, gdyby przekazywał pan pani Poldark dochody ze swoich udziałów w Wheal Leisure, oczywiście tymczasowo, aż sytuacja się poprawi? Okoliczności zawsze mogą się zmienić, nie da się tego przewidzieć. Nie byłaby to duża jednorazowa wypłata, ale to oznaczałoby regularne wpływy co kwartał.

– Nie – odpowiedział Ross. – To nie wystarczy.

Harris Pascoe podszedł do kredensu obok okna i wyjął karafkę oraz dwa kieliszki.

– Nie spodziewałem się, że posłucha pan moich rad.

Ross potarł dłonią podbródek.

– Pana rady są zawsze mile widziane, Harris. Znam ich wartość, podobnie jak wartość pańskiej przyjaźni. Ale w kwestiach związanych z rodziną, gdy w grę wchodzi niechęć lub sympatia, należy postępować zgodnie z tym, co dyktuje serce. Coś wydaje się nam słuszne, a coś innego niesłuszne. Dlatego podejmujemy działania, które nie wydają się rozsądne ludziom stojącym z boku, takim jak pan. Jednak zawsze dobrze mieć kogoś, kto stale wskazuje biegun magnetyczny, jest czymś w rodzaju kompasu. To właśnie pan robi. Później pamiętamy takie rady z wdzięcznością, nawet jeśli jest już za późno.

Harris Pascoe zabrzączał kieliszkiem, nalewając maderę.

– Oczywiście zrobię wszystko, by spełnić pana prośbę, Ross. Nie mogę odmówić, choć nie aprobuję. To bardzo honorowy gest. Mam nadzieję, że nie będzie go pan żałował.

Gospoda Pod Lisem i Winnymi Gronami była niewielką, położoną na odludziu stacją pocztową w połowie drogi między Killewarren a Redruth. Mniej więcej w tym samym czasie dwie inne osoby piły tam maderę i snuły plany.

Kwadrans wcześniej do gospody przyjechała konno Caroline Penvenen wraz z masztalerzem. Powiedziała mu, że chce się odświeżyć i odpocząć, po czym kazała pojechać mężczyźnie przodem i uprzedzić Teague'ów, że wkrótce się u nich pojawi. Młody człowiek miał niepewną minę, wyglądał na zgrzanego i wyraźnie

nie miał ochoty jej zostawiać wbrew sekretnym instrukcjom swojego pana, toteż Caroline niecierpliwie poleciła mu zaczekać na zewnątrz. Obiecała wrócić, gdy zaspokoi pragnienie.

Znalazłszy się w małej, ciemnej salce, gdzie na ścianach wisiały haftowane obrazki, a obok stały doniczki z paprociami oraz cynowe kufle, zdjęła rękawiczki i przez chwilę rozgrzewała dłonie przy kominku, niepewna, czy wszystko poszło zgodnie z planem. Nie zauważyła przed sobą konia, ale uwiązanie go w niewidocznym miejscu byłoby zwyczajnym środkiem ostrożności. Kiedy do salki weszła z winem żona oberżysty, Caroline już miała zadać jej pytanie, ale dostrzegła na tacy dwa kieliszki i stojącego na progu Dwighta.

Bardzo szybko znaleźli się w swoich ramionach. Cynik zauważyłby, że ich romans szybko się rozwinął po interwencji Raya Penvenena. Caroline prawdopodobnie i tak podążałaby tą drogą, lecz bez sprzeciwów stryja mogłoby to trwać o wiele dłużej. W tej chwili to ona wszystkim kierowała, a Dwight tracił dla niej głowę, chętnie i z radością, choć nie miał pojęcia, do czego go to zaprowadzi. Być może na jego twarzy odmalowały się wątpliwości, ponieważ Caroline nagle odsunęła się i spytała:

– Nie czujesz tego samego co ja? Byłoby mi przykro, gdybyśmy zbyt szybko posunęli się za daleko.

– Mnie również, kochana. To niemożliwe. Zastanawiam się tylko co do sposobu. Z natury nie lubię się ukrywać, podobnie jak ty, jeśli mogę tego uniknąć. Chciałbym pojechać teraz do twojego stryja i powiedzieć mu, co zamierzamy...

– Nie znasz mojego stryja. Jest uparty jak cała rodzina Penvenenów. A może pomysł wspólnej ucieczki nie podoba ci się z jakiegoś innego powodu?

– Dlaczego pytasz?

– Bo czuję, że jest jakiś powód.

Stał za fotelem, na którym siedziała Caroline, i przyłożył dłonie do czoła.

– To tak kiepski powód, że się go wstydzę. Słyszałaś o Keren Daniel?

– Dziewczynie, która...

– Tak, zakochałem się w niej, chociaż była moją pacjentką. Jej mąż, Mark Daniel, dowiedział się, że Keren go zdradza, i zabił ją, choć powinien był zabić mnie.

– Wiesz, a ja słyszałam inną wersję tej historii. Że ci się narzucała i tak dalej. Mogę być pewna tylko jednego, Dwight: że jesteś wyrozumiały wobec większości ludzi, ale nigdy wobec siebie.

– Niezależnie od wersji fakty nie podlegają dyskusji. Lekarz, który postąpił tak jak ja, musi mieć o sobie bardzo niskie mniemanie. – Dwight zamierzał się odsunąć, lecz położyła jego dłoń na swoim ramieniu. – Ludzie potraktowali mnie dobrze. Wyrozumiałe, jak to nazywasz. Wszyscy akceptują wersję, którą słyszałaś. Czasem sam ją akceptuję. Ale nadal ciąży na mnie to piętno. Dlatego moje przyszłe

postępowanie staje się niezwykle ważne.

– A małżeństwo ze mną...

– Jawne małżeństwo z tobą przypieczętowałoby moje szczęście i uczyniłoby mnie szacownym człowiekiem. Nie zasługuję na to, ale chętnie się na to zgodzę. Sekretne małżeństwo z tobą, ucieczka w środku nocy, choć skwapliwie na nią przystałem, kojarzą się bardziej z łowcą posagów, dwuznaczną moralnie osobą, co sugeruje romans z Keren. Pozostawienie wszystkich przyjaciół i pacjentów bez słowa wyjaśnienia jest dezercją. To coś innego niż romans z Keren, ale ocena musi być podobna...

Urwał i drugą ręką dotknął dłoni Caroline. Nie poruszyła się, lecz nie miał złudzeń, że jest spokojna. Powiedział więcej, niż zamierzał.

– Porównujesz mnie do Keren? – spytała dość cicho.

– Wielki Boże, nie! Jesteście tak inne...

– Czy nie chodzi tak naprawdę o coś, co tkwi w tobie, Dwight? Nie powinieneś tego przezwyciężyć? Nigdy nie słyszałam, by ktokolwiek obwiniał cię o śmierć Keren. Próbowала uwodzić każdego mężczyznę. Dlaczego ktoś miałby cię potępiać, że się ze mną ożeniłeś?

– Nie za to, że się z tobą ożeniłem, nie...

– Albo że ze mną uciekłeś? – Cofnęła rękę, ale bez gniewu. – Dwight, możesz uważać, że postępuję nierozsądnie, nie robiąc tego, czego ty pragniesz, ale instynktownie czuję, że mam rację. Jeśli się ujawnimy przed wyjazdem – teraz, gdy został miesiąc oczekiwania – pojawią się najróżniejsze komplikacje, nowe trudności, którym będziemy musieli stawić czoło. Będę musiała opuścić dom stryja, oficjalnie z nim zerwać, i chociaż wiem, że mogę to zrobić, nie chcę podejmować takiego kroku. Udaję, że nie obchodzą mnie jego sądy, lecz moje związki z nim są w gruncie rzeczy dość mocne. Zawdzięczam mu to, czego nie dałby mi własny ojciec. Jeśli wyjedziemy w sekrecie, uciekniemy, będzie wściekły. Potępi nas w najostrzejszych słowach. Ale potępi tylko przed samym sobą, bo nie będzie nikogo, kto mógłby go wysłuchać. Nie powie nam niczego, czego nie mógłby cofnąć ze względu na swój honor. Ja również nie powiem niczego ostatecznego, rozstrzygającego, nie zranię go w taki sposób, jakbyśmy rozmawiali twarzą w twarz. Dzięki temu, przy odrobinie szczęścia, mamy szansę się pogodzić po upływie sześciu, może dwunastu miesięcy. Zaakceptuje to, czego nie da się cofnąć. Jeśli postąpimy inaczej, dojdzie do sceny, w której padną słowa: „Jeśli opuścisz ten dom, to na zawsze”. Stryj jest zbyt dumny, by się wycofać z takiej deklaracji.

Dwight milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nie potrafił odeprzeć argumentów Caroline. Miała rację, gdy mówiła, że sam musi przezwyciężyć własną niechęć do ucieczki. Tak czy inaczej, byłoby wyjątkowo niesprawiedliwe, gdyby musiała ponosić konsekwencje dawnego romansu Dwighta – a właśnie on

był jedną z przyczyn tej niechęci. Cenił Caroline za lojalność wobec starszego pana. Nie chciała jej się wyrzec nawet wówczas, gdy otwarcie sprzeciwiała się stryjowi. Dobrze to ukrywała, podobnie jak większość swoich uczuć.

Dwight ciągle budził się rano, nie mogąc uwierzyć, że ta piękna, pełna witalności młoda kobieta zgodziła się go poślubić. Wyrzekała się w ten sposób wielu rzeczy. Gdyby zakwestionował jej postępowanie, świadczyłoby to o jego małości i niewdzięczności.

Tydzień później Elizabeth przesłała wiadomość, że chciałyby się zobaczyć z Rossem. Pojechał do Trenwith, walcząc z wichurą wiejącą na północny wschód. Kiedy dotarł na miejsce, miał wrażenie, że stary dwór jeszcze nigdy nie wydawał się taki pusty. W wielkim kominku w sieni wył wiatr, nieustannie brzęczały luźne szyby w ogromnym oknie, podmuchy targały zniszczoną wycieraczką koło drzwi. Trenwith opuściły życie i ciepło.

Elizabeth była na górze i Ross patrzył, jak schodzi po schodach szybkimi, lekkimi krokami, tak dla niej charakterystycznymi. Miała na sobie białą kamizelkę o męskim kroju narzuconą na wciętą w tali szarą suknię. Zauważyła, że oczy Rossa załśniły na jej widok.

– Ross, proszę, wejdz. – Podała mu rękę. – Przepraszam, że oderwałam cię od pracy, ale chcę się poradzić, co powinnam zrobić.

Podążył za nią do salonu zimowego, ona zaś wzięła dwa listy leżące obok kołowrotka. Podała mu pierwszy. Chociaż doskonale znał zawartość pisma, przeczytał je starannie, chcąc się przekonać, jak Pascoe sformułował propozycję. Skończył i popatrzył na Elizabeth.

– Czy to nie zdumiewające? – spytała. – Ktoś na tym etapie proponuje mi za udziały w Wheal Grace tyle samo, ile Francis w nie zainwestował. Czy odkryłeś jakieś nowe złoża rudy?

– Niestety, nie. Bardzo tego żałuję. Zgadzam się, że to dziwne. W gruncie rzeczy trudno to zrozumieć. Wszyscy wiedzą, że wkrótce musimy zamknąć kopalnię. A Pascoe mówi, że nie może ujawnić tożsamości kupca. Dostałaś to wczoraj?

– Tak. – Zawahała się, spuszczać ciemne rzęsy. – Na początku pomyślałam o George’u Warlegganie. Wiem, że chciałby mi pomóc. Myślę, że stara się poprawić moją sytuację z równym uporem, jak próbuje zaszkodzić tobie. Sądziłam, że zakup tych akcji ma służyć obu tym celom... Dlatego napisałam do pana Pascoe’a i wczoraj wysłałam Tabbę z listem. Tabb czekał na odpowiedź.

Podowała Rossowi drugi list. Ross przeczytał:

*Droga Pani!*

*Dziękuję za Pani wiadomość, którą dziś mi przekazano. Mogę Panią*

*zapewnić, że jeśli Pani i kapitan Poldark zdecydujecie się sprzedać udziały Pani syna w kopalni Wheal Grace, nie przejdą one na żadnego członka rodziny Warlegganów lub ich reprezentantów. Potencjalny nabywca to niezależny dżentelmen mający na względzie interesy Pani i Pani syna. Nie będzie prób wpływu na zarząd kopalni.*

*Mam zaszczyt pozostać Pani posłusznym sługą*

*Harris Pascoe*

Oddał list Elizabeth. Obserwowała go uważnie, więc musiał coś powiedzieć.

– Zdumiewające.

– Co radzisz? Nie wiem, czy powinniśmy rozważyć tę propozycję.

– Rozważać? Powinniśmy ją przyjąć.

– Mnie również to zdumiewa. Nie obawiasz się, że ktoś obcy zacznie się wtrącać do spraw kopalni?

– W innych okolicznościach budziłoby to mój niepokój, ale mamy list Pascoe'a. Muszę ci opowiedzieć o szczęśliwym wydarzeniu, które mnie niedawno spotkało. – Opisał sprawę anonimowej pożyczki. – Sądzę, że próbuje ci pomóc ta sama osoba. Jakiś ekscentryk mający sentyment do Poldarków... Nie mógł się pojawić w stosowniejszym momencie.

– Masz jakieś przypuszczenia, kto to może być?

– Żadnych. Ale ufam Pascoe'owi. Wiem, że nie postawiłby nas w trudnej sytuacji.

Odwróciła się. Wąska talia podkreślała kształt jej drobnych piersi.

– Ja... Te pieniądze wiele by dla mnie znaczyły.

– Bylibyśmy szaleni, gdybyśmy nie przyjęli tej oferty. Przede wszystkim trzeba to zrobić ze względu na Geoffreya Charlesa. Kopalnia ma niewielkie szanse powodzenia, chyba że ten nieznajomy zainwestuje w nią gotówkę. Może mieć taki zamiar. Jeśli tak, przyniosłoby mi to korzyść. Mam nadzieję, że go poznam. – Ross pomyślał, że wykazuje się dużą wyobraźnią. Mimo to miał dziwne poczucie, że oszukuje Elizabeth, zamiast jej pomagać, poświęcając swoje ostatnie pieniądze. Nie powiedział Demelzie, co zrobił, i liczył, że długo się o tym nie dowie.

– Jesteś pewien, że to słuszne, dobre dla ciebie, Ross? Może tylko udajesz, że to dla ciebie korzystne? Nie chciałabym się sprzeniewierzyć naszej przyjaźni.

– Niczemu się nie sprzeniewierzysz, Elizabeth. Mówię najzupełniej szczerze. Powinnaś sprzedać udziały. Ogromnie poprawi to twoją sytuację. Ale jestem



wdzięczny za twoje wahanie i lojalność.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Ty też zawsze byłeś wobec mnie lojalny, Ross. Dziękuję, że przyszedłeś dziś rano.

Wrócił do domu, czując, że jego ofiara została sownie wynagrodzona i że odnowił dawną relację z Elizabeth.

## Rozdział siódmy

Udziały w Wheal Leisure kupił pan Coke, reprezentant Warlegganów, płacąc dwadzieścia dwa funty i dziesięć szylingów za akcję.

Ross przekazał Pascoe'owi sześćset funtów dla Elizabeth i zostało mu siedemdziesiąt pięć funtów. Mógł zmniejszyć jeden ze swoich długów albo odłożyć pieniądze na spłatę przyszłych odsetek. Mógł również kupić miesięczny zapas węgla i utrzymać Wheal Grace w ruchu przez cały luty.

– Moim zdaniem nie ma sensu kopać dłużej, niż planowaliśmy – powiedział Henshawe. – Jestem tak samo zawiedziony jak pan, choć straciłem sto funtów, nie sześćset. Ale zawsze jakoś się wyczuwa aurę kopalni. Ta jest nieprzyjemna od samego początku. Nigdy bym nie uwierzył, że urobek może być taki kiepski.

– Za maszynę dostaniemy niewiele. Mam ochotę ją rozebrać i przechowywać przez jakiś czas.

– Nigdy nie trafiliśmy na żaden ślad żył Trevorgie – rzekł Henshawe, wpatrując się w mapę. – Teraz uważam, że to tylko legendy. Szukaliśmy ich, kopiąc od strony Wheal Leisure, a później od strony Wheal Grace. Gdyby gdzieś były, powinniśmy znaleźć ślady.

– I to, co mówił Mark Daniel... – dodał ponuro Ross. – Wszystkie proroctwa okazały się fałszywe.

– Uważa pan, że tamtej nocy myślał normalnie?

– Mogły go oszukać fałszywe znaki, które później budziły nasze nadzieje. To ładne gniazdo na północno-wschodnim krańcu poziomu trzydziestu sążni...

– W zeszłym tygodniu miedź była po sto trzy funty za tonę. – Henshawe przygryzł paznokieć małego palca. – Kiedy otwieraliśmy Wheal Leisure, kosztowała tylko osiemdziesiąt funtów. Wielka szkoda, że musiał pan teraz sprzedać akcje. Myślę, że jeszcze zbijemy fortunę na tej kopalni. Gdyby ruda z Wheal Grace była lepszej jakości... – Wyjął palec z ust i spojrział na niego.

– Jakie są wczorajsze wyniki z poziomu siedemdziesięciu sążni?

– Miedź, cyna, srebro, ołów, po trochu wszystko, ale mało. Wygląda to tak, jakby żyły się poplątały i urywały. Miedzi jest mniej niż dziesięć sążni bliżej powierzchni, a ruda jest gorszej jakości.

Ross uniósł kawałek rudonośnej skały i obracał go w dłoniach.

– Wyobrażam sobie, że jest w tym więcej cyny niż miedzi.

– Żyły miedzi często się kończą w ten sposób.

– A niżej? Uskok na pewno nie znika. Nie ma szans na pojawienie się miedzi na większej głębokości?

Henshawe pokręcił głową.

– Nikt nie wie, jak powstała ziemia. Niektórzy twierdzą, że morze dociera

daleko w głąb ładu, a później biegnie rozgałęzionymi tunelami podobnymi do żył w ciele człowieka. Podobnie żyły miedzi: przypominają kości lub ścięgna, a potem kończą się z powodów, o których nic nie wiemy. Wheal Grace to wielkie rozczarowanie, na pana miejscu nie łądowałbym w nią więcej pieniędzy.

Ross popatrzył przez okno do połowy przysłonięte żaluzjami. Białe, szare styczniowe światło padało na bliznę w połowie przykrytą włosami. Miał dziś na twarzy dawny niepokój. Młodzieńczy bunt przeciwko potędze rzeczy martwych, uparty, sekretny gniew. Henshawe pomyślał, że Ross nigdy się od tego nie uwolni, że to cecha wrodzona.

– A może w czasie ostatniego miesiąca znowu pogłębić kopalnię? Nie otwierać nowego poziomu osiemdziesięciu sążni, ale iść śladem kiepskiej rudy, jakby była dobra. W ten sposób moglibyśmy się przekonać, co nam przyniesie następne dziesięć sążni. Wątpię, czy to coś da, ale przynajmniej poznałby pan odpowiedź na swoje pytania – powiedział Henshawe.

– Jak długo możemy kopać bez nowego kapitału?

– Jeśli następna partia rudy przyniesie tyle co poprzednia, moim zdaniem trzy tygodnie. Gdybyśmy zamknęli najgłębszy poziom, oczywiście dwa lub trzy tygodnie więcej.

– Zainwestował pan pieniądze tak samo jak ja. Nie mogę decydować za nas obu.

– Włożył pan sześć razy więcej pieniędzy. Zaakceptuję pańską decyzję.

– To pan jest doświadczonym górnikiem.

– Teraz to już nie kwestia doświadczenia. O wszystkim decyduje instynkt, a pański instynkt jest równie dobry jak mój.

– Bardzo dobrze – rzekł po chwili Ross. – Pójdziemy głębiej.

Po odejściu Henshawe'a Ross siedział przeszło godzinę w starej bibliotece, sprawdzając wpisy w księdze rachunkowej. Był dzień wypłat i wkrótce przed dworem w Namparze stanęła kolejka górników. Wchodzili pojedynczo do biblioteki, stawiali w księdze znaki obok swoich nazwisk i odbierali należne pieniądze. Prawie wszyscy mieli własne znaki i tylko nieliczni posługiwali się konwencjonalnym krzyżykiem. Natomiast wszyscy wiedzieli, że za kilka tygodni pojawią się tu po raz ostatni. Ross zamieniał z każdym kilka słów, często żartował lub wypowiadał ironiczne komentarze. Nie byli jego przyjaciółmi – większość zatrudnił w Wheal Leisure po otwarciu kopalni – ale stali się nimi w ciągu ostatniego roku.

Kiedy ostatni górnicy wyszli, Ross w dalszym ciągu siedział w bibliotece, choć było już dobrze po drugiej w nocy. Wiele razy ważył w dłoniach próbki rudy, porównując wydobyte w tym tygodniu z zeszlotygodniowymi. Kilka razy brał młotek i odłupywał kawałki. Raz o mało nie przebił się przez podłogę. Dobrze, że nie znajdował się bezpośrednio nad skrytką, którą wykopano na końcu

pomieszczenia pod ostatnim oknem. W miejscu, gdzie znajdowała się kłapa, stały dwie wielkie żelazne skrzynie, zasłaniając szczeliny w deskach.

Przypomniało mu to, że musi się zobaczyć z Trencromem, ponieważ Trencrom nie postępował uczciwie. Uzgodnili, że towary będą przechowywane w skrytce przez określony czas – co najwyżej trzy lub cztery dni, a później zostaną zabrane. Leżało tam teraz trochę rzeczy: kupon ozdobnej koronki i dziesięć pięciogalonowych baryłek holenderskiego ginu. Tkwiły tu przeszło trzy tygodnie. Nie podobało się to Rossowi.

W tej chwili Demelza zawołała go od frontowych drzwi, więc wystawił głowę na korytarz i odpowiedział. Dwór miał kształt litery L i Ross wyszedł przez drzwi na końcu, zamknął je na kłódkę i zamierzał przejść przez ogród, gdy zauważył Willa Nanfana idącego w dół doliny.

Will był starym przyjacielem. Od pewnego czasu dobrze mu się powodziło, miał pięcioro dorosłych dzieci, niewielkie gospodarstwo i ładną drugą żonę. Był wielkim, ciągle przystojnym jasnowłosym mężczyzną po pięćdziesiątce i grał na skrzypcach.

– Dzień dobry, panie kapitanie. Cieszę się, że zastałem pana w domu. Pomyślałem, że to dobra pora na wizytę.

– Wejdz do środka, Will. Masz dla mnie jakieś nowiny?

– Tak, ale nie wejdę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. Po prostu wpadłem powiedzieć, że znaleźliśmy Marka Daniela.

Ross gwałtownie spojrzał na Nanfana.

– Znaleźliście go? W Cherbourgu?

– Nie, panie kapitanie, nie w Cherbourgu. Jest w Irlandii.

Ross popatrzył na komin kopalni na wzgórzu. Buchały z niego kłęby czarnego dymu, co oznaczało, że maszynista marnuje węgiel. Nie odezwał się.

– Dlatego nie mogliśmy go wytropić. Ludzie, u których mieszkał, powiedzieli, że wyjechał, ale nie mieli pojęcia dokąd. Dziewięć miesięcy temu w Cherbourgu była straszna zawierucha. Rewolucja, zamieszki. Spalono dom, różne takie. Ludzie zaczęli krzywo patrzeć na Marka, bo jest Anglikiem, więc doszedł do wniosku, że lepiej popłynąć do Irlandii. Wślizgnął się na jeden z irlandzkich kutrów, które od czasu do czasu szmuglują towary. Podobno mieszka w Galway czy coś takiego.

– Jak to odkryliście?

– Rozmawialiśmy z szyprem jednego z kutrów. Wygląda na to, że zaprzyjaźnił się z Markiem. Czasem robimy interesy z Irlandczykami. Zawijają na wyspy Scilly tak samo jak my i też mają tam składy towarów. Ich kutry są małe i często płyną zanurzone po same burty.

– Kiedy znowu spotkacie tego szypra? – spytał Ross.

– O'Higginsa? Chyba w przyszłym tygodniu. One and All wyruszy dopiero

pod koniec miesiąca, ale w poniedziałek popłynę kutrem na wyspy Scilly, jeśli pogoda się poprawi.

– Przekażecie mu ode mnie wiadomość?

– Już powiedziałem O’Higginsowi, by przekazał Markowi Danielowi, że chce się pan z nim zobaczyć.

– Dobrze. Wyślę list do Marka. Ktoś mu go przeczyta, choćby ksiądz. Wejdz. – Ross otworzył drzwi biblioteki i podszedł do biurka.

Demelza wypełniała czas oczekiwania, karmiąc Jeremy’ego. Wstała i podeszła do okna w chwili, gdy Nanfan opuścił bibliotekę. Ross pojawił się w salonie z zamyśloną miną, lecz nie wydawał się niezadowolony. Przez pewien czas jedli posiłek w milczeniu. Jediną rozmowną osobą był Jeremy, którego nikt nie rozumiał.

Ross wyjaśnił powód wizyty Willa Nanfana.

– Cieszę się, że coś wiemy – odpowiedziała krótko Demelza.

– Tak. Obawiałem się, że nie żyje. Minęło tyle czasu...

– Chcesz, żeby przyjechał do Kornwalii?

– Poprosiłem, aby spotkał się ze mną na wyspach Scilly. Tam jest dla niego mniej niebezpiecznie i na pewno przyplynie.

– Jak się tam dostaniesz?

– Mogę zapłacić szyprowi kutra, by zabrał mnie z Penzance. Albo popłynąć z Trencromem, kiedy znowu wyprawi się po towary.

– Gdybyś sprowadził Marka do kopalni, miałbyś pewność, o czym mówi. Myślę, że chętnie przyjedzie.

– Owszem, zgodziłby się przyjechać, ale tak naprawdę wystarczy półgodzinna rozmowa z planem wyrobisk. Wtedy się dowiem, o czym mówił i gdzie to znaleźć.

Lottie Kempthorne czuła się znacznie lepiej. Jak określił to Charlie: „Widać, że ospa się kończy, coraz mniej ją znać”. Dwight obserwował drugie dziecko, lecz na razie nie zauważył żadnych objawów. W wiosce nie pojawił się drugi przypadek ospy. Wydawało się to zbyt piękne, by było prawdziwe. Zajrzał któregoś popołudnia do wioski i ucieszył się na widok Rosiny Hoblyn i jej matki.

Charlie był w doskonałym nastroju i po chwili Enys dowiedział się dlaczego. Rosina zgodziła się za niego wyjść, a Jacka Hoblyn niechętnie to zaakceptował. Dwight zerknął ze zdziwieniem na Rosinę, która zaczerwieniła się jak piwonia. Nigdy nie sądził, że dziewczyna zakocha się w mężczyźnie w średnim wieku, i teraz też nie był o tym przekonany. Szła po linii najmniejszego oporu, ulegając namowom Charliego, a ojciec zmiękł ze względu na to, co był w stanie zaoferować konkurent.

Mogli się okazać szczęśliwym małżeństwem. Chata Charliego, po udoskonaleniach, które wprowadził, była jaśniejsza i wygodniejsza od domu, który

miała opuścić Rosina. Wyglądało na to, że nie będzie musiała spędzać całego dnia na szyciu. Nawet teraz, z wyleczoną nogą i ładną buzią, mogła się spodziewać propozycji małżeństwa co najwyżej od nieokrzesanego młodzika zarabiającego pięć lub sześć szylingów tygodniowo, mieszkającego w zrujnowanej szopie.

Mimo to, pomyślał Dwight, byłaby to młodzieńcza miłość, nawet gdyby miała trwać krótko. Na tym ponurym świecie nie należy łatwo poświęcać takich rzeczy. Wiedział o tym.

– W przyszłym roku chcemy dobudować jeszcze jeden pokój, by Lottie i May spały osobno – powiedział Charlie. – Wtedy Rosina i ja moglibyśmy normalnie żyć. Może z czasem powiększy się nam rodzina?

Dwight rozejrzał się po izbie. Nie zwracał uwagi na umeblowanie wiejskich domów i nagle zauważył wielkie zmiany, które zaszły w chacie w ciągu ostatniego półtora roku. Nowe zasłony, dobre fajansowe kubki, mata przy drzwiach, świece w lichtarzykach, przeszklone okna. Popatrzył na Kempthorne'a, który także instynktownie na niego spojrzał, po czym szybko spuścił wzrok.

– Mam nadzieję, że będziecie bardzo szczęśliwi – powiedział Dwight.

– A my mamy nadzieję, że przyjedzie pan na nasze wesele – odparł pośpiesznie Charlie. – Prawda, Rosino? Wszyscy jesteśmy wdzięczni panu doktorowi. Wyleczył pan nogę Rosiny i moją gruźlicę. Gdyby nie to, nigdy nie prowadziłbym uczciwego życia i nie zarabiał pieniędzy na szyciu żagli.

– A teraz Lottie zdrowieje – dodała pani Hoblyn.

– Kiedy zamierzacie się pobrać? – spytał Dwight.

– W przyszłym miesiącu, doktorze. Jeszcze nie daliśmy na zapowiedzi i przygotowania zajmą trochę czasu. Wtedy Lottie będzie już zdrowa.

– O tak, na pewno. – Jeśli zdarzy się cud i nikt się od niej nie zarazi. Charlie ciągle obserwował Dwighta. Kempthorne był zagadką: dobroduszny, przyjacielski jak pies, zawsze zapracowany, uśmiechnięty, wdzięczny Dwightowi. W obecności młodego lekarza zawsze opowiadał wszystkim, że zawdzięcza mu zdrowie. Ale, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, Dwight czuł się nieswojo w jego obecności. W trudnej sytuacji miałby więcej zaufania do ponuro skrzywionego Hoblyna niż do stale szczerzącego żółte zęby Charliego Kempthorne'a.

Po przybyciu do domu nigdzie nie zauważył Bone'a, a przy bocznej ścianie stał uwiązany czyjś koń, toteż wchodząc do salonu, spodziewał się w nim gościa.

Caroline stała przy oknie, wysoka i wyprostowana. Natychmiast obróciła się w stronę Dwighta i na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Caroline... Coś się stało?

– Bardzo wiele. Odkryłam twoje tajemne życie! „Od Rosiny, z wyrazami miłości”. W ten sposób zwracają się do ciebie pacjentki?

Podawała mu szalik utkany przez Rosinę, do którego ciągle była przypięta karteczka z dedykacją. Wziął szalik, powiesił go na oparciu fotela i ujął dłonie

Caroline.

– Powinnaś mnie była uprzedzić, kochanie. Pozwolono ci wyjechać bez wiernego masztalerza?

– Nie, wymknęłam się. Nie mogę zostać długo.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę. Pozwól na siebie spojrzeć. Kiedy się nie spotykamy przez jakiś czas, zawsze...

– Pojawiła się pewna komplikacja i przyjechałam o niej opowiedzieć. Stryj Ray przyspieszył o tydzień nasz wyjazd do Londynu. Proponuje, żebyśmy opuścili Killewarren trzeciego lutego.

Dwight spojrział na Caroline.

– W takim razie my również możemy przyspieszyć nasz wyjazd o kilka dni. To wszystko. Trzeba trochę zmienić plany, ale możemy wyjechać trzeciego.

– Masz jakieś nowe wiadomości od Paula Hardwicke'a?

– Tak. Uważa, że w mieście będzie można zdobyć posadę, gdy doktor Marquis przejdzie na emeryturę. Do tego czasu mógłbym wykonywać prace tymczasowe. Odradza mi otwarcie prywatnej praktyki.

– Nie wątpię, że aptekarze tworzą coś w rodzaju klanu. Dwight, uważam, że powinniśmy wyjechać drugiego lutego. Skoro stryj chce mnie zabrać do Londynu trzeciego, znacznie łatwiej będzie mi się pakować. Zamiast uciekać z węzełkiem tylnymi drzwiami, mogę kazać znieść swoje kufry i bezpiecznie umieścić je w karecie.

– W dalszym ciągu nalegasz, żebyśmy podróżowali twoją kareta?

– Naturalnie. Dlaczego tak się temu sprzeciwiasz? Dlatego że to wygląda, jakbym z tobą uciekała?

Zmarszczył niepewnie brwi.

– Niezupełnie. Ale... cóż, mam poczucie, że to ja powinienem zdobyć powóz. Niewątpliwie w przyszłości podobne sprawy będą prowadziły do sporów między nami. Muszę się przyzwyczaić do posiadania żony z silnym charakterem i własnymi pieniędzmi...

– Zwłaszcza z silnym charakterem.

– ...jednak w tym przypadku wolałbym, żebyśmy podróżowali powozem dostarczonym przeze mnie i na mój koszt. Przyznaję, że to nielogiczne. – Uśmiechnął się. – Masz kareta, więc dlaczego nie mielibyśmy z niej skorzystać? Ale...

– Właśnie, dlaczego nie? Kiedy opuścimy Kornwalię, nikt nie będzie wiedział, że to nie twoja kareta. Z pewnością nie będę temu zaprzeczać.

Na dworze słyhać było Bone'a. Grabił zwirowaną ścieżkę przed frontowymi drzwiami. Rozmowa nie mogła trwać długo, więc mówili pośpiesznie. Mogło to być ich ostatnie spotkanie przed ucieczką, która miała zakończyć się małżeństwem, lecz Dwight nie pocałował Caroline.

– Nie obchodzą mnie ospy, czarne, wietrzne czy krowie – powiedziała Caroline – ale jestem bardzo zazdrosna o Rosinę Hoblyn, która przestała kuleć. Ładny szalik, choć trochę zbyt zgrzebny dla dżentelmena. Widziałam ją przypadkiem w zeszłym tygodniu w czasie wizyty w Sawle. Ładniutka, przyznaję. Mam nadzieję, że mnie dla niej nie rzucisz, kochany.

– Jestem trochę przewrażliwiony na punkcie takich żartów, więc mam nadzieję, że się od nich powstrzymasz – odparł Dwight. – Jeśli ktoś kogoś rzuci, to ty mnie, i dobrze o tym wiesz. Nie spocznię, dopóki nie włożę ci na palec obrączki.

– Możesz mi włożyć obrączkę, ale nie zgodzę się na kółko w nosie.

Wciągnęła rękawiczki. Dwight podszedł do stolika z boku. Był trochę zdeprymowany jej słowami, choć starał się tego po sobie nie pokazać. Podążyła za nim wzrokiem, odrobinę kpiącym, ale też pełnym wątpliwości.

– Nie żałujesz swojej decyzji, Dwight?

Natychmiast się odwrócił.

– Wielkie nieba, nie! Jak mógłbym żałować?!

– Odkąd postanowiliśmy wyjechać, często zauważam, że jesteś niepewny, zaniepokojony, możesz to nazywać, jak chcesz. – Odrzuciła włosy, by związać szal. – Czy to wbrew twoim zasadom?

– Nie, nigdy tak nie było. Uwierz mi, proszę. – Popatrzył na nią i lekko się zaśmiał. – Jesteś niepoprawna, Caroline. Przez chwilę wierzyłem, że mówisz poważnie. Pewnie uważasz, że zbyt łatwo biorę wszystko dosłownie.

– Moim zdaniem nie brałbyś tego poważnie, gdybyś się nad tym nie zastanawiał – odpowiedziała przytomnie Caroline.

– Kompletna bzdura. Mam ochotę tobą potrząsnąć. – Ujął Caroline za łokcie i trzymał mocno. – Caroline, popatrz na mnie. Kocham cię. Czy to coś dla ciebie znaczy? Czy to w ogóle coś dla ciebie znaczy?

– Och, całkiem sporo, zapewniam cię.

– Cieszę się, że przyznałaś się przynajmniej do tego. W takim razie może przestaniesz przypisywać mi dziwne wątpliwości i wbijać mi je do głowy. To bardzo złośliwe i trochę niesprawiedliwe z twojej strony. Całkowicie zgadzamy się co do celu – jak mogłem się w ogóle nad tym zastanawiać? – a jeśli idzie o sposób, wyraziłem wszelkie wątpliwości już dawno temu i później o nich zapomniałem.

Dotknęła dłonią w rękawiczce jego halsztuka, wygładziła go, po czym pogłaskała Enysa serdecznie po policzku.

– Przepraszam, że tak koszmarne cię dręcę. Po prostu czasami się zastanawiam, czy ten wspólny cel nie stanie się kiedyś banałem, siedzeniem przy kominku, spaniem w jednym łóżku i spożywaniem posiłków przy tym samym stole. Zastanawiam się, czy nie zaczęłbyś wtedy tęsknić za swoimi kornwalijskimi pacjentami i żałować straconych ideałów.

– Czy mogę powiedzieć coś więcej niż „nie”? Dlaczego ty nie miałabyś mieć



wątpliwości? A co z tobą, kobietą, która rezygnuje z trzydziestu lub czterdziestu tysięcy funtów dla obszarpanego lekarza? Kiedy przestaniesz czuć ekscytację i nowość, będzie to tylko oszczędne życie, jakiego nigdy nie doświadczyłaś, bez obracania się w modnym towarzystwie w Bath, polowań, modnych strojów.

– Przede wszystkim, jak wiesz, wcale nie uważam, że rezygnuję z trzydziestu lub czterdziestu tysięcy funtów. Zamierzam zaaranżować kłótnię na odległość, a później się pogodzić. Moi stryjowie są mniej groźni, niż się wydają, i nie mają komu zostawić pieniędzy z wyjątkiem kilku dalekich krewnych, którzy i tak są bogaci. Ale jeśli pozostaną ze mną skłóceni i zapiszą swoje majątki Towarzystwu Astronomicznemu, z pewnością nie będę się skarżyć i uznam, że zrobiłam dobry interes. Zamierzam żyć tak, jak chcę, i nie dam się im przekupić, by zostać ich maskotką. Dobrze mi to robi, Dwight, gdy stanę na własnych nogach, i chcę, żebyś mi pomógł...

– Pomogę ci, kochanie – odpowiedział. – Chyba będziemy musieli pomóc sobie nawzajem.

## *Rozdział ósmy*

Rossowi wystarczyłoby zaledwie półgodzinna rozmowa z Markiem Danielem, ale przygotowując taką rozmowę, która miała się odbyć w środku zimy na jednej z wietrznych wysp na Atlantyku, należało wziąć pod uwagę, że każdy z uczestników może się spóźnić. Ross oceniał, że musi wyjechać na tydzień.

Nadeszła wiadomość od Marka, który zadeklarował gotowość przyjazdu. Ross zaproponował dwudziesty dziewiąty stycznia jako przybliżoną datę, ponieważ Trencrom powiedział, że One and All wypływa dwudziestego ósmego – następnego dnia mogli wysadzić Rossa na wyspie St Mary's i zabrać w czasie powrotnego rejsu. Mark zgodził się spotkać dwudziestego dziewiątego, ale jego podróż irlandzkim keczem była jeszcze bardziej narażona na kaprysy wiatru i pogody, toteż mógł przybyć kilka dni wcześniej albo później.

Otrzymawszy takie nowiny, Ross postanowił zaryzykować swoje ostatnie siedemdziesiąt pięć funtów i kupić węgiel do maszyny parowej. To, co dawniej wydawało się bezsensownym posunięciem, teraz stało się usprawiedliwionym ryzykiem.

Kiedy miesiąc zbliżał się do końca, kryzysy polityczne znów przyćmiły zwyczajne ludzkie troski. Przedłużający się proces Ludwika XVI zakończył się wydaniem wyroku śmierci. Ciągłe istniały szanse na akt łaski, lecz wierzyli w to tylko nieliczni. Konwent nie mógł się teraz cofnąć. Z dnia na dzień w Anglii zaszły widoczne zmiany. Po cichu zamknięto hałaśliwe kluby jakobińskie. Zakończyły się spory toczone przez lata w gospodach i kawiarniach. Ludzie czekali. Niektórzy szli do domów i wyciągali stare strzelby myśliwskie lub polerowali szpady, pamiątki wcześniejszych wojen.

Dwudziestego czwartego rozeszła się wieść, że wykonano egzekucję. To rozstrzygnęło sprawę. Niewielu mieszkańców Anglii podziwiała Ludwika, choć imponował im sposób, w jaki przyjął śmierć. Wszak sto pięćdziesiąt lat wcześniej ucięli głowę własnemu królowi. Jednak sentymenty nie biorą się z logiki. Zamknięto teatry, tłumy demonstrowały przed pałacem Buckingham. Francuski ambasador otrzymał polecenie opuszczenia Londynu. Wojna była kwestią czasu.

W tej atmosferze Ross opuścił Demelzę w niedzielę dwudziestego siódmego i w nieśpiesznym tempie pojechał do St Ives, gdzie One and All przechodził drobny remont. Załoga, głównie mieszkańcy St Ann's, pojedynczo lub dwójkami przybyła do portu ścieżkami wzdłuż wybrzeża i nazajutrz rano dwudziestosedmionowy kuter wyszedł w morze, korzystając z przypływu. Pokład pokrywała cienka warstwa szronu, który stopił się dopiero po wschodzie słońca. Ross, stojąc na dziobie i słuchając plusku niewielkich fal uderzających w żółte burty, miał wrażenie, że słońce wschodzi dokładnie nad Namparą. Po wielu

latach znów czuł pod stopami pokład statku, co wydawało się dziwne i ekscytujące.

Demelza wstała wcześniej. Wiedziała, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Ross znajdzie się na morzu przed świtem. Ten zimowy dzień niósł wiele lęków. Nie uspokoiło jej obejrzenie starej płóciennej mapy, z której wynikało, że wyspy Scilly znajdują się daleko poza zasięgiem francuskich królobójców. Zajmując się codzienną pracą, wyrzucała sobie, że za często się martwi. Zupełnie nie miała w zwyczaju niepokoić się o własne bezpieczeństwo, lecz coraz częściej niepokoiła się o Rossa. Powinna z tym skończyć, musi się poprawić. Szkoda tylko, że Ross tak łatwo wpada w kłopoty.

Postanowiwszy postępować praktycznie, przez cały ranek pracowała, nucąc i podśpiewując, a po południu po raz pierwszy od miesiący otworzyła szpinet i zagrała kilka melodii. Niegdyś brała lekcje u pani Kemp, lecz było to w szczęśliwych dniach względnego dobrobytu, gdy żyła Julia. Bardzo chciałaby znaleźć czas i zainteresowanie, by znów zająć się muzyką. Zagranie choćby jednego akordu sprawiało jej wyjątkową przyjemność – poruszało struny jej duszy, nie tylko słuch, lecz również serce, budziło nowego rodzaju emocje. W środku ćwiczenia przybył Dwight Enys.

– To ty grałaś? – spytał, gdy Demelza otworzyła drzwi. – Przepraszam. Nie chciałem ci przeszkadzać. Ross jest w domu?

Jego pelerynę pokrywały kulki gradu, ale on nawet nie zauważył burzy.

– Nie, Dwight. Wyjechał na kilka dni. Wejdiesz do środka?

Zdjął na progu pelerynę i kapelusz, po czym je otrzepał. Nad wzgórzami niebo było brązowe jak stary koc.

– Przyszedłeś pieszo? – spytała Demelza, wprowadzwszy gościa do salonu.

– Tak. Pojawiłem się o piątej, bo zdaje się, że Ross zwykle wraca o tej porze z kopalni. Powinienem był spaść wiele dni temu, ale długo to odkładałem.

– Napijesz się herbaty? Jest bardzo zimno. Chciałabym, aby spadł śnieg, bo wtedy mróz mógłby zelżeć.

– Wiesz, kiedy wróci Ross?

– Chyba w sobotę. Czy to coś pilnego?

– Ach... nie, nic pilnego. Nie w zwykłym sensie. – Dwight usiadł na skraju fotela, skonfundowany i pełen wahania. – Jeremy dobrze się czuje?

– Tak. Słyszysz go? Bawi się z nim dwóch synków Jinny Scoble, która ich pilnuje. – Demelza odwróciła się, by popatrzeć na czajnik, cicho posapujący na ogniu. – Przyniosę imbryk. Zapomniałam tego zrobić.

Kiedy wróciła, Dwight spoglądał przez okno. Zmrok zapadł nagle, jakby zbocza doliny się połączyły. W kominku w salonie migotał ogień. Demelza zastanawiała się, czy Ross jest bezpieczny i jak wyglądają wyspy Scilly. Wyobrażała je sobie jako wysokie, nagie skały. Dwight pomógł jej zapalić świece.

– Wiem, że Ross nie miałby nic przeciwko temu, żebyś o tym wiedział –

rzekła, gdy płomyki oświetliły jej twarz. – Znasz prawie wszystkie nasze sekrety, więc następny nie robi żadnej różnicy. Popłynął z Trenchromem i zejdzie na ląd na wyspach Scilly, żeby porozmawiać z Markiem Danielem, którego wreszcie udało się odnaleźć. One and All zabierze Rossa i przywiezie do domu w piątek lub sobotę. Staną na kotwicy w naszej zatoczce.

W piątek był pierwszy lutego. Za późno dla Dwighta.

– Mam nadzieję, że Daniel będzie miał dla was dobre wiadomości.

Płomyki świec zmieniły się w maleńkie perełki światła, a lój zaczął się topić i spływać kroplami.

– Wydaje mi się, że tamta noc była wieki temu – odezwał się Dwight. – Kiedy stałaś między nami, sama jedna, a Mark chciał mnie zabić. Pragnąłem wtedy śmierci, bo zdradziłem wszystko, co ceniłem, i ludzi, którzy mi zaufali.

– Wszyscy byli wtedy bardzo zdenerwowani. Cieszę się, że nic się nie stało.

W odległej części domu rozległ się głuchy łoskot, a po chwili chór dziecięcych śmiechów. Demelza, która spodziewała się płaczu, znów się uspokoiła.

– Nie chcę wspominać tamtych czasów – rzekł Dwight. – Przyjechałem zobaczyć się z Rossem, bo chcę mu powiedzieć, że wkrótce opuszczę tę okolicę...

Czekała, by mówił dalej.

– Czy to ma coś wspólnego z Caroline?

– Tak. Zamierzamy się pobrać. Ale z powodu sprzeciwu stryja musi się to odbyć w sekrecie. Dlatego wyjeżdżamy w niedzielę wieczorem.

Tłumaczył, dlaczego inne rozwiązania są niemożliwe, dlaczego nie mogą mieszkać w Kornwalii, dlaczego muszą zacząć wszystko od początku w mieście, gdzie żadne z nich nie ma znajomych. Demelza w milczeniu słuchała jego nerwowych wyjaśnień. To milczenie oznaczało krytykę.

– Cóż, cieszę się z twojego małżeństwa, ale przykro mi, że nas opuszczasz – powiedziała. – Będzie cię brakować nie tylko mieszkańcom Sawle i Grambler, lecz również nam. A Jeremy...

– Dziękuję.

Z czajnika buchała para i tryskały kropelki wody, a ogień protestował syczeniem. Demelza zaparzyła herbatę.

– Koresponduję z lekarzem, który studiował ze mną w Londynie. Jest chory i potrzebuje zmiany klimatu, więc zgodził się tu przyjechać na pół roku na próbę, a później może zostać na stałe. To lepsze niż brak jakiegokolwiek lekarza. Wright to dobry człowiek, starszy ode mnie, lecz ma podobne poglądy. Na pewno go polubicie.

– Tak.

– Oczywiście wiem, że przez jakiś czas nic nie będzie takie samo. Jestem tego pewien. Oznacza to także dla mnie coś ważnego. Będę tęsknił za ludźmi, naturalnie przede wszystkim za wami. – Spojrzał ze zmarszczonym czołem

w okno, by ukryć swoje uczucia. – Chcę, żebyś powiedziała Rossowi, że wiele mu zawdzięczam, dobrze? Wiele zawdzięczam wam obojgu, waszej przyjaźni. Jest mi bardzo smutno, że wyjeżdżam.

Po chwili Demelza podała mu filiżankę herbaty.

– Małżeństwo z kimś, kogo się kocha, to nie powód do smutku, Dwight. Ja, Ross i wszyscy twoi przyjaciele chcemy, żebyś był szczęśliwy. Do soboty możesz się do woli martwić nami i naszymi problemami, ale później powinieneś o tym wszystkim zapomnieć i zacząć nowe życie, jakby Sawle i Gambler nigdy nie istniały. To nie jest nieczułość, tylko rozsądek.

Kiedy Dwight wyszedł, Demelza sprzątnęła ze stołu. Pora położyć spać Jeremy'ego. Po wizycie Enysa czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek. W dziwny sposób w czasie rozmowy zupełnie pominięli charakter jego narzeczonej. Ross powiedział kiedyś, że Caroline będzie wycierać sobie Dwightem buty, ale może od tamtej pory zmienił zdanie. Demelza słyszała opinie o Bath. Było dość oczywiste, że Caroline będzie się tam dobrze czuła. Czas pokaże, czy Dwight dostosuje się do panujących w tym mieście zwyczajów.

Ross spacerował po niewielkiej ponurej wysepce St Mary's i niecierpliwie czekał na pojawienie się irlandzkiego keczu z Markiem Danielem na pokładzie. Jak dotąd od dwóch dni się nie pojawił. Wiały niesprzyjające wiatry, nieustannie zmieniające kierunek, czasem północno-zachodnie, czasem wschodnie. We wtorek, gdy pogoda się pogorszyła, w osłoniętym akwenie między St Mary's a Tresco zakotwiczyły trzy francuskie kutry łowiące kraby, lecz ich załogi nie zeszły na ląd.

Hugh Town okazało się zaledwie skupiskiem chat pokrytych strzechami i piwnic do składowania ryb na skraju naturalnej zatoki na wysepce. Każdej nocy nowa, obrotowa latarnia morska zbudowana zaledwie trzy lata temu na wyspie St Agnes ostrzegała zabłąkane statki przed niebezpieczeństwem. Wcześniej źródłem światła było ognisko z dębowych kłód. Znajdowało się w środku wyspy, dwadzieścia pięć metrów nad poziomem morza, lecz mimo to czasem gasiły je ogromne fale. Od przeszło stu lat istniał zwyczaj, że nie może się nim zajmować żaden mieszkaniec wyspy, po tym, jak pewnego dnia nie zapalono ogniska i na skały wpadł statek.

Mimo że Ross miał na sobie stare ubranie, i tak wyróżniał się wśród mieszkańców St Mary's, a w niewielkiej gospodzie, w której mieszkał, wszyscy milkli, gdy wchodził do sali. W środę popłynął łodzią wiosłową do latarni morskiej i wypatrywał na widnokręgu statków. Z tej wysokości mnóstwo małych wysepek wyglądało jak zakotwiczona flota.

W środę Ray Penvenen powiedział bratanicy, że z powodu groźby wojny lepiej będzie pojechać do Londynu w piątek, a nie w niedzielę. Miał oprocentowane lokaty w bankach i chciał jak najszybciej się nimi zająć. Jednak pomysł stryja nie przypadł do gustu Caroline. Najwyraźniej nie była gotowa do

wyjazdu. Nic nie mogło jej skłonić do opuszczenia Killewarren przed niedzielą rano. Po dyskusji, która wydawała się niepotrzebnie zacięta, Penvenen skapitulował. Caroline wielokrotnie okazywała mu wyrozumiałość w innych kwestiach, toteż postanowił ustąpić bratanicy. Mimo to nie był całkowicie spokojny. Tego wieczoru Caroline kilkakrotnie unosiła wzrok znad książki i zauważała, że stryj ją obserwuje.

W czwartek Dwight pojechał do Truro, by pobrać pieniądze i akredytywy na podróż. Wyszedłszy z banku, omal nie wpadł na wysokiego jasnowłosego oficera w mundurze regimentu Scots Greys. Takie postacie mogły wkrótce stać się pospolitym widokiem w mieście i okolicy, ale wielki wąż tego żołnierza wydawał się znajomy. Dwight przypomniał sobie, gdzie go wcześniej widział – wychodził z domu Vercoe'a, celnika z St Ann's. Było to prawie rok temu, wiosną.

W czwartek po południu w Crow Sound pojawił się niewielki statek rybacki i wpłynął na redę. Miał ożaglowanie skośne, lecz na grotmaszcie znajdował się duży kwadratowy żagiel. Po około trzydziestu minutach jakiś człowiek popłynął szalupą na brzeg.

## *Rozdział dziewiąty*

Odbyli rozmowę w pokoju Rossa na piętrze gospody. Mogli stać prosto tylko na środku pomieszczenia. W maleńkim kominku płonął ogień, oświetlając żółte kamienne ściany i starą makatkę z wyhaftowanymi czerwoną nicią słowami: „Boże, chroń królową”. Na prawie nieociosanych deskach podłogi leżał dywanik domowej roboty, a podniszczone ciężkie kotary wiszące w drzwiach i oknach zatrzymywały przeciąg.

Mark bardzo się postarzał. On i Ross, rówieśnicy o podobnej budowie ciała, byli niegdyś do siebie podobni. Teraz już nie. Mark miał siwe włosy, przerzedzone na skroniach. Schudł, a ramiona i barki straciły ogromną siłę. Nie potrafił znieść swoich wspomnień.

Uścisnęli sobie ręce, usiedli i rozmawiali jak przyjaciele, którzy nie widzieli się od długiego czasu. Mark pracował jako szkutnik w Galway. Powiedział, że zdobył kilku przyjaciół i że nie ożenił się ponownie. „Czuję, że ciągle jestem żonaty, powiedział. Nic tego nie zmieni”. Ross wyciągnął butelkę brandy, lecz Mark nie chciał pić. „Pilnuję języka, rzekł. Dzień i noc, dzień i noc”.

Ross opowiedział mu o rodzinie Danielów i obiecał przekazać jej wiadomości. Chociaż w ciągu następnej godziny tyle mogło się rozstrzygnąć, czuł, że nie powinien się śpieszyć. Rozmawiali o Francji i przyczynach opuszczenia kraju przez Marka, o obecnym kryzysie. Mark interesował się Anglią i nowinami z rodzinnych stron. Życie, które obecnie prowadził, przypominało niespokojny sen i ciągle wierzył, że się obudzi. Ross zdał sobie sprawę, że Mark żyje tylko nadzieją powrotu do domu, lecz czuł, że nie powinien go do tego zachęcać. Zbyt wielu ludzi pamiętało o śmierci Keren i będzie ją pamiętało przez następne dwadzieścia lat. Gdyby wrócił, sędziowie byliby zmuszeni postawić go przed sądem.

W końcu zapadło milczenie. Ross popatrzył na Marka, który pocierał o siebie kościste dłonie i marszczył czoło.

– Tak, napisał pan o tym w swoim liście, kapitanie. Kazałem go sobie przeczytać. Od tamtej pory próbuję myśleć.

– Nie pamiętasz?

– Och, dobrze pamiętam, co powiedziałem. I pamiętam, co widziałem. Ale trudno przypomnieć sobie miejsce. Byłem bliski szaleństwa. Błądziłem...

– Pomógłby ci plan kopalni?

– O tak, na pewno.

Ross zdjął z nakrytego aksamitnym obrusem stołu model szkunera i rozwinął przywieziony przez siebie plan. Narysował go przed wyjazdem, starannie pomijając wszystkie chodniki wydrążone po wznowieniu robót. Plan kopalni, zazwyczaj trójwymiarowy, trudno nakreślić na papierze, ale Ross posługiwał się

inkaustem w trzech kolorach, oznaczając nimi trzy poziomy, na których pracowali dawni górnicy. Rozwinął starannie plan i przypiął do stołu, a później, ponieważ Mark mrużył oczy, przesunął stół do okna pokrytego skorupą soli, i razem się nad nim pochylili. Teraz, teraz... Wreszcie nadeszła ta chwila. Przygotowania, oczekiwanie... Ale Mark w dalszym ciągu nie mógł zacząć, nie mógł się zorientować w planie. Nigdy nie myślał szybko, a po latach spędzonych na wygnaniu stał się jeszcze bardziej powolny. Był po trzydziestce, a zachowywał się jak człowiek po sześćdziesiątce. Po chwili, porównawszy plan ze znajomymi punktami orientacyjnymi na powierzchni ziemi, zaczął odtwarzać drogę, którą przebył we wtorek dwunastego sierpnia tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Trudne zadanie, kojarzące się z gorzkimi wspomnieniami, o których starał się zapomnieć od czterech lat. Ross obserwował jego wysiłki, zdając sobie sprawę, co to znaczy dla niego, Demelzy i Jeremy'ego. Gdyby był pobożny, pomodliłby się do jakiegoś bóstwa albo świętego patrona, by słowa wypowiedziane przez Marka nagle wszystko zmieniły – klęska przerodziła się w sukces, próżne starania i wysiłki przekształciły się w sensowne przedsięwzięcie przynoszące godziwe zyski za wykonaną pracę i pieniądze, które można zarobić i wydać – by wreszcie skończyła się beznadziejna pogoń za mirażem, by Ross przestał błędzić po omacku w mroku.

– Zszedłem na dół... wszędzie stała woda. Potem szedłem, było to na poziomie trzydziestu sążni... Szedłem i myślałem... w końcu zatrzymałem się i usiadłem. Musiałem tam być wiele godzin. Pomyślałem, że mogę wszystko zakończyć, rzucić się do... A potem poszedłem dalej, chyba na wschód. Są tam głębokie doły po wybranej rudzie...

– To prawda – rzekł Ross.

– Przeszedłem na drugą stronę po desce, była cała zbutwiała... – Urwał. – Postawił pan nagrobek, kapitanie? Starczyło pieniędzy na nagrobek?

– Tak, postawiliśmy nagrobek. Z takim napisem, jak chciałeś: „Keren Daniel, żona Marka Daniela, dwadzieścia dwa lata”.

Mark potarł dłonią czoło.

– Dwadzieścia dwa lata, tak. Szkoda, że o tym nie pamiętałem. Była jeszcze dzieckiem... Ten chirurg, Enys, ciągle się tam kręci? Myślę, że to jego powinienem był zabić.

– Spróbuj sobie przypomnieć, Mark. Co zrobiłeś potem?

Daniel zwrócił udręczone oczy z powrotem na plan.

– Cóż, to było nad dołami, w prawo. Leżał tam stary oskard i żeby zająć głowę, zacząłem kuć, jakbym szukał miejsca na wyrobisko. Niedługo natrafiłem na skałę... wydawało się, że to dobre złożo.

– Gdzie to było? – spytał Ross i wskazał miejsce na mapie. – Tutaj?



– Tak myślę. W tym miejscu. Żyła biegła pod stromym kątem...

– Znaleźliśmy ją – przerwał Ross. – Ruda okazała się niezła, ale było jej mało. W miejscu, gdzie ją widziałeś, miała trzydzieści centymetrów szerokości, ale trzy sążnie dalej stała się cienka jak pergamin, a wyżej, oczywiście, została już wybrana. Henshawe uważa, że to odgałęzienie głównej żyły.

Zapadło milczenie. Na kominku trzaskał ogień, Mark Daniel oddychał przez nos.

– Później poszedłem dalej. Cały czas się wspinałem... Stary szyb wentylacyjny...

– Tutaj – rzekł Ross, wskazując miejsce na planie.

– Był zasypany. Domyślałem się, że jestem jakieś piętnaście sążni od powierzchni ziemi. Można tam skręcić w dwie strony. Poszedłem na wschód.

– Tędy?

– Tak myślę. Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt kroków, musiałem się schylać... Potem był poprzeczny chodnik. Bardzo bogate miejsce, przede wszystkim galena i żelazo.

Ulicą nadszedł mężczyzna, który niósł na kiju wiązkę lśniących ryb. Wyglądały jak egzotyczne owoce wydobyte z morskiego dna. Jego kroki odbijały się echem na wybrukowanej kocimi łbami drodze.

– Masz zdumiewająco dobry wzrok, skoro to zauważyłeś – rzekł ponuro Ross.

– Dlaczego? – Mark zmarszczył brwi. – Czy pan...

– Trafiliśmy na tę żyłę dwadzieścia sążni głębiej. Wyeksploatowaliśmy ją do końca. To nasze najlepsze znalezisko. Dawni górnicy skręcili w niewłaściwym kierunku, znaleźliśmy żyłę miedzi kilkanaście metrów na południe od tego miejsca... Ale i tak z żyłą stało się coś złego, bo ruda okazała się kiepskiej jakości. Przynajmniej kiedy trzeba utrzymywać maszynę parową. Może w dawnych czasach mogło się to opłacać...

Mark popatrzył na ocean. Kecz, który go przywiózł, już odpłynął. Mógł wrócić dopiero za tydzień.

– Nie ma pośpiechu – rzekł Ross. – Utknęliśmy na tej wyspie. Spokojnie się zastanów.

– Nie, mogę mówić dalej. Obawiam się, że nie mam wiele więcej do powiedzenia. Usiadłem i trochę drzemałem. Później się obudziłem i pomyślałem, że już noc, więc szybko wróciłem tą samą drogą. Ale przy głębokich dołach skręciłem na wschód zamiast na zachód. Przeszedłem jakieś sto kroków i zrozumiałem, że się pomyliłem. Wróciłem odnogą chodnika. O tutaj, w tym miejscu.

– Tak, tak, rozumiem.

– Są tam dwa wąskie wyrobiska, a między nimi bogate złoża, jestem gotów

przysiąc. Trzeba zejść połamaną drabiną w miejscu, gdzie wybrano żyłę. Ale tylko na dnie. Boki są nienaruszone. Widziałem piękny kwarcyt i czapę wietrzeniową nad złożem rudy. Nie mogłem dosięgnąć tego miejsca, było za wysoko, ale założyłem się, że jest tam mnóstwo pieniędzy!

Ross milczał przez chwilę. Wpatrywał się w plan, a później wstał, jakby chciał rozprostować zdrętwiałe mięśnie. Wyjął chusteczkę i wytarł zwilgotniałe ręce.

– A potem, gdy wyszedłeś?

– Czekałem w głównym szybie, aż nadejdzie noc, i wypatrywałem latarni Paula. Myślałem, że ten dzień nigdy się nie skończy...

– Tak – potwierdził Ross. – To był niespokojny czas.

Mark patrzył na Rossa, który chodził po pomieszczeniu, garbiąc plecy, by nie uderzyć głową w belki powały.

– Ostatnie miejsce, o którym panu mówiłem. Nie jest lepsze? Okazało się bezużyteczne jak inne?

– Chodźmy na spacer, dobrze? Pokój jest ciasny, nie można oddychać ani się wyprostować. Świeże powietrze dobrze nam zrobi.

Mark z pewnym ociąganiem wstał, a Ross otworzył drzwi.

– Tak, dobrze. Ale byłbym wdzięczny, gdyby mi pan powiedział, kapitanie...

– Będę musiał sprawdzić to, co mówisz, Mark, na pewno. Niewątpliwie przeoczyliśmy wiele ciekawych miejsc. Myślę, że podałeś kilka cennych wskazówek.

W milczeniu podążyli na dół i wyszli na zewnątrz. Mark wydawał się częściowo zadowolony. Nie wiedział, ile zależy od jego odpowiedzi, lecz zdawał sobie sprawę z ogromnych kosztów otwarcia kopalni i miałyby wielkie wyrzuty sumienia, gdyby zawiódł przyjaciela. Dlatego Ross przede wszystkim starał się ukryć swoje uczucia, co było w tej chwili bardzo trudne.

Nie miał wrażenia, że Mark go zawiódł, tylko że sam zawiódł ludzi, którzy obdarzyli go przyjaźnią i zaufaniem. Wpadł w tarapaty finansowe, bo wziął za dobrą monetę przypadkowe słowa człowieka oszalałego z wściekłości i żalu. Teraz, idąc z Markiem brzegiem morza, czując na twarzy chłodny wiatr, spocony po długiej rozmowie, miał wrażenie, że już od jakiegoś czasu przeczuwał, że ten ostatni rzut kośćmi zakończy się przegraną. Na początku wszystko mogło wyglądać obiecująco, ale nie było możliwości, by doświadczeni górnicy przez wiele miesięcy przeszukiwali stare wyrobiska i nie znaleźli bogatego złoża, jeśli naprawdę się tam znajdowało. Lecz tonący brzytwy się chwyta i Ross upatrywał w spotkaniu z Markiem jeszcze jednej szansy.

Ostatnie miejsce wymienione przez Marka było pierwszym, które znaleźli ludzie Rossa. Mark zauważył skomplikowaną mieszaninę, w którą obfitowały żyły

kruszcowe. W skład mieszaniny wchodziły kwarc, szeralit, tlenek żelaza i tlenek cyny. Każdy dobry górnik mógłby się spodziewać rezultatów w takim miejscu.

Ale złoże ledwo pokryło koszty wydobycia.

W sobotę Dwight stracił nadzieję, że przed wyjazdem znów zobaczy Rossa. Demelza nie otrzymała żadnych wiadomości i nikt nie miał pojęcia, kiedy ani gdzie nastąpi wyładunek kontrabandy. Oczywiście tak właśnie miało być. Ale nawet Trencrom był zależny od wiatrów i pogody.

Dwight nie wiedział, że Trencrom prowadzi interesy z właścicielem farmy na wietrznych wydmach Gwithian. Farrell, kapitan One and All, podpłynął wystarczająco blisko brzegu, by statek zauważono przed zapadnięciem ciemności. Później pośpiesznie oddalił się od lądu, bo niedaleko znajdowało się Hell's Mouth. Syn farmera wsiadł na znakomitego kuca podarowanego mu przez Trencroma specjalnie na tę okoliczność i przejechał przeszło dwadzieścia kilometrów, by zobaczyć swojego dobroczyńcę.

W wyniku tej wizyty tuż po zmroku w wielu chatach i gospodarstwach w okolicy można było dostrzec dziwny ruch – ciche przygotowania do ciężkiej, sekretnej pracy. Opróżniano worki, siodłano muły, zwijano liny i szykowano ślepe latarnie. Gdzieś tam również nabijano pistolety i zdejmowano ze ścian strzelby skałkowe.

Ale nie tylko przemytnicy się przygotowywali. W St Ann's, wokół domu stojącego na uboczu, z widokiem na zatokę, cicho zbierali się inni mężczyźni, a w środku, w salonie, trzech przywódcy ustalali ostatnie szczegóły. Byli to kapitan McNeil, urzędnik celny Vercoe oraz jego pomocnik Bell. Vercoe był oficjalnym szefem grupy, lecz ranga McNeila sprawiała, że konsultowano z nim wszystkie ważne decyzje. Dowodził również największą liczbą ludzi, siedmioma dragonami.

– Cóż, kapitanie, bezpieczniej jest szybko wyruszyć, bo później, gdy pojawią się przemytnicy, nikt nie powinien nas zauważyć. Wiem, że mamy przed sobą godziny czekania.

– Wczorajsza noc była długa i zimna – odparł McNeil. – Tym chłodniejsza, że bezowocna. Mam nadzieję, że pański informator jest wiarygodny?

– Jego informacje wiele razy się potwierdzały. Powiedział, że nie mógł ustalić, czy wyładunek powinien nastąpić wczorajszego wieczoru, dzisiejszej nocy czy jutro.

– Po ostatnich nowinach z Londynu nie widzę możliwości, by moi żołnierze pozostali tu dłużej niż do końca tygodnia. Ja również będę musiał wyjechać. Zatem to ostatnia szansa. Byłbym niezadowolony, gdyby miało się okazać, że pilnujemy pustej zatoki, a wyładunek odbył się gdzie indziej.

Vercoe odchrząknął i pogładził się po brodzie.

– Ja byłbym jeszcze bardziej niezadowolony. Czekam na taką okazję przeszło trzydzieści miesięcy. Wreszcie mamy szansę na wielki sukces. Jeśli dziś

lub jutro wszystko pójdzie dobrze, przemysł w tych stronach może zniknąć na całe pokolenie. Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego!

McNeil popatrzył na niego z zainteresowaniem, zastanawiając się, jaki przymus wewnętrzny sprawił, że celnik traktował swoje codzienne obowiązki niemal jak krucjatę. Później wzruszył ramionami i wstał.

– Niech tak będzie. Bell, przekazałeś swoim ludziom, że mają siedzieć cicho, aż usłyszą gwizd pana Vercoe'a? Nie chcemy, by pułapka zatrzasnęła się zbyt wcześnie.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Oczywiście odpowiadam za swoich żołnierzy. Wydałem rozkaz, że nie wolno dopuścić do niepotrzebnego rozlewu krwi. Nie zapominajmy, że przemysłnicy to nasi rodacy, a wkrótce trzeba będzie przelać mnóstwo krwi na wojnie. Te same rozkazy jak wczorajszej nocy.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Bardzo dobrze. Zaczynajmy.

Kiedy zbliżał się czas odjazdu, Dwight był coraz bardziej niespokojny. Po raz dwudziesty spojrzął na zegar. Wpół do dziesiątej. Miał się pojawić w Killewarren o jedenastej. Zostało półtorej godziny. Powinien wyruszyć za czterdzieści pięć minut.

Zadzwoił na Bone'a. Po przyjściu młodego człowieka zadał mu kilka niepotrzebnych pytań i kazał odejść, nie pamiętając już, ile razy się to powtórzyło. Nerwy. Zdenerwowanie przed ucieczką. Co robi w tej chwili Caroline? Czy męczy się tak samo? Nie z powodu wyrzutów sumienia, które trapią ją od czterech lat, lecz może wskutek zdenerwowania innego rodzaju. Caroline dobrze panowała nad sobą, ale Dwight nie miał złudzeń i nie wątpił, że jest wytrącona z równowagi.

Przez cały dzień prześladowało go wyobrażenie Keren Daniel. Rozmowa z Demelzą i świadomość, że Ross spotka się z Markiem, nagle przypomniały mu o Keren. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie była naprawdę daleko, że cały czas o niej pamiętał.

Za szesnaście dziesiąta. Dla Caroline chętnie wyrzekłby się wszystkiego. Problem polegał na tym, że nie poświęcał niczego materialnego. Zamiast tego poprawiał swoją sytuację. Samobiczowanie... Cóż, w pewnym sensie miał rację, lecz później stawało się to czymś neurotycznym. Za dwie godziny znajdzie się z nią w karecie. Czy którykolwiek z przyjaciół odmówiłby mu prawa do szczęścia? Wyobrażał sobie, że żaden. Za dwie godziny na jego dawne życie opadnie kurtyna.

Bone wszedł do pokoju. Czyżby znowu zadzwonił na niego ze zdenerwowania?

– Przepraszam, panie, przy drzwiach jest Parthesia Hoblyn. Mówi, że jej siostra dziwnie się czuje. Prosi, by pan ją obejrzał, ale powiedziałem, że dziś wieczorem jest pan zajęty.

Dwight zajrzał do notatnika. Lottie Kempthorne prawie zupełnie wyzdrowiała. Nie pojawiły się inne przypadki ospy, co graniczyło z cudem. Nawet May się upiekło. Ale Rosina? Jak dawno? Czy to możliwe? Policzył. Ciągłe było to możliwe. Przeszedł do sieni i zobaczył małą Parthesię siedzącą na krześle i łapiącą oddech. Sawle leżało w odległości pięciu kilometrów i prawdopodobnie dziewczynka biegła całą drogę w ciemności.

– Co się stało twojej siostrze?

– Och, panie doktorze, kolano! Zaledwie godzinę temu szła po kocich łbach i znowu zrobiło jej się to, co pan doktor wyleczył, tylko jeszcze gorzej! Ojciec zaniósł ją do domu i była taka sztywna, że prawie nie mogliśmy jej posadzić na krześle, więc mama powiedziała, żebym poleciała po pana doktora, może potrafi to znowu wyleczyć.

Za cztery lub za pięć dziesiąta. Została przeszło godzina. Sawle znajdowało się po drodze, jakieś półtora kilometra dalej, dla konia tyle co nic. Miał dość czasu, by spełnić swój ostatni obowiązek, jeśli chciał i mógł. Bardzo pragnąłby tego nie robić. W ostatnim tygodniu złożył pacjentom pożegnalne wizyty, choć nikt nie wiedział, że pojawia się po raz ostatni. Jeśli przybędzie na to wezwanie...

A jeśli nie przybędzie? Czy zachowa spokój w czasie podróży do Bath? Kolano Rosiny znowu było zwichnięte. Jeśli kuracja pomogła tymczasowo, może to oznaczać... Ale ma już spakowaną torbę. Nie może z nią pojechać do Sawle.

– Zaczekaj tu – rzekł do obserwującej go Parthesii i odszedł na bok z Bone'em.

Służący znał plany Dwighta. Można mu było zaufać.

– Jadę z tą dziewczyną – rzekł do Bone'a. – Ale nie mogę zabrać torby, bo wywoła to komentarze. Chcę, by o jedenastej znalazła się przy bramie Killewarren. Możesz to dla mnie zrobić?

– Tak, panie. Zajmę się tym.

– To kilka kilometrów. Może uda ci się pożyczyć konia.

– Hatchard pożycz mi kuca, jeśli powiem, że to dla pana. Zaraz do niego pójde.

Bone odszedł, a Dwight włożył pelerynę i kapelusz. Patrzył przez chwilę na pokój, po raz ostatni obejrzał znajome sprzęty. Później poszedł do Parthesii. W pewien sposób to wezwanie nie było niewygodne. Wypełni czymś ostatnią godzinę przed wyjazdem. Miał dość beczynności.

Parthesia siedziała przed nim na koniu. Ważyła tyle co nic. Mała dziewczynka, chuda i drobnokoścista. Była pogodna, chłodna, bezksiężycowa noc, między pierzastymi chmurami świeciły nieliczne gwiazdy. Dwight zastanawiał się, czy Ross wrócił już do domu. Można się było spodziewać wyładunku kontrabandy. Późnym popołudniem zauważył w czasie pracy kilka oznak, które nic by nie znaczyły dla przypadkowego obserwatora, lecz dostrzeżone przez kogoś dobrze

poinformowanego zapowiadały przerwę. W pobliżu Sawle spostrzegł dwóch ludzi jadących konno, którzy zjechali daleko na pobocze, by go przepuścić. Życzył im dobrej nocy, lecz żaden nie odpowiedział. Twarze mieli zasłonięte grubymi szalikami. Poczul, że dziewczynka siedząca przed nim dygoce, jakby się bała, że to opryszki. Był trochę zaskoczony.

W chacie Hoblynów czekał Jacka, niespokojnie marszcząc czoło. Rosina siedziała na brzegu krzesła, ciągle blada, choć powiedziała, że kolano boli ją mniej. Wyjaśniła, że noga przekręciła się na kamieniach i zupełnie zeszywniała. Na początku chciała posłać po Charliego, ale przypomniała sobie, że jest chory, a Parthesia gdzieś zniknęła. Wszystko dlatego, że przestała nosić bandaż, ale jest pewna, że do rana...

Dwight dotknął palcami kolana dziewczyny, próbując wyczuć zwichnięcie, które znalazł wcześniej. Odszukał miejsce, lecz nie umiał nastawić kolana. Poprzednio udało się to dzięki próbie nacisku w jednym z miejsc. Gdyby miał możliwość powtarzania tego ruchu, szybko doprowadziłby go do perfekcji, ale minęło już wiele miesięcy. Własny sukces zaskoczył go prawie tak samo jak wszystkich. Poprosił Rosinę, by zgięła kolano, lecz w tej chwili nie mogła tego zrobić. Staw lub chrząstka znalazły się w niewłaściwym miejscu. Mogły być potrzebne kompresy i kilka dni prób. Ale dziś wieczorem wyjeżdżał. Była to ostatnia szansa. Nacisnął mocno palcami, a Rosina zadrżała z bólu.

– Mówiłaś, że Charlie jest chory? – spytał, by odwrócić jej uwagę. – Co mu dolega?

– Och, doktorze, przecież powinien pan wiedzieć. To pan kazał mu leżeć w łóżku, więc nie może wyładowywać towarów dziś w nocy. Mówił mi o tym rano.

Nagle ręce Dwighta znalazły się we właściwym miejscu. Miał wrażenie, że coś zaskoczyło w jego pamięci, nim to samo stało się w kolanie. Pewność siebie i satysfakcja. Poruszył palcami i nacisnął. Dziewczyna krzyknęła, ale bardziej z zaskoczenia niż z bólu. Po zwichnięciu nie było śladu.

Dwight puścił Rosinę i wstał.

– Ma pani bandaż? – spytał panią Hoblyn.

– Tak, doktorze. – Wybiegła, przeciskając się obok męża, który stał teraz w drzwiach.

– Możesz wstać – powiedział Dwight.

Dziewczyna ostrożnie zgięła kolano. Zaczerwieniła się, pobladła i przez chwilę wydawało się, że się rozpłaczę.

– Znowu wszystko w porządku, córko? – spytał z lękiem Jacka stojący na progu.

Rosina wstała.

– Och, doktorze, jestem taka wdzięczna! Bardzo się bałam, że to już na zawsze! Bardzo, bardzo dziękuję! To cud...

Należało wyciągnąć wnioski z tego przypadku.

– Byłem zbyt pewny siebie – odparł Dwight. – Myślę, że stale powinnaś nosić bandaż. Na początek przez rok, aż ścięgna się wzmocnią.

Przybiegła pani Hoblyn. Dwight zabandażował kolano i poprosił matkę dziewczyny, by uważnie je obserwowała. Dolegliwość nie powinna się powtórzyć. Nie mógł przejechać przeszło dwustu kilometrów nawet dla Rosiny. Robiło się późno. Musiało już być po dziesiątej trzydzieści. Pora ruszać. W razie potrzeby mogli jechać przez całą noc albo zatrzymać się w bezpiecznej odległości od Killewarren. Doktor Dwight Enys i panna Caroline Penvenen, podróżujący jako przyjaciele.

Jacka wyciągnął butelkę rumu, nalał do kubka trochę trunku i nalegał, by Dwight wypił. Młody lekarz nie miał ochoty na rum, ale wiedział, że ten gest wyraża najwyższą aprobatę Hoblyna, toteż wypił kilka małych łyków, patrząc na Rosinę chodzącą sprawnie po pokoju. Tuż przed wyjściem Dwight powiedział pani Hoblyn, co powinna robić i czego nie wolno jej robić, gdyby dolegliwość się powtórzyła. Kobieta nie poprawiła mu humoru, mówiąc z błyszczącymi oczyma:

– Ależ doktorze, każemy jej po prostu siedzieć na miejscu, dopóki pan nie przyjedzie!

Czasami czyjeś przypadkowe słowa są jak ukąszenie owada, którego z początku prawie się nie czuje, ale z upływem czasu staje się coraz boleśniejsze. Dwight nie zwrócił uwagi na to, co Rosina powiedziała o Charliem Kempthornie, a później zapomniał o tym, zadowolony ze skutecznego nastawienia kolana. Chciał jak najszybciej odjechać i przypomniał sobie słowa dziewczyny dopiero przy drzwiach. Trucizna zaczęła działać.

– O co chodzi z tą chorobą Charliego? – spytał. – Mówił, że źle się czuje i że kazałem mu leżeć w łóżku?

– Tak powiedział ludziom, którzy chcieli, by pomógł nosić rum.

– Nic nie rozumiem. Co się stało?

Jacka spojrzał na młodego lekarza.

– Tym razem to nie Charlie miał nosić beczki z rumem. Robią to po kolei. To pomysł Trencroma, by zmniejszyć ryzyko i by więcej ludzi mogło zarobić. Raz na dwa miesiące są gotowi na duże ryzyko, na które nie zdecydowaliby się raz na miesiąc. Ale przedwczoraj Joe Trelask złamał nogę w młynie. Podobno spadł z drabiny, tak przynajmniej gadają...

– Tak, wiem o tym. Mów dalej.

– Charlie Kempthorne był następny na liście, więc wczoraj wieczorem kogoś do niego posłali, by był gotowy. Powiedział, że źle się czuje, że to febra i że pan doktor nie pozwolił mu wychodzić z powodu płuc. – Jacka Hoblyn zmarszczył brwi, usiłując przebić wzrokiem ciemność. – To znaczy, że to nieprawda?

– Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

– A to podstępny oszust! Po co miałby opowiadać takie bajdy?! Trudno się domyślić, co go do tego skłoniło...

– Kiedy ma się żenić?

– Za dwa tygodnie od jutra.

– Niewątpliwie to z tego powodu, Jacka. Chciał uniknąć ryzyka, może bał się również o swoje zdrowie. Każdy mógłby się zachować w ten sposób.

Jacka prychnął i przeciągnął kciukiem po przednich zębach.

– Na pewno nie każdy, doktorze. Założę się, że nie pan. Ja też nie. Nikt nie ma prawa kłamać. Powiem mu to jutro z samego rana.

– No tak – odparł cicho Dwight. – To nie nasza sprawa. Dobrej nocy, Jacka.

– Dobranoc, doktorze. I dziękuję.

Dwight wjechał konno na strome wzgórze, a Jacka spoglądał za nim. Chata Charliego Kempthorne'a znajdowała się na szczycie, niewidoczna z domu Hoblynów. Lekarz zatrzymał się przed nią i spojrział w okno. W pomieszczeniu na piętrze paliło się światło. Za dwadzieścia jedenasta. Mógłby bez trudu dotrzeć do Killewarren w ciągu dwudziestu minut, gdyby natychmiast wyruszył w drogę. Musi to zrobić. Caroline na pewno wkłada już płaszcz, może siedzi w swojej sypialni, gotowa zgasić świecę i bezszelestnie zejść na dół. Bone czeka przy bramie z torbą.

Ale straszliwe podejrzenie, które zakiełkowało w umyśle Dwighta, okazało się ważniejsze od zobowiązań wobec Caroline i samego siebie. Nie chciał jechać do Bath, wyobrażając sobie, że Rosina znowu utyka, więc jak mógłby nie rozwiązać tego problemu? Pięć minut nie robi żadnej różnicy. Dowie się wszystkiego w ciągu pięciu minut.



## *Rozdział dziesiąty*

Ray Penvenen prowadził tak unormowany tryb życia, że przez większość dnia i nocy jego działania były przewidywalne, jednak tego wieczoru, ostatniego dnia w Killewarren, poszedł spać zaskakująco późno. Nabrał wielu starokawalerskich nawyków i w czasie ostatnich przygotowań do podróży pokrył gryzmołami mnóstwo małych karteczek, które miały przypominać służącym o ich obowiązkach. Caroline zносиła to do wpół do jedenastej, a później powiedziała:

– Zbyt długo pracujesz dziś wieczorem, stryju. Przed wyjazdem spędzimy tu jeszcze cały ranek i byłaby wielka szkoda, gdybyś nie miał co robić. Idziesz spać?

Spojrzał najpierw na zegar, a później ponad okularami na bratanicę.

– Mam jeszcze coś do zrobienia, Caroline. Majątek ziemski to nie dom w Londynie, nie można go zamknąć na cztery spusty i wyjechać. Trzeba o niego dbać albo zapanuje chaos.

– Czy nie może się tym zająć Garth i inni ludzie, których zatrudniasz? Inaczej po co ich trzymać?

– Och, wiedzą, co mają robić, ale brakuje im inicjatywy, a ponieważ nie będzie nas cały miesiąc, trzeba udzielić im wskazówek. Na przykład... – Zaczął mówić o pewnych decyzjach, jakie należało podjąć. Ponieważ zadała pytanie, zakładał, że jest zainteresowana odpowiedzią, lecz kilka razy spostrzegł, że spogląda w bok, w stronę zegara. – Dlaczego pytasz? – zakończył nagle, przerywając w pół słowa.

Szybko znów na niego spojrzała.

– Dlaczego? Nie powinno mnie to ciekawić? To chyba przystoi młodej damie, prawda? Ale jestem również zainteresowana twoim zdrowiem. Moim zdaniem ostatnio nie wyglądasz zbyt dobrze i byłaby wielka szkoda, gdyby wysiłki związane z przygotowaniem do wakacji źle na ciebie wpłynęły.

Penvenen spojrzał podejrzliwie na Caroline, lecz przeczuwał jedynie sarkazm, a nie ukryte motywy. Kiedy nie spostrzegł w oczach bratanicy śladu szyderstwa, poklepał ją po dłoni i rzekł:

– Spokojnie, spokojnie, jeszcze tylko pół godziny pracy. Idź spać, jeśli jesteś zmęczona, moja droga. Jestem wdzięczny za twoją troskę.

Odwróciła się, by ukryć frustrację, i przez następne dziesięć minut krzątała się po pokoju pod różnymi pretekstami. Ale stryj ciągle siedział przy biurku i nie zamierzał wyjść. W końcu podeszła do niego i powiedziała:

– Skoro nie chcesz jeszcze iść spać, stryju, pracuj dalej. Ja muszę iść do siebie, bo oczy mi się zamykają.

– Za chwilę skończę. Dobrej nocy, Caroline.

Uniósł głowę, ona zaś musnęła wargami jego czoło, ze zdenerwowania

zapominając, że żegna się ze stryjem z pewnością na wiele miesięcy, może na zawsze.

Przypomniała sobie o tym u stóp schodów w korytarzu, lecz teraz było już za późno. Kiedy szła do sypialni, dotrzymywał jej towarzystwa własny cień, posuwający się z przodu jak gospodyni wskazująca drogę. W sypialni zapaliła świece i popatrzyła na pelerynę, kapelusz, szal, rękawiczki. Wszystko było gotowe. Bagaże znajdowały się w karecie na dole, podobnie Horacy. Dwukrotnie pociągnęła za sznur dzwonka, wzywając pokojówkę Eleanor.

Kiedy dziewczyna weszła, Caroline powiedziała:

– Mój stryj pracuje dziś do późna. Musimy trochę poczekać. Powiedz Bakerowi, dobrze? Czy pozostali służący już śpią?

– Wszyscy z wyjątkiem Thomasa, panienko. Czeka na pójście pana do łóżka, by zgasić światła i zaryglować drzwi. Na pewno się złości, że nie może iść spać, tak mówi Baker.

Caroline przygryzła wargę.

– Powiedz Bakerowi, by poczekał na odejście Thomasa. Gdyby Thomas zobaczył zaprzężone konie, byłaby to katastrofa.

– Dobrze, panienko... Czy to wszystko?

– Nie. Udaj, że idziesz spać. Jeśli to możliwe, wymknij się niezauważona z domu i wsiądź do karety. Thomas mógłby się zastanawiać, dlaczego kręcisz się po domu. Poza tym obawiam się, że Horacy przestraszy się ciemności. A kiedy się boi, jazdocz. Czekaj na mnie w karecie.

– Dobrze, panienko. Przyniosę swój kapelusz i pelerynę.

– Bądź ostrożna! Niech cię nikt nie zauważy!

Eleanor zamknęła za sobą drzwi, a Caroline kilkakrotnie przeszła tam i z powrotem po sypialni, ciągle przygryzając wargę. Później chwyciła płaszcz, rozejrzała się, by sprawdzić, czy niczego nie zostawiła, położyła list do stryja w bardziej widocznym miejscu na toalecie, zgasiła świecę i wyszła z pokoju.

Jej cień krył się w rogu. Kiedy szła korytarzem, zerwał się i szybko podążył za nią. Pod drzwiami dużego salonu wciąż płonęło światło. Zawahała się i wślizgnęła do schowka pokojówki po drugiej stronie podestu schodów. Stała w ciasnej przestrzeni wśród szczotek i miotełek do odkurzania, bojąc się poruszyć, by czegoś nie przewrócić.

Trwała w bezruchu jeszcze dziesięć minut. Zesztywniała i łapały ją skurcze. Drzwi były nieco uchylone i widziała światło w salonie. Prawdopodobnie dochodziła jedenasta.

Z salonu wyszedł Ray Penvenen. Niósł świecę i skórzaną teczkę trzymaną pod pachą. Salon był teraz ciemny. Stryj zamknął za sobą drzwi, podszedł do świecy w rogu i ją zgasił. Potem ruszył w stronę schowka, w którym stała Caroline.

Patrzyła jak zahipnotyzowana na zbliżającego się stryja niczym dziecko,

któremu przyśnił się koszmar. Po chwili drzwi zatrzasnęły się tuż przed jej nosem i usłyszała odgłos oddalających się kroków.

W całkowitej ciemności powoli wypuściła powietrze z płuc. Zaczęła liczyć, postanowiwszy nie wychodzić za szybko. Kiedy doszła do pięciuset, nacisnęła klamkę i wyjrzała. Korytarz był ciemny.

Wiedziała, że może się natknąć na Thomasa, robiącego wieczorny obchód domu, toteż chyłkiem przekradła się korytarzem i zeszła na dół. Schody jeszcze nigdy tak bardzo nie skrzypiały. Znalazszy się na parterze, podążyła do kwater służących, które przylegały do stajni. W kuchni paliło się światło, drzwi były uchylone. Baker, woźnica, siedział przed kominkiem w koszuli i bez butów, strugając kawałek drewna. Wydawał się senny, jakby zamierzał wkrótce iść spać. Jeśli udawał, miał wielki talent aktorski.

Zerwał się z miejsca na widok wchodzącej do kuchni Caroline. Przyłożyła palec do ust, mimo woli zdyszana. Ostatnie minuty okazały się niespodziewanie nerwowe.

– Thomas?

– Poszedł na górę zaledwie trzy minuty temu. Wątpię, czy znowu zejdzie.

– Zaczekaj jeszcze pięć minut, potem zaprzęgaj konie.

– Tak, panienko.

– Pójdę prosto do karety. Eleanor już tam jest. Poczekamy na ciebie.

– Bardzo dobrze, panienko.

Kiedy Caroline odwróciła się, by wyjść z kuchni, zerknęła na zegar. Było pięć po jedenastej. Dwight na pewno już czeka.

Lottie Kempthorne obudziła się prawie natychmiast, gdy jej twarz owiało chłodne nocne powietrze. Nie poruszyła się, lecz zobaczyła ojca stojącego obok niej przy oknie i wyglądającego w stronę dworu.

Usłyszała jego ściszony głos:

– To tylko febra i chciałem po pana posłać, doktorze, ale postanowiłem poczekać do świtu i nie zawracać panu wieczorem głowy. Może jutro, gdyby przejeżdżał pan w tej okolicy...

– Zbadam cię dzisiaj – rozległ się głos przed domem.

– Chyba na razie mi się poprawiło, a do jutra...

– Wpuść mnie. Chcę z tobą porozmawiać.

Kempthorne zamknął okno, z niezadowoleniem mrużąc coś pod nosem, i zaczął wciągać spodnie, lecz Lottie nadal się nie poruszyła. Nauczyła się, że nie wolno zwracać uwagi na to, kiedy ojciec przychodzi i wychodzi. Gdyby zadała mu teraz pytanie, prawdopodobnie warknęłyby na nią i dał jej po uszach, dlatego leżała wygodnie na cienkim, twardym łóżku, słuchając spokojnego oddechu May śpiącej obok.

Ojciec zszedł na dół ze świecą w ręce i usłyszała, jak odsuwa rygiel

w drzwiach. (Większość mieszkańców Sawle nigdy nie zamykała drzwi na noc, lecz Charlie był wyjątkiem). Usłyszała, jak rozmawia z mężczyzną, który wszedł do domu, po czym usiadła na łóżku, drapiąc się w ciemności. Zastanawiała się, dlaczego doktor Enys przyszedł o tak późnej porze i mówi takim dziwnym głosem. Doktor Enys był dla niej bardzo miły i zwykle bardzo łagodny. Może stało się coś złego? Nie mogła wytrzymać z ciekawości. Wyślizgnęła się z łóżka i podpełzła, drżąc, do klapy w podłodze, przez którą schodziło się do pokoju na parterze. Uniosła ją na kilka centymetrów i zerknęła w dół.

Ojciec siedział w fotelu, wierząc się i protestując, a tymczasem doktor Enys stał nad nim z bladą, zaciętą twarzą i zadawał pytania. Pierwsze słowa usłyszane przez Lottie brzmiały:

– Nie masz żadnej febry, człowieku, i doskonale o tym wiesz. Nigdy nie miałeś febry. Dlaczego opowiedziałeś ludziom tę historyjkę?

– Może to dla pana nie febra, doktorze, ale trzy godziny temu trząśłem się jak osika. Lottie dopiero co wyzdrowiała z ospy... Niech pan zobaczy! Proszę dotknąć mojej dłoni. Jeśli nie jest wilgotna...

Ale twarz doktora Enysa, łagodnego doktora Enysa, w dalszym ciągu miała zacięty wyraz.

– Ta fałszywa choroba to tylko wymówka, prawda, Kempthorne? Wymyślona po to, by nie nosić dziś w nocy baryłek z rumem? Dlaczego nie chciałeś brać w tym udziału?

Ojciec, którego Lottie kochała, oblizał wargi i zaczął zapinać koszulę.

– Dostałem dreszczy, jakby ktoś oblał mnie zimną wodą, a potem posypał lodem... Potem...

– Od przeszło dwóch lat w okolicy jest szpieg, który donosi za pieniądze. Wiesz o tym, prawda, Charlie?

– Jasne, że wiem. Wszyscy wiedzą. Złapał go pan?

– Myślę, że tak.

Lottie poruszyła zdrętwiałymi stopami i uniosła pokrywę jeszcze na kilka centymetrów. Ojciec wstał.

– Co, ja?! Na Boga, doktorze, co za głupie pomysły przychodzą panu do głowy! I niezbyt miłe, muszę powiedzieć! Nawet obraźliwe! A wszystko z powodu mojej nagłej febry. Zanim pan przyszedł, szczekałem zębami...

– Skąd wzięłeś te wszystkie rzeczy, co? – spytał Enys, gniewnie wskazując różne przedmioty w pokoju. Lottie złękła się, że może ją zobaczyć. – Skąd miałeś na nie pieniądze?! Kotary, dywany, szyby w oknach. Zarobiłeś na to szyciem żagli?! Czy donoszeniem na swoich przyjaciół?!

Ojciec się uśmiechał, ale dobrze go znała i wiedziała, że nie jest to przyjacielski uśmiech.

– Z szycia żagli, doktorze. To prawda jak amen w pacierzu. I nikt nie powie,

że jest inaczej. Teraz proszę już iść, doktorze, i zostawić mnie w spokoju. Niech pan zabierze ze sobą swoje wstrętne, złe podejrzenia! Przychodzi pan po ciemku, rzuca brudne oszczerstwa...

– To ty powinieneś iść, Charlie, i to szybko, jeśli troszczysz się o swoje życie. Doniosłeś dziś na swoich przyjaciół, prawda? Kiedy mają wyładować towary? Jest jeszcze czas, by ich ostrzec?

– A co można powiedzieć o panu, doktorze? Że pożąda pan Rosiny, odkąd ją pan zobaczył i dotknął jej nóg, co? Rzuca pan na mnie podejrzenia, żeby nie dopuścić do małżeństwa, tak? Wiem wszystko. Wiem wszystko o tym, co pan robił, macał, dotykał, zawsze po cichu, gdy w pobliżu nie było matki. Rosina mi to powiedziała. Powinien się pan cieszyć, że ktoś się jeszcze chce z nią ożenić...

Doktor Enys wykonał szybki ruch. Ojciec się cofnął, jakby spodziewał się ataku, ale doktor podszedł do bocznego stolika, przy którym bawiły się tego wieczoru Lottie i May. Lottie wyciągnęła szyję, by zobaczyć, co wziął do ręki, i ze zdumieniem spostrzegła, że to jej książka z obrazkami zatytułowana *The History of Primrose Prettyface*.

– Skąd to masz, Charlie?

– Kupiłem.

– Gdzie kupiłeś tę książkę?

– W Redruth.

– Kłamiesz. Pierwszym właścicielem tej książki był Hubert Vercoe, syn celnika. Widziałem ją w jego domu. – Lekarz przewracał stronicę.

– Nie, nie jest pan wcale sprytny, doktorze. To niczego nie dowodzi. W Redruth jest wiele takich książek. Dlaczego...

– Wątpię, czy znalazłaby się jeszcze jedna. Można ją rozpoznać po pierwszej stronie. Hubert Vercoe pokolorował na niej na czerwono skrzydła anioła. Sam mi to powiedział i widziałem ją w jego rękach. – Enys zamknął książkę i wsunął do kieszeni.

W ciszy, która nastąpiła, Lottie usłyszała, jak May przewraca się w łóżku i jęczy, jakby przyśnił jej się jakiś koszmar. Na dole dwaj mężczyźni spoglądali na siebie jak dwa psy, które Lottie kiedyś widziała, najeżone, z napiętymi mięśniami.

– Co chce pan zrobić?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Lekarz wziął szpicrutę i ruszył w stronę drzwi, ale ojciec był szybszy i znalazł się tam przed nim. Nawet doktor Enys już nie wierzył, że ten uśmiech jest naprawdę przyjacielski.

– Niech pan zostanie, doktorze. Co pan chce zrobić?

– Zejdź mi z drogi!

Żaden z mężczyzn się nie poruszył.

– Kiedy wyładują towary? – spytał Dwight.

– O północy. Spóźnił się pan, doktorze. Bardzo, bardzo się pan spóźnił. Niech pan jedzie do domu i położy się do łóżka. To właściwe miejsce dla pana.

– Dlaczego to zrobiłeś, Charlie? Dlaczego zdradziłeś przyjaciół?

– Co to za przyjaciele, doktorze?! Jacy przyjaciele? Moja pierwsza żona utonęła na ich oczach! Żadna kobieta się nie ruszyła, by ją ratować. Żadna! Pozwoliły jej utonąć. A ja? Kto mi pomógł, jak miałem kłopoty? Nikt. W życiu każdy troszczy się tylko o siebie.

– Ale nie zdradza. Nie sprzedaje innych za pieniądze. Postąpiłeś jak Judasz.

Lottie zauważyła, że ojciec zaciska rękę na drewnianym paliku, którym blokował drzwi. Znajdował się za jego plecami, lecz go widziała.

– Nic mnie nie obchodzą pańskie śmieszne porównania, doktorze. Uważam się za równie dobrego jak pan. I więcej się tu nie pojawisz. Kiedy poślubię Rosinę, wyjedziemy stąd...

– Jeśli to robiłeś, by zdobyć Rosinę, możesz ją przez to stracić...

– Robiłem to, co robiłem, doktorze. Wyleczył mnie pan z suchot, ale nie rządzi pan moim życiem. O nie...

Lottie krzyknęła, gdy ojciec skoczył na doktora z uniesionym palikiem. Dwight musiał się tego spodziewać, bo szybko odchylił głowę i kij trafił go w bark. Zmieniony nie do poznania, ojciec zaatakował znowu, ale doktor upadł, co go ocaliło. Stół się przewrócił, doktor Enys przetoczył się do rogu pokoju, gdy tymczasem ojciec ruszył w jego stronę między nogami stołu. Doktor chwycił stół i go uniósł, trafił w niego z łoskotem kij trzymany przez ojca, ale musiała zboleć go ręka, bo o mało nie wypuścił palika. Doktor wstał i chwycił kij; walczyli ze sobą, wpadli na ścianę.

Lottie uniosła klapę, a później zeszła kilka kroków na dół. Po jej twarzy, pokrytej dziobami po ospie, spływały łzy. Krzyknęła, lecz walczący mężczyźni jej nie słyszeli. Ci dwaj ludzie znaczyli dla niej najwięcej na świecie, a teraz walczyli, by się zabić albo okaleczyć, było to widać w ich oczach. Lottie chciała mieć dość odwagi, by stanąć między nimi, powstrzymać ich, cofnąć życie do miejsca, gdzie znajdowało się godzinę wcześniej. Przerazający koszmar, gorszy od tych, które pojawiały się w czasie febry, gorszy od bólu fizycznego.

Ojciec zacisnął ręce na szyi doktora, ale wydawało się, że brakuje mu sił. Widziała jego przekrwione oczy, wciąż pełne żądzy mordy, lecz również strachu. Dwaj mężczyźni znów runęli na podłogę, ojciec znalazł się na dole.

Lottie słyszała ciche echo własnego płaczu. May się obudziła. May często bez powodu płakała, jeśli budziła się w nocy. Lottie zeszła dwa stopnie, o mało nie potknęła się o poszarpaną krawędź koszuli nocnej, która kiedyś należała do matki.

Ojciec zdołał się uwolnić, czołgał się w stronę palika, ale chirurg chwycił go za kostkę i unieruchomił. Ojciec uwolnił nogę, o mało nie trafiając piętą w twarz lekarza, niemal dosięgnął kija. Doktor Enys puścił go, rzucił się do przodu, skoczył

mu na plecy i przydusił do ziemi. Znajomy dźwięk, Lottie słyszała go przez całe życie – ojciec kasłał. Doktor też to zauważył. Puścił ojca, wyprostował się, na jego twarzy pojawił się wyraz troski, coś z innych czasów, innych dni. Ojciec leżał na ziemi, nie mógł się podnieść, powoli ukląkł, nie poruszał się. Dwie dziewczynki przestały płakać na kilka sekund, słychać było tylko znajomy, ochrypły kaszel. Doktor Enys niepewnie wstał. Krew na twarzy, podarty halsztuk.

Ojciec się rozejrzył. Nagle zerwał się na równe nogi, chwycił nóż leżący wśród talerzy na stole. Uniósł go, lecz doktor Enys spostrzegł niebezpieczeństwo, rzucił się w stronę ojca. W tej samej chwili doktor zadał cios. Nóż upadł z grzechotem na podłogę. Lekarz z dziwnym namysłem uderzył jeszcze dwa razy. Ojciec znów zakasłał, tylko raz. Może nie był ranny, ale zachwiał się, ukląknął, przewrócił na bok i znieruchomiał.

Lottie bezradnie zatykała uszy, jakby słowa i dźwięki raniły ją bardziej od widoku. Po policzkach płynęły jej łzy. Skrzywiła usta, by coś powiedzieć, lecz nie mogła wykrztusić słowa. Stała i gorzko opłakiwała utracone złudzenia. Czowała wielki smutek, jakby była najsamotniejszą osobą na świecie.

## *Rozdział jedenasty*

Demelza nie otrzymała żadnej oficjalnej wiadomości, ale wiedziała. Kiedy tylko zapadł zmrok, zasłoniła okna i zapaliła świece, by dom wydawał się przytulny i bezpieczny. Ross mógł wrócić dopiero wczesnym rankiem, lecz nie myślała o pójściu spać. Dzisiejsza noc była wyjątkowo ważna. Czowała, że gdy spojrzy mężowi w oczy, od razu się domyśli, czy ma dobre, czy złe nowiny.

Zjadła kolację dopiero o dziewiątej. Siedziała samotnie przy stole i skubała zimną gicz baranią, a potem szarlotkę. Następnie poszła do kuchni, nie chcąc słyszeć wiele znaczących dźwięków: stukotu końskich kopyt, brzęku uprząży, burkliwych głosów rozlegających się co jakiś czas – zdradzały one, co dzieje się na zewnątrz. Jane Gimlett siedziała w kuchni sama, ponieważ John Gimlett poszedł szukać zaginionego jagnięcia. Demelza, by coś zrobić, zajęła się prasowaniem koronek przy koszulach Rossa. Wszystkie koszule były znoszone, wielokrotnie cerowane i już dawno powinni je wyrzucić.

Jane Gimlett trajkotała przez jakiś czas, ale kiedy spostrzegła milczenie pani, również przestała mówić. Na gorze smacznie spał Jeremy.

Do Demelzy podszedł kociak, Piórko, i otarł się o jej suknię. Ponieważ go nie odpędziła, wpęził pod suknię i chwycił Demelzę za kostkę przednimi łapkami. Po kilku minutach jego tylne nogi zaplątały się w fałdach materiału, więc zaczął się kręcić i rzucać. Demelza pochyliła się, wyplątała kociaka i postawiła na stole obok siebie. Wyprężył grzbiet, otworzył maleńki pyszczek, wydając nieme prychnięcie, po czym odskoczył w bok, jakby został zdmuchnięty przez wiatr, i omal nie spadł ze stołu. Znow go wzięła i położyła w koszyku obok starej Tabithy Bethii, która zaprotestowała przez sen krótkim miauknięciem.

Demelza obróciła kurczęta piekące się na rożnie na wypadek, gdyby Ross był głodny po powrocie, i przesunęła rondel z kartoflami na żelaznym trójnogu, by stał nad gorącymi węglami. Przyptyw zaczynał się koło północy i Demelza pomyślała, że Ross wróci do domu o tej porze lub wkrótce potem. Wyjęła polec boczku z komory do wędzenia znajdującej się w kominie paleniska, by sprawdzić, czy wystarczająco się uwędził. Później wróciła do stołu.

Nagle do kuchni wpadł zdyszany Gimlett z wiadrem w ręce. Potknął się na wycieracze, otwierając drzwi.

– Co się stało, John?! – spytała go żona. – Znalazłeś jagnię?

– Widziałem żołnierza! – odpowiedział Gimlett, z trzaskiem stawiając kubek na podłodze. – Koło przejścia w murku na końcu długiego pola! O mało na niego nie wpadłem! Myślałem, że to jeden ze szmuglerów!

Demelza odłożyła żelazny szpikulec. Miała wrażenie, że w jej serce ugodziło lodowate ostrze.



– Jesteś pewien, John? Całkowicie pewien?

– Widziałem jego mundur, pani. Miał muszkiet. Mówię do niego: „Ładna noc, synu”, a on odpowiada: „Jo”. Tylko jedno słowo: „Jo”. Od razu się domyśliłem, że to nie Kornwalijszczyk, a potem zobaczyłem muszkiet!

– Widziałeś przemytników?

– Tak, pani, jakąś godzinę temu. Widziałem dwóch ludzi, jak schodzili do zatoki.

O Boże, myśl, myśl, to może kosztować Rossa wolność, nawet życie. Wcześniej często się tego obawiała, ale wówczas Ross był tylko współnikiem. Tym razem wracał z przemytnikami z Francji. Kuchnia wydawała się Demelzie więzieniem.

– John, myślisz... myślisz, że mógłbyś wyjść niezauważony z domu i zejść do zatoki? I wrócić szybko klifem? Jane, ile mamy świec? Myślisz, że wystarczą na oświetlenie wszystkich okien?

– Chyba ze dwadzieścia, pani. Mieliśmy kupić więcej w zeszłym tygodniu...

– John, nie trać czasu. Zrób, co możesz, nawet jeśli to oznacza...

Demelza urwała.

– Niebo się rozpogadza – powiedział Gimlett. – Gwiazdy świecą jasno, ale mogą...

Spojrzał na Demelzę i również umilkł. Patrzyła obok niego, na drzwi. Stał tam kapitan McNeil, tym razem w mundurze. Z tyłu majaczyła inna postać.

– Dobry wieczór, pani Poldark. Przykro mi, że zakłócam pani spokój. Pani służący zauważył jednego z moich żołnierzy, więc muszę prosić państwa o pozostanie w domu przez najbliższą godzinę lub dwie.

Demelza wzięła jedną z koszul Rossa, po czym złożyła ją starannie, próbując zapanować nad drżeniem palców.

– Kapitan McNeil... To niespodzianka. Nie rozumiem...

– Wszystko pani wyjaśnię, jeśli zechcą mi państwo poświęcić chwilę na osobności. Czy kapitan Poldark jest w domu?

– Nie. Wyjechał...

Po twarzy McNeila przebiegł cień.

– Rozumiem. W takim razie, gdyby zechciała pani zamienić ze mną kilka słów...

– Naturalnie.

– Jedną chwileczkę. Ilu służących jest w domu?

– Dwoje. Tylko to małżeństwo.

– W takim razie proszę, by pozostali we dworze. Zaopiekuje się nimi mój żołnierz. Wilkins!

– Tak jest, panie kapitanie.

Niepewnie, czując, że serce podchodzi jej do gardła, Demelza wprowadziła

oficera do salonu.

– Proszę usiąść, kapitanie. To bardzo dziwnie, że nagle pojawia się pan przed moimi kuchennymi drzwiami niczym handlarz z tacą tombakowych pierścionków. Myślałam, że jest pan bardzo daleko stąd, w Londynie albo w Edynburgu. Powinien pan był napisać.

– Proszę o wybaczenie, pani. Nie miałem zamiaru niepokoić nikogo w tym domu, ale pani służący natknął się przypadkiem na jeden z naszych posterunków. Ja...

– Posterunków? Brzmi to bardzo groźnie. Spodziewa się pan, że w okolicy są wrogowie?

McNeil pociągnął za wielki wąs.

– Wrogowie szczególnego rodzaju. Mamy informacje, że dziś w nocy przemytnicy zamierzają wylądować w państwa zatoce. Vercoe, urzędnik celny, wielokrotnie prosił o przysłanie posiłków. Dziś w nocy jestem to ja i moi żołnierze. Właśnie dlatego chciałem porozmawiać z kapitanem Poldarkiem.

Demelza podeszła do kredensu i wyjęła karafkę. McNeil ciągle stał. W mundurze wydawał się ogromny i niezgrabny w porównaniu z jej drobną postacią.

– Wypije pan kieliszek wina? – spytała.

– Dziękuję, nie. Nie na służbie.

– Dlaczego chce pan rozmawiać z kapitanem Poldarkiem? Co my mamy z tym wspólnego?

– Ufam, że nic. Ale to państwa posiadłość. Podejrzewam, że nie jesteście tak niewinni, jak się zdaje. Gdzie jest kapitan Poldark?

Demelza pokręciła głową.

– Wyjechał. Już panu mówiłam. Jest w St Ives.

– Kiedy wróci?

– Sądzę, że jutro. Proszę usiąść, kapitanie. Kiedy pan stoi, ten pokój wydaje się dla pana za mały.

Z lekkim uśmiechem zajął miejsce w fotelu, wyjął zegarek i znów schował do kieszeni.

– To, że odwiedzam państwa służbowo, sprawia mi wielką przykrość, proszę mi wierzyć.

– A zatem to prawda, że kiedy mieszkał pan u Trevaunance'ów, był pan tak naprawdę szpiegiem?

– Nie, to nieprawda! – odpowiedział ostro. – Przyjechałem do Kornwalii na rekonwalescencję. Podczas swojego pobytu złożyłem grzecznościową wizytę urzędnikom celnym, gdyż miałem z nimi do czynienia trzy lata wcześniej. Pani Poldark, nie postępuję niehonorowo, proszę mi wierzyć!

– Czemu więc teraz pan przyjechał do Nampary?

– To inna sprawa, zupełnie inna. Przyjechałem jako żołnierz, pani. Szmuglowanie, zorganizowane szmuglowanie musi zostać zlikwidowane. Muszę wypełniać otrzymane rozkazy.

Demelza była zdziwiona, że tak mocno ukłuła go nuta pogardy w jej głosie.

– A jednak chce mnie pan więzić w moim własnym domu...

– Tylko do rana. Nie mogę pozwolić, by pani ani pani służący pobiegli na plażę i ostrzegli przemytników.

– Więc mi pan nie ufa, kapitanie?

– W tej sprawie nie mogę.

Spojrzała na niego spod rzęs.

– Prosi pan, bym wierzyła w pański honor, a pan nie wierzy w mój.

– Kiedy pani męża nie ma w domu i może brać w tym udział? – Uniósł się z miejsca i stał przez chwilę z dłońmi na oparciu fotela. – Kapitan Poldark również jest oficerem. Będzie mi przykro, jeśli okaże się, że jest zaangażowany w przemyt. Ze względu na jego dobro mam nadzieję, że tak nie jest. Ale już raz go ostrzegałem przed niebezpieczeństwami związanymi z łamaniem prawa. Jeśli teraz to zrobił, musi ponieść konsekwencje. Proszę mi wierzyć, zapłaciłbym bardzo wysoką cenę za pani sympatię. W gruncie rzeczy każdą cenę, jakiej by pani zażądała. Z wyjątkiem jednego: nie zaniedbam swoich obowiązków.

W kuchni rozległ się szorstki głos. Demelza już miała powiedzieć McNeilowi prawdę, wyjaśnić, że Rossa zmusiła do udziału w przemyśle okrutna konieczność, a później liczyć na jego zrozumienie i dobrą wolę. Na szczęście w porę się powstrzymała. Widziała McNeila tylko kilka razy, ale zaczynała rozumieć jego charakter. Wyjaśniając swoją obecność w Namparze, ujawnił zasady, jakimi się kieruje, i ograniczenia, które go wiążą. Dobroduszny, przebiegły, wrażliwy na kobiece wdzięki, a jednak spełniał swoje obowiązki z determinacją, która nie poddawała się słabości. Współczucie nie skłoniłoby go do niewykonania rozkazu, podobnie jak pieniądze albo miłość fizyczna.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Proszę tu zostać. Żałuję, że nie mogę wziąć ze sobą Wilkinsa, lecz musi pani towarzyszyć, ponieważ popełnił błąd, który uprzedził was o naszej obecności. Nie powinno to trwać wiele godzin.

– A kiedy schwyta pan przemytników i zamknie ich w więzieniu, będę mogła iść spać i zapomnieć o panu?

McNeil zaczerwienił się i skłonił.

– Tak, pani Poldark. Jeśli ktoś związany z tym domem zostanie aresztowany, będę nad tym głęboko ubolewał, podobnie jak pani. Wierzę, że uczestniczę w takiej misji po raz ostatni. Teraz czekają nas ważniejsze zadania.

– Co pan ma na myśli?

– Walkę z armią innego kraju, pani. Kraju, który wyznaje inne idee. Wczoraj

Francja wypowiedziała Anglii wojnę. Gdyby to się zdarzyło kilka tygodni wcześniej, nie spotkalibyśmy się w tak nieszczęśliwych okolicznościach.

Dwight wyszedł z chaty Kempthorne'a, zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. Panował mrok, lecz była to ciemność mroźnej nocy, inna niż wewnętrzny mrok, który o mało go nie pochłonął. Był posiniaczony i obolały, drżał, ale nie bał się, że zemdleje. Świeże powietrze działało orzeźwiająco. Stał i próbował myśleć, czując chłodne podmuchy przenikające przez przepocone ubranie. Podmuchy mroźne, lecz ożywcze.

Idź po konia, weź wodze, z trudem wdrap się na siodło. Już po jedenastej. Caroline na pewno czeka. Bona wszystko jej wytłumaczył. (Ale nie mógł wyjaśnić tego, czego nie wiedział). Dotrzesz do Killewarren za dziesięć minut – co najwyżej kwadrans. Za pół godziny.

Była to jednak tylko hipoteza, której nie mógł zweryfikować. Do północy brakowało jeszcze przeszło pół godziny. Nawet dla Caroline...

Pociągnął za wodze i zawrócił konia. Zwierzę, nieprzyzwyczajone do wspinania się stromą, kamienistą ścieżką, potknęło się, krzesząc iskry na luźnym kamieniu. Dobrze było oddalić się od tej chaty, zagłębić w chłodną ciemność. Spoglądały za nim dwie płaczące dziewczynki. Kiedyś był ich przyjacielem. Przerazone, wrogie oczy. Charlie leżący na podłodze chaty. Wychodząc, Dwight słyszał kroki córek Kempthorne'a. Po zamknięciu drzwi zjedną na dół i popatrzą na ojca. Lottie zmoczy ściereczkę i spróbuje przywrócić go do przytomności, w końcu niewątpliwie jej się uda. Ale jaka przyszłość go czeka? Jaka przyszłość czeka jego córki?

Na szczycie wzgórza skręcił, oddalając się na pewien czas od Killewarren – od Bath, ucieczki, miłości i nowego życia. Bolał go lewy bark, choć kości były całe. Na gorsie koszuli krzepła krew z zadrapań na szyi.

Gdyby miał więcej czasu, mógłby pojechać do Hoblyna. Jacka szybko poradziłby sobie z taką sytuacją, mógłby popłynąć łodzią, by ostrzec załogę kutra. Ale nie zdąży tego zrobić. Nawet teraz mogło być już za późno.

Dwa światła w wiosce Grambler, lecz ten sam problem – nie zdąży nikogo obudzić. Cała odpowiedzialność spoczywa na jego barkach.

Oficer widziany w Truro, dwóch jeźdźców, którzy w milczeniu zjechali z drogi, by go przepuścić. Nie była to zwykła zasadzka, wyczytał to w oczach Charliego, tylko wielka zdrada. Może Charlie postanowił zakończyć niebezpieczną grę po zawarciu małżeństwa? Więzienie lub deportacja kilkunastu ludzi, a nawet szubienica, gdyby stawiali opór; więzienie i ruina Rossa.

Noc była na tyle ciemna, że szybka jazda stała się niebezpieczna. Dotarłszy do ruin Wheal Maiden, młody lekarz zsiadł z konia i przywiązał go do rozpadającego się muru. Później ruszył w dół doliny Nampary, szybko, lecz starając się iść jak najciszej.

Przez całą drogę nikogo nie zauważył. W kopalni płonęły dwa światła. Ziemia była sucha i stwardniała od mrozu, toteż nie dawało się powiedzieć, ilu ludzi przeszło wcześniej tą drogą. Światło w oknie salonu w Namparze. Niewątpliwie w tej chwili Demelza wie, że tej nocy może się spodziewać powrotu Rossa.

Cisza panująca w dolinie lub późne światło wzbudziły podejrzenia Dwighta. Podszedł do frontowych drzwi dworu i uniósł rękę, by zapukać, po czym opuścił ją, okrążył wielki krzak bzu i podkraść się po rabacie do oświetlonego okna. Zajrzał do środka. Na stole leżało szare czako.

Dziwna scena, prawie jak żywy obraz. Przy drzwiach wielki żołnierz w czerwonej kurtce mundurowej i spodniach ze złotymi lampasami, nieruchomy, patrzący szklanym wzrokiem; John i Jane Gimlettowie siedzący na brzegach foteli, napięci, pełni skrępowania. Demelza obok kominka. Tej nocy piękno jej twarzy zwracało mniejszą uwagę, widać było mocne kości policzkowe. Normalnie nie dawało się ich zauważyć. Dwight miał wrażenie, że stała się kimś pośrednim między kobietą a mężczyzną. Kostki jej palców były zbielełe.

Dwightowi wydało się, że słyszy za plecami jakiś ruch. Gwałtownie się wyprostował, lecz był to tylko lekki powiew wiatru.

Zatem musi zrobić wszystko sam. Okrążył dom. W oknie kuchni płonęło światło. Przeszedł przez brukowany dziedziniec między kamiennymi zabudowaniami gospodarczymi. W jednym z pokoi zasłony nie były zaciągnięte. Dotknął klamki i drzwi się otworzyły. Ciepło i zapachy kuchenne. Rożen leżący na stole i mały kot śpiący przed dogasającym paleniskiem. Kociak, który leżał prawie wśród węgla, miauknął i przeciągnął się na widok Dwighta. Na końcu pomieszczenia płonęła świeca.

Tuż przy drzwiach znalazł to, czego potrzebował – niewielką latarnię używaną na wolnym powietrzu. Kiedy ją wziął, rozległo się szczekanie Garricka. W pośpiechu mocował się z osłonką, która się zaklinowała. Nie mógł otworzyć latarni na dworze, bo tam musiałyby krzesać ogień, co byłoby zbyt niebezpieczne. Gdy naciskał zatrzask, miał wrażenie, że słyszy ruchy w salonie. Schował się szybko za drzwiami, lecz nie rozległy się kroki. Garrick przestał szczekać. Zapadła cisza, zatrzask wreszcie ustąpił i Dwight otworzył latarnię. Weź ogarek świecy i zapal latarnię. Na podstawce na palenisku stał garnek z kilkoma ugotowanymi kartoflami. Kot leżał na grzbiecie obok buta Dwighta, czekając na pogłaskanie. Dwight zamknął latarnię i wyslizgnął się z domu. Szczęknięły zamykane drzwi.

Ruszył śpiesznie przez dziedziniec, po czym przeszedł przez murek na tyłach dworu. Garrick znów ujadął. Zasłoniwszy latarnię peleryną, Dwight pobiegł w stronę długiego pola na przylądku oddzielającym plażę Hendrawna od zatoki Nampara. Długie pole sięgało aż do klifu, gdzie zaczynały się skały, kolcolisty i paprocie. Dwight gramolił się po świeżo zaoranej ziemi i w końcu stanął na

wzniesieniu, skąd po obu stronach widział ocean. Tej nocy do plaży docierały niewielkie fale, ich cichy szum przypominał szept. Widać było stąd ujście zatoki Nampara, lukę w klifach ciągnących się w stronę Sawle.

Przeszedł kilka kroków, gdy wtem ujrzał mężczyznę opartego o głaz – sylwetka rysowała się na tle nisko świecących gwiazd. Latarnia Dwighta nie mogła być całkowicie zasłonięta; ocaliło go to, że mężczyzna patrzył na ocean. Dwight wycofał się powoli i schował za dużym kamieniem. Wysilek lub napięcie sprawiły, że znowu zaczął się pocić, ale teraz było to pożądane, bo czuł, że dzięki temu jest mu cieplej. Skulony obszedł strażnika w bezpiecznej odległości, po czym ruszył północnym skrajem Damsel Point, aż znalazł się na skraju klifu. Postawił latarnię za niskim kamiennym murkiem i popatrzył na ciemną zatokę.

Na początku niczego nie dostrzegł, aż nagle zrozumiał, że przy wejściu do zatoki znajduje się statek. Dziwny, niski i czarny, przypominający kamień wystający z wody. Wyteżając wzrok, Dwight zauważył maszt i błysk latarni na pokładzie, trwający zaledwie sekundę.

Żadnych świateł na brzegu. Środek zatoki, do której strumień Mellingley wpadał do morza wśród piasku i kamieni, był pusty. W ciemnych zakamarkach mogli czekać ludzie i zwierzęta, ale na razie nie było to pewne – pod mroźnym niebem nic się nie poruszało.

Wyjął zegarek i spojrzał na niego jak ślepiec. Ukląkł przy latarni, by zobaczyć cyferblat. Dziesięć po dwunastej. Wyładunek jeszcze się nie zaczął.

Odwrócił się w rozpaczliwym pośpiechu i popatrzył na ład za sobą. Druga strona murku była miejscem równie dobrym jak każde inne.

Wyjął składany nóż, wysunął ostrze i cofnął się kilka metrów do najbliższego krzewu kolcolistu. To straszliwie kolczasta roślina, lecz łatwo się łamie pod naciskiem buta albo gdy mocno szarpnąć łodygę. Częściowo nożem, a częściowo rękami wyrwał z ziemi duży krzak i przerzucił przez murek. Potem następny. Nie miał czasu na zgromadzenie dużego zapasu. Będzie musiał zrywać kolejne krzaki, by podsycać płonące ognisko.

Przygotował kilkanaście suchych i łatwopalnych krzaków. Całkiem duży stos na początek. Rezygnując z zachowania tajemnicy, odsłonił latarnię i przeszedł przez murek. Wyjął świecę, starannie osłaniając ją przed podmuchami wiatru, i zbliżył do dolnej części stosu.

Przez pewien czas myślał, że płomień zgaśnie, lecz później ogień zaczął się błyskawicznie rozprzestrzeniać wśród gałęzi i objął cały stos. Ku niebu buchnęły płomienie.

## *Rozdział dwunasty*

Ross nie mógł się doczekać powrotu do domu. Opuściło go podniecenie, które odczuwał w czasie rejsu na wyspę St Mary's, i kiedy ujrzał wybrzeże Kornwalii, chciał natychmiast zejść na ląd, zamiast krążyć przez dwanaście godzin tuż za widnokretem.

Kiedy wróci do Nampary, nie będzie miał nic użytecznego do roboty ani żadnych dobrych wiadomości do przekazania. Jego nadzieje się rozwiały i w duszy pojawiła się pustka. Pragnął tylko wrócić do domu, na zawsze zrezygnować z górnictwa i zapomnieć o pieniądzach wyrzuconych w błoto.

Po raz pierwszy w życiu czuł się stary. W ciągu ostatnich lat często doświadczał klęsk, lecz zawsze tkwiło w nim zasadnicze przekonanie, że to tylko tymczasowe przeciwności losu, upadek, po którym musi nastąpić wzlot. Jednym ze źródeł tego przekonania była świadomość własnej młodości i energii. Spotkanie z Markiem Danielem podważyło tę wiarę.

Zdał sobie sprawę, że przypadkowa uwaga tego człowieka wypowiedziana cztery lata wcześniej skłoniła go do uwierzenia w górniczą fantasmagorię. Podkopało to jego wiarę w siebie i własny rozsądek. Gorzko wyrzucał sobie nadmierny optymizm, entuzjazm, który okazał się absurdalny. Pozbył się dochodowych udziałów w kopalni, którą sam stworzył, i zainwestował wszystkie pieniądze w wyeksploatowane wyrobiska, gdzie ćwierć wieku temu poniósł fiasko jego ojciec. Namówił Francisa, by zrobił to samo. Postawił na jedną kartę nie tylko pieniądze, lecz również bezpieczeństwo i szczęście żony i dziecka.

Wygląd Marka wytrącił go z równowagi. W dawnych czasach łączyły ich silne więzy: bawili się razem jako chłopcy, łowili ryby i uprawiali zapasy. Ten starzejący się mężczyzna, posiwiał, wpatrujący się zmrużonymi oczyma w plan kopalni... Czy on sam, Ross, nie uległ wpływowi czasu? Jak to sobie wyobraża? Czy oszukuje samego siebie, wierząc, że ciągle jest młody? Ile razy jeszcze będzie się karmił złudzeniami?

Nie był w zbyt towarzyskim nastroju i po kilku próbach Farrell oraz reszta załogi zrezygnowali z zamiaru nawiązania z nim rozmowy. Po zachodzie słońca kuter powoli popłynął w stronę brzegu i o jedenastej trzydzieści rzucił kotwicę w odległości niespełna kabla od wejścia do zatoki Nampara. Opuszczono na wodę płaskodenną szalupę i Farrell chętnie przystał na propozycję Rossa, że powinien zejść na ląd z pierwszą partią ładunku. Ale Farrell nie rozpoczynał rozładunku towarów, gdyż czekał na sygnał z lądu.

Sygnał pojawił się za dziesięć dwunasta. Na brzegu zapalono na pół minuty latarnię, która świeciła tylko w stronę morza. Farrell wydał rozkazy i baryłki opuszczono do szalupy.

W czasie powrotnego rejsu do Anglii Ross przyjrzał się ładunkowi. Był różnorodny, lecz niezwykle cenny. Nic dziwnego, że Trencrom nie potrzebował pływać do Francji po towary więcej niż kilka razy do roku. Herbata, tytoń, pięciogalonowe baryłki brandy i holenderskiego ginu, duża ilość cennych tkanin, złoty i srebrny brokat, jedwabne rękawiczki, wstążki, podwiązki.

Największą partię ładunku stanowiły trunki i wyładowano je na początku. Była to przede wszystkim czysta brandy wraz ze specjalnym barwnikiem w osobnej baryłce. Alkohol miał moc ponad sześćdziesięciu procent. W swoim czasie Trencrom sam rozcieńczał brandy przed sprzedażą: z każdej baryłki wyładowanej na brzeg otrzymywał trzy. Płacił we Francji cztery szylingi za galon, a w Anglii cena po opłaceniu cła wynosiła dwadzieścia osiem szylingów. Nawet gdyby sprzedawał towar zaledwie za pół ceny, osiągałby krociowe zyski, bo w czasie jednego rejsu kuter przewoził około czterystu baryłek brandy. Ross uznał, że w tej sytuacji nie powinien mieć żadnych skrupułów, pobierając opłatę za wykorzystywanie swojej posiadłości.

Statek był tak wyładowany, że burta znajdowała się tylko kilka centymetrów nad wodą. Ross stanął na dziobie szalupy, gdy sześciu wioślarzy zaczęło cicho podążać w stronę lądu.

Przez chwilę słychać było tylko plusk wiosł i fal uderzających o boki szalupy. Znaleźli się w zatoce, poza olbrzymią pustką Atlantyku. W pobliżu słychać było szept przyboju, niewinny, a zarazem syczący jadownicę jak wąż. Przy brzegu gwiazdy nie były tak jasne jak na morzu; wiał lekki wiatr, lecz niebo było bezchmurne. Szalupa osiadła na piasku, niesiona przez falę, i dwóch ludzi wyskoczyło na brzeg, by morze nie wciągnęło łódki. Z mroku natychmiast wybiegło czterech mężczyzn. Dwóch zajęło się mocowaniem szalupy, a dwóch weszło do morza, by rozpocząć rozładunek.

Ross stanął na mokrym piasku, jego buty otoczyła woda. Poznał Teda Carkeeka i Neda Bottrella, a po chwili z ciemności wynurzył się Paul Daniel.

- Wszystko w porządku, sir? Znalazł pan brata?
- Tak, znalazłem...
- Dobrze się czuje? Przesłał jakąś wiadomość?
- Są wiadomości dla ciebie, Beth i twojego ojca. Jutro do was przyjdę.
- Pomógł? Gdzie jest złoże?
- Porozmawiamy o tym jutro, Paul.

Za ich plecami prawie nikt nie mówił, po prostu szybko wyładowywano pierwsze baryłki. Często odbywało się to inaczej: ludzie musieli walczyć z falami i holować beczki do brzegu. Ross ruszył naprzód. Zbliżył się do niego Will Nanfan, prowadząc muła. Ross, wiedząc, że będzie musiał odpowiadać ciągle na te same pytania, postanowił się usprawiedliwić i szybko iść do przodu, ale do tego nie doszło. Z tyłu rozległ się okrzyk jednego z mężczyzn. Ross zauważył, że ktoś unosi



głowę. Na plaży pojawił się odblask światła. Na Damsel Point płonęło ognisko, w niebo buchały płomienie i kłęby dymu.

Wydarzenia potoczyły się szybciej, niż można było sobie wyobrazić. Mężczyźni otaczający Rossa przeklinali półgłosem, ktoś nieznajomy krzyknął, po czym rozległ się przenikliwy dźwięk gwizdka. Nagle okazało się, że do zatoki schodzą nowi ludzie, ich latarnie nie były zasłonięte.

Zasadzka... celnicy... od dawna można się było spodziewać... ale że tej nocy... Ross popatrzył za siebie, przy szalupie panowało zamieszanie. Pobiegł do łodzi.

– Szybko! Odbijajcie! Wyrzućcie baryłki za burtę! – Chwycił burtę szalupy, dołączyło do niego dwóch lub trzech mężczyzn. Dno łodzi szorowało po piasku. Dwóch ludzi wyciągało baryłki. Nadbiegali nieznajomi mężczyźni w płaskich czapkach, inni w wysokich. Nanfan uciekł ze swoim mułem. Nadeszła fala, która zawirowała przemytnikom wokół kolan i poniosła szalupę w stronę brzegu.

– Trzymajcie ją! Pchajcie! Mocno!

Jeden z mężczyzn stracił równowagę i przewrócił się w wodzie, ale przyłączyli się dwaj następni. Utrzymali się na nogach, a kiedy fala się cofnęła, łódź popłynęła razem z nią. Wskoczył do niej jeden z mężczyzn, później następny. Ross wszedł do wody prawie po pas. Ludzie natarli na wiosła, by wyrównać kurs. Mężczyzna, który stał na dziobie, wyciągnął rękę do Rossa. Ten z początku chciał skoczyć, lecz nagle się rozmyślił. Gdyby znalazł się na pokładzie kutra, mógł go czekać tydzień pływania po morzu. Postanowił zaryzykować.

Odwrócił się i zobaczył na brzegu tłum ludzi. Na ścieżce widać było stłoczone muły. Panowało zamieszanie, mężczyźni walczyli, okładając się pałkami. Kiedy wychodził z wody, usłyszał okrzyk wysokiego mężczyzny w czaku:

– Stój! W imieniu króla!

Ross skręcił w bok.

– Stój, bo będę strzelał!

Odwrócił się i skulił. Rozległ się ogłuszający huk wystrzału, lecz Ross przewrócił żołnierza do wody.

Nie mógł nic zrobić. Kolejny strzał. Jeszcze jeden. Pobiegł w stronę jaskini, w której przechowywał łódź. Łatwo było się tam wspiąć. Ktoś rzucił się na niego w ciemności i tym razem Ross odskoczył zbyt późno. Przewrócił się, a napastnik przygniótł go do ziemi.

– Mam cię teraz! Leż spokojnie, sukinsynu, bo inaczej... Jeden do mnie, Bell!

Brodąta twarz, Vercoe. Ross gwałtownie zgiął się w pół. Vercoe przewrócił się, ciągle go trzymając. Potoczyli się po piasku, Vercoe znalazł się na dole. Tupot biegnących stóp. Dwukrotnie uderzył celnika, wyślizgnął się i przetoczył na bok, słysząc zbliżające się kroki.

– To ja, ty kretynie! Tam! Przed chwilą uciekł! – wrzasnął Vercoe.

U podnóża klifu Ross się odwrócił, gdy zaatakował go kolejny napastnik – celnik uzbrojony w twardą drewnianą pałkę. Zaczęli się szarpać. Pałka upadła z trzaskiem na kamienie. Szczęśliwy rzut przez bark. Celnik runął na ziemię, blokując drogę Jimowi Vercoe.

Wspinając się po kamieniach, Ross słyszał, że celnicy podążają za nim. W zatoce toczyła się regularna bitwa. Tańczyły światła latarni. Ognisko z kolcolistu przygasło, bo nikt go nie podsycił. Ross w dzieciństwie doskonale poznał to miejsce i zdołał się oderwać od celników, gdy wtem w skałę tuż obok uderzyła kula wystrzelona z muszkietu. Ktoś na klifie starannie celował. Ross dotarł na szczyt, dysząc ciężko; poczołgał się wśród kolcolistu i ruszył na ukos do pierwszego kamiennego murku na terenie swojej posiadłości. Possał zakrwawione kostki i splunął. Dwaj celnicy wdrapali się na klif. Stanowili znakomity cel dla kogoś uzbrojonego w muszkiet. Żołnierz musiał dojść do tego samego wniosku, bo dwaj mężczyźni nagle się zatrzymali i Vercoe krzyknął coś rozkazującym tonem. Ross zyskał w ten sposób czas, by przeskoczyć przez murek. Później pobiegł skulony po jego drugiej stronie.

Demelza usłyszała pierwszy daleki huk wystrzału i nie mogła dłużej wytrzymać. Wstała i ruszyła w stronę drzwi, nim żołnierz zdążył się poruszyć.

– Nie wolno, pani! Żadnego wychodzenia! Słyszała pani, co powiedział kapitan.

– Mam na górze małego synka! Będzie się bał. Muszę znieść go na dół.

– Nie, pani. Kapitan McNeil powiedział, że musi pani zostać w tym pokoju.

– Proszę mnie przepuścić! – rzuciła z wściekłością.

– Niech się pani uspokoi. Mam rozkaz i...

– Nie uspokoję się! Chcesz wojować z małym dzieckiem?! Zejdź mi z drogi! Żołnierz zawahał się, zerknął na Gimlettów.

– W domu jest dziecko?

– Oczywiście, że tak! – rzucił ostro John Gimlett.

Żołnierz odwrócił się w stronę młodej kobiety, która stała przed nim ze ściągniętą twarzą.

– Nic nie słyszę. W którym pokoju?

– Na szczycie schodów!

Potarł palcem podbródek i powoli się cofnął.

– Będę na panią uważał. Tylko żadnych sztuczek, pani.

Wyszedł za Demelzą do sieni i stanął w drzwiach, skąd mógł widzieć salon, a także szczyt schodów. Demelza popędziła na górę do sypialni. Jeremy spokojnie spał, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństw grożących rodzicom.

W pokoju znajdowały się lukarny wychodzące zarówno na północ, jak i na południe. Demelza podbiegła do pierwszej i wyjrzała. Z początku noc wydawała

się spokojna i cicha, lecz po chwili zauważyła błysk ogniska na Damsel Point. Otworzyła okiennicę. Dach opadał pod ostrym kątem do niedawno zamocowanej rynny, ale na końcu, nad kuchnią, dochodził do skraju strzechy wozowni.

Przecisnęła się przez niewielkie okno i wyszła na dach. Później popęzła jak kotka w dół i ześlizgnęła się na strzechę. Dotarła do najniższego miejsca, które znajdowało się niewiele ponad półtora metra nad ziemią, i skoczyła.

Wylądowała na czworakach, rozdzierając spódnicę i ocierając nadgarstek oraz kolano. Natychmiast wstała i pobiegła w stronę długiego pola.

Bez tchu dotarła do murku z kamieni i nagle zauważyła, że ktoś przez niego przechodzi. Bez trudu rozpoznała barki Rossa i jego pociągłą twarz. Spoglądali na siebie w ciemności.

– Demelza!

– Ross! Myślałam, że nie żyjesz! Bogu dzięki, że nic ci nie jest! Myślałam...

– Muszę się ukryć – przerwał. – Gonią mnie celnicy. Którędy najlepiej dostać się do domu?

– Nie możesz tam iść. W domu jest żołnierz. Powiedziałam, że pojechałeś do St Ives. Jesteś ranny?

– To nic. – W trakcie rozmowy szli szybko drogą, którą przybiegła Demelza, Ross z tyłu na wypadek strzału. – Chyba mnie rozpoznano. Nie jestem pewien. Czy górna część doliny jest strzeżona?

– Nie wiem. Szaleję z niepokoju. Mógłbyś iść w stronę Mellin.

– Wyślą tam kogoś. – Zatrzymał się przy wejściu na dziedziniec i nasłuchiwał. Dziedziniec był cichy. Słyszeli tylko Garricka, który drapał pazurami w drzwi stajni, chcąc powitać Rossa i Demelzę. – Zbliżają się, są teraz na polu. Jesteś bezpieczna? Nie zrobili ci krzywdy?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale ty...

– Więc wejdź do domu. Ja schowam się w skrytce w bibliotece. Będę tam bezpieczny.

– Nie możesz wejść...

– Mogę, z boku. Mam klucz.

– Ale czy to bezpieczne?

– Muszę zaryzykować.

Po chwili zniknął w ciemności. Usłyszała tupot biegnących stóp i śpiesznie weszła do domu. Przeszła przez mroczną kuchnię i dotarła do sieni. Zaskoczony i rozgniewany żołnierz wycelował w nią muszkiet.

– Gdzie pani była? Jak pani zeszła?

Odetchnęła głęboko.

– Tylnymi schodami.

– Jakimi tylnymi schodami? – spytał. – Nic pani o nich nie wspomniała!

Dlaczego...

– Cóż, wróciłam. Czy to ci nie wystarcza?

Żołnierz usłyszał tupot nóg na brukowanym dziedzińcu i uniósł muszkiet. Nadbiegli Vercoe i jego pomocnik Bell.

– Opuść muszkiet, człowieku! – ryknął Vercoe. Kipiał z wściekłości. – Jeden z twoich kolegów już do nas strzelał! – Odwrócił się w stronę Demelzy. – Gdzie jest kapitan Poldark, pani?

– Chyba w St Ives.

– Myli się pani! Zaledwie dziesięć minut temu szarpałem się z nim na plaży! Przyszedł tutaj, żołnierzu?

– Nie. Nikt tu nie przyszedł oprócz panów.

– Ostatnio widzieliśmy, jak biegł w tę stronę. Musi być gdzieś koło domu, nie ma wątpliwości!

– Nie macie prawa tu przychodzić! – zaprotestowała Demelza. Czowała, że gniew przynosi jej ulgę. – Kto wam pozwolił wchodzić na teren naszej posiadłości? Mój mąż się o tym dowie! Jeśli...

– Na pewno się dowie! I mam nadzieję, że niedługo...

– Skąd pan wie, że to był on? Na dworze jest ciemno! Rozmawiał pan z nim? Oczywiście, że nie! Mówię panu, że wyjechał i...

– Proszę posłuchać, pani – przerwał Vercoe, usiłując zapanować nad gniewem. – Widziałem na brzegu kapitana Poldarka albo jego brata bliźniaka. Bardzo mi przykro, ale nie wydaje mi się prawdopodobne, by kapitan Poldark miał brata... Co to za krew na pani sukni?

– Krew? – odpowiedziała i zauważyła plamę. Poczowała ściskanie w żołądku. Więc Ross był ranny. – To z mojego nadgarstka. Przed chwilą zadrapałam się o ścianę. Proszę...

Vercoe niecierpliwie skinął.

– Pozwoli nam pani przeszukać dom?

– Jeśli tego nie zrobię, i tak go przeszukacie.

– Cóż, może. Musimy postępować zgodnie z prawem. Czy zechciałaby pani wejść ze służącymi do salonu?

– Nie, w żadnym razie! Możecie się wdrzeć do mojego domu, ale nie będziecie mi rozkazywać. Pójdę z wami!

Zanim Vercoe zdążył się sprzeciwić, w kuchni rozległ się tupot kroków i pojawił się jeszcze jeden żołnierz. Częściowo ciągnął, a częściowo prowadził Dwighta Enysa z zakrwawioną szmatą na głowie. Żołnierz zaskoczył go w trakcie podsycania ogniska i ogłuszył.

Gwałtowna walka tocząca się w ciemności w zatoce dobiegła końca. Schwytano sześciu przemytników, w tym dwóch rannych, a jeden został zabity. Jeden żołnierz i jeden celnik odnieśli rany. Ale szybki alarm pozwolił reszcie uciec. Co gorsza, kuter zdołał podnieść kotwicę i umknąć, nim zatrzymał go kuter straży

celnej, który szybko nadpłynął z północnego wschodu. Z obu stron padły strzały, ale One and All, zbudowany w Mevagissey specjalnie z myślą o przemyście, górował szybkością nad kutrem celników.

Zabitym przemytnikiem był Ted Carkeek. Pozostawił dwudziestojednoletnią żonę i dwoje małych dzieci. Kapitan McNeil odniósł ranę. Został trafiony kulą w bark. Gdyby pocisk ugodził kilka centymetrów niżej, oficer również by zginął.

Kapitan dotarł do dworu w Namparze prawie jako ostatni. Zgodnie z rozkazem jego żołnierze mieli tam przyprowadzić więźniów. Wszedł do salonu, przyciskając do ramienia prymitywny opatrunek. Salon zmienił się w prowizoryczny lazaret, a Dwight, blady jak kreda od upływu krwi, usiłował pomóc ludziom, którzy byli w gorszym stanie niż on. McNeil rozejrzał się i zamienił kilka słów z kapralem, a tymczasem po schodach zeszli Vercoe, Bell i Demelza.

– No i co?

Vercoe pokręcił głową.

– Nic, panie kapitanie. Kapitana Poldarka nie ma w domu, choć przysięgam, że był na plaży!

– Zostawiłem tam trzech żołnierzy, może go przyprowadzą. Sprawdzał pan piwnice?

– Tak, są puste.

– Żadnej kontrabandy?

– Żadnej.

McNeil zauważył gniewny błysk w oczach Demelzy.

– Ross jest w St Ives – powiedziała. – Mówiłam tym ludziom. I mówię panu.

– Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pani uwierzyć.

– Jest pan ranny – rzekła. – Pański mundur... cały we krwi... Przyprowadzę doktora Enysa.

– Kiedy skończę wykonywać swoje obowiązki. – Zwrócił się do Jima Vercoe: – Musimy przeszukać okoliczne chaty. Zrewidował pan zabudowania tego dworu, stajnie, bibliotekę?

– Stajnie, ale nie bibliotekę. Była zamknięta. Czekałem na pańskie przybycie.

– A zatem chodźmy.

Demelza miała wrażenie, że tym razem jej twarz wszystko zdradza.

– Do biblioteki? – odezwała się, gdy spojrzeli na nią. – Ja... Mam gdzieś klucz... ale pańska rana, kapitanie.

– Wytrzymam jeszcze trochę. Nie po raz pierwszy straciłem trochę krwi.

Vercoe, McNeil i Bell z latarnią weszli do dawnej sypialni Joshui. Demelza otworzyła drżącymi dłońmi drzwi biblioteki i wprowadziła ich do środka. Ich oczom ukazało się długie, zaniedbane pomieszczenie, które nigdy nie było

używane zgodnie z przeznaczeniem. Znajdowały się w nim niezliczone próbki skał z kopalni, skrzynie pełne rupieci, dwa biurka i żelazny sejf. Kiedy Demelza zobaczyła bibliotekę w świetle latarni, natychmiast zrozumiała, że Ross wrócił, jak powiedział. Żelazne kufry zwykle stojące nad klapą w podłodze zostały przesunięte.

Oparła się o drzwi, nie ufając własnym nogom, a mężczyźni przeszukiwali pomieszczenie. Vercoe niósł muszkiet należący do jednego z żołnierzy. Wyglądał jak myśliwy tropiący zwierzynę. A zwierzyna skryła się pod ziemią.

Najpierw otworzyli biurka i kufry, szukając towarów. Demelza podążyła za nimi i obserwowała ich ze środka pokoju. Nagle zauważyła w pobliżu plamkę krwi. Była mała, prawie zaschnięta. Demelza przesunęła się, przydeptała ją i wtarła w deski.

Ale domyśliła się, że to na nic. Coś w słowach Jima Vercoe lub w jego głosie przestrzegło ją, że nie będzie to pobieżne przeszukanie. Zaczęli oglądać podłogę.

Szpieg wykonał swoje zadanie.

Doszli do żelaznych kufrów i Vercoe zauważył szpary w podłodze. Ukłękł przy nich i skinął na Bella, by przyniósł latarnię.

– Chcę, żeby panowie... – zaczęła Demelza.

Malcolm McNeil wyprostował się i popatrzył na młodą kobietę, która stanęła za jego plecami.

– Myślę, że powinna pani zostawić nas samych – powiedział.

Demelza pokręciła głową, nie ufając własnemu głosowi. Spoglądał na nią jeszcze przez chwilę, po czym skinął dłonią w stronę dwóch celników, by włamali się do skrytki.

Vercoe znalazł łopatę i wbił ostrze w szparę między deskami. Uniosły się, skrzypiąc, bo podważał je z niewłaściwej strony. Po kilkudziesięciu sekundach chwycił deski rękami, a Bell postawił latarnię na podłodze i ukłękł, by mu pomóc. Unieśli klapę i zobaczyli skrytkę. McNeil zrobił krok do przodu.

Demelza nie widziała wnętrza schowka z miejsca, gdzie stała. Dzwoniło jej w uszach, czuła mdłości i miała wrażenie, że zemdleje. Prostokąty ścian i dachu zmieniały kształty, przybierając niepewne, płynne formy. Trzej mężczyźni stali wokół wejścia do skrytki jak szakale nad pokonanym zwierzęciem, jak ogary w czasie polowania. Przez kilka sekund oni również chwiali się przed oczyma Demelzy, mieli zniekształcone postacie. Później z wielkim wysiłkiem wyciągnęła rękę i oparła się o fotel.

Nie wiedziała, kto pierwszy przemówi: Ross czy jeden z przedstawicieli władz. W końcu McNeil mruknął: „No cóż...”, i skinął ręką w stronę Jima Vercoe, który wydał z siebie pomruk.

Zapadło milczenie. Nikt się nie poruszał. W końcu Demelza z wysiłkiem podeszła do otworu w podłodze. Skrytka była pusta.



## *Rozdział trzynasty*

Nazajutrz o trzeciej po południu, uzyskawszy wolność za kaucją w wysokości dwudziestu funtów, Dwight stanął przed drzwiami dworu w Killewarren. Wcześniej musiał się posługiwać podstępami, lecz należało to już do przeszłości.

Przez pewien czas nikt nie odpowiadał na dzwonki ani pukanie, ale w końcu drzwi otworzył służący Thomas, który wcześniej często widywał Dwighta. Uniósł brwi na widok zabandażowanej głowy i posiniaczonej twarzy młodego lekarza.

– Chciałbym się zobaczyć z panną Caroline Penvenen.

– Wyjechała, panie. Dziś rano wraz ze stryjem.

– Wyjechała?

– Udali się do Londynu. Dom jest zamknięty, panie. Zostało tylko kilku służących. Nie wiem, kiedy państwo wrócą. Może za miesiąc.

Dwight nie mógł znaleźć słów.

– O której godzinie wyjechali?

– Tuż po dziesiątej. Oboje bardzo się śpieszyli, więc postanowili zjeść obiad w drodze.

– Zostawili jakąś wiadomość? Wiesz coś o tym? Spodziewam się jej.

Służący popatrzył na Dwighta z powątpiewaniem.

– Nic o tym nie wiem, ale spytam gospodynię, jeśli zechce pan wejść do środka.

– Zaczekam tutaj.

Thomas zniknął na kilka minut, po czym wrócił z zapieczętowanym listem.

– Panna Penvenen zostawiła list u gospodyni. Nie ma adresu. Tylko nazwisko: „Doktor Enys”. Chyba wiedziała, że pan przyjedzie.

Dwight odszedł od drzwi, stanął przy koniu i złamał pieczęć, ignorując słowa służącego.

List nosił datę: „Sobota, trzeci lutego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, dziewiąta rano”.

*Drogi Dwighcie!*

*Za godzinę wyjeżdżam ze stryjem do Londynu, co nie powinno Cię dziwić po fiasku zeszłego wieczoru. Czy muszę to opisywać? Twój służący na pewno wszystko Ci zrelacjonował.*

*Czekałam. O tak, czekałam jak posłuszna narzeczona. Na pewno będziesz zadowolony, gdy się dowiesz, że czekałam prawie dwie godziny, a tymczasem mój*



*woźnica i pokojówka nudzili się jak mopsy – i niewątpliwie chichotali, zasłaniając usta dłońmi. Twój służący przedstawił tyle usprawiedliwień, że byłam zdumiona jego inwencją.*

*Ale na początku powiedział wszystko, co powinnam wiedzieć.*

*Tak będzie najlepiej, Dwight. Na pewno znacznie lepiej, że stanie się to teraz, a nie później. Od przeszło miesiąca wiem o Twoich rozterkach. Odkąd postanowiliśmy uciec, obserwowałam toczące się zmagania, walkę między Twoim zauroczeniem mną i Twoją prawdziwą miłością do pracy w Sawle i wiosce Grambler. Cóż, Twoja prawdziwa miłość zwyciężyła. Odniosła wspaniały triumf w dniu, gdy mogłam się spodziewać, że zdobędę Twoje serce. Tymczasem poniosłam całkowitą klęskę.*

*Nie musisz się już o nic martwić: rezygnujesz tylko ze mnie. Może to najlepsze rozwiązanie. Tak mało się znamy. Może dowiedzielibyśmy się więcej w Bath, ale wtedy byłoby już trochę za późno.*

*A zatem to pożegnanie, Dwight. Nie obawiaj się, że przyjadę znowu do Kornwalii, by burzyć Twój spokój. Będę trzysta kilometrów stąd. Dziękuję za to, czego mnie nauczyłeś. Nie zapomnę tego.*

*Twoja serdeczna przyjaciółka*

*Caroline Penvenen*

O piątej po południu tego samego dnia, tuż przed zachodem słońca, pięciu mężczyzn czekało na Charliego Kempthorne'a w jego chacie na krańcu kotliny Sawle. Ich twarze były tak ponure jak misja, którą mieli do wypełnienia, ale nie zastali gospodarza. Charlie Kempthorne zniknął, zabierając ze sobą swój miły uśmiech, kaszel oraz woreczek zaoszczędzonego srebra ukryty pod podłogą. Zabrał również strój przygotowany na ślub, własnoręcznie uszyty, a także Biblię oraz niedawne zakupy: filiżanki, talerzyki, lustro. Wziął tyle, ile zdołał unieść.

Zostawił Lottie i May, które kuliły się przerażone w kącie pokoju na górze. Kiedy zdołano się z nimi porozumieć, powiedziały, że ojciec dał każdej z nich sztukę srebra i wyszedł, ostrzegając, by nie wychodziły z domu, bo mogą stracić życie. Nie wiedziały, że uciekł. Niektórzy mężczyźni, sfrustrowani i wściekli,

chcieli spalić chatę i pobić dzieci, ale przeważyły umiarkowane poglądy. Wysłano wiadomość do ciotki dziewczynek w St Ann's, by szybko po nie przyjechała.

Charlie zostawił również narzeczoną. Dwight zniszczył już drugie małżeństwo. Rosina z początku nie mogła uwierzyć w to, co się stało, lecz wkrótce odnalazła w pamięci drobne oznaki świadczące o winie Charliego. Nigdy tak naprawdę go nie kochała, ale jego podziw i atencja stopniowo ją przekonały, że będzie dobrym mężem. Świadomość, że Charlie był donosicielem, kimś godnym potępienia, wymagała kolejnej wołty emocjonalnej. Przez jakiś czas nie była do tego zdolna i chodziła jak otumaniona. Czuła ból, nie nienawiść, i beznamiętnie odpowiadała na zadawane pytania. Tylko od czasu do czasu okazywała cięń gniewu, gdy czyjeś pytanie sugerowało, że nie jest tak niewinna, jak mogłoby się wydawać.

Sześciu mężczyzn, którzy odwiedzili Charliego, nie zrezygnowało ze swoich zamiarów na widok pustej chaty. Uważali, że Kempthorne nie będzie w stanie poruszać się szybko i pozostawi ślady. Na prowincji wieści docierają daleko, a donosiciele są wyjątkowo znienawidzeni. Mężczyźni mieli nadzieję, że zdołają go dopaść.

Tego wieczoru o siódmej Ross wyszedł ze skrytki, w której spędził osiemnaście godzin bez jedzenia i picia, oddychając tak złym powietrzem, że człowiek nieprzyzwyczajony do powietrza kopalni byłby w stanie wytrzymać zaledwie jedną czwartą tego czasu. Zmusił się, by odczekać do zapadnięcia całkowitej ciemności, wiedząc, że niektórzy ludzie potrafią być równie cierpliwi jak on. Kiedy wszedł po drabinie do biblioteki, jego oczy – od dawna przyzwyczajone do ciemności – dostrzegły zarys okna, meble i drzwi do ogrodu. Dotknął klamki, spodziewając się, że są zamknięte, lecz okazało się, że nie, i wyszedł na świeże powietrze. W domu paliły się światła, ale nim się zbliżył, ostrożnie obszedł budynki gospodarcze oraz ogród i brzeg strumienia. Później podkrał się do domu i zajrzał do oświetlonych okien. Żołnierze zniknęli.

W końcu wszedł i powitał Demelzę, która przez osiemnaście godzin zastanawiała się, co się z nim stało, i wyobrażała sobie, że krew na jego palcach to efekt przeciętej tętnicy.

Skrytka, wybudowana zgodnie ze wskazówkami Trencroma, miała boczną ścianę poruszającą się na pionowej osi. Znajdowała się za nią druga, większa skrytka. Była to typowa konstrukcja wśród bardziej inteligentnych członków bractwa przemysłowego Kornwalii i prawie zawsze spełniała swoje zadanie.

Przygotowali ją górnicy oraz jeden farmer i jeden cieśla, którzy wykonali pracę z wyjątkową starannością i zręcznością. W drugiej skrytce można było umieścić znaczną ilość towaru. Patrząc na pracujących robotników, Ross nigdy nie przypuszczał, że kiedyś będzie musiał się tam ukryć.

## *KSIĘGA TRZECIA*

## *Rozdział pierwszy*

Interwencja Dwighta, nawet jeśli nie uratowała wszystkich przemytników, ocaliła ładunek Trencroma. One and All popłynął z powrotem na wyspy Scilly i po dwóch tygodniach wyładował towary w trzech transzach w różnych punktach wybrzeża. Ocaliła również Rossa, bo Trencrom troszczył się o swoich przyjaciół. Nie mógł pomóc ludziom schwytanym na gorącym uczynku, ale ci, którym dopisało szczęście, mogli liczyć na jego hojne wsparcie. Rossa poinformowano, że gdy pod koniec miesiąca sprawa czarnej soboty pojawi się na wokandzie sądu, jeden z farmerów z Gwithian i jego syn zeznają pod przysięgą, że drugiego lutego kapitan Poldark spędził noc na ich farmie.

Mniej więcej tydzień po zasadzce do doktora Enysa przyjechał chirurg o nazwisku Wright, który pomagał mu w leczeniu niektórych pacjentów. Po kilku dniach doktor Enys wyjechał do Londynu.

Żałował później, że postąpił nierozważnie i nie czekał do zakończenia sesji sądu, ale w owym czasie czuł, że nie może dłużej zwlekać. Za pomocą łapówki wydobył od Thomasa londyński adres Caroline i napisał do niej dwa listy, gdyż jeden mógł się zawieruszyć po drodze. Opisał w nich dokładnie swoje nocne przygody i przyczyny, które skłoniły go do takiego postępowania. Wiedząc, że Caroline jest osobą rozsądną, spodziewał się, że jej pożegnalny list – napisany w stanie zrozumiątego rozgorączkowania i w pośpiechu – odejdzie w niepamięć i że będą mogli poczynić nowe plany. Z dnia na dzień odkładał myśl o wyjeździe i każdego wieczoru powtarzał sobie: „Zaczekam do jutra”, po czym w końcu rzucił wszystko i pojechał.

Podróż w każdą stronę trwała pięć dni, a musiał wrócić ze względu na rozprawę sądową, toteż w końcu miał tylko jeden dzień w Londynie, by przeprosić Caroline i pogodzić się z nią.

Wystarczyłoby, gdyby Caroline tego chciała. Przebywała z Rayem Penvenenem u jego siostry Sarah. Dwight pojawił się tam dwukrotnie i dwukrotnie go nie przyjęto. Doszedłszy do wniosku, że to stryj jest przyczyną odmów, przybył po raz trzeci wieczorem i przekupił lokaja, by przekazał Caroline list – wiedział, że jest w domu. Czekał niecierpliwie, aż służący wróci z odpowiedzią, która brzmiała:

*Drogi Dwighcie!*

*Tak, otrzymałam Twoje listy. Cieszę się, że postanowiłeś ocalić Rossa Poldarka i pozostałych przemytników. Ale dokonałeś wyboru, nim wiedziałeś, że tamten człowiek jest donosicielem, więc nie może to wpłynąć na mój wybór. Nie rozumiesz? Bardzo, bardzo mi przykro. Tak będzie lepiej dla nas obojga.*

## *Caroline*

Nazajutrz wczesnym rankiem Dwight podjął kolejną próbę, lecz znów nie zobaczył Caroline i wrócił do domu.

Zbliżała się kwartalna sesja sądu, dlatego Sawle i St Ann's miały pilniejsze sprawy niż niedawny początek wojny z Francją. Wszyscy wiedzieli, że sędziowie powinni być bezstronni, jednak wielu uważało, że w tym przypadku zostali wybrani stronniczo, ze względu na ich zamiłowanie do ścisłego przestrzegania litery prawa. Przewodniczącym był wielbny doktor Halse, znany z surowości na sali sądowej. Kilku schwytanych przemytników osądzono błyskawicznie. Czterech skazano na dwanaście miesięcy więzienia, a dwóch, Neda Bottrella i mieszkańca St Ann's, na dziesięcioletnią deportację. Były to drakońskie kary jak na Kornwalię, gdzie przemytnicy z reguły otrzymywali łagodne wyroki. Kiedy Dwight pojawił się na sali sądowej, emocje sięgały zenitu.

Sprawa doktora Enysa miała szczególny charakter. Nie ustalono, jaki był jego udział w przestępczym procederze, a wezwani świadkowie niczego nie wyjaśnili. Sam Dwight odmówił złożenia zeznań na temat motywów swoich działań, co wywołało wyraźną irytację doktora Halse'a. Żaden człowiek, żaden wykształcony człowiek nie może nagle wdrapać się na szczyt klifu i rozpaść ogniska. Wynikają z tego pewne wnioski. Doktor Halse powiedział to wszystko – i wiele więcej – w czasie długiej mowy wygłoszonej po konsultacji z dziesięcioma pozostałymi sędziami. Oznajmił, że to hańba, iż powszechnie znany lekarz pozwolił sobie na udział w odrażającej działalności przemytniczej. Wszyscy przywoici obywatele mają święty obowiązek przeciwdziałać przestępstwom dokonywanym przez mniej oświeconych bliźnich, a nie zachęcać do nich ani brać w nich udział, jak z pewnością postępował doktor Enys, gdyż jego zachowanie nie ma innego wytłumaczenia. Sędziowie uważają, że doktor Enys powinien zostać skazany na grzywnę w wysokości pięćdziesięciu funtów z zamianą na trzy miesiące więzienia.

Dwight beznamiętnie przyjął wyrok i grzywnę, a po zakończeniu rozprawy nie chciał skorzystać z propozycji pomocy ze strony osób przyglądających się rozprawie. Wyrazy współczucia zdawały się nie robić na nim wrażenia. Chociaż zazwyczaj był miłym, tolerancyjnym człowiekiem, przez cały miesiąc okazywał swoim przyjaciółom i sympatykom niespodziewaną szorstkość. Jego popularność w Sawle i okolicy osiągnęła szczyt – z wyjątkiem domu Jima Vercoe – i wielu ludzi zastanawiało się, dlaczego jest taki oschły. Reagował zniecierpliwieniem na przyjazne gesty i przyjmował z kamienną twarzą rady i oznaki sympatii.

Unikał nawet Rossa i Demelzy, więc kiedy wracał z Rossem z rozprawy, niemal po raz pierwszy rozmawiali w zaufaniu.

Przez pewien czas dyskutowali o wyrokach, które zapadły. Ross uważał, że ani Bottrell, ani mieszkańiec St Ann's nie odbędą kary. Marynarka wojenna domagała się ludzi i dwaj więźniowie z doświadczeniem żeglarskim prawdopodobnie otrzymają propozycję zaciągnięcia się do służby.

– Służba w marynarce nie jest wcale lepsza od więzienia, ale w grę wchodzi kwestia szacunku do samego siebie. Przypuszczam, że przynajmniej Bottrell wybierze marynarkę.

– Cieszę się, że cię nie oskarżono, Ross. Myślałem, że spróbują się do ciebie przyczepić, bo wszystko działo się w twoim majątku, a poza tym już wcześniej bardzo się starali cię skazać.

– Pewnie by to zrobili, gdyby nie Trencrom. Dostarczył świadków na dowód, że w chwili wyładunku towarów byłem bardzo daleko.

– Kiedy wychodziłem z sądu, podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Oznajmił, że przysłał go pan Trencrom, który koniecznie chce zapłacić za mnie grzywnę.

– Co odpowiedziałeś?

– Naturalnie odmówiłem! Nie zrobiłem tego wszystkiego dla Trencroma.

– Nie, zrobiłeś to dla mnie. Mówiłem ci, co o tym sędzę?

– Nie kłopotz się.

– Jestem twoim dozgonnym dłużnikiem.

– Och, bzdury...

Jechali dalej przez kilka minut. Dzień był wietrzny, lecz nie chłodny. Na niebie kołowały i krzyczały mewy, których skrzydła lśniły w promieniach słońca. Ross był ostatnią osobą, która mogłaby zadawać niedyskretne pytania, lecz miał świadomość, że z młodym lekarzem dzieje się coś dziwnego.

– Spotkałem któregoś dnia twojego przyjaciela Wrighta. Domyślam się, że teraz, gdy sytuacja się uspokoiła, w dalszym ciągu zamierzasz stąd wyjechać?

– Nie mam żadnych ustalonych planów.

– A małżeństwo z Caroline?

– Odwołane. To było tylko dziecinne szaleństwo. Na szczęście w porę to zrozumieliśmy.

Ross popatrzył na przyjaciela.

– Wskutek tej historii z przemytem?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Demelza uważa, że właśnie o to chodzi. Podobno mówiłeś jej, że wyjedziesz w sobotę późnym wieczorem. Jak wpłynęło na to twoje aresztowanie?

– Teraz rozumiem, że nic się nie stało. Nigdy nic by z tego nie wyszło, Ross. Nie pasowaliśmy do siebie, kierowała nami głupia namiętność. Nie mogłaby trwać wiecznie i oboje bylibyśmy nieszczęśliwi.

– A teraz?

– Teraz jesteśmy chwilowo nieszczęśliwi, ale później będziemy zadowoleni, że tak to się skończyło. Powinieneś rozumieć, że to ja jestem twoim dłużnikiem, a nie ty moim.

Dwight mówił zdecydowanym tonem, lecz Ross widział, że wiele go to kosztuje. Bardzo chciał powiedzieć coś, co mogłoby pomóc przyjacielowi, ale w duchu sądził to samo co Dwight. Związek młodego lekarza z Caroline był skazany na klęskę. Lepszy gorzki zawód teraz niż upokorzenie i nieszczęście z powodu mezaliansu.

Ross zastanawiał się przez chwilę, jaki nowy temat poruszyć, po czym powiedział:

– McNeil, kapitan dragonów, ciągle ma kłopoty z raną. Czy to prawda, że mieszka u Bodruganów?

– Tak. Poznali go w czasie pierwszej wizyty i zaprosili do siebie. Leczę go.

– Ty? Jestem zaskoczony.

Dwight lekko się uśmiechnął.

– Wiem. Pracuję dla obydwu stron. Wtedy, w sobotę w nocy, wyjąłem mu kulę i opatrzyłem ranę w twoim domu, a McNeil wydawał się mi wdzięczny za to, że się nie wykrwawił. Poprosił, żebym znowu go zbadał, i zrobiłem to.

– Możesz z nim dyskutować o problemach etycznych związanych z przemytem.

– Nie rozmawiamy na ten temat. Moim zdaniem nie ma do nikogo urazy, z wyjątkiem człowieka, który go postrzelił. Nie jest jeszcze na tyle zdrowy, by jeździć konno, i nie powinien dziś pojawiać się w sądzie. Gorzko żałuje, że nie może wrócić do pułku i walczyć z Francuzami. Każdy dzień to dla niego udręka.

– Jeśli okaże cierpliwość, w przyszłych miesiącach będzie miał jeszcze wiele okazji, by zdobyć chwałę.

– Niekoniecznie. Trudno przewidzieć, jak długo potrwa wojna.

– Cóż, kiedy kraj z niespełna pięćdziesięcioma tysiącami żołnierzy stacjonującymi głównie poza granicami angażuje się w walkę z półmilionową armią operującą na własnym terytorium i atakującą z wielu stron...

– Mamy sojuszników.

– Prusy i Austrię? W zeszłym roku stale się wahały, gdy szanse były większe. Holandię? Sądzę, że aby poczuć wolę walki, Holendrzy potrzebują czegoś więcej niż kilku angielskich okrętów wojennych i regimentu gwardii pieszej.

– Od kilku tygodni zastanawiam się, czy sam nie chciałbym czegoś zrobić dla kraju – powiedział Dwight. – Trudno się zdecydować, ale wydaje się to coraz bardziej pociągające. Pomogłoby mi to przezwyciężyć poczucie bezsensu.

– Nie śpiesz się. Dobrze to przemyśl, bo gdy znajdziesz się na patelni, trudno ci będzie z niej wyskoczyć.

Tuż przed pożegnaniem Dwight spytał:

- A twoje spotkanie z Markiem Danielem? Czy coś z niego wynikło?
- Tak. Przekonałem się, jakim byłem optymistycznym głupcem.
- Nie udzielił ci żadnych przydatnych wskazówek?
- Żadnych.
- Jak długo będzie działać kopalnia?
- Aż skończy się węgiel.

Dwight milczał. Po chwili ściągnął wodze, by zawrócić konia.

- Jak wyglądał Daniel, Ross?
- Ta historia wycisnęła na nim swoje piętno.
- Tak... Można było się tego spodziewać.

Ross pojechał w dół doliny. Wydarzenia czarnej soboty miały jeszcze jeden ważny skutek. Zatoka Nampara stała się teraz bezużyteczna dla Trencroma. Celnicy nie będą jej obserwować każdej nocy, lecz zasadzka z udziałem wojska i wszystko, co się z nią wiązało, wykluczały wykorzystanie zatoki przez bardzo długi czas. Poldarkowie nie mogli ryzykować i Trencrom również nie mógł ryzykować. Znacznie zmniejszy to dochody Rossa: straci wpływy, na które liczył. Znowu zaryzykował i przegrał.

Poprosił Demelzę, by nie jechała na posiedzenie sądu, a ponieważ nie groziło mu niebezpieczeństwo, wyraziła zgodę. Po powrocie musiał jej wszystko opowiedzieć i w konsekwencji zjedli kolację później. Następnie rozmawiali o kopalni. Udziałowcy Wheal Radiant byli zainteresowani zakupem maszyny parowej, a tego ranka przed rozpoczęciem rozprawy Ross spotkał się z przedstawicielem innej kopalni w sprawie sprzedaży zapasów.

– Ross – rzekła nagle Demelza – nigdy o tym nie wspominałam, ale na początku roku pojechałam do St Ann's kupić kilka potrzebnych rzeczy, pamiętasz, prosiłam o Czarnulkę, i spotkałam pana Renfrew, dostawcę wyposażenia górniczego...

Ross przeglądał „Sherborne Mercury”. Teraz, chcąc mieć trochę czasu do namysłu, starannie złożył gazetę i zaniósł na półkę przy oknie, gdzie leżały stopy starych egzemplarzy.

– Renfrew powiedział, że popełniłeś błąd, sprzedając resztę udziałów w Wheal Leisure. Nigdy nie próbowałam cię o to pytać, ponieważ... Skoro nic mi o tym nie mówiłeś, to znaczy, że nie chciałeś mówić. Może wolałeś mi oszczędzić zmartwień? A może Renfrew się myli i miał na myśli akcje sprzedane dawniej...

Ross wrócił do kominka i stanął przy nim.

– Nie, to prawda. Sprzedałem udziały na początku stycznia. Dostałem za nie sześćset siedemdziesiąt pięć funtów, czyli inwestycja przyniosła pokaźny zysk. Oczywiście nie będziemy teraz otrzymywać dywidend...

– Wszystko pochłonęła Wheal Grace?



Łatwo było okłamać Demelzę i właśnie dlatego nie mógł tego zrobić.

– Nie, tylko siedemdziesiąt pięć funtów. Reszta poszła na spłatę długu honorowego...

– Och, myślałam, że Renfrew wie, bo sam jest udziałowcem kopalni. Ross, myślisz, że piwo, które ostatnio warzyliśmy, nadaje się już do picia? Wcześniejsze się skończyło, a wiem, że John lubi wypić trochę piwa do kolacji.

– Każ mu spróbować. Raczej powinno być dobre, Demelzo. Chciałem ci o tym powiedzieć od długiego czasu, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Tak naprawdę czekałem na stosowną okazję, na chwilę, gdy to, co zrobiłem z pieniędzmi, nie będzie już miało znaczenia. Ale niestety muszę o tym mówić, gdy pieniądze znaczą dla mnie więcej niż kiedykolwiek.

Popatrzyła na niego w zamyśleniu.

– To twoje pieniądze, Ross. Możesz z nimi robić, co chcesz.

– Niezupełnie. Mam różne zobowiązania. Ale tym razem jedno wydawało się ważniejsze od innych.

Coś w wyrazie twarzy Rossa podpowiedziało jej, co nastąpi. Odłożyła robótkę.

– Człowiek czasem czuje, że ma zobowiązania – ciągnął. – Staje się to kwestią sumienia niezależnie od tego, czy zobowiązanie jest rzeczywiste. Odpowiadam za to, że Francis utopił pieniądze w tej kopalni. Teraz Francis nie żyje, a Elizabeth i Geoffrey Charles są sami i bez grosza. Chociaż nie jestem najlepszym opiekunem twoim i Jeremy'ego, żyję i pracuję. Staram się, jak mogę, i osłaniam was przed... przed zawieruchą. Elizabeth nie ma nikogo. Te pieniądze bardzo ułatwią jej życie, pomogą przetrwać pierwsze trudne lata.

– Tak, rozumiem.

– Przed świętami nie byłem w stanie nikomu pomóc. Ale mój tajemniczy dobroczyńca pozwolił mi odzyskać oddech. I podsunął mi pomysł, że mógłbym go naśladować. Postąpiłem nierozważnie, ale musiałem się uwolnić od brzemienia odpowiedzialności i odzyskać spokój ducha. Oczywiście liczyłem na to, że w ciągu następnych kilku lat będę otrzymywał pieniądze od Trencroma.

Demelza milczała. Nawlekała nitkę na igłę, patrząc na nią zmrużonymi oczyma.

– Dzięki pieniądzom Trencroma mógłbym spłacać odsetki od długów – ciągnął Ross. – Bez tych wpływów znów jesteśmy w trudnej sytuacji albo znajdziemy się w niej za jakiś czas. Na szczęście zostało jeszcze dziewięć miesięcy do końca roku. Żałuję swojej hojności i niestety ty też powinnaś jej żałować.

Nie przestawała nawlekać.

– Winisz mnie? – spytał.

– Oczywiście, że nie. Nie mam do ciebie pretensji. Boję się tylko o Jeremy'ego. Ale to już się stało i nic dobrego nie wyniknie z roztrząsania tej

sprawy. – Zawahała się i odrzuciła z twarzy ciemne włosy, jakby odpędzała nieprzyjemną myśl. – Sądzisz, że Elizabeth jest rzeczywiście w potrzebie?

– Uważam, że była w potrzebie. Dlaczego pytasz?

– Cóż, słyszałam, że George Warleggan ją adoruje.

– Nie wątpię. Gdyby mu pozwoliła, chętnie by ją uwiódł, ale ona się na to nie zgodzi. Kto ci o tym powiedział?

– Sir Hugh Bodrugan.

– Znowu tu był?

– Tak, wpadł któregoś popołudnia w zeszłym tygodniu. Powiedział, że jest przejazdem.

– Nie wspominałaś o tym.

– Zapomniałam. Chciał, żebyśmy uczestniczyli w polowaniu w jego dworze. Powiedziałam, że jesteśmy zajęci, bo byłam pewna, że nie zechcesz tam pojechać.

Ross pochylił się, by zapalić fajkę, ale ustnik się zapchał, więc wystukał tytoń i znowu ją nabił. W tej chwili był z pewnością ostatnim człowiekiem, który mógłby się skarżyć z powodu cudzej sympatii do własnej żony albo narzekać, że nie wspomniała mu o czyjejs wizycie. Odczuwał irytację prawdopodobnie nie z powodu odwiedzin sir Hugh, lecz z powodu jego słów.

– George Warleggan usiłował poróżnić mnie z Francisem na długo przed jego śmiercią. Była to jedna z wielkich ambicji George'a. Najprostszym sposobem było nawiązanie przyjaźni z Francisem i Elizabeth. Kiedy mu się udało, Francis i ja ponieśliśmy szkody... Teraz stosuje tę samą taktykę, próbując pomagać Elizabeth. Przekazałem jej pieniądze z innego powodu, ale poprawia to jej pozycję wobec George'a.

– Tak – odpowiedziała Demelza i szła dalej.

Dwunastego marca, we wtorek, Rossa odwiedził w bibliotece nadsztygar Henshawe. Miał szczególny wyraz twarzy i niósł niewielki worek. Położył go na ziemi, zdjął kapelusz i otarł czoło.

– Zgrzał się pan? – spytał Ross. – Szybko się tu pan ochłodzi. Przeciąg wpadający przez szczelinę pod drzwiami jest zimny jak styczniowy wiatr. Co to takiego? Resztkę naszego węgla?

– Młody Ellery wyszedł przed chwilą na powierzchnię i przyniósł ten worek – odparł Henshawe. – Pomyślałem, że warto, by pan zobaczył, co jest w środku.

Wysypał zawartość na podłogę. Było to kilkanaście bryłek skały kwarcytowej, z pozoru podobnej do tysięcy innych skał wydobytych i pokruszonych w ciągu ostatniego roku. Henshawe patrzył z ciekawością na twarz Rossa, który się im przyglądał.

– Proszę je wziąć do ręki – rzekł.

Ross zważył w dłoni kilka bryłek, odłożył je na biurko, obejrzał dwie następne. Były bardzo ciężkie.

– Co to takiego? Ołów?

– Cyna.

– A zawartość?

– Wysoka. Jest trochę domieszek miedzi, jak pan widzi, i kwarcyt. Znaleźliśmy to w głównym szybie na poziomie sześćdziesięciu sążni. Wokół były jasnoniebieskie skały osadowe. Potem pojawiło się to.

– Był pan na dole?

– Tak. Kuli granit i twarde czarne skały osadowe, jak pan wie, ale wczoraj, zgodnie z naszymi ustaleniami, skręcili na wschód, w stronę rozwidlenia dawnej żyły miedzi. Przez dwadzieścia sążni znajdowali tylko płonną skałę ze śladami cyny, miedzi było jeszcze mniej. Zaledwie drobne gniazda, jak pan wie. Dziś po raz pierwszy pojawiły się oznaki bogatego złoża.

– Znamy jego rozmiar?

– To typowa próbka rudy, można to poznać po wadze. Nowa żyła jest węższa niż poprzednia, trochę nieregularna, ale ma półtora metra średnicy. Nie wiemy, jak głęboko sięga.

Ross wyprostował się na krześle i spojrzał na biurko.

– Właśnie zajmowałem się zamykaniem ksiąg rachunkowych kopalni. Kończymy pracę w sobotę. Ci poganie z Wheal Radiant oferują trochę lepszą cenę za maszynę parową. Zbliżają się do kwoty, której zażądałem. Trzymałem ich w niepewności dwa dni, by zmiękli, ale jutro przyjmę propozycję.

– A te próbki?

Ross poruszył czubkiem buta kawałek skały.

– Spędziliśmy półtora roku na poszukiwaniu miedzi i wydaliśmy na to wszystkie pieniądze. Trudno się spodziewać, bym wpadł w entuzjazm z powodu odkrycia niewielkiego złoża cyny.

– Na dole wygląda to na tyle ciekawie, że moim zdaniem warto się nad tym zastanowić.

– Chce pan, żebym zszedł na dół?

– Tak. Moim zdaniem warto.

– Kto znalazł tę żyłę?

– Ellery i Green.

– I uważają, że odkryli eldorado?

– Są zadowoleni, jak można się spodziewać. Po tylu wysiłkach...

– W ich oczach złożo wydaje się większe niż w rzeczywistości?

– Chciałbym, żeby je pan zobaczył, nim zaczniemy o nim dyskutować – odparł ostrożnie Henshawe.

Ross wstał i zamknął księgi. Wyszli na dwór i ruszyli przez dolinę. Słońce zasłaniał niski szary obłok, który łączył się z cienką smugą dymu z komina kopalni rozwiewaną przez wiatr. Daleko na zachodzie widać było połacie czystego nieba,

niebieskie, bladozielone, mgliście błękitne. Był pogodny, lecz chłodny dzień, gdyż z północy wiał zimny wiatr. Drzewa w dolinie wciąż były czarne jak w środku zimy.

Przez całą drogę milczeli. Kiedy zbliżyli się do kopalni, Ross popatrzył na miarowo poruszającą się przeciwwagę maszyny parowej. Trevithick twierdził, że maszyna może pracować pięćdziesiąt lat, i niewątpliwie miał rację – o ile dawało się jej taką możliwość. Ross widział, że Henshawe jest bardzo zainteresowany nowym odkryciem, ale przeżyli już tyle gorzkich rozczarowań, że w akcie samoobrony nie pozwalał sobie dostrzec w tym odkryciu nic atrakcyjnego. Jeśli nie natrafili na złoża cyny możliwe do eksploatacji przy minimalnych kosztach i pozwalające uzyskać szybkie zyski, nie było szans na utrzymanie kopalni w ruchu. Tak czy inaczej, cyna przynosiła mniejsze zyski niż miedź, gdyż przerób rudy na powierzchni był bardziej kosztowny. W tym rejonie istniały już kopalnie cyny – w siedemnastym wieku Grambler powstał jako kopalnia cyny – i w dalszym ciągu działało kilka stanowisk płukania osadów w potokach, gdzie paru ludzi z trudem zarabiał na skromną egzystencję. Jednak Ross nigdy poważnie nie myślał o odkryciu lub eksploatacji cyny. Odlewnie cyny w dalszym ciągu przeżywały kryzys. Nikt nie byłby skłonny do finansowania wyeksploatowanej kopalni miedzi na podstawie kilku próbek skały.

Zeszli pod ziemię i Ross obejrzał miejsce znalezienia rudy. W innych częściach kopalni praca zamarła – tylko wielka maszyna parowa cierpliwie wypompowywała wodę z poziomu odpływowego. Wszyscy górnicy po kolei kuli oskardami skałę, wazyli próbki w spracowanych rękach, pochylali się nad nimi, kiwali głowami i porównywali doświadczenia z przeszłości. Większość górników była rozebrana do pasa, bo na głębokości ostatnich dwudziestu sążni temperatura znacznie wzrastała. Ross sam wziął oskard i pracował kilka minut, podczas gdy stojący obok Ellery wskazywał szerokość i nachylenie żyły.

Poldark mówił niewiele. Górnicy znali sytuację kopalni, ale niewątpliwie mieli nadzieję, że teraz wszystko się zmieni. Nie rozwiewał ich złudzeń, bo i tak mogło to wkrótce nastąpić.

– Zgadzam się, że wygląda to nieźle – rzekł do Henshawe’a w drodze powrotnej.

– Przez cały czas mówił pan, że intuicja podpowiada panu, by iść głębiej.

– Tak, ale nie w poszukiwaniu cyny, człowieka, nie cyny. Tak czy inaczej, ciągle może się okazać, że to tylko spore gniazdo.

Kiedy wyszli na powierzchnię i znaleźli się w jasnym świetle dnia, dodał:

– Cieszę się, że znalazł to Ellery. On i jego pomocnik to dobrzy górnicy. Możemy sprzedać to, co uda się wydobyć, więc ich ostatnia wypłata się powiększy.

– Będą niezadowoleni, jeśli nie pozwolimy im popracować jeszcze kilka tygodni. Poddaliby się łatwiej, gdyby nie nowe odkrycie. Potrzebujemy trochę

czasu na ocenę sytuacji.

– Zgadzą się, ale skąd wziąć pieniądze? Kto za to zapłaci? Szczerze przyznaję, że nie mam nawet dwudziestu funtów.

– Nigdy nie przepadałem za poszukiwaniem żył na większych głębokościach – powiedział Henshawe. – W tym hrabstwie takie rzeczy zawsze źle się kończą: żyła zmniejsza się i niknie. Ale tym razem wygląda to ciekawie. A poza tym jest nietypowe. Można się spodziewać miedzi pod cyną, ale nie cyny pod miedzią.

– Cóż, mamy jeszcze cztery dni. Trzeba im powiedzieć, by ciężko pracowali do soboty.

Ross nie wspomniał Demelzie o odkryciu. Nie należało budzić fałszywych nadziei. Lecz za jego plecami rozeszły się pogłoski i szybko dotarły do Demelzy, która chciała wiedzieć, co to oznacza.

– Nic ważnego – wyjaśnił Ross. – W najlepszym razie niewielka wygrana na loterii. Kilka miesięcy temu moglibyśmy wyeksploatować to złożę jako produkt uboczny. Dodatki zawsze są korzystne, a wpływy pozwoliłyby walczyć trochę dłużej. Ale to wszystko. Zamknięcie kopalni będzie wielkim ciosem dla wielu rodzin. Nie dziwię się, że widzą ostatnią iskierkę nadziei.

– Ja też – powiedziała Demelza. Później zapadło milczenie.

Nowe wiadomości pojawiły się dopiero w czwartek wieczorem, gdy przyszedł nadsztygar Henshawe. Zastał ich oboje w domu, więc rozmowa odbyła się w obecności Demelzy.

– Znowu zszedłem na dół, kapitanie. Od wtorku znacznie pogłębili szyb. Coraz bardziej mi się wydaje, że to cenna żyła, a nie tylko przypadkowe gniazdo. Ruda wyciągana na powierzchnię jest doskonałej jakości i coraz bardziej żal, by kopalnię zalała woda.

Ross z niezadowoleniem zmarszczył brwi.

– Zatopienie wyrobisk jest zawsze przykre. Niech tylko ktoś dostarczy węgiel, by pompy dalej pracowały...

– Właśnie się nad tym zastanawiam – rzekł przeprasząco Henshawe.

– Co pan ma na myśli?

– Patrząc na to bardziej optymistycznie i jestem w stanie zrobić coś konkretnego. Wheal Leisure przynosi mi dobre zyski i zaoszczędziłem trochę pieniędzy. Nie jest to wielka suma, ale wystarczyłaby na miesiąc albo dłużej. W razie potrzeby mogę wyłożyć sto funtów. Wydaje mi się to sensowne i chętnie to zrobię.

– Zrobiłby to pan? – spytał Ross.

– Tak, zrobiłbym.

Ross znał Henshawe'a od dwunastu lat, gdy mężczyzna został nadsztygarem w kopalni Gambler. Był uczciwym, inteligentnym człowiekiem. Ojciec przez osiem miesięcy płacił za jego naukę pensa tygodniowo, o czym Henshawe czasem

wspominał. Przed kryzysem osiągnął stanowisko doradcy górniczego pięciu kopalni wyłącznie dzięki swoim umiejętnościom i bystrości. Po uruchomieniu Wheal Grace zaprzyjaźnił się z Rossem. Ale Ross nie obawiał się, że propozycja Henshawe'a to gest przyjaźni albo impuls wywołany współczuciem. W odróżnieniu od innych Henshawe nigdy nie ukrywał, że przede wszystkim musi utrzymać żonę i dzieci. Mógłby poświęcić pięć funtów, by ocalić przyjaciela przed więzieniem za długi, ale w żadnym wypadku nie zaryzykowałby stu funtów ciężko zarobionego kapitału, topiąc je w kopalni, która pochłonęła już tyle pieniędzy. Chyba że...

Ross spojrział w oczy Demelzie siedzącej po drugiej stronie pokoju. Wiedział, jakie myśli krążą jej po głowie.

– Jest pan całkowicie przekonany, że warto kopać dalej? Po tylu klęskach jest pan pewny...

– Nie jestem pewny, kapitanie. Uważam, że należy działać powoli. Za tydzień będziemy wiedzieć dużo więcej. Jeśli doznamy rozczarowania, ciągle możemy zamknąć kopalnię i stracę tylko dwadzieścia albo dwadzieścia pięć funtów. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak się spodziewam, będę finansował roboty znacznie dłużej. Ale musimy zacząć działać jutro. Pomyślałem, że, za pańskim pozwoleniem, pošlę ludzi po węgiel do zatoki Trevaunance albo do zatoki Basset. I tak dotrze do nas w ostatniej chwili.

– Naturalnie, proszę posłać po węgiel – rzekł Ross, ale z jego twarzy i z tonu głosu trudno było cokolwiek wyczytać. Z całych sił walczył z uczuciem, które bał się nazwać nadzieją.

Tego samego dnia pod wieczór George Warleggan odwiedził rodziców w Cardew i poinformował ich, że Elizabeth Poldark zgodziła się zostać jego żoną.

## *Rozdział drugi*

Sukces ma w sobie zawsze coś z hazardu, stanowi połączenie szczęścia i trafnej oceny sytuacji, co pozwala człowiekowi czuć, że na to zasłużył, a jeśli jest skromny, zdawać sobie sprawę, że uśmiechnął się do niego los.

To, że George Warleggan mógł przekazać rodzinie takie zaskakujące nowiny, częściowo zawdzięczał zbiegowi okoliczności, a częściowo trafnemu wyczuciu stosownego momentu, które już wcześniej dobrze mu służyło w interesach.

George i Elizabeth spotkali się w czwartek po południu w Cusgarne. Elizabeth miała za sobą cztery męczące dni. Ostatni z nich, czwartek, był najtrudniejszy.

Na początku doszło do nieprzyjemnej sceny z udziałem George'a Tabba, który przez całe życie wiernie służył Poldarkom. Jako ostatni służący pozostali w majątku rościł sobie prawo do pewnych przywilejów nawet przed śmiercią Francisa, a później coraz trudniej było go kontrolować. W poniedziałek doszło do próby sił. Elizabeth miała gorzką świadomość, że zbyt długo nie interweniowała. Teraz musiała się pogodzić z nieposłuszeństwem Tabba albo zwolnić ostatnią parę służących i zatrudnić nowych, po których nie będzie można się spodziewać wykonywania takiej ilości pracy.

Decyzję odłożono na później. Następnie przybył Nathaniel Pearce, wciąż cierpiący na podagrę. Elizabeth musiała stawić czoło nowym problemom, wysłuchać relacji na temat rezultatów rokowań i podjąć decyzję – nie mógł tego zrobić nikt inny. Poldarkowie mieli prawo do daniny w wysokości jednego funta sześciu szylingów i ośmiu pensów od niewodów niektórych kutrów rybackich z Sawle i większość właścicieli łodzi od dawna zalegała z opłatą. Od czterech tygodni połowy były kiepskie. Czy należy nalegać, by rybacy zapłacili? Kto jest teraz w większej potrzebie? Wielokrotnie ponawiana skarga Gartha, reprezentanta Raya Penvenena, na zły stan mostka na strumieniu za wioską Grambler, gdzie graniczą ze sobą obie posiadłości. Naprawę powinni wykonać Poldarkowie, lecz Penvenen, który niedawno wrócił z Londynu, zaproponował, że pokryje czwartą część kosztów budowy nowego mostka, jeśli pani Poldark zapłaci resztę. Czy Elizabeth chce zbudować nowy mostek? Co zrobić z pastwiskiem na zachód od dworu? Ross radził przekształcić je w pole uprawne, bo w czasie wojny uprawa zboża powinna przynieść spore zyski. Ale było już zbyt późno, by coś zrobić w tym roku. Poza tym należałoby w tym celu zatrudnić i opłacić parobków. W końcu trzeba było rozstrzygnąć trudny spór z górnikami cynowymi, którzy utrzymywali, że na podstawie edyktów Kornwalijskiego Parlamentu Cynowego mają odwieczny przywilej zezwalający im wchodzić na teren prywatnych

posiadłości i szukać cyny.

Elizabeth źle spała tej nocy i rankiem, o pierwszym brzasku, z trudem przyjęła nowiny, które otrzymała. Przybył służący z Cusgarne, który powiedział, że matka Elizabeth dostała apopleksji i że córka powinna natychmiast przyjechać. Elizabeth dotarła do Kenwyn o jedenastej. Okazało się, że matka ma jedną rękę sparaliżowaną i prawie nie może mówić. Elizabeth zjadła w milczeniu posiłek z ojcem, stawiając czoło temu, co nieuniknione. Nie miała teraz wyboru. W Trenwith była już jedna przykuta do łóżka kobieta, którą nieumiejętnie opiekowała się wiejska dziewczyna wynajęta przez Elizabeth. Chynowethowie dostarczają niewiele pieniędzy, za to ich przyjazd będzie się wiązał z mnóstwem kłopotów. Patrząc w przyszłość, Elizabeth przewidywała, że jej jedynymi towarzyszami będą choroba, starość i odpowiedzialność.

Kiedy snuła te rozważania, pojawił się George Warleggan i oznajmił, że dowiedział się niedawno o chorobie jej matki. Przyjechał prosto z banku; prosił o wybaczenie, że jest nieco niestarannie ubrany; okazywał niezwykłą serdeczność państwu Chynowethom, ale szczególną Elizabeth Poldark.

Opowiedziała mu o wszystkim, a później spokojnie oznajmiła, co zamierza zrobić. Kiedy rozmawiali, jej ojciec wyszedł z pokoju. Przez trzydzieści lat wykonywał polecenia żony i był teraz bezradny, dryfował niesiony przypadkowymi prądami.

Młodzi rozmawiali przez pewien czas. George wyraźnie nie miał ochoty odejść i uważnie obserwował Elizabeth.

– Wiesz, czego pragnę? – spytał w końcu.

– Nie.

– Pragnę, moja droga Elizabeth, byś pozwoliła mi załatwić wszystkie sprawy, pozwoliła urządzić w Trenwith osobną kwaterę dla twojej matki, by cię uwolnić od niepotrzebnych kłopotów.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– Dlaczego? Jesteś taka krucha, Elizabeth. Lękam się o ciebie. Nie można oczekiwać, że lilia wytrzyma zimowe wichury. Kwiat potrzebuje opieki. Ty jej potrzebujesz. Mogę ci ją zaoferować.

Zerknęła na niego spod opuszczonych rzęs. Jej twarz była blada i ściągnięta, lecz nie sprawiała wrażenia nieprzyjaznej.

– Jesteś naprawdę bardzo dobry, ale czuję się silniejsza, niż na to wygląda. Muszę być silna właśnie teraz i przez kilka najbliższych lat. Ubolewam z tego powodu, nawet nie wiesz, jak bardzo, ale tak musi być. Trzeba pogodzić się z losem.

– Ale nie należy przyjmować tego, co ja chciałbym dać, prawda? Czy tak?

Uśmiechnęła się do niego.

– Przyjęłam już tak wiele...



– Och... – Machnął ręką. – Drobnostki dotyczące mojego chrześniaka, bardzo niechętnie akceptowane, oraz pewne ustępstwa w kwestii długów Francisa. Ale nic dla siebie. A teraz nic dla swojej matki. Chciałbym coś dla niej zrobić.

Niegdyś był to najskuteczniejszy sposób pozyskania sympatii Elizabeth; tak było i tym razem.

– Wiesz, że bardzo cenię to, co zrobiłeś dla niej w przeszłości, George. Twoja dobroć sprawia, że wstyd mi czegokolwiek odmawiać. Ale to, co sugerujesz...

– Gdybyś nie odmówiła mi jednej rzeczy, rozwiązałyby to wszystkie problemy.

– Czego nie odmówiła?

– Siebie.

Odwróciła się nieco, mając nagle wrażenie, że znalazła się na skraju przepaści. Od dawna wyczuwała jej istnienie, nie zwracała jednak na nią uwagi, bo uważała, że stoi pewnie na ziemi. Nie było niebezpieczeństwa – chyba żeby pozwoliła George'owi na zbyt wiele. Teraz niespodziewanie równowaga została zachwiana.

– Zanim odpowiesz, pozwól mi coś dodać – ciągnął George. – Chociaż nigdy o tym nie mówiłem, ośmielałem się przypuszczać, że musisz wiedzieć, iż kocham cię od dziesięciu lat, od naszego pierwszego spotkania. W tym czasie służyłem ci, jak mogłem: spłaciłem połowę długów karcianych Francisa wobec mojego kuzyna Sansona, zrezygnowałem z odsetek od jego długów w naszym banku, nie myślałem o odwecie, gdy nieustannie mnie obrażał. Robiłem to chętnie i zrobiłbym dwa razy więcej, gdyby pojawiła się okazja – sama o tym wiesz. Po śmierci Francisa służyłem ci tak, jak mi na to pozwalałaś, i będę to robił, nie myśląc o tym, co mogę zyskać.

– Tak – odpowiedziała. – Jestem ci bardzo wdzięczna, wyjątkowo wdzięczna...

– Ale teraz proszę, żebyś mnie poślubiła. Jak powiedziałem, kocham cię. Myślę, że mnie lubisz i szanujesz, i sądzę, że z czasem taka sympatia stanie się czymś więcej, czymś bliższym niż wspólne zainteresowanie. – Zgarbił się i popatrzył na Elizabeth. Nie odsunęła się i widział jej twarz. Miał wrażenie, że na jej bladych policzkach pojawiły się lekkie rumieńce. Zdawał sobie sprawę, jak wiele zależy od wyniku tej rozmowy, lecz pochlebiał sobie, że argumentuje w sposób przekonujący. – Nie mogę ci ofiarować arystokratycznego nazwiska, kochanie, ale mogę ofiarować pewien rodzaj poloru, który pozostaje w ścisłej zgodzie z obowiązującymi regułami, bo pojawił się dopiero w poprzednim pokoleniu. Jeśli chodzi o kwestie materialne...

– Proszę... – przerwała.

– Wiem, że nie poślubiłabyś mnie dla pieniędzy, majątku. Gdybyś to zrobiła,

nie byłabyś osobą, za jaką cię uważam. Ale chcę powiedzieć, co mogę ci zaoferować, nawet ryzykując, że cię obrażę.

Elizabeth jeszcze mocniej zacisnęła wargi, jakby znów chciała zaprotestować. Spoglądała przez okno na żywopłoty i drzewa z bujnymi konarami poruszonymi przez wiatr.

– Mój ojciec obiecał, że po zawarciu przeze mnie związku małżeńskiego wyprowadzi się wraz z matką z Cardew – mówił George. – Oznacza to, że będę mógł zamieszkać z żoną we dworze cztery razy większym od Trenwith, w którym wszystko jest prawie nowe, z dwudziestoma służącymi i parkiem o powierzchni dwustu hektarów. Widziałas Cardew, więc wiesz. Gdybyś mnie poślubiła, Trenwith mogłoby zostać odremontowane i umeblowane: stałoby się naszym drugim domem, gdzie mieszkaliby twoi rodzice z odpowiednią służbą i gdzie moglibyśmy ich odwiedzać tak często, jak tylko byś chciała. Mam własną karecię, ty mogłabyś mieć drugą, gdybyś jej potrzebowała, a nawet dwie lub sześć, gdyby sprawiało ci to przyjemność. Mógłbym zabrać cię do Londynu lub Bath i wprowadzić w tamtejszy wielki świat. Miejscowe towarzystwo wydaje mi się w tej chwili nieco zbyt prowincjonalne. Wziąłem na siebie odpowiedzialność za edukację Geoffreya Charlesa, ale gdyby został moim pasierbem, jego sytuacja by się zmieniła. Jestem dziedzicem fortuny Warlegganów. On również stałby się jej dziedzicem. Jesteśmy ciągle młodzi, Elizabeth. Możemy bardzo wiele osiągnąć, jeśli tak postanowimy. Przez dziesięć lat żyłaś w klatce. Pozwól mi, bym przekręcił klucz.

„Wziął go zaś djabeł na górę wysoką bardzo i ukazał mu wszystkie królestwa świata i chwałę ich, i rzekł mu: To wszystko dam tobie...”<sup>1</sup>. Był to jeden z cytatów z Ewangelii odczytanych w ostatnią niedzielę w kościele w Sawle, gdy Elizabeth siedziała samotnie z Geoffreym Charlesem w ławce Poldarków.

Wzięła ze stołu torebkę i zaczęła w niej szperać, nie wiedząc, czego szuka. Nie odzywała się. George czekał. W salonie zrobiło się ciemno, meble tonęły w półmroku, ale promienie odbite w lustrze nad kanapą oświetlały masywną, napiętą, zaniepokojoną twarz Warleggana. Elizabeth miała świadomość, że każda chwila oczekiwania zwiększa nadzieje George'a. Ku swojemu zdumieniu zdała sobie sprawę, że udzielenie pozytywnej odpowiedzi nie jest już niemożliwe. Czuła, że życie w hipnotyczny sposób skłania do zaakceptowania sytuacji, która kiedyś, jeszcze nie tak dawno temu, byłaby nie do pomyślenia. W dalszym ciągu miała w sobie dość krytycyzmu lub dystansu, by zauważać niezręczność propozycji George'a, a jednak rozsądek podpowiadał jej, że ani jedna z jego obietnic nie jest przesadzona czy nieprawdziwa. Mógł jej to wszystko dać. On, George Warleggan, stał się dla niej kimś bliskim. Znała go od tak dawna, że przestała właściwie doceniać jego osiągnięcia i urok, lecz w gruncie rzeczy był człowiekiem budzącym respekt, bogatym, potężnym, wpływowym, mogącym czynić dobro lub zło, ciągle młodym, o znośnej prezencji. Stał się osobistością, wiele znaczył i z upływem

czasu miał znaczyć jeszcze więcej, a teraz ofiarowywał jej to wszystko za cenę małżeństwa. Jej synowi nigdy niczego nie zabraknie, wszystkie jej problemy zostaną rozwiązane. Wszystkie z wyjątkiem jednego, nowego – problemu George’a.

– Elizabeth – rzekł. – Czy mogę mieć nadzieję, że...

Natychmiast powstrzymała go ruchem dłoni i na jej twarzy pojawił się rumieniec.

– Nie, proszę, nie chcę, żebyś myślał...

Chciała odrzucić oświadczyzny George’a, lecz umilkła w pół słowa. Na piętrze znajdowali się jej rodzice: przykuta do łóżka i pełna lęku matka oraz niezdecydowany i wiecznie narzekający ojciec. Jechała tu konno w deszczu, a dziś wieczorem lub jutro rano musi wrócić do Trenwith, pogrążonego w mroku i pozbawionego ogrzewania, z mnóstwem problemów, które należy rozwiązać. Czekają ją lata samotności i opieki nad chorymi rodzicami. A po drugiej stronie znajdowało się światło, ciepło, przyjaźń i troska.

– Och, George... – westchnęła i uniosła dłonie do zaróżowionej twarzy. – Nie wiem, co powiedzieć.

Natychmiast znalazł się przy niej, delikatnie otoczył ją ramieniem, czując niespodziewany triumf, którego nie ośmielał się oczekiwać, choć zdawał sobie sprawę, że w dalszym ciągu wszystko się waży.

– Nie mów nic więcej, najdroższa – powiedział. – Ani słowa więcej, proszę.

– Jestem taka przygnębiona. Błagam, nie każ mi teraz odpowiadać.

– O nic nie proszę. Pozwól mi tylko dawać.

– Ale jeśli dajesz...

– Nie mów nic więcej, Elizabeth.

– Muszę... Ta samotność... Nie wyobrażałam sobie takiego życia, brak drugiej osoby, męża... Ale udawać, pozwolić ci myśleć...

– Na razie nie myślę, Elizabeth. Mam nadzieję. Nie tylko ty jesteś samotna. Mężczyzna również może odczuwać samotność, zwłaszcza jeśli kochał kogoś tak długo i tak beznadziejnie jak ja ciebie.

Siedzieli tak przez pewien czas. Elizabeth opuściła głowę, jakby została pokonana, a George trzymał swoją wysoko jak zwycięzca. Spoglądał ponad jej jasnymi włosami na dziki, porośnięty chwastami ogród i na deszcz. Spoglądał na strużki wody spływające po szybie.

Chociaż świadomie tego nie planował, nagle uznał, że ma przed sobą olśniewające perspektywy. Po pierwsze, zdobędzie kobietę, którą od dawna kochał i której od dawna pragnął, a po drugie, zada śmiertelny cios swojemu najgorszemu wrogowi. Czuł, że niewielu ludzi potrafi dokonać tego jednocześnie.

## *Rozdział trzeci*

Żyła cyny nie znikła. W ciągu tygodnia odkryli ogromne masy rudy. Nikt nie wiedział, jak daleko się ciągną, lecz Ross czuł, że udzieliła mu się odrobina powszechnego podniecenia. Po kolejnym tygodniu wydobywali na powierzchnię duże ilości urobku i mimo trudności związanych z kruszeniem minerału pojawiła się perspektywa zysków.

Aby ograniczyć koszty, zawieszono wszelkie poszukiwania rudy miedzi – w większości i tak bezowocne. Należało podjąć inne ważne decyzje. Pozostawili w skale puste komory w miejscach, z których wybrano rudę. Wkrótce dalsza praca bez stemplowania stanie się niebezpieczna. W tej chwili stemplowanie byłoby zbyt kosztowne, bo żadna żyła nie ma stałej średnicy i jakość rudy stale się zmienia. Zamiast eksploatować ją w nienaukowy sposób, powinni drążyć serię chodników biegnących pod kątem prostym i na różnych poziomach, pozostawiając filary podtrzymujące wyrobisko. Tak powinna wyglądać metodyczna praca, ale brak kapitału zmuszał ich do oszczędności.

W okolicy nie rozeszły się plotki na temat ważnych decyzji podjętych w Cusgarne. W czasie wizyty w Truro Ross spotkał się z Richardem Tonkinem, którego nie widział od roku, i powiedział mu o odkryciu złoża cyny. Tonkin uznał to za zachęcające na podstawie swoich doświadczeń, a były one duże, gdyż pełnił niegdyś funkcję zarządcy United Mines. Nie zajmował się już górnictwem, ponieważ pół roku wcześniej kupił niewielki zakład szkutniczy w East Looe do spółki z Harrym Blewettem – kolejną ofiarą bankructwa Carnmore Copper Company – któremu Ross pożyczył pieniądze w chwili katastrofy. Przedsięwzięcie Tonkina i Blewetta okazało się bardzo dochodowe.

Poldark rozstał się z Tonkinem nieco podniesiony na duchu jego uwagami. Jeśli człowiek potrafi wytrwać i osiąga nawet najskromniejsze zyski, usprawiedliwia to jego istnienie, pozwala utrzymać rodziny górnikom pracującym w kopalni, pomaga wszystkim biorącym udział w przedsięwzięciu odzyskać szacunek do samych siebie.

W czasie następnego weekendu Verity, siostra Francisa, złożyła wizytę Elizabeth. Nie odwiedzała Trenwith od śmierci brata, lecz otrzymała zaproszenie już dawno, a poza tym w pewnym momencie zaprzyjaźniła się ze szwagierką. Elizabeth również nie chciała się wycofywać, choć miała zamęt w głowie i sercu... Verity przywiozła swojego pasierba, Jamesa Blameya, który niespodziewanie otrzymał kilkudniowy urlop. James był młody, hałaśliwy i serdeczny, okazywał Verity sympatię w chłopięcy, szorstki, a zarazem życzliwy sposób. Jego obecność sprawiła, że wszyscy zapomnieli o upiorach przeszłości.

Kiedy dowiedzieli się o chorobie pani Chynoweth, okazali wielki niepokój

i postanowili natychmiast ją odwiedzić, lecz Elizabeth nie chciała o tym słyszeć. Matka jest pod dobrą opieką – w tej chwili. Zaangażowano pielęgniarkę i dwóch nowych służących. Można tylko czekać i mieć nadzieję, że za kilka tygodni dojdzie do siebie na tyle, by przywieźć ją do Trenwith. Verity zastanawiała się, dlaczego zwrot „w tej chwili” tak często pojawia się w ustach Elizabeth.

James zachwycił się urodą Elizabeth – podobnie jak wielu młodych ludzi. Spędzał czas, cwałując po okolicy na pożyczonej chabecie. Towarzyszył Verity w czasie kilku wizyt u starych przyjaciółek i pojechał z nią do Nampary na niedzielny obiad i podwieczorek. Demelza nie mogła się ich doczekać. Mocno przytuliła Verity, a Ross uściskał dłoń Jamesa Blameya, następnie James powitał się z Demelzą pocałunkiem, i dopiero po kilku chwilach mogła zadać pytanie, którego nie chciał zadać Ross.

– Elizabeth z wami nie przyjechała?

– Nie. Miała taki zamiar, ale rozboleła ją głowa. Bardzo się martwi o matkę. Przesyła wam pozdrowienia i przeprosiny.

Weszli do domu, po czym rozmawiali i śmiali się swobodniej niż w obecności Elizabeth. Kiedy mówili o wyprawie morskiej Rossa na spotkanie z Markiem Danielem, Verity wyjrzała przez okno i zauważyła, że z komina kopalni ciągle bucha dym, co potwierdzało jej wcześniejsze wrażenie.

– Widzę, że jeszcze się nie poddałeś.

Ross wyjaśnił:

– Ledwo wiążemy koniec z końcem i wszystko się przeciwko nam sprzysięgło. Ale w tym tygodniu ruda była znakomitej jakości. Na szczęście, bo każdy wydatek musimy opłacać pieniędzmi uzyskanymi ze sprzedaży bieżącego urobku. Uskok w żyle oznaczałby koniec.

– Wiecie, że jeszcze nigdy nie byłem w kopalni? – odezwał się tubalnie James Blamey. – To nietypowe zaniedbanie z mojej strony. Jak głęboka jest pańska zęza, kapitanie? Czy schodzi się po drabinie, czy zjeżdża w nowoczesnej klatce?

– Może po obiedzie James mógłby zejść na dół, Ross? – spytała Demelza.

– Naturalnie.

– Ha! Bardzo chciałbym obejrzeć kopalnię, choć wyobrażam sobie, że marsz w odwrotną stronę niż zwykle przyprawi mnie o zawroty głowy – powiedział James. – Kiedy człowiek wspina się na wanty fokmasztu, bardzo przyjemnie spoglądać na pokład w dole, nawet jeśli ma rozmiar biletu wizytowego. Jeśli w kopalni nagle puszcze drabinę, chyba wylecę na powierzchnię!

Tuż przed obiadem przyjechał Dwight. Tydzień wcześniej Demelza rozmawiała z nim o fiasku jego planu poślubienia Caroline i teraz czuła się bardziej niż kiedykolwiek odpowiedzialna za jego samopoczucie.

Młody lekarz, choć przygnębiony, nie zepsuł nastroju uczestnikom przyjęcia, ponieważ bardzo się zainteresował Jamesem Blameyem i warunkami medycznymi

panującymi na okrętach marynarki wojennej. James śmiał się z jego pytań. Na morzu nikt nie ośmiela się chorować. Jeśli ktoś choruje, dostaje lewatywę albo środek wymiotny, zależnie od tego, co mu dolega. W czasie ostatniego rejsu na okręcie Jamesa zmarło na szkorbut trzydziestu ludzi. James opuścił Thunderera i rozpoczął służbę na fregacie Hunter w eskadrze pod komendą admirała Gella. Obecnie kotwiczyli w cieśninie Plymouth, lecz mieli rozkaz wyjścia w morze w przyszłym tygodniu. Cel rejsu jest jak dotąd nieznany, lecz prawdopodobnie popłyną na Morze Śródziemne. James, podobnie jak kapitan McNeil, obawiał się, że wojna zakończy się tak szybko, że nie zdąży wziąć w niej udziału.

Po obiedzie Dwight odjechał, a Ross zabrał Jamesa do kopalni, toteż dwie kobiety zostały same.

Na początku rozmawiały o Jeremym, a później nagle Verity zmieniła temat i zagadnęła:

– Powiedz mi, kochanie, czy zauważyłaś coś dziwnego w zachowaniu Elizabeth?

– Dziwnego? – spytała Demelza, nagle czujna. – Prawie jej nie widzimy.

– Trudno to określić. Ale chyba szybko się otrząsnęła z tej bolesnej straty, prawda? Och, wiem, że minęło już pół roku, nikt się nie spodziewa, że będzie wiecznie w żałobie, ale wydaje się trochę inna, spięta, jakby skrycie podekscytowana. W czasie rozmowy kilka razy ugryzła się w język, jakby obawiała się powiedzieć za dużo.

– W rozmowie z tobą? Podczas tego weekendu?

– Tak. Uważam, że to nie imaginacja. Dość dobrze ją znam, bo długo mieszkaliśmy pod jednym dachem. Wygląda, jakby się spodziewała, że w jej życiu coś się zmieni.

Coś już się zmieniło, pomyślała Demelza, przypominając sobie sześćset funtów.

– Powinnaś spytać Rossa – powiedziała.

Verity spojrzała na Demelzę.

– W twoim głosie jest cień goryczy, moja droga. Jesteś pewna, że masz jakieś powody?

Demelza szybko spojrzała na Verity, a później się uśmiechnęła.

– Goryczy? Wcale jej nie czuję. Wiem, że Ross kochał kiedyś Elizabeth, więc nie byłabym normalną kobietą, gdybym się nie zastanawiała, o czym rozmawiają, kiedy ją odwiedza, prawda? Ross mi o tym nie opowiada, a ja jestem zbyt dumna, by pytać, więc nic nie wiem. – Wstała, spojrzała na Verity, po czym pochyliła się i pocałowała ją w czoło. – Nie mówiłabym tego, gdybyś mnie nie spytała, ale to zrobiłaś, dlatego odpowiedziałam. Verity, masz ochotę na filiżankę herbaty? Jest wcześniej, ale zaschło mi w ustach od mówienia.

– Chętnie. Ale pozwól mi powiedzieć... Nie mówię tego, by cię uspokoić...

Gdyby Ross...

– Nie – przerwała Demelza. – Sądzę, że nie powinnaś próbować mnie uspokoić. Moim zdaniem posiadanie męża to prosta rzecz podobna do chodzenia do kościoła. Albo się wierzy, albo nie. Jeśli nie wierzymy, nie ma sensu chodzić do kościoła, prawda? Jeśli wierzymy mężowi, nie ma potrzeby nieustannie żądać dowodów wierności.

– To pogląd zasługujący na podziw...

– O tak, a ja nie zawsze zasługuję na podziw. W gruncie rzeczy rzadko. Ale to prawda i jest to ważniejsze od uczuć, których człowiek czasami doświadcza. Verity, powiedz mi dla odmiany coś o sobie. Jesteś szczęśliwa, całkowicie szczęśliwa? Bardzo lubię Jamesa. Chciałabym, żeby Jeremy wyrósł na kogoś takiego jak James. Jest jak zachodni wiatr, silny, czysty, bez odrobiny złośliwości. Myślę, że się w tobie zakochał.

Verity zauważyła uśmiech Demelzy i szybko go odwzajemniła.

– Kocham Jamesa jak własnego syna. Tak, jestem szczęśliwa, Demelzo, choć obawiam się o Andrew. Jak dotychczas statki pocztowe nie miały kłopotów. Andrew mówi, że płynie dalej na zachód, by uniknąć możliwego ataku. Ale musi przepłynąć dość wąskim przesmykiem między wyspami Scilly a Ushant, a dziś nigdy nic nie wiadomo. Znasz to uczucie.

Kiedy znaleźli się w łóżku, Demelza powiedziała Rossowi, że Verity spodziewa się dziecka.

– Co takiego?! – Ross wsparł się na łokciu. – To ci niespodzianka! Wspaniałe nowiny! Jesteś pewna?

– Sama mi powiedziała. Na razie to sekret. Andrew jeszcze nie wie i Verity chce przez pewien czas utrzymać sprawę w tajemnicy. Czy to nie wspaniałe? Jestem szczęśliwa.

– Ja również. Kiedy narodziny?

– Mniej więcej w październiku.

– Verity skończy w tym roku trzydzieści pięć lat. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

– Och, wcale nie jest za stara na dziecko, Ross, choć chyba trochę się obawia z tego powodu. Andrew będzie czuł się dziwnie, bo jego córka ma prawie dwadzieścia lat, ale wiem, że będzie szczęśliwy, i namawiałam ją, by jak najszybciej mu powiedziała.

– Nie zauważyłem, żebyś lubiła szybko przekazywać takie wiadomości. Nawiasem mówiąc, już dwa razy miałem o to do ciebie pretensje.

– Nie mówmy o tym teraz – poprosiła.

Później, w ciemności, wróciła do problemu, nad którym zastanawiała się przez całe popołudnie. Dlaczego Elizabeth zasugerowała Verity, że jej życie wkrótce się zmieni? Otrzymała sześćset funtów. W jaki jeszcze sposób może się

zmienić jej sytuacja? Nie miało to żadnego sensu. Im dłużej Demelza zastanawiała się nad kolejnymi możliwymi wyjaśnieniami zagadki, tym mniej wydawały się przekonujące.

W końcu pogrążony w półśnie Ross powiedział:

- Moja droga, czy coś cię swędzi, że wierzysz się przez całą noc?
- Przepraszam. Nie mogę zasnąć. Postaram się zachowywać spokojniej.
- Czymś się martwisz? A może źle się czujesz?
- Nie, nie, nic mi nie dolega. Po prostu nie mogę zasnąć. Poprawię się.

Łatwo obiecywać. Próbowwała się odprężyć, lecz po chwili znów zaczęła myśleć. Jej przypuszczenia podążyły w innym kierunku.

Czy Ross i Elizabeth planują wspólną ucieczkę? Czy to na tym ma polegać zmiana w życiu Elizabeth? Nie przysporzyłoby jej to majątku, lecz może nie zależy jej na pieniądzach? Demelza traktowałaby tę sprawę poważniej, gdyby Ross nie leżał w tej chwili koło niej. Zasnął i oddychał równo i spokojnie. Miała wrażenie, że nie jest to wcale nieprawdopodobne, ale ponieważ dobrze знаła Rossa, była pewna, że nie postąpiłby w ten sposób. Był zbyt uczciwy, aby uciec w tajemnicy. Gdyby zamierzał ją opuścić i odejść do Elizabeth, zmusiłby się, by jej o tym powiedzieć.

Bardzo dobrze, więc może powie, gdy przyjdzie czas. Może Elizabeth oznajmiła: „Ukrywaj to przed nią, jak długo się da – dla jej dobra”. Demelza wyobrażała sobie w mroku nocy, jak Elizabeth wypowiada te słowa. Ale nawet to nie pasowało do zachowania i nastrojów Rossa. Wczoraj był wesoły, od chwili śmierci Julii nie widziała go w równie dobrym humorze. To z powodu kopalni, nie Elizabeth. Demelza dałaby głowę, że miał dobry humor z powodu kopalni, a nie kobiety.

A może w życiu Elizabeth pojawił się George Warleggan? Demelza nagle zeszytniała. Coś, co powiedział sir Hugh Bodrugan. Nie wspomniała o tym Rossowi. Aluzja, nic więcej. Czy sir Hugh o czymś wie?

Gdyby Demelza miała w tej chwili pewność, że zagadka, którą próbuje rozwikłać, dotyczy tylko Elizabeth i George'a, nie zajmowałaby się nią dłużej. Ale nie miała żadnej pewności...

A zatem jutro...

Zdawała sobie sprawę, że wizyta u sir Hugh Bodrugana to stąpanie po kruchym lodzie. Ross stanowczo nie życzył sobie, by zachęcała Bodrugana do okazywania jej uwagi. Ponadto coraz trudniej było utrzymać Bodrugana na dystans, nawet jeśli najczęściej był po prostu miły. Krążyły plotki, że głęboko zaangażował się w romans z kobietą o nazwisku Margaret Vosper. Jeśli nawet była to prawda, jego zainteresowanie Demelzą nie zmalało. Może łatwe zwycięstwo sprawiło, że miał mniej cierpliwości do kobiet, które długo go zwodziły.

Aby uniknąć tych dwóch niebezpieczeństw lub chociaż je zmniejszyć,



Demelza czekała do środy, gdy Ross miał spędzić większość dnia w kopalni, i pojechała rano, kiedy sir Hugh nie był tak pełen wigoru.

Okazało się, że ma pecha, ponieważ sir Hugh wyjechał i spodziewano się go dopiero w porze obiadu. Constance Bodrugan również wyjechała wraz ze swoimi psami, więc Demelza wypila filiżankę czekolady z jedynym mieszkańcem dworu, który mógł dotrzymać jej towarzystwa, choć miała najmniejszą ochotę się z nim widzieć.

Nie oczekiwała, że znowu spotka Malcolma McNeila, i spodziewała się, że kapitan okaże jej lekką niechęć, ale powitał ją jak starą przyjaciółkę. Rękę w dalszym ciągu nosił na temblaku i przybrał na wadze z powodu przymusowej bezczynności. Wybierając się z wizytą do Werry House, Demelza zawsze wkładała swój najlepszy strój do jazdy konnej, a teraz miała wrażenie, że McNeil przygląda się jej śmieiej niż zwykle. Był to niewątpliwie skutek demoralizującego pobytu we dworze Bodruganów.

Kiedy usiłowała wymyślić najlepszą wymówkę, by odjechać, McNeil stwierdził, że jest piękny ranek, po czym zasugerował, że mogliby przejść się razem po parku i spróbować odnaleźć sir Hugh. Nie powinno być to trudne, ponieważ odławiał młode sarny i zapewne towarzyszą mu gajowi.

Zeszli po schodkach i ruszyli ścieżką między nieprzystrzyżonymi trawnikami. Demelza stawiała niezwykle długie kroki jak na kobietę.

– Jak się miewa kapitan Poldark?

– Doskonale, dziękuję. Jest bardzo zajęty kopalnią.

– Miałem nadzieję, że przed wyjazdem otrzymam zaproszenie, by państwa odwiedzić.

– Ostatnim razem przybył pan bez zaproszenia.

– Wykonywałem rozkazy. Tym razem odwiedziłbym państwa dla przyjemności.

– Wobec tego niech pan przyjedzie w dogodnym dla siebie momencie.

Wiem, że Ross będzie zadowolony ze spotkania z panem.

– A pani?

– Ja też, naturalnie. Kiedy pan wyjeżdża?

– Dopiero za kilka tygodni. Do tego czasu będzie mnie kurował państwa przyjaciel, doktor i przemytnik w jednej osobie.

– To bardzo dobry człowiek. I doskonały lekarz.

– Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego zadaje się z przemytnikami.

– Pytał go pan o to?

– Często.

– Jeśli nie chciał niczego wytłumaczyć, kapitanie, nie sądzę, że powinnam nawet próbować.

Szli w milczeniu i minęli stado ponad trzydziestu saren, które bez wyjątku

uniosły głowy i śledziły ich podejrzliwie, aż niebezpieczeństwo minęło.

– Kapitan Poldark był tamtej nocy gdzieś w domu, prawda?

– Sądzi pan, że odpowiem na to pytanie?

– Nie musi pani. Widziałem, że spodziewała się pani go zobaczyć w skrytce pod podłogą, gdy ją otworzyliśmy. Wiem, że widziała go pani tamtej nocy.

– Czy to sir Hugh, tam wśród drzew?

– Nie, on jeździ na kasztanowym koniu. Uznałem za prawdopodobne, że jeśli kazałbym komuś obserwować pani dom dostatecznie długo, odkrylibyśmy, gdzie się ukrywa kapitan Poldark.

– Kazał pan komuś obserwować dom?

– Nie.

– Dlaczego?

– Ze względu na panią.

Demelza zerknęła szybko na McNeila, spodziewając się zwyczajowej hipokryzji, lecz jej nie zauważyła.

– Szczerze mówiąc, to tylko połowa prawdy – ciągnął oficer. – Zrobiłbym tak, gdybym uznał to za swój obowiązek. Ale jestem żołnierzem, nie szpiegiem, i mam już dość tej sprawy. Schwymano kilku przemytników i koniec. – Podkręcił wąsa. – Teraz, gdy z mojego punktu widzenia wszystko odeszło w przeszłość, mam do kapitana Poldarka pretensje tylko o to, że poślubił tak uroczą kobietę.

– A ja nie mam pretensji do pana. Oczywiście, jeśli to prawda.

– Prawda. – McNeil zatrzymał się i Demelza również musiała przystanąć. Uśmiechnął się do niej. – A zatem rozumiem, że nie ma pani do mnie pretensji z powodu najścia pani domu?

W odpowiedzi obdarzyła go swoim najpiękniejszym uśmiechem.

– Bynajmniej. Nie mam do pana pretensji o to, co pan zrobił, i bardzo dziękuję za to, czego pan nie zrobił.

Skłonił się lekko.

– Weźmie mnie pani pod rękę? Oczywiście zdrową rękę? Zdaje się, że widzę w oddali sir Hugh i że należałoby zbliżyć się do niego w godny sposób.

W końcu Demelza zdobyła potrzebne informacje, choć nie bez manewrów taktycznych. Powiedziała, że przyjechała zobaczyć nowy siewnik, o którym Bodrugan wspomniał w czasie ostatniej wizyty. Było to kiepskie usprawiedliwienie, lecz sir Hugh okazał się na tyle uczynny, że przerwał swoją pracę, by pokazać działanie siewnika. Na szczęście okazało się, że pozbycie się McNeila leżało w interesie zarówno Bodrugana, jak i Demelzy, więc w końcu udało im się zostać na osobności.

– Nasiona wsypywane do komory są rozsiewane w równych odstępach, podobnie jak w starym siewniku Jethro Tulla, a udoskonalenie polega na tym, że...

– mówił sir Hugh. – Dlaczego pojawia się pani rano, moja droga, przerywając mi

pracę? Do licha, przecież w ciągu tygodnia są trzy wolne wieczory, prawda? Środowy wieczór nie jest dobry, bo jestem często zajęty, ale w czwartki, soboty i poniedziałki ugospczę panią w sposób godny młodej damy takiej jak pani. Proszę przyjechać w sobotę, Connie często wyjeżdża i...

– Moim zdaniem oglądanie siewnika po ciemku to niezbyt dobry pomysł.

– Ach, owszem, ale gdyby pani przenocowała, pokazałbym pani siewnik w niedzielę rano. Mielibyśmy powód, by nie jechać do kościoła.

– Co powiedziałyby na to mój mąż, jak pan sądzi?

– Co takiego? A co miałyby powiedzieć? Czy psułyby nam zabawę? W takim razie niech pani przyjedzie, gdy nie będzie go w domu i nie zauważy różnicy. Mam pewien pomysł...

– Sir Hugh, miał mi pan powiedzieć, na czym właściwie polega ulepszenie siewnika.

Bodrugan prychnął niecierpliwie i wyjaśnił, o co chodzi. Po chwili Demelza rzekła:

– Kiedy ostatnio mnie pan odwiedził, wspomniał pan o George'u Warlegganie i Elizabeth Poldark, podobno George się do niej zaleca? Jest pan pewny, że to prawda? Dlaczego mi to pan powiedział?

Ręka sir Hugh zawisła nad dłonią Demelzy, trzymającą dźwignię siewnika. Gęste brwi Bodrugana przypominały włochate gąsienice.

– Cóż, plotki, to wszystko.

– Jakie plotki?

– To, co powiedziałem. A teraz, niech pani posłucha...

– Jakie dokładnie plotki, sir Hugh?

– Że George Warleggan poważnie się nią interesuje. Ni mniej, ni więcej. Zresztą jestem zaskoczony, że do pani nie dotarły. Plotki to zawsze miły temat przy herbacie, zwłaszcza rubaszne plotki. Opowiem pani niektóre, gdy przyjedzie pani w sobotę.

– O Elizabeth i George'u?

– Nie, nie wiem nic więcej i nie pamiętam, gdzie to słyszałem. Zaraz, zaraz, było jeszcze coś. W poniedziałek zamawiałem w Truro kilka nowych halsztuków i mój krawiec powiedział mi w zaufaniu, że George kazał sobie uszyć ślubny frak. „To na razie tajemnica”, mówił. Nie mam pojęcia, jakie są naprawdę stosunki George'a Warleggana z waszą kuzynką. Albo zamierza załatwić wszystko legalnie, albo zrobić z niej swoją metresę. Ze względu na panią mam nadzieję, że to pierwsze, bo gdyby Poldarkowie skoligacili się z kimś takim jak George Warleggan, byłaby to dla nich wielka rzecz. Chciałbym, żeby Connie znowu wyszła za mąż za kogoś równie bogatego. Potrzebujemy pieniędzy. Stale ją namawiam do małżeństwa, ona też mnie namawia, ale ja mówię, że się do tego nie nadaję. Ona na to, że lubię sypiać z kobietami, więc będę mógł sypiać z żoną.

Jedyna różnica to nabożeństwa i złota obrączka, prawda? Ale nie znoszę myśli o złotej obrączce, bo żony nie da się pognać na pastwisko jak rasową klacz. A teraz, moja droga, kiedy przyjedzie pani w sobotę...

– Przykro mi, sir Hugh, ale w sobotę jestem zajęta. Rozumie pan...

– A zatem w sobotę za tydzień. Connie pojedzie z tym oficerem...

– Bardzo mi przykro, sir Hugh.

– Diabelnie oporna z pani lisica, proszę mi wybaczyć to określenie. Gdybym pani tak nie lubił... w ogóle bym pani nie lubił.

W dalszym ciągu trzymał Demelzę za rękę.

– Cieszę się, że pan mnie lubi, sir Hugh – powiedziała. – Ja także pana lubię i przykro mi, że jest pan niezadowolony. Ale powiedział pan, że traktuje kobiety niczym rasowe klacze, które można pognać na pastwisko, kiedy się chce. Czy zatem nie może pan wybaczyć kobiecie, że chce galopować tam, gdzie się jej podoba, bez mężczyzny, który mówiłby jej, dokąd ma iść? Czy czasem nie powinien istnieć wyjątek od reguły? Czy wszystkie kobiety muszą być dokładnie takie same, by zyskać pana aprobatę?

Bodrugan spoglądał na dekolt Demelzy, nie zwracając uwagi na jej argumenty. Podziwiał blady kolor skóry i uwypuklające się piersi.

– Coś pani powiem – rzekł. – Za kilka tygodni mam urodziny, myślimy z Connie o przyjęciu z tańcami. Tylko kilku przyjaciół, czterdziestu, może pięćdziesięciu. Pytaliśmy tu i tam i uważamy, że trzeba je zorganizować, dopóki wojna jeszcze trwa. Zrobimy to w naprawdę dobrym stylu, nie tak jak Trevaunance, który jest straszliwym dusigroszem. Orkiestra, wszystko, czego dusza zapagnie. Gdybym teraz usiadł i napisał oficjalne zaproszenie dla pani hardego męża, myśli pani, że przyjedziecie? Czy raczycie być moimi gośćmi?

Demelza spojrzała w małe oczka, usiłując się domyślić, jakie są ukryte motywy Bodrugana.

– Dziękuję, sir Hugh. Jest pan dla mnie bardzo miły. Znacznie miłszy, niż na to zasługuję.

– Nie potrafi pani ocenić, na co pani zasługuje. Proszę to pozostawić w moich rękach. Wierzę, że dostanie pani to, na co zasługuje.

Demelza przyjechała do domu przed powrotem Rossa i nie musiała się tłumaczyć, gdzie była. Odkryła to, co zamierzała odkryć, lecz nie czuła ulgi. Natychmiast zrozumiała, że nie może przekazać wieści mężowi, nie powinna nawet robić żadnych aluzji. Nie miała pojęcia, jaka byłaby jego reakcja, jak by postąpił. Wiedziała tylko, że nie chce być osobą, która go o tym poinformuje. Nie chciała być z nim w chwili, gdy się dowie.

## *Rozdział czwarty*

Mijały tygodnie. Zakwitły pierwiosnki i pierwsze dzwonki. Przyjaciel Dwighta wrócił do domu, a Dwight zasięgnął informacji w sprawie możliwości wstąpienia do marynarki wojennej w charakterze chirurga. Ale nie podjął dalszych działań, bo wojna dobiegała końca. Optymiści mieli rację – Francja znalazła się na skraju klęski. Generał Dumouriez, pokonany przez Austriaków, którzy wreszcie włączyli się do walki, poszedł śladem Lafayette’a i zasilł obóz wroga. Dwie trzecie prowincji zbuntowało się przeciwko Paryżowi. Inwazja na Holandię się nie powiodła, a Brytyjczycy zajęli Pondicherry i Tobago. Drugi rok z rzędu Paryż mógł w każdej chwili zostać zdobyty przez armię, która okazałaby dość przedsiębiorczości, by to zrobić. Niewątpliwie tym razem ktoś wreszcie tego dokona, nawet gdyby miał to być stary, dostojny książę Yorku.

Powszechny optymizm doprowadził do spadku cen miedzi i cyny. Lecz spadek ten nie zmienił sytuacji. Sukces lub klęska Wheal Grace w dalszym ciągu zależały od zdolności gospodarowania funduszami w okresie przejściowym, by utrzymać delikatną równowagę między wpływami a wydatkami. Sto funtów Henshawe’a już się rozeszło, lecz kopalnia funkcjonowała dzięki pożyczce udzielonej przez bank Pascoe’a a conto następnej partii cyny. Karawany mułów transportowały czarną rudę do Truro, a tam bank wystawiał traty na poczet czystego metalu, który można z niej uzyskać – kredyt ten pozwalał kopalni kontynuować wydobycie.

Większość zaoszczędzonych pieniędzy przeznaczano na inwestycje na powierzchni, gdzie należało powiększyć zakład przetwarzania rudy. Oznaczało to nie tylko zaangażowanie większej liczby robotników kruszących rudę i sortujących ją, lecz także zatrudnianie nowych ludzi, bo dobrzy specjaliści od miedzi często nie wiedzieli, jak postępować z cyną. Większość rudy wysyłano do stemplowni w kotlinie Sawle.

Drugiego maja znaleziono zwłoki Charliego Kempthorne’a. Unosiły się na morzu w pobliżu zatoki Basset. Dwight pojechał go zidentyfikować.

Trup leżał w wodzie przez kilka dni. Nie było żadnych oznak przemocy, lecz morze nie potraktowało go łagodnie. Dwight spoglądał przez chwilę na szczątki człowieka, którego wyleczył z suchot, co było jednym z jego nielicznych sukcesów medycznych.

Zdrajca, donosiciel, narzeczony Rosiny, żaglomistrz, ojciec, rozkładający się trup bez oczu. Nieszczery uśmiech zniknął, pozostała tylko zgnilizna. Dwight był obeznany ze śmiercią, ale nie zmniejszało to jego niesmaku. Im częściej widywał śmierć, tym mniej ją rozumiał. Błyskawiczne zniknięcie osobowości, gasnący płomyk świecy, po czym nie zostaje nic wartościowego ani interesującego, chyba

że dla chirurga, który może swobodnie ciąć skalpelem martwe ciało. Nie lubił przeprowadzania sekcji zwłok. Interesował się wyłącznie żywymi ludźmi, nawet gdy kłamali, oszukiwali i zdradzali przyjaciół.

Rosina Hoblyn odwiedziła Dwighta w stróżówce. Unikał jej od nocy, gdy pobił się z Kempthorne'em.

– Czy to prawda, że morze wyrzuciło Charliego na brzeg, doktorze? – spytała.

– Tak.

– Czy ktoś go zabił i wrzucił do morza?

– Nie wiem. To możliwe. Mógł też spaść z klifu.

– Charlie nigdy by nie spadł z klifu, doktorze. To wbrew jego naturze.

Dwight intuicyjnie czuł, że to prawda. Rosina знаła swojego narzeczonego.

– Mógł popełnić samobójstwo, sam się zabił. Na pewno nie był zadowolony z tego, co się stało.

– Ja też nie, doktorze.

– Jesteś nieszczęśliwa z powodu jego śmierci?

Gwałtownie się zarumieniła.

– Tak. Sama nie wiem... Zawsze był dla mnie dobry... Trochę mi go szkoda, a trochę się wstydzę, bo to przecież hańba. Nie mogę uwierzyć, że to ten sam człowiek. Najpierw był miły, a potem okazał się zdrajcą. Bardzo się wstydzę, jakbym sama w tym uczestniczyła, jakbym przez cały czas o wszystkim wiedziała. Ale nic nie wiedziałam, doktorze, ani przez chwilę!

– Oczywiście, że nie, Rosino. Nikt nie może podejrzewać, że coś wiedziałaś.

– Czasami ludzie dziwnie na mnie patrzą, jakby chcieli powiedzieć... Myślą, że jeśli wychodzisz za mąż za mężczyznę...

– Ciesz się, że nie wzięliście ślubu. Masz jakieś kłopoty z kolanem po tamtej nocy?

– Nie, doktorze. Jestem panu bardzo wdzięczna. Ale to takie dziwne... Gdyby pan nie przyjechał, by mi pomóc...

Dwight byłby żonaty i mieszkałby w obcym mieście, a Ross siedziałby w więzieniu lub został deportowany. Tak wiele, tak bardzo wiele zależało od przypadku, który zmienił bieg życia trojga, czworga, pięciorga, mnóstwa ludzi. A w centrum wydarzeń ta dziewczyna. Kolano Rosiny. Śmiechu warte... Po śmierci Francisa Ross skarżył się na nagłe kaprysy fortuny, które niszczą ludzkie wysiłki i starania. I znów tak się stało, w bardziej nieprzewidywalny sposób niż poprzednio.

Kiedy Rosina wyszła, Dwight poczuł pilną potrzebę podzielenia się z kimś troskami. Ludzie rozmawiali z nim o swoich kłopotach, lecz on sam nie miał się komu zwierzyć. Starał się nie myśleć o własnych problemach, które narastały, przypominały jątrzącą się ranę.

Wiedział teraz, że musi opuścić Kornwalię. Powinien odzyskać szacunek do samego siebie. Musi za darmo zrezygnować z rzeczy, z których nie chciał zrezygnować dla Caroline. To nie wszystko, problem nie był taki prosty, jak czasem sobie wmawiał, lecz wiedział, że nie może pozostać w Kornwalii, wspominając własne niepowodzenia.

Mógł porozmawiać tylko z dwojgiem ludzi, bo jedynie oni znali prawdę – lub jej część. Musiał jednak poszukać okazji, przełamać lody. Postanowił pojechać od razu, dłużej się nie zastanawiając, zanim pojawią się dawne wahania i skrupuły. Najważniejsze to zrzucić ciężar z serca. Odkąd jego przyjaciel Wright wrócił do domu, Dwight nie mógł znieść długich godzin samotności.

Był wietrzny, chłodny wieczór jak na początek maja, niebo zasnuwały niskie chmury. Po wzburzonym oceanie sunęły fale wysokie jak w czasie zimowych sztormów, a między ich szczytami, pokrytymi pianą, widać było plamy jaskrawej, oleistej zieleni. Horyzont zasnuwała szarawa mgiełka i Dwight mądrze odczekał chwilę na ganku stróżówki. Rzeczywiście, po chwili spadł deszcz niesiony porywistym wiatrem. Trwał kilka minut, po czym nagle ustał. Cały świat ociekał wodą, a na morze padły promienie słońca, tworząc zielonkawy łuk na powierzchni wody.

Znalazłszy się na szczycie wzgórza, zobaczył ludzi, z którymi chciał porozmawiać. Demelza zmiatała wodę ze schodków z taką energią, jakby się śpieszyła. Garrick leżał na mokrej trawie z nosem między przednimi łapami, czekając na jakiś wewnętrzny impuls, a może roztrzepaną kawkę, by popędzić przez dolinę. Ross wychodził z jednego z budynków kopalni.

Mieli się spotkać dopiero w pobliżu dworu i Dwight zorientował się, że Ross dotrze tam na długo przed nim. Nie śpieszył się. Z tej wysokości widział całą dolinę. Nagle Demelza zauważyła powracającego Rossa i pomachała mu ręką. Garrick, chociaż przez wszystkie lata spędzone w Namparze uparcie pozostawał psem Demelzy, powoli wstał i poszedł powitać pana.

W tej samej chwili Dwight poczuł lekkie drżenie ziemi i usłyszał dziwny dźwięk, którego źródła nie potrafił zlokalizować. Mógł to być wybuch daleko na morzu, ale w jakiś sposób wiedział, że nie o to chodzi. Kiedy minęło kilka sekund, doszedł do wniosku, że to złudzenie lub nagły podmuch wiatru.

Ross zatrzymał się i szturchnął Garricka w bok. Pies najwyraźniej to lubił; nie przepadał za głaskaniem i zdawał się gardzić każdym, kto tego próbował. Demelza zeszła po schodach, by porozmawiać z Rossem; stanęli w ogrodzie. W tym momencie Dwight dotarł do pierwszego rzędu głogów, których wierzchołki wyginały się pod ostrym kątem w podmuchach porywistego wiatru. Między głogami a jabłonią była pusta przestrzeń. Kiedy Dwight do niej dotarł, zauważył mężczyznę biegnącego z kopalni w stronę dworu. Spojrzał na Wheal Grace. Oprócz normalnego dymu buchającego z komina otaczała ją dziwna mgiełka, która

nie wydawała się ani dymem, ani parą. Nagle zauważył, że przeciwwaga maszyny parowej się zatrzymała.

Dwight również się zatrzymał. Z maszynowni wychodzili ludzie. Biegący mężczyzna nie dotarł jeszcze do Rossa, lecz Demelza go zauważyła. Oboje ruszyli mu na spotkanie. Dwight popędził w stronę kopalni.

W kornwalijskich kopalniach wypadki zdarzały się dość często – górnik spadał z drabiny i łamał nogę, wysadzanie skał było trudne i ryzykowne – ale poważne katastrofy należały do rzadkości. W ciągu pięciu lat pracy Dwighta w tych stronach nie doszło do żadnej. Ross biegł w kierunku szybu wraz z mężczyzną, nieco z tyłu podążała Demelza.

Jednakże Dwight dotarł na miejsce przed nimi. Pierwszym człowiekiem, którego spotkał, był Peter Curnow, który wyszedł z maszynowni. Miał szarą twarz, był umorusany.

– Co się stało, człowieku?! Co się stało?!

– Zawał, panie, na dole pełno trupów! Jack Carter przed chwilą wszczął alarm. Mówi, że czterech albo pięciu jest uwięzionych. Pozostali wychodzą!

– Są ranni?

– Tak, połowa albo i więcej!

– Posłuchaj, zrobisz coś dla mnie? Biegnij prosto do stróżówki i przynieś moją torbę i instrumenty. Spytaj Bone'a. Będzie wiedział, czego mi potrzeba.

– Tak, panie, już się robi! – Curnow popędził w dół wzgórza.

Wokół maszynowni unosiły się chmury kurzu. Rozpraszał je wiatr, ale na dole wciąż było gęsto od pyłu. Z szybu wyszło trzech lub czterech mężczyzn, nie wymagali pomocy lekarza – nic poważnego, zadrapania lub siniaki – jednak wielu zostało na dole. Niektórzy opatrywali rannych, a inni kopali.

Gdy rozmawiali, pojawił się Ross. Dwight widział malujące się na jego twarzy uczucia. Ogromna próżnia powstała wskutek pośpiesznej eksploatacji złóż cyny z każdym dniem była coraz większa. Nie wydawało się to bardzo niebezpieczne. Prowizoryczne stemple mogły wystarczyć. Inne kopalnie podejmowały podobne ryzyko. Takie komory często nie zapadały się przez dwadzieścia lat. Ale mieli pecha i nastąpił zawał. Żyła i górnicy zostali pogrzebani pod tysiącami ton skał.

W zawale zginęło dwóch górników, a trzech odniosło ciężkie rany. Dolna część kopalni uległa zniszczeniu: drabiny, rury do wypompowywania wody, platformy. W mdłym świetle świec i kłębach pyłu widać było tylko zwały roztrzaskanych skał, które w dzikim pośpiechu rozkopywało kilkanaście umorusanych postaci. Mogło zginąć pięciu ludzi, lecz trzech górników usłyszało pierwsze odgłosy pękania skał, wspięło się do góry i przywarło do ściany chodnika, nim runął strop. Najpoważniejsze rany odnieśli młody Ellery i Joe Nanfan, których odkopano dopiero po trzech godzinach. Dwight przebywał przez pewien czas na



dole, lecz szybko zdał sobie sprawę, że lepiej pomoże rannym na powierzchni, toteż wyszedł z kopalni wraz z pierwszym ciężko rannym. Cechownię zmieniono w lazaret, w którym leżało sześciu ludzi. Na początku w przypiływie paniki ktoś posłał po doktora Choake'a, a ten na pewien czas zapomniał o niechęci do młodego rywala. Jeden z górników miał strzaskane ramię i Choake amputował mu je nad łokciem, nim czująca mdłości Demelza zdążyła odwrócić głowę. Trzymając w ręku nóż, Choake rozglądał się za następnymi ofiarami i zmarszczył z niezadowoleniem brwi, rozczarowany, że nie ma już niczego do amputowania. Kiedy Dwight wyszedł na powierzchnię, Choake bandażował jednemu z górników ranę na głowie. Dwaj lekarze zamienili kilka chłodnych słów, po czym skupili się na pracy.

Ostatnich dwóch ocalałych wyniesiono na powierzchnię dopiero po północy i Dwight szybko się zorientował, że Joe Nanfan jest bliski śmierci. Spadła na niego belka, miał zmiążdżone prawe biodro, a na jego brzuchu rozrastała się wielka sina plama, bo doszło do obrażeń wewnętrznych. Był mokry od potu i ciężko dyszał. Dwight zrobił, co mógł: podał rannemu laudanum i obandażował brzuch, by podtrzymać jelita.

Ellery był nieprzytomny i miał głęboką ranę na skroni. Można było przeprowadzić trepanację czaszki, by usunąć kość naciskającą na mózg, i Choake uważał, że warto to zrobić, ponieważ przydałaby mu się praktyka w tego rodzaju operacjach, lecz w końcu postanowiono zostawić chorego w spokoju i obserwować jego stan.

Ross nie wychodził z kopalni przez całą noc, a Demelza miała świadomość, że istnieje groźba nowego zawału. Pozostali górnicy kopali na zmiany, Ross natomiast wciąż tkwił na dole. O czwartej Demelza chciała zejść do kopalni, lecz Dwight jej nie pozwolił. Zamiast tego posłał Gimletta, by poprosił Rossa o wyjście na powierzchnię. Ross przysłał odpowiedź, że wyjdzie, gdy nie zostanie już nic więcej do zrobienia.

Tuż po czwartej zaczęło świtać, ale ciemne niebo pokrywały strzępiaste chmury przypominające podarty płaszcz żebraka. O wschodzie słońca spadł kolejny deszcz i nad szczytem doliny pojawiła się tęcza. Demelza pomyślała, że już drugi raz czuwa w maszynowni, ale teraz maszyna nie pracuje. Zadrzała i przeciągnęła się w chłodnym porannym świetle – próbowała nie ziewać, zdając sobie sprawę ze zmęczenia i wstydząc się go. Na schodkach nad nią siedział Daniel Curnow, całkowicie nieruchomo, jakby zatrzymał się wraz z maszyną. Wokół zgromadziło się sześciu ludzi. Żona i synowie jednego z zabitych, dwie siostry i ojciec drugiego. Ciągłe wierzyli w cud. A jeśli miały się potwierdzić najgorsze wiadomości, chcieli przynajmniej zabrać do domów ciała bliskich.

O piątej Jim Ellery, który leżał bez ruchu owinięty kocami, odzyskał przytomność. Trepanacja nie była potrzebna. O siódmej zjadł trochę lekkiego rosołu, a o dziewiątej mógł iść do domu.

Ross wyszedł na powierzchnię o dziewiątej, spędziwszy na dole trzynaście godzin. Był śmiertelnie wyczerpany, nie miał siły mówić. Nie udało się odnaleźć dwóch pozostałych górników, a poziom wody powoli się podnosił.

Wbrew opinii Dwighta Joe Nanfan przeżył noc i trzy dni później zaczął dochodzić do siebie. Zafascynowany Dwight porównał go do owada, którego rozgziata się butem, a on biegnie dalej, jakby nic się nie stało.

Siódmego maja oficjalnie zamknięto Wheal Grace. Nie można było nic więcej zrobić. Ponowne dotarcie do żyły wymagałoby uprzątnięcia gruzu, co zajęłoby sześć tygodni. Zawał zniszczył dwadzieścia sążni rur do wypompowywania wody. Aby uruchomić pompy, nie wystarczyłoby i dwieście funtów.

Ross nie był nawet pewien, czy w ogóle chce znów uruchomić Wheal Grace. Kopalnia pochłonęła życie trzech ludzi. Od samego początku była pechowa.

Dziewiątego maja otrzymał list od Elizabeth.

## *Rozdział piąty*

Spędził cały dzień w Truro, znów uzgadniając z udziałowcami Wheel Radiant sprzedaż maszyny parowej. Miał wrażenie, że poświęca połowę życia na rozpoczynanie różnych przedsięwzięć, a drugą połowę na ich likwidację. Cóż, tym razem to naprawdę koniec. Od tej chwili będzie tylko uprawiał ziemię i żył w biedzie do końca swoich dni, uginając się pod ciężarem długów. Nie miał już kopalni ani udziałów w kopalni, i tak miało pozostać.

Bardzo przeżywał klęskę, lecz rzadko o niej mówił. Spoglądając wstecz, myślał niekiedy, że zbyt dramatycznie traktuje swoje rozczarowania z młodości. Z wiekiem człowiek rozumie, że nie ma sensu kopać stołu jak rozgniewane dziecko. Należy się pogodzić z pechem, przełknąć go, zapomnieć o bólu i udawać przed sobą i innymi, że nic się nie stało.

Była to trudna lekcja. Szczególnie dla Rossa.

Po południu spotkał się z Richardem Tonkinem. Przekazał mu wieści i przyjął wyrazy współczucia z większą łatwością niż od innych ludzi, ponieważ wcześniej razem ponieśli porażkę. Zjedli posiłek w gospodzie Pod Siedmioma Gwiazdami i Ross wrócił do domu przed dziewiątą.

W ciągu dnia pojawiły się pierwsze zwiastuny letniego skwaru. Demelza wyglądała rześko i ładnie, siedząc w ogrodzie w białym marszczonym gorsecie i kremowej sukni z popeliny, z małym zielonym fartuszkim. Ross zsiadł z konia i Demelza poszła z nim do domu.

– Jadłeś kolację, Ross? Przypuszczałam, że tak. Czekałam do kwadrans po ósmej. Złapała cię dziś rano ulewa?

– Nie, po drodze nie padało.

– Rzeczywiście, jesteś zupełnie suchy, zdumiewające. Te winniczki są koszarne, przypuszczam, że z powodu zimna. Zjadają kwiaty, plamią śluzem kamienie, a jeśli na nie następuję, robi mi się od tego niedobrze. Reaguję na ślimaki jak prawdziwa dama. Dziwne, bo potrafię bez mrugnięcia okiem opatrzeć ropiejącą ranę, przewinąć niemowlę i podnieść mysz.

– Powinnaś nauczyć Garricka zjadać ślimaki. Jeśli będziemy jeszcze biedniejsi, możemy sami zacząć je jeść. Jeszcze nie widziałem tego stroju. Jest nowy? – Dotknął gorsetu.

– Nowy? – Uśmiechnęła się.

– Na pewno go nie widziałem.

– Uszyłam go z dwóch starych koszul, które były już za bardzo połatanne. Ze skrawków, które jeszcze się nie przetały, można wybrać sporo dobrego materiału.

– Kiedy cię poślubiłem, nie przypuszczałem, że będziesz zmuszona szyć sobie suknie z tylnych części moich koszul.

– Nie tylnych części, tylko boków. A koronka jest ze starego szala. Miewałam większe kłopoty.

W pobliżu nie było Gimletta, więc Demelza poszła z Rossem do stajni.

– Rozsiodłam Czarnulkę – powiedziała. – Wejdz do domu, a ja zaraz tam przyjdę. Czekają na ciebie dwa listy.

– Dwa? Od kogo? – Zauważył jej lekki ton. – Nie, nie zajmuj się koniem, Gimlett wkrótce wróci, prawda? Czytałaś je?

– Ten, który jest zaadresowany do nas obojga. Od sir Hugh, z zaproszeniem na przyjęcie w przyszłą sobotę. Wspomniał o tym, kiedy go ostatnio widziałam. Obchodzi urodziny, nie ośmieliłam się spytać które, i najwyraźniej zamierza prześcignąć sir Johna Trevaunance’a.

Ross pomyślał, że to wyjaśnia jej dziwny ton, i zapomniał spytać o drugi list.

– Mam nadzieję, że nie będziesz rozczarowana, jeśli odmówimy.

– Uważam, że powinniśmy się pojawić, bo będzie tam wielu sąsiadów. Ale jeśli wolisz odmówić, nie ma to żadnego znaczenia.

Wszedł do domu, zadowolony, że tak łatwo zrezygnowała z uczestnictwa w przyjęciu, i trochę tym zdziwiony. Może była już równie zmęczona Bodruganem jak on.

Nie zauważył, że nie weszła za nim do domu. Skierował się do salonu i wziął oba listy leżące na szpiniecie. Długi zmierzch już się kończył i światło było bardzo słabe, więc podszedł z listami do okna. W ostatnich czasach często widywał pismo Elizabeth na różnych dokumentach, dlatego natychmiast rozpoznał je na drugim liście. Złamał pieczęć i przeczytał:

*Mój Drogi Rossie!*

*Nie wiem, jak napisać ten list, nie wiem, od czego zacząć, na czym skończyć ani jak Ci powiedzieć to, co muszę powiedzieć. Wiem, że wytrąci Cię to z równowagi, a ja, która już wcześniej sprawiłam Ci tak wiele bólu, bardzo nie chciałabym ranić Cię znowu w ten sam sposób. Ale wydaje się to konieczne.*

*Och, Rossie, moje życie jest pełne gorzkich rozczarowań, puste i bardzo zimne. Szczególnie w tych samotnych miesiącach po śmierci Francisa. Może nie nadaję się do tego, by żyć samotnie? Mam wrażenie, że potrzebuję siły i opieki, którą może ofiarować mężczyzna.*

*Obiecałam poślubić George’a Warleggana.*

*Uroczystość odbędzie się za dziesięć dni. Weźmiemy ślub w kościele pod wezwaniem Matki Boskiej, bez wcześniejszych zapowiedzi. Na moją prośbę*

*wszystko odbędzie się bardzo cicho, tylko w obecności rodziców i świadków. Zamieszkamy w Cardew, więc od tej pory będziemy się rzadko widywać. Przypuszczam, że byłoby to zgodne z Twoim życzeniem.*

*Rossie, nie mogę Ci podać przyczyn poślubienia George'a, bo sugerowałyby to, że potrzebuję usprawiedliwienia, a nie chcę rozpocząć drugiego małżeństwa od nielojalności nawet w myśli. Jeśli w czasie tych wszystkich lat istniała między nami nie sympatii, proszę, byś postarał się zrozumieć moje położenie. Zrozumieć i przebaczyć. Jeśli nie w pełni, to przynajmniej w części.*

*Twoja szczerą, serdeczną przyjaciółką*

*Elizabeth*

Kiedy Ross czytał list, zapadł zmrok. A może była to ciemność w jego sercu i umyśle? Słyszał pulsowanie własnej krwi. Po pierwszych chwilach całkowitego niedowierzania jego odważne, oświecone myśli zniknęły, przepadły. Pomyślał, że nie można walczyć z tym, czego nie da się zrozumieć. Ale czy to rzeczywiście coś niezrozumiałego? Czy powinien zaakceptować małżeństwo Elizabeth z Warlegganem z westchnieniem rezygnacji?

To były świadome myśli. Poza tym były tylko uczucia, tylko uczucia. Wiadomość uderzyła go podwójnie: dotknęła miłości i nienawiści. Każdą z nich potrafiłby opanować. Razem były nie do pokonania.

Obrócił się i wyszedł z salonu.

– Demelzo!

Nie było odpowiedzi. Wziął płaszcz i przeszedł przez kuchnię do stajni.

– Demelzo!

Żadnej odpowiedzi. Czarnulka była ciągle osiodłana. Ze spiżarni wyszła śpiesznie Jane Gimlett.

– Mogę jakoś pomóc, panie? John lada chwila wróci.

– Nie. Powiedz pani...

– Tu jestem, Ross – rzekła Demelza, wychodząc z cienia stajni.

Jane Gimlett spojrzała na Rossa i Demelzę. Niewiele widziała, ale ton ich głosów sprawił, że czym prędzej weszła do domu.

– Jadę do Trenwith, Demelzo – powiedział.

Chowała się przed nim, nie dlatego, że się go obawiała, ale nie była w stanie patrzeć na niego w chwili, gdy czytał wiadomość.

- Nie jedź dziś wieczorem, Ross.
- Muszę. Muszę porozmawiać z Elizabeth.
- Lepiej zrobić to rano.
- Wiesz coś?
- Chodzi o George'a?
- Jak się domyśliłaś?
- Coś słyszałam.
- Nigdy mi nie wspomniałaś.
- Jak mogłabym...
- To... to... – Zorientował się, że ciągle trzyma list. Zmiał go w rękę.
- Trzeba ich powstrzymać.
- Jak chcesz ich powstrzymać? To niemożliwe.
- Tak sądzisz? Zobaczymy.
- Ross, nie chcę, żebyś jechał dziś wieczorem do Trenwith.
- Może wcale nie chcesz, żebym ich powstrzymał?
- Nie chcę... Nie w jedyny sposób, jakiego możesz użyć – odpowiedziała z rozpaczą.

Ross poczuł nową falę gniewu, silniejszą od poprzedniej.

- Proszę, zejź mi z drogi.

Przez chwilę trwała w bezruchu, obserwując go, próbując zrozumieć.

– Zawsze... zawsze myślałam... Nigdy nie przypuszczałam, że to się tak skończy... – Ona również czuła złość, była to reakcja na gniew Rossa, jej emocje dopiero nabierały kształtu, na razie panowała nad sobą. – Nie rozumiesz, Ross, że nie możesz tam pojechać? Jeśli to zrobisz... Jeśli zrobisz to, co zamierzasz...

Chociaż zastępowała mu drogę, jej biała postać wydawała się odległa, nieco nierzeczywista. Ross usiłował się zmusić, by wykonać jakiś ruch, serdeczny gest pod adresem Demelzy, lecz po raz pierwszy poniósł fiasko. Tkwiło między nimi widmo Elizabeth, bardziej realne, bardziej namacalne niż żona.

Zrozumiała, że nie zdoła go powstrzymać. Ross nie mógł sam siebie powstrzymać. Było to coś nadrzędnego. Odstąpiła na bok. Wsiadł na konia i ze stukotem wyjechał z brukowanego dziedzińca.

Dwór w Trenwith był pogrążony w ciemności, paliły się tylko dwa światła na pierwszym piętrze. Ross dobrze znał dom i wiedział, że jedno to pomieszczenie obok schodów, a drugie to sypialnia ciotki Agathy. Okna pokoju Elizabeth wychodziły na wewnętrzny dziedziniec, podobnie jak sypialnia Geoffreya Charlesa. Tabbowie spali nad kuchnią. Zsiadł z konia i pociągnął za sznur dzwonka obok drzwi frontowych. Zapadł zmrok, niebo było ciemne z wyjątkiem niebieskiej smugi na zachodzie. Jasno świeciły gwiazdy i Ross zauważył na niebie przelatujący meteor. W czasie jazdy nieco się uspokoił, lecz nie zmienił postanowienia. Jego emocje się wyciszyły, były mniej dzikie i impulsywne. Nikt

nie odpowiedział na dzwonek. Ross znów pociągnął za sznur. Po kolejnej minucie zastukał w drzwi końcem szpicruty. Później się cofnął i popatrzył niecierpliwie na dwór. Tabbowie prawdopodobnie znajdowali się zbyt daleko, by coś usłyszeć. Jeśli śpią, może dzwonić do rana. Łatwiej byłoby wskrzesić Charlesa na cmentarzu w Sawle, niż wyciągnąć ciotkę Agathę z jej pokoju. Pozostawali tylko Elizabeth i Geoffrey Charles.

Znów zbliżył się do drzwi i bardzo głośno zastukał w nie szpicrutą. Czy to dyplomatyczny unik ze strony Elizabeth? Nie pytał, kiedy dostarczono list, lecz może spodziewała się jego odwiedzin przez całe popołudnie. Chyba nie przypuszczała, że Ross pozostanie beczynny. Może po zapadnięciu ciemności zaryglowała wszystkie drzwi i poszła spać, postanowiwszy nie spotkać się z nim tego wieczoru?

Cóż, mogła się przeliczyć. Ross ujął klamkę. Drzwi były zamknięte. Znów się cofnął. Nie mógł dostać się do dworu od frontu, lecz spodziewał się, że znajdzie jakieś miejsce, gdzie dałoby się wślizgnąć do środka.

Poszedł do wschodniej części domu. Pod jego stopami chrzęścił żwir, w niebo wzbijała się spłoszona sowa. Znajdował się tu ogród ziołowy, bardzo zarośnięty, lecz wonny w wieczornym powietrzu. „W słodkich kwiatach cały, choć go w grobie potoki łez nie opląkały”<sup>2</sup>. Słowa przebiegające przez głowę. Coś poruszyło się w pobliskich krzakach, szczur albo beżpański pies, niemy podobnie jak Ross, zabłąkany w tym miejscu.

W pobliżu domu rosła sykomora i niektóre z jej niższych konarów dotykały okna pokoju należącego niegdyś do Verity. Wymagały przycięcia, lecz tego nie zrobiono. Sprawdził wytrzymałość najniższej gałęzi, po czym wspiał się na drzewo. Rozpiął pelerynę i rzucił ją na krzak w dole. „Oto koper dla ciebie, i orliki; oto ruta... Dałabym wam parę fiołków, ale zwiędły wszystkie, gdy umarł mój ojciec...”<sup>3</sup>. Wspinał się jak cień przemykający z pozorną łatwością, aż znalazł się na poziomie okna.

Okna złożonego z małych szybek oprawionych w ołowiane ramki. Z dołu wydawało mu się, że jest uchylone na kilka centymetrów, ale tak nie było. Otwarty był jedynie niewielki lufcik w górnej części, zbyt daleko od zamka. Ross miał przy sobie tylko jedną rzecz nadającą się do zbitcia szyby: klucz do kłódki na drzwiach biblioteki w Namparze. Wyjął go i stuknął w jedną z szybek, aż pękła. Później, jeszcze zanim odłamki upadły na podłogę, wsunął do środka dłoń w rękawiczce i uniósł haczyk. Po chwili znalazł się w pokoju.

Narobił trochę hałasu, lecz znacznie mniej niż przy drzwiach.

Ruszył korytarzem we wschodnim skrzydle. Na końcu, we frontowej części dworu, na ścianę padało lekkie światło. Była to świeca płonąca na podeście schodów. Tuż za rogiem znajdowała się wielka sień. Ruszył w tę stronę, gdy nagle otworzyły się drzwi i wyszła z nich Elizabeth.

Wydała stłumiony okrzyk i cofnęła się pod ścianę. Patrzyli na siebie. Wyglądała, jakby miała zemdleć.

– Ross!

– Przyszedłem złożyć ci wyrazy uszanowania.

– Ross, myślałam...

– Że jestem włamywaczem. Rzeczywiście, dostałem się do domu jak włamywacz.

W dalszym ciągu spoglądała na niego rozszerzonymi oczami, z pobladłą twarzą. Miała na sobie zieloną aksamitną suknię, starą, lekko połyskliwą w silniejszym świetle, lecz było jej w tej sukni do twarzy. Było jej do twarzy we wszystkim. Na tym właśnie polegał problem.

– Usłyszałam hałas. Jak się dostałeś do domu?

– Przyszedłem podziękować za list.

– Myślałam, że to Geoffrey Charles. Wydało mi się to dziwne.

– Możemy gdzieś porozmawiać?

Znała Rossa na tyle dobrze, że nie zwiódł jej jego spokojny głos. Nie mogła uciec, nie przed tą rozmową.

– Tak... Przyniosę świecę.

Wróciła do pokoju, z którego przed chwilą wyszła. Mając nieuzasadnione podejrzenie, że zamierza kogoś zawołać, Ross poszedł za nią i zamknął drzwi.

– Możemy porozmawiać tutaj.

Była to jej sypialnia. Elizabeth oderwała dłoń od lichtarza.

– Nie sądzę.

– Nikogo innego to nie obchodzi. Chcę porozmawiać z tobą, Elizabeth, i teraz.

Ładny pokój. Brązowe kotary związane sznurem, złożone lustro na toalecie, koń na biegunach, niebieskie pantofle poranne, biała koronkowa koszula nocna na fotelu. Nigdy wcześniej tu nie był.

Widział, że jej twarz i wargi znowu wypełnia krew. Odzyskała część pewności siebie.

– Było mi bardzo przykro, gdy wysyłałam ci ten list, Ross. To ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam, tak jak napisałam... ale nie możesz przychodzić tu w ten sposób. Rano...

– Rano byłoby za późno. Chcę wiedzieć dziś wieczorem.

– Co wiedzieć? To, co już napisałam w liście? Co można dodać?

– Cóż, tak... – Podeszedł od drzwi, zdjął rękawiczki, rzucił je na fotel i zbliżył się do Elizabeth. Cofnęła się o krok. – Miałem pewne wyobrażenie o sytuacji. Powiedz mi, Elizabeth, na czym polegała moja pomyłka... Od dawna uważam George'a Warleggana za swojego śmiertelnego wroga. Ciebie od dawna uważam za swoją najlepszą przyjaciółkę. W czym najbardziej mijam się z prawdą?



Oblała się rumieńcem.

– To zupełnie nie tak, Ross. Znalazłam się w bardzo trudnej sytuacji. Oczywiście jestem dumna i szczęśliwa, że mogę cię uważać za swojego najlepszego przyjaciela...

– Nie tylko przyjaciela, prawda? Niecały rok temu rozmawialiśmy na przyjęciu u Trevaunance'a. Co powiedziałaś mi wtedy przy obiedzie? Że kiedy mnie odrzuciłaś i poślubiłaś Francisca, popełniłaś błąd; że odkryłaś to po kilku miesiącach i zawsze żałowałaś. Byłaś zdumiona i upokorzona, że popełniłaś taką pomyłkę, tak powiedziałaś. Pamiętam twoje słowa.

Wyciągnęła rękę i oparła się o fotel.

– Tak nagle się pojawiłeś, Ross... Byłam wstrząśnięta, zrobiło mi się słabo...

Ross nie ustępował.

– Błąd, do którego się przyznałaś, sprawił, że Francis cierpiał przez całe życie. Cierpiałaś ty i cierpiałem ja. Jaki błąd popełniasz tym razem?

– Nie – odrzekła. – To, co mówiłam tamtego wieczoru... Nie wycofuję się z tego, choć nigdy bym tego nie powiedziała, gdybym przypuszczała, że cokolwiek może się przydarzyć Francisowi. Proszę, Ross, postaraj się mnie zrozumieć. Czułam, że któregoś dnia muszę ci o tym powiedzieć, wyznać, że jeśli na początku byłeś nieszczęśliwy, ja także szybko poczułam się nieszczęśliwa. Sądziłam, że będzie ci lżej, gdy zrozumiesz, że błąd popełniłam ja, a nie ty! Od lat jest już za późno, by to naprawić, ale chciałam, żebyś wiedział. Kiedy tylko powiedziałam ci wszystko, zdałam sobie sprawę, że znowu popełniłam błąd. A po śmierci Francisca... stało się jasne, że ten błąd jest jeszcze większy.

– To niczego nie wyjaśnia. Skąd się w tym wszystkim wziął George Warleggan?

– W tamtym czasie oczywiście nie miał z tym nic wspólnego. Pojawił się teraz... znacznie później. Był taki miły, Ross, taki dobry...

– Chcesz go poślubić z wdzięczności?

– Nie tylko z wdzięczności. Ale bardzo się mylisz, uważając go za swojego śmiertelnego wroga. Myślę... wierzę... że potrafię was pogodzić, że naprawdę zostaniecie przyjaciółmi. George nie czuje goryczy...

– Chcesz go poślubić dla pieniędzy?

Milczała przez chwilę. Zmrużyła oczy, usiłując zachować spokój. Dotychczas rozmawiali jak przeciwnicy, Elizabeth odpierała kolejne ataki Rossa, nie mając żadnej możliwości manewru. Dotychczas konfrontacja przebiegała gorzej, niż Elizabeth była w stanie sobie wyobrazić. Spodziewała się przykrości; pamiętając o tym, wzięła się w garść. To ona raniła jego, a nie on ją, i dlatego powinna znosić afronty, próbować go udobruchać, a może nawet później znów się z nim zaprzyjaźnić. Nie mogła pominąć tej kwestii. Przedstawianie mu

szczegółowych przyczyn poślubienia George'a było stratą czasu. Natychmiast obaliby każdy argument.

– Proszę cię, Ross... – Uśmiechnęła się do niego, lecz unikała jego badawczego spojrzenia. – Czy mógłbyś przyjść jutro? Moglibyśmy spokojnie o tym wszystkim porozmawiać w lepszych warunkach. Wierz mi, naprawdę nie wychodzę za George'a dla pieniędzy. Nie kierowałam zbyt mądrze swoim życiem, ale starałam się być lojalna wobec ludzi, na których mi zależy. To, co wydaje ci się nielojalnością, wcale nią nie jest. Co mi proponujesz, Ross? Trzydzieści lat wdowieństwa i samotności? Mogę jeszcze przeżyć trzydzieści lat. Czy tak każesz mi zapłacić za błędy, które już popełniłam? Możesz mi zaproponować coś innego?

Milczał, spoglądając na krzywizny jej brwi, policzków i warg.

– Pójdę, jeśli odpowiesz mi na jedno pytanie. Kochasz George'a?

Zegar wybił jedenastą, jego dźwięk podkreślił ciszę panującą w sypialni. W oddali prawie niedosłyszalnie szumiało morze.

– Tak – odpowiedziała.

To rozstrzygało sprawę. Ujął ją mocno za ramiona, aż popatrzyła na niego z zaskoczeniem i zaniepokojeniem.

– To taki sam fałsz jak to, co mówiłaś tuż po wyjściu za mąż za Francisa. Powiedziałaś mi, że go kochasz, choć była to nieprawda. Byłem wtedy naiwny i ci uwierzyłem. Dziś już ci nie wierzę.

Usiłowała się uwolnić.

– Puść mnie, Ross! To boli!

– Pytasz, czy skazuję cię na trzydzieści lat wdowieństwa. Odpowiedź brzmi: nie. Z twoją urodą możesz wybierać spośród pół tuzina mężczyzn. Nie podobają mi się zaręczyny akurat z George'em Warlegganem. Proszę, byś poczekała i znów spróbowała.

– Puść mnie! Sama o sobie decyduję i będę robić, co chcę! Przykro mi, że tak to odbierasz. Nic na to nie poradzę.

– Nigdy nie byłaś w stanie nic poradzić, prawda? Nie miałaś na nic wpływu. Przez całe życie dryfujesz bezradnie, udając dobre intencje. Teraz też nie możesz nic zmienić. – Pocałował ją. Odwróciła głowę, lecz nie zdołała uniknąć jego ust.

Kiedy się odsunął, w jej oczach płonął gniew. Nigdy jej jeszcze takiej nie widział i sprawiło mu to przyjemność.

– To wstrętne! Nigdy bym nie uwierzyła, że możesz zrobić coś takiego! Narzucać się... Obrażać mnie, gdy nie mam nikogo...

– Nie podoba mi się to małżeństwo z George'em Warlegganem, Elizabeth. Nie podoba mi się! Chciałbym, abyś mnie zapewniła, że za niego nie wyjdiesz.

– Nawet gdybym to zrobiła, wątpię, byś mi uwierzył! Nazwałeś mnie kłamczuchą! Nie zamierzam łamać danego słowa! Kocham George'a do szaleństwa i poślubię go w przyszłym tygodniu...

Znów ją chwycił i tym razem pocałował z gwałtowną namiętnością. Gniew sprawił, że było to wyjątkowo przyjemne, lecz wkrótce gniew zniknął. Włosy Elizabeth się rozsypały. Uniosła rękę do ust, lecz ją odsunął. Później uderzyła go w twarz, więc unieruchomił jej ramię.

Przez moment była prawie wolna.

– Traktujesz mnie... jak nierządnicę...

– Pora, by tak cię traktowano...

– Puść mnie, Ross! Jesteś ohydny, wstrętny! Jeśli George...

– Poślubisz go?

– Nie rób tego! Będę krzyczeć! O Boże, Ross... Proszę...

– Cokolwiek powiesz, chyba już ci nie uwierzę.

– Jutro...

– Nie ma jutra – odparł. – Jutro nie nadejdzie. Życie to złudzenie, nie wiesz o tym? Spróbujmy najlepiej wykorzystać mrok.

– Ross, nie zamierzasz chyba... Przestań! Przestań, mówię ci!...

Ale nie zwracał już uwagi na jej słowa. Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

## *Rozdział szósty*

Demelza zasnęła o czwartej, a obudziła się o szóstej, słysząc, jak Ross wchodzi do domu. Nie poszedł na górę, co potwierdziło to, o czym już wiedziała. Zrozumiała wszystko w chwili jego wyjścia.

Wkrótce potem obudził się Jeremy, który fikał nóżkami i gaworzył w łóżeczku. Jeremy właściwie jeszcze nie mówił, ale miał dwa ulubione słowa: „alaba” i „gu”, którymi posługiwał się zgodnie z własnymi zasadami, radząc sobie z różnymi sytuacjami życiowymi. Ostatnio wydawał się bardziej zadowolony i silniejszy, nie wpadał natychmiast w złość, gdy czegoś nie dostawał, lecz wciąż rozpieęła go nieposkromiona energia. Demelza lubiła budzić się wczesnym rankiem i leżeć sennie na łóżku, słuchając gaworzenia i śmiechu Jeremy’ego w łóżeczku obok.

Nie dziś. Wstała o wpół do siódmej, czyli mniej więcej o zwykłej porze, i stanęła przy północnym oknie, przez które wyszła z domu kilka miesięcy wcześniej. Słońce weszło przed dwiema godzinami i poranny koncert ptaków już dawno się skończył. Ranek był pochmurny, lecz prawie całkowicie bezwietrzny, a nieruchomy ocean przypominał tafłę ciemnoniebieskiego szkła, gdyż w nocy fale się uspokoiły. Woda chwilami wyglądała jak napięta jedwabna tkanina, ale od czasu do czasu na powierzchni pojawiały się zmarszczki, które z rzadka się załamywały, zdradzając swój rozmiar rykiem rozlegającym się w nieruchomym powietrzu. Gimlett już wstał i niestrudzenie zajmował się gospodarstwem. Demelza często się zastanawiała, dlaczego rankiem zachowuje się tak cicho, bo nigdy nie budził ich trzaskiem wiader ani innymi hałasami.

Tego ranka czuła wyjątkowo głęboki ból pochodzący jakby z nieznannej cząstki jej duszy. Nigdy nie przeżywała takiej rozpacz. Wszystko runęło, obróciło się w gruzy. Próby pocieszenia samej siebie natychmiast rozpadały się w pył. Nic nigdy nie będzie takie samo, bo straciła wiarę.

Nie tak dawno, rozmawiając z Verity, powiedziała, że zaufanie do własnego męża... Jeśli się je ma...

Cóż, teraz wiara zniknęła. Naturalnie w rzeczywistości nie było to takie proste. Zbyt długo żyła z Rossem, by nie znać jego wad i słabości. Jeśli kobieta uważa męża za półboga, ideał, jest głupia i prędzej czy później musi przeżyć rozczarowanie. Najważniejsze jest zaufanie. Ross przez całe życie kochał się w Elizabeth – czasem bardziej, czasem mniej. Po śmierci Francisa stało się to bardziej widoczne, a jednak Demelza dobrze go znała i czuła, że głębokie poczucie lojalności, jedna z jego zalet, a zarazem wad, sprawi, że w końcu zdoła go zatrzymać przy sobie.

Oczywiście to nie wszystko. Strata okazała się większa. Niezależnie od tego,

jak rozsądna i kulturalna stała się Demelza, Ross zawsze był dla niej kimś więcej niż mężem. Od chwili, gdy przeszło dziewięć lat temu wziął do kuchni zagłodzoną córkę górnika, symbolizował coś szlachetnego, nie szlachetność rodu, lecz charakteru, był człowiekiem, którego zasady postępowania zawsze są i zawsze pozostaną lepsze, pewniejsze niż jej własne. Często się z nim sprzeczała, spokojnie, żartobliwie, nie zgadzając się z jego poglądami i sądami, ale w głębi serca, w sprawach zasadniczych, czuła jego wyższość.

Czy oczekiwała po mężu całkowitej wierności, czy nie, straciła znacznie więcej. Była dumna z Rossa bardziej niż z siebie. Uważała się za lepszą od innych kobiet, bo poślubił ją mężczyzna taki jak Ross. Odwiedzając zeszłej nocy Elizabeth, sprzeniewierzył się nie tylko Demelzie, lecz również sobie. Była to podwójna zdrada, coś, co zniszczyło fundament jej życia.

Jeremy czekał, by wzięła go na ręce, znudzony leżeniem w łóżeczku, coraz bardziej niespokojny. Zignorowała go i podeszła do drugiego okna, czesząc włosy. Gdzieś w głębi duszy ciągle tliła się iskra niewiary, że to się naprawdę stało, jednak знаła prawdę. Wiedziała wcześniej niż Ross, po co jedzie do Trenwith. A teraz? Dlaczego wrócił? Czy chce zabrać swoje rzeczy i zamierza żyć z Elizabeth w Trenwith? Czy ostatecznie odwołano małżeństwo Elizabeth i George'a? Demelza nie potrafiła nienawidzić ludzi, ale czuła, że chętnie udusiłaby Elizabeth gołymi rękami. Elizabeth zrobiła wszystko, by zatruć pierwsze lata małżeństwa Demelzy i Rossa. Poniosła fiasko, lecz pośrednio, nie z własnej winy. Ponośiła odpowiedzialność za śmierć Julii. Wtedy doszło do pierwszego konfliktu między Demelzą a Rossem. Rozdźwięk, choć ledwo dostrzegalny, narastał, czerpiąc siły z żalu Rossa, a Elizabeth świetnie to wykorzystwała. Teraz, od śmierci Francisa, miała wolną rękę. Można się było zastanawiać, czy kiedykolwiek szczerze zamierzała poślubić George'a, czy nie była to tylko prowokacja mająca wywołać z góry zamierzony skutek.

Jeremy zaczął płakać. Demelza wzięła go na ręce, przewinęła i ubrała. Później zniosła go na dół. Zastała w kuchni Jane Gimlett.

– Pan je śniadanie. Podałam mu wędzoną szynkę. Myślałam, że pani śpi. Pan kazał pani nie niepokoić.

– Jest herbata?

– Tak, proszę pani. Zaparzyłam ją dziesięć minut temu. Ukroić pani trochę chleba i posmarować masłem?

– Nie... Możesz potrzymać Jeremy'ego przez kilka minut?

Weszła do salonu. Ross przebrał się, ogolił i prawie skończył pozbawione smaku śniadanie. Uniósł wzrok i popatrzyli sobie w oczy. W tym momencie w końcu uwierzyła, a on zrozumiał, że ona wie.

Nie odezwała się, lecz po chwili podeszła i usiadła w pewnej odległości od Rossa. Nalała sobie filiżankę herbaty, dodała mleka i cukru. Na jej blade powieki

padło światło z okna, a ciemne włosy zalsniły.

– To nie będzie ostatni raz, prawda? – spytała.

Nie odpowiedział. Spojrzał na talerz i odsunął go.

Nagle poczuła przypływ straszliwej złości, która kompletnie ją zaskoczyła. Wcześniej bała się, że się rozplacze, lecz teraz nie uroniła ani jednej łzy.

– Małżeństwo dojdzie do skutku?

– Nie wiem... – Dziś rano blizna Rossa była bardzo wyraźna. Często można było odnieść wrażenie, że przypadkowe trafienie szpadą w Pensylwanii pozostało z nim na zawsze i stało się symbolem nonkonformistycznej natury wiecznego renegata.

Demelza czuła, że wargi drżą jej ze złości.

– Kiedy się z nią spotkasz? Spotkasz się znowu?

– Nie wiem.

Przełknęła ślinę, usiłując zapanować nad głosem.

– Kiedy wróciłeś?

– Chyba około piątej.

Zapadła cisza. Demelza nie pytała o nic więcej, a Ross nie wyjaśniał tego, czego nie można wytłumaczyć.

Z całych sił usiłował mówić, zachowywać się rzeczowo.

– Wczoraj odwiedziłem panią Trelask w sprawie wstążek dla Jeremy'ego – rzekł. – Mówi, że za miesiąc lub dwa będzie miała tańsze.

Demelza milczała.

– Spędziłem dużą część poranka z Harrisem Pascoe'em i nie mogłem kupić innych rzeczy, o których wspomniałaś.

Zamieszała herbatę, wypila łyk, przełknęła gorący płyn, spojrzała niewidzącym wzrokiem przez okno. Ross wziął widelec i przesunął nim po obrusie, pozostawiając ślad dwóch zębów.

– Jadłem kolację z Richardem Tonkinem. Kupił wraz z Harrym Blewettem zakład szkutniczy w East Looe. Świetnie prosperuje od wybuchu wojny.

– Och...

– Mówi, że mają więcej zamówień, niż są w stanie wykonać. Niewielkie łodzie... Przynajmniej miło słyszeć, że komuś się powodzi.

– Naprawdę miło?

Ross popatrzył na żonę.

– Nie widzisz w tym nic miłego?

– Nie, nie widzę.

– Przykro mi.

– Mnie również.

– Rozlewasz herbatę, Demelzo.

– Tak – odpowiedziała i celowo zrzuciła filiżankę na podłogę. Ogarnęła ją

przerazająca wściekłość. Mogłaby zabić nie tylko Elizabeth, lecz również Rossa. Chętnie rzucałaby w niego porcelaną, a także nożami i widelcami. Mogłaby zaatakować go w nożem, który trzymała w ręce. Demelza nie miała w sobie nic potulnego ani łagodnego. Była stworzona do walki i teraz się to ujawniło. Zmagala się ze sobą, dyszała i spoglądała w szare oczy męża. Później machnęła ręką, strącając na podłogę imbryk, mlecznik, cukiernicę i dwa talerzyki.

Wyszła.

Ross siedział jak skamieniały, dopóki nie przybiegła Jane Gimlett.

– O Boże! Co się stało, panie? Czajnik rozbity na kawałki! A dywan... – Pochyliła się i zaczęła sprzątać.

– Zaczepiłem płaszczem o obrus – powiedział Ross. – Szkoda.

– Naprawdę, to straszne! Gdzie jest pani?

– Wyszła. Nie ma dziś rano ochoty na śniadanie.

Przez cały tydzień nad dworem w Namparze wisiała chmura gradowa. Demelza, choć nie zdawała sobie z tego sprawy, z zasady trudno zapominała o gniewie. Wydawało się, że tego gniewu nie zapomni do śmierci, bo pochodzi z rany, która nigdy się nie zagoi.

Problem nie polegał na tym, że nie potrafiła przebaczyć. Nie wiedziała, czy Rossa obchodzi jej przebaczenie, a to było najważniejsze. Można przebaczyć komuś ścięcie drzewa, zabicie cennej wazy, spalenie obrazu, lecz nie naprawi to zniszczonego przedmiotu.

Spotykali się jedynie w czasie posiłków i często wymyślali preteksty, by się mijać, przychodząc wcześniej lub później. Kiedy musieli się spotkać, mówili niewiele, o rzeczach związanych z domem i gospodarstwem. Ross kazał wstawić dla siebie łóżko w dawnej sypialni Joshui, gdzie pierwszej nocy w Namparze spała Demelza. Po tym, co się stało, nie wyobrażał sobie, że mógłby narzucać jej swoją obecność na piętrze, Demelza natomiast wyobrażała sobie, że kontakt z Elizabeth sprawił, iż ona sama budzi w nim odrazę.

To, że jak dotychczas nie próbował znów się spotkać z Elizabeth, wydawało się niespodzianką, choć oczywiście mógł codziennie chodzić do Trenwith. Przynajmniej jadł i spał we własnym domu. Demelza wolałaby umrzeć, niż spytać, co zamierza.

Po pierwszym wybuchu była spokojna, choć gniew jej nie opuścił. Stał się nieodłącznym towarzyszem, chłodnym, wyważonym, lecz nie mogła się go pozbyć. Nie chciała. Później myślała czasem, że w ciągu tego tygodnia utrzymał ją przy życiu tylko gniew. Był dla niej jak opium, odurzała się gniewem, gdy zwykle myśli stawały się nie do zniesienia. Wiedziała, że Ross przez cały tydzień intensywnie zajmuje się sprzedażą maszyny parowej. Mógł za nią dostać mniej więcej jedną czwartą tego, co zapłacił. Wytrącało go to z równowagi, po zamknięciu Wheal Grace nie musiał dłużej mieszkać w Namparze. W czwartek otrzymał list, którego

nie pokazał Demelzie, lecz następnego dnia powiedział:

– Jutro wieczorem muszę wyjechać. Wybieram się do Looe i nie zdążę wrócić tego samego dnia. Harry Blewett napisał, że chce się ze mną spotkać.

– Ach... – Więc taki pretekst wymyślił. Kłamstwa Rossa sprawiały, że ich relacje wciąż się pogarszały. Dlaczego nie powie po prostu: „Jadę do Elizabeth”?

– Jeśli chcesz, możesz przeczytać, co napisał. – Przesunął list w jej stronę po blacie stołu, może odgadując jej myśli.

– Nie. – Odsunęła go, nie patrząc na tekst.

– Nie wiem, czego chce – dodał po chwili. – Richard Tonkin musiał mu powiedzieć, że nie mam pieniędzy w zainwestowanie w jego zakład szkutniczy. Mam nadzieję, że zwróci mi część pieniędzy, które mu pożyczyłem.

O mało nie powiedziała: „Wtedy będziesz mógł je dać Elizabeth”. Zachowała jednak umiar i nie chciała być złośliwa.

W piątek po południu z Werry House przyjechał człowiek z ustną wiadomością. Sir Hugh nie otrzymał odpowiedzi na zaproszenie. Czy kapitan Poldark i jego małżonka są skłonni przybyć na bal? Demelza o mało się nie roześmiała. Sir Hugh i jego przyjęcie. Kto ma ochotę na zabawy? Na pewno nie ona. Ross wyjedzie i będzie się bawić gdzie indziej. Z Elizabeth. Może powinna zaproponować, by Ross poszedł do sir Hugh z Elizabeth, a wtedy ona przyjdzie z George'em Warleganem?

Nie była pewna, czy Ross w ogóle zamierza odwiedzić Looe, ale nie miała wątpliwości, że spędzi ostatnią część weekendu w Trenwith, w ramionach Elizabeth. Nie będzie miał ochoty na przyjęcie z tańcami. Interesuje go tylko Elizabeth. Demelza zastanawiała się, czy Ross zwraca się do Elizabeth tymi samymi pieszczotliwymi słowami jak czasem do niej. Niewątpliwie jest oczarowana swoim nowym kochankiem. W końcu dostała to, czego chciała – po długim oczekiwaniu. Przyjmuje go we własnym łóżku. Smukła jak lilia w jego ramionach. Arystokratyczna, dobrze ułożona i kulturalna w sposób, który pozostaje poza zasięgiem Demelzy. Kobieta, której rodowód sięga ośmiuset lat, może traktować miłość w sposób tak wyrafinowany, że przekracza to możliwości pojmowania córki górnika. To niemożliwe, by po takim związku Ross wrócił do zwykłej dziewczyny. Wykluczone. Wykluczone. Pójdzie własną drogą, a tymczasem Demelza będzie siedzieć w domu, harować, opiekować się dzieckiem i zajmować gospodarstwem.

Może to zrobić, prawda? Doznała olśnienia i wszystkie mroczne zakamarki jej serca oświetliła nagła błyskawica. Kapitan Poldark nie może uczestniczyć w przyjęciu u sir Hugh Bodrugana, ale pani Poldark może. Niczym nieskrępowana pani Poldark. Pani Poldark chcąc się zemścić na mężu, złagodzić swój ból i odzyskać poczucie dumy w jedyny możliwy w tej chwili sposób. Niechaj Ross poniesie konsekwencje, bo to on doprowadził do tej sytuacji.



Przekazała odpowiednią wiadomość czekającemu służącemu, po czym patrzyła, jak jedzie konno w górę doliny. W jej umyśle wciąż płonęło światło i wiedziała, że nie zgaśnie. Zaczęła przygotowania do sobotniego balu.

## *Rozdział siódmy*

Werry House wzniesiono w czasach panowania Edwarda VII, gdy obie linie rodu Bodruganów znajdowały się u szczytu potęgi. Później, gdy żądza władzy Ryszarda III doprowadziła do klęski dynastii Yorków, Bodruganowie z Gorran popadli w niełaskę, lecz Bodruganowie z Werry zdołali znaleźć protektorów na dworze Henryka VII i zachować dziedzictwo. Obecnie ród zdawał się wymierać. Sir Hugh i jego macocha nie dbali o pozory. Zatrudniali służących, którzy troszczyli się o ich potrzeby, lecz sami woleli bałagan. Lubili chodzić po dworze w zabłoconych butach i rzucać je byle gdzie, a sir Hugh mawiał, że widok schludnego pokoju lub zapastowanej podłogi przypomina mu dziadka, o którym wolałby zapomnieć.

Mimo to podjęto pewne przygotowania do przyjęcia. Przystrzyżono trawniki, usunięto pajęczyny z części sufitów i ścian, a większość z menażerii dziwnych zwierząt zamknięto w dwóch pokojach. Jeśli ktoś nie był zbyt wybredny i zwracał większą uwagę na towarzystwo, a nie na fotel, na którym siedzi, mógł dobrze się czuć.

Największym pomieszczeniem dworu była ogromna sala z kamienną posadzką, gigantycznym kominkiem, podwyższeniem na końcu i wysokim drewnianym sufitem w stylu gotyckim. Dolną część ścian, poniżej okien, pokrywały nadgryzione przez mole gobeliny, a wyżej znajdowały się liczne kandelabry, w których zazwyczaj nie paliły się świece. Bal miał się odbyć właśnie w tej sali.

Szczęśliwie Demelza tak szybko podjęła decyzję o przyjęciu zaproszenia, że miała niewiele czasu na przygotowania. Inaczej mogłaby długo się zastanawiać, w co się ubrać. Problem transportu inteligentnie rozwiązała przed odjazdem służącego. Wiedziała, że Ross weźmie Czarnulkę, więc poprosiła sir Hugh, by przysłał konia i masztalerza, co uczynił około piątej. Dzięki temu przybyła do Werry House w elegancki sposób: podązał za nią służący w liberii, który wiózł jej torbę.

Podjazd Werry House dochodził do gościńca, którym jeździły dyliżanse, toteż większość gości ze środkowych i południowych części hrabstwa przybyła w karetach. Szósta była najwyraźniej modną porą, ponieważ Demelza musiała czekać w kolejce, by podjechać do drzwi frontowych, i wielu ludzi obserwowało ją przez lorgnon. Znosiła ich spojrzenia obojętnie, siedząc prosto w siodle, ubrana w czarny strój do jazdy konnej i trójrożny kapelusz.

Hugh i jego macocha stali przy drzwiach frontowych, oderwani od interesującej dyskusji z Johnem Treneglosem na temat nosacizny u koni. Demelza weszła do przedsiionka za Nicholasem Warlegganem i jego małżonką, po czym

usłyszała, jak Warleggan składa przeprosiny. George ma bardzo pilne sprawy i przesyła wyrazy uszanowania, lecz niestety nie może przybyć. Za Demelzą szło dwoje ludzi, których rozpoznała jako lorda i lady Devoranów. Lord Devoran był przyjacielem Rossa.

Sir Hugh zbliżył się do Demelzy i powiedział:

– Ha! A zatem postanowiła pani oddać się pod moją opiekę i zostawić męża przy kominku. Dobrze. Dobrze!

– Tak, sir Hugh. Pomyślałam, że nie warto siedzieć przy kominku przy tej pogodzie.

– To prawda, moja droga. Całkowicie się z panią zgadzam. Niech mnie kule biją, w ten weekend urządzamy bardzo kulturalny bal. Przynajmniej większość gości z daleka wygląda kulturalnie. Będzie pani z nami całkowicie bezpieczna, zapewniam panią.

– Właśnie tego się obawiałam – odparła Demelza.

Bodrugan zaśmiał się sucho i spojrział na nią małymi czarnymi oczkami.

– Miło słyszeć, że tak pani sądzi, nawet jeśli nie mówi pani serio. Kultura straszliwie mnie nudzi i wydaje mi się, że w czasie weekendu będę miał czasem ochotę uciec. Czy nie obiecywałem, że opowiem pani kilka pieprzonych anegdotek? Zaszycemy się gdzieś w kącie, a potem...

– Hughie! – zawołała macocha Bodrugana. – Przyjechali panna Robartes i doktor Halse. Idź ich powitać! Do licha, nie mogę być wszędzie!

Kiedy Demelza szła do swojego pokoju korytarzem ze skrzypiącą podłogą na pierwszym piętrze, przyszło jej do głowy, że musiałaby być bardzo pijana, by spojrzeć przychylnym okiem na zaloty sir Hugh Bodrugana. Próbował zaciągnąć ją do łóżka w Bodmin i nawet teraz przechodziły ją dreszcze na samą myśl.

Niewątpliwie właśnie na tym polega największy problem zdradzonych żon. Chcą się zemścić, lecz nie mają z kim.

Wprowadzono ją do dużej, niskiej sypialni z belkowanym sufitem i ścianami pokrytymi boazerią. Gdy została sama, natychmiast podeszła do okna i otworzyła je, po czym rozpakowała suknię. Okno znajdowało się z boku dworu i wychodziło na opadającą spadzisto łąkę dochodzącą do rzędu buków. Drzewa niedawno się zazieleniły i połyskiwały jedwabiście w świetle słońca. Środkiem łąki biegła szeroka aleja z niskimi kamiennymi murkami po obu stronach; w pewnych odstępach stały wzdłuż niej posągi, w większości noszące wyraźne ślady wiatru i deszczu.

Aleją szedł w stronę dworu Malcolm McNeil z regimentu Scots Greys.

Sir Hugh był człowiekiem niekonwencjonalnym, a ponieważ w planie były tańce, uważał, że powinny się rozpocząć jak najszybciej i trwać jak najdłużej – co zapewne zadowoli każdego. Poza tym chciał, by orkiestra dała z siebie wszystko. Nie potrafił dobrze tańczyć dostojnych menuetów i gawotów, dlatego uważał, że

należy je odbębnić przed kolacją, a później goście mogą tańczyć skoczne anglezy, spocić się, rozgrzać i dobrze się bawić.

Demelza celowo pozostawała przez jakiś czas w swoim pokoju. Pokojówka przyniosła jej filiżankę czekolady, a ona usiadła przy oknie w płóciennym szlafroku, popijając ją powoli i podziwiając widok. Nie miała żadnych planów, o niczym nie myślała. Nie zastanawiała się nad Rossem i Elizabeth, nad sir Hugh i kapitanem McNeilem. Czuła się jak dowódca okrętu tuż przed bitwą, pozbawiona emocji i wolna od lęku, spoglądająca z dystansu na to, co było i co może nadejść.

Okolo siódmej zaczęła się ubierać. Umyła się gąbką i włożyła czystą, elegancką bieliznę. Pod suknię, którą Ross kupił dla niej na uroczysty bal z okazji powrotu króla do zdrowia w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym roku, można było włożyć bardzo skąpą bieliznę. Od tamtego czasu nigdy nie miała jej na sobie, lecz jej figura prawie się nie zmieniła. Gorset okazał się nieco ciaśniejszy, a talia luźniejsza. Włożyła swoją jedyną parę jedwabnych pończoch – prezent od Verity na Boże Narodzenie tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Kontakt jedwabiu ze skórą sprawił jej przyjemność.

Postanowiła upiąć włosy, a przynajmniej spróbować, w taki sam sposób, jak pokojówka Warlegganów zrobiła to cztery lata wcześniej. Ułożyła fryzurę w wysoką piramidę, pozwalając, aby kilka kosmyków opadło na policzki przy uszach. Podkreśliła grzywkę. Nie pojawiła się służąca, by jej pomóc, i Demelza była za to wdzięczna. Na toaletce nie stały żadne kosmetyki, nie było muszek, lecz miała własny puder i róż – prezent od Verity na Boże Narodzenie tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego drugiego roku. Użyła ich bardzo oszczędnie, przedłużyła też brwi o ponad dwa centymetry.

Skończywszy makijaż, z trudem włożyła suknię. Piękny srebrny brokat był dziwnie ciepły. Aby zapiąć haftki, musiała się niewiarygodnie wyginać, ale się udało. Popatrzyła na siebie w lustrze i uznała, że ktoś mógłby jej nie poznać na ulicy. Musiałby się jej dokładniej przyjrzeć. Czy taki wygląd nie jest zbyt wyzywający? Czy przyzwoite kobiety tak się ubierają? Po namyśle doszła do wniosku, że tak.

Znalazłszy się na zakurzonej, ciemnym korytarzu, usłyszała pierwsze dźwięki muzyki. Zatem nie przyszła za wcześnie. Tańce – a przynajmniej muzyka – przed ósmą wieczór, gdy na niebie w dalszym ciągu świeci słońce i słychać ćwierkanie ptaków. Gorzko żałowała, że nie wsunęła do torby flaszki porto. Musiała stawić czoło niebezpieczeństwu z zimną krwią.

W Werry House schody nie biegły bezpośrednio do wielkiej sali, tylko do mniejszego pomieszczenia na tyłach domu, co oszczędziło Demelzie udręki schodzenia na oczach wszystkich gości. Kiedy się pojawiła, u stóp schodów stał John Treneglos i natychmiast ją zauważył. Najstarszy syn właściciela dworu w Mongoose, będący już prawie jego dziedzicem, niezgrabny, jasnowłosy,

piegowaty mężczyzna w wieku trzydziestu pięciu lub trzydziestu sześciu lat.

– Ależ to pani Demelza! Hej ho! Gdzie się pani ukrywała?

Jego tubalny głos zwracał powszechną uwagę i Demelza pomyślała, że musi być ostrożna. Nie czuła szczególnej sympatii do Johna Treneglosa, a jeszcze mniejszą do Ruth, jego żony, która zawsze próbowała jej dogryzać; lecz Demelza dobrze wiedziała, że podoba się Johnowi. Nie należało powtarzać sceny sprzed czterech lat w Assembly Rooms, gdy była w tej samej sukni i miała taką samą fryzurę, a czterech lub pięciu mężczyzn dosłownie biło się o nią – choć ona chciała być po prostu grzeczna i miła.

Treneglos wspiął się po kilku stopniach i wyciągnął ręce.

– Pozwoli pani, bym odprowadził ją do sali balowej, prawda? I pierwszy taniec, dobrze? Taki sam jak poprzednio! Historia się powtarza. Byłoby mi bardzo miło, gdybym przynajmniej raz wszedł w paradę pani mężowi. Gdzie jest?

Demelza podała mu dłoń.

– Musiał wyjechać. A pana żona?

– Kotna, jak zwykle. Zbliża się czas rozwiązania, bo inaczej by przyjechała, zna ją pani. Wszystko bardzo dobrze się składa. Do licha, chyba sama Opatrzność sprawiła, że się spotykamy!

– Do licha, moim zdaniem nie – odparła Demelza.

Pierwsze godziny tańców pamiętała jak przez mgłę. Przede wszystkim na początku potrzebowała środka, który pozwoliłby jej zachować równowagę, zapanować nad sobą, ukołby nerwy. Jednak przez kilka godzin nikt jej niczym takim nie poczęstował. Później wypila kilka kieliszków niesmacznego wytrawnego wina, które w końcu wywołało pożądany skutek.

Orkiestra składała się z trzech skrzypiec, bębena, fujarki i rogu. Kapelmistrz, grający na skrzypcach, był najbardziej krągłym mężczyzną, jakiego Demelza w życiu widziała. Wszystko było w nim okrągłe, od okularów w złotych oprawkach do brzucha, na którym dyndał złoty zegarek kieszonkowy. Poły jego fraka nie wisały spokojnie: poruszały się jak metronom i nieruchomiały tylko wtedy, gdy muzyk siadał w czasie krótkich przerw.

W sali ozdobionej bzami i żonkilami znajdowało się pięćdziesięcioro gości. Przybył sir John Trevaunance, lecz bez Unwina. Pojawił się Ray Penvenen, choć wydawał się posępny i blady. Wśród gości był Robert Bodrugan, jedyny bratanek sir Hugh, mający odziedziczyć po nim majątek, i Demelza dwukrotnie tańczyła z nim na początku wieczoru. Cała rodzina Teague'ów, trzech Boscoigne'ów, Richard Treneglos, drugi brat Johna, oraz Joan Pascoe, córka bankiera. Lecz nie było Dwighta Enysa. Poza tym William Hick, państwo Barbary, Peter St Aubyn Tresize, czcigodna Maria Agar, lady Whitworth z synem, pani Carruthers i wielu innych.

Wśród gości rzucała się w oczy wysoka, przystojna kobieta w czerni,

nosząca tyle bransoletek i biżuterii, że dźwięczała przy każdym ruchu. Dopiero gdy Demelza zobaczyła ją idącą pod rękę z sir Hugh Bodruganem, domyśliła się, że to słynna Margaret Vosper, z którą sir Hugh spotykał się od dwunastu miesięcy. W pewnej chwili podeszli do Demelzy i Bodrugan spytał:

– Zna pani moją przyjaciółkę, panią Vosper? Żona kapitana Rossa Poldarka. Mają panie ze sobą wiele wspólnego: każdy mężczyzna natychmiast przybiegnie na pań skinienie. Czy panie się już znają?

Margaret wybuchnęła głośnym, ochryplym śmiechem. Miała niski tembr głosu.

– Nie znam jeszcze tej damy, ale miałam w różny sposób do czynienia ze wszystkimi Poldarkami. Może mamy więcej wspólnego, niż przypuszczasz, Hughie.

Sir Hugh się zaśmiał, a dusza Demelzy pociemniała. Dobrze rozumiała insynuacje Margaret Vosper. Pasowały do perfidii Rossa.

– Ma pani nade mną przewagę – powiedziała. – Domyślałam się, że działo się to przed moim urodzeniem.

Śmiech sir Hugh stał się głośniejszy.

– Mam nadzieję, że podobają się pani tańce. Przyznaję, że prawie nie widziałem pani siedzącej.

– Tańce są bardzo przyjemne, sir Hugh. Nie miałam pojęcia, że w Kornwalii jest tylu przystojnych mężczyzn. Jak to dobrze, że nie trzeba się obawiać konkurencji...

Sir Hugh wyjął tabakierkę i postukał w nią palcem, ukrywając wyraz twarzy przed Margaret.

– Te wyrafinowane rozmowy przyprawiają mnie o ból głowy – rzekła Margaret i ziewnęła. – Pochowałam dwóch mężów i byłam słomianą wdową po kilku innych, nie wymieniam żadnych nazwisk, ale nigdy nie lubiłam pustej gadaniny. Jeśli ktoś się komuś podoba, trzeba podejść, spytać, czy tak, czy nie, i rozstrzygnąć sprawę.

– Bardzo handlowe podejście – zauważyła Demelza.

– Handlowe i uczciwe – odparła Margaret. – Mężczyzna wie, na czym stoi, podobnie jak kobieta...

– Raczej na czym będzie leżeć! – dorzucił sir Hugh i roześmiał się tubalnie.

– Nie sądzi pani, że w miłości powinno być więcej miejsca na wyrafinowanie? – spytała nierozważnie Demelza. – Wolę nie podejmować decyzji zbyt szybko. Nawet jeśli wydaje się to pani pustą gadaniną, jest to lepsze od wpadania na każdy krzak i nadziewania się na kolce.

Na szczęście w tej samej chwili pojawił się John Treneglos i zabrał Demelzę, a Margaret odciągnęła sir Hugh i wkrótce znów skupiła na sobie jego uwagę.

Mimo to sir Hugh poszedł na kolację właśnie z Demelzą.

Na początku przyjęcia Demelza w ogóle nie widziała Malcolma McNeila. Nie było go w sali balowej, ale kiedy wreszcie zauważył żonę Rossa, natychmiast pośpieszył w jej stronę i wepchnął się między Petera Tresize'a i porucznika Carruthersa, którzy z nią rozmawiali.

– Ależ pani Poldark, nie miałem pojęcia, że pani się tu pojawi! Cóż za miła niespodzianka! Czy mógłbym dostąpić zaszczytu zatańczenia z panią? Ma już pani partnera do kolacji?

– Tak, bardzo mi przykro.

– A tańce przed kolacją?

– Pięć mam już zarezerwowanych.

– Więc może po kolacji? Pierwszy?

– Bardzo dobrze, pierwszy.

– To przecież niesprawiedliwe, pani! – wtrącił Tresize. – Przed chwilą o niego prosiłem.

– Oszczędzałam go dla kapitana McNeila. Bardzo mi przykro, panie Tresize. Może drugi?

– W takim razie drugi.

– Proszę o trzeci – rzekł porucznik Carruthers. – Podobno trzeci to *écossaise*. Wyjątkowo pyszna zabawa...

– Chyba powinnam zatańczyć ten taniec ze Szkotem. Oczywiście, jeśli raczy mnie poprosić.

– Z wielką przyjemnością, pani – odparł McNeil, szarpiąc w podnieceniu wąs. – Liczę również na kolejne tańce.

Demelza pomyślała o filozofii Margaret.

– Niech pan prosi, kapitanie, tylko natychmiast.

– Pierwszy, trzeci, piąty, siódmy i następne. Te następne to trochę jak życie po śmierci.

– Szczerze wierzę w życie po śmierci – odparła Demelza.

– Moim zdaniem kapitan jest zbyt łakomy – rzekł Tresize. – Nie należy zachęcać do łakomstwa. Pojawiają się wtedy inne apetyty.

– Kapitan McNeil mówi, że jutro wyjeżdża. Tak przynajmniej sędzę. Może zasługuje z tego powodu na specjalne traktowanie?

– Jest pani wyjątkowo miła, pani Poldark!

Później, gdy sir Hugh zabrał Demelzę na kolację, zdawała sobie sprawę, że powtarzają się wydarzenia sprzed czterech lat, choć teraz miała nad nimi lepszą kontrolę. Świadomość tego faktu bardziej uderzała do głowy niż słabe francuskie wino.

Ostrożne sączenie alkoholu, nie na tyle, by się upić, lecz trwać w obecnym stanie, było bardzo ważne nie tylko dla zachowania równowagi i pewności siebie. W głębi duszy, w jej najgłębszych zakamarkach, Demelza czuła się równie

samotna jak przed tygodniem. Nie mogło tego zmienić nic, co zrobi tego wieczoru. Margaret rozdrapała ranę, lecz nawet to nie miało wielkiego znaczenia. Demelza straciła już wszystko, co można stracić. Aby użyć jej własnego porównania, była jak chrześcijanin, który stracił wiarę w Boga, wierzący, który stał się ateistą. Czowała ulgę i upajało ją poczucie swobody, usiłowała się cieszyć, że odrzuciła staroświeckie przesady, owiewał ją potężny wicher wolności i koniecznie chciała jak najlepiej ją wykorzystać, jednak w głębi serca była zagubiona, całkowicie zagubiona.



## *Rozdział ósmy*

Kolacja była wyjątkowo obfita, a po jedzeniu goście potrzebowali trochę ruchu, toteż tańczono angiezy. Nawet najczcigodniejsi członkowie zgromadzenia, objedzeni znakomitymi potrawami i opici winem, wyraźnie się rozluźnili. Demelza z zaskoczeniem obserwowała arystokratów oddających się wesolej zabawie. Uważała, że lordowie i baroneci mogą tańczyć tylko menueta i gawota, lecz sami zainteresowani mieli zupełnie inny pogląd. Radośnie skakali po sali jak tubylcy z Borneo; wokół kiwały się peruki i furkotały suknie. Niektóre tęzsze damy, ubrane w modne suknie z głębokimi dekoltami, zachowywały się wręcz nieskromnie. Gdyby Demelza obserwowała je z dystansu, odczuwałaby lekki niepokój, lecz znajdowała się w środku tłumu i zwracała uwagę tylko na to, by ktoś nie nastąpił na jej piękną suknię ani nie zdarł jej z ramion.

Nie mogła zaprzeczyć, że w jakiś sposób sprawia jej to przyjemność. Uwielbiała tańczyć, a teraz, gdy towarzyszył jej Malcolm McNeil, mogła go kokietować bez hipokryzji – albo bez nadmiaru hipokryzji.

Nastąpiła krótka przerwa. Zdyszana Demelza chłodziła się wachlarzem po galopce tańczonej z sir Rogerem Coverleyem.

– Naprawdę jutro pan wyjeżdża, kapitanie McNeil?

– O tak, naprawdę jutro wyjeżdżam. Powinienem wyjechać w czwartek, ale list dotarł do mnie za późno. Początkowo byłem niezadowolony, lecz teraz uważam to za łaskę niebios. Czy dziś wieczorem zechciałaby pani wyświadczyć mi szczególny zaszczyt i nazywać mnie Malcolmem? – Demelza zachęciła McNeila do tego stopnia, że zaczął przejmować inicjatywę.

– Może się mylę, ale czy nie było to imię jednego ze szkockich królów? – spytała.

– Więcej niż jednego. Świetnie znasz dzieje Szkocji, Demelzo.

– Czasem czytam książki. Na pewno cię to dziwi. Myślisz, że zajmuję się tylko dojeniem krów, karmieniem świń, opieką nad dzieckiem i wypiekiem chleba.

– Nie, nie, zapewniam cię.

– Cóż, dziękuję za to zapewnienie. Wiesz, że tylko dwóch mężczyzn nazywało mnie wcześniej Demelzą: mój mąż i jego brat stryjeczny?

– A ojciec?

– Raczej nie, jeśli dobrze pamiętam. Kiedy był ze mnie zadowolony, nazywał mnie córką, a gdy się złościł, posługiwał się słowem, które już dawno zapomniałam jako dama.

McNeil roześmiał się tubalnie, aż muzycy prawie przestali grać.

– Och, możesz się śmiać, Malcolmie, ale to prawda! A teraz opowiedz mi coś o sobie. Ile dam nazywało cię wcześniej Malcolmem?

– Słucham? – Popatrzył prosto w ciemne oczy Demelzy, spodziewając się dostrzec tam iskierkę radości. Nie zauważył jej, choć ciągle podejrzewał, że tam jest. – Przyznaję, że kilka, ale niewiele, biorąc pod uwagę pokusy związane z życiem żołnierza. Jestem wybredny, podobnie jak ty. Tak przynajmniej sobie wyobrażam. Cenię tylko rzeczy najlepsze, co jest poważnym ograniczeniem, na pewno się z tym zgodzisz. W każdym razie, ma to swoje zalety, bo gdy nadarza się okazja...

– Jaka okazja?

Roześmiał się.

– Nazywanie kobiety po imieniu to pierwsza oznaka czułości. Jak dotknięcie ręki bez rękawiczki, pomoc w przejściu przez murek na polu, uśmiech, który wyraża coś więcej niż przyjaźń. Podziwiam twoje imię, Demelzo. Kto ci je nadał i co oznacza?

– Nadała mi je matka, podobnie jak twoja matka nadała ci imię Malcolm. Nie wiem, skąd się wzięło. Stary Cygan, który kiedyś przyszedł do domu, powiedział mi, że w dawnym języku kornwalijskim znaczy ono „twoja słodycz”. Ale był ignorantem i chyba się mylił.

– „Twoja słodycz”. Doskonale pasuje. Chociaż chyba byłbym bardziej zadowolony, gdyby znaczyło „moja słodycz”.

– Gdybym wiedziała, co oznacza dla ciebie nazywanie kogoś po imieniu, tak łatwo bym się na to nie zgodziła.

– Dlaczego? Czy dziś wieczorem, kiedy się spotkaliśmy, nie powiedziałaś, że wszystko, o co poproszę...

Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

– Jednak nie użyłam słowa „zawsze”...

– Z pewnością pojawia się w moich pragnieniach.

Przez chwilę milczeli. Nim Demelza zdołała wymyślić zręczną odpowiedź, ktoś do nich podszedł i powiedział, że teraz kolej na jego taniec, po czym zaprowadził ją na środek sali.

McNeil, dotarwszy tak daleko, nie zamierzał rezygnować. Służył w kawalerii i wiedział, jakie manewry powinien wykonać. Kiedy przyszła pora na następny taniec, zaproponował, by wyszli na taras odetchnąć świeżym powietrzem. Na tarasie było kilka innych par. Długi zmierzch wreszcie się skończył i zapadła ciemna noc, bez księżyca i gwiazd. Spacerowali tam i z powrotem; szyja i ramiona Demelzy lśniły blado w ciemności. Rozmawiali kilka minut, w pewnym momencie Demelza zadrżała.

– Zimno ci, kochanie? – McNeil natychmiast objął ją ramieniem. – Wybacz mi, przyniosę twój szal.

– Nie mam szala – odpowiedziała, bardzo delikatnie uwalniając się z objęcia. – Nigdy go sobie nie kupiłam. Ale nie jest mi zimno, to po prostu... pewne

uczucie.

– Opisz mi je.

– Och, to niemożliwe. Istnieje na to stare kornwalijskie słowo. „Postrzał” chyba najlepiej je oddaje. Ale to uczucie minęło i najlepiej o nim zapomnijmy.

– Nikt jeszcze nie okazywał jej takiej uwagi, nawet Ross. McNeil podbił jej serce, choć starała się patrzeć na wszystko z dystansu.

– Jakie to szczęście, że zostałem dwa dni dłużej! – powiedział. – Widzę, że dziś wieczorem nie zabrakłoby ci towarzystwa. Inni mężczyźni rzuciliby się na ciebie, lecz ośmielałam się mieć nadzieję, że nie byłoby dla ciebie tak sympatyczny jak ja.

– Nie byłoby tak sympatyczny – potwierdziła Demelza. – Wyleczyłeś się już z rany? Późno zadaję to pytanie, ale...

– Jestem już zupełnie zdrow. Popatrz. – Wyciągnął rękę. – Jest jak nowa. Warto było odnieść tę ranę. Ze względu na przyjemność poznania ciebie.

Dotarli do końca tarasu i zatrzymali się. Demelza chciała się odwrócić, lecz McNeil się nie poruszył. Pomyślała, że musi dokonać wyboru. Pochyliła głowę, by mnie pocałować. Cóż, sama się o to prosiłam. Często się zastanawiałam, jak to jest całować mężczyznę z takimi wąsami... Teraz już wiem... Czy to ja patrzę na włosy obcego mężczyzny, który dotyka mnie i całuje? Chwila, gdy można się jeszcze wycofać... Boże, cóż za długi pocałunek, podoba mi się, a jednocześnie nie podoba. O nie, to nie jestem naprawdę ja, siedzę w domu przy kominku, Jeremy śpi na górze, a Ross... Ross jest w ramionach Elizabeth...

Kiedy w końcu McNeil puścił Demelzę, oparła się o balustradę i rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś widział ich pocałunek. Ale otaczała ich noc. Odetchnęła głęboko i niepewnie dotknęła dłonią włosów. McNeil był postawnym mężczyzną, może nie tak wysokim jak Ross, lecz cięższym, tęższym. I nie był to jego pierwszy pocałunek.

– Chciałem to zrobić od samego początku, odkąd cię poznałem kilka lat temu. Och, to była dla mnie ogromna przyjemność.

– Cieszę się, że było ci miło – odpowiedziała.

– Kokietka z ciebie. Zawsze tak jest, Demelzo. Spełnienie ambicji prowadzi do większej ambicji, a później do jeszcze większej ambicji, aż wreszcie...

– Aż wreszcie nic nie zostaje. I co wtedy, Malcolmie?

– Co wtedy? Wówczas osiąga się pożądane zaspokojenie. Sugerowałeś, że wszystko idzie na marne? Moje doświadczenia są inne. Jestem całkowicie przekonany, że w tym przypadku tak nie będzie.

– A ja? Co na tym zyskam?

– Nie rozczaruję cię. Uważasz to za prawdopodobne?

Ich głowy znajdowały się ciągle blisko, w odległości kilkunastu centymetrów. Rozmowa całkowicie wymknęła się spod kontroli, nagle stała się

szalona. Chwilami Demelza nie wiedziała, co robić.

– Chyba powinniśmy wejść do domu. Tu jest bardzo ciepło. Myślę, że w sali balowej będzie chłodniej.

– Nie mogę liczyć na słowo zachęty przed powrotem?

– Wydaje mi się, że padło już wiele zachęcających słów. Nie wiem, jak inaczej można je nazwać...

– Tak, zachęcających – odparł pewnym tonem McNeil. – Ale powiedz, czy spełnisz obietnicę, którą składasz samym swoim wyglądem, ukochana? Może później, późnym wieczorem... Gdzie jest twój pokój, Demelzo?

Na co czeka? Czy nie po to przyjechała na bal? Czy to nie jedyny sposób, by się zemścić na Rossie? Czy zaledwie kilka godzin temu nie snuła gorzkich refleksji, że brak jej odpowiedniego kandydata? Sir Hugh budzi w niej odrazę w roli kochanka. Podobnie John Treneglos. I oto pojawił się McNeil, który jutro wyjeżdża, przystojny, dość atrakcyjny, chętny i serdeczny. Czegóż jeszcze chcieć? Chyba że cały jej bunt, cały protest, to tylko puste słowa wypowiedane w myślach i pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Fanfaronada, udawanie odwagi. Wypicie dla kurażu kilku kieliszków wina, by osiągnąć szczyt deprawacji i pozwolić się komuś pocałować. Ile razy Ross namiętnie całował nie tylko Elizabeth, lecz również tę bezczelną kreaturę skradającą się po domu? Margaret Vosper. Margaret Cartland. Margaret Poldark. Demelza Poldark. Demelza McNeil.

Opuściła głowę i rzekła cicho:

– Nie znam dobrze rozkładu dworu.

– Ja znam. Spędziłem tu wiele tygodni. – Musnął wargami jej ucho, położył dłoń na ramieniu. – Dziękuję, najśodsza, dziękuję...

Kiedy późnym wieczorem Demelza dotarła do swojego pokoju, poły fraka kapelmistrza ciągle się poruszały. W pustawej sali balowej tańczyło kilka młodszych, energiczniejszych par, lecz większość gości odjechała lub udała się na spoczynek. Lady Constance Bodrugan już dawno poszła nakarmić zwierzęta. Sir Hugh pił ostatni kieliszek rumu z lordem Devoranem, a Robert Bodrugan flirtował z panną Tresize.

Demelza zamknęła za sobą drzwi pokoju, podeszła do okna, odchyliła zasłonę i wyjrzała na dwór. Ciężkie wieczorne chmury się rozproszyły i mrok stał się mniej dojmujący. Na tle nocnego nieba rysowały się ciemne sylwetki drzew. Jasne światło bijące z okien na parterze podświetlało ściany porośnięte bluszczem. Maszkaron na jednej ze ścian ganku ożył nagle i przeleciał w ciszy obok jej okna – okazało się, że to polująca sowa.

Demelza puściła zasłonę i postanowiła ogrzać lodowate dłonie nad grubą świecą, która płonęła na stole, przypominającą niewielkie żółte oko. Pomyślała, że staje się w tej chwili – w błyskawicznym tempie – kurewką, jak ojciec nazywał takie kobiety. Niestety, nie wiedziała, jak się zachowują kurewki w takich

sytuacjach. Czekać w sukni, w stroju, w którym zwabiło się mężczyznę, ryzykując, że suknia się podrze albo pogniecie? A może najpierw zdjąć suknię i włożyć szlafrok, który nie wygląda tak atrakcyjnie, lecz ma tę zaletę, że można go łatwo zrzucić? Czy wejść do łóżka w koszuli nocnej – a nawet bez niej – i podciągnąć kołdrę pod brodę?

Żałowała, że bardziej się nie upiła. Jeśli komuś kręci się w głowie, wszystko jest znacznie prostsze – można się poddać karesom i z chichotem zostać niewierną żoną. Zupełnie nie było jej do śmiechu. Znacznie przydatniejsze od wina było teraz wyobrażenie Elizabeth w ramionach Rossa, z rozpuszczonymi złocistymi włosami i bladą twarzą elfa. Wyobrażenie wyjątkowo wyraziste, jak obraz olejny wiszący na ścianie pokoju.

Wolałaby mieć cieplejsze ręce. Była to jedyna widoczna oznaka zdenerwowania. Wolałaby nie robić tego z zimną krwią. McNeil powinien był ją wziąć, gdy stali na tarasie – miałyby to szybko za sobą jak wyrwanie zęba. Nie, jest wobec niego niesprawiedliwa. Lepiej, jeśli przyjdzie. Jest atrakcyjny, przystojny, szarmancki. Jego zainteresowanie powinno jej pochlebiać, naprawdę pochlebia. Musi o nim myśleć. Pomogło. Bardzo pomogło.

Postanowiła włożyć szlafrok i zaczęła się wyginać, by zdjąć suknię. W końcu suknia opadła na podłogę, tworząc piękny srebrzysty krąg. Wyszła z niego, długonoga, w czarnych pończochach kontrastujących z białą skórą. Ach, gdyby przyszedł właśnie teraz! Chwyciła szlafrok i narzuciła na ramiona. Kiedy wiązała pasek, rozległo się ledwo słyszalne pukanie do drzwi.

W samą porę włożyła szlafrok! Podniosła suknię i rzuciła na fotel. Podeszła na palcach do drzwi. Do pokoju wślizgnął się Malcolm McNeil.

Szlafrok najwyraźniej był odpowiednim strojem. McNeil, również ubrany w szlafrok, wydawał się masywniejszy niż w mundurze, bardziej trywialny, bardziej rzeczywisty. I trochę gruby.

– Moja słodczy, bałem się, że zapukam do niewłaściwych drzwi i obudzę jakąś staruszkę. Jak pięknie wyglądasz! Ile masz lat, osiemnaście? Gdybym cię nie znał, dałbym ci najwyżej osiemnaście lat.

– Skończyłam czterdzieści siedem – odparła Demelza, grając na zwłokę i okazując typowe dla siebie zgryźliwe poczucie humoru, by zapomnieć o chwilowym szoku. – To światło odmładza. Ty wyglądasz na dwanaście, jakby ktoś ukradł ci połowę. Ktoś cię zauważył?

– Nikt. Pokojówki poszły spać, a goście ziewają i drzemią. Ale dla nas, kochana, noc jest ciągle młoda...

– O której jutro wyjeżdżasz?

– Wsiądę w południe do dylizansu z Truro, gdy minie bramę...

– I więcej cię nie zobaczę?

– Zobaczysz, jeśli zechcesz! Po prostu napisz do mnie do Winchester...

Otoczył ją ramionami, ciągle mówiąc, i kilka razy namiętnie pocałował, wsuwając dłoń pod szlafrok i kładąc ją na ramieniu Demelzy. Powinno mi to sprawiać przyjemność, pomyślała. Co się dzieje? Czy stało się to zbyt nagle, czy nie pociąga mnie to tak, jak przypuszczałam? Czy lubię być w ten sposób całowana? Nie teraz. Nie w ten sposób. Ale to minie. Spróbuję o wszystkim zapomnieć. Szkoda, że nie jestem pijana. Kochany Malcolm, jak bardzo mnie pragnie. Wkrótce ja też będę go pragnąć. Po prostu się poddaj. To tylko nieśmiałość sprawia, że jestem taka spięta i zimna. A może rzeczywiście jestem pruderyjna i szokuję samą siebie?

– Malcolmie... – powiedziała, gdy oderwał usta od jej ust.

– Tak, aniele – szepnął i nie dał jej czasu na odpowiedź.

Przez chwilę była przynajmniej w stanie utrzymać jego karesy w rozsądnych granicach. Jednocześnie ogarniała ją coraz większa wściekłość. Ross mnie zdradza! Ross mnie zdradza! Przestał dla mnie istnieć jako kochanek. Odebrała mi go Elizabeth. Był z tą okropną kobietą, Margaret Vosper. Co za obraza, co za upokorzenie! Ross odszedł, powtarzam. Już go nie ma, jest tylko samotność i to – schadzka w sypialni w Werry House. Malcolm jest dobry, uczciwy, szczerzy, znacznie miłszy, niż mogłam się spodziewać, choć trochę gruby. Chciałam, by się ze mną kochał; prawie go o to poprosiłam! Czy nie jestem zadowolona? Dotrzymaj umowy. Za kilka minut będzie ci to sprawiać przyjemność. Tylko początek wydaje się taki dziwny, obcy, jakbyś z nikim się jeszcze nie kochała. Obcy, to właściwe słowo. Uwiedzenie przez obcego.

Jego karesy stawały się coraz śmielsze.

– Malcolmie – rzekła bez tchu, częściowo wyswobadzając się z uścisku kawalerzysty. – Czy jesteś dobry?

– Dobry? Przekonasz się, że tak – odpowiedział, podążając powoli za cofającą się Demelzą. Wyczerpał swoją finezję na balu.

– W takim razie, Malcolmie, chciałabym, żebyś mnie posłuchał. Proszę. Tylko przez chwilę. Chcę, żebyś był dobry i pełen zrozumienia. Chcę, żebyś rozumiał, dlaczego pozwoliłam ci przypuszczać... To przez Rossa, rozumiesz. Myślałam o tym, co zrobił, i postanowiłam zrobić to samo. Spośród wszystkich mężczyzn, których mogłabym wybrać... na miejscu byłeś właśnie ty... I dopiero w tej chwili... przed momentem... zaczęłam się dziwić...

– O tak, kochanie – odparł. – Widzę, że się dziwisz. To częste uczucie w ostatniej...

– Nie – przerwała. – Posłuchaj mnie, proszę. To bardzo ważne. Ja...

Dotychczas Demelza była pełna wątpliwości. Straszliwy ból w głębi serca popychał ją do przodu mimo szczególnych uczuć, które ją w tej chwili ogarniały, wypełniały falą za falą. Zraniona duma działała na korzyść Malcolma. Lecz nagle zdała sobie sprawę, że musi mieć chwilę oddechu, trochę czasu, by odnieść do

siebie poszczególne emocje, dokonać swobodnego wyboru. W głębi serca przyjąć lub odrzucić jego zaloty. Gdyby był człowiekiem subtelniejszym i dał jej czas, mógłby osiągnąć cel. Ale nie dał jej czasu i nowe emocje stały się silniejsze od starych, puszczała mimo uszu jego komplementy.

Stał nad nią z uśmiechem, opierając dłonie o ścianę. Jeszcze jej nie dotknął, lecz miał zamiar to zrobić. I nagle, niespodziewanie, znając go i lubiąc, bez tchu zaczęła wszystko tłumaczyć. Może nie miało to sensu, ale mówiła dalej. Opowiedziała o zdradzie Rossa, o swojej decyzji, by przyjechać tego wieczoru na bal, o osobistym uroku Malcolma, który sprawił, że niemal miała ochotę iść z nim do łóżka, po czym w upokarzający sposób zrozumiała, że nie jest w stanie. Było to coś zupełnie elementarnego, pochodzącego z samej jej istoty, pierwotnego, z czego jak dotychczas zupełnie nie zdawała sobie sprawy. Musiała być lojalna wobec jednego mężczyzny niezależnie od tego, jak bardzo mógłby ją zaniedbywać.

Nie opisała tego dokładnie tak, ale starała się jak najlepiej wyrazić swoje uczucia, wyjaśnić emocje, które jak dotąd zaledwie przeczuwała. Powiedziała, że jeszcze nigdy nie czuła się taka upokorzona, nie z powodu propozycji, lecz z powodu swojego obecnego zachowania. Tylko absolutna pewność, że nie może zrobić nic innego, dała jej odwagę, by postąpić jak pruderyjna oszustka. Nie spodziewała się, że McNeilowi spodobają się jej wyznania, ale nie byli zupełnie obcy sobie ludźmi, w pewnym sensie przypominali starych przyjaciół i Demelza usiłowała wykorzystać tę przyjaźń, prosząc, by zrozumiał jej sytuację.

Mówiła bardzo długo i modliła się, by zrozumiał, po czym spojrzała mu w oczy i przeżyła szok, gdyż zrozumiała, że nawet nie słuchał.

– Doskonale rozumiem twoje uczucia, aniele. To, że jesteś uczciwa, przynosi ci zaszczyt. Ale pomyśl przez chwilę o mnie. Czekałem na to spotkanie w nadziei, że poznam smak nieba na ziemi. Wiem, że masz czułe serce. Jestem pewien, że nie odmówiłoby mi przywilejów, które obiecało. Masz teraz dwa zobowiązania, aniele. Przede wszystkim wobec mnie, a nie wobec swojego niewiernego męża...

Objął ją i znów zaczął całować. Opierała się, odwracała głowę, lecz nie gwałtownie, ponieważ miała nadzieję, że jej niechęć zrobi na nim wrażenie. Tak się nie stało. Chwytał jej szlafrok i usiłował ją rozebrać. Ugryzła go.

Cofnął się na chwilę, ona zaś przesunęła się wzdłuż ściany i znalazła poza zasięgiem jego ramion. Wyraz jego oczu się zmienił. Zerknął na ślady zębów na swoim nadgarstku. Pojawiły się na nim kropelki krwi.

– Bardzo ładny sposób okazywania sympatii – powiedział. – Przyznaję, dość zaskakujący u damy. Ale może lubisz gryźć...

– Och, Malcolmie, proszę, czy nie rozumiesz...

– Zbliżył się do niej i osaczył ją w kącie pokoju. Przez chwilę zmagali się desperacko, aż wreszcie Demelzie znów udało się wyswobodzić. W dłoniach McNeila został rękaw jej szlafroka. Stali po przeciwnych stronach pokoju.

McNeil oddychał ciężko. Kiedy wszedł do sypialni Demelzy, był tak zdeterminowany, że żadne jej słowa nie mogły go odwieść od tego, co sobie postanowił. Podobnie próby stawiania oporu. Ale ostatnia walka uświadomiła mu, że Demelza naprawdę chce, by odszedł. Mimo szczupłej budowy ciała była silna i zwinna jak młode zwierzę. Oczywiście mógłby postawić na swoim, gdyby chciał. Byłoby to proste. Wystarczyłoby ją uderzyć w mały, uparty podbródek. Ale nie był brutalem.

Powoli zwinął rękaw szlafroka w kulę i otarł czoło. Później upuścił materiał na ziemię.

– Lubię się uważać za cywilizowaną osobę, więc potraktuję cię najlepiej, jak potrafię – powiedział. – Mam nadzieję, że mąż doceni twoją wierność. W tych szczególnych okolicznościach ja nie mogę jej docenić. Lubię kobiety, które podejmują decyzję, a później mają odwagę zrobić to, co postanowiły. Popełniłem błąd... – Podeszedł powoli do drzwi i po raz ostatni spojrzął na Demelzę. – Gdy podziw zmienia się w pogardę, pora odejść.

Wyszedł. W ostatniej chwili niewiele brakowało, by Demelza znów się do niego odezwała, podjęła ostatnią próbę opisanie mu swoich uczuć, by nią nie gardził, lecz tylko potępił. Ale nie ośmieliła się otworzyć ust.

Kiedy zniknął, kiedy drzwi się zamknęły i została sama, podeszła, drżąc, do łóżka i usiadła. Opuszczało ją napięcie wywołane walką. Nie mogła uwierzyć, że zachowywała się tak gwałtownie. Bolały ją wszystkie mięśnie. Miała posiniaczone ramiona i barki. Bolały ją zęby.

Nie płakała, tylko uniosła ręce do twarzy.

– O Boże, chcę umrzeć... – jęknęła. – Proszę, Boże, pozwól mi umrzeć...



## *Rozdział dziewiąty*

Około pół godziny później wielki zegar w przedsionku wybił trzecią i orkiestra wreszcie przestała grać. W domu zapanował spokój, a ci, którzy wciąż byli na nogach, stąpali ciszej, by nie przeszkadzać tym, którzy udali się na spoczynek. Po schodach wspiał się niski, barczysty mężczyzna i podążył w stronę wschodniego skrzydła dworu. Był to sir Hugh Bodrugan, który skradał się tak ostentacyjnie, że nie ulegało wątpliwości, iż ma nieczne zamiary. Morze wypitych trunków wywołało odwrotny efekt i był nienaturalnie trzeźwy.

Jego czerwony strój do jazdy konnej był pochłapany winem, a jedna z koronek na mankiecie oderwała się w czasie szarpaniny, lecz był z siebie zadowolony. Głęboko wierzył, że bal okazał się sukcesem towarzyskim i że wszyscy świetnie się bawili. Teraz, aby ukoronować wieczór, postanowił się zabawić w inny sposób. Sprytnie pozbył się Margaret, która niewątpliwie w dalszym ciągu spacerowała po bibliotece, czekając na niego. Wkrótce się znudzi i pójdzie, klnąc, do łóżka. Właśnie tak miało być. Bodrugan zamierzał iść do łóżka, ale nie z nią.

We wschodnim skrzydle mieszkało niewielu gości, co naturalnie ułatwiło mu zadanie, choć ta przekłeta podłoga przez cały czas skrzypiała i trzeszczała. Celowo ulokował swoją wybrankę w tym miejscu na wypadek, gdyby go zachęciła. Z tego powodu poczuł zdziwienie i irytację, gdy w pobliżu drzwi zauważył inną postać zbliżającą się w półmroku. Nieznajomy spojrzął na klamkę, jakby chciał się zorientować, czy jest we właściwym miejscu. Kiedy wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi, sir Hugh wykrzyknął:

– Ejże, mości panie! Co, do diaska...

Mężczyzna gwałtownie się wyprostował. Był to John Treneglos.

– Witam! Co się stało? – odpowiedział i zamrugał. – Ach, to pan, przyjacielu! To moja sypialnia, prawda? Pamiętam, że znajdowała się po prawej stronie schodów. Ten pański rozległy dwór jest gorszy nawet od mojego. Proszę spojrzeć...

– Nie mógł się pan w ten sposób pomylić – przerwał surowo Bodrugan.

– O nie, w żadnym wypadku! Można pomylić sąsiednie pokoje, drogi panie, ale nie części domu. Pana sypialnia znajduje się na końcu tego korytarza i byłbym zobowiązany, gdyby zechciał się pan do niej udać.

– Ach, doprawdy? – zdziwił się Treneglos. – Tak, już rozumiem, gdzie skręciłem w złą stronę. – Poruszył się, lecz znów znieruchomiał. – Tak, to chyba te skoczne anglezy namąciły mi w głowie. Dziękuję.

Czekał. Obaj czekali.

– Cóż, dobranoc – rzekł sir Hugh.

– Ależ, Hughie, niech pan nie psuje mi zabawy! – odezwał się Treneglos.  
– Nigdy nie przypuszczałem, że może pan zepsuć komuś miły wieczór.

– Może pan myśleć, co pan chce. Oto korytarz do pańskiej sypialni. Ta należy do Demelzy Poldark i doskonale pan o tym wie!

John Treneglos prychnął.

– Przyznaję, że wiem, skoro stawia pan tę sprawę tak otwarcie, choć ma w sobie coś niegrzecznego. – Położył dłoń na barku Bodrugana. – Wie pan, jak to bywa podczas takich przyjęć. Do diaska, ludzie nie powinni stawać sobie na drodze. W swoim czasie pan też odbył wiele wieczornych spacerów. Ten pączuszek był dziś wyjątkowo miłutki. Wie pan, właściwie mnie zaprosiła. Nie można odrzucić takiej propozycji. A do tego nie ma Ruth. Cudowna sposobność. Sugeruję, by przymknął pan na to oko i poszedł spać.

– Przymknął oko?! – wybuchnął sir Hugh. – Sam tam przecież idę!

Treneglos popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Co takiego?! Co takiego?! Żartuje pan! Do diabła! Niech pan nie mówi, że zaprosiła również pana!

Sir Hugh się skrzywił.

– Nie wprost. Ale mądrej głowie dość dwie słowie, człowieku...

– Ach, przywiązuje pan zbyt wielką wagę do przypadkowych słów, drogi panie. Niewątpliwie chciała być uprzejma, jak każda dama wobec starego weterana takiego jak pan, ale...

– Może dalej będzie uprzejma. Nie jestem żadnym weteranem! – dodał sir Hugh, gdy dotarła do niego druga część zdania. – Jestem takim samym mężczyzną jak pan. Co panu powiedziała? Niech pan mówi! Co panu powiedziała?

– Nie pamiętam dokładnych słów, ale znaczenie było jasne. A poza tym jej spojrzenie... Potrafi patrzeć bardzo znacząco, kiedy chce...

– Phi! – prychnął Bodrugan. – Ma pan znacznie mniejsze podstawy, by czuć się zaproszonym! Chciał pan spróbować szczęścia, to wszystko. Niech pan się przyzna, człowieku! Zawsze była ładną bestią, a wszystko ma swój kres. Skąd pan wiedział, gdzie jest jej sypialnia?

– Słucham? Powiedziała mi pokojówka o cielecych oczach, gdy ją przycisnąłem. Niech pan posłucha, Hugh, jest oczywiste, że przybyłem pierwszy, choć z niewielką przewagą, więc mam pierwszeństwo, nawet jeśli pominiemy dokładny sposób zaproszenia. W końcu w domu jest pańska kochanka, czego Ruth nigdy by nie zniosła. Niech pan nie będzie pazerny. Dlaczego nie odstąpi mi pan prawa pierwszeństwa? A kiedyś, innym razem...

– Nonsens! – odparł Bodrugan, wzburzony tą niesprawiedliwością. – Kto pomógł jej dwa lata temu w Bodmin i dostał w zamian tylko kilka całusów? Kto jej pokazał, jak się posługiwać nowym siewnikiem, o którym wszyscy mówią? Kto wysyłał jej prezenty i regularnie ją odwiedzał? I kto ją tu zaprosił, mój panie?! Czyj

to dwór? Na Boga, gdyby to się działo w pańskim domu, pana roszczenia mogłyby być bardziej uzasadnione...

– Tss! – przerwał Treneglos. – Jeśli będziemy się sprzeczać tak głośno, wszyscy goście wyjdą na korytarze. Przyznaję, że to pański dom, ale jest pan przecież gospodarzem, Hughie, i powinien pan oddać pierwszeństwo gościowi. Można to przeczytać w każdej książce o zasadach etykiety. Wymagania gości są na pierwszym miejscu, zawsze na pierwszym miejscu. Do licha, stoi pan na straconej pozycji! Maniery nie są już takie jak kiedyś, ale...

– Stoję tam, gdzie stoję – przerwał gniewnie sir Hugh. – Jeśli wejdzie pan do tego pokoju, idę z panem!

John westchnął, po czym otarł czoło rękawem.

– Nie przypuszczam, byśmy ją zdobyli w ten sposób... – Przyszła mu do głowy pewna myśl. – Mogła zaprosić nas obydwu i tylko pech sprawił, że pojawiliśmy się jednocześnie, lecz jeśli wejdziemy razem, to zakończy sprawę. A może rzucimy monetą? Zwycięzca wchodzi natychmiast. Przegrany czeka godzinę i wchodzi na własne ryzyko. Na Boga, moim zdaniem to jedyne rozsądne rozwiązanie...

Sir Hugh prychnął.

– Nigdy nie przypuszczałem, że jest pan taki uparty, John. Ale nikt nie może powiedzieć, że nie jestem sportsmenem. Jeśli to jedyne sposob polubownego rozstrzygnięcia sporu, zgadzam się. – Z pewnym trudem wysupłał monetę z kieszonki na zegarek. – Ja wybieram...

– Nie, nie, proszę zaczekać. Najpierw obejrzymy monetę. Ach, tak jak podejrzewałem: dwa orły. W miłości wszystkie chwytty są dozwolone, ale niech losowanie będzie uczciwe. – Z równym trudem John Treneglos wyjął inną monetę i pokazał ją rywalowi. – Ta moneta przyszła na świat w naturalny sposób, więc ma orła i reszkę. Co pan wybiera? Uwaga, rzucam!

– Orzeł – powiedział z wściekłością sir Hugh. Natychmiast się pochylił, a później ukląkł, by zobaczyć rezultat rzutu.

– Reszka! – zawołał triumfalnie sir John. – Reszka, na brodę Mojżesza! Przegrał pan, sir Hugh! Klacz jest moja!

– Odbiła się od skraju dywanu! Wynik jest nieważny! Żądam powtórzenia rzutu! Cóż, do licha...

– Nie, wszystko odbyło się uczciwie. Wycofuje się pan z zakładu?

Spoglądali na siebie, w pozycji na czworakach, i sir Hugh zrozumiał, że jeśli zakwestionuje wynik rzutu, może dojść do bójki, a Treneglos był jednym z najlepszych zapaśników w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Sir Hugh wstał, prychnając z niezadowoleniem i oblewając się potem. W tej chwili gorzko żałował, że zgodził się na rzut monetą. Wiedział, czuł w głębi serca, że dziś w nocy sprzyja mu szczęście, a teraz ten niezgrabny, natrętny dureń wszystko zepsuł.

Kipiąc z wściekłości, obserwował młodszego mężczyznę podchodzącego na palcach do drzwi pokoju Demelzy. Treneglos delikatnie obrócił gałkę i wślizgnął się do środka. Nie mogąc znieść tego widoku, sir Hugh odwrócił się gwałtownie i poszedł na koniec korytarza. Zatrzymał się. Przedwczesna rejterada byłaby błędem. Jednak nie wszystko zależało od rzutu monetą. W grę wchodziła dama. Sir Hugh pochlebiał sobie, że Demelza ma do niego słabość, a John Treneglos to pyszałkowaty dureń, który za wiele sobie wyobraża. Za chwilę może wybiec z pokoju z guzem na głowie. Demelza to porywczą dziewczyna, a jeśli zaloty Treneglosa okażą się niemiłe widziane... Sir Hugh postanowił ukryć się w cieniu na końcu korytarza i odczekać kilka minut. Dla zabicia czasu zażył szczyptę tabaki i strzepnął jej resztki podartym koronkowym mankietem.

Już miał kichnąć, gdy wtem ogarnął go zachwyt, bo zdarzyło się to, na co liczył. John Treneglos szybko wyszedł z pokoju ze zdezorientowanym wyrazem twarzy, po czym spojrział w prawo i w lewo. Zauważył sir Hugh i skinął na niego, a ten napuszył się i podążył w stronę Treneglosa.

– To ten pokój, Hughie? Nie pomyliłem się?

– Nie, oczywiście, że nie. Chce mnie...

– Sypialnia jest pusta. Niech pan sam zobaczy.

– Co takiego?!

Świeca zaskwierczała w przeciągu wiejącym między drzwiami a oknem. Łóżko wydawało się nietknięte. Na podłodze leżało przewrócone krzesło, lecz nigdzie nie było żadnych ubrań. Sir Hugh podszedł do wielkiej szafy i otworzył drzwi. Półki były puste. Rozsunął kotary łóżka. Później uklęknął i zajrzał pod spód. John Treneglos przyniósł świecę. Zjednoczeni przeciwnościami losu, dokładnie przeszukali pokój. Znaleźli tylko kilka szpilek do włosów, puder rozsypany na toaletce i rękaw płóciennego szlafroka.

– Może sama wybrała się z wizytą? – spytał Treneglos. – Na Boga, doskonale pamiętam pokojówkę, którą mieliśmy kiedyś w Mongoose. Nigdy nie było wiadomo, w którym łóżku się ją znajdzie. Pewnej nocy, przypominam sobie...

– Uważam, że chodzi o coś innego – przerwał sir Hugh, marszcząc brwi. – Niech pan zamknie to przeklęte okno, John. Z dworu wpada mroźne nocne powietrze. Jest jeszcze McNeil. Po kolacji bez przerwy ją emablował. Ale on śpi trochę dalej i nawet gdyby pani Poldark do niego poszła, zostawiłaby jakieś stroje.

Treneglos wychylił głowę przez okno.

– Chyba nie byłaby tak szalona, by zejść na dół po bluszczu, prawda? Po co miałyby to robić? Nie podejrzewa pan, że chciała nam po prostu spłatać figła? Moim zdaniem to niemożliwe. A może przstraszyły ją hałasy? Spłoszona samica bażanta leci najdalej z całego stada.

Bodrugan ostrożnie wystawił głowę przez okno, po czym szybko ją cofnął.

– Nie, fantazjuje pan, człowieku. Dlaczego miałyby schodzić po ścianie

i narażać się na skręcenie karku? To bardzo dziwne, bardzo prowokujące. Jeszcze nigdy nie widziałem kobiety, która tak wiele obiecuje i tak mało daje. Mógłbym przełożyć ją przez kolano. – Przez chwilę wyobrażał to sobie z przyjemnością, po czym wreszcie kichnął. – Niech pan zamknie to przeklęte okno, mówię! Rano będziemy mieli katar.

Zamknął okno i obaj mężczyźni wrócili z kwaśnymi minami na korytarz. Sir Hugh w zamyśleniu miał w dłoniach znaleziony rękaw szlafroka.

– Wielka szkoda... – westchnął Treneglos. – Ruth nie ma i w ogóle...

Ruszyli korytarzem, tym razem nie skradając się na palcach i nie unikając skrzypiących desek; nie obchodziło ich, czy obudzą pozostałych gości. W oddali, na szczycie schodów lśniła stara zbroja, oświetlona przez świece płonące na dole.

– Kiedy rodzi? – spytał sir Hugh, usiłując okazać zainteresowanie.

– Kto?

– Ruth.

– Och... Miała urodzić w zeszłą środę, ale zawsze się spóźnia.

– Które to już?

– Czwarte. Jeśli utrzyma to tempo, niedługo dom będzie pełen bachorów.

Nikt by nie przypuszczał, patrząc na nią przed ślubem.

Zatrzymali się przy masywnej czarnej poręczy i popatrzyli na zaśmiecony przedsionek. W skórzanym fotelu drzemał służący. Treneglos spodziewał się, że gospodarz pójdzie z nim do zachodniego skrzydła dworu, ale Hugh się zatrzymał.

– Biegnij do siebie, drogi chłopcze. Wkrótce świt i zapieją koguty. Orkiestra czeka na pieniądze. Obiecałem, że szybko je dostaną. Tylko pod tym warunkiem przyjechali.

– Niech pan nie zapomni o Margaret w bibliotece.

– Nie – odparł sir Hugh. Rozpogodził się, przypominając sobie o niej, i jego czoło się wygładziło. – Nie, nie zapomnę. Wpadnę do niej po drodze.

## *Rozdział dziesiąty*

Ross spędził w Looe trzy dni. Złożono mu propozycję i potrzebował czasu, by ją przemyśleć.

Blewett, ku nieskończonemu zdumieniu Rossa, był w stanie zwrócić dwieście pięćdziesiąt funtów pożyczone po bankructwie odlewni miedzi. Kiedy kupił niewielki zakład skutniczy, był to średni interes, ale wojna doprowadziła do gwałtownego wzrostu zapotrzebowania na łodzie i w ciągu pół roku podwoił kapitał. Dlatego Ross mógł w każdej chwili odebrać swoje dwieście pięćdziesiąt funtów. Zaproszono go do Looe, ponieważ Blewett, w pełni świadomy, że Ross uratował go przed bankructwem i więzieniem, chciał spłacić nie tylko wierzytelność finansową, lecz również dług wdzięczności i był gotów zaproponować mu udział w firmie. Aby ocenić tę propozycję, Ross musiał obejrzeć zakład.

I zrobił to. Nie ulegało wątpliwości, że to dochodowy interes. Za rok podwoiłby swoje dwieście pięćdziesiąt funtów. Była to pierwszorzędna propozycja.

Ale zakład skutniczy znajdował się daleko od Nampary. Ross mógł na stałe zamieszkać w Looe albo w ogóle się tam nie pojawiać, traktując swoje udziały jedynie jako inwestycję. Mógł również odebrać dwieście pięćdziesiąt funtów w gotówce.

A gdyby to zrobił? Czy powinien odłożyć pieniądze na nieprzewidziane wydatki w czasie najbliższego Bożego Narodzenia? Czy cisnąć je w otchłań bez dna, gdzie zniknęło już tysiąc pięćset funtów?

Pod dwudziestoma sążniami skały i połamanych stempli znajdowała się żyła cyny. Wiedział o tym. Nie było to tylko przypuszczenie. Henshawe poświęcił ciężko zarobione sto funtów, by tego dowieść. Ale od samego początku Wheal Leisure prześladował pech.

W ciągu ostatnich tygodni Ross gorzko wyrzucał sobie, że podjął ryzyko, które doprowadziło do śmierci dwóch osób. Wiedział, że nigdy nie pozwoli na podobne ryzyko, niezależnie od możliwych zysków. Ale gdyby rozpuścił wieść, że myśli o wznowieniu robót w kopalni, wszyscy górnicy natychmiast by wrócili, marząc o zejściu na dół. Żaden z nich nie zawracałby sobie głowy pytaniem, ilu robotników stawiających stemple Ross zamierza zatrudnić. Katastrofy były dla nich nieodłączną częścią pracy w kopalni, kwestią szczęścia lub pecha.

Chociaż w większości uzgodniono już sprawy związane ze sprzedażą maszyny parowej, nie zdemontowano jeszcze prawie nic z wyposażenia. Aby wznowić roboty w kopalni, potrzeba było co najmniej dwustu pięćdziesięciu funtów – w gruncie rzeczy kwota ta mogła się okazać niewystarczająca. Ross zastanawiał się, co powie Henshawe. Wiedział, co powie.

Wziął dwieście pięćdziesiąt funtów w gotówce.

Kiedy rozpoczął ostatni etap podróży do domu, powróciły dręczące myśli, które nieustannie zajmowały mu głowę w ciągu ostatniego tygodnia. Nie widział Elizabeth od tamtej nocy. Jeszcze nie potrafił ocenić własnych uczuć i nie miał pojęcia, co ona czuje. Był pewien tylko reakcji Demelzy i zbliżając się do domu, wiedział, że jeśli chce z nią porozmawiać, musi szybko podjąć jakieś decyzje. Ale jak mógł wyjaśnić lub usprawiedliwić to, co zrobił, skoro nie rozumiał sam siebie?

Odkąd nad ranem opuścił Elizabeth, gnębiły go nowe problemy. Wydarzenia tamtej nocy sprawiły, że Elizabeth znowu stała się dla niego kimś ważnym. Mogłoby to uprościć sytuację, okazało się jednak, że tak nie jest. Dawny system wartości Rossa runął w gruzy. W tej chwili szukał nowego, lecz jak dotychczas nie znalazł.

Gdyby sądził, że sześć nocy wcześniej, po włamaniu do dworu w Trenwith, jego problemy się rozwiązały, poczulby ulgę, lecz wszystko to działo się za szybko, wybuchło w jego umyśle jak burza, nie miał czasu na kalkulacje, motywy, zamiary. Myśli pojawiły się później i ciągle niczego nie rozumiał.

Po powrocie do domu nie zastał Demelzy. Jane Gimlett dziwnym głosem wyjaśniła, że pani rankiem wybrała się na spacer. Ross zjadł kolację samotnie, a po zachodzie słońca spytał, w którą stronę poszła. Jane odpowiedziała, że na plażę Hendrawna, i Ross poszedł szukać Demelzy.

Czarny Klif znajdował się przeszło trzy kilometry dalej. Był przyptyw i w pomarańczowej łunie zachodzącego słońca morze przybrało dziwną ciemnoniebieską barwę. Sprawiało wrażenie, jakby miało za chwilę zatopić ląd. Ross zauważył w połowie plaży zbliżającą się Demelzę. Szła powoli, od czasu do czasu oglądała jakiś przedmiot wyrzucony na brzeg albo poruszała stopą kępę wodorostów. Była w starej zakardowej sukience, a jej włosy wydawały się mokre. Przypomniawszy sobie, że niedawno przeszła silna ulewa.

Czekał przez dłuższą chwilę, nim do niego dotarła. W końcu mogli już rozmawiać i Demelza uśmiechnęła się niepewnie.

– Ach, Ross, to miło, że wyszedłeś mi na spotkanie! Spędziłeś przyjemny weekend? Spełnił twoje oczekiwania? Ja jestem zawiedziona. Pojechałam do Bodruganów, ale źle się czułam i szybko odjechałam. Jadłeś kolację? Tak, chyba tak. Zadbala o to Jane. Jest bardzo gospodarna. Byłam na długim spacerze, wiele kilometrów za Czarnym Klifem. Są tam inne piaszczyste zatoczki, ale płytkie, więc chyba bezużyteczne dla Trencroma. A teraz...

– Tak, bezużyteczne dla Trencroma – odparł. – Jesteś mokra. – Dotknął jej ramienia i zauważył, że instynktownie się cofnęła. – Przemokłaś. Zaziębisz się w wieczornym chłodzie.

– Jak miło, że o tym myślisz! Ale to tylko parę kropel. Bywałam już bardziej przemoczona. Jedna z małych plaż była taka ładna, że popływałam w morzu.

Widziały mnie tylko wrończyki. Jak się miewa Elizabeth? Ciągłe jest zaręczona z George'em czy wymyśliłeś inne rozwiązanie? Chyba nie miała na serio zamiaru wychodzić za George'a, prawda?

– Nie widziałem Elizabeth w ten weekend – odpowiedział cicho. Miał napiętą twarz.

– Jakaś przeszkoda w ostatniej chwili? Myślałam, że jesteście umówieni.

– Byłem w Looe z Tonkinem i Blewettem – odparł. – Nie okłamuję cię, Demelzo. Kiedy będę jechał do Elizabeth, powiem ci o tym.

– Och, czy to cię niepotrzebnie nie krępuje, Ross? Nie wydaje ci się trochę pompatyczne? Uprzedzać żonę za każdym razem, gdy chce się odwiedzić kochankę... Nie psuje ci to przyjemności?

– Nie wątpię, że czujesz się uprawniona do robienia takich żartów. Nie wątpię również, że masz do nich prawo. Powiedz mi, kiedy skończysz żartować, a potem możemy porozmawiać.

– Nie, Ross, to ty mi powiedz, kiedy skończysz żartować. Czy nie tak powinno być?

Stali naprzeciwko siebie. W tym momencie Demelza głęboko nienawidziła męża – podobnie jak w czasie całego weekendu – tym bardziej, że była z nim związana nierozzerwanymi więzami, które, jak się wydawało, mógł w każdej chwili zerwać. Za cenę wielkiego osobistego upokorzenia odkryła, że łańcuchy te są silniejsze, niż kiedykolwiek sobie wyobrażała.

Uciekła z Werry House i przeszła nocą osiem kilometrów po nierównym terenie, rozpaczliwie się śpiesząc, by dotrzeć do domu przed świtem i uniknąć ostatecznego upokorzenia. Przedzierała się przez żywopłoty, przechodziła przez kamienne murki, raniła sobie kolana i ręce. Wciąż dręczył ją potworny wstyd i upokorzenie po walce z McNeilem. Miała wrażenie, że okryła się hańbą. Gdyby uległa McNeilowi, nie czułaby się nawet w jednej czwartej tak źle, nawet w jednej dziesiątej tak źle.

Zdrada Rossa straszliwie ją zraniła, ale rezultatem jej własnej zdrady nie była rana, lecz impuls.

Nic o tym wszystkim nie wiedząc, Ross był zdumiony wrogością malującą się w oczach Demelzy. Zwłaszcza że nie dostrzegał tej wrogości po swoim powrocie od Elizabeth, a przynajmniej nie dostrzegał tak wyraźnie.

– Ciągłe myślisz, że w czasie weekendu byłem w Trenwith? To nieprawda. Nigdy się tam nie wybierałem.

– Rób to, co uważasz za słuszne, Ross – odpowiedziała. – Jedź i żyj z nią, jeśli chcesz.

Znów ruszyli po plaży. Zaczął się przypyływ. Nad taflą morza przeleciał kormoran czubaty, tak nisko, że prawie muskał lustro wody.

– Bardzo możliwe, że małżeństwo Elizabeth i George'a jednak dojdzie do



skutku.

– Jestem pewna, że zrobięś wszystko, by je odwołano.

– Niewątpliwie.

– Kocha George'a?

– Nie.

Nagle zauważyła, że nie tylko ona jest udręczona.

– Czy z twojej wizyty do Looe wynikło coś dobrego?

– Blewett zwrócił mi pożyczkę.

– Co zrobisz z pieniędzmi?

– Wystarczy, by uruchomić kopalnię.

Roześmiała się. Zdziwił się, bo nie był to ujmujący śmiech. Jeszcze nigdy nie widział Demelzy zachowującej się w ten sposób.

– Nie widzę lepszego sposobu wykorzystania pieniędzy. Nie wystarczą na spłacenie naszych długów.

Nie odpowiedziała.

– Wiem, że mam obsesję na punkcie górnictwa, którą odziedziczyłem po ojcu, to jakaś gorączka. Oficjalnie uruchomię kopalnię ze względu na Henshaw'e'a, ale to nieprawda. Robię to dla siebie. Gdybym nie zajmował się górnictwem, musiałbym iść na wojnę, a nie mam teraz na to specjalnej ochoty.

Po chwili dotarli do kamiennego murku, który oddzielał plażę od łąki. Demelza pierwsza przeszła na drugą stronę. Wydawała się całkowicie niezależna. Słowa wypowiedziane tego wieczoru straszliwie powiększyły dzielącą ich przepaść. Demelza błędnie podejrzewała, że Ross pojechał do Trenwith, lecz jej pomyłka nie miała wielkiego znaczenia. Czuła coraz większą niechęć do męża. Unikanie drażliwych tematów jeszcze bardziej ją podsycalo. Oboje byli samotnymi ludźmi, którzy potrzebują przyjaźni i zrozumienia, ale nie potrafią ich znaleźć.

– Kiedy chcesz, żebym odeszła, Ross? – spytała, gdy dotarli do ogrodu.

– Powiedziałem, że tego chcę?

– Nie... Ale pomyślałam, że tak byłoby dla ciebie lepiej... dla nas obojga.

Łatwo znajdę pracę.

– A Jeremy?

– Jeremym może się zaopiekować Jane, przynajmniej na razie.

– Chcesz odejść?

– Chyba... chyba tak. Chcę postąpić słusznie.

Przez chwilę panowała cisza. Ross strącił z buta grudkę błota. Miał twarz odwróconą od żony.

– Bóg jeden wie, co jest słuszne, Demelzo! Nie wierzę, że w takiej sytuacji można coś zyskać, próbując przestrzegać zasad. Musimy się kierować swoimi uczuciami, osądzając wszystko z dnia na dzień. Nie chcę, żebyś odchodziła, jeśli jesteś w stanie zostać.

Dotarli do drzwi. Demelza oparła dłonie o framugę, nagle bardzo zmęczona. Dawno nie jadła.

– Chciałbym, żebyś została – powiedział. – Jeśli uważasz, że to możliwe.

– Oczywiście. Jak chcesz. Ale to, co powiedziałam na temat twojego zamieszkania z Elizabeth: proszę, zrób to, jeśli masz ochotę. Wtedy George nie będzie mógł jej poślubić.

Ross nie odpowiedział.

– Kiedy będziesz wiedział? – spytała.

– Co?

– Czy George i Elizabeth wezmą ślub.

– Nie umiem powiedzieć... Dowiemy się.

– Nie obiecała cię zawiadomić?

– Nie.

Zapadał zmrok. Łuna znikła. Demelza popatrzyła na ogród. Na ciemniejącym niebie krążył nietoperz. Setki razy spoglądała na okolicę przed wejściem do domu, ale nigdy w ten sposób. Nigdy nie myślała, że stanie się coś takiego. Ogród nic już dla niej nie znaczył. Niech zwiędnie, zarośnie wielkimi chwastami. Wtedy odpowiadałby spustoszeniu w jej duszy.

Godzinę przed rozmową Rossa i Demelzy George śpiesznie przybył na spotkanie z Elizabeth.

– Kiedy otrzymałem twój list, natychmiast przyjechałem, moja droga – zaczął. – Wiedziałem, że jeśli dziś cię nie zobaczę, nie będę mógł zasnąć. Co to wszystko znaczy? Zupełnie nie rozumiem powodów twojej prośby. Wytłumacz, co cię trapi.

Jeszcze nigdy nie mówił do niej tak ostrym tonem, ale była zbyt zaabsorbowana własnymi uczuciami, by to zauważyć.

– Myślałam i martwiłam się przez cały tydzień, George. Wydawało mi się... W jakiś sposób dotarło do mnie, że chcę zbyt pośpiesznie zawrzeć nowe małżeństwo, nie okazując należytego szacunku pamięci Francisa. Nie minął jeszcze rok. George, drogi, postaraj się zrozumieć moje uczucia. Nie mam nikogo, kto mógłby mi doradzić. Ja... cichy ślub... och, pamiętam, że sama o to prosiłam, ale taki pośpiech nie wydaje się stosowny. Zastanawiałam się nad tym przez cały tydzień i w końcu zebrałam się na odwagę, by do ciebie napisać...

– Trzy dni przed ślubem...

– To tylko zmiana terminu! Może o dwa miesiące, a nawet o sześć tygodni... Czułabym się wtedy lepiej. Teraz nie miałabym z tego żadnej przyjemności. Ludzie będą mówić, że wychodzę za ciebie dla pieniędzy i...

– Ludzie plotkują nawet wtedy, gdy człowiek spędza całe dni przy kominku we własnym domu. Obchodzą mnie równie mało co komary latające nad stawem. Jaka jest prawdziwa przyczyna zwłoki?

Zatroskane oczy Elizabeth rozszerzyły się ze zdziwienia. W białej sukni wyglądała bardzo pięknie na tle czarnej boazerii.

– Podałam swoje powody. Czy nie są wystarczające?

Uśmiechnął się.

– Nie, nie są.

Elizabeth machnęła bezradnie dłonią.

– Nie mam innych, George, ale są szczerze. Nie chcesz sprawić mi przyjemności?

– Wszyscy goście są już zaproszeni.

– Goście?! Przecież uzgodniliśmy, że nie będzie żadnych gości! Mieliśmy wziąć cichy ślub!

– I tak będzie. Jednak kilku moich najbliższych przyjaciół byłoby urażonych, gdyby później nie pojechali z nami do domu. Musiałem ich zaprosić. Jestem dumny, bardzo dumny ze swojej narzeczonej. Gdyby to ode mnie zależało, zaprosiłbym pięćset osób.

– Ilu ich jest? Ilu gości zaprosiłeś?

– Och... około dwudziestu pięciu.

Domyśliła się po tonie jego głosu, że będzie ich więcej. Przygryzła wargę.

– Tak mi wstyd, że proszę o odłożenie ślubu, ale...

– Ale co?

– Obiecałam, że za ciebie wyjdę, George, i nie zamierzam cofać danego słowa, ale intuicyjnie czuję, że taki pośpieszny ślub nie byłby dobry dla ciebie, dla żadnego z nas.

Obserwował ją baczny, zaborczy wzrokiem. Jeszcze nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej, spiętej. Nie patrzyła mu w oczy, lecz rozglądała się po salonie.

– Czy to ma coś wspólnego z Rossem?

Natychmiast spąsowiała. Rumieniec pojawił się, nim George skończył mówić.

– Nie ma to nic wspólnego z nikim oprócz mnie! W dniu, kiedy mi się oświadczyłeś w Cusgarne, byłam osaczona przez troski, nie wiedziałam, co robić. Powiedziałam, że wyjdę za ciebie za męża...

– Żałujesz tego?

Uniosła głowę.

– W żadnym razie. Ale termin ślubu wydawał się wtedy nieistotny...

– Jest nieistotny.

– Niezupełnie. Zapomniałam o Francisie. Powinniśmy trochę odczekać dla przyzwoitości.

– Wielu ludzi zawiera nowe małżeństwo po trzech miesiącach. Niektórzy nie czekają nawet tak długo. Nikogo to nie będzie interesować. Był tu Ross, prawda?

– Przyjechał, naturalnie.

- Pokłóciliście się?
- W pewien sposób...
- Oczywiście nie podoba mu się pomysł, że za mnie wyjdiesz.
- Nie.
- I to Ross jest przyczyną twojej zmiany zdania.

Zawahała się. George tak trafnie podsumował sytuację, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Proszę, nie chcę rozmawiać o Rossie. Ta decyzja to tylko nasza sprawa. Poprosiłam cię o przełożenie terminu ślubu, licząc na twoje zrozumienie. Kiedy do ciebie pisałam, nie zdawałam sobie sprawy, że będzie to dla ciebie takie niedogodne z powodu gości. Ale ciągle o to proszę. Wierz mi, nie przychodzi mi to z łatwością, nie robię tego dla kaprysu. To... mam takie poczucie. – Dotknęła swojej piersi. – Proszę, nie gniewaj się na mnie. Nie... nie zniosę tego...

Palce George'a poruszyły się na gałce laski. Był rozczarowany, zły, pełen podejrzeń i zazdrości, lecz na szczęście nie domyślał się prawdy. Był zazdrosny o wpływ Rossa na Elizabeth, budził w nim gorzką niechęć, to wszystko. Ross powiedział albo zrobił coś, co sprawiło, że George'owi zaczęło wymykać się z rąk to, czego pragnął od tylu lat. Nie mógł kupić Elizabeth za żadne pieniądze, nie miał władzy, by ją do czegoś zmusić. W tej chwili stracił kontrolę nad sytuacją. Musi działać ostrożnie, postępować delikatnie, by wszystkiego nie zaprzepaścić.

– Chciałbym spełniać twoje życzenia zarówno przed ślubem, jak i po nim, kochanie. To dla mnie gorzki zawód. Kiedy czytałem twój list, prawie nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Załatwiłem wszystkie formalności, przygotowałem obrączki... ale jeśli chcesz przełożyć termin ślubu, zgadzę się na to – pod warunkiem że obiecasz mi jedną rzecz.

- Co takiego?
- Że wyznaczysz nową datę dziś wieczorem.

Zawahała się. Chęć przełożenia ślubu była przytłaczająca. Przecież nie jest kłamczuchą i rozpustnicą. Przenieść się z łóżka jednego mężczyzny do łóżka drugiego w ciągu kilku dni – niezależnie od tego, jak haniebnie ją wykorzystano... Najpierw pieszczoty Rossa, a potem George'a. Może właśnie to było przyczyną prośby Elizabeth. Cóż, udało jej się odłożyć ślub. George ustąpił.

Jednak była również druga strona medalu. Aby osiągnąć cel, musi się zobowiązać na przyszłość – podać dokładną datę, a nie przybliżoną, jak wcześniej zaplanowała.

– Za miesiąc od dziś – rzekł George. – To z pewnością wystarczające ustępstwo.

– O nie... – Urwała. Czy chce za niego wyjść, czy nie? Jeśli tak, powinna okazać mu względy. Co tymczasem robi Ross? – Myślałam o sierpniu – dodała niepewnie. – Wtedy minąłby prawie rok od śmierci Francisa...

Zdecydowanie pokręcił głową. Znała ten ruch. Oznaczał, że jest zdeterminowany.

– W sierpniu mogę wyjechać. Poza tym zakłóciłoby to przygotowania związane z Cardew i przeprowadzką twojej matki. Kogo się obawiasz?

– Obawiam? Ależ nikogo!

– Czyjej opinii się lękasz? Rossa?

– Nie, nie, oczywiście, że nie! Sama to czuję...

Wziął ją za rękę i starał się spojrzeć jej w oczy.

– Posłuchaj, kochana Elizabeth, nie bójmy się wyimaginowanych strachów. Zawrzyjmy kompromis, który będzie korzystny dla nas obojga. Bardzo mnie rozczarowałaś prośbą, by przełożyć datę ślubu. Pociesz mnie, pozwalając wyznaczyć nowy termin za miesiąc. Wiem, że nie jesteś płochą kobietą, i wiem, że dotrzymasz słowa. Pozwól mi wrócić do domu z czymś konkretnym...

Elizabeth uwolniła rękę, lecz nie bez czułości. Podeszła do stołu i zajęła się kartkowaniem książki, czując bicie własnego serca. W ciągu ostatniego tygodnia Demelza przeżywała katusze, lecz Elizabeth również. Nie widziała Rossa od wieczoru, gdy ją odwiedził. Czasami czuła, że nie chce go nigdy więcej widzieć, ale niekiedy jej nastrój się zmieniał.

Nie jest płochą kobietą! Czy George uważa ją właśnie za kogoś takiego? Wszystko spowodowała jej zmienność. Gdyby nie zmieniała planów, od dziesięciu lat byłaby żoną Rossa – w tej chwili ani George, ani Demelza nie odgrywaliby w jej życiu żadnej roli. Ale co może jej zaoferować Ross? Wdrapywanie się przez okno, naruszanie prywatności, brutalne branie tego, co do niego nie należy. Demelza nie zniknie. Nie mają pieniędzy, by uciec. Ross jej tego nie proponował. Od tamtej pory nawet się do niej nie zbliżył. Była to ostateczna zniewaga.

„Wiem, że dotrzymasz słowa”, powiedział George. „Nie cofam swoich obietnic”, oświadczyła Rossowi Elizabeth tamtej nocy. Czy to prawda? Tak, ale ślub odłożono po to, by miała czas się zastanowić, przemyśleć swoją decyzję, a może także pozwolić innym się zastanowić. Czy ma to jakikolwiek sens, skoro i tak jest skazana na to małżeństwo?

George podszedł do niej od tyłu. Jak dotychczas okazywał jej czułość, nigdy nie przekraczając konwencjonalnych granic. Kilka razy pocałował ją w policzek, czasem ujmował jej dłoń. Nie była na tyle głupia, by uważać, że jest chłodny. Panował nad sobą, dostosowując się do jej zmiennych nastrojów. W ten sposób mógł się zachowywać tylko człowiek jego pokroju, szanowała go za to. Teraz lekko oparł palce na jej ramionach – tak, by dać jej jasno do zrozumienia, że może się uwolnić. Nie poruszyła się.

– Mogę polegać na twoim słowie? – spytał. – Za miesiąc?

– Zgadzam się – odpowiedziała. – Za miesiąc.

Nagle dotknął wargami jej szyi. Pomyślała, że to miejsce całowały inne usta.

Boże, jestem w klatce! Zgubiona na zawsze! Dlaczego Ross musiał przyjść?! Jak go za to nienawidzę! Gardzę nim. Nigdy nie będzie między nami przyjaźni! Tylko nienawiść. Będę duszą i ciałem George'a, wierną żoną i przyjaciółką! Wszystko przeciwko Rossowi. Dlaczego musiał przyjechać?! Boże, jestem w klatce. Zgubiona na zawsze...

*KSIĘGA CZWARTA*

## Rozdział pierwszy

Elizabeth i George wzięli ślub dwudziestego czerwca. Wbrew życzeniom Elizabeth w Cardew urządzono wielkie wesele, na które zaproszono przeszło stu gości. George przez cały czas miał taki zamiar. Państwo młodzi wyjechali w podróż poślubną i wrócili do Kornwalii dopiero pod koniec sierpnia. Później zamieszkali w Cardew. Elizabeth odkryła, że Nicholas Warleggan i jego żona jeszcze się nie wyprowadzili, choć George twierdził, że obiecali to zrobić; podobno wciąż się do tego przygotowywali.

Sprzedano Cusgarne, po czym rodzice Elizabeth przenieśli się do Trenwith, gdzie opiekowało się nimi kulturalne starsze małżeństwo i kilku służących. George chciał się pozbyć ciotki Agathy, by musiał się nią zająć Ross, ale Elizabeth nie wyraziła na to zgody i staruszka została.

Odwołano sprzedaż maszyny parowej Wheal Grace i czwartego czerwca wznowiono roboty. Do lipca przekopano zawał i wznowiono eksploatację żyły. Ellery i młody Nanfan byli jednymi z pierwszych górników, którzy zeszli na dół. Skończyły się pieniądze, lecz Ross pożyczył od Blewetta pięćdziesiąt funtów, później jeszcze pięćdziesiąt, co pozwoliło przetrwać trudny okres.

Życie w Namparze płynęło w rytmie pór roku. Skoszono trawę. Pszenica i jęczmień zmieniły barwę z zielonej na żółtą, urosły i dojrzały. W tym roku obsiali pole aż do tylnej ściany dworu i przez cały dzień słychać było szum kłosów. Nawet ryk morza nie zagłuszał cichego szeptu unoszącego się w powietrzu.

Wojska sprzymierzonych wciąż nie zdobyły Paryża i wydawało się, że kolejna okazja zdarzy się dopiero za rok. A może trzeba będzie czekać jeszcze dłużej, bo rewolucja obudziła się ze snu i zaczęła działać z nową energią. Generała Custine'a zgilotynowano za niepowodzenia militarne i głównodowodzącym mianowano nieznanego Burgundczyka, Lazare'a Carnota, który miał odnieść zwycięstwo. Natychmiast zadekretował *levée en masse*: wszystkich zdrowych mężczyzn powołano pod broń, a cała Francja, nawet kobiety i dzieci, miała wspierać wysiłek wojenny. Była to nowa koncepcja wojny, a raczej odnowienie dawnej koncepcji, zerwanie z rozwijającą się przez tysiące lat cywilizacją.

Ross i Demelza nigdy oficjalnie się nie pogodzili. Czasami Demelza żałowała, że nie odeszła. Niekiedy myślała o tym nawet teraz. Nie była pewna, co czuje Ross. Elizabeth wyszła za George'a mimo interwencji Rossa. Nie mógł mieć żadnej nadziei, że zdobędzie Elizabeth, chyba że zamierzał porwać ją z Cardew. Prawdopodobnie dlatego pozostał w Namparze jako mąż Demelzy. Jeśli potrafiła się pogodzić ze statusem osoby drugiej kategorii, mogła mu się jeszcze przydać.

Ale czy mogła się pogodzić? Czasem myślała, że tak, a kiedy indziej, że nie, pod żadnym pozorem. Jednak ciągle dręczyła się wspomnieniem kompromitującej



przygody z McNeilem. Ona, Demelza Poldark, okazała się wierna i cnotliwa; o mało jej to nie zabiło. Przestała się modlić o śmierć, lecz niewiele brakowało. Kiedy przy kolejnej okazji spotkała sir Hugh Bodrugana, z irytacją spytał ją, co się stało, a ona skłamała, że w ogóle nie zamierzała spędzić nocy w Werry House i że odjechała tuż po zakończeniu balu. A ponieważ widziała go otoczonego przez przyjaciół, nie chciała przeszkadzać. Modliła się, by nigdy więcej nie spotkać McNeila. Byłby to prawdziwy horror.

Ross w dalszym ciągu spał na parterze. Nie próbował nawiązać z nią zwyczajnych relacji, i to również odsuwało ich od siebie – zresztą Demelza nie zgodziłaby się, gdyby próbował odwiedzić ją w sypialni. Przypuszczała, że w tej chwili budzi w nim niesmak po uniesieniach w delikatnych ramionach Elizabeth.

Te dwa czynniki podważały szacunek Demelzy do samej siebie, powstrzymywały także jej naturalną skłonność do przebaczenia i zapomnienia.

Czasami zupełnie nie rozumiała Rossa, jak nigdy od początku małżeństwa, choć w niektóre dni był przyjacielski i towarzyski. Kiedy otrzymali wiadomość o ślubie Elizabeth, nie zrobił ani nie powiedział niczego niezwykłego. Na jego twarzy przez jakiś czas malowało się napięcie, lecz zmienił temat i nigdy do niego nie wrócił.

Ucieczką od własnych myśli była kopalnia. Skupiał na niej całą uwagę, całe dnie spędzał pod ziemią, pracując dłużej niż inni górnicy, więc mimo lata jego twarz pozostała blada. Najbardziej nieswojo czuli się wieczorami, chociaż zwykle Demelza znajdowała sobie jakieś zajęcie.

Kiedy dni stały się krótsze, Wheal Grace zaczęła przynosić niewielki zysk. Ross dwukrotnie przejrzał rachunki z Henshawem, chcąc mieć pewność, że nie zrobili błędu. Henshawe zaproponował, by oprawić w ramki bilans, który po raz pierwszy wykazywał zysk. Żaden z nich nie mógł się jeszcze spodziewać zwrotu włożonego kapitału, lecz przynajmniej powoli oddalało się widmo bankructwa. Do następnego rozliczenia prywatnych długów Rossa zostały cztery miesiące i szacował, że jeśli wyciągnie z Wheal Grace sto lub sto dwadzieścia funtów, pod koniec roku może różnymi sposobami zebrać dość pieniędzy, by zaspokoić wierzycieli na kilka miesięcy. Jego nieznaną dobroczyńcą, jak to dobroczyńca, nie doprowadzi go przecież do bankructwa z powodu siedemdziesięciu lub osiemdziesięciu funtów.

We wrześniu rozeszła się wieść, że państwo Warlegganowie zamieszkali we dworze w Trenwith. Nowiny rozwścieczyły Rossa bardziej niż informacja o ślubie, na którą był w jakiejś mierze przygotowany. Dwa dni wymyślał powody, by przebywać cały dzień poza domem, a podczas posiłków z największym trudem zachowywał się normalnie. Wkrótce pojawiły się wiadomości, że w Trenwith rozpoczęto wielkie prace remontowe. Można było się tylko dziwić, że George jest tak szczodry dla rodziców Elizabeth. Jeśli robił to dla nich. Ross i Demelza

zastanawiali się nad tym, lecz żadne z nich nie poruszyło tej kwestii. Bezpieczniej było o tym nie mówić.

Demelza otrzymała list od Verity.

*Moja Droga Kuzynko!*

*Dziękuję za Twój ciepły i serdeczny list, za ostrzeżenia i rady. Czytając je, trochę dziwnie się czuję, bo pochodzą od osoby, która niegdyś sama prosiła mnie o rady. Jednak przyznaję, że w kwestii dzieci masz większe doświadczenia ode mnie, i postąpię zgodnie z Twoimi wskazówkami.*

*W zeszłym tygodniu w Falmouth zapanował wielki strach, bo rozeszły się pogłoski, że zauważono francuskich korsarzy, jednego z nich zaledwie pięć kilometrów od Castlehead. Wszyscy byli zatrwożeni, a Iris, statek pocztowy pływający na Barbados, dowodzony przez kapitana Soamesa, niedawno wyszedł w morze i o mało nie padł łupem korsarzy. Na szczęście natychmiast zawinął do portu i szybko wysłano do Penzance oficera, by przekazać kutrem wiadomość admirałowi Bellowi, który patrolował okolice wysp Scilly. Na pewno przechwyciłby korsarzy, lecz kilka godzin później morze spowila gęsta mgła, tak że nic nie było widać. Przez całą noc wszyscy czuwali w obawie, że korsarze zaatakują, korzystając z osłony mgły, lecz na szczęście nic się nie wydarzyło i gdy nadszedł poranek, morze było puste. Jednak wszyscy byliśmy wstrząśnięci.*

*Mam nadzieję, że Rossowi dobrze się wiedzie. Doskonale wyobrażam sobie, jak odebrał ślub Elizabeth i George'a Warleggana, a teraz, gdy zamieszkają obok Was, będzie to dodatkowy afront. Proszę, bądź wyrozumiała wobec Rossa. Nie widziałam Elizabeth od dnia ślubu, lecz dostałam od niej list. Oczywiście pojechałam z Andrew na wesele. Nie mogliśmy odmówić ze względu na Elizabeth. Przybyło niewielu członków jej rodziny. Ten związek trochę mi się nie podoba. Nie toczę wojny z Warlegganami jak Ross i nie gardzę nimi dlatego, że to nuworysze. Większość rodów arystokratycznych wywodzi się od kupców, którym się poszczęściło. Ale George nigdy nie korzystał ze swoich pieniędzy we właściwy sposób. Nie robi tego żaden z Warlegganów; jest to szczególnie widoczne, gdy patrzy się na tę rodzinę jak na całość.*

*Ślub był bardzo wystawny. Kościół pod wezwaniem Matki Boskiej ozdobiono liliami, nie bacząc na koszty; przed wejściem ustawiono wspaniałe czerwony baldachim, a drogę do ołtarza wyłożono długim czerwonym dywanem. Ceremonię odprawiał wielebny doktor Halse, mówił takim samym tonem, jakim przemawia w sądzie do przestępców. Na pewno jesteś ciekawa, jak była ubrana Elizabeth. Cóż,*

suknia z kremowej satyny, z jedwabnym trenem, ozdobiona niewielkimi bukietkami białego i fioletowego bzu, z szerokim pasem z grubym srebrnym obszyciem. Później, gdy podziwiałam jej strój, powiedziała, że uszyto go z przeszło dwudziestu metrów materiału. Wygląda na to, że stary Jonathan miał spore oszczędności schowane w skarpecie. Ale nie muszę Ci mówić, że chociaż wyglądała bardzo pięknie – jak królowa – była zdenerwowana, nieswoja, bez przerwy rumieniała się i bladła. Oczywiście George zachowywał kamienny spokój, nawet kiedy jego wielki przyjaciel Paul Boscoigne upuścił obrączkę. Wyglądał bardzo elegancko w surducie ze złotym szamerunkiem i czerwonej kamizelce obszytej szeroką złotą koronką.

*Anderw wraca z rejsu w środę. Tylko jeden statek pocztowy, Trefusis, miał jak dotąd kłopoty, ale co może począć jeden statek, gdy atakuje go pięć? Czasem nocą zadaję sobie to pytanie.*

*Podobno Elizabeth jest brzemienna. Czy coś o tym słyszałaś? Nie wspomniała o tym w swoim liście, ale pani Daubuz mówi, że usłyszała tę wiadomość od jej matki. Dwór Poldarków gniazdem rodowym Warlegganów. Dziwna perspektywa.*

*Najserdeczniejsze wyrazy miłości dla Was obojga i specjalne uściski dla Jeremy'ego.*

*Twoja kochająca kuzynka*

*Verity*

Demelza nie pokazała listu Rossowi. Miała własne zdanie na temat niektórych jego fragmentów, lecz uważała, że lepiej się nim nie dzielić. Jak się okazało, tego dnia Ross wrócił do domu bardziej zaabsorbowany niż zwykle, choć pojawił się wcześniej. Był to dzień, gdy przybywał roznosiciel „Sherborne Mercury”, lecz Ross nie spytał nawet, czy przyszły jakieś listy. Demelza czuła, że nie zniesie dłużej milczenia. Jedli w ciszy, Jane sprzątała ze stołu w ciszy. Demelza starała się panować nad sobą, ale była coraz bardziej pewna, że dojdzie do konfliktu.

– Ross, jeśli to potrwa dłużej, będziesz zmuszony jeść sam! – powiedziała nagle w przyływie szczerości. – Od wielu dni prawie się nie odzywasz, a dziś to

prawdziwy koszmar! Wiem, dlaczego tak się zachowujesz, i nie mogę ci pomóc. Może nie istnieje już rozwiązanie, ale powinniśmy coś z tym zrobić. Jeśli mam zostać, jeśli chcesz, żebym została, zachowujmy się jak ludzie. Jeśli wolisz, żebym odeszła, po prostu to powiedz! Nie chcę żyć w ten sposób, wolę odejść!

Ross uniósł wzrok. Demelza zdziwiła się, widząc zaskoczenie na jego twarzy.

– Naprawdę jest aż tak źle? – roześmiał się. Nie pamiętała, kiedy ostatnio się śmiał. – Przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy. Powinienem wyjaśnić...

– Czy to konieczne?

– Oczywiście, ponieważ przez cały wieczór w ogóle nie myślałem o George'u i Elizabeth.

Popatrzyła na niego.

– Znowu zdarzyło się coś niedobrego?

– Nie, raczej dobrego. Wahalem się, czy o tym wspomnieć, bo wcześniej tak często... Nie wiedziałem, że mam taką ponurą minę...

– Co dobrego się stało?

– Ale oczywiście masz rację... przez cały tydzień byłem w złym nastroju, ponieważ... Nie chcę teraz rozważać swojego stosunku do małżeństwa Elizabeth. Muszę się nad tym zastanowić, przezwyciężyć to na swój własny sposób. Ale pojawienie się George'a w Trenwith i zamiar pozostania tam na stałe to... to wyjątkowe świętowanie! Trenwith to odwieczna siedziba rodu Poldarków! Nasz dom, jeśli potrafisz to zrozumieć. Nie mogę się pogodzić z myślą, że stanie się własnością George'a. Naprawdę nie mogę. To coś sprzecznego z naturalnym porządkiem rzeczy, potwornego, chorego, przynajmniej tak mi się wydaje. Dręczyłem się tym przez cały tydzień. Ale dzisiaj...

– Dzisiaj?

– Chodzi o kopalnię. Uważałem, że mądrzej będzie o tym nie wspominać. Prawie się przestraszyłem. Dziś trafiliśmy na rozwidlenie żyły. Jej połowa, lepsza połowa, jest dwa razy grubsza od starej żyły. Wygląda na to, że ma prawie cztery metry średnicy. Pierwsze próbki wskazują na bardzo wysoką zawartość metalu. Henshawe mówi, że jeszcze nigdy nie widział tak bogatego złoża.

Demelza siedziała oszołomiona, jakby szykowała się do walki z przeciwnikiem, którego nie było.

– Ale dlaczego mi nie powiedziałeś? Siedziałeś i...

– Przepraszam. Byłem bardzo zajęty, obliczałem... Dlaczego nic nie mówiłem? Tyle razy pojawiały się fałszywe nadzieje. Nie można tego uniknąć, ale chciałem ci oszczędzić rozczarowań.

– Wierzę, że chcesz mi oszczędzić rozczarowań. Ale czy to naprawdę takie ważne? Mówiłeś, że kopalnia jest już opłacalna.

Popatrzył na nią, jego twarz miała inny wyraz. Spostrzegła, że źle

zinterpretowała kryjące się w niej napięcie.

– Zaczekajmy – powiedział. – Najpierw zobaczymy, co z tego wyniknie.

Czekali. Ross starał się nie myśleć o przyszłości i koncentrował się na codziennej pracy. Na radość pozwalał sobie tylko Henshawe, który patrzył na wszystko z większym dystansem i miał znacznie mniej do stracenia. Po upływie kolejnego tygodnia Ross powiedział Demelzie, że nie musi się martwić o termin spłaty długu na Boże Narodzenie. Miesiąc wydobywania pozwoli uregulować wszystkie odsetki. Po dwu miesiącach będzie można spłacić część głównego długu. Wiedział już, że żyła nie wyczerpie się co najmniej przez dwa miesiące.

– Jesteś pewny? – spytała Demelza.

– Tak, jestem pewny. Zawartość metalu w rudzie jest bardzo wysoka! To musi przynosić zyski! Prace nie wymagają wielkiej sztuki górniczej. Musimy po prostu wydobywać rudę, stemplować wyrobisko, wyciągać urobek na powierzchnię, przerabiać i sprzedawać.

– Prawie nie mogę w to uwierzyć.

– Ja także.

Przykre było to, że sukces nadszedł tak późno. Wcześniej wiele razy pojawiały się wielkie nadzieje, a potem rozpadały się w gruzy. Kopalnia wydawała się pechowa. Gdyby złóże znaleziono jedenaście miesięcy temu, uratowałyby ich to przed bankructwem. Trzydzieści miesięcy wcześniej ocaliłoby życie Francisa. Teraz, gdy nadzieja zgasła, gdy nikt już niczego się nie spodziewał, gdy nie groziło im natychmiastowe bankructwo – choć ciągle istniało takie niebezpieczeństwo – gdy mogli liczyć na środki na skromne utrzymanie, nagle kopalnia stała się źródłem bogactwa.

Bogactwo. Było to dziwne. Nie dochody, zyski z inwestycji, lecz bogactwo. Zupełnie inaczej niż w Wheal Leisure, gdzie dokonywano bilansów i obliczano zyski. W Wheal Grace zyski były ogromnymi sumami. Rzut kośćmi się udał. Ross miał czasem ochotę poczuć ciężar pieniędzy. Obracał czekami, ale tęsknił za workami pełnymi złota i srebra.

Potrzebował również Demelzy, by dzielić smak sukcesu, bo po długiej udręce miło jest cieszyć się z drugą osobą. Bardzo się starali odczuwać wspólną radość, lecz ponieśli fiasko. Dzieliła ich zbyt głęboka przepaść.

W październiku Dwight otrzymał list od doktora Matthew Sylvane'a z Penryn, który pisał:

*Drogi Panie!*

*Jeden z moich pacjentów, pan Ray Penvenen z Killewarren w pobliżu Chasewater, od kilku tygodni cierpi na wyniszczającą chorobę, która okazała się odporna na wszelkie metody kuracji. Po rozważeniu sprawy uznałem za pożądane*

*uzyskanie opinii kolegi po fachu, a pan Penvenen wspomniał o Panu jako o lekarzu, który dysponuje wiedzą na temat jego stanu zdrowia.*

*Gdyby chciał Pan wziąć udział w konsultacji, proponuję, byśmy spotkali się w domu pana Penvenena około piątej po południu w piątek osiemnastego. Następnie moglibyśmy przeprowadzić badanie pacjenta.*

*Byłbym wdzięczny za udzielenie mi odpowiedzi za pośrednictwem masztalerza, któremu kazałem na nią poczekać.*

*Pozostaję Pańskim posłusznym sługą*

*M. Sylvane*

Dwight miał ochotę wysłać odpowiedź, że prędzej pan Penvenen pozółknie i zgnije, niż on pojawi się w jego domu, lecz po dłuższych zmaganiach z samym sobą przyjął zaproszenie. Nigdy nie spotkał Matthew Sylvane'a, ale wiedział, że to lekarz dysponujący prywatnym majątkiem, podobnie jak Choake, i praktykujący wśród ziemiaństwa. Za dziesięć piąta Dwight przejechał przez bramę Killewarren. Poczul ukłucie bólu na widok kamiennych słupów bramy. Sosny ze zwieszonymi gałęziami, długi, kryty strzechą dom, służący, który podszedł do drzwi...

Doktor Sylvane czekał w dużym salonie na piętrze nad stajnią. Był mężczyzną w wieku około czterdziestu lat, miał gapiowaty wyraz twarzy i nieustannie marszczył nos, bez którego pomocy nie stawiał żadnej diagnozy. Dwight wolałby najpierw zobaczyć Raya Penvenena, lecz Sylvane nie chciał się na to zgodzić. Młody lekarz powinien wejść do pokoju chorego, znając teorie i spostrzeżenia doświadczonego kolegi. Pan Penvenen zachorował dziesięć tygodni temu. Był to niewątpliwie spazm dróg żółciowych, który wywołał niewielką gorączkę, spowolnił krążenie krwi, rozmiękczył tkanki i osłabił mięśnie. Później stan chorego się pogorszył, nastąpił ogólny spadek sił wywołany prawdopodobnie przez guz. Początkowe objawy poddały się leczeniu. Pacjentowi puszczono krew i zaaplikowano odpowiednie lekarstwa: węglan potasu, amoniak, sproszkowany imbir, cukier owocowy, olejek goździkowy. Zastosowano dietę złożoną z galaret i bulionów, rosółu wołowego, mielonej cielęciny. Żadnych ryb. W czasie upałów ryby szybko zaczynają cuchnąć, doktor Sylvane był przeciwny podawaniu ryb chorym, którzy sami brzydko pachną.

Pan Penvenen nigdy nie stracił apetytu. Po ustąpieniu gorączki pożerał

ogromne ilości jedzenia – w dalszym ciągu to robi. Pije białe wino, butelka za butelką, zdumiewające. Pojawił się lekki mokry kaszel oraz obfitość uryny, zresztą nic dziwnego. Puszczanie krwi, kompresy, napary, doktor Sylvane wypróbował wszystkie dostępne środki, lecz pacjent wciąż jest bardzo osłabiony i traci siły. Opinia drugiego lekarza jest naprawdę zbędna, jednak potwierdzenie diagnozy czasem dodaje choremu pewności...

Prawie nie słuchając i myśląc o poprzednich wizytach w Killewarren, Dwight podążył korytarzem za Sylvane'em do sypialni Raya Penvenena. Wszystko straszliwie przypominało mu dawne czasy. Ale natychmiast o nich zapomniał, gdy zobaczył Penvenena w łóżku, zwiniętego w kłębek jak ranna łasica, z poszarzałą twarzą i spierzchniętymi wargami. Nigdy nie był przystojny, ale teraz... Na twarzy i rękach wisiły fałdy skóry.

Dwight podszedł do łóżka, a Penvenen, jak zwykle starannie wymawiając słowa, powiedział:

– Chyba nie rozstaliśmy się w wielkiej przyjaźni, doktorze Enys. Tym bardziej jestem panu zobowiązany za przybycie.

Dwight skłonił się lekko, lecz się nie odezwał. Słuchał z uwagą i nie komentował.

– Nalegałem, by wezwano pana, mimo pańskiego młodego wieku, ponieważ uważam, że ma pan dość odwagi, by nie ulegać opiniom innych ludzi. Doktor Sylvane zrobił wszystko, co w jego mocy, ale to niestety nie wystarczyło.

– Cóż, panie Penvenen, to, co zrobiłem...

– Po raz pierwszy od wielu lat jestem naprawdę chory, doktorze Enys. Mam poczucie, że jeśli szybko nie podejmie się właściwych działań, będzie to moja ostatnia choroba.

– Ufam, że tak się nie stanie.

Dwight pochylił się z kamienną twarzą, by zbadać pacjenta, i natychmiast zauważył pewne objawy.

– Chory już nie gorączkuje, doktorze Sylvane.

– Tak. Jak panu wspomniałem, gorączka ustąpiła pod wpływem kuracji.

– Przestałem gorączkować dziewięć tygodni temu, doktorze Enys. Później już nie miałem gorączki.

Kwaśny zapach z ust. Penvenen był tak słaby, że prawie nie miał siły się obrócić.

– Dużo pan pije, panie Penvenen?

– Bardzo dużo. Nic mocnego, lekką maderę.

– A wodę?

– Tak, czasem nawet wodę.

– Je pan?

– Tak, za czterech, ale jestem chudy jak zdychający śledź. Wcześniej

obżarstwo moich sąsiadów budziło we mnie lekki niesmak.

Po dokładnym zbadaniu pacjenta Dwight powoli opuścił zasłonę łóżka i podszedł do okna. W Killewarren nie ma dziś rudowłosej Caroline w czarnym stroju do konnej jazdy. Nie ma małego, jazgotliwego mopsa. Nie ma Unwina Trevaunance'a z wielką lwią grzywą. Jest tylko chory, bliski śmierci człowiek.

– Rozwazałem również możliwość zagnieżdżenia się tasiemca w układzie trawiennym – rzekł nosowo doktor Sylvane. – Mógłby o tym świadczyć wilczy głód. Ale badanie stolca nie dostarczyło żadnych dowodów potwierdzających taką hipotezę.

– A mocz?

– Dziwnie słodki w smaku. Ale po takiej ilości słodkiego wina... Następnie rozwazałem możliwość infekcji o charakterze atmosferyczno-kosmiczno-tellurycznym, wywołanej wilgocią w okolicy obfitującej w minerały zawierające metal. Opary metali mają z natury szkodliwy charakter. Mieszkańcy tego regionu są chorowici i często zapadają na suchoty. Czy pan wie, że trzy tysiące ludzi gnieżdżących się na obszarze o powierzchni pół hektara wytwarza wyziewy sięgające dwudziestu metrów wysokości? O ileż niebezpieczniejsze mogą być one w hrabstwie...

– To z pewnością cukrzyca – przerwał Dwight.

– Ach? – Sylvane westchnął przez nos, wydając piskliwy dźwięk. – Ach...

– Pewien mężczyzna... zapomniałem jego nazwiska... o tak, Willis... kilka lat temu. A niedawno... Poza tym wszystkie pozostałe objawy: wilczy głód, wyniszczenie, kwaśny oddech...

– Moczówka cukrowa – przerwał ze znużeniem Sylvane. – Zastanawiałem się nad tym. Można by ją brać pod uwagę, lecz niektóre objawy ją wykluczają. Gorączka...

– Pan Penvenen mówi, że gorączka ustąpiła przed dziewięcioma tygodniami. Moim zdaniem gorączka nie jest objawem jego choroby. Uważam, że uznanie gorączki za jeden z symptomów byłoby błędem w sztuce.

– Pacjent cierpi na podagrę i mokry kaszel.

– Bardzo typowe i bardzo niebezpieczne.

Dwight nie zamierzał ustąpić. Doktor Sylvane zerknął na niego podejrzliwie nad swoim nosem.

– Moja opinia na temat choroby pana Penvenena wydaje się inna.

– Moim zdaniem nie może być innej diagnozy niż cukrzyca.

– Pan Penvenen ma pięćdziesiąt siedem lat. Taki nagły początek u człowieka w jego wieku...

– To się zdarza. Tak przynajmniej sądzę.

– Nie może pan mu przekazać swojej opinii. Przeżyłby szok. Nie biorę odpowiedzialności za konsekwencje.



– Z kolei ja nie biorę odpowiedzialności za to, co się stanie, jeśli taki stan chorego będzie się utrzymywać.

– Cóż jeszcze można zrobić? Jeśli rzeczywiście cierpi na cukrzycę, nie spodziewa się pan przecież, że wyzdrowieje, prawda?

Rozmawiali przez kilka minut ściszonymi głosami, po czym Dwight ruszył z powrotem w stronę łóżka. Ray Penvenen spoglądał na niego oczami w czerwonych obwódkach.

– I cóż, doktorze Enys, mam iść pod nóż?

– Nie, sir, nie pod nóż. Myślę, że możemy panu pomóc. I pan również może sobie pomóc.

– Jak?

– Rezygnując z większości potraw i trunków, które pan je i pije. Zwłaszcza wina.

– Ale to jedyna rzecz, która przynosi mi ulgę! Jak zaspokoję pragnienie?

– Zimną wodą i odrobiną rozwodnionego mleka. Poza tym musi pan jeść znacznie mniej. Zalecam ścisłą dietę. Nie będzie to łatwe, bo wiem, że będzie pan bardzo głodny.

– Nie zdaje pan sobie sprawy, jak bardzo, bo nigdy pan nie czuł tego co ja! Łatwo ordynować takie kuracje. Chce pan mnie zagłodzić?

– Nie zagłodzić, choć może to tak wyglądać. Sugeruję również ciepłe kąpiele i więcej świeżego powietrza w pokoju.

Doktor Sylvane coś mruknął, ale kiedy Penvenen na niego zerknął, zajął się wachaniem złotej ażurowej gałki laski.

– Nie zgadza się pan z tymi zaleceniami, doktorze?

Sylvane wzruszył ramionami.

– Długo o tym dyskutowaliśmy i muszę z żalem stwierdzić, że mam inne zdanie niż mój kolega. W żadnym wypadku nie mogę zaakceptować kuracji, która może osłabić pacjenta. I tak jest w tej chwili bardzo słaby.

– Jestem rzeczywiście w wyjątkowo kiepskiej kondycji wskutek trzymiesięcznej choroby i dziesięciu tygodni pańskiego leczenia – odparł Penvenen. – Uważam, że potrzeba nowego podejścia do mojej choroby. Potrafi mnie pan wyleczyć, młody człowieku?

– Nie, sir.

Penvenen mrugnął i oblizał wargi.

– Cóż, to przynajmniej uczciwa odpowiedź. – Skinieniem dłoni nakazał stojącemu przy łóżku służącemu, by nalał mu z karafki kieliszek wina. Po chwili znów skinął dłonią. – Nie, rozmyśliłem się, Jonas. Doktor radzi mi pić wodę.

## *Rozdział drugi*

Dwight nie był w stanie cierpliwie wysłuchiwać opinii, że ludzie umierają dlatego, iż surowe mięso gnije na wolnym powietrzu. Obsesyjnie interesował się kwestiami związanymi z jedzeniem i piciem. Posty i świeże powietrze pomogły kilku pacjentom cierpiącym na gorączkę z biegunką i malarię trzeciaczkę; zastosował podobną kurację w przypadku Charliego Kempthorne'a, chorującego na suchoty. Jakimś cudem zakończyła się sukcesem. W przypadku wielu innych nie dała żadnych rezultatów, ale wyleczenie nawet jednego pacjenta chorującego na śmiertelną chorobę miało swoją wagę. Później Dwight zaczął eksperymentować z podagrą, wywołując irytację swoich nielicznych zamożnych pacjentów.

W tej chwili leczył Penvenena. Kazał mu przyjmować po każdym posiłku opium tebańskie. Działał metodą prób i błędów, kuracja mogła równie dobrze zabić pacjenta, jak go wyleczyć.

Penvenen odzyskiwał siły.

W czasie swojej piątej wizyty Dwight zastał go siedzącego w fotelu przy lekko uchylonym oknie, owiniętego kocami i płaszczami, choć było pogodnie popołudnie. Zbadał pacjenta, który rzekł sucho:

– Powiedział pan, że nie może mnie wyleczyć, doktorze Enys, ale wydaje się, że wkrótce zacznę chodzić. Jestem panu wielce zobowiązany.

– To częściowo pańska zasługa. – Dwight nigdy nie przyjmował komplementów jako lekarz. – Gdyby nie okazał pan silnej woli, by odmawiać sobie...

– Był to wielki wysiłek. Jak długo jeszcze mam rezygnować ze zwyczajnych życiowych przyjemności?

– Jeśli uważa pan jedzenie i picie za zwyczajne życiowe przyjemności, obawiam się, że jeszcze przez wiele miesięcy. Może do końca życia.

– A kiedy umrę?

– Nie potrafię powiedzieć. Jeśli będzie pan o sobie dbał, nie ma powodów przypuszczać, że śmierć nastąpi szybko.

Zapadło milczenie. Dwight wyjął zegarek, by zmierzyć puls, lecz Penvenen rzekł:

– Ufam, że jest pan już w stanie zapomnieć o niefortunnych wydarzeniach, które towarzyszyły ostatniej wizycie mojej bratanicy Caroline. Bardzo żałowałem, że doszło do takiej sytuacji i że musiałem podjąć stanowcze kroki w tej sprawie. Teraz, gdy należy to do przeszłości, przyjmuję, że mogę pana wzywać w razie potrzeby, a poza tym czasem odwiedzi mnie pan na gruncie towarzyskim i zjemy razem obiad, oczywiście zakładając, że nie jest pan na tak ścisłej diecie jak ja.

Był to ze strony Penvenena przyjacielski gest, a przynajmniej coś, co mogło

za niego uchodzić. Dwight milczał.

– Może zanim udzieli pan odpowiedzi, poinformuję pana, że wkrótce zostaną ogłoszone zaręczyny Caroline i lorda Conistona, najstarszego syna hrabiego Windermere. Mam nadzieję, że ta wiadomość nie wytrąci pana z równowagi.

– Proszę przekazać pani Penvenen moje gratulacje – rzekł Dwight.

– Dziękuję, nie omieszkałbym tego uczynić. Caroline jest z pewnością stworzona do świetnego małżeństwa i zaniedbałbym swoje obowiązki jako jej opiekun, gdybym nie zapobiegł rozwojowi niestosownego romansu. Ufam, że pan rozumie, iż nie świadczy to o negatywnej ocenie pana osobistych przymiotów; nie jest również oznaką braku szacunku z mojej strony.

– Tak, rozumiem. – Dwight schował zegarek. Nie wiedział, jakie jest tętno pacjenta, i nic go to nie obchodziło. Przeszedł przez pokój i stanął przy kominku.

– Kiedy odbędzie się ślub?

– Siostra nic o tym nie pisze. Sądzę, że jeszcze nie wyznaczono daty. Caroline nie czuła się dobrze i dlatego...

– Nie czuła się dobrze?

– Jedna z normalnych letnich niedyspozycji. Już nic jej nie dolega. Ale ślub prawdopodobnie odbędzie się dopiero po Bożym Narodzeniu.

– Proszę przekazać moje najlepsze życzenia pani Penvenen. Jestem przekonany, że będzie to odpowiedni związek.

Dwight nie oszukiwał samego siebie, lecz najwyraźniej zdołał oszukać Penvenena.

– Cieszę się, że traktuje pan to w ten sposób. Podchodzi pan wspaniałomyślnie do całej sprawy. Byłem pewien, że mogę liczyć na pana rozsądek i zrozumienie.

Dwight miał ochotę oświadczyć, że nikt nie może liczyć na jego rozsądek ani zrozumienie.

– Proszę dalej prowadzić ćwiczenia fizyczne – powiedział. – Mogą być trochę intensywniejsze, gdy ma pan na to ochotę, ale żadnych nadmiernych wysiłków. Przyjadę znowu w środę rano.

Zamierzał wyjść z pokoju, kiedy starszy mężczyzna powiedział niepewnym głosem:

– Mam... mam nadzieję, że po świętach będę na tyle zdrowy, by pojechać do Londynu. Mam tam interesy, a także zobowiązania towarzyskie.

– Musimy się przekonać, czy wraca pan do sił – odparł Dwight.

Nie przypuszczał, że pacjent szybko wróci do zdrowia. Jeśli jego diagnoza była prawidłowa, nie mógł wyleczyć choroby. Mówienie o tym Penvenenowi nie miało jednak żadnego sensu, a ludzki organizm czasem reaguje w nieprzewidywalny sposób. Nie ulegało wątpliwości, że perspektywa małżeństwa bratanicy z arystokratą będzie dla niego najsilniejszym możliwym bodźcem.

Poród Verity przypadł w wigilię Wszystkich Świętych. Urodziła chłopca ważącego trzy i pół kilograma; matka i dziecko czuli się dobrze. Nadano mu imię Andrew, po ojcu, a rodzicami chrzestnymi zostali Ross i Demelza. W tym samym tygodniu przypadał dzień zapłaty podatku za wydobycie cyny. Ross pojechał do Truro i wrócił tego samego dnia, ale Demelza została na cztery dni. Od maja nigdy nie czuła się równie dobrze i udzieliło się jej szczęście Verity. Andrew Blamey zabrał ją na pokład swojego statku, popłynął z nią w górę rzeki i zaprowadził na przyjęcie w mieście. Nie wspomniała Verity o swoich kłopotach. Po raz pierwszy pojawiła się sprawa, o której nie mogła rozmawiać nawet z nią. Nie mogła nic powiedzieć, nie zdradzając rzeczy, które powinny pozostać sekretem jej samej, Rossa i Elizabeth. Elizabeth była teraz żoną George'a, więc milczenie o wydarzeniach dziewiątego maja wydawało się szczególnie ważne.

Nazajutrz po powrocie do domu Ross otrzymał od Warleggana list następującej treści:

*Szanowny Panie Poldark!*

*Ponieważ zarządza Pan majątkiem Francisa, powinien Pan podpisać pewne dokumenty. Od czerwca nic nie zrobiono i dlatego powinniśmy się koniecznie spotkać. Mogę Pana przyjąć w Trenwith rankiem w piątek lub sobotę.*

*Pozostaję etc.*

*G. Warleggan*

Ross odpowiedział:

*Szanowny Panie Warleggan!*

*Nie jest Pan zarządcą majątku Francisa, toteż sędzę, że sprawa ta Pana nie dotyczy. Jeśli chciałby Pan ze mną porozmawiać w jakiejś sprawie, będę w Namparze w piątek i sobotę rano.*

*Pański etc.*

*R.V. Poldark*

George przysłał następujący list:

*Szanowny Panie Poldark!*

*Jak zapewne Pan zauważył, w czerwcu poślubiłem Elizabeth. Zajmuję się majątkiem pozostałym po Francisie tylko po to, by zdjąć z jej barków ten ciężar. W tym miesiącu moja małżonka nie czuje się dobrze i byłoby dla niej wygodniej, gdyby spotkała się z Panem w Trenwith. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał Pan podać termin, który Panu odpowiada.*

*Pozostaję etc.*

*G. Warleggan*

Ross odpisał, że przyjedzie w sobotę w południe.

Kiedy tylko przejechał przez bramę, zauważył wielkie zmiany. W ciągu niespełna trzech miesięcy dokonano cudów. Wykarczowano krzaki, które wyrosły przez dziesięć lat, przystrzyżono żywopłoty, wycięto niepotrzebne drzewa i posadzono nowe cenne gatunki. Oczyszczono i zarybiono staw, założono kwietniki i część późnych kwiatów ciągle kwitła. Po drugiej stronie stawu pasły się dorodne krowy. Ścieżki przed dworem wysypano świeżym żwirem.

Ross wszedł do środka i zauważył, że naprawiono wielkie okno w sieni i ozdobiono je długimi kotarami z czerwonej satyny. Na posadzce leżały nowe dywany, a na ścianach wisały nowe gobeliny. Usunięto wiele starych, popękanych portretów. Rossa wprowadził do salonu służący w liberii, a nie zaaferowana pani Tabb w fartuchu. Wszystko się zmieniło. Zniknął kołowrotek Elizabeth, a nawet harfa.

Salon był pusty i Rossowi kazano czekać dziesięć minut. Spędził je, niecierpliwie uderzając szpicrutą w but. Wreszcie pojawił się George, za którym podążał wysoki, chudy mężczyzna o wąskich ramionach i zbyt blisko siebie osadzonych oczach. George był ubrany w piękny brązowy surdut i nieco ciemniejsze brązowe spodnie z nankinu. Później wszedł jeszcze jeden mężczyzna, stary Jonathan Chynoweth, ojciec Elizabeth. Obecni pozdrowili się, nie podając sobie rąk.

– To mecenas Tankard, mój adwokat. Oczywiście zna pan pana Chynowetha. Nie zajmujemy panu dużo czasu. Trzeba podpisać kilka dokumentów. Później może pan odjechać.

– Gdzie jest Elizabeth?

– Odpoczywa. Możemy załatwić interesy bez niej.

– Nie sądzę. Wspólnie ze mną sprawuje zarząd powierniczy nad majątkiem Francisa. Niczego nie podpiszę pod jej nieobecność.

– Spodziewaliśmy się tego – odparł uprzejmie George. – Podpisała pełnomocnictwo, toteż mogę działać w jej zastępstwie. Pokaż dokument panu Poldarkowi, Tankard.

Ross wziął do ręki pergamin, niejasno podejrzewając podstęp. Nie znał się na prawie. Popatrzył na Chynowetha.

– To prawda, drogi chłopcze. Nie ma w tym niczego oszukańczego, zapewniam cię. Z pewnością nie podejrzewasz, że uczestniczę w jakichś, hm, wątpliwych praktykach.

– Jeśli chce pan znać prawdę, Elizabeth specjalnie poprosiła mnie, bym załatwił za nią te kwestie – rzekł George. – Niewątpliwie nie sprawi to panu przyjemności, ale nie chciała się z panem spotkać. W tej chwili jej stan zdrowia nie jest idealny, lecz jest całkowicie zdolna do załatwiania interesów, które pragnie załatwiać. Nie chce mieć z panem nic wspólnego, a ja pomagam jej uniknąć spotkania, które wzbudziłoby w niej niesmak.

Ross zwrócił dokument Tankardowi, który schował go z powrotem do torby.

– Czy to prawda, że Elizabeth spodziewa się dziecka?

Tankard uniósł głowę.

– Prawda – odparł George. – Co to pana obchodzi?

Ross wzruszył ramionami.

– Wróćmy do interesów.

Należało omówić i podpisać różne papiery. Ross nie zamierzał iść na rękę Warlegganowi, lecz w gruncie rzeczy nie miał się do czego przyczepić. Chynoweth milczał, ale przysłuchiwał się rozmowie, skubiąc małą, rzadką brodę. Gdy już omówili bieżące sprawy, Tankard rzekł:

– Tak, panie Poldark, te akcje, połowa udziałów kopalni Wheal Grace należących do syna pani Warleggan, które sprzedano na początku roku za kwotę sześciuset funtów. Czy mógłby nam pan powiedzieć, jak to się stało? Transakcja wydaje się bardzo dziwna i nie jesteśmy pewni, czy była legalna.

– Była legalna.

– Cóż, zwróciliśmy się do pana Harrisa Pascoe'a, by podał nam szczegóły, lecz utrzymuje, że nie ma prawa ich ujawnić. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał pan wyjaśnić tę sprawę.

– Wyjaśnienie nie jest potrzebne. Pani Poldark – pani Warleggan –

otrzymała sześćset funtów w imieniu swojego syna za połowę udziałów w bezwartościowej kopalni.

– Rzekomo bezwartościowej – wtrącił George. – Kto był na tyle głupi, by zapłacić taką kwotę?

Ross odłożył pióro, posypał papier piaskiem i strząsnął go.

– Ja.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Ach, zastanawiałem się, czy to właśnie tak wyglądało – rzekł George.

– Rozumiem, że kopalnia przynosi w tej chwili zyski – odezwał się Tankard.

– Wkrótce będzie wypłacać wysokie dywidendy.

– Już wypłaca wysokie dywidendy.

– Ach, niewątpliwie na początku roku... – zaczął George.

– Protestuję przeciwko pańskim insynuacjom – przerwał Ross. – Protestuję przeciwko pańskiemu brakowi zwykłej inteligencji. Wielki Boże, czy sądzi pan, że gdybyśmy odkryli bogate złożę w styczniu, czekalibyśmy z eksploatacją do listopada?

– Więc dlaczego kupił pan połowę udziałów bezwartościowej kopalni? – spytał ostro Tankard.

Ross spojrzał na adwokata.

– Posłuchaj, człowieku, nie przyjechałem tu po to, by mnie przesłuchiwał jakiś kauzyperda! Wracaj do swoich ksiągk prawniczych i odzywaj się wtedy, kiedy ktoś cię o to prosi!

Chynoweth przesunął smukłym palcem wskazującym po wypolerowanej powierzchni stołu.

– Spokojnie, spokojnie! Chyba za bardzo się gorączkujemy, prawda? Nie ma potrzeby, to zupełnie zbędne, zapewniam cię. – Popatrzył na czubek palca. Nie zauważył kurzu. – Nie wątpię, że miałeś inne ważne powody. Gdybyś zechciał...

– W styczniu pana córka była w tarapatkach finansowych – rzekł Ross. – Czuję się odpowiedzialny za to, że przekonałem Francisca do zainwestowania ostatnich sześciuset funtów w kopalni. Chciałem zwrócić pieniądze, ale wiedziałem, że wdowa po Francisie nie przyjmie ich jako jałmużny. Dlatego uciekłem się do sztuczki, by przekazać pieniądze anonimowo. Sądziłem, że kopalnia upadnie. Uważałem tak jeszcze w czerwcu.

– Wątpliwa historia – rzekł George. – Nikt...

– Pańskie opinie nie mają żadnego znaczenia. Nie zamierzam wysłuchiwać pańskich spekulacji!

– Niech pan zaczeka – odezwał się George, gdy Ross zbierał się do wyjścia. – Myślę, że powinniśmy oddać panu sprawiedliwość. Prawda, teściu? Pod pewnymi warunkami jestem gotów zaakceptować to wyjaśnienie. Pańska sztuczka – sam pan to tak nazwał – była niewątpliwie nieco dziwaczna, ale może się

podobać ludziom bez doświadczenia w interesach. Miał pan dobre intencje. Prawda, teściu? Nie należy kwestionować legalności transakcji, bo jej cel był szlachetny. Można to traktować jako gest – pełen egzaltacji, niespodziewany – ale zaakceptujmy go w oczekiwaniu na kolejny gest, który z pewnością nastąpi.

Wszyscy czekali na dalszy ciąg. Chynoweth nie wiedział, o co chodzi George'owi, i mrugał zdezorientowany.

– Jaki gest?

– Zwrot Geoffreyowi Charlesowi połowy udziałów kopalni, skoro zaczęła przynosić zyski.

Ross wziął rękawiczki. Były pocerowane.

– Dlaczego uważa pan, że powinienem je zwrócić?

– Cóż, starał się pan pomóc Elizabeth w trudnej sytuacji finansowej. W tej chwili ten gest stracił swoje znaczenie, ponieważ to, co pan wziął, jest warte więcej niż to, co pan dał. Sytuacja całkowicie się zmieniła.

– Również status finansowy wdowy po Francisie.

– Naturalnie. W związku z zawarciem ze mną związku małżeńskiego. Ale pan działał w imieniu Geoffreya Charlesa, który nie może liczyć na moją hojność. Wszystko, co ma, to połowa udziałów w kopalni Wheal.

– Wszystko, co miał. Sprzedał mi te udziały.

– W gruncie rzeczy jako powiernik Geoffreya Charlesa sprzedał pan te udziały samemu sobie.

– Tak. Uważając je za bezwartościowe.

– Mamy na to tylko pańskie słowo. Nie są już bezwartościowe.

– Na szczęście dla mnie.

– Jest zatem oczywiste, że jeśli naprawdę uważał pan tę transakcję za gest przyjaźni i sympatii mający przynieść korzyść Geoffreyowi Charlesowi, obecnie należy ją anulować. Inaczej staje się podstępą praktyką.

Ross w dalszym ciągu uderzał w dłoń rękawiczkami.

– To, co jest oczywiste dla pana, panie Warleggan, i to, co jest oczywiste dla mnie, to dwie całkowicie różne rzeczy. Wraz z Elizabeth zarządzam majątkiem Geoffreya Charlesa i było moim obowiązkiem dbać o spadek, który pozostawił mu Francis. W styczniu tego roku sprzedałem jego udziały w Wheal Grace za sześćset funtów. Zrobiłem znacznie więcej, niż do mnie należało. Gdyby akcje sprzedano na otwartym rynku, nie dostałby za nie nawet pięćdziesięciu funtów. Ba, nawet dziesięciu! Sam nie zapłaciłby pan za nie dziesięciu funtów. Kopalnia była wtedy skończona. Tak uważałem. Podobnie jak wszyscy. Z trudem wiążąc koniec z końcem, sprawiliśmy, że pracowała jeszcze przez lato. Została zamknięta po zawale, lecz znów ją otworzyliśmy. I znaleźliśmy złoża cyny, choć szukaliśmy miedzi. Okazało się, że pokłady cyny są ogromne: rozciągają się na wszystkie strony. Cóż, w tej sytuacji uważam, że zyski należą do mnie. Nie sądzę, że



powiniennem się nimi dzielić z Elizabeth, Geoffreyem Charlesem, panem Chynowethem albo panem. Jeśli kiedykolwiek miał pan nadzieję przekonać mnie do zmiany zdania, radzę o tym zapomnieć, bo to bezcelowe.

Tankard zakasłał, dmuchnął na swoje palce i popatrzył na George'a, który powiedział:

– Ponieważ przedstawił pan jasno swoje stanowisko i argumenty, powinniśmy postąpić tak samo. Zakwestionujemy legalność sprzedaży.

– Na jakiej podstawie?

– Dowie się pan w odpowiednim czasie.

– Będę czekał na informację.

– Tak czy inaczej, nie wyjdzie pan czysty z tego sporu sądowego. Opiekun prawny, który oszukał dziecko.

– Jak dotychczas nie groziłem panu użyciem siły – rzekł Ross. – Nie chcę zniszczyć pańskich pretensjonalnych nowych mebli.

– Nie zrobi pan tego – odrzekł George. – Mogę zawołać trzech służących.

– Radzę nie wychodzić bez nich z domu – rzucił Ross.

George oblał się rumieńcem.

– Wracaj do swojej pomywaczki – powiedział.

## *Rozdział trzeci*

W odróżnieniu od Julii Jeremy rzadko czuł się dobrze pod nieobecność matki. Kiedy Demelza wróciła, okazało się, że chłopiec ma kłopoty żołądkowe. Dwight powiedział, że to lekka kolka, i przygotował środek przeciwbólowy. Później zeszli razem na dół i Demelza spytała:

– Zostaniesz na obiedzie? Ross pojechał do Trenwith, ale wkrótce wróci.

– Do Trenwith?

– Tak. Zarządza majątkiem Francisa, ma to jakąś specjalną nazwę, i musiał ich odwiedzić w interesach.

– Och, rozumiem... Dziękuję, zostanę, bo zamierzałem się z wami spotkać w tym tygodniu. Chcę, żebyście pierwsi poznali moje plany. Staram się o stanowisko chirurga w marynarce wojennej.

– Ach... – Demelza spojrzała z troską na młodego lekarza. – Czy to ostateczna decyzja?

– Tak będzie najlepiej. Mam przyjaciela w Admiralicji, sir Ralpa Slessora, który obiecuje użyć swoich wpływów. Oczywiście nie jest trudno dostać się na okręt, ale chciałbym trafić na dobry.

– Już drugi raz postanawiasz nas opuścić, ale teraz... Myślisz, że to naprawdę mądra decyzja?

– Nie mogę osiąść tu na stałe. Próbowałem, lecz to nie ma sensu. Toczy się wojna, a ja siedzę na prowincji. To niewłaściwe miejsce dla młodego człowieka. Na świecie można zdobyć wiele doświadczeń.

– Czy mam rozumieć, że opuścisz nas na kilka lat, jakbyś poszedł do więzienia? Będziesz mógł odejść z marynarki, gdyby zaczęło cię to nużyć?

– To kontrakt na określony czas, ale nie wiem jeszcze, na jak długo. Nie szczędzą wysiłków, żeby jak najszybciej przygotować stare okręty do wyjścia w morze i obsadzić je załogami z branki, ale praca posuwa się powoli. Podobno od początku wojny liczebność floty zwiększyła się zaledwie o czterdzieści tysięcy marynarzy.

Demelza podeszła do okna i spojrzała zmrużonymi oczami na zachodzące słońce. Na jej włosach lśniły plamy światła.

– A Caroline? Nie masz od niej żadnych wiadomości?

– Po świętach ma wyjść za mąż za lorda Conistona, kimkolwiek jest ten człowiek. Powiedział mi o tym w zeszłym tygodniu jej stryj.

Demelza wreszcie zrozumiała przyczynę ucieczki Dwighta, bo w pewnym sensie była to ucieczka.

– Bardzo mi przykro, zwłaszcza z powodu sposobu, w jaki to nastąpiło. Bardzo mi smutno, kiedy myślę...

– Mnie to już nie martwi. Cieszę się, że mogę uciec... Och, kochałem Caroline i dalej ją Kocham. – Odwrócił wzrok. – Ale nie byliśmy dla siebie stworzeni.

– O, jedźcie Ross. To dziwne, że potrafię odróżnić odgłos kopyt Czarnulki od wszystkich innych koni... Dwight, dlaczego nie pojechałeś do Caroline i wszystkiego nie wytłumaczyłeś? Nie widziałeś jej w Londynie? Jestem nieszczęśliwa, że to się zdarzyło, obojętnie: na dobre czy na złe. Ale dzięki temu uratowałeś Rossa.

– Moim zdaniem Caroline dużo wcześniej to wyczuwała i obwiniam się...

Demelza rzadko podnosiła głos, ale kiedy Ross wpadł do salonu, z jej ust wyrwał się mimowolny okrzyk.

Stracił surdut, z którego pozostał wiszący na nadgarstku mankiet. Koszulę miał rozdartą na plecach, a głowę obwiązaną halsztukiem. Spod prowizorycznego bandaża sączyła się krew.

– Masz talent do pojawiania się we właściwym czasie we właściwym miejscu – zwrócił się do Dwighta. Później usiadł w fotelu, by młody lekarz mógł go zbadać.

– Spadłeś z konia?! – spytała Demelza. – Złamałeś sobie coś? Jak to... Nie, nie spadłeś! Ross, kto ci to zrobił?! Biłeś się w Trenwith! Och, masz zranioną głowę! Dwight, przyniosę wody...

Pobiegła do kuchni, a po chwili Jane Gimlett również popędziła po maści i ręczniki. Kiedy wróciła Demelza, Ross wyjaśniał, co się stało.

– ...nawet nie przyszło mi to do głowy. Za każdym razem, gdy go widzę... i do tego w domu Francisa... Był to dla mnie prawie taki sam dom rodzinny jak Nampara, a jego pozy... Kiedy to powiedział, nie mogłem dłużej wytrzymać i nagle doszło do nieprzyjemnej sceny. Boże, bardzo mi to pomogło! Jego salon...

– Dobrze! – wtrąciła Demelza.

– Jego salon jest całkowicie zrujnowany. Obijaliśmy się po całym pokoju przez trzy lub cztery minuty. Zezowaty kauzyperda kulił się w kącie, a Chynoweth siedział pod stołem. George robi się miękki, przysięgam. To życie w mieście, małżeństwo albo coś innego; jeszcze nigdy tak łatwo go nie pokonałem. Ale wtedy do salonu wpadło trzech jego drabów... Auu, co robisz, człowieku?!

– Zszywam ci głowę. Na pewno nie chcesz mieć blizny również po drugiej stronie.

– Później przybiegło trzech jego sługusów i rzuciło się na mnie. Mieli przewagę liczebną, ale dwaj byli dość cherlawi i nie mieli prawdziwej ochoty do walki. Wyrzuciłem jednego przez okno. W końcu mnie złapali i wyrzucili za nim. Zagwizdałem na Czarnulkę, przybiegła klusem, a potem przejechałem po ich nowych rabatach kwiatowych. Ten kiel się obluzował. Czy wypadnie?

– Nie, zostaw go. Nie jest złamany, choć na dźiąśle jest krwiak.

– Gdzie była wtedy Elizabeth? – spytała cicho Demelza.

– Nie widziałem jej. Źle się czuła albo nie chciała się pokazać. Nie wyobrażacie sobie, jak zmienił się dwór: tureckie dywany, brokatowe zasłony, nowe meble. Trenwith przestaje być gniazdem rodu Poldarków i staje się rezydencją nuworyszy Warlegganów. Byłem pod wrażeniem.

– Ale jak to się wszystko zaczęło? – spytała Demelza. – Dlaczego się pobiliście, skoro mieliście po prostu rozmawiać o interesach i podpisać papiery?

Ross uniósł zdrową brew.

– Zrobił obraźliwą uwagę.

– Co powiedział?

– Nie chcę tego powtarzać.

– O mnie? – Demelza domyśliła się po wyrazie twarzy Rossa i natychmiast pomyślała o przyjęciu u Bodruganów.

– O kimś, z kim nie mam żadnych związków.

– Więc dlaczego poczułeś się obrażony?

– Bo miałem taką ochotę.

Popatrzyli na siebie i Ross roześmiał się z wyrazu twarzy Demelzy. Wydawało się, że bójka rzeczywiście mu pomogła. Coraz lepiej wyczuwała, co się stało.

Gdy skończyli obiad i Dwight wyszedł, Ross opowiedział jej, co wydarzyło się wcześniej. Była zirytowana i nie wierzyła własnym uszom.

– Nie wiem, czy Elizabeth w tym uczestniczy – rzekł – ale w tym tygodniu muszę się zobaczyć z Pascoe'em, by spytać, czy można podważyć sprzedaż udziałów.

– Nie w tym tygodniu – odparła Demelza, patrząc na jego głowę.

– Cóż, jak najszybciej. George też ma ślady. To przynajmniej jakieś pocieszenie. Dopóki nie zobaczę się z Pascoe'em, nie będę wiedział, co mnie czeka.

– Cieszę się, że nie zamierzasz zwracać udziałów Geoffreyowi Charlesowi.

– Nie wierzę, że Elizabeth mogłaby zaniedbać interesy Geoffreya Charlesa w kontrakcie ślubnym, który zawarła z George'em. Syn to ostatnia osoba, o której mogłaby zapomnieć. Jeśli zobaczę, że po dojściu do pełnoletności brakuje mu pieniędzy, wtedy zwrócę mu udziały, ale nie wcześniej. Nie pozwolę, by George uzyskał wpływ na Wheal Grace!

– Mam nadzieję, że ta kolejna bójka nie pogorszy twoich stosunków z George'em.

– Nie mam ochoty ich poprawiać.

– Mieszkamy teraz zbyt blisko siebie, by toczyć wojnę, Ross. W każdej chwili możecie się przypadkiem spotkać z powodu jakichś spraw. Albo George może próbować się zemścić. Pamiętaj, co spotkało Juda. Nie powinienes jeździć

samotnie po nocy.

– W tej chwili przychodzą mi do głowy tylko gwałtowne rozwiązania problemu. Bardzo mi przykro, Demelzo. To mało cywilizowana postawa. Jeśli ktoś odpłaci mi tą samą monetą, nie będę mógł się skarżyć.

Nie odpowiedziała, a Ross skrzywił się, zmieniając pozycję w fotelu.

– Pamiętasz wielki salon w Trenwith – powiedział. – Mają tam komplet nowych foteli z wypolerowanego... chyba mahoniu, z misternie rzeźbionymi oparciami i siedzeniami pokrytymi satyną. Nie jestem ekspertem od mebli, ale wydawały się wyjątkowo dobrej roboty.

– Na pewno – odrzekła Demelza.

– W salonie wprowadzono wiele zmian, częściowo dobrych, a częściowo złych. Powiesili kotary z niebieskiego adamaszku z szerokimi złotymi lamówkami. Na podłodze leży turecki dywan przedstawiający ludzkie postacie. Na gzymsie kominka stoi dużo pięknej porcelany, na pewno bardzo kosztownej, ale nie zwracałem na to uwagi. A na suficie wisi wielki żyrandol ze szlifowanego szkła. Przed drzwiami chiński parawan, by nie było przeciągów.

– Dokładnie zauważyłeś wszystkie zmiany.

– Kazano mi czekać dziesięć minut, co naturalnie od razu wprowało mnie w dobry humor. Dopóki się tego nie widzi, człowiek nie zdaje sobie sprawy, jak wiele ładnych rzeczy można obecnie kupić. – Rozejrzył się, oceniając świeżym okiem własny dom. – A my żyjemy jak nędzarze, prawda?

– Chyba tak.

– Możemy to zmienić. Może pojechałabyś ze mną do Truro, gdy wybiorę się na spotkanie z Harrisem Pascoe'em? Moglibyśmy kupić trochę nowych rzeczy do domu.

Obserwował Demelzę, ale jak zawsze, gdy zaczynali rozmawiać o sprawach osobistych, zwleką z odpowiedzią.

– Zróbmy, jak mówisz, Ross. Pojadę z tobą, jeśli chcesz.

– Tak, chcę.

– W przyszłym miesiącu musimy zapłacić odsetki od długów.

– Południowa żyła ma przeszło osiem metrów średnicy i ciągle się rozszerza. W zeszłym miesiącu zarobiliśmy pięćset osiemdziesiąt funtów. Tylko przez miesiąc. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce spłacimy wszystkie długi.

Demelza wstała i zaczęła zbierać klocki, które Jeremy zostawił w kącie.

– Ciągle nie mogę w to uwierzyć.

– Ani ja. Dwa razy dziennie myślę, że to sen i za chwilę się obudzę. Nie rób tego, nie w tej chwili. Widziałem wyraz twoich oczu, gdy przyszedłem z zakrwawioną głową. Wierzę, że ciągle ci na mnie zależy.

Była to pierwsza próba, pierwsze bezpośrednie słowa.

– Oczywiście, że ciągle mi na tobie zależy, Ross. Jak możesz tak mówić...

– Więc posłuchaj mnie, proszę. Powiedz, co twoim zdaniem powinniśmy kupić. Kobiety wiedzą lepiej od mężczyzn, jakie rzeczy są ważne. Potrzebujemy tak wiele, że nie wiem, od czego zacząć.

Podeszła do niego.

– Może zrobię listę, a ty ją zabierzesz...

– Nie to mam na myśli.

– Rano jest tyle do zrobienia, a Jeremy...

– Coś mi obiecałaś.

– Mamy tylko Czarnulkę.

– Już jeździliśmy nią razem. Możemy kupić dla ciebie konia na drogę powrotną, jeśli nie podoba ci się moja bliskość.

Uśmiechnęła się, próbując uwolnić rękę.

– Jest wiele rzeczy, których potrzebujemy znacznie bardziej od konia. Przyniosę pióro i inkaust.

– I pojedziesz ze mną na zakupy?

– Tak, Ross, już powiedziałam. Jeśli chcesz.

Minął tydzień, nim z głowy Rossa zdjęto opatrunek, i dopiero wtedy pojechali do Truro. Przed rozpoczęciem zakupów i innych ekstrawagancji Ross odwiedził Harrisa Pascoe'a.

– Nie mają żadnych szans – powiedział bankier. – Prawo własności udziałów przeniesiono zgodnie z prawem. Moim zdaniem sąd cywilny nie będzie marnował czasu na rozpatrywanie tej sprawy, ale gdyby nawet tak się stało, wyrok może być tylko jeden, na pańską korzyść.

– Być może George wysuwa absurdalne groźby. Tak przypuszczam, ale chciałem się z panem zobaczyć, by się upewnić.

– Może pan być pewny. Jednak przykro mi, że znów doszło do bijatyki. Warleggan jest pańskim bliskim sąsiadem, i to z obu stron... Moim zdaniem takie spory nigdy nie przynoszą nikomu korzyści.

– Jak to sąsiadem z obu stron? Co pan ma na myśli?

– Mówiłem metaforycznie. Coke sprzedał Warlegganom swoje udziały w Wheal Leisure.

– Właśnie tego się spodziewałem, bardzo mi się to nie podoba. Wheal Leisure znajduje się w posiadłości Treneglosa, ale chodniki docierają do mojego majątku.

– Nie byłbym zdziwiony, gdyby Warlegganowie wkrótce zdobyli pakiet kontrolny.

– Cóż, George może robić, co chce. Nie będę szukał z nim kontaktu, dopóki on nie szuka kontaktu ze mną.

Ross wstał. Demelza czekała na niego w przyległym pokoju. Często obiecywał sobie, że kiedyś pozwoli jej wydawać pieniądze dla przyjemności, lecz

jeszcze nigdy nie mógł zrealizować tego planu.

– Ach, jeszcze jedno – powiedział, odwracając się od okna. – W najbliższym czasie spłacę dług anonimowemu dobroczyńcy, który uratował mnie przed bankrutem w zeszłe Boże Narodzenie. To przyjemna myśl. Może mi pan teraz podać jego nazwisko, bym mógł mu we właściwy sposób podziękować, gdy wykupię weksel.

Pascoe dotknął piórem policzka.

– Jak pan wie, to tajemnica.

– Teraz ma pan prawo ją zdradzić. Rozumie pan, co zrobił ten człowiek? Oczywiście, że tak...

– Owszem, rozumiem...

– Bez jego pomocy siedziałbym w więzieniu za długi i miałbym niewielkie szanse na zwolnienie. Kopalnia zostałaby zamknięta. Moja żona i syn byłiby nędzarzami. To nie kwestia tajemnicy, Harris, tylko zwykłej wdzięczności.

– O tak, zgadzam się, ale to mnie nie zwalnia...

– Uważam, że zwalnia. Zawdzięczam temu człowiekowi wszystko i chciałbym mu to powiedzieć. Jak się nazywa?

Pascoe się wahał.

– Napiszę i poproszę o pozwolenie...

– Nonsens. A zatem to nie pan?

– Nie ja. Już to panu mówiłem. Żałuję, że nie mogłem tego zrobić, ale mój zawód...

– Mieszka w Truro?

– Nie. Tak naprawdę...

– Co tak naprawdę?

– Tak naprawdę to nie mężczyzna.

– Co takiego?! – Oszołomiony Ross popatrzył na bankiera. – Co pan ma na myśli? To kobieta? Dziecko?!

– Kobieta.

– Kto? Pańska córka?

– Nie. Mój Boże, przecież już powiedziałem...

– Nie znam wielu bogatych dam. Żadna nie przychodzi mi do głowy! Nie znam ani jednej kobiety, która mogłaby wyłożyć tysiąc czterysta funtów... To niemożliwe! Żartuje pan, Harris! Niech pan powie, że to żart!

Bankier wydawał się wytrącony z równowagi.

– Mam wrażenie, że już nadużyłem zaufania klientki. Tylko to, że wkrótce będzie pan w stanie spłacić kapitał... To Caroline Penvenen.

– Caro... – Ross przełknął ślinę i wybałuszył oczy. Po chwili powiedział: – Nie wierzę!

– To prawda.

– Caroline Penvenen?! Przecież prawie jej nie znam! Rozmawiałem z nią zaledwie dwa lub trzy razy. Mówiliśmy... Skąd mogła wiedzieć?! Nie opowiadam o swoich długach każdej napotkanej dziewczynie. To potworne! Jak się z panem skontaktowała?

– Przyszła pewnego ranka do mojego biura, powiedziała, że zamierza zainwestować pieniądze i że jej zdaniem najlepszą inwestycją jest pożyczanie panu tysiąca czterystu funtów. Wiedziała o wekslu, o tym, że zdobyli go Warlegganowie, o pańskich kłopotach. Uważałem za swój obowiązek – proszę mi wybaczyć, ale uważałem za swój obowiązek ostrzec ją, że może nigdy nie zobaczyć swoich pieniędzy. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Powiedziała, że jeśli nie zaaranżuję tej transakcji, zwróci się do kogoś innego. Kiedy zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by ją zniechęcić, oczywiście z przyjemnością spełniłem jej życzenie.

– Naprawdę nie mogę w to uwierzyć...

– Nie wiem, jak zareaguje na to, że panu powiedziałem.

Ross potarł świeżo zagojoną bliznę na głowie, która często swędziała.

– Jeszcze nigdy nie byłem tak zdumiony. Nigdy! Chyba się domyślam, skąd się o wszystkim dowiedziała. Ale to, że postanowiła podjąć jakieś działania... Nic dziwnego, że nie mogłem się domyślić, kto mi pomógł. Na Boga, cóż to za dziwna istota! Nic z tego nie rozumiem. Muszę powiedzieć żonie. Ona również będzie zaskoczona.

– Byłbym wdzięczny, gdyby nie przekazywał pan nikomu tej wiadomości – rzekł Pascoe. – Pierwszy raz w życiu łamię obietnicę daną klientowi. Przykro mi, że udało się panu ją ode mnie wyciągnąć.

– Mnie nie – odparł Ross.

Kupili kilka nowych mebli: ładną toaletkę do sypialni Demelzy za pięć funtów i dziesięć szylingów, zegar w miejsce sprzedanego przed dwoma laty, nowy stół – używany, lecz w doskonałym stanie, z piękną politurą i modnymi nogami w kształcie kwadratowych kolumn, dwa tureckie dywany po cztery funty każdy, doskonale płótno czesankowe na kotary w łóżkach i kremowy jedwab na kotary w salonie. Ross kupił kilka tkanin, bo Demelza powiedziała, że są miłe w dotyku – kupon czerwonego weluru i kupon zielonej satyny – choć nabytki te nie miały żadnego konkretnego celu, chyba że było nim zjednanie Demelzy. Kupili także sześć kieliszków o całkiem nowym kształcie, które kosztowały dwadzieścia osiem szylingów, oraz tuzin cynowych kufli – bardzo tanich, po cztery pensy sztuka, nowe kubki i talerze, nowe noże, łyżki i widelce – bardzo drogie – oraz fotel bujany z plecionym siedzeniem.

Demelza nabyła dwie pary gdańskich trzewików, trochę dobrej wełny na płaszcz dla Jeremy'ego, konika i grzechotkę. Ross kupił kilka halsztuków dla siebie i dwa dla Johna Gimletta, a Demelza trochę muślinu w paski dla Jane.



Robiąc sprawunki, mimo woli przez cały czas myśleli o ostatnich rewelacjach na temat Caroline Penvenen.

Kiedy skończyli, zbliżał się wieczór, co oznaczało długą jazdę w półmroku. Ruszyli do domu równie powoli, jak przyjechali. Już od wielu miesięcy nie byli tak bliscy fizycznie. Kiedy Demelza była dziewczynką, siadała czasami na łąku siodła Rossa, lecz teraz nie wchodziło to w rachubę. Czuł jej rękę na swoim pasku, od czasu do czasu muskała też ramieniem jego plecy, co było przyjemne. Mogli rozmawiać, nie podnosząc głosu ani nie przekrzykując wiatru.

Ross zaplanował wyprawę po sprawunki z czysto praktycznych powodów, lecz w drodze powrotnej zastanawiał się, czy nie osiągnął dodatkowego celu. Po południu kilkakrotnie zauważył w głosie Demelzy głęboki ton, którego braku nie był świadomy, dopóki go nie usłyszał.

– Ross, im dłużej myślę o Caroline, tym bardziej czuję, że bardzo źle ją osądziliśmy – rzekła w połowie drogi.

– Wiem. Bardzo dużo jej zawdzięczamy. Moim zdaniem nie powinniśmy tego tak zostawić.

– Ja też tak sędzę.

Milczeli przez pewien czas. W końcu Demelza powiedziała:

– Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym lepiej rozumiem, jak wiele im zawdzięczamy. Caroline uratowała cię przed więzieniem dla dłużników, Dwight przed więzieniem w ogóle. Nie ma wątpliwości, że ciągle ją kocha. Nie ma wątpliwości, że gdyby tamtej nocy nie rozpalił ognia na klifie, byłiby teraz małżeństwem i mieszkaliby w Bath.

– Nie rozumiem, dlaczego Caroline nam pomogła, chyba że namówił ją Dwight. Musiał jej opowiedzieć o naszych kłopotach i poprosić o pomoc. Ale wydawał się równie zdziwiony jak my, gdy powiedzieliśmy mu o anonimowym dobroczyńcy, a moim zdaniem nie jest tak dobrym aktorem. Chciałbym ją odwiedzić i spytać o to.

– Myślę, że Caroline jest bardzo impulsywna, kapryśna – odrzekła powoli Demelza. – Porzuciłaby jednego mężczyznę albo pomogła drugiemu, bo nagle ma na to ochotę. Może poczuła do ciebie dużą sympatię...

– Do mnie? Spotkaliśmy się zaledwie dwa lub trzy razy.

– To mogło wystarczyć. Nie chcę jej krytykować. Ma dobre i złe cechy, najczęściej dobre, jak sądzi Dwight.

Jechali dalej. Wieczór był ciepły, lecz deszczowy, i od czasu do czasu czuli na twarzach mżawkę.

– Myślę, że masz rację, Ross – stwierdziła Demelza. – Powinieneś pojechać i porozmawiać z Caroline.

– Jest w Londynie. Dostałem jej adres od Pascoe'a i zamierzam napisać.

– Moim zdaniem powinieneś pojechać, nie pisać.

Ross ściągnął wodze, bo przez drogę przebiegł borsuk. Kiedy Czarnulka się uspokoiła, powiedział:

– Nie widzę sposobu, by odnowić relacje Dwighta i Caroline. Zareczyła się z kimś innym, a zresztą nie byłaby właściwą żoną dla Dwighta z powodu wad, które sprawiły, że nam pomogła.

– Nie zamierzam bawić się w swatkę. Dwight wstępuje do marynarki wojennej, a Caroline nie może rzucić kolejnego mężczyzny. Moim zdaniem list nie wystarczy. To za mało. Myślę, że powinieneś pojechać i spotkać się z nią, powiedzieć, co czujemy i jak bardzo jesteśmy jej wdzięczni. Może nie wie, jak nam pomogła, może tysiąc czterysta funtów niewiele dla niej znaczy, ale to nie zmienia faktu, że mamy wobec niej dług wdzięczności.

Ross nie mógł tego kwestionować.

– Pojadę przed świętami. Zajmie to dwa tygodnie, ale mogę przekazać zarząd nad kopalnią Henshawe’owi. Zabiorę ze sobą odsetki za pierwszy rok i powiem, że zamierzam wykupić weksel na Wielkanoc. – Zastanawiał się już nad szczegółami podróży. Nie był w Londynie od dziesięciu lat i nawet wówczas znalazł się tam przejazdem.

– Myślę, że powinieneś się dowiedzieć jednej rzeczy o Dwightcie i Caroline, nawet jeśli nie spowoduje to ich powrotu do siebie – powiedziała Demelza.

– Podejrzewam, że Caroline musiała mieć jakiś inny powód, by zerwać z Dwightem, a nie tylko taki, że tamtej nocy nie przyszedł na spotkanie. Jest impulsywna, ale kobieta nie zachowałaby się w ten sposób. Mogłaby zerwać z nim w gniewie, lecz złość powinna minąć, gdy wszystko wytłumaczył.

– Uważasz, że powinienem ją o to spytać?

– Tak, Ross. Tak sędzę.

– Dobrze. Powiem, że moja żona uważa jej postępowanie za niekobiece.

– Powiedz, że mamy wobec niej dług wdzięczności, który bardzo chcielibyśmy spłacić – odparła.

Kiedy dotarli do Nampary, ujrzeni w dolinie migocące światła Wheal Grace. Kopalnie są podobne do ludzi, pomyślał Ross. A może to ludzie przypisują swoje myśli kamiennym budowłom o łupkowych dachach? Trzy miesiące wcześniej Wheal Grace przypominała konające zwierzę skazane na zagładę. Teraz wszystko tryskało nową energią. Tam gdzie paliła się poprzednio jedna latarnia, teraz płonęło pięć. Powolne posapywanie maszyny parowej się nie zmieniło, lecz wydawało się, że brzmi bardziej optymistycznie. W tym miesiącu przyjęto do pracy pięćdziesięciu nowych ludzi, dwudziestu pod ziemię i trzydziestu do przerobu rudy na powierzchni. Przerób części urobku w dalszym ciągu zlecano na zewnątrz, ponieważ ilość wydobywanej rudy ciągle się zwiększała i kopalnia nie była w stanie nadążyć z jej przetwarzaniem. W tym celu postanowiono rozbudować dział przerobu i wznoszono specjalne szopy. Młody Ellery i pięciu jego

pomocników pracowali w najbogatszej części złoża. Ellery zwierzył się Rossowi, że często nie może spać w nocy, gdyż stale myśli o pracy i nie może się doczekać powrotu pod ziemię. Kiedy górnicy otrzymywali wynagrodzenie zależne od ceny wydobytej rudy, należny im procent regulowano z miesiąca na miesiąc i zmniejszano proporcjonalnie do bogactwa pokładów, na których pracowali, ale Ross i Henshawe byli bardzo hojni i wielu górników osiągało duże zyski.

Pewnego dnia Demelza poczuła żal, że roboty górnicze doprowadziły do zniszczenia południowego krańca doliny. Strumień płynący obok dworu był żółty od szlamu, a dziewczęta zatrudnione w kopalni pracowały prawie na skraju ogrodu. Ale teraz chętnie zgodziłaby się nawet na rozkopywanie rabat kwiatowych, gdyby można było znaleźć pod nimi cynę.

Kiedy wrócili do domu, czekał na nich Gimlett, niestrudzony, przyjacielski, usłużny. Odprowadził Czarnulkę do stajni i wziął prezenty; obie te czynności zdawały się sprawiać mu taką samą przyjemność. Po chwili zniknął na tyłach dworu. Demelza pobiegła na górę, by zajrzeć do Jeremy'ego. Spał, anielski i kruchy. Chociaż jego zdrowie ogromnie się poprawiło, w dalszym ciągu był delikatnym dzieckiem. Miał krągłą, wdzięczną głowę, smukłą szyję i szerokie, wyraziste usta charakterystyczne dla Poldarków. Już jako mały chłopiec zapowiadał się na niezwykłego, a zarazem niespokojnego człowieka. Tylko we śnie energia przygasła.

Usłyszawszy szelest, Demelza uniosła głowę i zobaczyła, że Ross podążył za nią. Obecnie bardzo rzadko przychodził do sypialni na piętrze. Uśmiechnął się, nie patrząc na nią, i skinął głową w stronę syna.

– Przeżył bez ciebie.

– Na to wygląda.

– Zastanawiam się, dlaczego Jane nie ma dzieci. Potrzebujemy teraz jeszcze kogoś do pomocy w domu. Myślisz, że Jinny zgodziłaby się wrócić?

– Chyba możemy znaleźć kogoś młodszego. Wystarczyłaby jedna dziewczyna.

– Lepiej dwie. Musisz się przyzwyczaić do wydawania rozkazów, zamiast robić wszystko sama.

Nie odpowiedziała, a Ross pomyślał, że mogła wziąć jego słowa za krytykę.

– Wkrótce, jeśli dalej będzie się nam dobrze powodziło, chcę przebudować bibliotekę. Zawsze przypominała stajnię. Potrzebujemy dodatkowego pokoju na dole. Gdyby parter wyglądał przyzwoicie, zmieniliby to cały dwór.

– I przy okazji moglibyśmy zasypać skrytkę.

Ross się uśmiechnął.

– Moim zdaniem powinna pozostać jako ostrzeżenie.

Jeremy przewrócił się na bok i oddychał niespokojnie przez sen.

– Wyjdźmy, bo inaczej go obudzimy – powiedział.

– O nie, już mocno śpi. Nie zwraca na nic uwagi.

– Może byłby spokojniejszy, gdybym wyszedł z sypialni?

Uniosła wzrok, po czym szybko zerknęła w bok, by ukryć wyraz swoich oczu.

– Nie sądzę.

– Podobno niektóre dzieci bywają zazdrosne o ojców. Ostatnio Jeremy nie ma powodów do zazdrości.

– Moim zdaniem nie powinniśmy rozmawiać na ten temat. Dzięki temu będziemy spać spokojniej.

Położył jej dłoń na ramieniu, trochę na próbę. Nie poruszyła się.

– Zamierzałem mu kupić trochę klocków – rzekł. – Wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

– Możesz je dostać w Londynie.

– Myślisz, że mogłabyś ze mną pojechać? Dlaczego nie spróbować? Jeremy dobrze się czuje z Jane.

– Ja? O nie... Nie, dziękuję, Ross. Nie tym razem. Później bardzo chętnie. Myślę, że powinieneś się spotkać z Caroline sam na sam.

– Dlaczego?

– Mam takie wrażenie.

– Mogłabyś zostać w gospodzie, gdy pójde się z nią zobaczyć.

– Nie. Tym razem nie chcę jechać.

Przysunął się trochę bliżej.

– Demelzo...

– Tak...

– W ostatnich miesiącach zdarzyło się między nami wiele nieszczęśliwych rzeczy. Nie mówiliśmy o nich, ale stale pamiętaliśmy. Byłbym rad, gdybyśmy o nich zapomnieli.

– Oczywiście, Ross. Teraz nic nie czuję.

Przytulił twarz do jej włosów.

– Chcę, żebyś coś czuła.

– Przykro mi...

Stali obok siebie jeszcze przez chwilę. Chociaż na twarzy Demelzy nie było napięcia, wiedział, że nie znikło. Nie rozproszył go, nie pokonał. Zdawał sobie sprawę, że gdyby chciał, mógłby ją osiąść, że jej opór byłby niewielki, a jednocześnie rozumiał, że gdyby próbował teraz pogodzić się z nią w ten sposób, później pozostałby tylko popiół.

Pocałował ją niespodziewanie we włosy, puścił, podszedł do okna wychodzącego na północ, rozsunął kotary i wyjrzał na dwór. Demelza spoglądała na niego.

– Może masz rację – powiedział. – Nigdy nie odzyskamy tego, co tak łatwo

straciliśmy.

- Nie uważam, że było to łatwe dla którejkolwiek ze stron.
- Ale coś straciliśmy.
- Cóż...

Na zewnątrz było tak ciemno, że prawie nie widział oceanu.

- Straciliśmy na próżno – dodał, mówiąc częściowo do siebie.
- Tego nie wiem.
- Oczywiście to wszystko miało jakiś cel, dobry cel, jeśli się nad tym głębiej zastanowić, choć może się z tym nie zgodzisz. Sam nie wiem... nie chciałem o tym rozmawiać.

Stała koło łóżeczka, patrząc na Rossa.

- Może kiedyś powinniśmy o tym pomówić, jeśli mamy wyjaśnić tę sprawę – powiedział. – Ale coś mnie od tego odstręcza, mam przeczucie, że to coś złego...
- Co jest złe, Ross?

Odwrócił się od okna, wypuścił zasłonę z długich palców i rzekł ironicznie:

- Moim zdaniem zasady dobrego wychowania obowiązują nawet w przypadku cudzołóstwa. Nie potrafię się zmusić, by rozmawiać o jednej kobiecie z drugą, nawet gdy ta druga to moja żona.

- Uważasz, że nie powinnam nic o tym wiedzieć?
- Wcale nie musiałyby to sprawić ci przykrości.
- Nie wyobrażam sobie, że mogłoby to być przyjemne.
- Więc jesteś mniej bystra, niż przypuszczałem.
- Bardzo możliwe.

Znów zapadło milczenie. Ross odszedł powoli od okna, zawahał się na moment, a następnie pochylił się i pocałował Demelzę w usta.

- Tak, bardzo możliwe – powiedział i wyszedł.

Przez pewien czas stała w bezruchu. Jeremy oddychał teraz trochę szybciej, jakby coś mu się śniło. Obróciła go fachowym, zdecydowanym ruchem, on zaś natychmiast się uspokoił, jakby poznał dotyk znajomej dłoni.

Wyprostowała się i podeszła do okna. Poczowała ciepło w jakimś zakamarku serca, choć nie przypuszczała, że znów mogą się tam pojawić uczucia.

## *Rozdział czwarty*

Nazajutrz Dwight otrzymał wiadomość o swojej nominacji. Miał pełnić obowiązki chirurga na fregacie HMS „Travail”, szykującej się do wyjścia w morze w Plymouth, i powinien się stawić na pokładzie dwudziestego grudnia.

Ross nie wspomniał o zamiarze odwiedzenia Caroline, lecz opowiedział Dwightowi o odkryciu dotyczącym pieniędzy, które uratowały go przed bankructwem. Dwight się zaczerwienił i stwierdził, że nie miał pojęcia, iż to Caroline spłaciła weksel Rossa. Ukrywał swoje uczucia i gorąco przepraszał, że tak swobodnie rozmawiał z Caroline o długach przyjaciela. Ross oznajmił, że jeszcze nigdy nie był nikomu równie wdzięczny za swobodne mówienie o swoich długach.

Następnego dnia wyjechał dyliżansem do Londynu. Zjedli obiad w St Austell i przenocowali w Liskeard. W Plymouth przepłynęli promem rzekę Tamar i spędzili następną noc w Ashburton. W piątek zjedli obiad w Exeter i przenocowali w Bridgewater, a w sobotę zjedli posiłek w Bath i spali w Marlborough. Nazajutrz wstali skoro świt, ponieważ dyliżans miał przejechać jeden etap przed śniadaniem. Zjedli obiad w Maidenhead i dotarli do Londynu tuż przed dziesiątą wieczorem. Kiedy zbliżali się do miasta, ziemię pokrywał szron.

Nazajutrz, gdy Ross wyruszył na poszukiwanie Caroline, padał śnieg. Adres brzmiał Hatton Garden numer pięć. Wiedział, że jest to ekskluzywna dzielnica prywatnych rezydencji, ale musiał wiele razy pytać o drogę. Ulice były bardziej zatłoczone niż za dawnych czasów, a ludzie wydawali się grubiańscy – przepychali się i potracali, by wyprzedzić innych lub coś załatwić. Dwa razy był świadkiem, jak przechodniów przewrócono do ryszoków. Ryszoki rządziły się swoimi prawami: siedzieli w nich ślepi żebracy, obszarpani inwalidzi wojenni bez rąk i nóg, dzieci z zaropiałymi oczyma, zgarbione staruchy ze szponiastymi palcami. Śnieg pogarszał sytuację, często dochodziło do bójek między czeladnikami, uczestniczyły w nich również kobiety. W trakcie jednej z awantur nadjechała karetka i nagle wszyscy się na nią rzucili, o mało woźnica nie spadł z kozła. Pasażer, kimkolwiek był, rozsądnie nie otworzył okna i nie zaprotestował.

Ross kupił gazetę codzienną, ale było w niej więcej ogłoszeń znachorów niż informacji o wojnie. Tak czy inaczej, po egzekucji Marii Antoniny ludzie uodpornili się na krwawe horrory Paryża. Francuzi oszaleli, to oczywiste. Anglia znajduje się w stanie wojny. Właśnie to jest najważniejsze. Wyniki bitew budzą rozczarowanie i nie mają rozstrzygającego charakteru, jakby uczestnicy konfliktu nie mieli serca do walki, ale nawet to przynosi ulgę, rozprasza napięcie. Nadejdzie dalszy ciąg. Anglia znajduje się w stanie wojny. W końcu położą kres szaleństwu. To tylko kwestia czasu.

Kiedy Ross zadzwonił, drzwi otworzył lokaj w liberii. Służący popatrzył

z irytacją na jego ubranie, którego Ross nie miał czasu ani cierpliwości zmienić po nagłym wzbogaceniu się.

– Panna Penvenen? – spytał i pierwszy spuścił wzrok. Obiecał się dowiedzieć. Długie oczekiwanie. Wrócił. Panna Penvenen jest w domu i przyjmie pana Poldarka. Rossa wprowadzono do pięknego, skromnie umeblowanego, dość chłodnego pokoju wychodzącego na ulicę. Obcasy lokaja stuknęły na wyfroterowanej podłodze pokrytej mozaiką.

Ross, od niedawna zainteresowany drogimi meblami, zauważył elegancki orzechowy sekretarzyk z nogami w kształcie lwich łap oraz intarsjowane owalne kredensy z piękną porcelaną, stojące po obu stronach marmurowego kominka. Boazerię wykonano z rzeźbionej sosny, na ścianach wisiało niewiele obrazów, lecz wiele miniatur i portretów sylwetkowych. Na kominku płonął ogień, lecz w wielkim pomieszczeniu panował chłód. Gdzieś na parterze rozlegały się dziecięce śmiechy.

Otworzyły się drzwi i do salonu weszła Caroline.

– Ach, kapitan Poldark! Nie mogłam uwierzyć, że to naprawdę pan! Na szczęście ma pan rzadko spotykane nazwisko. Londyn czuje się zaszczycony. Nie zauważyłam flag wywieszonych na pana powitanie.

– Ludzie wywieszają flagi nie wtedy, gdy przyjeżdżam, tylko gdy wyjeżdżam – odparł Ross, pochylając się nad dłonią Caroline.

Był wstrząśnięty zmianą, jaka w niej zaszła. Znacznie schudła i zbrzydła. Zawsze była dość delikatna, a w tej chwili wyraźnie nie czuła się najlepiej. Miała na sobie modną suknię, jakiej Ross jeszcze nigdy nie widział, odcinaną pod biustem, opadającą do ziemi, z krótkimi bufiastymi rękawami i złotym sznurem zakończonym ozdobnym chwostem.

– Powinien mnie pan uprzedzić o swojej wizycie. Jak długo zamierza pan zostać w Londynie?

– Dwa lub trzy dni. Nie mogłem pani uprzedzić, bo zdecydowałem się przyjechać dopiero kilka dni temu.

– Pilne interesy? Napije się pan sherry? Może ma pan ochotę na ciastko? Mój lekarz twierdzi, że powinnam pić sherry co dwie godziny, i nie jest to nieprzyjemna kuracja.

Patrzył, jak Caroline siada, i sam zajął miejsce po przeciwległej stronie kominka. Caroline długo mówiła o banalnych sprawach. Wydawało się, że czuje się nieswojo w towarzystwie Rossa.

– Chorowała pani, panno Penvenen?

– Czuję się trochę niezdrowa, skwarne londyńskie lato odebrało mi energię. Jak się miewa pańska żona?

– Bardzo dobrze, dziękuję. Wszyscy jesteśmy zdrowi. Kopalnia zaczęła przynosić zyski i po raz pierwszy w życiu zarabiam. Wszystko dzięki pani.

Na twarzy Caroline pojawiło się bardzo przekonujące zdziwienie. Po chwili, chcąc uniknąć spojrzenia Rossa, który obserwował ją spod ciężkich powiek, odwróciła się i pociągnęła za sznur dzwonka zakończonego dekoracyjnym chwostem.

– W zeszłym tygodniu wyciągnąłem wszystko od Harrisa Pascoe’a – rzekł Ross. – Później bardzo żałował, że zdradził sekret, ale całkowicie go rozgrzeszyłem.

– Rzeczywiście...

– Tak, rzeczywiście. Zaprzeczanie aktowi oskarżenia to tylko strata czasu. Jest pani oskarżona, panno Penvenen, o rozmyślne ocalenia trojga ludzi przed katastrofą, jaką niesie ze sobą bankructwo. Nie ma żadnych okoliczności łagodzących, więzów przyjaźni ani pokrewieństwa. To bardzo poważne zarzuty.

– Jaki jest wyrok?

– Moja dozgonna wdzięczność za wielkoduszny, szlachetny, chrześcijański uczynek, którego nigdy nie zrozumie i nigdy nie zapomnę.

Caroline zarumieniła się lekko, może z powodu tonu głosu Rossa, a nie treści jego słów. Roześmiała się i odwróciła w stronę drzwi, zadowolona z pojawienia się pokojówki, która przyniosła sherry. Kiedy na stole stanęła taca z karafką i służąca wyszła, Caroline powiedziała:

– Wyolbrzymia pan znaczenie tej pożyczki, kapitanie Poldark.

– Ross – powiedział. – Proszę zwracać się do mnie po imieniu.

– A zatem, kapitanie Rossie, wyolbrzymia pan znaczenie tej sprawy. Zawsze byłam trochę kapryśna i tym razem też uległam kaprynowi. Sherry?

– Dziękuję. Nie podzielam opinii, że to wyolbrzymiam. Gdybyś była na moim miejscu, Caroline, dobrze byś to rozumiała.

– Ale nie byłam. Proszę pamiętać, że stare panny bywają nieprzewidywalne. Mogłam obdarować dom dla wysłużonych marynarzy albo zwrócić się przeciwko tobie.

– Nie wierzę.

– Tak czy inaczej, pieniądze nic dla mnie nie znaczą. Kilkaset funtów...

– Dwight twierdzi, że twój prywatny majątek nie jest zbyt wielki.

Caroline milczała przez chwilę, wzięła ciasteczko i zjadła je powoli.

– Masz na wszystko odpowiedź. Widzę, że muszę się pogodzić z aureolą, którą chcesz umieścić nad moją głową. – Uniosła dłoń i dotknęła włosów.

– Wyobrażam sobie, że rudowłosa kobieta wyglądałaby komicznie z aureolą, a zresztą zgubiłabym ją na pierwszym płocie. Ale jeśli sprawia ci to przyjemność, kapitanie Rossie, nie rezygnuj ze swoich planów. Kanonizacja odbędzie się jutro o jedenastej.

Ross wypił łyk sherry.

– Podróż do Londynu zajęła mi pięć dni. Dużo o tobie myślałem po drodze,



Caroline.

– Mam nadzieję, że nie bez przerwy. Pamiętam, jak raz piekły mnie uszy, ale myślałam, że to nawrót febry.

– Przyjechałem, by ci powiedzieć... Chcę powiedzieć, że wkrótce będę w stanie wykupić weksel. Mam przy sobie tratę banku Harrisa Pascoe'a na dwieście osiemdziesiąt funtów, to odsetki za ostatni rok. Za kilka miesięcy zwrócę cały kapitał.

– Widzisz! Robisz ze mnie świętą, a ja po prostu zrobiłam świetny interes!

– Mówisz o staropanieństwie, lecz raczej nie pozostaniesz długo panną. Tuż przed wyjazdem słyszałem o twoich zaręczynach, zdaje się, że z lordem Conistonem, prawda?

– Czy to wpływa na bezpieczeństwo mojej inwestycji?

– Nie. Świadczy tylko o tym, że jestem zainteresowany twoją przyszłością.

Caroline wstała i naląła Rossowi kolejny kieliszek sherry. Jej przedramię było pokryte piegami.

– Czyżbyś zamierzał mi się oświadczyć, kapitanie Rossie?

Uśmiechnął się.

– Nie jestem muzułmaninem. Jak dotychczas rzadko tego żałowałem...

Dygnęła lekko, nim usiadła w fotelu.

– Dziękuję za komplement, ale gratulacje są nieco przedwczesne. Nie jestem zaręczona z Walterem.

– Nie? Chcesz powiedzieć, że nie jesteś zaręczona z lordem Conistonem?

– Wydajesz się zaskoczony. Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

– Cóż, owszem...

– Oświadczał mi się kilka razy, ostatnio w zeszłym miesiącu. Dość dobrze się prezentuje, ale chyba za niego nie wyjdę.

Ross popatrzył na swój kieliszek. Odpowiedź Caroline całkowicie go zaskoczyła. Wszystko, co zamierzał jej powiedzieć – i wszystko, co zamierzał przemilczeć – opierało się na przekonaniu, że wkrótce wyjdzie za mąż. Poczuł, że powinien przemyśleć sprawę od nowa, i miał na to tylko chwilę.

– Twój stryj powiedział jednemu z moich znajomych, że definitywnie przyrzekłaś poślubić tego człowieka.

– Ciotka Sarah, u której mieszkam w Londynie, często dochodzi do przedwczesnych wniosków. Walter jest dobrym kandydatem na męża i poprosił mnie o rękę; to jej wystarczyło. Ale dlaczego wytrąca cię to z równowagi?

– Nie uznaj tego za impertynencję z mojej strony, ale czy mogę spytać, dlaczego nie przyjęłaś oświadczyn?

Uśmiechnęła się.

– Ach, skutek zwykłego kobiecego kaprysu.

– Nie kochasz lorda Conistona.

- To prawda, nie kocham go.
- W gruncie rzeczy jesteś w dalszym ciągu zakochana w Dwighcie Enysie. Wzięła następne ciasteczko.
- Nie uważasz tego pytania za impertynenckie?
- Wiesz, że wstąpił do marynarki wojennej?
- Szybko spojrzała na Rossa.
- Co takiego? Dwight? Nie, nie wiedziałam. – Po raz pierwszy przestała się na chwilę pilnować.
- W tym tygodniu wsiada na okręt w Plymouth. Po twoim wyjeździe źle się czuł w Kornwalii.
- Jak niemądrze z jego strony! Spodziewałam się, że będzie postępował rozsądnie.
- Człowiek nie zawsze zachowuje rozsądek, gdy kocha kogoś tak jak Dwight ciebie.
- Przyjechałeś podziękować za pieniądze czy jako jego emisariusz?
- Nic o tym nie wie, ale w zeszłym tygodniu powiedział Demelzie, że opuszcza nas z twojego powodu.
- I co powinnam zrobić w tej sytuacji? Wpaść w melancholię i umrzeć? Ucieszyłbyś się, gdybym efektownie zmarła z tęsknoty?
- Ucieszyłbym się, gdybyś mi powiedziała, dlaczego opuściłaś Kornwalię, gdy tamtego wieczoru nie przybył na spotkanie. Och, rozumiem, że w pierwszej chwili byłaś na niego wściekła, bardzo dobrze rozumiem. Ale dlaczego później nie przyjęłaś jego rozsądnych wyjaśnień?
- Wstała i podeszła do okna.
- Co cię to obchodzi?
- Nagle zaczęło mnie obchodzić. Od dawna czuję szczerą sympatię do Dwighta. Teraz mam ogromne zobowiązania wobec ciebie. Chcę wiedzieć.
- Nie daję ci to najmniejszych powodów, by się wtrącać.
- Podszedł do niej.
- Chcę wiedzieć, Caroline.
- Z domu wychodziły właśnie dwie dziewczynki pod opieką starszej kobiety, guwernantki. Jedna z dziewcząt spojrzała w okno, zauważyła Caroline i pomachała do niej. W odpowiedzi Caroline uniosła dłoń.
- Jak się miewa twoja kuzynka, Elizabeth Poldark?
- Wyszła ponownie za męż. Za George’a Warleggana.
- Och... To dla mnie niespodzianka. Mieszkają w Trenwith?
- Tak. Są moimi sąsiadami.
- Na pewno nie sprawia ci to przyjemności.
- Nie sprawia przyjemności.
- A kopalnia? Naprawdę przynosi zyski?

- Nie jesteśmy w stanie oszacować przyszłych wpływów.
- Mój stryj jest chory. Wiesz, czy czuje się lepiej?
- W tej chwili tak.

Odwróciła się, wciąż trzymając palcami zasłonę.

– Tak, kochałam Dwighta, jeśli cię to cieszy. Mnie nie, bo wiem, że nie moglibyśmy być razem szczęśliwi. Tamtego dnia wyjechałam ze stryjem do Londynu, bo byłam straszliwie wściekła, urażona, zawiedziona: cała gama najróżniejszych uczuć. Nie wiedziałam wtedy, że Dwight nie przyszedł, bo próbował cię ratować. Wiedziałam, że w ostatniej chwili pojechał do Sawle, wezwany do pacjentki, która potrzebowała jego troski bardziej niż ja. To, że później uczestniczył w walce z celnikami i żołnierzami, został ranny i aresztowany, nie zrobiło na mnie tak wielkiego wrażenia, jak sobie wyobrażasz. Pójście do córki Hoblyna było... znakiem, symbolem. Właśnie tego nie rozumiesz, a Dwight na pewno rozumie. Przynajmniej próbowałam mu to wytłumaczyć w liście. Kapitanie Poldark – Rossie, skoro nalegasz, bym tak się do ciebie zwracała – czy widziałeś się z Dwightem w okresie, gdy postanowiliśmy uciec i zamieszkać w Bath?

– Chyba tak. Nie pamiętam.

– Zachowywał się, jakby zamierzał zrobić coś wstydliwego i oszukańczego. O tak, kochał mnie na swój sposób i udawał, że jest zadowolony, ale w głębi duszy był nieszczęśliwy! Myślał, że to przede mną ukryje, lecz było to oczywiste. Porzucał swoje obowiązki, pacjentów, kuracje, opuszczał w haniebny sposób, uciekał w środku nocy, by zamieszkać w modnym, bogatym mieście. Mógł mieć powody, by tak się czuć – nie twierdzę, że podchodził do tego słusznie lub niesłusznie – ale w tej sytuacji nie mogłam być szczęśliwa. Uważasz mnie za płochą, kapryśną kobietę, lecz w gruncie rzeczy nie jestem taką trzpiotką, jak przypuszczasz. Doskonale wiedziałam, że jeśli Dwight będzie się do końca życia obwiniał, że porzucił pacjentów, próbując nie obwiniać za to mnie, rzuci to cień na całą naszą przyszłość! To prawda. Nie kręć głową, to prawda!

– Tak, rozumiem, nie przeczę. Nic nie wiedziałem. W ogóle nic. Wytłumaczyłaś to Dwightowi w liście?

– Tak, jak umiałam.

Ross spacerował po salonie. Przez pewien czas panowało milczenie.

– Porzucenie pacjentów, jak to nazywasz, było dla Dwighta szczególnie trudne z powodu romansu z inną kobietą przed kilku laty. Leczył ją, a potem...

– Tak, Keren Daniel. Słyszałam o niej.

– Nie bronię go, ale przypuszczam, że od tamtej pory szczególnie boi się robić rzeczy, które mogłyby budzić nieprzychylnie komentarze. Nie zabrakłoby ludzi, którzy powiedzieliby, że żeni się z tobą dla pieniędzy.

– Och, ludzie! Gdyby ktoś przez cały czas się zastanawiał, co powiedzą ludzie, nie ruszyliby się sprzed kominka.

– Całkowicie się zgadzam i jestem pewien, że Dwight również przyznałby ci rację. To bardzo wrażliwy, skrupulatny człowiek. Rozumiem jego punkt widzenia, a teraz rozumiem również twój... Ale jeśli oboje się kochaliście, z pewnością istniał jakiś sposób wybrnięcia z sytuacji.

– Miałabym zamieszkać z nim w trzech pokojach w stróżówce, z wściekłym stryjem kilka kilometrów dalej? Cała okolica huczałaby od plotek.

– Nie... Ale czy nie powinnaś się z nim zobaczyć, kiedy przyjechał do Londynu, by z tobą porozmawiać?

Popatrzyła na Rossa z lekką dezaprobatą.

– Nie jestem z żelaza, choć niewątpliwie tak uważasz.

– Nie, nie uważam – odparł Ross. – Coraz bardziej się przekonuję, że jesteś kobietą w moim typie.

Szybko się zarumieniła.

– Myślę, że jeszcze poprosisz mnie o rękę.

– Zaraz złożę ci inną propozycję. Ciągłe kochasz Dwighta?

– Do szaleństwa!

– Nie. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Powiedz mi prawdę, Caroline.

Pokręciła głową.

– Ta rozmowa jest dla mnie bardzo krępująca.

– Dwight spędzi w Plymouth cały ten tydzień i część następnego. Gdybyś ze mną pojechała, kiedy w czwartek wyruszę w drogę powrotną...

Popatrzyła na niego z gniewem.

– Chyba oszalałeś!

– Doprawdy? To zależy, co do niego czujesz.

– To zależy od czegoś zupełnie innego...

– Od czego? W niedzielę mogłabyś być w Plymouth. Nie sądzisz, że warto się spotkać po raz ostatni? Nigdy rozsądnie nie rozmawialiście w obecności osoby trzeciej, prawda?

– W takich sytuacjach rzadko można się zachowywać rozsądnie.

– Wątpię. Tak czy inaczej, to twoja ostatnia szansa zobaczenia Dwighta.

– Nie powinieneś grać na moich uczuciach.

– Cóż, nie możesz ignorować faktów.

– To ty je ignorujesz. Po naszym rozstaniu sytuacja się nie zmieniła. Teraz nie ma lepszego wyjścia niż wtedy.

– Całkowicie się zmieniła. Teraz nie zmuszałabyś Dwighta do opuszczenia przyjaciół w Sawle. Robi to z własnej woli. Wcześniej nie rozumiałem, dlaczego uważał to za konieczne. Teraz rozumiem. Jeśli go teraz spotkasz, będzie wolny od dawnych zobowiązań.

– I związany z marynarką wojenną.

– Tak. Nie ma wygodnej ucieczki do Bath. Sytuacja zmieniła się na lepsze,

a jednocześnie na gorsze. Warto rozważyć wszystko na nowo.

Przez chwilę zdawała się wahać. Później gwałtownie pokręciła głową.

– Wykluczone...

– Tylko jedna osoba może zdecydować, że to wykluczone: ty sama.

– Tak... masz rację! Masz całkowitą rację, Rossie. Przedstawiłam to tak, jakby wszystkie słabości, wszystkie wady leżały po stronie Dwighta. Myślisz, że nie miałam czasu zastanowić się nad własnymi? To, co się stało, i sposób, w jaki się stało, pokazały mi, kim jestem. Czasem złość i gorycz są tak wielkie, że można tylko ranić samego siebie – ranić samego siebie w nieskończoność, nie widząc drogi ucieczki. Na pewno rozumiesz, co mam na myśli. Możliwość, że to się powtórzy, wcale nie znikła.

– Dlaczego?

– Mogła zmaleć, ale ciągle istnieje. Jak mogłaby zniknąć? Aby sprawić, że Dwight się zmieni, ja również musiałabym się zmienić. Jestem tylko sobą. Miałam wobec niego zbyt wielkie oczekiwania, a on wobec mnie. Wiem mniej od ciebie o małżeństwie, ale myślę, że to najgorszy sposób, by je zacząć. Nieporozumienie było obustronne, bardzo głębokie. Nie mam dość odwagi, by znowu ranić siebie i Dwighta.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Nie myśl, że jedna rozmowa coś zmieni – dodała Caroline. – Mam już zbyt wiele na sumieniu. Wywróciłam mu życie do góry nogami, a potem odeszłam. Zostawmy go w spokoju.

Ross wyjął sakiewkę i wyciągnął niewielki arkusz papieru.

– Oto trata bankowa. Twój bankier prześle pokwitowanie.

Wzięła papier. Ross był niezadowolony, że poniósł fiasko, bardzo niezadowolony.

– Powinienem powiedzieć jeszcze jedno – odezwał się. – Twój stryj nie czuje się lepiej. Dwight twierdzi, że choroba się nie rozwija, ale stan pana Penvenena prawdopodobnie nigdy się nie poprawi. Myślę, że powinnaś go odwiedzić, gdy Dwight wypłynie w morze.

– Dobrze.

Chwilowo opuściło ją życie. Jeszcze jej takiej nie widział. Emocje ją zmęczyły. Zaprosiła go na wieczór, by poznał jej stryja i ciotkę, lecz odmówił, wymawiając się pilnymi sprawami. Przed wyjściem powiedział:

– Gdybyś zmieniła zdanie przed czwartkiem, znajdziesz mnie w gospodzie Pod Mitrą na Hedge Lane. To tuż koło Leicester Fields.

– Dobrze – odrzekła. – Ale nie zmienię zdania.

Ross wyszedł na zatłoczoną ulicę.

## *Rozdział piąty*

Pod nieobecność Rossa Demelza miała nieprzyjemną przygodę. Została zaproszona na podwieczorek przez panią Frensham, siostrę sir Johna, która znów go odwiedziła. Ponieważ panowała ładna pogoda, a Czarnulka znajdowała się w Truro, Demelza postanowiła wybrać się do Place House na piechotę. Najkrótsza droga biegła wzdłuż brzegu morza: należało obejść Sawle, przejść po kamienistej plaży, minąć Trenwith, a następnie dotrzeć wzdłuż klifu do zatoki Trevaunance.

Towarzyszył jej Garrick. Była to jedna z dziwnych cech tego psa. Jeśli Demelza spacerowała wieczorem po dolinie, ledwo unosił powiekę i smacznie spał, objedzony króliczym mięsem, lecz jeśli wybierała się gdzieś dalej, natychmiast się tego domyślał i w żaden sposób nie można było się go pozbyć.

Przez całą drogę podążał za Demelzą, od czasu do czasu powarkując. Miał już dziesięć lat, ale dobrze znosił swój wiek, podobnie jak rozmiar. Jego czarne futro przypominające karkuły wyglądało, jakby pogryzły je mole; stracił w bezsensownych walkach kilka zębów i prawie nie widział na jedno oko – jednak były to ślady bitew, a nie czasu. Demelza chwilami podejrzewała, że Garrick nabiera filozoficznego usposobienia człowieka w średnim wieku. Potrafił odróżnić królika, którego trzeba ścigać, od rzuconej kości, która leży na ziemi, aż się po nią przyczłapie. Nie znikał już na całe dni, grasując po okolicy. Jeremy go uwielbiał i zmuszał do nieprawdopodobnych ewolucji.

Kiedy w czasie spaceru Garrick zniknął z pola widzenia, nie zawołała go, ponieważ wiedziała, że obwącha jakąś obiecującą norę, po czym szybko wróci, gdy nie znajdzie w krzakach niczego, co mógłby upolować. Nagle usłyszała strzał, lecz była daleko myślami i w pierwszym odruchu nie połączyła huk z późniejszym dzikim ujadaniem. Po chwili zobaczyła Garricka tarzającego się na ziemi i pobiegła przez wrzosowisko w jego stronę, czując niepokój i gniew. Kiedy uklękła obok psa, ugryzł ją do krwi w nadgarstek, lecz otworzyła mu pysk i próbowała się zorientować, gdzie go trafiono. Kula urwała połowę ucha i jego kawałek zwisał luźno; krew spływała na ślepia, co przerażało Garricka. Ale wydawało się, że poza tym nic mu nie jest.

Za plecami Demelzy rozległ się trzask suchych gałązek i męski głos spytał:

– To pani kundel, paniusiu?

Uniosła wzrok. Obcy mężczyzna w wiejskim ubraniu, ze starą strzelbą myśliwską pod pachą. Po wrzosowisku zbliżał się drugi.

– To ty strzelałeś?

– Tak, paniusiu. Chybam go tylko drasnął...

Wstała, rozwścieczona.

– Drasnałeś?! Mogłeś go zabić! Na Boga, powinni cię za to wsadzić do

więzienia! Jak możesz strzelać, nie upewniwszy się, że w pobliżu nie ma ludzi?! Stój, Garrick! Stój!

Garrick zerwał się z miejsca i biegał w kółko, potrząsając łbem, po czym znów zaczął się tarzać, próbując powstrzymać ból.

Mężczyzna wytarł ręką nos.

– Wykonujemy rozkazy, paniusiu. To teren prywatny. Nie ma pani prawa tu chodzić.

– Teren prywatny?! To droga publiczna! Rozkazy?! Czyje rozkazy?! O czym ty mówisz, człowieku?!

Zbliżył się drugi, równie wysoki mężczyzna, starszy od pierwszego. Byli wyraźnie spokrewnieni.

– W porządku, Tom. Ja się tym zajmę. To prywatna ziemia, paniusiu, i wszystkie błąkające się psy mają być odstrzeliwane. Pyta pani, czyj to rozkaz. Posiadłość Trenwith sięga aż do brzegu morza...

– W żadnym wypadku!

– O tak, do morza. I jeszcze jedno. Ostatnio psy często napadają na owce...

– Garrick nie atakuje owiec! Powinniście wiedzieć, że robią to młode psy!

– Ładnego kozła wywinął, co? – odezwał się ze śmiechem Tom. – Tańczył jak niedźwiedź na jarmarku.

– Ty też zatańczysz jak niedźwiedź na jarmarku, cholerny głupcze! Poskarżę się na ciebie panu Warlegganowi! Jestem pani Poldark, kuzynka pana Warleggana, i dopilnuję, by się o tym dowiedział!

Tom w dalszym ciągu chichotał.

– O tak, słyszeliśmy o pani. Pani kundel to też mieszaniec!

Jeśli Garrick miał jakąś szczególną cechę charakteru, był nią upór, nie zaś inteligencja, jednak w tym momencie postanowił wykazać się zrozumieniem sytuacji i próbował ugryźć Toma w nogę. Tom krzyknął, odskoczył, zamachnął się strzelbą i spudłował. Drugi mężczyzna również się cofnął, a Demelza zawołała Garricka. W zamieszaniu nie zauważyli jeźdźca, który zbliżał się do nich po wrzosowisku. W końcu Demelza złapała Garricka, a starszy z gajowych powiedział:

– Oto pan Warleggan. Sam się panią zajmie. Niech diabli porwą tego kundla...

Czekali, dysząc ciężko, na przybycie mężczyzny, który miał rozstrzygnąć spór. Demelza pochyliła się nad psem, próbując ukryć ranę na nadgarstku.

George zbliżył się powoli. Jazda konna w tym miejscu była niebezpieczna i nie miał ochoty wylądować na ziemi. Zauważywszy Demelzę, zdjął kapelusz.

– Pani Poldark. Zamierzała mnie pani odwiedzić?

– Bynajmniej! – odparła, wstydząc się swoich rumieńców. – Mam zaproszenie na podwieczorek we dworze Trevaunance'ów i szłam tam, gdy te

bezczelne draby najpierw strzeliły do mojego psa, a potem mnie obraziły! Co oni sobie właściwie myślą?! Do licha, pobrudziłam rękawiczki! To po prostu skandal...

– Doszło do pomyłki – przerwał George. – Wzięli panią za intruza wkraczającego bez zezwolenia na teren posiadłości. Rzeczywiście, przybyła pani bez zaproszenia, ale przekroczyli swoje uprawnienia...

– Nie wkroczyłam na teren pańskiej posiadłości bez zezwolenia! Odkąd tu zamieszkałam, wszyscy zawsze chodzili tą drogą.

– Francis był zanadto tolerancyjny. Po całej okolicy włóczą się kłusownicy i Cyganie.

– Czy wyglądam na kłusownika?! Nawet gdybym podeszła na dziesięć metrów do pańskiego domu, nie spodziewałabym się tak grubiańskiego potraktowania! Chce pan powiedzieć, że to pańscy ludzie?

– Bracia Harry wykonywali rozkazy. Może okazali się trochę nadgorliwi...

– Nadgorliwi?! – Demelza nagle zrozumiała, że George nie zamierza jej pomóc. – Skoro tak pan uważa, dalsza rozmowa nie ma sensu.

– Myślę, że pani pies wyzdrowieje. To nauczy go nie biegać po cudzej ziemi. Trzęsąc się z gniewu, Demelza pochyliła się, by podnieść rękawiczkę.

– Nie będziemy dobrymi sąsiadami, George.

– Pani mąż już nie okazał się dobrym sąsiadem.

Chciała iść dalej, ale Tom Harry zagroził jej drogę, wyciągając wielką łapę.

– Nie tędy, paniusiu.

Demelza spojrzała na George'a. Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że po tym, co zostało powiedziane, nie pozwoli jej przejść. Później zdała sobie sprawę, że nawet jego zgoda byłaby w tej chwili zniewagą. Tak czy inaczej, nie mogła odwiedzić Trevaunance'ów w takim stanie. Zagwizdała na Garricka, który przybiegł w podskokach, z dała obchodząc gajowych i Warleggana.

– Niech pan uważa, George. – Nie mogła się powstrzymać, by tego nie powiedzieć. – Mogę przysłać do pana Rossa.

Ross w dziwny sposób był zawsze słabym punktem George'a. Zauważyła bliźnię na podbródku, której wcześniej nie było.

– Jeśli znów pojawi się na terenie mojej posiadłości, damy sobie z nim radę.

– Nie wystarczy do tego dwóch wiejskich półgłówków!

– Niech pani nas nie obraża – odezwał się Tom Harry. – Inaczej pani też może wrócić do domu z zakrwawionym uchem.

– Stul pysk, Harry! – rzucił ostro George.

Demelza odwróciła się i odeszła. Godne wycofanie się z pola walki to trudna, gorzka rzecz, zwłaszcza gdy jest się obserwowanym przez trzech mężczyzn, którzy niewątpliwie coś mówią za twoimi plecami. Kiedy dotarła do domu, napisała do pani Frensham list z przeprosinami, a wieczorem kazała



Gimlettowi go dostarczyć, prosząc, by pojechał przez wioskę.

Dwight Enys mieszkał w gospodzie Pod Wschodzącym Słońcem w jednym z wąskich zaułków w dzielnicy Barbican. Po przybyciu do Plymouth okazało się, że „Travail” nie jest jeszcze gotowy do wyjścia w morze i wymaga wielu przygotowań. Kapitan Harrington w dalszym ciągu przebywał w Portsmouth, załogę skompletowano dopiero w jednej czwartej, a pierwszy oficer – Williams, czarnowłosy Walijszyk o pociągłej twarzy – powiedział, że rozpaczliwie brakuje im zapasów. „Travail”, fregata o wyporności ośmiuset sześćdziesięciu ton, z czterdziestoma sześcioma działami, dziewięcio- i dwunastofuntówkami, miała załogę złożoną z trzystu czternastu ludzi. Kiedy Dwight zszedł pod pokład, by obejrzeć swoją kwaterę, wszystkie ponure przewidywania Williamsa się potwierdziły. Małeńka kajuta Dwighta znajdująca się obok mesy oficerskiej była do przyjęcia, lecz w skrzynce z medykamentami brakowało lekarstw, a pod pokładem panował trudny do zniesienia zaduch. Instynktownie chciał natychmiast zarządzić sprzątanie, lecz czuł, że nietaktownie byłoby podejmować jakieś działania bez zgody dowódcy, i wrócił w milczeniu na bryg.

Postanowił tymczasem zostać na lądzie, choć codziennie odwiedzał okręt. Przez następny tydzień spędzał wiele czasu, włóczęc się po porcie, nie mając nic do roboty, niespokojny i przygnębiony. Bez przerwy myślał o Caroline, własnych niepowodzeniach i próżnych staraniach, by nadać swojemu życiu przemyślany sens. Wiedział, że większość kolegów po fachu uzna wstąpienie do marynarki wojennej za piramidalną głupotę. Gaża jest niska, życie ciężkie, a po zwolnieniu z wojska praca lekarza okrętowego nie daje żadnej renomy. Służba na rzecz kraju może być czynem patriotycznym, lecz istnieją łatwiejsze drogi kariery. Jak dotychczas widział najlepszą część załogi, ochotników, spośród których mianuje się podoficerów. Pozostali będą pochodzić z branki lub więzień: dłużnicy, kryminaliści, niebieskie ptaki, szumowiny z miast portowych. Przez następne dwa lata będzie leczył tych zawszonych, trapionych przez choroby ludzi. Trwająca wiele tygodni monotonia, środki przeczyszczające i wymiotne, prymitywne kuracje podstawowymi lekarstwami. Jeśli dojdzie do bitwy, nagle rozpocznie się rzeź: brutalne, pospieszne operacje w koszmarnych warunkach panujących pod pokładem okrętu przy świetle rozkołysanej latarni. Czy tego właśnie oczekuje od życia, czy chce uciec, zamknąć się na okręcie, poddać się surowej dyscyplinie? Jeszcze nie był przygotowany, by żałować swojej decyzji.

W niedzielę dostał list od Rossa, który napisał, że zatrzymał się na jedną noc w gospodzie Pod Fontanną, bo ma interesy w mieście. Czy Dwight zjadłby z nim obiad?

Młody lekarz był zaskoczony i ucieszony. Miał już serdecznie dość samotności i brakowało mu przyjaciela w mieście. O szóstej poszedł do gospody, gdzie Ross czekał na niego w głównej sali.

Przywitali się, po czym Dwight rzekł:

– To miła niespodzianka. Kiedy przyjechałeś do Plymouth?

– Dziś rano. Nocowałem w Ashburton. Kiedy odpływasz?

– Bóg jeden wie. Już pewne, że nie przed świętami. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

– Wysłałem wioślarza na „Travail”. – Ross w zamyśleniu popatrzył na przyjaciela. – Ładny mundur. Przynajmniej wygląd może dawać satysfakcję. Zamówiłem obiad do pokoju, bo doszedłem do wniosku, że będzie nam wygodniej. Jakie są twoje pierwsze wrażenia na temat marynarki wojennej?

– Że wszystko odbywa się w dziwnie przypadkowy sposób – odparł Dwight i ruszył za Rossem na piętro. – To oczywiście, że ten brak planu to złudzenie, bo zawsze osiągają pożądaną efekt, ale w tej chwili jeszcze nie rozumiem, w jaki sposób. „Travail” należy do eskadry trzech okrętów mającej patrolować kanał; dwa pozostałe wyszły w morze w zeszłym tygodniu. Przypuszczam, że kiedy przyjedzie Harrington, będzie miał świeże rozkazy admiralicji... Rezydujesz po królewsku, Ross. Musisz się czuć bardzo przyjemnie, znowu mając w kieszeni pieniądze.

Weszli do prywatnego apartamentu, gdzie służąca poprawiała ogień wesoło płonący na kominku. Na stole stały nakrycia dla dwóch osób. Zasłony były zaciągnięte, a ciepło i komfort kontrastowały z surową kwaterą Dwighta.

– Wspomniałeś, że nocowałeś w Ashburton? – spytał nagle młody lekarz.

– Tak. Wybrałem się w dłuższą podróż, a teraz wracam do domu. Usiądź, to wszystko ci opowiem.

Dwight ogrzał dłonie nad ogniem i przyjął podany kieliszek. Ross mówił dalej, bębniąc długimi, silnymi palcami w gzyms kominka. Dwight pomyślał, że robi to zbyt zdecydowanie jak na dosyć banalny temat rozmowy.

– Mówiłeś, że wybrałeś się w dłuższą podróż – odezwał się pytająco, gdy służąca dygnęła i wyszła.

– Tak, do Londynu. Widziałem się z Caroline.

Dwight się nie poruszył.

– Domyślam się, że pojechałeś się z nią zobaczyć w sprawie pożyczki – rzekł niepewnym głosem.

– Tak, przede wszystkim. Chciałem jej podziękować. Oczywiście dłuższy czas rozmawialiśmy także o ogólnych sprawach.

– Rozumiem.

– Dowiedziałem się, że nie jest z nikim zaręczona.

– Ale jej stryj mówił...

– Nie. Pytałem ją o to. Nowiny były przedwczesne. Nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji.

Dwight z nieszczęśliwą miną spojrział w ogień.

– Trudno zrozumieć, że...

– Rozmawialiśmy również o tobie. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.  
– Oczywiście, że nie – odpowiedział głosem świadczącym, że jest urażony.  
– To, co powiedziała Caroline, przekonało mnie, że warto, byście się znowu spotkali. W gruncie rzeczy próbowałem ją namówić, by ze mną wróciła, oficjalnie w celu odwiedzenia stryja, i by w czasie podróży przenocowała w Plymouth.

– I nie zgodziła się.

– Nie zgodziła się. Jak dobrze się rozumiecie! Odwiedziłem ją w poniedziałek i użyłem całej swojej perswazji, by ją przekonać, na próżno. Później odwiedziłem ją we wtorek. Po dwudziestu czterech godzinach namysłu, a może pod wpływem mojego nieco apodyktycznego tonu w końcu zmieniła zdanie. To, że jej stryj...

Dwight wstał.

– Co chcesz powiedzieć?

– To, że jej stryj jest chory, nadało całemu przedsięwzięciu pozory troski o jego zdrowie.

– Ross, o czym ty mówisz?! – spytał młody lekarz.

– Caroline jest w Plymouth. Poszedł po nią służący.

– Wielki Boże, ja... Przyjechała się ze mną zobaczyć?! Ale ja... – Dwight zbladł.

– Przyjechała, lecz z wielkim ociąganiem. Z wielkim ociąganiem i, jak sądzę, z zupełnie nowymi, trzeźwymi poglądami na całą sprawę. Muszę podkreślić, że nie jest zdecydowana na pogodzenie się z tobą, ale sam fakt, że przyjechała, stwarza taką możliwość. Następny ruch należy do ciebie, Dwight. Jeśli mogę ci coś doradzić...

Urwał. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wyjaśniłem Dwightowi, że jedziesz w odwiedziny do stryja i że po drodze spędzisz noc w Plymouth – rzekł Ross. – To ja cię tu zaprosiłem. Jestem głęboko przekonany, że jeszcze raz powinniście porozmawiać jak przyjaciele. Następna taka okazja może się zdarzyć dopiero za kilka lat – albo nigdy. Usiądźcie, proszę. Ty tu, Caroline... a ty tam, Dwight.

Nikt inny nie dysponowałby odpowiednim autorytetem, by narzucić im swoją wolę. Panowało milczenie. Caroline i Dwight szybko zerknęli na siebie, po czym odwrócili wzrok i przez pewien czas spoglądali w bok.

Caroline usiadła przy kominku i wygładziła rozłożystą suknię podróżną. Przypominała ptaka, który rozpościera skrzydła na słońcu. Napięcie sprawiło, że lekko się zarumieniła.

– Wierzcie mi, to nie kwestia niemądrego mieszania się w sprawy innych ludzi, zwłaszcza w tak bliski związek. Ostatnia rzecz... Ale czasem, nawet jeśli to błąd, człowiek dochodzi do wniosku, że powinien interweniować. Właśnie nadeszła taka chwila. Jeśli się nie mylę, nigdy nie rozmawialiście na temat swojej

kłótni spokojnie, bez pośpiechu i bez gniewu. Myślę, że jesteście to sobie winni. Sobie, a także w pewnym stopniu swoim przyjaciółom. Przekonanie Caroline do tego poglądu zajęło mi dużo czasu. Uważała, że taki gest z jej strony mógłby zostać źle zrozumiany, i obiecałem, że ci wytłumaczę – właśnie to robię, Dwight – że to spotkanie należy traktować tylko jako wyraz dobrej woli przed twoim opuszczeniem Anglii. Naturalnie uważam takie postępowanie za głęboko słuszne, prawdziwie ludzkie.

Dwight uniósł wzrok i napotkał spojrzenie, które nie pasowało do uprzejmych słów. Nie miał ochoty oponować. Zaszło mu w ustach.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż rozmowa z Caroline po tak długiej przerwie.

Caroline wbiła wzrok w blat stołu.

– Zostaniesz, Ross? Nakryto tylko dla dwóch osób.

– Taki jest plan. Zjem posiłek gdzieś indziej. Ale wrócę. Zaczekacie tu na mnie oboje?

Była to podstępna prośba, która wykluczała możliwość nagłego rozstania w gniewie. Po chwili Dwight skinął głową, a Caroline lekko poruszyła ramionami na znak zgody.

– Byłaś chora, Caroline? – spytał Dwight.

– Nie, czuję się dobrze, dziękuję.

– Myślałem...

– Zawsze miałam bladą cerę. Szybko się męczę.

– Nie, nie, twój stryj wspominał, że chorowałaś.

– Och, już wyzdrowiałam. Ale perspektywa tej rozmowy była dla mnie męcząca.

Wydawało się oczywiste, że Caroline, niemal zmuszona do wykonania pierwszego ruchu, na początku będzie zirytowana i ostrożna. Miała nieco pogardliwą minę i wyglądała na znacznie spokojniejszą od Dwighta, lecz Ross wiedział, że jest inaczej. Pora, by Dwight to odkrył. Jeśli tego nie zrobi, przegra i wszystko straci.

Caroline przysła za wcześnie, nim zdążył powiedzieć Enysowi to, co zamierzał. Ross zastanawiał się teraz, czy próbować jeszcze pomóc, czy już iść, zostawić ich, by męczyli się sami. Nalał Caroline kieliszek sherry i ruszył w jej stronę, ale Dwight szybko zastąpił mu drogę i wziął kieliszek. Podał go Caroline, a Ross zauważył jej szybkie, chłodne spojrzenie, które nie zdradzało żadnych uczuć. Lecz coś w wyglądzie Dwighta podnosiło Rossa na duchu. Przez ostatnie dziesięć miesięcy młody lekarz bardzo cierpiał. Stał się dzięki temu dojrzalszy.

– Proponuję, byśmy wypili kieliszek wina przed moim odejściem – powiedział Ross. – Nie oficjalny toast, po prostu na znak przyjaźni. Oczywiście, jeśli oboje w dalszym ciągu uważacie mnie za przyjaciela.

Wypili, po czym Caroline rzekła:

– Nie wiem, jak Ross traktuje swoją żonę, ale jeśli choć w połowie tak nonszalancko jak mnie w ciągu ostatniego tygodnia, uważam, że jest całkowicie zdominowana.

– Mówisz o mnie zbyt pochlebnie – odparł Ross. – I za mało pochlebnie o sobie.

Ich spojrzenia się spotkały. W trakcie sporów toczonych przez ostatnie dni Ross i Caroline zaczęli się rozumieć.

– Skoro wspominasz o mojej żonie, ja również o niej wspomnę, bo miałaby własne zdanie na temat obecnej sytuacji, choć inne od naszego w niektórych kwestiach – powiedział Ross. – Demelza uważa, że jeśli mężczyzna i kobieta darzą się prawdziwą miłością, nie powinni zwracać uwagi na pozorne, nieistotne przeszkody wymyślane przez którąś ze stron bez wystarczających powodów. Przedkłada uczucia nad intelekt, a skutki są łatwe do przewidzenia.

Żadne z nich nie zakwestionowało teorii Demelzy.

– Niezupełnie się z nią zgadzam: można przedstawić argumenty uzasadniające przeciwny pogląd. Ale myślę, że warto brać pod uwagę opinię Demelzy. Gdyby kochający się ludzie się rozstali, powiedziałyby, że mężczyzna był głupi i że kobieta była głupia... i że stchórzyli. Uważa, że w życiu jest tylko kilka rzeczy, które warto mieć, a reszta nic nie znaczy. Jeśli się ich nie ma, wszystko inne jest bezużyteczne. – Podeszedł do drzwi. – Jeżeli się rozejrzycie, chyba będziecie musieli przyznać, że teoria Demelzy sprawdza się w większości przypadków. Jest sentymentalna, lecz ludzie najczęściej są sentymentalni i nie mogą przed tym uciec. Poza tym ucieczka nie zawsze jest najmądrzejszym rozwiązaniem. Codziennie widzimy ludzi, którzy decydują się na ryzyko, nie licząc się z konsekwencjami. Wielu cierpi z tego powodu, ale moim zdaniem ich los nie jest wcale najgorszy. Najgorszy los spotyka ludzi, którzy cofają się w ostatniej chwili i żałują tego przez resztę życia. Nie, nie wstawaj, Dwight. Sam wyjdę.

## Rozdział szósty

Boże Narodzenie przypadało w środę, lecz jeszcze we wtorek w Namparze nie było żadnej wiadomości od Rossa. Demelza nie spodziewała się listu, bo listy nie podróżują szybciej od ludzi, ale miała nadzieję, że Ross wróci przed świętami. Jak dotychczas nie spędzała samotnie świąt w Namparze. W tym roku zapowiadały się wyjątkowo nieprzyjemnie.

Nieustannie oczekiwała męża, nieustannie go wypatrywała i przez większość dnia nie opuszczała domu. Najpierw przelewała do baryłki piwo, które warzyli. Słyszając przed domem odgłos kroków, za każdym razem obracała głowę w stronę drzwi. Ross w końcu pojawił się pod jej nieobecność, gdy poszła odwiedzić Prudie Paynter, która leżała w łóżku z powodu bólu nogi i gorzko się skarżyła na niechlujstwo Juda i jego wybryki. Kiedy Demelza wróciła do Nampary, niespodziewanie zastała męża w salonie.

Pisnęła, gdy go zobaczyła.

– Ach, Ross, nie wiedziałam, że już jesteś... Byłam u Prudie. Jak wróciłeś?

Uśmiechnął się i ją pocałował – był to ich oficjalny gest powitalny.

– Dylizansem, a potem pieszo. Powinienem przyprowadzić kolędników?

– Przyjdą dopiero po zmroku, za godzinę. Kiedy wyjechałeś z Londynu?

– W zeszły wtorek. W śniegu. Jest tam bardziej zimowa pogoda. Zatrzymałem się w Plymouth, widziałem się z Dwigthem i wyjechałem stamtąd wczoraj po południu.

Rozmowę przerwało przyjście Jeremy'ego, ale pomogło to przełamać skrupowanie, które im obojgu doskwierało. Ross przywiózł prezenty dla synka. Część wręczył mu teraz, a część zostawił na następny dzień. Nad głową Jeremy'ego, wśród pisków i okrzyków, zrelacjonował Demelzie szczegóły podróży, lecz minęło dwadzieścia minut, nim powiedział to, co powinien powiedzieć na początku.

– Czy możemy przygotować na dziś wieczór trzy dodatkowe sypialnie?

– Aż trzy? Dlaczego? Kto przyjeżdża? Co zaplanowałeś?

– Przywiozłem ze sobą Caroline. Caroline i jej pokojówkę.

Demelza otworzyła szeroko oczy.

– Gdzie ona jest? Chcesz powiedzieć, że w domu stryja?

– Teraz jest u niego. Ale zaprosiłem ją na kolację i chcę, żeby spędziła z nami święta.

– Święta? Bardzo się cieszę. Specjalnie na jej powitanie ozdobiłabym dom dywanami, gdybym je miała. Upzedzasz mnie strasznie późno, Ross! I niezupelnie rozumiem...

– Spędziliśmy noc w Plymouth, a potem pojechaliśmy dalej. Wiadomość

o jej zaręczynach okazała się fałszywa. To nieprawda. Kiedy się o tym dowiedziałem, uznałem, że należy zapomnieć o dawnych uprzedzeniach, i próbowałem odegrać rolę swata. Oczywiście nie jestem tak zręczny jak ty i z początku Caroline nie chciała o tym słyszeć, ale podczas mojej drugiej wizyty chwyciła przynętę. Spotkaliśmy się z Dwightem w Plymouth.

– Tak?

– Wydaje mi się, że się pogodzili. Przyjechał z nami i jeśli znajdziemy dla niego pokój, on również spędzi z nami święta.

– Naprawdę się pogodzili?! Och, Ross, jak się cieszę! Wyjątkowo! Im dłużej o tym myślałam... Jak to osiągnąłeś? Czy Dwight może się zwolnić z marynarki?

– Jak udało mi się to osiągnąć? Pomyślałem: co zrobiłaby na moim miejscu Demelza? A później właśnie to zrobiłem. Nie było to wcale takie trudne, gdy pokonałem pierwszy opór.

– A Dwight?

– Jest w stróżówce. Przygotowanie okrętu do wyjścia w morze się opóźnia. Kapitan przybył dopiero wczoraj rano. Pozwolił Dwightowi spędzić trzy dodatkowe dni na lądzie. To oznacza, że Enys musi wyjechać z Nampary jutro po obiedzie i dotrzeć do Plymouth w czwartek wieczorem. Co masz na nadgarstku?

Demelza uniosła rękę, obwiązaną cienkim białym bandażem.

– To nic, zadrapanie, Ross. Jestem zachwycona tym, co zrobiłeś. Przede wszystkim okazałeś zdrowy rozsądek. Na świecie jest go tak mało! O której przyjadą? Muszę się natychmiast brać do roboty. Gdybyś...

Kiedy przechodziła obok, ujął ją za ramię i uniosł koronkowy mankiet sukni.

– Już prawie się zagoiło. Co mam podać na kolację?

– Nie martw się, kupiłem w Truro gęś, żeberka wołowe i filet cielęcy. Przez całe życie nie widziałem, żebyś opatrywała sobie zadrapanie. Kto ci zawiązał bandaż?

– Jane. Prawdę mówiąc, to nie zadrapanie.

– Więc co?

– Ugryzł mnie Garrick przez przypadek. Zaraz poproszę Jane, żeby...

– Garrick cię ugryzł?! Bzdury. Co próbujesz ukryć?

– To prawda. W zeszłym tygodniu coś go zdenerwowało. Opowiem ci o tym później. Po prostu niemiła przygoda. O której przyjadą? Myślisz, że tym razem się uda, Ross?

– Tak. – Ross w dalszym ciągu trzymał jej rękę i rozwijał bandaż. Nie wiedząc, co mogłaby zrobić, nie protestowała, a zresztą sprawiło jej pewną przyjemność to, że Ross nie dał się łatwo zbyć. – Tak, myślę, że tym razem się uda. Ogromna szkoda, że nie mają więcej czasu. W najgorszym razie pogodzą się przed wyjazdem Dwighta. – Zdjął bandaż i opatrunek. Ugryzienie dobrze się goiło, ale ślady nie pozostawiały wątpliwości, co się stało. Ross spojrzął na Demelzę.

– Gdzie jest Garrick?

– Zostawiłam go śpiącego w kuchni. Nie zamierzasz...

– Nie wiem. Kiedy to się stało?

– Przed ośmioma dniami.

Ross milczał przez chwilę. Budząca postrach wścieklizna raczej nie wchodziła w rachubę.

– Od tego czasu jest spokojny? Nawet jeśli tak, moim zdaniem nie możemy ryzykować ze względu na Jeremy'ego.

– Nie, nie, to wcale nie to.

Aby chronić ukochanego Garricka, musiała powiedzieć mężowi, co się stało, choć przedstawiła sprawę w taki sposób, jakby wszystko było dziełem przypadku, za który nikt nie ponosi najmniejszej odpowiedzialności.

Kiedy bandaż został ponownie zawiązany, Demelza spytała:

– Gdzie będą spali, Ross? Mamy tylko dwa ładne pokoje, wielka szkoda, że wszystkie pozostałe są takie obskurne. Nie mogę się natychmiast wyprowadzić ze swojej sypialni, bo Jeremy się tam zadomowił. Nie przypuszczam, by Dwight zwracał uwagę, gdzie śpi, ale Caroline...

Przeszedł przez salon i wrzucił do kominka dwa polana.

– Najlepiej przygotuj dla niej mój pokój.

– Tak – odpowiedziała po chwili. – Mamy tam nowe kotary. A Dwightowi możemy dać pokój na górze, choć jest w kiepskim stanie.

– Możesz posłać mi łóżko w małym pokoiku z tyłu, jeśli chcesz.

– Jak uważasz. – Dotknęła palcami bandaża i zerknęła na Rossa. Kiedy odgarniała włosy, na sufit padły cienie jej ruchów, nadając im dziwną tajemniczość. – Mogę znieść z Jane na dół moją nową toaletkę. Przyda się Caroline. I przyniosę koronkową kapę na łóżko...

– Jestem pewien, że Caroline to wszystko doceni, ale wiem również, że to nie nowe meble będą dla niej najważniejsze. Demelzo, nie ma jeszcze wpuł do siódmej. Zamierzam wyjść na godzinę. Możesz w tym czasie robić, co chcesz, a ja wrócę przed przyjazdem gości.

– Idziesz daleko?

Uśmiechnął się.

– Chcę po prostu wpaść z krótką wizytą do George'a.

– Właśnie tego się obawiałam! – zawołała Demelza. – Nie rób tego, Ross! Wrócisz z zakrwawioną głową, jeśli w ogóle wrócisz! Ross, proszę, nie!

– Tym razem możesz się nie martwić. Mam pokojowe zamiary.

– Możesz mieć, tak samo jak poprzednio. Ale czy kiedykolwiek wyszedłeś stamtąd w normalnym stanie? Możesz iść z nim porozmawiać, ale wiesz, że wyrzuci cię z Trenwith! Co najmniej wyrzuci! Z waszych spotkań zawsze wychodzi coś niedobrego! Nie możesz wszczynać z nim kolejnej awantury



z powodu głupiego błędu gajowych! Kiedy George się pojawił, właściwie za nich przeprosił.

Ross nie odpowiedział, lecz Demelza nie miała poczucia zwycięstwa.

– Niedługo przyjadą Dwight i Caroline – ciągnęła. – Nie chcę bandażować twojej rozbitej głowy albo rozmawiać z nimi, starać się być miłą, przez cały czas czekając na twój powrót. Boże Narodzenie to czas radości. Dziś i jutro powinniśmy być szczęśliwi.

W ogniu syczało świeże wilgotne drewno. Niekiedy skwierczało na znak protestu. Ross wsunął nogą jedno z polan głębiej do kominka.

– George rzadko wszczyna bójki, ja to robię, nie on. Służący się nie liczą. Porozmawiam z nim i odejdę. Bardzo mi przykro, kochanie. Chciałbym, żeby było ci dziś przyjemnie. Wciąż mam nadzieję, że tak będzie. Ale ta sprawa... Nie chodzi tylko o twoją przygodę. Dużo o nim myślałem w czasie podróży.

George i Elizabeth jedli kolację o siódmej. Wczesna pora była wygodna dla obojga.

Natychmiast po Bożym Narodzeniu mieli przeprowadzić się do Truro do czasu narodzin dziecka. George uważał, że jego nowa wiejska rezydencja ma jedną irytującą wadę – nie prowadzi do niej porządny gościniec. Ostatnie osiem kilometrów można było przebyć kareta, jeśli błoto nie było za głębokie, lecz oznaczało to szaleńczą jazdę, w czasie której człowiek trząsał się bardziej niż w siodle.

Po ślubie Elizabeth nie chorowała, z wyjątkiem kilku dyplomatycznych niedyspozycji. Nosila drapowaną poloneskę z żółtego brokatu, w której jak zawsze wyglądała pięknie. Nieco zaokrąglone policzki sprawiały, że klasyczny owal twarzy nabrał miękkości – ponadczasowe piękno kości policzkowych, które nigdy nie blednie. W Trenwith zawsze jedli kolację we dwoje. George zadeklarował, że chciałby spożywać wieczorny posiłek tylko w towarzystwie żony, toteż Chynowethowie jedli kolację w saloniku na piętrze. Salon zimowy wyremontowano: zerwano większość boazerii i ściany wyklejono kosztownymi papierowymi tapetami. Pojawił się nowy stół jadalny, tak błyszczący, że nawet muśnięcie pozostawiało na nim ślad, dwadzieścia dodatkowych świec, usługujący lokaj w liberii. Na przeciwległym krańcu stołu siedział George, tęgi, spokojny, starannie ubrany. W lecie zamierzali spożywać posiłki w wielkiej sieni. George miał plany dotyczące tego miejsca.

Elizabeth odkryła, że życie z drugim mężem jest pełne sprzeczności. Okazało się, że na co dzień zachowuje się znacznie kulturalniej niż członkowie starych rodów ziemiańskich. Chociaż nieco przybierał na wadze, jadł znacznie mniej niż Francis czy ojciec Elizabeth. Była przyzwyczajona do towarzystwa mężczyzn, którzy uważali, że przestrzegają zasad etykiety, jeśli nie spadają pod stół przed wyjściem dam, i podobało jej się umiarkowanie George'a. Pił, lecz nigdy

się nie upijał. Nie pluł ani nie smarzał w jej obecności. Zawsze odnosił się do niej z jednakową kurtuazją, czy przebywali sami, czy w towarzystwie.

Oczywiście nie mogła traktować go tak jak Francisa. Nie dawał sobą kierować, nie był kapryśny, łatwy do zrozumienia. Elizabeth brakowało ironicznego poczucia humoru pierwszego męża, jego wyrafinowania. Nigdy nie potrafiła rozmawiać z George'em jak równy z równym. Miała absolutną kontrolę nad drobnymi sprawami, lecz on zachowywał absolutną kontrolę nad wszystkim, co ważne. Nie kochała go, nie była nawet pewna, czy on ją kocha, ale czuła się jak cenny klejnot, skarb, o który się dba i którego się troskliwie strzeże. Takie traktowanie często sprawiało jej prawdziwą rozkosz. Właśnie tego jej brakowało, gdy owdowiała. Tylko czasem nadmierna atencja wydawała jej się nieznośna.

George doskonale panował nad swoimi uczuciami, zarówno względem żony, jak i innych osób. Wyglądało na to, że wspinając się po drabinie społecznej, tak obawiał się okazywania złych emocji, że przestał je okazywać w ogóle. Był chorobliwie przewrażliwiony na punkcie swojego skromnego pochodzenia, choć przez kilka miesięcy zdołał to ukrywać nawet przed Elizabeth. Pewnego dnia wypowiedziała uwagę, którą można było dwuznacznie interpretować, i natychmiast zauważyła na jego twarzy złość, nim zdążył to ukryć. Później postępowała ostrożnie, w razie potrzeby starannie dobierała słowa, by nie można się w nich było dopatrzeć żadnego śladu protekcjonalności.

Tego wieczoru na początku kolacji rozmawiali o upadku Tulonu: wiadomość na ten temat niedawno dotarła z Falmouth. Miasto poddało się Brytyjczykom w sierpniu zeszłego roku, zdobyto trzydzieści okrętów wojennych i ogromne zapasy. Wydawało się, że to koniec wojny, a lord Hood, zaskoczony własnym zwycięstwem, pilnie zaapelował o przysłanie czterdziestu tysięcy żołnierzy, by wykorzystać wspaniały sukces. Rząd przysłał dwa tysiące brytyjskich żołnierzy, trochę Piemontczyków i nielicznych Hiszpanów. W grudniu rewolucyjne władze francuskie, odzyskawszy swobodę manewru, wysłały do Tulonu duże siły wojskowe i odbiły miasto; dowódcą oddziałów francuskich był młody, niedawno mianowany generał, którego nazwisko podawano w gazecie z Falmouth w trzech różnych formach, choć nikt nie wątpił w jego talenty wojskowe.

George zawsze gorąco popierał wojnę przeciwko rewolucyjnej Francji. Warlegganowie stworzyli dynastię plutokratów w tradycyjnym, uporządkowanym społeczeństwie. Należało potępiać i zwalczać wszystko, co mogłoby podkopać istniejącą strukturę społeczną. Wojna to znacznie mniejsze zło.

– ...niewielkie siły, które wysyłamy na krańce świata, marnując ich potencjał – mówił. – Nasza ofensywa we Flandrii utonęła w błocie. Wandejczycy na próżno prosili nas o pomoc. Doprowadziłoby to do upadku Pitta, gdyby istniał ktoś, kto mógłby go zastąpić. Dundas, Grenville, Richmond nie mają większości parlamentarnej...

Elizabeth zauważyła, że za plecami służącego otwierają się drzwi i wchodzi Ross. Była tak pewna, że to musi być drugi służący z winem, że przez chwilę nie wierzyła własnym oczom. Później George spostrzegł wyraz jej twarzy i się odwrócił.

Natychmiast odsunął krzesło, by wstać.

– Tym razem nie zamierzam wywoływać awantury, chyba że mnie do tego zmusisz – rzekł cicho Ross.

George się nie poruszył.

– Dotyczy to także ciebie – zwrócił się Ross do służącego, który pochwycił spojrzenie swojego pana i ruszył w stronę sznura od dzwonka.

– Jak się tu dostałeś? – spytał Warleggan.

– Chcę zamienić z tobą kilka słów, George.

– Czy mam... – zaczął służący.

– Nie – przerwał George, obserwując Rossa jak wąż ptaka.

– Mądra decyzja. Nie ma potrzeby niszczyć jadalni. Zbyt często dopuszczałem się gwałtów w tym domu.

Nikt się nie odezwał. Ross przeniósł wzrok na Elizabeth. Ich spojrzenia się spotkały i zauważył w jej oczach nienawiść. Widzieli się po raz pierwszy od tamtej nocy w maju. Patrzył na nią jeszcze przez chwilę, zaskoczony, z lekkim namysłem.

– Przykro mi, że cię zdenerwowałem, Elizabeth.

– Nie zdenerwowałeś mnie – odparła.

– Bardzo się cieszę.

– Możesz się cieszyć albo nie. Nie interesuje mnie to.

– Wybacz mi, Elizabeth, że musisz znosić obecność tego człowieka – rzekł z satysfakcją George.

– Taka niespodziewana wizyta się nie powtórzy – odezwał się Ross. – Nie mam żadnych ambicji związanych z Trenwith... Ale jestem zmęczony naszymi kłótniami, George. Kiedy się spotykamy, natychmiast warczymy jak psy. Od czasu do czasu dochodzi do bójki, lecz nawet wtedy nic nie zostaje rozstrzygnięte. Wydaje się, że przez najbliższe lata będziemy bliskimi sąsiadami. Nie podoba mi się ta perspektywa, lecz nie mogę tego zmienić. Istnieją dwa wyjścia z tej sytuacji i doszedłem do wniosku, że powinniśmy wybrać lepsze.

– Czy istnieje lepsze wyjście?

– Tak sędzę. Proponuję, byśmy zrezygnowali z niepotrzebnych prowokacji i żyli możliwie spokojnie. Co o tym sądzisz?

George spojrział na swoje paznokcie.

– Uważam, że twoja dzisiejsza wizyta to bardzo nieroztropna prowokacja.

– Nie, bo przyszedłem powiedzieć ci o wyborze, jakiego musimy dokonać. Przestrzegam w tej chwili prawa, George, i jestem człowiekiem bogatym. Zastanów się nad tym. Bogatym. Musi cię to irytować, ale zapomnijmy o tym.

Z pewnością rozsądny wybór leży w naszym wspólnym interesie.

– Co proponujesz?

Ross słuchał odgłosu kroków w sieni.

– Nie znam szczegółów, bo moja żona nie chce ich podać, ale rozumiem, że została obrażona w czasie spaceru.

– Nie spotkał jej żaden afront, którego sama nie sprowokowała.

– Jak rozumiem, sugerujesz, że ścieżka biegnąca wzdłuż klifu z Sawle do Trevaunance leży na terenie twojej posiadłości.

– Leży na terenie mojej posiadłości.

– Nie jestem szczególnie zainteresowany tym problemem, choć inni na pewno.

– Dokładnie sprawdziłem stan prawny.

– Tak przypuszczałem. Ale posiadanie majątku ziemskiego nie uprawnia cię do obrażania Bogu ducha winnych ludzi, którzy chodzą tą ścieżką od lat, uważając ją za drogę publiczną.

– Twój pies biegał po mojej ziemi. Czy twojej żonie coś się stało?

– Nie zamierzam dyskutować na ten temat, ale sugeruję, by jej więcej nie zaczepiano. Powinieneś o to zadbać.

– To zależy od niej, nie ode mnie.

– Mamy różne zdania na ten temat i nie da się ich uzgodnić w pokojowy sposób. Jak powiedziałem, nie chcę tu znowu przychodzić...

– Nie przyjdiesz, zadbam o to. – George wyjął zegarek. – Masz jeszcze trzy minuty.

– Bardzo się staram przedstawić stojący przed nami wybór w zrozumiałym sposób – rzekł Ross. – Pytałeś, na czym polega. Cóż, oto on... Z wiekiem trochę złagodnieliśmy, ale wiesz, że potrafię podburzać górników, bo kiedyś próbowałeś mnie za to wtrącić do więzienia. Nie byłoby trudno przyprowadzić tu ze trzystu, a wiesz, jacy są górnicy. Nie chcę ci grozić ani dramatyzować, to po prostu zwykłe ostrzeżenie. Podeptaliby twoje trawniki, połamali drzewa, Trenwith wyglądałoby jak po przejściu trąby powietrznej. Gdyby ktoś chciał ich powstrzymać i doszło do rozlewu krwi, z pewnością doprowadziłoby to do jeszcze większego rozlewu krwi. Prawo cię nie ochroni, ponieważ jedyny sposób to ściągnięcie do Trenwith kompanii piechoty, a o żołnierzy jest teraz trudno; są potrzebni gdzie indziej.

George się obrócił. Otworzyły się drzwi i do salonu wsadził głowę Tom Harry.

– Za przeproszeniem, sir. Kucharka... Ach...

Zauważył Rossa, który się nie poruszył. Harry wszedł do pomieszczenia. W drzwiach ukazał się drugi mężczyzna.

– Oto wybór, który powinieneś przemyśleć. Przedstawiłem ci go w jasny sposób.

George nieco się zgarbił.

– Skończyłeś?

– Tak.

– A teraz, chłopie... – zaczął Tom Harry.

– Zaczekaj – przerwał George. – Pozwólcie mu odejść.

Zapadło milczenie. Harry opuścił ręce.

– Jutro Boże Narodzenie. Wierz mi, nie przyszedłem się kłócić – odezwał się Ross. – Nie możemy być przyjaciółmi, ale nie warto spędzać całego życia na sporach. To nudne. Ja z pewnością tego nie chcę i mam nadzieję, że ty też nie. Kiedy zamieszkałeś w sąsiedztwie, bardzo mnie zirytowałeś, lecz teraz masz wiele do stracenia, co może sprawić, że będziesz się dobrze zachowywał. – Zerknął na Elizabeth. Jej widok dziwnie wytrącił go z równowagi. – Wyjaśnij George’owi, że mówię poważnie.

– Nic nie wiem o afroncie wobec Demelzy – odpowiedziała. – Ale mam całkowite zaufanie do męża. Jestem pewna, że potrafi kierować swoim życiem właściwie.

Ross spojrział na nią.

– A zatem postaraj się, by docenił to, co proponuję.

Wyszedł, mijając Toma Harry’ego, który odsunął się tylko o kilka centymetrów. Mężczyzna stojący w drzwiach cofnął się szybciej i Ross przeszedł przez sieni, mimo woli spodziewając się ataku od tyłu. Rozejrzał się po wielkim pomieszczeniu, które od dzieciństwa było częścią jego życia. Tu przyjeżdżał z ojcem i matką, gdy nauczył się chodzić. Bawił się z Verity i Francisem w kącie, jednym uchem słuchając opowiadań dorosłych siedzących przy kominku: choroba Chathama, kontrowersje wokół Johna Wilkesa i anulowanie ustawy stemplowej. Tutaj, po powrocie z Ameryki, zobaczył Elizabeth świętującą zaręczyny z Francisem. Tu był na chrzcinach syna Elizabeth, na pogrzebie stryja... W tej sali istniało coś, co należało wyłącznie do Poldarków.

Już nie. Znajome drewno, szkło i kamień to nie wszystko.

Trofeum Warleggana. Teraz rządzi tu George.

Ross był zaskoczony głęboką goryczą Elizabeth widoczną w jej słowach i wyrazie twarzy. Spodziewał się wrogości z jej strony, lecz nie przypuszczał, że powodem jest wyłącznie dziewiąty maja. Nie był dumny ze swojej przygody, nigdy nie usprawiedliwiał swoich zachowań zręcznymi wymówkami, ale tamtej nocy, po początkowym oporze, Elizabeth nie okazywała mu szczególnej niechęci. Główną przyczyną tego, co zrobił, była jej kokieteria na przestrzeni wielu lat, a zwłaszcza ostatnich dwóch, i musiała zdawać sobie z tego sprawę. Świadczyło o tym jej zachowanie tamtej nocy.

Ale później Ross popełnił inne grzechy. W ciągu następnych tygodni doskonale zrozumiał, że powinien pojechać do Trenwith i porozmawiać z Elizabeth

w świetle dnia. Pozostawienie wszystkiego w zawieszeniu było karygodne, lecz właśnie to zrobił. Postąpił ohydnie dwa razy – najpierw jadąc do Trenwith, a potem się tam nie pojawiając. Jednak nie wiedział, co jej powiedzieć; powstrzymywała go niemożność wyjaśnienia swoich działań. Jeśli ostatnie dziesięć lat było tragedią kobiety, która nie potrafi się zdecydować, to ostatnie sześć miesięcy było tragedią mężczyzny mającego ten sam problem. Przez długi czas Ross nie był pewien swoich uczuć. Później się skryzalizowały i od tamtej pory szczerą rozmowa z Elizabeth stała się niemożliwa.

Teraz było już za późno.

## *Rozdział siódmy*

Wrócił na tyle wcześnie, by uspokoić obawy Demelzy; tuż przed przyjazdem Dwighta i Caroline o ósmej.

Caroline była w poważnym nastroju po wizycie u stryja. Chociaż uzgodnili, że nic mu nie powiedzą, chciała natychmiast go poinformować o pogodzeniu się z Dwightem, ale na widok starszego pana zrozumiała, że jest naprawdę ciężko chory, i milczała.

Demelza była zdenerwowana i podekscytowana, jednak w trakcie obiadu pomogła Caroline nieco się odprężyć.

– Jak długo cię nie będzie, Dwight? – spytała. – Wiesz już coś? To ważne dla nas wszystkich.

– Chirurg w marynarce wojennej to dziwna istota: ni pies, ni wydra. Podobno otrzymuję mianowanie na dwa lata lub na czas wojny, cokolwiek okaże się krótsze.

– A jeśli wojna potrwa dłużej?

Dwight się zawahał.

– Zostanie w marynarce – powiedziała Caroline. – Przeczuję, że sumienie nie pozwoli mu odejść.

Dwight się uśmiechnął.

– Tym razem przeceniasz moje sumienie. Od spotkania z tobą szybko opuszcza mnie patriotyzm.

– Ale nie musisz czekać do końca wojny, żeby... – odezwała się Demelza.

– Nie. Myślę, wierzę, że Caroline wyjdzie za mnie podczas mojego pierwszego urlopu na lądzie. Mogę go otrzymać za trzy miesiące albo za pół roku, nikt tego nie wie.

– A do tego czasu? – Ross zwrócił się do Caroline. – Co będziesz robić?

– Zamieszkać ze stryjem Rayem, a potem może wrócę do Londynu.

– Wolalbym, żebyś została w Kornwalii – rzekł Dwight. – Powietrze jest dobre, a Londyn nie służy twojemu zdrowiu.

– O tak! Wiesz, co zrobił pierwszego ranka, gdy się pogodziliśmy? – Caroline popatrzyła na Demelzę. – Osluchał mi klatkę piersiową! Szczerze mówiąc, czułam się bardziej zażenowana niż wtedy, gdy zasypywał mnie czułymi słówkami!

Dwight zaczerwienił się jak piwonია.

– Nonsens, Caroline, przedstawiasz to tak, jakbym robił coś nieprzystojnego! Badałem cię niespełna pół godziny w obecności twojej pokojówki...

– Tak, była przy tym moja pokojówka, co jeszcze bardziej mnie krępowało. Jaki urok może mieć kobieta, gdy obejrzało się jej migdałki, zęby i policzyło żebra

w jaskrawym świetle dnia?

Dwight wypił łyk wina.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to ci powiem! Masz dla mnie wyjątkowy urok. Kocham cię i fascynuje mnie wszystko, co jest z tobą związane. Nie wyleczy mnie z tego żadna wiedza medyczna!

Tym razem to Caroline mogła poczuć się zażenowana. Chcąc oszczędzić młodemu skrupowania, Ross powiedział:

– Mam nadzieję, że kiedy Dwight wyjedzie i będziesz mieszkać u stryja, zjesz z nami kolację raz lub dwa razy w tygodniu. Pomoże ci to zabić czas.

– Kiedy Dwight wyjedzie, będę się czasem budzić i zastanawiać, czy cały ten tydzień to nie sen. Chyba muszę was odwiedzać, by się upewnić, że to się zdarzyło naprawdę.

– Jeśli będziesz miała jakieś kłopoty, natychmiast przyjeżdżaj do Nampary – rzekł Ross. – Możesz u nas mieszkać, jak długo chcesz.

Caroline popatrzyła na Demelzę, nim odpowiedziała.

– Twój mąż składa bardzo daleko idące obietnice.

– Ja też chciałabym je złożyć.

Caroline w końcu się uśmiechnęła i odwróciła wzrok.

– Mówiłam Rossowi, że to po prostu kaprys. Może wojna skończy się w przyszłym tygodniu i nie będziemy potrzebowali waszej pomocy? W Plymouth żona oberżysty mówiła o jakiejś obrazoburczej uroczystości świętowanej przez Francuzów w Notre Dame. To wszystko brzmi bardzo dekadentcko i mam nadzieję, że zdemoralizuje francuskie wojsko, a zwłaszcza marynarkę wojenną.

– W przyszłym roku, gdy będę na morzu, zobaczę to na własne oczy – rzekł Dwight. – Wszy na pewno zauważą różnicę.

O wpół do dziesiątej przybyli do nich kolędnicy z kościoła w Sawle, a Demelza przypomniała sobie poprzednie Boże Narodzenia. Sześć lat temu w Trenwith Treneglosowie przyjechali niespodziewanie z George'em Warlegganem, śpiewały Elizabeth i Demelza, po raz pierwszy piła porto, uwielbiała jego smak i działanie, choć była w czwartym miesiącu ciąży i czuła mdłości. Boże Narodzenie dwa lata później, gdy była sama w Namparze i przyszli ci sami kolędnicy co dziś. Zaprosiła ich do domu i użalała się nad ich chorobami, przejęta swoim nowym statusem pani Poldark. Chciała być miła, lecz nie zdawała sobie sprawy, że za dwa tygodnie Julia umrze, a ona ledwo ujdzie z życiem. Dwa żaglowce przygnane przez wielki sztorm w styczniu. Ross czuł się jeszcze gorzej od niej, gorzej pod względem psychicznym, i poszedł na plażę wraz z tłumem górników próbujących zdobyć łup.

Chór pojawił się dziś w pełnym składzie. Dyrygował stryj Ben Tregeagle, o cygańskiej urodzie, niemożliwym do określenia wieku i czarnych kędzierzawych włosach. Mary Ann Tregaskis, Char Nanfan, Johnny Kimber i Betty Carkeek,



której mąż zginął w potyczce z celnikami, byli w dobrej formie; nawet Sue Baker zdołała odśpiewać kolędy bez ataku konwulsji.

Po ich odejściu Caroline, Dwight i Poldarkowie siedzieli pół godziny przy kominku, pijąc herbatę i jedząc domowe ciasto. Później Demelza przeprosiła zebranych i opuściła salon, a po chwili wyszedł także Ross.

Poszedł do kopalni i spędził tam jakiś czas. Kiedy wrócił, Demelza ciągle była w kuchni. Oznajmiła, że Caroline niedawno poszła spać. Ross zajrzał do salonu i zobaczył, że Dwight zbiera się do odejścia.

– Pomyśleliśmy, że chcielibyście spędzić kilka minut sami.  
– Dziękuję... Za to i za wszystko.  
– Zrobiliśmy bardzo niewiele.  
– Rzadko się zdarza, że jeden człowiek może naprawić błędy drugiego. Chcę ci powiedzieć...

– Nic nie mów. Czasami umiejętność tyranizowania ludzi i narzucania im swojej woli przynosi spore korzyści. Naprawdę łatwo się tego nauczyć. Staraj się jak najlepiej wykorzystać swoje szczęście.

– Spróbuję. Caroline...  
– Im lepiej poznaję Caroline, tym bardziej ją szanuję. – Ross nalał sobie kieliszek brandy, po czym odstawił karafkę na stół. Nie chciał więcej pić.  
– Zacząłem ją rozumieć dopiero w tym tygodniu. Ty będziesz miał na to całe życie i wyobrażam sobie, że i tak nie wystarczy ci czasu. Zawsze będzie ukrywać swoją dobroć, jakby się jej wstydziła. Gratuluję ci mądrości, że wybrałeś tak niezwykłą osobę na żonę.

Dwight pokręcił głową.

– Chciałbym, by naprawdę została moją żoną. Oddałbym kilka lat życia, by spędzić miesiąc na ładzie. Ale nie mogę jej popędzać, nie w ten sposób... Demelza ją lubi, prawda?

– Naturalnie!

– Pytam z konkretnego powodu. Liczę, że tak się nie stanie, ale mogę nie mieć całego życia, by docenić Caroline. Na wojnie ludzie czasem odnoszą rany. Nie chcę dramatyzować, ale może się zdarzyć, że będzie potrzebować waszej przyjaźni i pomocy nawet jako młoda wdowa.

– Spodziewasz się, że moglibyśmy jej nie okazać?

– Nie... nie.

Ogień przygasł i należało dorzucić drewna do kominka, by palił się przez całą noc.

– Jest wiele rzeczy, których nie mogę obiecywać w imieniu Demelzy, ale za to akurat ręczę.

Po wyjściu Dwighta Ross poszedł do szopy po grube polana. Kiedy wrócił z nimi do salonu, zastał tam Demelzę. Stała przed lustrem i upinała włosy.

Zauważyła go w lustrze.

– Oboje są u siebie?

– Tak, wszystko w porządku.

– Mam nadzieję, że Caroline ma wszystko, co potrzebne. John zostawił jej mnóstwo drewna, ale podejrzewam, że nie będzie go potrzebować. Londyn okazał się miły?

– Wystarczająco miły, by go odwiedzić. Następnym razem musisz ze mną pojechać.

Opuściła ramiona i odstąpiła na bok, by Ross mógł dorzucić drewna do kominka.

– Zastanawiam się, dlaczego w Londynie jest chłodniejsza pogoda. Od czterech lat nie mieliśmy śniegu... Gdyby Julia żyła, miałyby już prawie sześć lat.

Ross wziął pogrzebacz i wyrównał węgle w palenisku.

– Wiem... A ty... jeszcze nie masz nawet dwudziestu pięciu lat.

– Czy wyglądam aż tak staro?

– Nie, często młodziej, ale szybko opuściłaś dom, wiele przeżyłaś...

Czasami mam wrażenie, że jesteśmy w tym samym wieku. Jesteśmy małżeństwem sześć i pół roku.

– Dużo straciliśmy.

– Straciliśmy Julię. Poza tym nic, czego nie dałoby się odzyskać.

Demelza uniosła ramiona, chcąc nimi wzruszyć, lecz zrezygnowała, spojrzawszy na Rossa. Nagle oboje zrozumieli, że za chwilę Ross złamie codzienne konwenanse.

– Więc nie wróciłeś z Trenwith w podartej koszuli? – spytała.

– Nie wróciłem... W ostatnich tygodniach, zwłaszcza od wyjazdu do Londynu, coraz lepiej rozumiem, jak niemądra jest ta ciągła nienawiść, że przede wszystkim zatruwa tego, kto ją czuje. Niezbyt oryginalne odkrycie, może nie zawsze będę w stanie postępować zgodnie z jego nakazami, ale warto spróbować. Dziś wieczorem zaproponowałem George'owi rozejm.

– I co powiedział?

– Nic szczególnie obiecującego, ale mam nadzieję, że kiedy przestanie się dziwić, zrozumie, że to rozsądna propozycja.

– A Elizabeth?

– Nie jestem pewien... – Wrzucił dwa polana do kominka, a później, ciągle skulony, spojrzął na żonę. Jego twarz była mniej napięta. – Demelzo, chciałbym z tobą o niej porozmawiać.

– Nie, nie chcę tego słuchać.

– Myślę, że musisz. Przed odjazdem uważałem, że nie, ale nie ma innego sposobu.

– Ross, zupełnie nie pamiętam o tamtych sprawach. Ich wyciąganie na

światło dzienne wyrządzi nam krzywdę. Wolalabym, żebyśmy o tym nie rozmawiali.

– Wiem, ale... Nie potrafimy zapomnieć, prawda? To jest tylko przemilczane, odkładane.

Demelza odeszła od kominka, by zyskać na czasie. Wygladziła kotarę i zgasiła trzy świece na bocznym stoliku, więc kraniec pokoju pogrążył się w mroku. Z zamyśloną miną poklepała poduszkę.

– Chcę ci powiedzieć, że Elizabeth nic już dla mnie nie znaczy – rzekł Ross.

– Nie mów tak, Ross. Nie chcę, żebyś mówił coś innego, niż czujesz...

– Ale naprawdę to czuję...

– Tak, w tej chwili. A później, może w przyszłym miesiącu, może w przyszłym roku...

– Chodź tu, Demelzo – powiedział. – Usiądź, dobrze? Posłuchaj tego, co chcę powiedzieć.

Po chwili wróciła.

– Bardzo pragniesz być sprawiedliwa, nie oszukiwać samej siebie, najlepiej wykorzystać to, co masz... ale masz wszystko... Spróbujesz w to uwierzyć?

– Mam prawo wierzyć?

– Tak. Chciałbym umieć wytłumaczyć, o co chodzi z Elizabeth. W jakiś sposób chyba to rozumiesz. Kochałem Elizabeth, nim cię poznałem. Ten afekt... trwał przez całe moje życie. Wiesz, jak to jest, kiedy ktoś czegoś chce i nigdy nie dostaje? Prawdziwa wartość tego, czego się pragnie, może być duża lub mała, ale to nie ma znaczenia, bo najważniejsza jest pozorna wartość, która zawsze wydaje się wielka. To, co do ciebie czuję, zawsze było możliwe do oszacowania, porównywalne, ludzkie, stanowiło część zwyczajnego życia. To drugie, moje uczucie do Elizabeth, nie. To, co zrobiłem, co wydarzyło się w maju, gdyby działo się w próżni i nikogo nie raniło, wcale bym tego nie żałował.

– Nie? – spytała Demelza.

– Nie. Ponieważ dzięki temu zrozumiałem rzeczy, które niewątpliwie powinienem wiedzieć, gdybym miał dość rozsądku i inteligencji, lecz jednak ich nie wiedziałem. Przede wszystkim, jeśli sprowadza się wyidealizowany związek do poziomu normalnego związku, zawsze cierpi na tym ten normalny. Przez pewien czas, przez wiele dni, wszystko stało na głowie – przez pewien czas nic nie było dla mnie jasne. Kiedy moje myśli się wyklarowały, pojawiło się jedno dominujące uczucie: że naprawdę, rzeczywiście kocham ciebie, a nie Elizabeth.

Demelza stała w całkowitym bezruchu. Miała blade powieki i nieco ściągnięte brwi, co sugerowało koncentrację. Ross nie wiedział, że Demelza zmaga się z demonami, że jej myśli i uczucia walczą ze sobą. Z jednej strony broniła się przed zbyt szybką kapitulacją, na którą w głębi serca miała wielką ochotę; z drugiej strony patrzyła na miłość, którą Ross ofiarował jej teraz pełnymi garściami,

i perwersyjnie czuła, że to za mało – za mało jako odrębne uczucie.

– Mogę o coś spytać?

– Oczywiście.

– Jak to się stało, że doszedłeś do tego wniosku? Co cię przekonało?

Przecież to na pewno nie było nieprzyjemne?

– Co?

– Miłość z Elizabeth.

– Nie... wręcz przeciwnie. – Zawahał się, nieco zmieszany. – Ale nie szukałem tylko przyjemności. Szukałem... Przypuszczam, że w głębi duszy szukałem czegoś podobnego, co znalazłem w tobie, i przeżyłem zawód. Nie potrafiłem tego znaleźć.

– Może pojawiłoby się z czasem? Może się nie starałeś, Ross?

Zerknął na nią chłodno.

– Chciałabyś, żebym się starał?

– Nie znam szczegółów twojej... przygody, ale moim zdaniem jesteś niesprawiedliwy wobec Elizabeth. Przynajmniej... Nie przepadam za nią, ale nie jest trzpiotką. Przypuszczam, że ją zaskoczyłeś. Nie byłabym zdziwiona, gdyby na początku próbowała coś z siebie dać. Nie wiem, jak długo z nią byłeś ani jak się z nią kochałeś, ale przypuszczam, że chwilami mogła się starać.

– Bronisz teraz Elizabeth?

– I tak, i nie. Raczej bronię kobiet. Doprawdy, Ross, czy kobiety nie są traktowane przez mężczyzn jak coś gorszego, walizki, które można podnosić i stawiać, kiedy się chce? Ja... Jestem dziś bardzo szczęśliwa, że wolisz mnie od Elizabeth, i mam nadzieję, że zawsze tak będzie. Ale myślę, że nie należy jej oceniać, potępiać, bo to niesprawiedliwe. Spotkaliście się przypadkiem. Nie chciałabym być osądzana w ten sposób. Chociaż przypuszczam, że jeszcze niedawno tak właśnie osądzano mnie.

– Co masz na myśli?

Zawahała się, widząc otwierającą się przed nią przepaść. Po chwili zrozumiała, że chociaż tego nie planowała, czeka ją rozstrzygająca próba.

– Jeśli mamy mówić szczerze, muszę ci coś powiedzieć. Często o tym myślałam, ale nie wydawało się to ważne, skoro już ci na mnie nie zależało. Ale teraz, jeśli mówisz prawdę, jeśli naprawdę mnie kochasz...

– Oczywiście, że tak.

– Więc nim podejmiemy jakieś decyzje, muszę ci powiedzieć, że w czasie ostatniej wizyty u Bodruganów miałam przygodę miłosną, choć nie zakończyła się tak samo jak twoja. Wiesz, w jakim nastroju pojechałam na bal. Było to zaledwie cztery dni po twojej wizycie u Elizabeth. Bardzo chciałam się na tobie zemścić i był tylko jeden sposób. Okazało się, że nadarza się okazja. Był tam Malcolm McNeil.

– McNeil? – odparł Ross. – Ten...

– Tak. Flirtowaliśmy w czasie przyjęcia. Później przyszedł do mojej sypialni. Ross popatrzył na Demelzę.

– Nie chcę, żebyś go obwiniał, bo pojawił się właściwie na moje zaproszenie. Ale kiedy przyszedł i chciał się ze mną kochać, wydał mi się mniej atrakcyjny i nie potrafiłam tego znieść. Nie wiem, jakie przyjąłeś wzorce naszego małżeństwa, ale wiem, jakie wzorce przyjął ja. W końcu między mną a McNeilem nic nie zaszło. Spotkanie nie zakończyło się tak miło jak twoje z Elizabeth. Był wściekły.

– Mój Boże! Wcale się nie dziwię!

– Widzisz! Stajesz po stronie mężczyzny, tak jak ja stanęłam po stronie Elizabeth...

– Nie staję po jego stronie! Jeśli kiedykolwiek spotkam tę rozpustną świnię...

– Jesteś wobec niego niesprawiedliwy. To na mnie powinienes być wściekły, jeśli w ogóle na kogoś.

Ross wstał i przeszedł powoli przez salon. Stał z rękami splecionymi na plecach, patrząc na tytuły książek na półce, ale ich nie widząc. Po chwili powiedział:

– Nic nie rozumiem. Co zaszło między tobą a McNeilem? Czulaś coś kiedyś do niego?

– Chyba w którymś momencie troszeczkę, ale nie teraz.

– Troszeczkę... – Emocje zakłóciły normalną równowagę Rossa. – A potem wpuściłaś go do sypialni, zaofiarowałaś siebie...

– Wyobrażasz sobie, co wtedy czułam? Chwilę wcześniej zdradziłaś mnie z Elizabeth.

– Więc rzuciłaś się w ramiona pierwszego napotkanego mężczyzny...

– Nie pierwszego, Ross. Przynajmniej czwartego.

Zmierzyli się wzrokiem. Zapadła okropna cisza.

– Wielki Boże, tym razem nie podziwiam twojej szczerości!

– Może nie powinnam ci mówić, ale nie chcę być nieuczciwa. Jeśli znowu ma się między nami narodzić coś dobrego, prawdziwego...

– Dobrego, prawdziwego...

– Jak daleko zaszła ta... sprawa między tobą a McNeilem?

– Niezbyt daleko.

– Mam nadzieję!

– Dlaczego, Ross? Czy kura nie może robić tego samego co kogut?

Rossa ogarnęła wściekłość.

– Nie podoba mi się twoja filozofia, ani wtedy, ani teraz! Nie jestem dumny ze swojej przygody z Elizabeth. Ale to skutek afektu, który czułem przeszło

dziesięć lat! Nie tania miłośćka nad kieliszkiem wina dla taniej satysfakcji między obiadem a kolacją!

Serce Demelzy biło coraz szybciej. Miała wrażenie, że się udusi.

– A Margaret Vosper? – spytała.

– Margaret Vosper?

– Tak. Była na balu. Do niej również czujesz afekt od dziesięciu lat?

O mało jej nie uderzył.

– Spędziłem z Margaret Vosper tylko jedną noc, nim cię poznałem. Myślę, że miałaś wtedy dwanaście lat. Nie mogę przysiąc, że dochowywałem ci wierności, gdy byłaś niemowlęciem, i nawet nie zamierzam! Potrafisz podać inne usprawiedliwienia, że oddałaś temu oficerowi swoje ciało?

– Nie zrobiłam tego, Ross. Wiedziałbyś o tym, gdybyś słuchał, zamiast się wściekać. Nie byłam w stanie tego zrobić. Zrozumiałam, że w ogóle go nie kocham. Nie wiem, czy cię to uspokaja... Na nic mu nie pozwoliłam.

– Skąd mam wiedzieć, na co mu pozwoliłaś?

– Och... – westchnęła i popatrzyła na niego z oczami pełnymi łez. – Ross, co ty mówisz?! Po tym, co mi przed chwilą powiedziałeś... Że uważasz... – Nie zdołała dokończyć.

– Skąd mam wiedzieć? – odparł.

Przez chwilę panowała martwa cisza.

– Nie... – jęknęła. – Skąd masz wiedzieć...

Wybiegła z salonu.

Weszła na górę całkowicie roztrzęsiona, częściowo z gniewu, częściowo z żalu. W szafie znalazła torbę, którą wzięła do Werry House. Wyjęła ją i wrzuciła do środka trochę rzeczy. Prawie nic. Ubranie na zmianę, buty, kilka monet. Nerwowo zdejmowała suknię, szarpała haftki, podarła koronkę. Przebrała się w strój podróżny. Buty z cholewami, szpicruta, kapelusz; wszystko trwało za długo. Od czasu do czasu na jej ręce kapały łzy. Chwilami spazmatycznie chwytiała ustami powietrze, jakby się dusiła. Jeremy poruszył się we śnie. Musi go teraz zostawić. Później kogoś po niego przyśle. Nie może go budzić, wieźć po nocy.

Niewiarygodny koniec wieczoru! Dwight i Caroline się pogodzili. Ross i Demelza prawie. Tak dobrze się zaczęło... Ross tak ładnie mówił. Później chciała go przekonać. Wspomniała o McNeilu. McNeil. Próba, która uderzyła w nią samą. Rozejrzała się, popatrzyła na pokój, w którym mieszkała od zawarcia małżeństwa. Nigdy więcej. Nie tutaj. To koniec. Nigdy więcej.

Włożyła kapelusz, przypięła go, nie mogła znaleźć rękawiczek, musi się bez nich obyć, wzięła torbę. Chusteczka. Trzeba szybko wyjść, bo inaczej hałasy obudzą Jeremy'ego.

Korytarzem i schodami w dół. Ross. W drzwiach salonu.

– Dokąd się wybierasz?

Popatrzyła na niego wściekłymi, roziskrzonymi oczyma, otworzyła frontowe drzwi i wyszła. Szła wokół dworu, potykając się, na dziedzińcu, do stajni. Musi wziąć Czarnulkę, żaden inny koń się nie nadaje. W stajni jest dziś światło. Gimlett zostawił zapaloną latarnię. Potknęła się, upuściła torbę, o mało nie upadła, ruszyła w stronę schowka na siodła. Znalazła swoje. Czarnulka zarżała. Demelza zaniósła siodło do klaczy i zarzuciła jej na grzbiet.

Miała wprawę w siodłaniu koni, lecz teraz trzęsły jej się ręce. Popręg stale się wyślizgiwał. Czarnulka była niespokojna, wyczuwała pośpiech Demelzy, który budził w niej lęk. Pozostałe konie wpadały na siebie, rżały. Między belkami pułapu przeleciał wyrwany ze snu nietoperz, bezsensownie machając skrzydłami. Siódme Boże Narodzenie od ślubu. Co napisała Verity? Tak bardzo się myliła!

Odgłos kroków. Ross.

– Dokąd się wybierasz? – powtórzył.

Nie odwróciła się, rozpaczliwie szarpała popręg, który gdzieś się zaplątał i nie chciał puścić.

– Demelzo...

– Odchodzę – powiedziała. – Co jeszcze mogę zrobić po...

– Odchodzisz do McNeila?

– Nie, oczywiście, że nie!

Wszedł głębiej do stajni. W końcu uwolniła popręg, ale gdy za niego pociągnęła, siodło zsunęło się na bok.

– Jutro będzie bardziej odpowiednim dniem.

– Nie.

– Pomogę ci – powiedział. Podeszedł do niej, wyjął jej z rąk popręg i zaczął go zapinać. W świetle latarni jego twarz wyglądała jak wykuta z kamienia.

Obróciła się gwałtownie, by ukryć swoją twarz przed Rossem; poszła po torbę i przyniosła ją do stajni. Ross w milczeniu dokończył siodłać klacz i wziął uzdę. Zatrzymał się, ważąc ją w dłoniach.

– Kiedy poszłaś na górę, próbowałem się zastanawiać, jak się zaczęła ta kłótnia, dlaczego szybko przybrała taki obrót, jaka jest przyczyna. Może myślałaś, że zachowuję się protekcjonalnie, tłumacząc ci to wszystko w ten sposób, nie biorąc pod uwagę twoich uczuć. Czy tak?

– Czy ma to teraz jakieś znaczenie?

– Nie, oczywiście, że nie. To, co czuję do Elizabeth, nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Pojawiły się nowe rzeczy, ale wszystko, co mówiłem, było prawdą. Gdy zobaczyłem ją dziś wieczorem, miałem wrażenie, że patrzę na obcą kobietę. Dziwne! Siedziała naprzeciwko mnie jak ktoś obcy, a nawet wróg. Żona George'a. Przykro mi, że ją zraniłem, podobnie jak ciebie, ale nie można cofnąć czasu.

– Nie...

Ross założył uzdę i wędzidło, po czym spojrzał na Demelzę.

– Przywiązać torbę za siodłem?

– Proszę...

– Dokąd jedziesz? Jest bardzo późno.

– Ja... Na dzisiejszą noc do Paynterów. Prudie znajdzie mi miejsce do spania.

– Wrócisz po resztę swoich rzeczy czy ma je przywieźć Gimlett?

– Nie wiem. Wyślę wiadomość.

– Zanim odejdziesz, powinnaś wiedzieć, że w zasadzie nie kwestionuję twojej opowieści o tym, co zaszło między tobą a McNeilem. Zaskoczyło mnie to, co powiedziałaś, zaszokowało i w przyływie gniewu... Można to również nazwać przyływem zazdrości... Ale oczywiście nie chcę, byś myślała, że to ostateczna opinia.

Demelza obróciła się po omacku, wzięła wodze, poprowadziła Czarnulkę w stronę wrót stajni. Ross nie poszedł za nią natychmiast, tylko pobierał rzeczy, które spadły z półki. Zawahała się, dotknęła dłonią strzemienia, lecz nie wsiadła na konia. Ross wyszedł na dziedziniec. Czarnulka przeszła kilka kroków, ciągnąc za sobą Demelzę i energicznie potrząsając łbem.

– Chcę, żebyś wiedziała jeszcze jedno – mówił dalej Ross. – Przede wszystkim bardzo mi przykro, że cię zraniłem... to znaczy w maju. Nie zasługiwałaś, by cię skrzywdzić. Przez te wszystkie miesiące... Wiem, jak się czułaś. Chcę, żebyś to wiedziała. Gdybyś odeszła z McNeilem, mógłbym winić tylko siebie.

Puściła wodze i zasłoniła dłońmi twarz w nagłym geście rozpacz. Chciała coś powiedzieć, lecz nic nie przyszło jej do głowy.

Po dłuższej chwili Ross rzekł:

– Czy to cię zdenerwuje, jeśli powiem, że cię kocham? Nadal wolisz McNeila? Ciągłe jest w okolicy? Jutro go odwiedzę.

– Nie, Ross, on wyjechał. W ogóle mnie nie obchodzi, naprawdę...

– Więc dlaczego chcesz odejść? Nie potrafisz zapomnieć tego, co powiedziałem?

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo to prawda! Nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki tego nie powiedziałaś. Och, nic już nie wiem. To coś jak ślepotą... Nie jestem w stanie o tym myśleć... nie mogę z tym żyć! Nie wiem, co zrobić.

Wyszedł i stanął obok niej. Owinął wodze wokół kołka.

– Nie powinniśmy wejść do domu i porozmawiać?

– Nie! Nie mogę...

– Więc nie możesz mi wybaczyć.



– Nie mogę wybaczyć sobie.

– Niegdyś była to jedna z ulubionych dolegliwości Poldarków, ale sądziłem, że jesteś zbyt mądra, by się nią zarazić. Posłuchaj, proponuję, żebyśmy weszli do kuchni. Żadne z nas nie pójdzie wówczas na zbyt duży kompromis. – Wziął latarnię i czekał na Demelzę.

Zawahała się.

– Możesz odjechać za pięć minut, jeśli chcesz – powiedział.

Weszła za nim do kuchni.

Otworzył latarnię i zapalił od niej świecę. Ogień przygasł, lecz ciągle dawał odrobinę światła. Demelza powstrzymała drżenie.

– Ostatnio dawałem dobre rady dwojgu ludziom, lecz trudniej udzielać dobrych rad samemu sobie. Jeśli... – Urwał i popatrzył na drzwi spiżarni. W świetle świecy widać było pod nimi powiększającą się czarną plamę. – Co to takiego?

– Och... To piwo! Dziś rano zlałam je do baryłki.

Wzięła świecę zapaloną przez Rossa. W spiżarni z baryłki wypływała piana, która zalała połowę podłogi. Demelza krzyknęła i wróciła do kuchni.

– Nie za wcześnie ją zaszpuntowałaś? – spytał.

– Nie wiem. Wydawało mi się, że przestało się burzyć.

Wróciła do spiżarni ze ścierką i wiadrem. Ross już miał powiedzieć, by dała spokój, bo poplami suknię, ale w porę się zreflektował.

– To chyba wina chmielu – odezwała się. – Pamiętasz, mówiłeś, że twoim zdaniem dziwnie pachnie?

Ross podniósł szpunt wysadzony przez ciśnienie i powąchał go.

– Powinnam była zaczekać, aż wrócisz z Londynu.

Posprząтали bałagan. Cały dwór śmierdział piwem. Ross dwukrotnie wynosił i opróżniał wiadro, a po obejrzeniu baryłki wbił szpunt z powrotem w otwór. Fermentacja już się zakończyła. Później należy zdecydować, czy piwo nadaje się do picia.

Skończyli pracę i wydawało się, że nie ma nic więcej do zrobienia ani do powiedzenia. Zwyczajne czynności sprawiły, że zapomnieli o straszliwej kłótni.

Ross podał Demelzie ręcznik, ona wytarła ręce. Skraj sukni i mankiety były poplamione piwem. Nie patrzyła na męża.

– Śmierdzimy gorzej niż największy pijak w Kornwalii – powiedział.

Wyjęła chusteczkę i wydmuchała nos, zasłaniając się nią dłużej, niż było konieczne. Później podeszła do okna i je otworzyła.

– Moja droga, kupiłem ci coś w Londynie – rzekł Ross. – Zamierzałem dać ci to jutro, ale skoro może nie być jutra, najlepiej zerknij na to od razu.

Nie odwróciła się, gdy włożył dłoń do kieszeni. Potem podszedł do okna i wsunął jej do ręki pudełeczko. Z zaskoczeniem spostrzegła, że jego palce lekko

drżą, co się nigdy nie zdarzało. Otworzyła pudełeczko i zobaczyła złotą filigranową broszkę z rubinem.

– Nie mogłem dostać takiej samej jak poprzednia. Ta jest chyba francuska, a nie wenecka. Tamta broszka, kupiona od Żyda, była wykonana bardziej misternie.

– Jest śliczna...

– Kupiłem ją na Chick Lane w pobliżu Smithfield Bars. Zupełnie przypadkowo, gdy szedłem tamtędy nazajutrz po spotkaniu z Caroline. I to też...

Znów usłyszała, jak szuka czegoś w kieszeni, i po chwili wsunął jej do ręki przedmiot owinięty w bibułę. Rozwinęła ją i zobaczyła naszyjnik z granatów.

– Och, Ross, złamiesz mi serce...

– Na pewno nie tymi prezentami. Jeśli...

– Tak, złamiesz. Nawet nie wiesz, co czuję...

– Czy możemy się umówić, że zapomnimy o przeszłości? Byłbym bardzo zadowolony, zapewniam cię. Może my też powinniśmy przestać się burzyć jak to piwo?

– Naprawdę, ja nie...

– Traktuj tę broszkę jako spłatę długu, który od dawna jestem ci winien, a naszyjnik jako prezent na Boże Narodzenie. Nic więcej.

– Nie mam dla ciebie żadnego prezentu...

– Popatrz, tak się zapina.

Wyjął naszyjnik z rąk Demelzy i pokazał, jak działa zapinka. Później stanął z tyłu, by włożyć go na jej szyję. Zachnęła się mimo woli, gdy tymczasem Ross stał z naszyjnikiem w rękach. Po chwili wyprostowała się i pozwoliła go sobie włożyć. Zgoda miała szczególne znaczenie. Demelza dotknęła niepewnie kamieni.

– Nie ma tu lustro – powiedział. – Chodźmy do sąsiedniego pokoju.

– Chyba jeszcze nie chcę patrzeć na siebie w lustrze. Dopóki nie będę mogła się oglądać w mniej nieprzyjemnym świetle.

– Nie istnieje takie światło, zapewniam cię.

– Ross, przecież wiesz, że nie potrzebuję takiego prezentu i że się go nie spodziewałam...

– Wiem. Jeśli przypuszczasz, że kupiłem te rzeczy w nadziei, że pozwolą znowu wkraść się w twoje łaski, masz rację. Szczerze się do tego przyznaję. To prawda, moja kochana, moja najukochańsza, najukochańsza Demelzo. Wspaniała, lojalna, bardzo słodka Demelzo...

– O nie! – zawołała i jej oczy znów wypełniły się łzami. – Nie możesz tak mówić! Nie teraz!

– Zabronisz mi?

– Przecież... przecież nie mówisz poważnie! Nigdy... Jeśli mamy się pogodzić, jeśli mamy razem żyć, przez pewien czas powinieneś być dla mnie

niemiły.

– Przypomnij mi o tym w przyszłym tygodniu. Będzie to jedno z moich postanowień noworocznych.

– Ale poważnie...

– Poważnie, Demelzo – odpowiedział.

Dotknęła jego dłoni i odwróciła się od okna.

– Zastanawiam się... zastanawiam się, czy nie zabrakło ci pieniędzy na powrót do domu. Takie drogie prezenty... Tak bym chciała mieć coś dla ciebie. Jutro Boże Narodzenie...

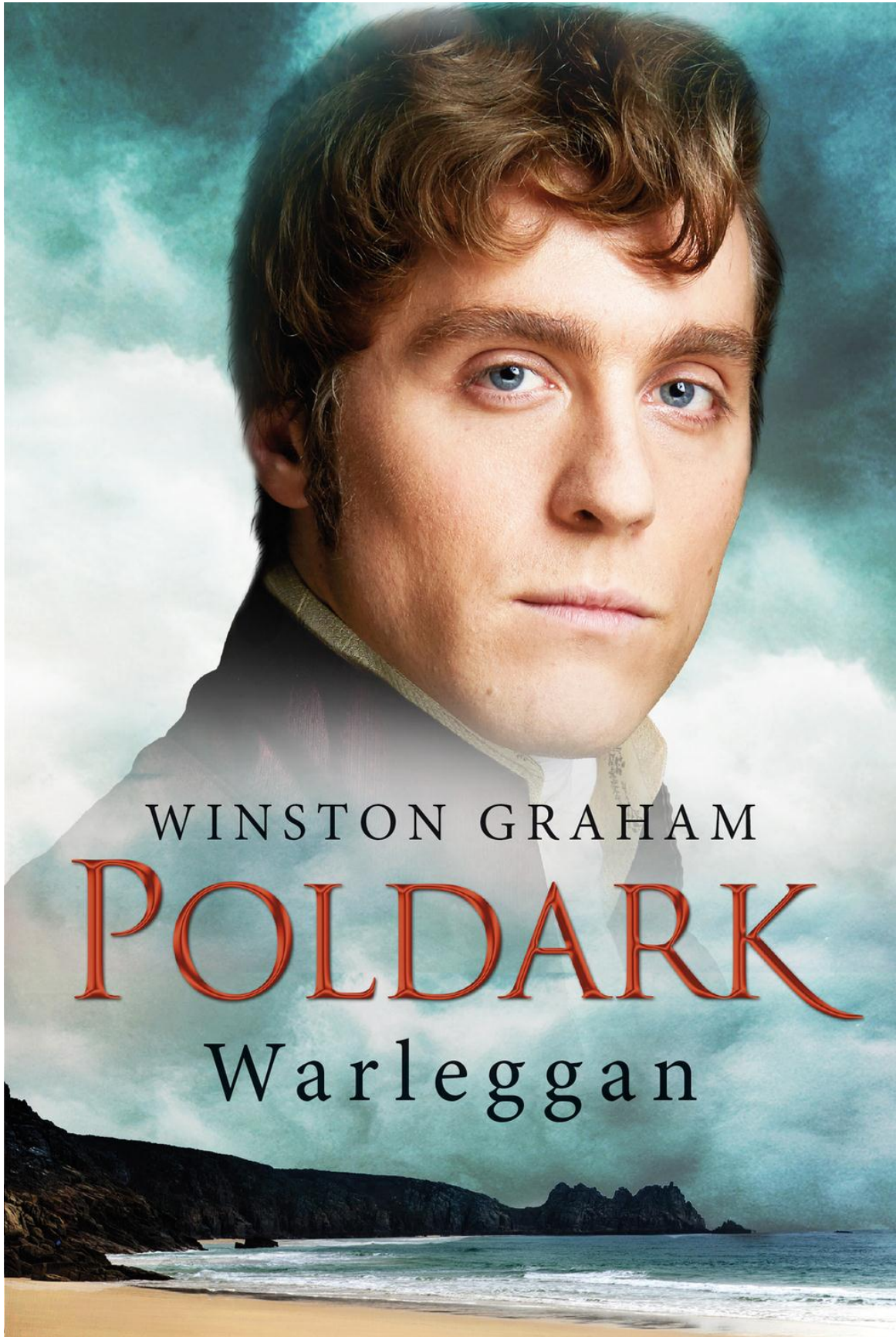
– Dochodzi północ – przerwał. – Posiedźmy razem jeszcze chwilę i doczekajmy Bożego Narodzenia.

## *Przypisy końcowe*

*Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, przeł. Jakub Wujek, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa (bez roku wydania; przedruk edycji krakowskiej z 1599 roku), Ewangelia według Mateusza, IV. 8–9, s. 8 (wszystkie przypisy tłumacza). [\[wróć\]](#)

William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Maciej Słomczyński, akt IV, scena 5, Wydawnictwo Zielona Sowa, Kraków 2009, s. 361. [\[wróć\]](#)

*Ibid.*, s. 367. [\[wróć\]](#)



WINSTON GRAHAM

# POLDARK

Warleggan